

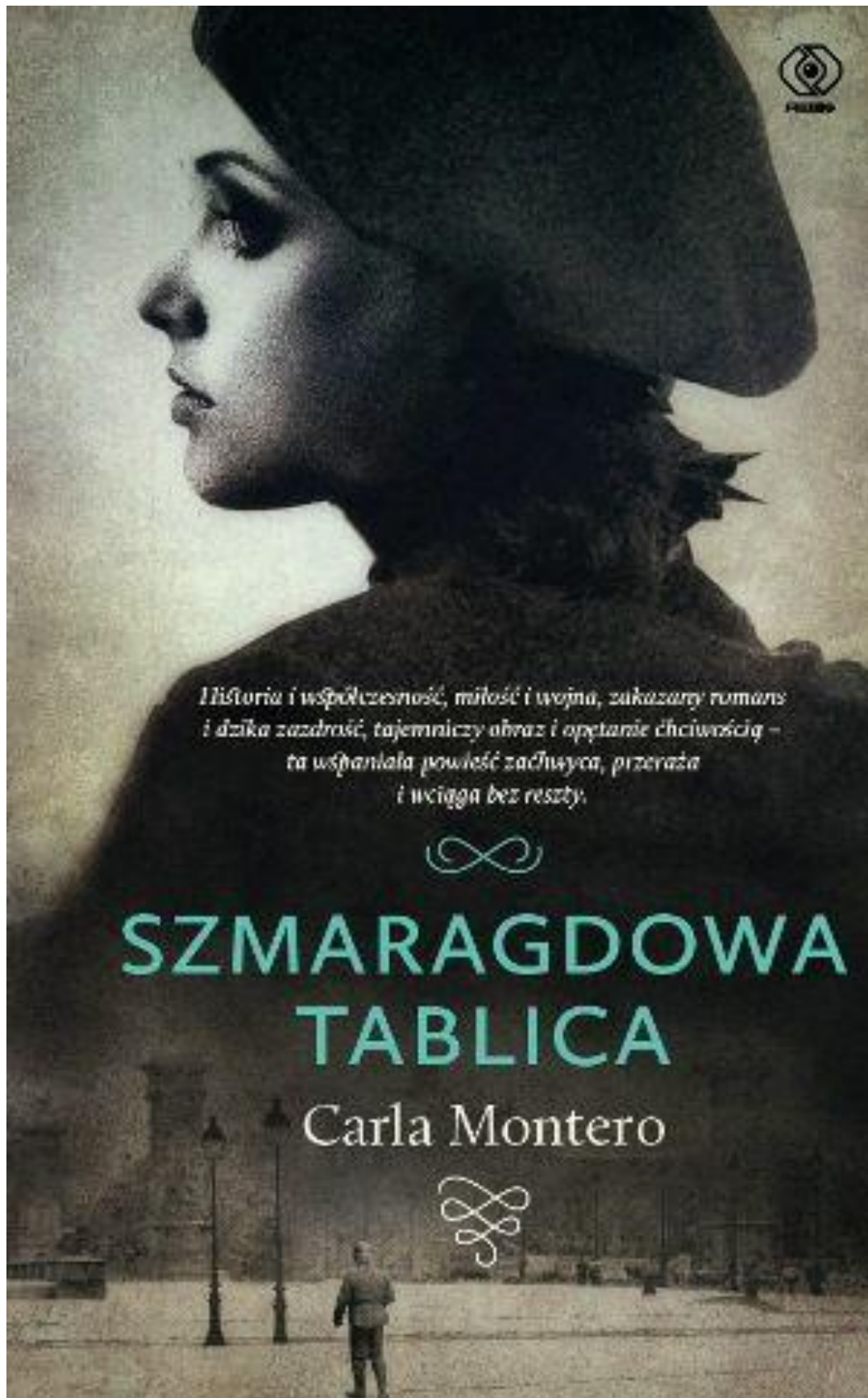


*Historia i współczesność, miłość i wojna, zakazany romans  
i dzika zazdrość, tajemniczy obraz i apetyt na chciwością –  
ta wspaniała powieść zachwyca, przeraża  
i wciąga bez reszty.*



# SZMARAGDOWA TABLICA

Carla Montero



**Carla Montero**

**Szmaragdowa Tablica**

Przełożył  
Wojciech Charchalis

**Madryt, początek XXI wieku. Ana pracuje w Muzeum Prado, prowadzi spokojne życie u boku Konrada, bogatego niemieckiego kolekcjonera dzieł sztuki, aż do chwili, gdy pewien list napisany podczas drugiej wojny światowej naprowadza go na ślad tajemniczego obrazu Astrolog przypisywanego Giorgionemu, malarzowi epoki renesansu. Skuszony wielką wartością tego dzieła, Konrad przekonuje Anę, żeby zajęła się jego poszukiwaniem. Mimo piętrzących się trudności Ana odkrywa nie tylko zawile losy rodziny, która od pokoleń strzeże Astrologa, ale i niezwykłą prawdę, która całkowicie zmienia jej życie.**

**Paryż podczas niemieckiej okupacji. Major SS Georg von Bergheim, żołnierz elity i bohater wojenny, dostaje rozkaz: ma odnaleźć obraz Giorgionego znany jako Astrolog. Hitler jest przekonany, że dzieło kryje wielki sekret – kto go odkryje, będzie rządził światem. Poszukiwania prowadzą majora do Sarah Bauer, francuskiej Żydówki. Rozpoczyna się niebezpieczna gra, której konsekwencje będą zaskakujące dla nich obojga.**

*Moim dzieciom: Gali, Martinie, Luisowi i Nicolasowi.*

*Wbrew Wam, mali złodziejaskowie czasu, udało mi się dokończyć tę historię. Kocham  
Was.*

Mimo wszystko ciągle uważam, że ludzie mają dobre serce.

ANNE FRANK

## PROLOG

*Florencja*

*9 kwietnia 1492*

Wawrzyniec Medyceusz wyzionął ducha.

Nie była to jedyna myśl kołacząca się w głowie Giorgia. Tłukło się ich bowiem bez liku. Niektóre przebiegały żwawo i płynnie niczym obłoki na niebie, inne kotłowały się jak żebracy u wrót kościoła. Wszystkie wszakże brały początek w jednym miejscu, a zarazem do tego miejsca dążyły: Wawrzyniec z Medyceuszów wyzionął ducha. Jego ciało jeszcze całkiem nie ostygło. Owdowiała żona, dzieci i przyjaciele jeszcze wylewali po nim łzy. Cała Florencja w dalszym ciągu była poruszona.

Niemniej to nie Wawrzyniec Medyceusz przygnębiał Giorgia ani też jego rodzina i Florencja, dręczyły go myśli o sobie samym i o własnym przeznaczeniu. Całą noc i następujący po niej dzień spędził w warsztacie; początkowo sparaliżowany wrażeniem, jakie wywołała w nim wiadomość, a potem starając się znaleźć wyjście z sytuacji.

Dopiero gdy słońce jęło skrywać się za tokańskimi wzgórzami, zdecydował, że najlepiej będzie wrócić do Wenecji, gdzie cała sprawa się zaczęła. I przekonał siebie, że powinien to zrobić, nie mieszkając, korzystając z mroku nadciągającej nocy. Podjąwszy decyzję, rzucił się do zbierania swoich rzeczy, przede wszystkim przyborów malarskich, narzędzi pracy, oprócz nich bowiem niewiele więcej posiadał: pędzle, palety, płótno, blejtramy oraz dziesiątki składników wykorzystywanych przy produkcji farb stanowiły najcenniejszą część jego majątku.

Po zapadnięciu zmroku warsztat praktycznie był opróżniony. Jedynie w rogu pod oknem, w najlepiej oświetlonym naturalnym światłem miejscu stał na sztalugach zasłonięty szmatą obraz.

Giorgio zbliżył się doń, ciągle się zastanawiając, jak go ze sobą zabrać. Powoli odsłonił obraz i przyjrzał mu się, choć aż za dobrze wiedział, co ujrzy; więcej nawet – potrafił dojrzeć rzeczy, których inni ludzie nie widzieli; ostateczny wynik pracy dokładnie taki, jaki sobie był wyobraził. To płótno – zaledwie szkic, niewiele kolorowych pociągnięć pędzlem – stanowiło powód jego niepokoju.

Zaskoczyło go, że tak długo wpatruje się w obraz... na którym jakby pojawiały się następujące po sobie sceny z przeszłości. Być może to niepokój sprawiał, że widział dziwaczne rzeczy. Były to jedynie wspomnienia, wspomnienia młodego i nic nieznaczącego weneckiego malarza, który niechcący wplątał się w jakieś mroczne sprawy.

„Masz przed sobą przyszłość pełną możliwości i szczęścia, Giorgio. Wierzę, że zdołasz wyciągnąć korzyści ze swego talentu i sprzyjającej ci fortuny, w każdej chwili zachowując wierność honorowi i cnocie. Niech Bóg zawsze będzie z tobą, mój synu”, powiedział ojciec przez podróż, wkładając mu do rąk sakiewkę z kilkoma monetami oraz list polecający do gospodyni, która miała go przyjąć pod swój dach w Wenecji. Od tamtej chwili minęło już pięć lat, wspominał Giorgio zdenerwowany; dopiero co skończył dziesięć lat i był zaledwie dzieckiem, chłopcem z Castelfranco, wioszczyzny na obrzeżach Wenecji, gdzie Bóg uznał za stosowne przysłać go na ten świat, pobłogosławiwszy nadzwyczajnym talentem. Giorgio od małości rysował niczym anioł. Ojciec zauważył to tego dnia, w którym chłopak, rozkojarzony, wyciągnął z ognia zwęgloną drzazgę i zaczął gryzmolić po płytkach podłogi; lekkość kreski, ruchy... ten łobuziak miał talent. Z tego też powodu ojciec pociągnął za wszystkie sznurki znajdujące się w jego zasięgu, aby wcisnąć go na ucznia do warsztatu mistrza Belliniego w Wenecji. Tam Giorgio musiał nieustannie myć pędzle i zamiatać podłogę, musiał pucować moździerz

i przybijając płótno do blejtramów, do tego raczej nauczył się mieszać przyprawy do *rosolio*, które mistrz wypijał co wieczór, niż mieszać pigmenty z olejem. Jednak pośród tylu niewdzięcznych obowiązków Giorgio szeroko otwartymi oczyma obserwował wszystko, co się wokół działo – w jaki sposób mistrz przygotowywał gruntowanie płótna klejem z koziego pergaminu i gessem, jak odzyskiwał popiół ze spalonych kości, jak zdrapywał rdzę z kawałka miedzi, jak rozdrabniał malachit albo lapis-la-zuli... Przyglądał się, jaką ilość oleju lnianego wykorzystywał w mieszankach i jak ją zmniejszał terpentyną. W podnieceniu patrzył za każdym razem, kiedy mistrz maczał czubek pędzla z kuniego włosia albo świńskiej szczeciny w olejnej paście i z delikatną pieszczotą przesunął nim po płótnie. Oczarowany słuchał, jak opowiada o świetle i kształtach, proporcjach i barwach... W ten sposób uczył się od niechcenia, chłonąc nauki mistrza wraz z wonią farb.

Jednak Giorgio znalazł również szkołę poza warsztatem Belliniego. W Wenecji, mieście gwarnym ludźmi i kulturą, mieście arystokratów i handlarzy, zaznajomił się ze światem, który jeszcze musiał odkryć i pochwycić pociągnięciami własnego pędzla. W poszukiwaniu inspiracji dla swoich obrazów uwielbiał włóczyć się po Wenecji, odwiedzać pałace i klasztory, przemierzać jej wąskie uliczki pachnące stojącą wodą i rybami i gubić spojrzenie w lagunie, w której wodach mienił się zachód słońca, a morze kołysało łodzie, podczas gdy ich kontury zamazywały się, aż stawały się cieniami.

Wielokrotnie Giorgio uciekał na wyspę Murano, do kruzganków San Michele, gdyż tam światło przybierało szczególne spektrum – w zależności od pory roku ożywiało kolory albo je przygaszało, niemal zupełnie je unicestwiając; czasem stapało się z mgłą zatoki i niby węglem zamazywało wszystkie kształty albo też w dni jasne i bezchmurne zdawało się wycinać postaci z precyzją doskonałego ostrza. Giorgio byłby zachwycony, gdyby swoimi pędzlami potrafił zrobić właśnie coś takiego: uchwycić światło przylepiające się do podcieni kruzganków i tworzące inny nastrój w tej samej scenerii albo nakładać mgłę w kolorach, żeby je cieniować; być zdolnym malować ręką natury. Młodzieniec myślał, że koncentrując się na wszystkich szczegółach, wcześniej czy później osiągnie ten cel. Dlatego trawił godziny na próbach uchwycenia esencji otaczającego go świata, aby odtworzyć go na swych płótnach.

Pewnego letniego popołudnia, kiedy miasto niemal wrzało w wodach kanałów, Giorgio usiadł w cieniu kruzganków San Michele i chroniony świeżością jego pomarańczowego gaju kontemplował, jak to miał w zwyczaju, grę światła. Był tak tym pochłonięty, że ledwie usłyszał zmierzające w jego stronę powolne i zmęczone kroki starego człowieka.

– Cóż interesującego skrywa ten klasztor, że młodzieniec taki jak ty tyle godzin spędza w jego murach?

Chwilę wcześniej zdał sobie sprawę z obecności braciszka, wyczuwszy jego charakterystyczną woń. Wiedział, że usiadł u jego boku, gdyż poczuł w nozdrzach ten nieokreślony smród, mieszaną miazmatów zupy cebulowej – która była chyba jedynym pożywieniem tych bezzębnych mnichów – przepoconego habitu i siarki.

Mimo tego odpychającego pierwszego spotkania Fra Ambrosius stopniowo stawał się jednym z największych przyjaciół młodego Giorgia, a w jakiś czas później został jego przewodnikiem, doradcą i mistrzem. Przewodnikiem w sprawach duchowych, doradcą – w materialnych oraz bezdyskusyjnym mistrzem, jako że Fra Ambrosius był jednym z największych mędrców, jakich kiedykolwiek poznał. To on wprowadził Giorgia w tajniki wiedzy klasycznej, w dziedzictwo ojców greckich i łacińskich. Poprowadził go przez filozofie Sokratesa, Platona i Arystotelesa; Seneki i Epikteta; świętego Augustyna i świętego Justyna; Majmonidesa i Awerroesa. Rozebrał dla niego kosmos, człowieka i naturę. I wprowadził go w wiedzę tajemną – tę, którą od setek lat przechowywali magowie i alchemicy. Fra Ambrosius

bowiem w tajemnicy studiował i praktykował alchemię, naukę skupiającą w sobie całą wiedzę, którą człowiek posiadał sam z siebie albo za sprawą boskich objawień. Swego czasu odbył pielgrzymkę po niezliczonych klasztorach całej Europy, gdzie zapoznał się ze spuścizną wielkich alchemików: Nicolasa Flamela i Rogera Bacona. Co więcej, był także uczniem słynnego alchemika Basiliusa Valentinusa, benedyktyna z klasztoru w Erfurcie. Bo chociaż alchemia była zakazana ludziom Kościoła, w klasztorach wciąż ją uprawiano.

Ponadto braciszek posiadał tak wielką wiedzę na temat złożoności i materii natury, że Giorgio znalazł w nim niewyczerpaną krynicy wiedzy, kiedy zaczął tworzyć swoje farby, dla których wykorzystywał nowe formuły, lepsze i trwalsze niż te powszechnie używane w owym czasie.

I tak oto Giorgio nabrał zwyczaju wymykania się na wyspę Murano, gdzie spędzał długie godziny w towarzystwie starego mnicha, razem z nim rozwikłując tajemnice ludzkości w klasztornej bibliotece lub też w jego celi. I podczas gdy Fra Ambrosius plamił sobie jasny habit mieszankami i naparami, Giorgio po prostu przyglądał mu się z uwagą pilnego ucznia albo grywał mu na lutni, instrumencie, który dość dobrze opanował.

Jednego z tych dni, kiedy mistrz Bellini pozwolił mu wyjść wcześniej z warsztatu, Giorgio przepłynął lagunę. Gdy tylko znalazł się w San Michele, podszedł do niego Fra Ambrosius.

– Zorzi! – zawołał go tak, jak zwracali się do niego jedynie najbliżsi. Oblicze mnicha odbijało równie wielki niepokój jak słowa, które po chwili do niego skierował. – Niecierpliwie wyglądałem twojego przybycia, młody Zorzi. Mam ci coś niezwykle interesującego do pokazania. Pośpiesz się, chłopaku, chodźmy do mojej celi.

Mała, ciemna i zimna cela Fra Ambrosiusa śmierzdziała tak jak i mnich. Pozbawiona wszystkiego poza pryczą i krucyfiksem, wyglądała niemal jak wszystkie inne cele, gdyby nie stół zawalony flakonami, moździerzami i alembikami, które braciszek zdołał zebrać w jednym kącie. Miał nawet róg, rurę wodociągową zgodną z kanonami alchemii, choć prymitywną, i specjalny szklany pojemnik do przygotowywania mieszanek, nazywany przez staruszka jajem filozoficznym.

Mnich włożył klucz w zamek w pośpiechu i poruszeniu, które zdradzały niezdarność rąk i niespójne słowa nieustannie mamrotane w bezzębnych ustach. Prawdopodobnie przeżuwał jakąś modlitwę, jak gdyby zwracanie się do Pana naszego miało ukoić jego nerwy.

– Podejź! Podejź! – ponaglał chłopaka, z trudem unosząc siennik swojej pryczy.

Światło wpadające przez okienko, za ledwie szczelinę w grubym klasztorным murze, było niewystarczające, więc Giorgio postanowił zapalić świecę, zanim posłuchał niecierpliwego nalegania staruszka.

– Na Święty Krzyż Pana naszego Jezusa Chrystusa, chłopaku! Zostaw światło na potem i pomóż mi z siennikiem, te wiotkie palce ledwie mogą go utrzymać.

Giorgio bez kłopotu uniósł siennik i staruszek wsunął rękę, żeby pogrzebać w dziurze.

– Tu jest! Nie myślałem, że wepchnąłem go tak daleko, Boże. Trzymaj ten pergamin, Zorzi.

Fra Ambrosius odsunął się, robiąc miejsce swemu uczniowi, i obserwował go, nie przestając zacierać rąk w szerokich rękawach habitu.

– Oto on! Połóż go tutaj, na stole – nakazał mu, jednym gestem hałaśliwie zrzucając z blatu wszystkie swoje instrumenty. – Popatrzmy... Był tutaj. Ledwie widać, że jest w środku, jakby z upływem czasu pergamin go połknął i zachował w tym kształcie przed ciekawskimi spojrzzeniami.

– Co to za pergamin, bracie?



– Ach, pergamin to nic... To jakaś kronika wojen diadochów. Zresztą dość mierna. Ale kopia jest nie najgorsza: dobra kaligrafia i piękne ilustracje. Pewnie na tym zasadza się jej wartość...

Giorgio zachował milczenie, mimo że nie pojmował zbyt dobrze zamiarów Fra Ambrosiusa ani powodów jego podekscytowania. Jednak młodzieniec wiedział, że przy odrobinie cierpliwości wcześniej czy później doczeka się wyjaśnienia; mnich był typem człowieka, który mówi wiele, gdy inni milczą, oraz milczy, gdy inni mówią.

– Musi być w bibliotece zaledwie od kilku miesięcy, bo nigdy wcześniej go nie widziałem. A ja doskonale wiem, co jest w bibliotece, nie tak jak inni. Brat bibliotekarz mówi, że przyszedł wraz ze skrzynią manuskryptów przekazanych przez jakiegoś pożyczkodawcę. Lichwiarze czasem tak robią: kiedy czują, że zbliża się pora uregulowania rachunków, chcą zyskać odkupienie i pojednać się ze Sprawiedliwym pośród sprawiedliwych. Niemal mógłbym przysiąc, że przyjechał z Konstantynopola. Może jako łup po splądrowaniu miasta przez wojsko boże podczas wyprawy krzyżowej przeciw niewiernym w 1204 roku, a może jest młodszy: z czasów, kiedy to brat Aurispa wyładował tu w Wenecji z ogromną kolekcją greckich manuskryptów ze Wschodu i musiał wiele z nich oddać jako zapłatę za transport...

Mówiąc, Fra Ambrosius z największą pieczołowitością rozwijał pergamin. Garbowana skóra trzeszczała niebezpiecznie, jakby miała się rozerwać, niezdolna do udźwignięcia brzemienia lat.

– Oto jest! Mój młody przyjacielu! – wykrzyknął, unosząc tryumfalnie niewielki przedmiot, którego Giorgio nie zdołał rozpoznać, dopóki nie trafił w jego ręce.

Chodziło o walec o wysokości kilku i o średnicy dwóch centymetrów, wykonany z przezroczystego kamienia w kolorze czerwonopomarańczowym; domyślił się, że to karneol. Najbardziej jednak rzucało się w oczy to, co było wyrzeźbione na walcu od góry do dołu.

– Karneolowy walec – potwierdził Fra Ambrosius. – Tekst wydaje się antyczną greką, koine. Bóg jeden wie, jak długo był zawinięty w ten pergamin.

Sprawdziwszy, że milczący uczeń ogląda walec ze wszystkich stron i nie ma nic do powiedzenia na jego temat, Fra Ambrosius wyrwał mu go zniecierpliwiony i postawił na stole w świetle świecy.

– Karneol jest magicznym kamieniem, odpędza słabość i daje odwagę. Ma wielkie właściwości lecznicze, jest dobry na krążenie, dżiasta i inne tkanki miękkie organizmu. Dla Egipcjan miał wielką wartość symboliczną. To kamień Panny. Kamień Hermesa... – Mnich przestał modulować głos, aby nadać swoim słowom posmak tajemnicy; „s” w Hermesie przeszło w przeciągły syk, zapowiadając coś istotnego.

– Hermes?

– Chłopaku, na moją wiarę, Bóg chyba poskąpił ci krwi w żyłach. Tak, Hermes! Hermes Trismegistos! Trzykroć Wielki! Najmądrzejszy w całych dziejach! Ojciec alchemii i hermetyzmu!

– Wiem o tym, *frater*. Nauczyłeś mnie wszystkiego o Hermesie Trismegistosie. Ale nie wiem, jaki związek może mieć ów mędrzec z tym walcem.

Staruszek jeszcze bardziej zmarszczył swe pomarszczone oblicze, aż jego niewielkie oczy znikły w waleczkach skóry.

– Ja też tego nie wiem, mój synu. Ale jestem przekonany, że jakiś związek istnieje... – wyszeptał ku wielkiemu zdumieniu Giorgia.

– Co mówi tekst?

– Przyznaję, że nie byłem w stanie go zinterpretować. Jest bardzo zniszczony upływem lat, a moje stare oczy niezbyt dobrze go widzą. Tych kilka fragmentów, które byłem w stanie

przetłumaczyć, nie ma sensu. Jakby każdy z nich był oderwany od pozostałych. Niemniej pomiędzy słowami pojawia się jedno imię... Imię bardzo ważne! *Megas Makedonios*. Wielki Macedończyk. Sam Aleksander! Chodzi o wskazówki, tropy, które skłaniają mnie do podejrzeń, że stoimy w obliczu wielkiego odkrycia! – wykrzyknął mnich w ogromnym podnieceniu. Podnieceniu, które w jednej chwili się rozplynęło. – A może nie... Może to tylko jakiś tam zwyczajny walec. W dawnych czasach wyprodukowano tysiące podobnych. Już w Mezopotamii były dość pospolitymi przedmiotami, używanymi jako pieczęcie i amulety, potem w Persji, Asyrii, Egipcie... Świat jest pełen walców, dlaczego ten miałby należeć do Aleksandra?

Fra Ambrosius mamrotał i dywagował w powolnym rytmie swoich kroków, aż w końcu opadł na pryczę, wyrzucając w powietrze potężną chmurę pyłu oraz skrzypnięcie słomy i desek. Witalność braciszka pojawiała się falami, krótkimi chwilami zwycięstwa nad starością. I tak samo jak się pojawiała, odchodziła, a on zostawał wyczerpany.

W pomieszczeniu zaległa cisza, cisza przejmująca, którą Giorgio odnajdował jedynie w świętych miejscach. Gdy stał z walcem na dłoni, do głowy przychodziły mu setki pytań, których nie potrafił ubrać w słowa.

– Jestem już żalonym bezużytecznym starcem, żywym umysłem uwięzionym w worku obumierających kości. Już nie raz potrzebowałem twoich oczu i uszu, twoich silnych rąk i krzepkich ramion, młody Zorzi. A teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję, żebyś zastąpił moje ułomne ciało.

Giorgio słuchał Fra Ambrosiusa, nie do końca rozumiejąc, dokąd zmierzają jego słowa.

– Musisz zawieźć walec do Florencji, do Akademii. Tam spotkasz się z ojcem Ficinem, Marsiliem Ficinem, moim starym przyjacielem. Tylko on może pomóc nam rozwikłać sekrety zawarte w tym przedmiocie, jeśli są tu jakieś sekrety.

– Ale o jakie sekrety ci chodzi, *frater*?

Braciszek pogardliwie machnął ręką. Giorgiowi wydawało się, że w niektórych sytuacjach ten człowiek naprawdę zachowywał się, jakby postradał zmysły, biedny stary wariat.

– Ech! Przypuszczenia, przypuszczenia... To tylko przypuszczenia! – Fra Ambrosius zwrócił w jego stronę pomarszczoną jak figa twarz o bezzębnych ustach i Giorgia owionął śmierdzący cebulą oddech. – Nie powiem ci, Zorzi!... To mroczne sekrety, może zła wróżba... Świat jest przeżarty grzechem. – Braciszek przeżegnał się. – Tak... wyjawianie podobnych sekretów może przynieść tylko zły omen. Rób, co ci każe, i nie próbuj dowiedzieć się więcej. Nie bierz na ramiona ciężaru, którego nigdy nie będziesz w stanie udźwignąć...

Tak jak nakazał stary mnich alchemik, Giorgio z Castelfranco wyruszył pewnego wiosennego poranka do Florencji, zabierając ze sobą karneolowy walec oraz list do ojca Marsilia Ficina. Fra Ambrosius opowiedział mu, że Ficino jest jednym z największych współczesnych filozofów. Pod opieką Medyceuszów jeszcze od czasów Kosmy Starszego, stał się jednym z twórców Akademii wzorowanej na Platońskiej, w której to erudyci zbliżeni do dworu znamienitej florenckiej rodziny zbierali się, aby prowadzić dysputy nad filozofią i literaturą, w szczególności nad Platonem. Nie na darmo Ficino przetłumaczył z greki jego dialogi i miał siebie za zażartego obrońcę platońskich prądów. Jednak Fra Ambrosius w swej relacji kładł nacisk na związki Ficina z hermetyzmem. „Kosma Starszy był wielkim miłośnikiem rzeczy rzadkich – powiedział. – Wysyłał agentów na wszystkie strony świata w poszukiwaniu manuskryptów i skarbów starożytności. Kiedy ojciec Ficino był bardzo młody, jakiś mnich przyniósł Kosmie greckie manuskrypty, pochodzące z Macedonii, tak zwany *Corpus hermeticum*, kompilację najważniejszych tekstów poświęconych wiedzy klasycznej oraz podstawom nowoczesnej alchemii. Patriarcha Medyceuszów nakazał Marsiliowi odłożyć pracę nad przekładami tekstów Platona i skupić się na Korpusie, gorąco pragnąc, aby prace zostały

ukończone przed jego śmiercią. Tak wielką wagę przypisywał Kosma wiedzy Hermesa na chwilę przed swoją śmiercią”.

Ledwie dotarłszy do Florencji, Giorgio udał się do willi Careggi, siedziby Akademii, gdzie miał się spotkać z ojcem Ficinem.

Duchowny oczekiwał go w pokoju przyjęć, odczytał list Fra Ambrosiusa i jęła go trawić ciekawość, co też takiego wpadło w ręce tego starca, tak mądrego, jak stukniętego.

– Przejdźmy się podczas rozmowy – zasugerował *pater* Ficino. – W ten sposób będziemy mogli się cieszyć tym wspaniałym darem bożym, którym jest słońce willi Careggi.

Giorgio odniósł wrażenie, że przekroczył progi raj, gdy spacerował po imponującej budowli i ogrodzie otulającym willę, która wyglądała jak forteca i strażnica tokańskich równin. Wydało mu się, że nigdy wcześniej nie widział światła, nawet w klasztorze San Michele. Przekonał się, że światło rodzi się właśnie w willi Careggi i stamtąd rozsiewa się na resztę świata. Owego wiosennego poranka światło padało na rzeźby w ogrodzie; wprawiało w barwne lśnienie wszystko, czego dotknęło; wzbudzało złote refleksy na skrzydełkach owadów; rozpraszało się w kroplach wody przy fontannach; bawiło się w ciemno–jasno niczym dzieci w chowanego; wytryskało ze wszystkich możliwych kryjówek; wpływało i wypływało strumieniami spod arkad loggii; twardo osiadało na ziemi i słodko na trawie. Było żywe! Giorgio czuł się oszołomiony w obliczu piękna tego spektaklu; niezdolny do uchwycenia wszystkich odcieni w jednej chwili. Chciałby mieć oczy ważki, aby ogarnąć całe to piękno.

Ponadto w willi Careggi mieszkała sztuka. Gdziekolwiek młodzieniec zwrócił wzrok, znajdował sztukę w całym jej splendorze. Przeszedł tamtędy Donatello, Leonardo da Vinci, Botticelli, bo zawsze jakiś młody artysta znajdował się pod opieką Wawrzyńca Medyceusza. W każdym zakątku, do którego dotarł z Ficinem, natykał się na jakiegoś szczęśliwca przesuującego pędzlem po płótnie w towarzystwie owego światła, więc samego Giorgia zaczęły świerzbic ręce, jakby błagały go, żeby wyciągnął paletę i zaczął mieszać farby, chwycił pędzle i utrwalił wszystko, co go otacza. Jednak najsilniej przyciągnęła jego uwagę scena rozgrywająca się u wejścia do jednej z szop: zmaganie się mężczyzny z kamieniem, operującego dłutem z taką maestrią, że skała bezwarunkowo kapitulowała wobec jego rąk, i bardziej niż rzeźbić, zdawał się ją oswajać, modelować, jakby była gliną. Ficino zwrócił się do tego młodzieńca, nazywając go Michelangelo.

Wszystkie te cudowności, wszystkie te podniety, które dla chłopca równały się spacerowi po niebiosach, nie pozwoliły mu zwracać należytej uwagi na rozmowę z Marsiliem Ficinem. Nie pozwoliły mu dostrzec podniecenia w oczach duchownego, gdy trzymał w rękach karneolowy walec, ani entuzjazmu zdradzanego przez drżenie głosu w chwili, gdy umawiał go na spotkanie z samym księciem Florencji, Wawrzyńcem Medyceuszem. Te drobiazgi pozostały niezauważone, gdyż Giorgio był oślepiiony światłem willi Careggi.

Powrócił nazajutrz, równie pobudzony jak przestraszony myślą o stanięciu przed wielkim Wawrzyńcem Medyceuszem.

Książę był nie tylko mecenasem sztuki i nauki, sam także był erudytą, estetą, człowiekiem rozmiłowanym w filozofii, poezji, muzyce i w każdej formie wyrazu artystycznego i intelektualnego. Praktycznie wychował się i wykształcił w willi Careggi, w otoczeniu najmądrszych ludzi epoki, i wraz z nimi dyskutował jak równy z równym na poziomie intelektualnym, nie tylko jako patron.

W jednym z salonów willi, przy popiersiu Platona, który przewodniczył wszystkim posiedzeniom swoich prozelitów, w świetle świec, wszak była noc, Giorgio poznał Wawrzyńca Medyceusza, siedzącego w fotelu jak na tronie, z nogami ułożonymi na podnóżku dla ulgi w podagrycznych bólach. Korpulentny, ubrany w kaftan i brokatową kurtę, odzież jeszcze

bardziej przydającą mu ciała, na głowie nosił *mazzochio*, tkaninę zawiązaną jak turban, z jednym końcem opadającym z boku. Jego wygląd był imponujący, albo przynajmniej tak się wydawało Giorgiowi z perspektywy jego ledwie szesnastu lat i niewielkiego doświadczenia. Nieustępliwa twarz o posępnej minie wyrażała wielką osobowość i wielkie zdecydowanie. Tak więc Wawrzyniec z Medyceuszów sprawił, że Giorgio czuł się mały i nic nieznaczący, a nawet wzbudził w chłopaku nabożną cześć.

Władca siedział w otoczeniu dwóch spośród swoich największych przyjaciół i współpracowników: Marsilia Ficina i hrabiego Giovanniego Pico della Mirandoli. Pierwszy miał na sobie czerwone szaty duchownego, zmarszczki na jego twarzy zdradzały, że jest starszym człowiekiem. Poza tym na obliczu tego wielkiego mędrca nie sposób było dostrzec żadnej emocji. Dla odmiany jego uczeń, Giovanni Pico, od razu zwrócił na siebie uwagę chłopaka. Hrabia della Mirandola był młody i atrakcyjny – piękno było cechą, obok której spojrzenie artysty Giorgia nigdy nie przechodziło obojętnie – może odrobinę zbyt kobiecy, co pozostawało w niezgodzie z jego sławą człowieka zuchwałego i popędliwego. Ledwie od dwóch dni przebywał we Florencji, a już kilkakrotnie dotarły do niego wieści o hrabim. Mimo młodego wieku Giovanni Pico już dwukrotnie znalazł się w więzieniu. Za pierwszym razem w związku z porwaniem żony jednego z kuzynów Medyceuszów, czyli udziałem w skandalu ze spółniczkami, który nieomal przypłacił życiem i z którego mógł go wywikłać tylko Wawrzyniec. Za drugim razem za herezję, po sprowokowaniu Kościoła pewnymi nazbyt ryzykownymi tezami filozoficznymi. Ponownie książę musiał pospieszyć z pomocą. Mimo to hrabia della Mirandola był jednym z najbardziej szanowanych uczonych w klasycznej filozofii, ekspertem od Arystotelesa i Platona, znawcą kabaly i hermetyzmu, astrologiem...

– Pokaż mi, Giorgio z Castelfranco, co przywiozłeś z Wenecji.

Polecenie Wawrzyńca Medyceusza, sformułowane potężnym głosem i autorytatywnym tonem wielkich władców, zniecierpliwienie wyrwało go z rozmyślań i wprawilo we wstydlive drżenie łydek. Usiłując nad nim zapanować, podszedł do księcia Florencji i podał mu walec zamknięty w spoczonej dłoni. Przez chwilę, z powodu niezręczności, w jaką wprawiało go to spotkanie, Zorzi przeklinał godzinę, w której Fra Ambrosius omamił go podobną podróżą.

Wawrzyniec przyjrzał się walcowi, jeszcze bardziej niż zwykle marszcząc brwi; nie była to oznaka niezadowolenia, lecz prawdziwego zainteresowania. Następnie bez słowa wsunął rękę pod koszulę i wyciągnął przedmiot, który nosił zawieszony na szyi – Giorgiowi wydało się, że jest niezwykle podobny do jego walca. Silnym szarpnięciem książę zerwał cienki rzemień i położył oba walce na dłoni. Marsilio Ficino i Pico della Mirandola spojrzeli ponad ramionami swego patrona, aby zobaczyć, czemu się tak przygląda.

– *Madonna mia...* – podsumował Ficino.

– Gdzie mówisz, chłopaku, że to znalazłeś? – chciał się upewnić książę.

– Naprawdę znalazł to mój mentor, mnich Ambrosius, w bibliotece klasztoru San Michele na Murano. Odkrył to w starym pergaminowym zwoju, który był pośród manuskryptów ofiarowanych klasztorowi przez jakiegoś pożyczkodawcę.

– Stary pergaminowy zwój? Co to był za pergamin?

– Napisana po grecku kronika wojen diadochów, panie. Fra Ambrosius uważa, że może pochodzić z Konstantynopola.

– Wawrzyńcu, wiarygodne ustalenie jego pochodzenia jest prawie niemożliwe.

Najbardziej niepokojące jest podobieństwo pomiędzy nimi – zauważył Ficino.

– Podejź, Giorgio, i popatrz na to – rozkazał Wawrzyniec, pokazując mu przedmioty na dłoni.

Chłopiec popadł w zachwyt. Walce wyglądały tak, jakby jeden był kopią drugiego. Tej

samej wielkości, wykonane z tego samego materiału – karneolu. I chociaż greka była mu obca, stwierdził, że wyryte na nich symbole należą do tego samego języka. Giorgio nie wiedział, co powiedzieć, żeby nie wyjść na głupca, więc wolał zachować milczenie.

– Ten walec, który jest moim amuletem, należał do mojego dziadka, Kosmy. Mniej więcej czterdzieści lat temu sprzedał mu go jakiś najemnik z północnej Afryki. Najemnik opowiadał, że odebrał go Beduinowi, wcześniej poderżnąwszy mu gardło. Przed śmiercią Beduin chwalił się, że ukradł go koptyjskiemu mnichowi podczas plądrowania klasztoru Świętego Pawła nad Morzem Czerwonym, i zapewniał, że to bardzo cenna egipska relikwia, bo mnich bronił jej aż do śmierci. Jednakże nie zdołano odczytać zapisanej na niej wiadomości, słowa wydają się bez sensu. Sam z siebie ten walec to tylko ładna relikwia, piękny amulet... Ale już nie jest sam, teraz są dwa, i legenda nabiera kształtu.

– Przyjrzałeś się napisowi, o którym ci mówiłem?

– Rzeczywiście, Marsilio – odpowiedział Wawrzyniec. – *Megas Makedonios*. Być może tajemnica Aleksandra Macedońskiego nie zesła wraz z nim do grobu...

Ostatnie słowa Wawrzyńca Medyceusza zawisły nad głowami zebranych, nim rozplynęły się w powietrzu, szepcząc wnioski dla nich oczywiste, ale dla Giorgia pozostające sekretem.

– Wziąłeś pod uwagę to, że możemy mieć do czynienia z falsyfikatem? – po raz pierwszy wtrącił się hrabia della Mirandola.

Wawrzyniec poruszył się na fotelu i poprawił ułożenie spuchniętych stóp. Nie można było stwierdzić, co bardziej go męczyło: podagra czy słowa hrabiego.

– Oba mogą nimi być. Ale czy z tego powodu mam lekceważyć oba? Czy mam przepuścić okazję do osobistego potwierdzenia prawdziwości tych walców i ich legendy? Byłbym głupcem. Wiele razy słyszałeś, jak mawiałem, kochany Pico, że prawdziwa wiedza polega na czekaniu i wykorzystywaniu okazji. Ten walec czeka pod koszulą Medyceusza od czterdziestu lat; okazja nadarza się teraz. Choćby istniała tylko znikoma możliwość, że oba te przedmioty skrywają wielką tajemnicę, choćby była niemal nieprawdopodobna, czuję się zobowiązany wziąć ją pod uwagę, bo gdy się sprawdzi, staniemy w obliczu największej tajemnicy wszech czasów. A jeśli boska Opatrzność zechciała, żeby te walce znalazły się razem w dłoni Medyceusza, zatem także Medyceusz rozwiąże ich zagadkę. A w tym celu, moi przyjaciele, chciałbym liczyć na waszą pomoc.

– Doskonale wiesz, Wawrzyńcu, że ją masz – oznajmił Marsilio Ficino, na co Pico della Mirandola przytaknęła z absolutnym zdecydowaniem.

W kącikach ust Wawrzyńca Medyceusza pojawił się cień uśmiechu zadowolenia. Z pewnością był pewien lojalności swoich przyjaciół.

– Powinniście skupić się na pracy nad odczytaniem wiadomości zawartej w walcach. Kiedy ją odczytamy i jeśli potwierdzimy, że mogły należeć do Aleksandra Wielkiego, zniszczymy je.

– Zniszczymy? – hrabia della Mirandola chciał się upewnić, że dobrze usłyszał.

– Zniszczymy. Gdy są razem, sekret już nie jest bezpieczny.

– Ale jeśli je zniszczymy, wiadomość przepadnie na zawsze. Jakie mamy prawo niszczyć coś, co jest spuścizną całej ludzkości? – sprzeciwił się młody hrabia.

– Nie bądź uparty, Giovanni. Znowu pozwalasz się ponieść bezmyślnemu impulsowi. Ja nie mówiłem o zniszczeniu wiadomości, mówiłem o zniszczeniu walców. Co do wiadomości, będziemy musieli się zastanowić, w jaki sposób zaszyfrować ją ponownie równie dobrze albo lepiej jeszcze, niż to obmyślił Aleksander.

Po słowach Wawrzyńca zaległa niezręczna cisza, jak zwykle w sytuacji, gdy przedstawiony zostaje problem, dla którego nie istnieje zakładane z góry rozwiązanie.

Do tej chwili Giorgio bezmyślnie przysłuchiwał się dyskusji, jak widz mało zaangażowany w odgrywaną sztukę – mówili tajemnym językiem o sekretach i legendach, które znali chyba doskonale, ale które jemu były obce. Skoro jednak walce zmieniły humor samego Wawrzyńca Medyceusza, było jasne, że nie chodzi o żadne szaleństwo ani o fantazje starego Ambrosiusa, więc teraz już Giorgio umierał z ciekawości, żeby poznać wielką tajemnicę. Postanowił zdobyć się na odwagę, aby przełamać barierę dyskrecji, za którą się schował, i przystąpić do walki.

– Przepraszam, panie... – zaczął.

Wszyscy trzej mężczyźni wbili w niego wzrok, jak gdyby zapomnieli, że towarzyszy im jeszcze jedna osoba. Giorgio zorientował się, że znów trzęsą mu się łydki.

– Nie martw się, Giorgio z Castelfranco, nie zapomniałem o tobie. Brat Ambrosius i ty otrzymacie sprawiedliwą zapłatę za walec i za wasze zaufanie...

– Nie, panie, proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie chciałem mówić akurat o tym...

Wawrzyniec uniósł brew.

– Jeśli pozwolicie, panie, chociaż nie znam natury i treści tajemnicy, o której mówicie, sądzę, że znam sposób, jak ukryć tę wiadomość.

– Mów, chłopcze – zachęcił go książę. – Co to za sposób?

I Giorgio jął wyjaśniać, wierząc, tak jak wierzył Wawrzyniec, że słowa wypowiedziane w tym salonie nie wyjdą poza jego ściany. Żadnemu nie przyszło wtedy do głowy, że czasem głosy mogą się wymknąć przez najmniej widoczne szpary. I ulecieć.

Od tego spotkania upłynął niemal rok. Rok, który Giorgio spędził w willi Careggi, gdzie pracował razem z Marsiliem Ficinem i Pico della Mirandolą nad przekładem wiadomości z walców i ich ponownym zaszyfrowaniem.

Wspomnienia młodości przestały płynąć i przed jego oczyma na nowo pojawił się niedokończony obraz. Ściągnął go ze sztalug, oderwał płótno z blejtramu, ostrożnie je zwinął i schował w skórzanej tubie, aby je ochronić podczas podróży. Wtedy pierwszy raz odczuł smutek na myśl, że opuszcza to miejsce. Szybko jednak przekonał sam siebie, że najrozsądniej będzie wrócić do Wenecji. Jedynie ojcu Marsiliowi i hrabiemu Pico zostawi wiadomość, dokąd się udaje, a kiedy jego praca zostanie ukończona, powróci do nich.

Być może sekret walców kosztował życie Wawrzyńca Medyceusza... Być może wszyscy znający sekret, tak jak on, są w niebezpieczeństwie... „Nie bierz na swe barki ciężaru, którego nigdy nie będziesz w stanie udźwignąć”. Powinien był usłuchać mądrych słów Fra Ambrosiusa. Teraz było już za późno. Teraz nie miał innego wyjścia, tylko zarzucić płótno na swe wątle plecy i powlec ten ciężar po drogach mroku, wlec go po kres swoich dni.

\* \* \*

*Las gierłowski, Prusy Wschodnie*

*23 sierpnia 1941*

Adolf Hitler zamknął drzwi za ostatnią osobą, z którą tego popołudnia miał odprawę, przesunął ręką po grzywce, raczej w maniackim geście, niż żeby ją poprawić, i zgasił górne światło. Mały i funkcjonalny spartańsko urządzony pokój, który czasami służył mu za gabinet, pogrążył się w delikatnym świetle i Führerowi wydał się nawet nieco przytulny. Podszedł do krzesła stojącego za stołem i wtedy usłyszał nieprzyjemne brzęczenie; jednym uderzeniem ręki zdusił komara latającego przy jego policzku. Gdyby nie te ohydne owady, Wolfsschanze, Wilczy Szaniec, byłby fantastycznym miejscem. Skoro jednak schronienie znajdowało się w głębokim, ciemnym lesie, w gorące wieczory komary pojawiały się chmarami i atakowały Führera, za nic mając wszystkie znakomite i niezawodne sposoby ochrony przed nimi, i usiłowały pożreć go

żywcem. Hitler nie przejmował się tak bardzo samolotami RAF-u, jak tymi niezmordowanymi krwiopijcami.

Führer przeniósł się do Wilczego Szańca zaledwie przed kilkoma tygodniami, w okresie ataku na Związek Radziecki, który nazwał Operacją Barbarossa. Wilczy Szaniec był miejscem niebywale bezpiecznym, za sprawą samego ukształtowania terenu i dzięki fortyfikacjom; ponadto znajdował się bardzo blisko granicy radzieckiej, co czyniło go idealną siedzibą dowództwa do kierowania tą operacją, która ostatecznie miała wziąć komunistów pod but Trzeciej Rzeszy. Po eksterminacji Żydów, masonów i bolszewików, po uciszeniu i podporządkowaniu sobie kapitalistycznych rządów Zachodu Adolf Hitler będzie rządził światem na swój sposób... A jeśli ten raport, który dziś rano dotarł do niego z Berlina, zawierał to, czego się spodziewał, być może jego szczęście ziści się wcześniej, niż zakładał.

Kiedy już uwolnił się od natrętnego brzęczenia, Hitler zatrzymał wzrok na jedynej teczce, z którą jeszcze dzisiaj musiał się zapoznać i którą zostawił sobie na koniec, niczym kieliszek dobrego koniaku na zakończenie wielkiego obiadu. Usiadł na krześle, ułożył nogi na stole, poluźnił krawat i otworzył teczkę przyslaną z centralnego biura Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg, Sztabu Operacyjnego Rosenberga w Berlinie. Teczka nie zawierała zbyt wielu dokumentów, były tam zaledwie trzy kartki: raport eksperta, który przeprowadził badania, i list.

Zdecydował się rozpocząć od pisma. Badacze z Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg znaleźli go w prywatnej bibliotece jakiejś żydowskiej rodziny z Krety, ukryty pośród stron starego pamiętnika. Oryginał napisany po łacinie opatrzony był tłumaczeniem na niemiecki. Chodziło o cenny dokument historyczny z XV wieku, którego autorstwo przypisano Giovanniemu Pico della Mirandoli – ów zwracał się do swojego mistrza i przyjaciela, żydowskiego filozofa Eliasza Delmedigo, w odpowiedzi na inne pismo, które tamten przysłał mu był uprzednio. Hitler rozpoczął lekturę: „Willa Careggi, Florencja, 15 listopada 1492”.

W miarę czytania na twarzy Führera wykwitał uśmiech, niemal nieuświadomiony grymas, przejaw trudnego do pohamowania zadowolenia. Kiedy skończył czytać dokument, bez wahania chwycił słuchawkę telefonu i zażądał połączenia z Berlinem; należało wezwać do Wilczego Szańca Heinricha Himmlera i jak najszybciej odbyć z nim ściśle tajne spotkanie.

\*

## LIST PEWNEGO NAZISTY

Podczas gdy Konrad koncentrował się na ekranie iPhone'a, odpowiadając na e-mail, oparłam ręce na stole, żeby z prawdziwą rozkoszą podziwiać dzieło sztuki, które właśnie postawiono mi przed oczyma: opanowanie barwy i fakturę, kształty, proporcje, formę i światło odbijające się na każdej powierzchni w pozornie przypadkowej grze lśnienia i matu.

Ale nade wszystko zapach... Mmm, ten cudowny aromat czekolady najwyższej jakości. Zapach poruszający najbardziej zmysłową część mojego mózgu. Jestem humanistką i nie mam najmniejszego pojęcia, jak nazywa się ten ośrodek mózgu, wiem tylko, że zapach czekolady podnieca mnie naprawdę potężnie. Fondant z Jawy z siedemdziesięciopięcioprocentową zawartością kakao i lody kardamonowe... Nic, doprawdy nic na świecie nie byłoby w stanie dorównać temu deserowi. Nie miało znaczenia, że Rafa, kucharz, co roku wysiłał się, żeby zmienić menu w Aromie, najmodniejszej restauracji w Madrycie – ja zawsze prosiłam o ten sam deser.

– Nie spróbujesz?

Nie unosząc głowy znad talerzyka, odpowiedziałam:

– Już próbuje. Nie zakłócaj mojego rytuału. Rozkoszowanie się tym deserem zaczyna się od podniety wzrokowej i węchowej. Nigdy tego nie zrozumiesz – zakończyłam arogancko.

Rzeczywiście Konrad był ofiarą przekleństwa, polegającego na możliwości obejścia się bez deseru. W sumie zwykle kończył jedzenie, popijając czerwone wino. Powoli sączył kieliszek starego wina, podczas gdy ja znaczyłam kąciki swoich ust czymkolwiek, co było słodkie.

– No to dzisiaj byłoby lepiej, żebyś skróciła swój rytuał. Chcę ci coś pokazać i nie chcę, żebyś poplamiała to czekoladą, *meine Süße*.

*Süße*, ukochana, ale i słodczy, tak nazywał mnie Konrad i nietrudno było się domyślić dlaczego.

To prawda, że już na samym początku przestrzegł mnie, że będzie to obiad biznesowy. Rozmawialiśmy przez telefon bardzo wcześnie, kiedy on czekał w Monachium na samolot do Madrytu. I jak co piątek umówiliśmy się na kolację; Konrad zadzwonił do Alberta, szefa sali w Aromie, żeby zarezerwował mu jego stolik, ten w samym rogu, w najbardziej intymnym miejscu w restauracji. Wszystko działało się jak zwykle, tyle że tym razem był to obiad biznesowy. Rzecz jasna pomyślałam, że sobie żartuje; był Niemcem i miał specyficzne poczucie humoru.

Pochłonięcie deseru nie zajęło mi wiele czasu, a kiedy jeszcze smakowałam jego wspomnienie, przyniesiono kawę i talerzyk *petits fours*.

– Co robisz, Ano?

– Zabieram kilka dla Teo. Wiesz przecież, że uwielbia tutejsze *petit fours*.

– Ależ, *meine Süße*, nie musisz ich chować do torebki, jakbyś je kradła! Poproszę Alberta, żeby ci ich kilka przygotował. Zostaw je. Przestań już jeść i dobrze wytrzymaj ręce.

Zrobiłam to, co kazał mi Konrad, choć nie podobało mi się, że od czasu do czasu traktuje mnie jak dziewczynkę. To prawda, że był ode mnie starszy o prawie dwadzieścia lat, ale to nie usprawiedliwiało jego paternalizmu – skoro byłam dość dorosła, żeby być jego dziewczyną, to na wszystko inne też. Albo przynajmniej tak mi się wydawało.

– Rzuć na to okiem – poprosił mnie, szukając czegoś w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Podał mi plik papierów. Natychmiast zdałam sobie sprawę, że są stare: były pożółkłe i wystrzępione, a rozkładano je i składano tyle razy, że istniało niebezpieczeństwo przedarcia ich na zgięciach, jak długo używanej mapy. Rzuciłam na nie okiem i stwierdziłam, że jest to napisany na maszynie list.



– Konrad, kochanie, to jest po niemiecku.  
– Przecież czytasz trochę po niemiecku.  
– Nie po koktajlu i połowie butelki wina. Och, na Boga, skróćmy to, po prostu powiedz mi, co tam jest napisane.

– Nie bądź leniwa, przeczytam go z tobą.

Przysłałam na to, zaciskając zęby, między innymi dlatego, że dyskusowanie z nim było bezskuteczne i wyczerpujące. Ostrożnie rozłożyłam list na stole, dokładnie pośrodku. Na białym obrusie wydawał się jeszcze starszy i jeszcze bardziej pożółkły.

Wewelsburg

2 grudnia 1941

Kochana Elsie,

Mam nadzieję, że gdy dostaniesz ten list, zarówno Ty, jak i mała Astrid będziecie miały się dobrze.

Niestety nie mogę wrócić do domu po mojej podróży do Włoch, jak Ci obiecałem. Sprawy bardzo się skomplikowały w ostatnich dniach i obowiązki związane z nową misją nie pozwolą mi na to. Mam jednak nadzieję na kilka dni przepustki podczas Bożego Narodzenia, żeby być przy Tobie, kiedy urodzi się nasze dziecko.

Po moich poszukiwaniach *Astrologa* Giorgionego Reichsführer Himmler upierał się, żebym jak najszybciej udał się do mojego nowego miejsca przeznaczenia w biurach Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg w Paryżu. Najpierw będę się musiał udać do Berlina na spotkanie z Hitlerem, który pragnie, abym osobiście poinformował go o przebiegu misji. Podkreślam raz jeszcze, nie chcę zawieść zaufania, które pokłada we mnie Führer.

Jutro rano otrzymam oficjalnie decyzję Himmlera o awansie na Sturmbannführera. Byłbym szczęśliwy, gdybyś tu ze mną była w chwili wręczania i podczas przyjęcia, które później zostanie wyprawione, ale rozumiem, że w Twoim stanie nie powinnaś podróżować. Zapewniam Cię, że w każdej chwili będziesz w moich myślach, kochana Elsie, jak zwykle, szczególnie w najważniejszych momentach mojego życia.

Kiedy urządzę się w Paryżu, postaram się do Ciebie zadzwonić, żeby usłyszeć Twój słodki głos. Tymczasem pamiętaj, że Cię kocham i tęsknię za Tobą. Także za małą Astrid. Przekaż jej wiele buziaków i uścisków ode mnie i powiedz, że jest moją śliczną dziewczynką. Uważajcie na siebie obie i uważaj na dziecko, pragnąłbym położyć rękę na Twoim brzuchu i poczuć, jak kopie.

Z całą moją miłością

GEORG

PS Przygotuj mi, proszę, walizeczkę z odrobiną ubrań i mundurem, którą zostawiłem w domu. Ktoś po nią przyjdzie, żeby zabrać ją do mojego nowego miejsca przeznaczenia.

Chociaż skończyłam czytać, przez chwilę przyglądałam się listowi. Czułam się niezręcznie, jakbym wtargnęła z butami w czyjeś osobiste sprawy, jakbym weszła do sypialni jakiegoś małżeństwa i ukradkiem podsłuchiwała.

– Nieźle, co? – Konrad przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

Konrad uśmiechnął się szelmowsko.

– Cóż, mam dobre źródła. Kilka osób grzebie na pchlich targach, poddaszach i w antykwariatach albo w moim imieniu licytuje rzadkie rzeczy. Wiesz przecież, że jestem

zapalonym kolekcjonerem.

W istocie wiedziałam o tym. Konrad był prawdziwym maniakiem sztuki i starożytności, który w dodatku mógł sobie pozwolić na niebywale kosztowny nałóg kupowania ich. Tak naprawdę posiadał jedną z największych kolekcji sztuki w Europie, szczególnie malarstwa. Nie mówiąc już o tym, że to sztuka chyba nas ze sobą połączyła.

Spojrzałam znów na list, list nazisty; papier, którego dawno temu dotykały jego ręce, i słowa napisane pod dyktando jego nazistowskiego umysłu. Włos się jeżył na głowie.

– To list jakiegoś nazisty – taka była moja pierwsza ocena, chociaż wiedziałam, że nie tego oczekiwał Konrad.

– Wiem o tym.

– Co oznacza Sturmbannführer?

– Major. Comandante według szarzy hiszpańskiej. Major SS.

– No proszę. Nie dość, że nazista, to jeszcze z SS. Bardzo ładnie!

– Wiem, o co ci chodzi, i rzeczywiście jest możliwe, że był fanatykiem, kryminalistą i mordercą Żydów. Większość z nich była, a współczesne imaginarium przynosi nam ideę, że tacy byli wszyscy: kino, telewizja, literatura... demonizują ich. Ale SS była organizacją znacznie bardziej złożoną.

– Chcesz ich usprawiedliwiać?

– Zabrakłoby mi argumentów. Chcę ci tylko wskazać, że fakt przynależności do SS nie czyni od razu z człowieka kryminalisty. Na przykład Waffen-SS było organizacją wojskową: wojsko, żołnierze, z wszystkimi tego zaletami i wadami. Byli żołnierze brutalni i kryminaliści, byli też tacy, którzy po prostu bronili swojego kraju z honorem, jak w każdym innym wojsku. Podczas procesu w Norymberdze większość żołnierzy z regularnych oddziałów Waffen-SS została uwolniona od wszelkich zarzutów kryminalnych, dzięki zeznaniom ich wrogów z pola bitwy.

Te słowa obrony kazały mi przypomnieć sobie, że mimo wszystko Konrad jest Niemcem i że obaj jego dziadkowie walczyli w drugiej wojnie światowej. Jego podejście mogło być dyskusyjne, ale na pewno było zrozumiałe.

– A kim był nasz przyjaciel Georg? Nazistą dobrym czy nazistą złym? Biorąc pod uwagę ten list, zdaje się mieć ludzkie uczucia...

Konrad pochylił się i głęboko westchnął.

– Och, Ano! Czy przyznasz wreszcie, że najbardziej twoją uwagę zwrócił obraz Giorgionego?

– Być może. – Z przyjemnością jeszcze trochę bym się z nim podroczyła.

– W porządku, skoro tobie fondant czekoladowy uderzył do głowy, ja zachowam powagę.

A jeśli Konrad potrafił coś robić naprawdę dobrze, to z pewnością zachowywać powagę. Zaczęłam więc myśleć, że to zaproszenie na kolację nie było takie samo jak co piątek, lecz rzeczywiście chodziło o obiad biznesowy.

– Ty jesteś ekspertem od Giorgionego i wiesz lepiej niż ja, że w żadnym katalogu na świecie nie istnieje jego obraz zatytułowany *Astrolog*.

Miał rację, że jestem ekspertem od Giorgionego. Mój doktorat z historii sztuki nosił tytuł: „Giorgio z Castelfranco, niejasny malarz epoki renesansu”.

– Tak, ale wiem też, że ze wszystkich katalogów malarzy katalogi Giorgionego są chyba najbardziej zmienne. To, co wczoraj nie było dziełem Giorgionego, bo brano to za dzieło Tycjana albo w ogóle nie wiadano, komu je przypisać, dziś jest Giorgionem. Wszystko przez jego manię niepodpisywania praktycznie żadnego obrazu. Na pewno nie wyobrażał sobie, ile pracy przysporzy przyszłym pokoleniom ekspertów.

– A zatem jest możliwe, że mamy szansę odkryć dla świata sztuki nowego Giorgionego, czy ty zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

Podchodziłam nieco sceptycznie do entuzjazmu Konrada. Praktyka zawodowa nauczyła mnie nie dowierzać żadnemu dokumentowi, który obiecuje wielkie znalezisko.

– Może chodzi o obraz Giorgionego już skatalogowany, któremu nasz przyjaciel Georg nadaje inny tytuł. Często się tak zdarza: *Trzej filozofowie* albo *Trzej królowie*, *Śpiąca Wenus* albo *Wenus drezdeńska*... Rzadko który obraz ma tylko jeden tytuł. Co więcej – naszło mnie nagle wspomnienie – o ile mi wiadomo, istnieje obraz zatytułowany *Piaskowy zegar*, znany także jako *Astrolog*, który przez jakiś czas przypisywano Giorgionemu, ale obecnie większość ekspertów uważa, że nie ma z nim nic wspólnego.

Konrad przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał, dlaczego ten list, o którym myślał z takim entuzjazmem, jest mi obojętny.

– Powiedz mi, że robisz za adwokata diabła – podsumował w końcu.

Ku mojemu zaskoczeniu Konrad, całkowite zaprzeczenie człowieka, który mógłby wzbudzać choć odrobinę żalu, na krótką chwilę wywołał we mnie współczucie. Wyglądał na naprawdę zawiedzionego.

– Przykro mi, kochanie – usprawiedliwiłam się, gładząc go po policzku. – Prawda jest taka, że świat sztuki to świat pełen blefów, wielkich odkryć, po których nic nie zostaje. Przyglądam się temu codziennie.

W tym momencie zatrzymał moją dłoń przy policzku.

– Czy mimo wszystko... nie uważasz, że warto by to sprawdzić?

Ponownie rzuciłam okiem na list.

– Ale ta informacja to za mało, Konradzie. Wiemy tylko tyle, że ten mężczyzna miał na imię Georg. Było pewnie tysiące nazistów o tym imieniu!

Jakby był z góry przygotowany na moje zastrzeżenia, przypuścił kontratak, pokazując mi kopertę z adresem nadawcy.

– Nazywał się Georg von Bergheim, Sturmbannführer SS Georg von Bergheim. Masz już człowieka z imieniem i nazwiskiem.

Westchnęłam, uznawszy się za pokonaną.

– Dobrze się nad tym zastanów, *meine Süße*, po co Hitler tak bardzo by się interesował konkretnym obrazem, kiedy miał wielką organizację rabującą dzieła sztuki w całej Europie?

\*

## ZWYCZAJNA DZIEWCZYNA

W zaledwie cztery lata moje życie obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Można by powiedzieć, że z Kopciuszka stałam się księżniczką, a mniej poetycko, że z budynku przemysłowego stałam się modnym lokalem. Sprawcą mojej przemiany był właśnie Konrad.

Konrad Köller należał prawdopodobnie do grona najbogatszych ludzi Europy. Prasa określała go jako niemieckiego przedsiębiorcę, w sposób bardzo niejasny klasyfikując kogoś, kto w zasadzie nie wiadomo czym się zajmuje, bo tak naprawdę zajmuje się wszystkim: telekomunikacją, transportem, budownictwem, turystyką, bankowością, farmacją... Mniej poważna prasa zwykle określała go raczej po tym, co posiada, niż po tym, kim jest: samochody, którymi jeździ, z tych, co to człowiek odwraca głowę, kiedy przejeżdżają; cudowne domy we wspaniałych miejscach; prywatny samolot, jacht, kolekcje sztuki oraz, jakżeby inaczej, kobiety. Podczas swych ponad pięćdziesięciu lat życia Konrad utrzymywał stosunki z długą listą kobiet, którą chwilowo zamykałam ja. Łamał przy tym większość schematów odpowiadających jego wiekowi: kawaler, wysportowany, atrakcyjny i niezmordowany jak dwudziestolatek, nawet bardziej niż większość znanych mi dwudziestolatków. A za to wszystko mógł być wdzięczny łaskawym genom, ale także osobistemu trenerowi oraz stylistyce, którzy dbali, żeby jego dieta była zdrowa, ćwiczenia odpowiednie, a odzież bez zarzutu.

Mając na względzie okoliczności, fakt, że zostałam dziewczyną Konrada, był dla mnie zaskoczeniem, a dla większości zdarzeniem niemal paranormalnym. Bo tak naprawdę byłam zwyczajną dziewczyną.

Zaczynając od samego imienia: Ana. Dobrze, że chociaż moja matka, roztrzepana Francuzka, postanowiła, że jej córki będą miały nazwiska połączone w jedno – García-Brest, co wygląda *chic* i *charmant*.

Mój wygląd też był zwyczajny: ani nie wysoka, ani nie niska, ani bardzo gruba, ani bardzo chuda, ani bardzo ładna, ani bardzo brzydka. Dopóki Konrad nie pojawił się w moim życiu, byłam jedną z tych kobiet, które nie mają żadnego problemu, żeby wyjść na ulicę bez makijażu; które nie przejmują się włosami – związywałam je gumką i sprawa załatwiona; które nieszczególnie interesują się modą – wkładałam cokolwiek, nie ryzykując zbyt wiele, żeby nie wyglądać na to, że się przebieram; kilogram w górę czy w dół też nie spędzał mi snu z powiek, bo chciałam czerpać przyjemność z jedzenia. Aż w moim życiu pojawił się Konrad... Od tamtego momentu nie wychodziłam na ulicę z nieumalowaną twarzą, bo to wydawało mu się zaniedbaniem; miałam cieniowane włosy, bardzo stylową fryzurę z refleksami w trzech kolorach, które co dwa miesiące poprawiał wybrany przez niego fryzjer, ubierałam się w markowe ciuchy w jednym z butików na Milla de Oro w Madrycie, zawsze wspomagana jego wyszukany gustem, i uważałam na wagę, żeby nie słuchać: „*Meine Süße*, wyglądasz znakomicie. Nie niszczy tego zjedaniem jeszcze jednego cukierka”.

Moja inteligencja, wykształcenie i zawód również były zwyczajne. Studiowałam historię sztuki, bo rodzina ze strony ojca zawsze w jakiś sposób związana była z tym światkiem: mój dziadek był malarzem, mój ojciec marszandem i właścicielem galerii. Później, ponieważ nie miałam jasności, czemu się poświęcić, zrobiłam doktorat. Kiedy go skończyłam, byłam pewna tylko jednego: że najlepiej w życiu potrafię się uczyć, więc zaczęłam się przygotowywać do egzaminów dla rzeczoznawców muzeów państwowych. Udało mi się je zdać po czterech latach i podjęłam pracę w Narodowym Muzeum Ceramiki i Przedmiotów Zbytku Gonzalo Martí w Walencji, w oczekiwaniu na miejsce w Madrycie. Tak było, dopóki w moim życiu nie pojawił się Konrad... Bo wtedy zaczęłam pracować w Dziale Komunikacji Muzeum Narodowego Prado.

Nie byłam już przez cały dzień otoczona ceramiką i przedmiotami zbytku, ale Amerykanami, Japończykami, Chińczykami i przedstawicielami innych narodów, do których musiałam się uśmiechać i wciskać im kit. Nie chodziłam już w podartych dżinsach, szerokich koszulach i adidasach, ale w nienagannych garsonkach i butach na niebywale wysokich obcasach.

Mój samochód był zwyczajny. Granatowy renault clio, który wcześniej należał do mojej matki i który ojciec mi подарował, kiedy skończyłam studia. Aż w moim życiu pojawił się Konrad ... i na urodziny подарował mi mercedesa cabrio SLK.

Konrad wiele zmienił w moim życiu. Wydobył ze mnie blask, jak ze starej srebrnej łyżeczki leżącej w zapomnieniu na dnie szuflady. Umieścił moje imię w brukowcach i na wielu zawistnych językach. Przekonał mnie, że mam w sobie coś szczególnego, czego nie powinnam marnotrawić na strychach starego muzeum ani pod warstwami szerokich i wygniecionych ubrań. Lekko mnie popchnął w kierunku jasnej strony życia i prowadził mnie tam za rękę, pieszcząc przy tym moje uszy setkami przyjemnych słówek. I ja go kochałam, kochałam go jak nigdy wcześniej nikogo innego, jak podziwiane dzieło pewnie uwielbia swojego twórcę, tego, który nadał mu kształt delikatnymi pieszczotami, a czasem nawet uderzeniami dłuta.

Jedyną rzeczą, której Konrad nie zmienił w moim życiu, było moje mieszkanie. Też nie było o czym gadać, ale broniłam się przed opuszczeniem go z numantyjskim uporem, zresztą z dobrym skutkiem, mimo że przez pierwsze dwa lata naszego związku upierał się, żebym przeprowadziła się do jego ekskluzywnego dwustumetrowego apartamentu na poddaszu z prywatnym basenem na ulicy Velazqueza. Konrad nie mógł zrozumieć, że wolę moją mikroskopijną mansardę z tarasem wielkości dużej doniczki, do której wchodzi się z wielkim wysiłkiem po drewnianych, zużytych i skrzypiących schodach starego budynku bez windy z tradycyjnego placu w dystrykcie Chamberí. Jednak moja mansarda znaczyła dla mnie o wiele więcej. Była symbolem mnie samej, tej niewielkiej reszty, która pozostała z esencji mojego „ja”; była pomięta i miała cygańską duszę jak ja; po zamknięciu drzwi tutaj mogłam znowu być sobą. A poza tym miałam do niej ogromny sentyment, bo kiedyś była studiem mojego dziadka i to on mi ją zostawił, umierając. Dlatego kiedy wieczorami czytałam przy oknie, pojawiały się wspomnienia: jak siedząc na tych samych miodowych deskach podłogi, zabazgrałam jako dziewczynka setki kartek i w końcu plamiłam sobie palce farbą pod czułym okiem dziadka; jak przy stole w kuchni razem zajadaliśmy ciastka z czekoladą, a na tarasie w letnie noce rysowaliśmy konstelacje gwiazd i księżyc w nowiu.

Tamtego wieczoru też było lato – końcówka lata – i księżyc w nowiu. I tak jak w wiele innych nocy jadłam kolację w mieszkaniu Teo i Antonia, moich sąsiadów. Rzadko się zdarzało, żebym na koniec dnia do nich nie wpadła, przede wszystkim z dwóch powodów: ich taras był większy, a ich kolacja znacznie lepsza niż moja, bo Antonio, który był z Getxo, gotował jak anioł – jak baskijski anioł, bo jestem przekonana, że co do kuchni, należą do oddzielnej grupy. Sałatka z kiełków z kaczką, kalmary gotowane w atramencie i suflet jabłkowy były daniami, które Teo i Antonio podawali na co dzień, bez szczególnej okazji.

Poza tym Teo był jednym z moich najlepszych przyjaciół, może najlepszym. Byliśmy przyjaciółmi od czasów uniwersyteckich i dzięki mnie poznał Antonia, kiedy ten kupił mieszkanie drzwi w drzwi z moim. To była gwałtowna miłość. „Kochanie, gwałtowna miłość to bardzo pedalska rzecz – poinstruował mnie Teo. – Wprawdzie bardzo hałasujemy, ale jest nas niewielu i nie możemy tracić czasu na umizgi: widzisz go, więc go bierzesz, i już”. Przy Teo nie mogło być umizgiwania się; był typowym przykładem homoseksualisty, nad którymi my, kobiety, użalamy się, że są ogromną stratą dla naszej płci. Krótko mówiąc, chodziło o kobiecą wrażliwość ukrytą w ciele Hugh Jackmana. „Moje życie byłoby znacznie prostsze, gdybyś nie był gejem i ożenił się ze mną”, popłakiwałam od czasu do czasu na ramieniu przyjaciela.

Przypadek Antonia był inny: „Jestem starą ciotą, ale Toni należy do tych gejów, którzy po prostu się nie zdarzają”, jak go podsumował Teo. Poza tym, że był z Getxo, Antonio miał zawód bardzo hetero inżyniera budowlanego i patrząc na jego brzuch, żółty kask i brodę, nikt by nie powiedział, że faceci są mu potrzebni do czegoś innego niż do wspólnego oglądania meczów, popijania piwa i do rzucania dziewczynom świńskich teksów z rusztowania. W sumie Antonio i Teo stanowili bardzo malowniczą parę: ucieleśniali powiedzenie, że „każda potwora znajdzie swego amatora” w wariacie gejowskim.

Prawda jest taka, że uczyniliśmy z szóstego piętra swego rodzaju komunę: miejsce otwartych drzwi, dzielonych pomieszczeń i jednej kuchni, kuchni Antonia.

– Idę się położyć, umieram ze zmęczenia – ogłosił Antonio, ziewając, chwilę po kolacji.

– Nudny jesteś, Toni. Jest sobota! Zostań z nami chwilę. Jeszcze jedno limoncello postawi cię na nogi – zachęcał go Teo.

Nie zwracając na to uwagi, Toni wstał z krzesła, cmoknął Teo w usta, a mnie w policzek.

– Dobranoc, kochana.

– Kolacja była przesmaczna, Toni, jak zwykle.

– Dziękuję. Jutro będzie coś nowego. Nie zapomnijcie wstawić kieliszków do zmywarki i włączyć jej, bo jak nie, to nie zmieszczą się naczynia ze śniadania – wydał nam dokładne instrukcje, wychodząc z tarasu.

– Zachowujesz się jak burżuj – rzucił za nim Teo. – I powiem ci, że trochę się roztyłeś! – Potem szepnął mi: – To go bardzo denerwuje.

– Jestem burżujem i już jestem gruby – odkrzyknął mu Toni ze środka. – Dobranoc, kochanie.

– No, nie wydaje się jakoś szczególnie urażony.

– Udaje twardziela. Właśnie stoi na wadze, a na śniadanie zje moje Special-K, mówię ci.

Uśmiechnęłam się do niego i rozparłam w fotelu. Tej nocy też można było rysować konstelacje – była piękna, chłodna i spokojna. Ledwie docierał do nas szmer nocnego ruchu i cały taras był spowity wonią mokrej ziemi świeżo podlanych kwiatów i aromatem ziół, które Antonio posadził w rogu: bazylii, rozmarynu, mięty...

Teo rzucił mi cieniutki koc.

– Trzymaj, kochanie, bo przy tej nocnej wilgotności strasznie ciągnie po nogach...

Otuliłam się i ponownie zanurzyłam usta w kieliszeczku limoncello.

– Kiedy wraca Konrad? – zapytał.

– W przyszły piątek nic z tego. Zawsze gdy jedzie do Hongkongu, zostaje przez kilka dni, żeby w pełni wykorzystać podróż.

– A pomyślałaś już, co zrobisz?

– Nie jestem pewna. Z jednej strony nęci mnie ciekawość, a z drugiej wydaje mi się to stratą czasu. Próby odnalezienia obrazu, o którym zresztą historia mówi, że nie istnieje, na podstawie listu sprzed siedemdziesięciu lat to jak szukanie igły w stogu siana.

– Mnie to się wydaje zabawne. Jak poszukiwanie skarbu albo coś takiego, nie?

– Rzeczywistość nigdy nie jest tak romantyczna, Teo. Wielkie odkrycia zdarzają się po wielu latach przebywania w zamknięciu zakurzonych i nieuporządkowanych archiwów, okupionego utratą przyjaciół i uczuleniem na światło słoneczne jak u wampirów ze *Zmierzchu*. Tak albo przez przypadek.

– No to może przypadek stuka do twoich drzwi: w twoje ręce wpadł tajemniczy list... – zauważył Teo z aktorską przesadą.

– Żeby uspokoić Konrada, zaczęłam od przeglądania Internetu. W liście jest tak niewiele informacji, że prawie nie wiem, co wpisać w Google: Himmler, ponad milion wyników, *Astrolog*

Giorgionego – ani jednego, bo nie istnieje, major SS Georg von Bergheim, wszystko razem, nic... Mogę tylko zacząć od Einsatzstab Reichs-leiter Rosenberg.

– Co to takiego?

– Sztab Operacyjny Rosenberga, eufemistyczna nazwa organizacji, która zajmowała się rabunkiem dzieł sztuki z terytoriów okupowanych przez Niemcy. Rosenberg rozkręcił sztab i formalnie był jego zwierzchnikiem, choć w praktyce, przynajmniej na Zachodzie, wszystko zależało od Göringa.

– To ten grubas, co nie? Pamiętam dobrze, bo skojarzenie Göring–gruby świetnie do siebie pasuje!

Zaśmiałam się z mnemotechnicznych pomysłów Teo.

– Tak, był gruby. I był jednym z nazistów z największym fiołem na punkcie sztuki.

W swojej rezydencji Carinhall chciał zrobić wielkie muzeum i udało mu się tam zgromadzić ponad tysiąc trzysta obrazów, do tego rzeźby, gobeliny, meble, dywany... Wszystko skonfiskowane z prywatnych kolekcji z terytoriów okupowanych.

– No to pewnie Göring zabrał ten obraz. To proste, stara! – zauważył Teo, upraszczając sprawę.

– Nie. Zakładając, że obraz istniał, co można wywnioskować z listu, sam Hitler poprzez Himmlera mógł nakazać jego odnalezienie.

Teo uniósł dłoń do czoła w bardzo stylizowany sposób, niczym balijska tancerka, i spojrzał na mnie cięłymi oczami.

– Teraz to już naprawdę się zgubiłem, kochanie. Co ma z tym wspólnego Himmler? Czy to nie ten kretyń w okularkach z SS, który załatwił wszystkich Żydów i gejów?

– W zasadzie tak. To był dowódca SS.

– A co to ma wspólnego z twoją sprawą?

– Nie mam zielonego pojęcia. Oto istota problemu: mój kochany Konrad przekazał mi jedynie list nazistowskiego dowódcy do żony z trzema kiepskimi tropami i chce, żebym z tego skleciła odkrycie stulecia. Wnioski: zaczęłam przeglądać Internet i o nazistach wiem tyle, że mogłabym wziąć udział w teleturnieju, ale nic poza tym. W jakiś sposób musiałabym zdobyć inne dane na temat majora Bergheima.

– No to, kochanie, już cię widzę w ohydny i zafajdanym archiwum.

– Ja powiedziałam tylko zakurzonym i nieuporządkowanym, ale niech będzie.

\*

## CHCĘ, ŻEBYŚ POJECHAŁ ZE MNĄ DO PARYŻA

Chwilę po skończeniu rozmowy telefonicznej z Konradem w liście kontaktów BlackBerry odszukałam numer Teo i nacisnęłam zielony przycisk. Odebrał, ledwie umilkły pierwsze takty piosenki Kylie Minogue, którą miał zainstalowaną w komórce.

– Gdzie jesteś? – zapytałam, zanim pozwoliłam mu przemówić.

– Uwierz mi, że nie chcesz wiedzieć, którą część ciała właśnie sobie depiluję...

– Nie, nie chcę tego wiedzieć. Ale chcę, żebyś pojechał ze mną do Paryża. W odpowiedzi nie dopuszczam nie.

– Do Paryża?! Chyba zwar... – Usłyszałam krzyk po drugiej stronie telefonu. – Kurwa! Uważaj, palancie, bo jesteś blisko kufra ze skarbami... Ana? Ana, kochanie... Słuchaj, potem do ciebie oddzwonię. – I odłożyłam słuchawkę, zanim zdążyłam zaprotestować.

Tego popołudnia uciekłam z muzeum chwilę przed czasem, bo byłam zmęczona i w kiepskim humorze. Zostałam puste mieszkanie; ani Teo, ani Toni nie wrócili do domu, i to jeszcze bardziej zepsuło mi humor. Nie znośłam być sama, co więcej, bałam się samotności, samotność napawała mnie strachem, sprawiała, że czułam się słaba. Tolerowałam tę prostą ideę jedynie jako stan przejściowy, przystanek, na którym zmienia się pociąg.

Zrzuciłam buty i postanowiłam złupić lodówkę moich sąsiadów; butelka białego wina, która została z kolacji poprzedniego dnia, wielkie pudełko lodów Häagen-Dazs o smaku waniliowym i ciasteczkowym. Byłam gotowa przytyć kilka kilogramów z dość dziecinnym zamiarem podenerwowania Konrada.

Puściłam płytę z jazzem i wyszłam na taras. Wyraźnie było widać, że lato dobiega końca, już nie z powodu temperatury, która w dalszym ciągu była wysoka jak na tę porę roku, ale z powodu światła; dni stawały się coraz krótsze. O wpół do ósmej taras spowijał półmrok. Niemniej jeszcze było słyhać wrzawę bawiących się w parku na dole dzieciaków, które wykorzystywały ostatnie dni wakacji.

Zgrzyt klucza w zamku uprzedził mnie, że Teo wraca do domu po sesji depilacji. Poczulałam nagłą ulgę. Słyszałam, że wchodzi na taras, ale nie odwróciłam się, żeby go pozdrowić.

– Późno przychodzisz – rzuciłam lakonicznie.

– Wykorzystałam sytuację, żeby zrobić sobie peeling, a potem poplotkowałam z recepcjonistką, więc dała mi trzy niesamowite kremy. No dobra, cześć. – Pocałował mnie, na co niechętnie przystałam. – Na co się dąsasz, królewno?

– Nie dąsam się, jestem zmęczona...

Teo spojrział na mnie ze zmarszczonym czołem.

– No, co ty, kochana, wyluzuj się! A to co znowu? – Wskazał na butelkę wina i lody.

– Wino.

– Wiem, ale jak zamierzasz je wypić?

– Z gwinta.

– Nie bądź wulgarna, kochanie, nie jest ci z tym do twarzy. I te lody... Nie mów, że popijasz je winem. Co za świnstwo!

Zaniósł lody z powrotem do środka i po chwili pojawił się z dwoma kieliszkami. Szczodrze nalał wina do każdego z nich, zapalił kilka aromatycznych świec i kazał mi się położyć. Następnie usiadł obok mnie i ułożył moje stopy na swoich kolanach.

– Cały twój problem polega na tym, że nie potrafisz się wyluzować. Na szczęście masz mnie i zaraz ten problem rozwiążę – oświadczył, masując mi stopy okrutnie zmaltretowane butami na obcasie.



Wzięłam łyk chłodnego białego wina o owocowym smaku i po chwili zaczęłam jęczeć z rozkoszy. Dziecięca wrzawa z parku zaczęła ustępować miejsca muzyce Diany Krall, podczas gdy świeca spowijała nas aromatem zielonej herbaty.

– Opowiesz mi, co cię gryzie?... A potem porozmawiamy o Paryżu – wymamrotał Teo, silnie uciskając mi stopy.

W odpowiedzi znowu tylko jęknęłam, rozleniwiona i przymilna niczym kotka w rui.

– Mmm... Nie chcę...

– Mam to w nosie. Chyba nie myślałaś, kochana, że ten masaż dostaniesz gratis? Niechętnie, ale przekonana, że nie ma innego wyjścia, ustąpiłam.

– Pokłóciłam się z Konradem... – wyznałam.

Cisza i uciskanie podeszwy.

– Nie znoszę, kiedy zachowuje się wobec mnie jak niemiecki trep!... Ale przede wszystkim nie znoszę, kiedy staje się pobłażliwy i przyznaje mi rację jak wariatce.

Dalej cisza i uciskanie.

– Już wczoraj podczas kolacji w domu moich rodziców zobaczyłam, że jest spięty. Sam wiesz, ile nerwów kosztują nas te spotkania...

Teo kiwnął głową. Aż za dobrze znał historię napięć, jakie wywołują takie spotkania, i wiedział, że Konrad nie był temu winien – był tylko przyczyną.

Mój ojciec nie tolerował tego, że jesteśmy razem. Konrad był jego najlepszym klientem – w sumie to ojciec nas ze sobą połączył. Dzięki niemu Konrad odkrył pewnego młodego malarza z wielkim talentem, któremu pomagał jako mecenas, i dlatego bardzo się liczył ze zdaniem ojca w sprawach kupowania obrazów. Jednak być czyimś klientem a być kandydatem na jego zięcia albo *de facto* już nim być – to całkowicie odmienne sprawy. Różnica wieku i statusu materialnego, rozpustne życie Konrada... to były jedynie niektóre argumenty ojca przeciwko niemu.

Moja matka na wszystko, co wiązało się z Konradem, patrzyła zupełnie inaczej. Ona go uwielbiała. Dla niej był zwieńczeniem wszelkich działań matki, która pragnie zapewnić córkom to, co najlepsze: lata kultywowania najlepszych przyjaciół, wybierania najlepszego środowiska i wydobywania wszystkiego, co najlepsze z naszych kobiecych i społecznych zdolności, zostały zrekompensowane; a jeśli chodzi o mnie – była to rekompensata szczególnie niespodziewana i miła, bo matka już się bała, że na zawsze zostanę ropuchą zamiast księżniczką. Problem w tym, że matka miała świadomość, że Konrad należy nie tylko do innej klasy społecznej, ale wręcz do innego wymiaru, i wychodziła ze skóry, żeby dorównać mu poziomem, co wywoływało w niej silny stres i nieustające frustracje.

Osobnym rozdziałem byli moja siostra, szwagier i siostrzeńcy. Siostra wyglądała jak Susanita z *Mafaldy*; wyszła za mąż i miała dzieci, troje, dla ścisłości, których opiece poświęcała większość czasu. Ponadto miała zajęcia zaspokajające jej pretensje kobiety nowoczesnej i profesjonalnej, tak jak wymagają tego zasady nowego pokolenia. W odróżnieniu ode mnie odziedziczyła po rodzinie talent plastyczny, więc poświęcała się malowaniu pamiątek ze ślubów, komunii, chrzcin, obrazków dla dzieci, zaproszeń... To znaczy każdego przedmiotu dającego się namalować, a potem sprzedać przez Internet. W sumie moja siostra prowadziła życie poświęcającej się matki i bystrego zawodowca, które normalnie odrzucamy, mając dwadzieścia lat, ale tęsknimy za nimi po czterdziestce, kiedy zaczynamy się śpieszyć w poszukiwaniu męża, dzieci i interesów przez Internet.

Mój szwagier był typem dość bezbarwnym: doradca finansowy, ornitolog z zamiłowania, zbieracz znaczków i doskonały gracz w tryktraka. Nudziarz z niebywałym talentem do wzbudzania apatii i znużenia w swoim otoczeniu.

Nie sędzę, żeby Konrad miał coś przeciwko nim, gdyby ich rozpatrywał indywidualnie, ale jako grupa rodzinna doprowadzali go do rozpaczki. Moja siostra zwykle zadreęzała go opowieściami o licznych wizytach u pediatry, zadaniach szkolnych i zamówieniach na swoje prace. Szwagier nudził go tak jak wszystkich. A siostrzeńcy brudzili mu markowe ubrania, podgryzali chleb i zadreęzali go setkami dziecinnych piosenek w swoim okropnym angielskim.

Tak więc niedzielne obiady w domu moich rodziców były dla Konrada torturą i sprawiały, że skręcał mu się żołądek. Doprowadzenie go do normalnego stanu zajmowało mi kilka dni. Jeśli mój facet i ja się kłóciliśmy, to właśnie w te dni.

Nawet nastrój rozluźnienia, niemal błogostan, w który wprowadził mnie Teo, nie był wystarczający, żeby mnie nie odrzucało na samą myśl o Konradzie.

– Doskonale, kochanie, walnij jeszcze winka i powiedz wszystko od początku – zaproponował.

Posłuchałam go i mówiłam dalej:

– Wszystko zaczęło się od tego listu, przekłeta niech będzie godzina... Zapytał mnie, czy coś zrobiłam, więc powiedziałam prawdę: że nie ma się czego uchwycić, że nawet nie wiem, czego, u diabła, mam szukać, że Internet, że Einsatzstab i że w ogóle, gdyby matka Tarzana, i tak dalej. No i wtedy pojawia się ta jego żyłka wielkiego przedsiębiorcy z rozwiązaniem dla każdego problemu, i pyta mnie, dlaczego nie sprawdzę, kto zajmuje się archiwami Einsatzstab w Paryżu, bo na pewno takie są, żeby napisać e-mail do człowieka odpowiedzialnego za te sprawy i go o to wypytała. „Zgoda, Konrad – odpowiedziałam – ja mu wyślę e-mail i zapytam, ale o co, do cholery, go zapytam, skoro nie chcesz, żeby ktokolwiek się dowiedział, że szukamy tego obrazu...”

– A dlaczego nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział, co?

– Nie pytaj mnie, to paranoja Konrada. Ma niemal pewność, że jest o krok od odkrycia stulecia, i nie chce, żeby ktokolwiek go ubiegł. Reasumując, kazał mi wymyślić jakiś pretekst, żeby się dostać do archiwum. Ja mu odpowiedziałam, że skoro to takie proste, to dlaczego sam tego nie robi albo któraś z jego licznych sekretarek. I wtedy właśnie zaczął być pobłażliwy i powiedział, że w porządku, że mam rację, że to pewnie coś niebywale skomplikowanego. I kłótnia gotowa i foch na trzy tygodnie, jak znam siebie.

– Taa...

– „Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak ci zależy, żeby się tym zajął” – rzuciłam mu. „Zafiksowałaś się na tym liście...” A on mi odpowiedział, że to on właśnie nie rozumie, skąd u mnie takie przywiązanie do rutyny i dlaczego boję się zaryzykować, zrobić coś szalonego i sama już nie wiem, jakie jeszcze inne bzdety. Szlag by to trafił! Przecież odkąd go poznałam, moje życie to pierdolony chaos! Chuj tam, nie rutyna!

– Spoko, kochanie, bo będę ci musiał zaaplikować valium, które w połączeniu z winem załatwi cię na cacy. Walnij jeszcze jednego i splucz te niewyparzone usta!

– Aj, Teo, bo się wkurzę...

W tej chwili trzasnęły drzwi wejściowe i zaraz na tarasie pojawił się Antonio.

– Cześć, narzeczeni.

– Cześć, kochanie, późno wracasz...

– Byłem na rynku po morszczuka na kolację...

– No to mnie pocałuj, morszczuku. I dziewczynkę też, bo jest smętna.

Znów przyjął postawę pieszczotliwej kotki i pozwoliłam, żeby Toni pocałował mnie w czółko.

– Pokłóciła się z *Kartoffel* – wyjaśnił mój przedstawiciel.

– Ach, kłótnia zakochanych? Jak słodko!

– Nie ma w tym nic śmiesznego, Toni – zbeształam go.  
– Chodź, słoneczko, weź sobie kieliszeczek i pomóż mi ją pocieszyć i wypić to wino, zanim się ogrzeje.  
– Nie, najpierw przygotuję kolację. Zaraz zobaczysz, jak znakomitymi daniami przepędę wszystkie twoje żale, kochana. Później wszystko mi opowiesz.  
Tak się stało. Po chwili pałaszowaliśmy morskczuka à la Bilbao, naprawdę znakomitego, który nieco uśmierzył moją złość.  
– Więc wściekła rzuciłaś mu słuchawkę, a co zrobiłaś potem? – zapytał mnie Teo, śledząc naszą rozmowę, ale nie unosząc wzroku znad starannej obwódki, którą zakreślał kawałkiem chleba w płamie oliwy, czosnku i zielonej pietruszki na półmisku z morskczukiem.  
– Zadzwoiłam do ciebie, gotowa wyruszyć do Paryża choćby jutro...  
– No proszę, zwyczajni śmiertelnicy wysyłają się wzajemnie w cholere, ale ponieważ twój narzeczony jest multimilionerem, wysłała cię do Paryża. To dopiero poziom, kochana!  
Toni uśmiechnął się na to skojarzenie swojego chłopaka.  
– Cicho bądź – przerwałam Teo. – Byłam tak wkurzona, że chciałam zwać dokądkolwiek, żeby mu pokazać. Ale skoro ty odłożyłeś słuchawkę, nie zostało mi nic innego, niż pomyśleć. Wróciłam do Internetu i znalazłam człowieka od kontaktów w archiwum Einsatzstab we Francji. To niejaki doktor Arnoux, który jednocześnie jest dyrektorem Departamentu Badań przedstawicielstwa EFLA we Francji...  
– Słabo brzmi to EFLA, mała.  
– European Foundation of Looted Art, Europejska Fundacja na rzecz Zrabowanych Dzieł Sztuki. Brzmi lepiej? Napisałam do niego, że chciałabym pogrzebać w archiwach i czy jest to możliwe. Nie spodziewałam się, że odpowie mi tak szybko. Dokładnie po dziesięciu minutach przysłał e-mail, w którym wyraził żal, że do tej pory nie jest możliwe badanie archiwum na odległość, i nadzieję, że jeśli przyjadę do Paryża, to osobiście będzie w stanie pomóc mi w każdej sprawie związanej z moimi poszukiwaniami. *Et voilà!*  
– Czyli że facet jest super. No to w końcu jedziesz do tego Paryża czy nie?  
Westchnęłam, sięgnęłam po ostatni kawałek morskczuka i przez krótką chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią, żeby wprowadzić nastrój oczekiwania.  
– No nie wiem. Tymczasem nie mam pojęcia, co najbardziej wkurzyłoby Konrada...  
– Poczekaj, poczekaj, bo nie rozumiem... – wtrącił się Toni, aż do tej pory milczący i skupiony na jedzeniu. – Ty robisz to wszystko, żeby wkurzyć Konrada czy żeby sprawić mu przyjemność? Bo w pewnym momencie chyba się zgubiłem...  
W tamtej chwili rozległo się brip-brip mojego telefonu. Zadzwoił kilka razy, a ja udawałam, że nie słyszę, podczas gdy Teo i Toni wlepiali we mnie wzrok.  
– To Konrad. Jeśli się nad tym zastanawiacie, to nie zamierzam odebrać.  
– Laluniu, zwariowałaś? To bogacz! Nie można nie odbierać telefonów od bogaczy. Daj mi go tu!  
Teo pochylił się nad telefonem i wyrwał mi go, zanim udało mi się temu zapobiec.  
– Teo! Nie...!  
I odebrał.  
– Halo?... Konrad?... Tak, jest tu...  
– Teo! – wycedziłam przez zęby, bezskutecznie usiłując wyrwać mu telefon. Bariera jego szerokich pleców okazała się jednak nie do sforsowania.  
– Dam ci ją. Tak... Ale słuchaj jest bardzo, bardzo rozżalona... Tak się nie robi...  
– Teo, wystarczy!  
W końcu odebrałam mu telefon. Odepchnęłam Teo i spaliłam go wzrokiem, a następnie

znikłam w mieszkaniu.

Po drugiej stronie Konrad klął, starając się nawiązać rozmowę. Zanim mu odpowiedziałam, usiadłam na podłodze w salonie, w ciemnym kącie, z kolanami podciągniętymi do piersi i telefonem mocno przyciśniętym do policzka.

– Teo?... Ana?... Jest tam kto?...

– Konrad...

– *Süße... Meine Süße*, bardzo mi przykro... Nie powinienem był tak z tobą rozmawiać.

Czasem zapominam, że nie robię z tobą interesów... Kocham cię, wiesz?

Po kilku minutach wróciłam na taras, ściskając mocno telefon, z rumieńcami na policzkach.

– I co? – zagadnął Teo.

– Za chwilę cię zabiję za wtrącanie się do nie swoich spraw, ale tymczasem...

– Umierasz z miłości... Ha, to oczywiście! Widzę po twojej minie, że umierasz z miłości!

Nie zaprzętałam sobie głowy zaprzeczaniem. Wróciłam na swoje miejsce z telefonem przy piersi. Toni w ciszy zaczął zbierać talerze. Zwykle jego obecność była przyjemna i milcząca; zastępował słowa uśmiechami, westchnięciami, minami... i zdaniem Teo.

– A teraz powiedz, dokąd mnie zaprosisz za to, że ci pomogłem odzyskać miłość i radość życia?

– Do Paryża.

Toni nagle zamarł, a Teo stracił elokwencję.

– Pierdolisz. Znowu się ze mnie nabijasz? – rzucił.

– Nie, tym razem mówię całkowicie poważnie. Ustaliłam z Konradem, że poświęcę kilka dni na tę sprawę – tyle ile stracę w Paryżu, jeśli to poszukiwanie będzie miało jakiś sens. Potem zobaczymy, co dalej. Czyli że w przyszłym tygodniu jadę do Paryża... i chcę, żebyś pojechał ze mną – poprosiłam tonem rozkapryszonyj dziewczynki.

– No dooobra, poświęcę się dla ciebie i spróbuję pożonglować moim napiętym kalendarzem. Zdaje się, że mam zlecenie na kilka reportaży, ale zobaczymy, czy uda mi się je przełożyć. Co ty o tym sądzisz, kochanie? – Spojrzał na Toniego. – Pozwolisz mi pojechać do Paryża z malutką.

Toni wzruszył ramionami, złapał stos talerzy i zanim wyszedł do kuchni, uśmiechnął się.

– Jeśli potem wrócisz...

\*

## DOKTOR ALAIN ARNOUX

Konrad był większościowym udziałowcem KonKöl Properties, przedsiębiorstwa handlu nieruchomościami, mającego szczególną filozofię działania: odnawianie wyjątkowych budynków w centrum dużych miast, przekształcanie ich w kompleksy apartamentów wysokiej jakości i oferowanie pod wynajem na tygodnie za niesamowitą cenę. Zwykle to on sam wybierał budynki i aktywnie uczestniczył w projektowaniu ich restauracji i dekorowania, co więcej – przeznaczył znakomitą część dzieł sztuki z prywatnej kolekcji na upiększanie wnętrz apartamentów. Budynek w Paryżu nazywał się L'École i w czasach Napoleona Bonapartego był szkołą wojskową. Ze swoją neoklasycystyczną architekturą i minimalistyczną dekoracją, która podkreślała dzieła nowych talentów w sztuce, L'École było znaczącym punktem na mapie snobistycznego Paryża.

Teo i ja wyszliśmy z apartamentu po spokojnym śniadaniu, a ponieważ Sorbona znajdowała się nieopodal, na spotkanie z doktorem Arnoux o jedenastej udaliśmy się spacerkiem.

Byłam w Paryżu kilkanaście razy, przy bardzo różnych okazjach: z rodzicami, w podróży na koniec studiów, pewnego lata w ramach biletu InterRail... Nawet mieszkałam tam przez trzy miesiące na mansardzie w Dzielnicy Łacińskiej, z narzeczonym, który był aktywistą zwalczającym system i planującym powtórzyć doświadczenie maja 1968... Nasza działalność polegała na staniu z transparentami w rękach i wykrzykiwaniu haseł naprzeciwko budynku, w którym odbywał się szczyt Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, przez resztę czasu zaś prowadziliśmy życie dość konwencjonalne, a nawet powiedziałabym drobnomieszczańskie.

Jednak choćbym nie wiem ile razy była w Paryżu, to miasto nigdy nie przestaje mnie zdumiewać, bo podczas spacerów zawsze znajduję jakiś nieodkryty zaułek, zachwycające miejsce leżące na uboczu szlaków turystycznych, zakątek, w którym warto się zatrzymać i podziwiać jego piękno. W ten sposób Teo i ja spacerowaliśmy pod rękę po Paryżu, rozkoszując się zapachem czekolady, przechodząc mimo cukierni, przerażając się cenami w niektórych witrynach, podniecając się zwyczajnym widokiem fontanny w ukrytym ogrodzie i zachwycając się pięknem słonecznego światła padającego przez witraże w jakimś nieznanym nam kościele.

Przyszliśmy na nasze spotkanie pięć minut wcześniej i musieliśmy posiedzieć w poczekalni przed rzędem gabinetów Wydziału Historii, na piętrze F głównego budynku Sorbony.

Teo, z postawą projektanta mody, noga na nogę, kołysząc stopą, poświęcił się analizie mojego stroju:

– Granatowa marynarka, biała koszula, džinsy, mokasyny Tod's i ta zwracająca uwagę jedwabna apaszka Hermès... Ani nie bardzo formalnie, ani nieformalnie: jak należy. Wydaje mi się, że jesteś doskonale ubrana, żeby zrobić wrażenie na szacownym profesorze. Podwiń rękawy, żeby było widać bransoletkę Cartiera...

– To tylko profesor. Ale możesz mieć rację, zbyt wiele lat spędziłam na uniwersytecie, żeby nie uciekać się do zwyczajowych prób robienia wrażenia na przedstawicielu ciała profesorskiego. Poza tym niemal wszystko, co mam na sobie, to prezenty od Konrada, a teraz ty, przez to swoje obrzydliwie snobistyczne wymienianie marek, zdołałeś sprawić, że czuję się jak idiotka.

W tej chwili otworzyły się drzwi jednego z gabinetów.

– Pani doktor García-Brest?

Kiedy zobaczyłam postać w drzwiach, nie mogłam powstrzymać myśli, że doktor Arnoux wysłał do mnie jednego ze swoich doktorantów. Ten mężczyzna był znacznie młodszy, niż się spodziewałam. Miał na sobie jasną bawełnianą koszulę bez kołnierzyka, która wręcz błagała

o prasowanie, znoszone dżinsy i dość schodzone trampki Converse; ogólnie strój nieprzystający do długiej listy tytułów akademickich i zawodowych poprzedzających jego nazwisko.

– Doktor Alain Arnoux – obwieścił, wyciągając do mnie rękę. – Miło mi panią poznać. Pan jest...

– Teo Díaz – przedstawił się zapytany, również ściskając podaną rękę.

Tymczasem ja wykorzystałam sytuację, żeby niepostrzeżenie ściągnąć z szyi jedwabną apaszkę Hermès i schować ją do kieszeni.

– Współpracuje ze mną przy badaniu – dodałam, bo odniosłam wrażenie, że doktor Arnoux zdaje się pytać: „A ten tutaj czego?”.

– Tak, proszę do mojego gabinetu.

Gabinet doktora Arnoux był pomieszczeniem raczej bez wyrazu, albo przynajmniej znacznie bardziej bez wyrazu, niż się spodziewałam po gabinecie znajdującym się w pięknym budynku Sorbony. Wiele książek, papierów i teczek, małe archiwum, oprawiona mapa świata i kilka plakatów przypiętych pinezkami do ścian, promujących wydarzenia uniwersyteckie. Na jego stole stały laptop, puszka z ołówkami, pluszowa żaba i zdychająca roślina. Taki był gabinet doktora Arnoux, dyrektora sorbońskiej Katedry Historii Sztuki Współczesnej, dyrektora Departamentu Badań francuskiego przedstawicielstwa EFLA i odpowiedzialnego za archiwum Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg pozostające w gestii Ministerstwa Spraw Zagranicznych Francji.

Chociaż zrobiłam to już drogą e-mailową, ponownie wyjaśniłam mu, jaki jest cel moich badań i jakiej pomocy od niego oczekuję. Teo siedział w milczeniu, co było niemal cudem, ale tylko dlatego, że nie za dobrze posługiwał się francuskim.

– Jak już panu wspominałam w liście, doktorze Arnoux, piszę biografię Sturmbannführera SS Georga von Bergheima, na prywatne zlecenie. – Oczywiście okłamałam go już na piśmie, a teraz powtarzałam to kłamstwo w żywe oczy. – Wiem, że od listopada 1941 roku ten człowiek był przydzielony do Sztabu Operacyjnego Rosenberga w Paryżu, i chciałabym poznać więcej danych na temat jego tutejszej pracy.

Tak naprawdę chciałam jak najszybciej potwierdzić, że nawet po przebadaniu słynnych archiwów cała ta historia *Astrologa* wpada w ślepy zaułek, i wrócić do Madrytu, do swoich rutynowych zajęć.

Uspokoiliłam się nieco, kiedy zobaczyłam, że doktor Arnoux uśmiecha się, okazując sympatię, i zdaje się bez podejrzeń przyjmować moją historijkę.

– Brzmi mi znajomo to nazwisko: von Bergheim... Oczywiście skoro pracował w ERR – wiedziałam, że mówi o Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg – musiałem na niego natrafić przy jakiejś okazji. Wie pani, jaki rodzaj pracy wykonywał: katalogowanie, inwentaryzacja, praca administracyjna, bezpieczeństwo...?

– Prawdę mówiąc, nie. Dopiero zaczynam badanie i niewiele wiem na jego temat.

– Doktor García-Brest, problem polega na tym, że cała dokumentacja odnosząca się do ERR jest dość porozrzucana pomiędzy różnymi archiwami we Francji. Podstawowy zasób dokumentów został podzielony między Archiwum Narodowe i przede wszystkim Centrum Współczesnej Dokumentacji Żydowskiej Muzeum Pamięci Shoah oraz Dyрекcję Archiwów Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ja jestem odpowiedzialny tylko za ten ostatni zbiór, z którym wiąże się pewna niedogodność dla badaczy. Po pierwsze, baza danych nie jest dostępna publicznie. Po drugie, zgodnie z prawem o własności prywatnej, ograniczającym dostęp do tych akt, większość z nich jest niedostępna...

– Rozumiem. Ale nie chcę prowadzić dzikiej kwerendy. Interesuje mnie jedynie ustalenie, w jakim okresie von Bergheim pracował dla ERR i jaką pełnił funkcję. Pomyślałam sobie, że

może w archiwum jest rejestr osobowy, w którym łatwo będzie odnaleźć informację tego rodzaju. Ale nie wiem, czy taki rejestr istnieje, a jeśli tak, to czy jest on w pańskiej gestii... i czy dostęp do niego jest ograniczony czy nie.

– Tak, tak, istnieje rejestr personelu ERR we Francji. Wprawdzie nie jest kompletny, gdyż w zasadzie nie mówimy konkretnie o ERR, bo ten rejestr Niemcy zabrali do Berlina, kiedy wynosili się z miasta, ale mamy rejestr stworzony po wojnie dla Stałego Trybunału Wojskowego w Paryżu, podczas śledztwa przeciwko zwierzchnikom odpowiedzialnym za niemieckie rabunki.

– Choćby możliwy był tylko rzut okiem, będę panu bardzo wdzięczna, jeśli wyrazi pan zgodę na obejrzenie tych dokumentów.

W końcu doktor Arnoux wydał mi pozwolenie na ograniczony dostęp do dokumentów dotyczących ERR, pochodzących ze Stałego Trybunału Wojskowego w Paryżu. Podał mi też nazwisko archiwistki, do której miałam się zgłosić, oraz adres archiwum w La Courneuve, miejscowości leżącej o osiem kilometrów od centrum Paryża. Podziękowawszy za współpracę, Teo i ja pożegnaliśmy się z nim i opuściliśmy gabinet.

Teo nie był w stanie pohamować się wystarczająco długo, to znaczy do przejścia za najbliższy róg i zatrzymania się przy windzie, żeby rzucić komentarz, który i mi się nasuwał:

– Widziałaś, jaki z niego doktor Jones?

– Raczej to doktor Arnoux.

– Jasne, że tak, głupia. Chodzi mi o to, że z niego taki Indiana Jones w wersji surfera z Tarify. Zupełnie jak ten z filmu, tylko rozczochrany.

Szczerze mówiąc, mnie w pierwszej chwili doktor Alain Arnoux też zaskoczył, nawet wzięłam go za doktoranta. Podobnie jak Teo spodziewałam się dojrzałego i wzbudającego szacunek profesora. Spędziwszy całe lata na uniwersytecie, widziałam chyba wszystkie typy wykładowców, ale prawdą jest, że większość podpadała pod schemat wieku i wyglądu, tym bardziej kiedy wspinali się po stopniach kariery, tak jak Arnoux.

Doktor Arnoux jednak w żadnym razie nie podpadał pod schemat, w który go wtłoczyłam, zanim go poznałam. Określenie rozczochrany, którym go potraktował Teo, odnosiło się do jego długich włosów, niemal do ramion, i trzydniowego zarostu. I tego „surfera z Tarify” Teo ukuł z pewnością dlatego, że łatwiej było sobie wyobrazić Arnoux na plaży w hawajskiej koszuli, z deską surfingową pod pachą niż w gabinecie Sorbony.

Ogólnie zgadzałam się z Teo co do wyglądu naszego rozmówcy, ale nie chciałam dawać mu pożywki dla głędzenia.

– Skoro tak uważasz... Dla mnie ważne jest, że dostałam to, czego chciałam: pozwolenie na wejście do archiwum, sprawdzenie, że nic nie znajdę, i powrót do domu.

Winda w końcu zatrzymała się na naszym piętrze.

– Teraz pójdziemy coś zjeść, bo jestem głodna jak wilk – powiedziałam, gdy zamykały się za nami drzwi.

W kwestii interesów Konrad nie tracił czasu na głupoty; jak to się mówi, kuł żelazo, póki gorące, i wyciągał korzyści z każdej sytuacji. Przypuszczam, że to była jedna z tajemnic jego sukcesu. To, że opłacił podróż Teo do Paryża, również wiązało się z jego interesami. Mój przyjaciel był zawodowym fotografem, pracował jako wolny strzelec dla poważnej grupy wydawniczej. Zatem Konrad nie wahał się wykorzystać sytuacji, żeby zlecić mu zrobienie reportażu, którym miał zamiar zilustrować kampanię reklamową jednego ze swoich produktów.

Tego samego popołudnia Teo poszedł do La Défense, żeby zrobić pierwsze zdjęcia, a ja udałam się do archiwum ERR, niezbyt ciesząc się na to, że godzinami będę przeglądać dokumenty. Po wyczerpującej kontroli bezpieczeństwa, która polegała na kilkakrotnym przejściu przez wykrywacz metali i przepuszczeniu moich osobistych rzeczy przez promienie Roentgena,

dostałam wreszcie przepustkę do archiwum. Zgłosiłam się do wskazanej przez doktora Arnoux archiwistki, bardzo chudej kobiety, która po dłuższym oczekiwaniu położyła przede mną grube teczki wypełnione dokumentami. Mając taką górę papierów do przejrzenia, puściłam sobie z iPoda Keane i w rogu pomieszczenia zabrałam się do pracy.

Dokumentacja była dość zróżnicowana i wrywkowa. Były tam najprzeróżniejsze rzeczy: protokoły z przesłuchań personelu ambasady niemieckiej, rachunki za nabycie dzieł sztuki w Szwajcarii, oświadczenia kupców sztuki francuskiej, dokument przewozu stu osiemdziesięciu obrazów i grafik z kolekcji Walesteina do Niemiec, listy i dokumenty skonfiskowane w biurach ERR... Mnóstwo papierów i ani śladu von Bergheima. Jednak czas, który poświęciłam tym aktom, nie był zupełnie stracony, gdyż dał mi przynajmniej częściowe pojęcie o tym, jak dobrze zorganizowany był rabunek dzieł sztuki na terytoriach okupowanych, a konkretnie we Francji. Nic nie pozostawiono improwizacji, nic nie działo się przypadkowo.

Proces był prosty, ale skuteczny: przy pomocy gestapo ludzie z ERR wchodzili do porzuconych domów (opuszczonych z własnej woli albo pod przymusem) i zabierali wszystko, co według nich miało jakąkolwiek wartość artystyczną: obrazy, rzeźby, książki, antyki, meble, ceramikę, biżuterię... Właścicielami zwykle byli Żydzi, emigranci albo wywiezieni, oraz ludzie innych kategorii uznanych za wrogów Rzeszy. W ten sposób naziści zrabowali wielkie kolekcje sztuki najważniejszych żydowskich rodzin z Francji: Rothschilda, Davida-Weilla, Seligmanna, Veila-Picarda i wielu innych, w sumie dwadzieścia dwa tysiące dzieł sztuki. W niektórych przypadkach wykradzono też dzieła z kolekcji narodowych, szczególnie artystów niemieckich, w myśl zasady, że ta sztuka powinna powrócić do kraju swego pochodzenia.

Wszystkie dobra składano w Jeu de Paume, pawilonie usytuowanym w ogrodach Tuileries, i w niektórych salach w Luwrze, specjalnie do tego celu przystosowanych – podczas okupacji tylko niewielka część muzeum była dostępna dla publiczności. Tam przeprowadzano ich inwentaryzację, fotografowano je, katalogowano, a nawet poddawano pracom konserwatorskim, jeśli istniała taka potrzeba. Potem pakowano je i specjalnymi pociągami wywożono do Niemiec. Technicy z ERR regularnie przygotowywali też wystawy dla marszałka Göringa, żeby podczas licznych wizyt w Paryżu mógł sobie wybierać dzieła do prywatnej kolekcji. Te, które nie interesowały żadnego niemieckiego dygnitarza, sprzedawano albo wysyłano na licytację. Inne czekał gorszy los – obrazy należące do Entartete Kunst, czyli sztuki przez ideologię nazistowską uważanej za zdegenerowaną; wiele dzieł takich mistrzów jak Chagall, Kandinsky albo Munch skończyło w zapomnieniu magazynów albo, w niektórych przypadkach, na stosie.

Nadeszła pora zamknięcia archiwum, a ja nawet nie zdążyłam przejrzeć dokumentów osobowych; udało mi się jedynie przesłuchać dyskografię Keane. Musiałam zatem odłożyć dalsze przeszukiwania na następny dzień.

\*



## KLEKSIK Z ATRAMENTU

O dziesiątej rano zostawiłam Teo, który wybierał się na Gare de l'Est – jego druga sesja fotograficzna miała się odbyć na stacjach kolejowych – i pojechałam pociągiem do La Courneuve, żeby ponownie zagłębić się w cudowny świat badania dokumentów.

Jak powiedział doktor Arnoux, rejestr personelu przechowywany w archiwum nie był zbyt kompletny; w większości przypadków zawierał nazwisko, zadanie oraz informację na temat tego, gdzie dana osoba przebywała w okresie postępowania sądowego. Nie był to też zasadniczo rejestr personelu ERR, bo znajdowały się w nim dane osób i instytucji, które miały jakikolwiek kontakt ze sztabem: marszandów, pośredników, polityków, żołnierzy, prywatnych kupców, domów aukcyjnych, przedsiębiorstw transportowych... Ponadto personel niemiecki był przemieszany z francuskim, wojskowy z cywilnym, a rejestr wyglądał na sporządzony bez zastosowania logicznych kryteriów. Przeglądanie go okazało się nużące do bólu: człowiek za człowiekiem, zadanie za zadaniem, miejsce za miejscem... Pochylając się nad dokumentami, musiałam wyglądać jak Dustin Hoffman w *Rain Manie*, uczący się na pamięć książki telefonicznej.

Nie wiem, przez ile godzin pracowałam, ale gdy już byłam zanurzona w tym po czubek głowy, ktoś gwałtownie wyciągnął mnie na powierzchnię, stukając w ramię. Poderwałam się tak gwałtownie, że musiało to wyglądać komicznie.

– Przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć.

– Doktorze Arnoux! Nie widziałam, jak pan wchodził...

– Już to zauważyłem. – Uśmiechnął się. – Chciałem tylko panią pozdrowić.

Przechodziłem i... – zapowietrzył się i postanowił zmienić front. – Jak tam idzie praca?

Nie udało mi się pohamować dość ekspresyjnego grymasu.

– Prawdę mówiąc źle, Georg von Bergheim wydaje się duchem. Na razie go nie znalazłam.

– Mówiłem pani, że to niekompletny rejestr. Może powinna pani sprawdzić w archiwum Shoah...

– Shoah?

– Archiwum Muzeum Pamięci Shoah, już raz o tym wspominałem. Mają tam kopie większości dokumentów ERR zabranych do Berlina. Może są wśród nich kopie akt osobowych personelu.

– Chyba najpierw skończę z tym tutaj – oznajmiłam, patrząc na zakurzony stos papierów na stole. – Jeśli von Bergheim się nie pojawi, może spróbuję tam.

– Będę tu do obiadu. Jeśli uzna pani, że mogę być w czymś pomocny, proszę bez wahania mi o tym powiedzieć. Trzecie piętro, gabinet E.

– Bardzo dziękuję, na pewno skorzystam.

Chociaż zachowywał się szarmancko, bawiła mnie myśl, że odchodząc, pozdrowi mnie jak surfer machnięciem ręki albo będzie mi życzył, żebym się trzymała i żeby było wporzo. Oczywiście nie zrobił niczego w tym stylu, ograniczył się do wykonania zwrotu i odszedł szybkim krokiem, jak to człowiek o długich nogach. Uśmiechając się z powodu absurdalności swoich myśli, wróciłam do pracy.

Na chwilę przed zaplanowaną przeze mnie przerwą zapaliło się czerwone światełko BlackBerry, informując, że przyszedł e-mail. Od doktora Arnoux? – popatrzyłam zaskoczona. „Właśnie stoję za panią. Bardzo głośno pani śpiewa :)”.

Odruchowo spojrzałam za siebie i zobaczyłam, że rzeczywiście tam jest i uśmiecha się

jak łobuziak. Ściągnęłam słuchawki iPod'a.

– Nie chciałem pani znowu przestraszyć i nie wiedziałem, jak to zrobić.

– Naprawdę głośno śpiewałam?

Przytaknął.

– Matko boska, co za wstyd!

Doktor Arnoux uśmiechnął się i zajrzał mi przez ramię.

– Widzę, że dalej siedzi pani nad dokumentami – zauważył, zanim usiadł obok mnie.

Jednocześnie westchnęłam i kiwnęłam głową.

– Pomyślałem o czymś, co może pani pomóc...

– Naprawdę? To by było wspaniałe. Zaczynam już czuć się znużona, zwłaszcza że nie jestem pewna, czy podążam słuszną drogą.

– Idę coś zjeść tu niedaleko. Jeśli ma pani ochotę iść ze mną, opowiem pani o tym przy obiedzie.

– Zgadzam się. Ale pod dwoma warunkami...

Doktor Arnoux wydał się odrobinę zaskoczony tym, że stawiam warunki czemuś, co wynikało z jego uprzejmości.

– Że będzie nam towarzyszył Teo Díaz, który...

– Ach, tak, który pomaga pani w badaniach!

Przytaknęłam... bez wielkiego przekonania. Tak naprawdę niebawem miałam zamiar wyjawić mu, jaka jest prawdziwa natura naszych relacji; zrobię to podczas posiłku.

– Już się z nim umówiłam.

– Oczywiście, nie ma problemu. Jaki jest drugi warunek?

– Że przestaniemy sobie mówić na pan. Muszę przyznać, że trudno mi się tak zwracać do osoby, która pewnie jest w moim wieku, choćbyśmy byli nie wiem jak wielkimi doktorami.

Gdybym musiała rozmawiać tak formalnie przez cały obiad, mogłabym dostać niestrawności.

Doktor Arnoux uśmiechnął się. Zakładałam, że moja propozycja została przyjęta z ulgą.

– No to chodźmy, Ano. Zabieraj swoje rzeczy i ruszajmy.

Podczas obiadu Alain opowiedział nam, że kiedy Niemcy zajęli Paryż w czerwcu 1940 roku, stanęli przed problemem zakwaterowania całego tego ludzkiego kontyngentu, który tam przenieśli: personelu cywilnego, administracyjnego, wojska, SS. Dla wojska zbudowano koszary na obrzeżach miasta i przystosowano wielkie budynki, takie jak szkoły, magazyny i hale fabryczne. W wyniku zarządzenia nowych władz paryskie rodziny musiały niekiedy przyjmować na kwaterę w swoich domach okupantów, w zamian za niewielką rekompensatę finansową na pokrycie dodatkowych wydatków. Dla wysokich dygnitarzy cywilnych i wojskowych przeznaczono główne hotele w centrum, szczególnie te najbardziej luksusowe, które miały odpowiednie pokoje, właściwą obsługę i stosowne wyposażenie. Hotele takie jak między innymi Lutetia, Crillon, Meurice i George V były wspaniałym domem dla wielu Niemców przysłanych do okupowanego Paryża. Militärbefehlshaber in Frankreich, Dowództwo Wojskowe we Francji, kontrolowało wszystkie osoby zakwaterowane w Paryżu. Jeśli von Bergheim był w mieście, jego nazwisko musiało się znaleźć w rejestrze. Wydawało się możliwe, że Georg von Bergheim, jako major SS przydzielony do Einsatzstab Rosenberg, mieszkał w hotelu Commodore, który podczas pierwszych lat okupacji był kwaterą wysokich rangą funkcjonariuszy ERR.

Gdy wróciliśmy do archiwum, Alain poprosił o rejestr. Otworzyliśmy teczkę odnoszącą się do okresu pomiędzy listopadem 1940 a listopadem 1942 roku, odszukaliśmy grudzień 1941 roku, miesiąc, w którym von Bergheim napisał tamten list i...

– *Voilà!* – zawołał Alain, wskazując palcem notkę na papierze.

– Kurwa! – wyśnęło się Teo.

– Matko boska... – wyszeptalam, wzbudzając w sobie sceptycyzm.

Von Bergheim tam był, mieliśmy zaledwie nazwisko i datę zapisaną rozmazanym atramentem na poźółkłej kartce, ale nagle zaczął nabierać życia, jak główny bohater *Purpurowej róży* z Kairu, który wychodzi z ekranu i staje się człowiekiem z krwi i kości. Von Bergheim nie był już tylko kaprysem Konrada, był rzeczywisty.

– Chwileczkę. Zobaczcie – wskazał Alain – został zameldowany 4 grudnia w pokoju 202, ale data wyjazdu to 5 grudnia.

– Spędził tu tylko jedną noc? – chciałam potwierdzić zdumiona.

Alain przesunął wzrokiem po następnych stronach rejestru; przewracał je z pieczołowitością człowieka znającego wartość dokumentów historycznych, ale patrzył na nie ze znanstwem kogoś, kto jest do takich dokumentów przyzwyczajony.

– Tutaj jest znowu! 23 kwietnia 1942, znowu pokój 202.

– Dlaczego spędził w Paryżu tylko jedną noc, żeby wrócić cztery miesiące później?

– Wiedział, że wróci – zauważył Alain. – Może ta jedna noc posłużyła mu do zainstalowania się w mieście, ułożenia jakichś spraw. Dlatego miał ten sam pokój, swój, w którym już był urządzony.

– A co robił w międzyczasie?

– No jak to, co, kochanie, szukał słynnego obrazka. To była jego praca, co nie? – odpowiedział mi Teo po hiszpańsku, bo chociaż zrozumiał moje pytanie po francusku, nie był w stanie odpowiedzieć na nie w tym samym języku.

Spiorunowałam go wzrokiem. Przecież to była tajemnica.

Na szczęście hiszpański z akcentem z madryckich przedmieść, w dodatku zniewieściały, nie był zrozumiały dla Alaina, który nieświadom znaczenia tego komentarza, wrócił do pierwszego wpisu dotyczącego von Bergheima. Cała nasza trójka wpatrywała się w niego, jakbyśmy oczekiwali, że do nas przemówi.

– Taaa, to flejtuchy! Zrobili kleksik z atramentu... – zauważył mój przyjaciel.

Alain spojrział na Teo zmieszany, więc mu przetłumaczyłam to zdanie. Wtedy pochylił się nad kartką i przesunął palcem po domniemanym kleksie.

– To nie plama – zawyrokował. – To gwiazdka, odwołanie... – Wypowiadając te słowa, przesunął palec na koniec kartki. Była tam linia na marginesie rubryki, w której wpisywano nazwiska zameldowanych w hotelu. – Rhein Palast, 2, Reichsplatz, Straßburg. Pałac Reński, plac Rzeszy 2, Strasburg. To adres nazistowskiej komendantury z czasu, kiedy Strasburg należał do Trzeciej Rzeszy. Już wiemy, gdzie był twój wymykający się major.

\*

## KWIECIEŃ 1942

Paryż. Od 13 czerwca 1940 wojsko niemieckie zajmuje miasto. Flagi Trzeciej Rzeszy falują na każdym państwowym budynku. Po klęsce w wojnie z Niemcami Francja podpisuje zawieszenie broni, na mocy którego kraj zostaje podzielony na dwie strefy: strefę okupowaną, na północy, i strefę wolną, na południu, administrowaną przez kolaborujący rząd z siedzibą w Vichy, na którego czele stoi marszałek Pétain.

Czarny samochód oznaczony chorągiewkami ze swastyką zatrzymał się przed wystawnym wejściem do hotelu Comodore.

Kiedy szofer otworzył tylne drzwi, ze środka wysiadł Georg von Bergheim. Chociaż nie był w stanie biec, postarał się jak najszybciej dojść pod markizę, aby schronić się przed ulewnym deszczem. Wszedł do holu. W porównaniu z zalanymi deszczem, opuszczonymi ulicami Paryża recepcja wydawała mu się miejscem ciepłym i żywym, świadkiem cyklicznych przyjazdów i wyjazdów oraz spokojnych rozmów prowadzonych w jego ojczystym języku. Zameldował się przy kontuarze i wziął klucz do pokoju 202. Windą wjechał na swoje piętro. Tam jednak zastał chłód podobny jak na paryskich ulicach: pokój w półmroku, schludny, uporządkowany i pachnący środkiem odkażającym; zamrożony niczym fotografia, pozbawiony życia. Choć zapadał zmrok, nie kłopotał się zapalaniem światła. Niewielki bagaż, który przywiózł ze sobą, zaledwie małą teczką, postawił w kącie. Ściągnął płaszcz i czapkę, rozpiął guziki munduru i zapięcie wstążki wiszącego na szyi Krzyża Żelaznego. Chciał tylko wyciągnąć się na łóżku, a kiedy to zrobił, poczuł się odrobinę lepiej. Wydał z siebie długie, głębokie westchnienie... Zamknął oczy. Bolało go kolano, na pewno przez ten przekłety wilgotny klimat. W grobowej ciszy pokoju krople deszczu bijące o szyby przytłumiały inne odgłosy, nawet jego własnego oddechu.

Zaledwie przed kilkoma miesiącami został przydzielony do nowej misji, a już czuł się zdecydowanie bardziej zmęczony niż po półtora roku walki na pierwszej linii frontu. Polityka i politycy wysysali jego energię, sprawiali, że czuł się przygaszony i niepotrzebny jak broń bez amunicji. Właśnie przyjechał z Berlina, tego gniazda oderwanych od rzeczywistości biurokratów. Poszedł złożyć raport Himmlerowi: nie było absolutnie żadnego śladu obrazu zatytułowanego *Astrolog*, a absurdalne poszukiwanie go kosztowało już życie większej liczby osób, niż był tego wart. Nie bał się przemawiać szczerze, ubierać zdań w odpowiednie słowa, a nie w politycznie poprawne. Reichsführer Himmler spojrzał na niego znad okrągłych okularów z grymasem niezadowolenia na twarzy, ale nie zniżył się do zareagowania na jego uwagi, zdawało się, że niemal litościwie daje mu możliwość ponownego rozpatrzenia własnych słów. Czelność kwestionowania rozkazów samego Führera mogła go drogo kosztować – oto, jak Georg zinterpretował milczenie Himmlera. Niemniej, wbrew wszelkim jego przewidywaniom, Reichsführer był dobronny. „Nic mi nie wiadomo, żeby pańskie poszukiwania kosztowały czyjeś życie, panie Sturmbannführer von Bergheim”, rzucił obojętnie, niemal lekceważąco. Georg miał zamiar odpowiedzieć, jednak odniósł wrażenie, że to mogłoby tylko pogorszyć sytuację.

„Jakkolwiek by było – ciągnął Himmler – Führer jest przekonany o istnieniu tego obrazu, a wysnuł takie wnioski z raportów przysyłanych właśnie przez pana. Ponadto jest gorącym pragnieniem naszego Führera, Adolfa Hitlera, by *Astrolog* jak najrychlej znalazł się w posiadaniu Rzeszy. Radzę panu, Sturmbannführer von Bergheim, aby dobrze pan przejrzał własne raporty. Nie wiem, czy ma pan świadomość znaczenia swojej misji dla losów wojny i większej chwały naszego Führera oraz Niemiec. Byłoby bardzo przykre, gdyby osoba tak poważna jak pan, tak

koncertowo zawałiła tę sprawę, przykre dla nas, ale zdecydowanie bardziej dla pana”. Reichsführer Himmler potrafił grozić, to jasne. A także spełniał swoje groźby. Georg nie miał nic do dodania; mógł jedynie przełknąć swoją dumę i żałować, że stał się przedmiotem obsesji Führera, zupełnie pozbawionej podstaw. Nie miało znaczenia, jak wiele razy by czytał ten przeklęty raport, rzeczywistość okazywała się nieubłagana: po obrazie nigdzie nie było śladu, bo prawdopodobnie nigdy nie istniał, a nawet gdyby istniał, było czystym szaleństwem opieranie rozwoju działań wojennych oraz chwały Niemiec na jakiejś mistyfikacji.

Georg uniósł prawą rękę, stuknął obcasami, krzyknął: „Heil Hitler!” i wyszedł z gabinetu Himmlera. Kiedy wydostał się spod wpływu czarnego i duszącego cienia Reichsführera, dopadło go poczucie zniechęcenia. Otrzymał rozkaz, więc go wypełnił, bo to właśnie robił najlepiej. Georg von Bergheim nie bez powodu miał dwa Krzyże Żelazne za przekucie niewykonalnych rozkazów w godne chwały czyny.

Mimo swej determinacji Georg odnosił wrażenie, że podczas tego spotkania się postarzał. A może to wrażenie wynikało po trochu z tego, co zobaczył w poprzednich miesiącach. Nawet kilkudniowa przepustka, którą otrzymał z okazji narodzin dziecka, nie tchnęła w jego ducha odrobiny życia. Patrzenie, jak rodzi się własne dziecko, było przyjemnym doświadczeniem, dostarczyło mu nieopisanej radości i wzbudziło w jego sercu czułość, którą uznawał za dawno umarłą. Malutka Astrid, niewinna i słodka, kiedy ze szczodrością i czułością wołała do niego „tata”, kiedy go całowała i przytulała się do niego, podleczyła też nieco jego człowieczeństwo. Jednak to i tak nie wystarczyło, żeby Georg odzyskał wewnętrzny spokój. Coś się zmieniło. Być może wojna, być może wszystko dookoła... Pewne jest to, że się zmieniło. A może dlatego, że on się zmienił, to samo stało się z Elsie. Dziwnie się czuł, kiedy znowu byli razem: ona okazała się tak samo odległa jak on; ona zdawała się drażliwa, on też; ona już go nie całowała w szyję z zaskoczenia, on też jej nie całował.

„Kiedy się postarzałem?”, zadawał sobie pytanie Georg. Nie zmieniła go ta wojna, wojna wszystkich ludzi. Georg był przekonany, że toczy własną bitwę, że niszczy go zmaganie z samym sobą; nie konfrontacja w okopach, nie starcie czołgów ani wrogów bez twarzy, nie wojna o honor i ojczyznę. Nie, jego wojna wydawała się znacznie brudniejsza. Ale kiedy? Kiedy się rozpoczęła?

Strasburg, to było to słowo. To było to miejsce. Ta chwila. Nic już nie było takie samo po Strasburgu, nawet on. Nigdy wcześniej nie nadawał swoim ofiarom twarzy, imion i nazwisk. Nigdy wcześniej nie atakował, dopóki sam nie został zaatakowany. Nigdy przed Strasburgiem.

Początkowo szło dobrze: wizyty w domu, rozmowy z właścicielem, pogawędki o sztuce z tą dziewczyną... Ale z dnia na dzień wszystko się wywróciło do góry nogami. Całkiem nieoczekiwanie, tak jak wtedy, gdy człowiek się potyka i spada w przepaść, i pozwala się ponieść lawinie błota, kamieni i chaosu – nie mając się czego ucześcić, nie wiedząc, jak się zatrzymać.

Wspomnienia Georga zatrzymały się przy tym upadku w przepaść... Sen stopniowo pozbawiał go zdolności myślenia i wspomniania. Zanim jednak całkowicie mu uległ, przyrzekł sobie, że nigdy nie dopuści, aby gestapo wtrącało się w jego sprawy. Nigdy więcej do tego nie dopuści... Nigdy... Nigdy... Nigdy...

Ocknął się na dźwięk bębnienia deszczu o szyby. Nie był pewien, czy zasnął, ale wiedział, że przestał jasno myśleć. Zapalił nocną lampkę i rzucił okiem na zegarek na ręku: ósma. Leniwie, nie zwracając uwagi na klucie w kolanie, wstał z łóżka. Poszedł do łazienki i przed lustrem ponownie zawiesił na szyi Krzyż Żelazny i zapiął mundur. Miał zamiar zejść do baru.

Atmosfera w holu była bardzo ożywiona. Ludzie kręcili się to tu, to tam, rozmawiali, śmiali się i pili. Słychać było muzykę, a odgłos stukających o siebie bil zdradzał, że gdzieś blisko

stał stół bilardowy.

Usiadł przy barze, zamówił whisky z lodem i zapalił papierosa. Od śniadania nic nie jadł, ale nie odczuwał głodu. Zdał sobie sprawę, że ma pusty żołądek, dopiero gdy po pierwszym łyku whisky wydało mu się, że pękł mu wrzód.

– Sturmbannführer von Bergheim! Widzę, że już pan wrócił do Paryża...

Georg odwrócił się. Za nim stał Bruno Lohse, jedna z niewielu osób, z którymi rozmawiał podczas swojego poprzedniego krótkiego pobytu w stolicy.

– Tak jest, doktorze Lohse. Cieszę się, że znowu pana widzę. Myślałem, że wyjechał pan gdzieś w poszukiwaniu sztuki.

– Prawdę mówiąc, właśnie dziś wróciłem z Amsterdamu. Ale planuję zostać tu przez jakiś czas. A pan? Co tym razem sprowadza pana do Paryża?

Georg wypił do dna szklaneczkę whisky i wiele się nie zastanawiając, odpowiedział:

– Kobieta.

Bruno Lohse uniósł jedną brew i lekko się uśmiechnął.

– To nie to, o czym pan myśli – wyjaśnił Georg. – Chodzi o kobietę, która ma mnie doprowadzić do pewnego obrazu.

– Ach, obrazy i kobiety: najpiękniejsze rzeczy na tym świecie. Całe szczęście, że jesteśmy otoczeni i jednym, i drugim. – Lohse zajął miejsce u jego boku. – Pozwoli pan, że się przyłączę?

– Oczywiście. Czego się pan napije?

– Tego samego co pan.

Georg poprosił kelnera o dwie whisky. Wyjął cygarnicę i poczęstował Lohsego papierosem.

– Dziękuję. – Lohse włożył papierosa do ust i przyjął ogień zapalniczki podsuniętej przez Georga. Zaciągnąwszy się głęboko, zapytał: – Dalej pracuje pan dla Himmlera?

Georg skinął głową. Oficjalnie cieszył się w ERR statusem *Sonderauftrag* – osoby wykonującej misję specjalną dla Himmlera.

– A pan, jak rozumiem, dalej pracuje dla Göringa.

– Tak jest.

Lohse od roku też miał status *Sonderauftrag*, wykonywał zadanie specjalne dla Göringa, choć organizacyjnie również był przydzielony do ERR.

– Uważają nas za rozpieszczone dzieciaki – ciągnął Lohse. – Przestrzegam pana, że pańskie specjalne zadanie przysporzy panu wielu problemów w organizacji. Ludzie wkurzają się, że ktoś ma nadzwyczajne przywileje. Nie zdają sobie jednak sprawy z tego, że za przywilejami idzie też odpowiedzialność. Niemniej o tym porozmawiamy długo i wyczerpująco przy następnej okazji.

Georg domyślał się, o co chodzi Lohsemu. Teoretycznie bezpośrednią zależność od wysokiego dygnitarza rządowego uważano za godną pozazdroszczenia. W praktyce jednak przekładało się to na dodatkowe obciążenie ze strony przełożonego. Prawdopodobnie Lohse cierpiał z tego samego powodu co Georg.

Od początku to podobieństwo pomiędzy Lohsem a nim wydało mu się bardzo ciekawe. Obaj byli w tym samym wieku, mieli doktorat z historii sztuki, wcześniej pełnili funkcje wojskowe, a następnie zostali odsunięci od służby. I chociaż formalnie przydzielono ich do ERR, obu powierzono specjalne zadania, przy których realizacji cieszyli się całkowitą niezależnością, co powodowało wysypkę u wielu ich kolegów. Ponadto Lohse był osobą dość kontrowersyjną: zamiast nosić mundur, zawsze chodził po cywilnemu; jeździł prywatnym samochodem i odmawiał korzystania ze służbowego; miał w Paryżu własne mieszkanie; chociaż należał do SS,

unikął używania jego stopnia; i co równie ważne, sypiał z połówką sekretarek ERR. Wydawało się logiczne, że Bruno Lohse ma więcej niż jednego wroga.

Ponadto był wielkim ekspertem sztuki, szczególnie holenderskiej z XVII wieku. Znał rynek jak własną kieszeń, marszandzi szanowali go i zawsze składali mu dobre propozycje. W negocjacjach zaś był typem bardzo przebiegłym.

– Proszę mi powiedzieć, Lohse, słyszał pan kiedyś o obrazie Giorgionego *Astrolog*? Lohse, nie zastanawiając się ani sekundy, kategorycznie pokręcił głową.

– Ale będę uważał. Czy to tego obrazu pojechał pan szukać do Strasburga, a teraz przyjechał pan za nim do Paryża?

– Między innymi.

– Oczywiście miałem okazję obejrzeć kolekcję Bauera w Berlinie: niezbyt duża, ale z naprawdę interesującymi dziełami. Pan ją zabrał, prawda?

Na wspomnienie Bauerów Georga przebiegł dreszcz. Próbując to ukryć, spuścił wzrok i zdusił niedopałek w popielniczce, z zaskakująco wielką siłą.

– Niedokładnie. – Czując, że odzyskuje panowanie nad sobą, zdobył się na wyjaśnienie. – Kolekcja Bauera była typowym przykładem rabunku bez skrupułów. Gestapo przekroczyło swoje uprawnienia i zażądało wydania pewnych obrazów, które nie znajdowały się w sytuacji porzucenia.

Ktoś mu wyjaśnił, że funkcje, jakie pełnił ERR w zakresie opieki nad dziełami sztuki, były absolutnie legalne i wynikały z porozumień podpisanych w ramach zawieszenia broni z rządem Francji. ERR ograniczał się do ochrony i zabezpieczania dzieł sztuki porzuconych przez właścicieli. Niemniej w Strasburgu... W Strasburgu mieliśmy do czynienia z rabunkiem w biały dzień. Rabunkiem, za który on czuł się współodpowiedzialny. „Strasburg to już nie Francja, panie Sturmbannführer. Tutaj nie mają zastosowania porozumienia o zawieszeniu broni i sprawy załatwia się w inny sposób – odpowiedział na jego zastrzeżenia Kriminalrat gestapo w Strasburgu. – Skoro przyjechał pan tutaj, żeby dokonać inwentaryzacji kolekcji Bauera, proszę ograniczyć się do swojej pracy, a nam pozwolić wykonywać swoją”. Georg nie zgadzał się z tym, ale podpisał protokół inwentaryzacji; cóż innego mógł wtedy zrobić, skoro kolekcja znajdowała się już w sytuacji porzucenia? A wszystko z jego winy...

Przez chwilę Lohse patrzył na Georga tak, jakby mu współczuł.

– Mój kochany von Bergheim, widać, że krótko pan przebywał w Paryżu – zauważył w końcu. – Gdyby pracował pan pod rozkazami von Behra, nie dziwiłoby pana, że dzieje się coś podobnego. Ale proszę nie zapominać, panie Sturmbannführer: Niemcy nie rabują, Niemcy strzegą dziedzictwa kulturowego terytoriów okupowanych przed utratą i zniszczeniem – podsumował Lohse nie bez lekkiej kpiny w głosie.

Baron Kurt von Behr był szefem ERR na zachodnie terytoria okupowane. Dotychczas Georg nie poznał metod konfiskowania właściwych gangsterom von Behra ani nie zetknął się z nim samym: człowiekiem pozbawionym jakiegokolwiek wiedzy o świecie sztuki, pełnym pogardy wobec rzeczywistej wartości każdego dzieła, aroganckim, pyszałkowatym i ambitnym. Niebawem jednak miał się przekonać, że chociaż Strasburg nie należał do Francji, we Francji sprawy nie miały się wcale inaczej.

– Słuchaj, Georg... Mogę się zwracać do ciebie po imieniu, prawda? W końcu jesteśmy kolegami...

– Jasne.

– Jutro pójde odwiedzić kilku marszandów, z którymi zwykle współpracuję, żeby się dowiedzieć, co w trawie piszczy. Jeśli chcesz, chodź ze mną. Może znajdziesz coś ciekawego dla swojego szefa.

Georgowi wydało się to dobrym pomysłem. Dopóki nie natrafi na jakiś ślad *Astrologa*, powinien zadowolić Himmlera innym obrazem, który powiększy kolekcję Reichsführera w Wewelsburgu. Fakt, że Lohse miał być jego przewodnikiem po złożonym rynku sztuki w Paryżu, był luksusem, z którego nie mógł nie skorzystać.

\*



## MAM COŚ, CO MOŻE CIĘ ZAINTERESOWAĆ

Muszę powiedzieć, że nie do końca wiedziałam, dlaczego tak bardzo ucieszyłam się ze znalezienia von Bergheima. Kiedy się nad tym zastanowiłam, zdałam sobie sprawę, że to tylko skomplikuje mi sprawy. Pojechałam do Paryża z absolutnym przekonaniem, że nie odkryję nic, co podtrzyma poszukiwania domniemanego obrazu Giorgionego. Miałam zamiar natychmiast wrócić do Madrytu, wyjaśnić to Konradowi i zająć się swoim życiem. Ale wtedy okazało się, że Georg von Bergheim istnieje... To wielka przeszkoda!

Konrad bardzo się podniecił, kiedy mu o tym opowiedziałam przez telefon, i mimo że powstrzymał się od klasycznego „a nie mówiłem”, które okropnie mnie irytowało, taktownie skłonił mnie do kontynuowania poszukiwań.

– Możesz wziąć sobie urlop bezpłatny na tak długo, jak będziesz potrzebować – zasugerował.

– Jaki urlop bezpłatny, Konrad! Przypominam ci, że to ty mnie wcisnąłeś na moje obecne stanowisko. Urlop bezpłatny mam już na stanowisku kustosza. To byłby urlop z urlopu – odpowiedziałam ironicznie.

– No to jeszcze lepiej, *meine Süße*. Ja...

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi apartamentu. Ponieważ byłam przekonana, że to Teo, pozwoliłam, żeby Konrad dalej mnie mamił z drugiej strony telefonu, i poszłam otworzyć.

– ...mogę zaraz zadzwonić do... jak się nazywa? Do twojego szefa, rozumiesz. I wyjaśnię mu całą sprawę...

– Nie musisz robić za mojego ojca, Konrad. Ja sama...

Chciałam otworzyć drzwi, odwrócić się na pięcie i dalej gadać, gdy Teo będzie wchodził. Kiedy jednak otworzyłam, ani się nie odwróciłam, ani nie kontynuowałam rozmowy.

– Ana?

– Potem do ciebie zadzwonię, Konrad – rzuciłam krótko i się rozłączyłam.

– Nosisz okulary? – to były pierwsze słowa doktora Arnoux, który stał w progu apartamentu.

Pospiesznie, jakby przyłapano mnie na czymś niestosownym, ściągnęłam okulary. Niemal w tej samej chwili zadałam sobie jednak pytanie, dlaczego to zrobiłam.

– Tylko gdy nie noszę kontaktów – odpowiedziałam.

– No to powinnaś znowu je włożyć.

Starając się nie myśleć, jak bardzo zenująco się zachowuję, posłuchałam go. Poczułam się lepiej, znowu wyraźnie zobaczywszy jego twarz.

– Przepraszam, że przerwałem twoją rozmowę...

– Ach, nie martw się, to nie było nic ważnego, to tylko mój... kolega, jeden kolega.

– Miałem zamiar do ciebie zadzwonić, ale byłem akurat w pobliżu w drodze z uniwersytetu i... Może to jednak nie jest dobry moment.

Okulary, spodnie od dresu, koszulka, włosy źle spięte wsuwką i na bosaka... Doskonale wiedziałam, co by powiedział Teo: „Matko boska, kochanie, przysięgnij mi, że nie widział cię w takim stanie... Mówiłem, że nie powinnaś mu była zostawiać adresu”. Nie, zdecydowanie to nie był dobry moment.

– Tak, tak, wejdź, proszę.

Wszedł do środka i ruszył za mną do salonu. A ja po drodze zbierałam rozrzucone rzeczy: marynarka, iPod, książka, adidasy, pilnik do paznokci...

– Przepraszam za ten bałagan – powiedziała nie wiadomo po co, jeszcze bardziej

zwracając uwagę na wygląd mieszkania. Niezręczne sytuacje uwalniają pokłady głupoty.

– Nie przejmuj się, jest w porządku. To bardzo ładne mieszkanie. A budynek jest niesamowity. Kolekcja obrazów Larousse’a w holu jest oszałamiająca.

Larousse był jednym z najwyższej notowanych młodych francuskich malarzy, odkąd spodobał się Konradowi.

– Tak, prawda? Usiądź, proszę.

Doktor Arnoux usiadł na jednej z białych kanap stojących w tym modernistycznym, minimalistycznym salonie, który wyróżniał się dębową podłogą, wysokim sufitem zdobionym sztukaterią i wielkim balkonem, charakterystycznym dla budynków z XIX wieku. Ja również usiadłam – dość sztywno, jak w poczekalni u dentysty.

– Nie zajmę ci dużo czasu, tylko chwilę. Wczoraj, kiedy się pożegnaliśmy w archiwum, zacząłem się zastanawiać nad twoją sprawą...

Moje mięśnie jeszcze bardziej się usztywniły. Może domyślił się, jak bardzo go okłamałam, i teraz przyszedł tu, żeby patrzeć, jak się będę rumieniła? Na pewno nie dał się nabrać na tę historię o pisaniu biografii zwykłego majora SS.

– Byłem przekonany, że nie pierwszy raz usłyszałem nazwisko von Bergheim – mówił, podczas gdy ja panicznie szukałam w głowie usprawiedliwienia dla niezręcznej sytuacji, która według mnie zbliżała się z każdą chwilą. – W końcu nocą przypomniałem sobie, więc dziś z rana przejrzałem notatki z moich ostatnich badań. Reasumując, mam coś, co może cię zainteresować.

To całkowicie zbiło mnie z pantałyku. Przygotowywałam się na atak, a doktor Arnoux przyszedł do mnie z prezentem.

– Zainteresować? – powtórzyłam zmieszana, czym wywołałam także jego zmieszanie.

– Tak... Cóż, tak mi się wydaje... Może jednak jestem intruzem...

– Nie, nie! Absolutnie nie! Przepraszam, byłam rozkojarzona. Mówiłeś, że znalazłeś coś na temat von Bergheima?

– Tak. To nic wielkiego, ale może ci pomóc w poszukiwaniach. – Z kieszeni spodni wyciągnął kartkę. – Przyniosłem ci kopię jednej ze stron raportu na temat działań Einsatzstab Rosenberg we Francji, sporządzonego po wojnie przez ALIU, Art Looting Intelligence Unit, specjalny oddział armii amerykańskiej, który badał nazistowskie rabunki. Raport opiera się na oficjalnych niemieckich dokumentach i na protokołach z przesłuchań, którym przez miesiąc poddawano kilku członków ERR. Przesłuchiwano między innymi Waltera Andreasa Hofera, który kupował dzieła sztuki dla Göringa, Roberta Scholza, który doradzał Rosenbergowi w sprawach sztuki, i Brunona Lohsego, który w miesiącach poprzedzających wyzwolenie był dyrektorem technicznym ERR w Paryżu, ale pracował dla sztabu także w terenie. – Doktor Arnoux podał mi papier. – Przepraszam, że jest trochę pognieciony, ale przyjechałem na motorze i nie miałem gdzie go schować...

– Nie ma sprawy... Dziękuję.

Spojrzałam na ksero: raport w języku angielskim, napisany drobnym, gęstym pismem, które niezwykle trudno było odczytać. Jednak doktor Arnoux zakreślił fluorescencyjnym pisakiem nazwisko Georga von Bergheima.

– Wspominają w tym raporcie Georga von Bergheima?

Byłam przekonana, że już przeczytał raport i może go streścić, oszczędzając mi morderczy przedzierania się przez tekst. Prawda jest taka, że doktor Arnoux niczego bardziej nie pragnął.

– Tak jest. W tej części raportu mówi się o konfliktach powstałych w łonie ERR.

W pewnej chwili Bruno Lohse, który był pełnomocnikiem Göringa we Francji w sprawach sztuki, mówi o zawiści reszty personelu, spowodowanej jego specjalnym statusem *Sonderauftrag*...

– *Sonderauftrag*?

– Tak. To coś jakby misja specjalna zlecona przez specjalną osobę. Normalnie ludzie o statusie *Sonderauftrag* mieli listy polecające, które sprawiały, że każda jednostka cywilna i wojskowa musiała pomagać im w ich misji. To była niejako *carte blanche*, gwarantująca wolność działania w każdej sprawie i oznaczająca podporządkowanie tylko jednej osobie – tej, która wydała *Sonderauftrag*. W przypadku Lohsego tą osobą był Göring. Lohse wspomina, że w ERR w Paryżu były tylko dwie osoby o tym statusie: on sam i...

– Georg von Bergheim – podsumowałam.

– Właśnie tak. Tyle że von Bergheim miał status *Sonderauftrag* nadany przez Himmlera, to znaczy zależał bezpośrednio od niego. Lohse wspomina też, że chociaż von Bergheim nie miał żadnego oficjalnego stanowiska w ERR, regularnie współpracował ze sztabem w sprawach inwentaryzacji i katalogowania kolekcji jako ekspert od historii sztuki i że był w Arbeitsgruppe Louvre do marca 1943 roku, kiedy to na wezwanie przełożonego wrócił do Niemiec. To wyjaśnia, dlaczego nie znalazłaś jego nazwiska w rejestrze osobowym, który obejmuje tylko personel aktywny w 1944 roku.

– Co to było Arbeitsgruppe Louvre?

– To była jednostka ERR złożona z historyków sztuki, konserwatorów, fotografów i personelu pomocniczego, która inwentaryzowała i katalogowała skonfiskowane dzieła sztuki oraz przygotowywała ich wysyłkę do Niemiec.

Zamyśliłam się. Chociaż już wiedziałam, że von Bergheim pracował dla Himmlera, ten dokument oficjalnie potwierdzał to, o czym była mowa w liście.

– Mogłabym zobaczyć kopię całego raportu?

– Tak, oczywiście. Przyjdź jutro po południu do mojego gabinetu, przygotuję ci to.

– Sądzę, że poszerzenie wiedzy o organizacji, w której pracował von Bergheim, może być interesujące – usprawiedliwiłam się.

– Przyznam, że kiedy mi opowiedziałaś, że zbierasz materiały do biografii majora SS, wydało mi się to co najmniej... zaskakujące.

Spojrzałam na niego z równie wielką powagą jak oczekiwaniem.

– Biografie osób anonimowych zwykle są przygotowywane tylko przez krewnych, to niemal jak hobby, sposób na uhonorowanie pamięci dziadka, a nie poważna praca badawcza. Jednak w tym wypadku sprawa jest jasna: nasz człowiek pełnił misję specjalną dla Himmlera, czyli że nie był byle kim.

Przez chwilę odnosiłam wrażenie, że Alain próbuje pociągnąć mnie za język.

– No w sumie to jeszcze dokładnie nie wiem, kim tak naprawdę był Georg von Bergheim... – Nie chciałam dać się przyłapać. – Właśnie staram się tego dowiedzieć. Ale z jednym masz rację, przygotowuję tę biografię na prywatne zamówienie pewnego kapryśnego człowieka, który ma zbyt dużo wolnego czasu i mnóstwo pieniędzy. Jakkolwiek by było, bardzo ci dziękuję za bezinteresowną pomoc.

– Nie dziękuj. Moja pomoc wynika z zawodowego skrzywienia; nie mogę przejść obojętnie wobec żadnego badania, bez względu na to, o co chodzi. A prawdę mówiąc, o tym raporcie przypomniałem sobie przez przypadek i przez przypadek natrafiłem na von Bergheima, bo go tam nie szukałem. To, że przez całą noc jego nazwisko chodziło mi po głowie, to inna sprawa...

Zawiesił głos, jakby sprawdzał, czy udało mu się obudzić moje zainteresowanie. Przypuszczam, że uzyskał potwierdzenie, zobaczywszy, że siedzę pochylona do przodu i wpatruję się w niego, więc kontynuował:

– W zeszłym roku prowadziłem dla EFLA sprawę kolekcji zaginionej w Strasburgu na

początku 1942 roku. Należała do żydowskiego przedsiębiorcy Alfreda Bauera i chociaż nie jest to duża kolekcja, zawiera dzieła wielkiej jakości, przede wszystkim szkoły flamandzkiej z XVI wieku. Dzisiaj przejrzałem dokumenty i okazuje się, że cała kolekcja została skatalogowana i zinwentaryzowana w lutym 1942 roku przez... Domyślasz się, który specjalista od historii sztuki podpisał tę inwentaryzację?

– Sturmbannführer SS Georg von Bergheim.

– Właśnie on.

Zaledwie sekundę zajęło mi obrobienie tej informacji: biorąc pod uwagę, że von Bergheim poszukiwał tylko *Astrologa* i pojawiwszy się na krótko w Paryżu, zaraz przeniósł się do Strasburga, gdzie zajął się przeglądaniem kolekcji Bauera, można było domniemywać, że obraz należał do tej kolekcji. Nie mogłam się pohamować, żeby nie zadać pół jawnego pytania:

– Tak z ciekawości, czy w kolekcji Bauera był jakiś obraz Giorgionego?

Doktor Arnoux zmarszczył brwi. Może popełniłam nieostrożność, zadając to pytanie, które mógł uznać za niestosowne.

– Nie. Z tego, co pamiętam, nie, ale mogę przejrzeć listę...

– To tylko osobista ciekawość. Muszę wyznaczyć, że specjalizuję się w Giorgionem i też mam swego rodzaju skrzywienie zawodowe. – Ponieważ zapuszczałam się na coraz bardziej mętne wody, zdecydowałam się zmienić temat. – Co się stało z kolekcją Bauera?

Alain wzruszył ramionami.

– Większość dzieł zaginęła i trudno je będzie odzyskać ze względu na naturę kolekcji: sześćdziesiąt procent stanowiło to, co nazistowscy ideolodzy klasyfikowali jako sztukę zdegenerowaną. W kolekcji Bauera było wielu przedstawicieli impresjonizmu i kubizmu. Jeden van Gogh i jeden Matisse, poza tym jeden Marcoussis i jeden Mondrian, żeby wspomnieć najbardziej znaczących. Dzieła, którymi naziści pogardzali, były najbardziej zagrożone: kiedy wpadały w ich ręce, były albo niszczone, albo wymieniane na rynku na inne, bardziej odpowiadające ich gustom, sprzedawane albo wystawiane na licytację. Trudniej prześledzić ich losy. Inaczej było z ulubionymi artystami nazistów – ich dzieła przechowywali w specjalnych depozytach. Z czasem miały się znaleźć w wielkim muzeum, które Hitler planował stworzyć w Linzu, albo przechodziły do prywatnych kolekcji partyjnych jastrzębi. Kiedy Niemcy przegrali wojnę, łatwiej je było odzyskać albo przynajmniej zlokalizować. W przypadku Bauera udało mi się znaleźć zaledwie kilka obrazów mniej znaczących malarzy flamandzkich z XVI wieku, których naziści najbardziej pożąдали, i jednego van Eycka... – Przez kilka chwil milczał. Miał zagubiony wzrok, wyglądał, jakby się zastanawiał, skrobiąc się po rzadkiej brodzie. W końcu westchnął i wyznał: – Potem to zostawiłem.

– Zostawiłeś to? Dlaczego?

Zdałam sobie sprawę, że jego zachowanie zdradza napięcie: krzyżował i prostował nogi, przyglądał włosy i brodę, wzdychał.

– Zostawiłem, bo... Nie wiem, trudno to wyjaśnić. Tak naprawdę nikt nie zażądał zwrotu kolekcji prawowitym właścicielom. Nie udało się zlokalizować spadkobierców ani nikt nie domagał się jej dla siebie...

– Z rodziny Bauera nikt nie ocalał?

– Cóż, nie jestem pewien... Zasadniczo nikt z nich nie przeżył wojny. W każdym razie jedna córka, Sarah... Sarah Bauer... Nie udało mi się znaleźć informacji na temat jej miejsca pobytu, nic, co by dowodziło, że żyje albo że umarła. Jak ci powiedziałem, zostawiłem śledztwo niedokończone.

Kiedy doktor Arnoux wyszedł, ściągnęłam z twarzy maskę uśmiechu, ogarnęło mnie poczucie niezręczności. Jak gdyby po zamknięciu za nim drzwi apartament przestał być sceną, na

której oboje odgrywaliśmy jakieś role. Okłamywałam go, a przynajmniej ukrywałam przed nim prawdziwy cel mojego badania, ale coś mi mówiło, że on też mnie okłamuje. Taka bezinteresowna pomoc i zawodowe skrzywienie budziły moją nieufność... Byłam pewna, że za jego pomocą coś się kryje, ale chociaż długo się nad tym zastanawiałam, nie byłam w stanie dociec, o co chodzi.

\*

## MAJ 1942

Od października 1941 roku, kiedy rząd Vichy ogłosił Statut Żydów, mają oni ograniczone prawa i wolności: między innymi nie mogą wykonywać większości wolnych zawodów, mają zakaz wstępu do wielu miejsc publicznych, mogą robić zakupy w wyznaczonych i skróconych godzinach i podróżować jedynie w ostatnim wagonie metra. Zasady te zostają odwołane w maju 1942 roku, kiedy władze niemieckie wydają dekret, zgodnie z którym zmusza się ich do noszenia na ubraniu żółtej gwiazdy Dawida naszytej na lewej piersi.

Sarah czuła się zmieszana i oszołomiona. Nic nie rozumiała. Mogła jedynie bezsilnie przyglądać się wydarzeniom. Kiedy chciała krzyczeć, głos wiązał jej w gardle, a kiedy chciała się poruszyć, mięśnie jej nie słuchały. Skrywała w sobie trwogę, wściekłość, ból i konsternację, które wciąż narastały, nie znajdując ujścia. Nic nie przynosiło ulgi jej zmysłom. Czuła się tak, jakby tam była, ale niezupełnie.

Wszystko działo się bardzo szybko, a ona pozwalała się nieść wydarzeniom. Ojciec dawał jej schronienie i popychał ją do klapy w podłodze, matka chciała ją pocałować, ale nie mogła jej dotknąć. Mały braciszek przytulał się do starszej siostry i oboje na nią patrzyli. Kłapa się zamknęła i ona poczuła się zanurzona w ciemności piwnicy. Na suficie rozbrzmiewały kroki z parteru, wzniesiony przez nie kurz przeciskał się przez szpary w drewnianej podłodze i prószył w oczy, kiedy unosiła wzrok w poszukiwaniu światła. Słyszała głosy i krzyki, uderzenia i stukot obcasów. Krzyczał jej ojciec, matka, rodzeństwo i ci mężczyźni. Ale Sarah nie mogła krzyczeć. Wszystko w niej było nieme: łzy spływające jej po policzkach, pot zalewający skronie, nawet spłoszone serce głucho uderzało w piersi.

Ale wraz ze straszliwą sekwencją dźwięków docierało do niej to najgorsze. Najpierw trzask uderzenia w policzek, potem histeryczny płacz matki, a na koniec przerażający głos tego policjanta. Sarah z całą mocą zaciskała powieki i zasłaniała sobie uszy, jednak bezskutecznie, raz za razem słyszała tę samą sekwencję. Nie mogła jej od siebie odrzucić, bo rozbrzmiewała w środku jej głowy. I mogła powtarzać się w nieskończoność, aż do szaleństwa.

Tylko jedno zatrzymywało tę torturę...

– *Es reicht!*

To „Dosyc!” wyrzucone potężnym głosem niemieckiego oficera budziło Sarah ze snu. Od swego przyjazdu do Paryża co noc miała ten sam koszmar. Potem nie była już w stanie zasnąć. Wstawiała, przygotowywała sobie napar z cykorii, która zastępowała kawę, i rozpoczynała swoją codzienną rutynę. Myła się, schodziła z Héléne do kolonialki na rogu. Kolejka przed sklepem zawsze była długa; czasem stała godzinami. Godziny oczekiwania, które kończyły się przed pustym kontuarem. „Ta nienawistna kolejka – lamentowała Héléne. – Gdyby tu był mój ojciec, na pewno zrobiłby tak jak ludzie bogaci: zapłaciliby komuś, żeby stał w kolejce za nas”. Stanie w kolejce znosiło się, plotkując z sąsiadami. Te dni poruszenia i niepewności wzmagaly plotki, i to było jedyne źródło informacji nieprzechodzące przez niemiecką cenzurę: *On dit*, „mówi się”. „Mówi się, że pod koniec roku nie będzie już można znaleźć masła na czarnym rynku. Mówi się, że chleb robią z trocin, bo mąkę zabierają Niemcy. Mówi się, że cena ziemniaków wzrośnie dwukrotnie. Mówi się, że zmniejszą dzienną rację mięsa do 120 gramów na osobę...” Jedzenie, jedzenie, jedzenie... Francuzi nie potrafili mówić o niczym innym, tylko o jedzeniu. Sarah nieustannie to zaskakiwało: mimo ujarzmienia i upokorzenia ich ojczyzny, mimo trwającej na całym świecie wojny, Francuzi byli w stanie koncentrować się tylko na jednym – własnym żołądku.

Po zrealizowaniu kuponów z kartek na jedzenie obie kuzynki wracały do mieszkania

i przygotowywały śniadanie. Sarah karmiła króliki, które hodowały na balkonie, żeby móc liczyć na dodatkową rację mięsa, szła do pracy w księgarni, wracała do domu, coś jadła i przed snem pisała list do rodziny.

Na żaden z tych listów nie dostała odpowiedzi.

Tamtego dnia była niedziela i Sarah nie pracowała. Prawie co niedziela umawiała się z Jacobem do kina na niemiecki albo francuski film; amerykańskie były zakazane, co wydawało jej się smutne. Jakże ona lubiła hollywoodzkie filmy! Jakże lubiła oglądać na wielkim ekranie Cary'ego Granta i Errola Flynna. I jak wiele razy przyglądała się sobie w lustrze, starając się upodobnić do Rity Hayworth. Najgorsze jednak było to, że nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mogła zobaczyć swych ulubionych aktorów...

Sarah i Jacob umówili się przy wyjściu z metra na placu Opery. Mieli iść do Paramount, gdzie pokazywano *L'homme du Niger*.

– Musimy się pospieszyć, jeśli mamy zdążyć na seans o trzeciej.

Jacob przeciągnął się i podrapał po głowie pod czapkę; raczej nie podzielał pośpiechu Sarah.

– Dzisiaj nie mam ochoty na kino. Jest wspaniałe wiosenne popołudnie, nie chcę się zamykać w ciemnej sali.

Sarah zmarszczyła brwi. Przez ostatnie dwa miesiące zawsze w niedziele chodzili do kina. Co spowodowało tę nagłą zmianę planów?

– A co chcesz zrobić?

– Możemy pójść do Ogrodu Luksemburskiego. Nie wiem... pójść na spacer, zażyć słońca i powietrza.

Sarah wzruszyła ramionami. Nie za bardzo podobało jej się spacerowanie z Jacobem, jakby byli parą. Kuzynka Hélène zawsze się z nią droczyła, mówiąc, że on jest jej narzeczonym. Ale tak nie było. Tak naprawdę to Hélène chciałaby zostać narzeczoną Jacoba. Sarah nie mogła tego zrozumieć. Może Jacob, z gęstą czarną czupryną, był chłopakiem, który się dziewczętom podobał, silny i bardzo męski? Jednak poza tym był chłopakiem nieokrzesanym i zarozumiałym, w zasadzie nie można z nim było porozmawiać na jakiś choćby trochę poważniejszy temat. Oczywiście musiała przyznać, że Jacob jest jej jedynym przyjacielem w Paryżu, a poza tym uratował jej życie.

– Dobrze. Jeśli tego chcesz...

Ruszyli przez rue de la Paix w kierunku rue de Rivoli. Czekali ich długi marsz do Ogrodu Luksemburskiego, ale trzeba przyznać, że popołudnie było piękne. Poza tym w ostatnich dniach w Paryżu wszyscy spacerowali. Cięcia w zaopatrzeniu w ropę i benzynę spowodowały ruch drogowy tylko do samochodów władz okupacyjnych. Paryżanie musieli niszczyć zelówki albo pedałowac, jeśli mieli szczęście. Znowu rozmnożyły się wozy ciągnięte przez konie oraz dziwaczne pojazdy niedawnego pomysłu, powstałe w wyniku ograniczeń: ryksze, autobusy napędzane gazem, samochody na silnik węglowy... I były rowery, wszędzie tysiące rowerów.

Idąc, Sarah myślała, że w dzielnicach w centrum miasta najbardziej widać obecność okupantów. I nie tylko z powodu flag ze swastyką ostentacyjnie falujących na większości fasad budynków publicznych ani z powodu wielkiej liczby mężczyzn i kobiet w mundurach, wtapiających się w normalne codzienne życie, siedzących w kawiarniach, kupujących na ulicznych targowiskach, fotografujących się pod wieżą Eiffla, czytających gazety na rogach ulic albo podziwiających obrazy wystawiane na Rive Gauche. Nie tylko z powodu wielkich plakatów propagandowych: „Jedź pracować do Niemiec”, „Wstąp do Francuskiego Legionu Ochotniczego”, „Praca, rodzina, ojczyzna”. Ani szyldów pisanych gotykiem na zajętych i przekształconych budynkach: SoldatenKaffee, General der Luftwaffe, Militärbefehlshaber...

Również nie z powodu wojskowych i urzędowych pojazdów zaparkowanych przed komendanturą. Przecież były to tylko zewnętrzne oznaki okupacji.

To, co najbardziej przygnębiające, nie wychodziło na światło dzienne: powstrzymywane napięcie, pozory normalności, nieustający niepokój, poczucie niewiedzy, czy nie popełnia się przestępstwa przez jakąś głupotę: brak dokumentów przy sobie, czytanie nieodpowiedniej gazety albo bycie Żydem.

Życie w okupowanym Paryżu było nieustającą debatą pomiędzy „wszystko jest tak samo” i „nic nie jest takie jak kiedyś”. Przypominało jazdę kolejką górską: chwile rutyny, sytuacje niepewności, obrazy biedy, chwile radości i odpoczynku... chwile strachu, wielkiego strachu. Było tak niepokojące, jak świadomość, że uprzejmy niemiecki żołnierz, bardzo dobrze wychowany i pełen szacunku, mógł kilka godzin wcześniej bezlitośnie przeprowadzić egzekucję jakiegoś Francuza. Któregoś razu Sarah niechcący popchnęła niemieckiego oficera. Przestraszona pochyliła głowę i skuliła się w sobie, ale oficer pomógł jej pozbierać rzeczy z ziemi i rozplątał się w przeprosinach. Kiedy Sarah przyszło do głowy, że to właśnie ten oficer mógł siłą wyprowadzić jej wujka z domu, skręcał jej się żołądek z trwogi i niepewności.

Tak mijały okupacyjne dni – na ciągłym kręceniu się w kółko. Czasem sytuacja stawała się nie do wytrzymania, innym razem Sarah myślała, że być może przywyknie.

Tak jak tego niedzielnego, słonecznego i leniwego popołudnia, w który przekroczywszy bramę Ogrodu Luksemburskiego wydało jej się, że wkroczyła do oazy wolności i spokoju. Ludzie spacerowali, zamiast uciekać, spokojnie rozmawiali, zamiast pokątnie szeptać, dzielili się racjami chleba i masła pod drzewem, zamiast o nie walczyć. Jacyś starszuszki grały w karty, inni drzemali w słońcu. Kilkoro dzieci puszczało drewniane łódki na wodach sadzawki, inne w zauroczeniu przyglądały się przedstawieniu w teatrze marionetek i się śmiały. Gdyby nie małe zagony cebuli, rzodkiewek, pomidorów i innych warzyw w miejscach, gdzie wcześniej były kwietniki, nie rzucaloby się w oczy nic nienormalnego.

– Mam dla ciebie niespodziankę – obwieścił Jacob, gdy wygodnie ułożyli się na trawie, w migotliwym cieniu kasztana zaczynającego wypuszczać liście.

– Co...?

Sarah była sceptyczna. Nie uważała, żeby Jacob był w stanie czymś ją zaskoczyć, więc dalej bezwiednie bawiła się żdźbłem trawy w palcach.

Jacob pogrzebał w kieszeni wełnianego swetra, cerowanego i pokrytego skłębionymi kulkami. Sarah wydało się, że słyszy szelest papierka: to Jacob zwracał na siebie uwagę.

– Czekolada! Ale Jacob, gdzie ci się udało ją zdobyć? – zawołała, biorąc do rąk tabliczkę czekolady Menier ofiarowywaną przez młodzieńca.

– Jak to gdzie? Na czarnym rynku.

– Musiałeś zapłacić fortunę...

To właśnie Jacob chciał usłyszeć. Wzruszył ramionami, jak gdyby wyczyn – dla niego nim był – nie miał żadnego znaczenia.

– No cóż, jeden frydolin dał mi konkretny napiwek.

Sarah uśmiechnęła się. Bawiło ją obserwowanie, jak Jacob przyswaja sobie paryski żargon. Ciekawe było to, że on jako Alzacyjny, będący tyleż Francuzem, ile Niemcem, mówi o Niemcach, używając pogardliwych paryskich określeń. Fryc albo bosz były dwoma z nich. Frydolin było słowem nowym.

– Prawie musiałem się potrzaskać z jednym gościem, żeby ją zdobyć. Została tylko jedna tabliczka, a ten złodziej chciał mi ją zabrać. Ale to bez znaczenia, święto to święto... A dzisiaj są moje urodziny – obwieścił Jacob bez wielkich ceregieli.

– Ależ Jacobie, dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałaś?! Zrobiłabym ci ładny



prezent albo bym upiekła ciasto. Ciocia Martha schowała słoik marmolady... No dobrze, wszystkiego najlepszego, Jacobie.

Sarah nie wiedziała, czy powinna pocałować go w policzek. W końcu wołała jednak tego nie robić.

Zaskakujące, jak mało o nim wiedziała, mimo że tak wiele razem przeszli. To prawda, że Jacob zaczął dla niej istnieć zaledwie kilka miesięcy wcześniej, kiedy pomógł jej się wymknąć z domu rodziców. Wiedziała tylko, że nie ma rodziców i że zaopiekował się nim rabin z Illkirch, z którego polecenia pracował dla ojca Sarah jako stajenny. Jacob wyciągnął ją z domu, zanim znaleźli ją Niemcy, sparaliżowaną strachem w piwnicy. Wskazał jej drogę na tyły, prowadzącą do gęstego lasu, gdzie nie groziło jej niebezpieczeństwo złapania przez gestapo. Potem razem odbyli podróż do Paryża, częściowo pieszo, częściowo ukryci w wagonach pociągów towarowych albo na wozie jakiegoś chłopca, który zlitował się nad nimi. Chłopak łowił dla niej ryby, polował dla niej i kradł dla niej owoce z mijanych po drodze ogrodów. Aż w końcu, po tygodniach perypetii, przybyli do stolicy, gdzie mieszkało wujostwo Sarah. Wtedy zarówno jedno, jak i drugie pomyślało, że ich nieszczęścia dobiegły końca, a przecież dopiero co się rozpoczęły.

– Nie zjesz jej?

– Tak, jasne! – Sarah zerwała papierek i ułamała po kawału dla każdego. – Za twoje urodziny!

Oboje unieśli swoje kawałeczki w geście toastu.

Sarah wyciągnęła się na trawie, rozsmakowując się w czekoladzie, bardzo powoli i z autentyczną rozkoszą. Zamknęła oczy. Słońce pieściło jej powieki, wietrzyk policzki. Do uszu docierała wrzawa bawiących się dzieci i muzyka akordeonu. Mogło to być idealne popołudnie, lecz...

– Dzisiaj znowu śnili mi się rodzice – wyszeptwała z wciąż zamkniętymi oczyma. – Co noc ten sam sen...

Jacob patrzył na Sarah – lubił się jej przyglądać – ale nie wiedział, co powiedzieć. Słowa nie były jego wielkimi przyjaciółmi. Sarah o tym wiedziała, dlatego nie wymagała od niego odpowiedzi ani żadnego komentarza. Potrzebowała tylko, żeby jej słuchać, a do tego Jacob nadawał się najlepiej. Zawsze słuchał tego, co mówiła.

Czekolada już się roztopiła w ustach. Całkowicie. Aż do ostatniego kawałeczka. Nagle nie zostało w Sarah nic słodkiego.

– Sen jest bardzo pogmatwany... Tak jak moje wspomnienia.

Nagle otworzyła oczy, by potwierdzić, że Jacob na nią patrzy. Podparła się i rozpuszczone włosy pokryły jej nachyloną twarz.

– Nie odpowiedzieli na moje listy. Na żaden, odkąd wyjechałam z domu. Martwię się.

– Na pewno dobrze się miewają. Wiesz, jak to się mówi: brak wiadomości to dobre wiadomości.

Sarah absolutnie nie była co do tego przekonana, zwłaszcza mając na względzie to, co się działo. Zabierano wielu ludzi – przy wyjściu z synagogi albo bezpośrednio z domów, tak po prostu. Wchodzili, wzywali ich po nazwisku i zabierali; ledwie mieli czas, żeby wziąć cokolwiek, praktycznie wychodzili w tym, co mieli na sobie. I nikt dobrze nie wiedział, dokąd się kierowali, krążyły tylko plotki. Jedne mówiły, że przenoszono ich do innych mieszkań, w gettach; inne, że mężczyźni wysyłano na roboty przymusowe, takie, których Niemcy nie chcieli wykonywać, a kobiety kierowali do fabryk; najwięksi pesymiści mówili o gorszym losie... Sarah nie bardzo wiedziała, co myśleć. Wołała raczej wiele się nad tym nie zastanawiać, a jeśli już, to przyjmować wersję najbardziej optymistyczną; z natury była optymistką.

– Może powinnam wrócić do Illkirch...  
– Nawet o tym nie myśl – uciął Jacob. – Ojciec powiedział, żebyś została z wujostwem i nie ruszała się z Paryża, aż on da ci znak, pamiętasz?  
– Tak, wiem... Ale...

– Nie powinnaś się martwić, Sarah. Jestem przekonany, że wszystko jest w porządku. Jeśli do tej pory jeszcze nic ci nie odpowiedzieli, to żeby nie wystawiać cię na niebezpieczeństwo. Musisz być cierpliwa.

Sarah westchnęła i zebrała włosy za uchem. Być może Jacob miał rację. Tak chciała w to wierzyć.

Chciałaby znowu położyć się na trawie... co popołudnie, codziennie; nie opuszczać tej wyspy ukrytej przed burzą; nie musieć stawiać czoła codziennej rzeczywistości. Bo leżąc tam, słuchając śmiejących się spacerowiczów i czując, że natura dalej podąża swoją drogą, mimo szaleństwa ludzi, odnosiła wrażenie, że nie może się zdarzyć nic złego, że w ogóle nie dzieje się nic złego. A jednak doskonale wiedziała, że to nieprawda, że to popołudnie w parku jest zaledwie snem, z którego wcześniej czy później będzie musiała się obudzić.

– Wracajmy do domu, Jacobie. Wracajmy powoli, spacerkiem, jakby nic nas nie goniło.

Przed ósmą wieczorem, czyli przed godziną policyjną dla Żydów, Sarah i Jacob dotrą do domu Metzów na rue Desaix, w jednej z lepszych paryskich dzielnic. Jacob zje kolację z rodziną, jak niemal co niedzielę; będą ziemniaki i kalarepa, a może i odrobina mięsa. I może ciotka Martha wyciągnie z głębi spiżarni ten słoik z marmoladą strzeżony pod kluczem, bo przecież urodziny Jacoba to dobra okazja.

\* \* \*

Ojciec Sarah obsesyjnie powtarzał, że powinna odwiedzić hrabinę Vandermonde, gdy tylko przyjedzie do Paryża. Ona pytała go, dlaczego powinna to zrobić i kim jest ta hrabina, ale nie było czasu na wyjaśnienia, mieli dokładnie tyle sekund, żeby ojciec wsunął jej do kieszeni płaszczka karteczkę z adresem. „Idź do niej, Sarah. Na pewno to zrób, córeczko. Ona ci pomoże”.

Hrabina Vandermonde mieszkała w *hôtel particulier* na tyłach placu Wogezów. Gdy tylko Sarah go dostrzegła, wydało jej się, że jest to miejsce mroczne, nawet złowieszcze. Ogród był zaniedbany, zarośnięty chwastami, fasada pałacyku poczerniała od czasu i wilgoci; wszystko wydawało się porzucone. Ucieszyła się, że Jacob nalegał, żeby jej towarzyszyć; z nim u boku jej strachy i niepokoje stawały się mniej dojmujące. Mimo to niewiele brakowało, żeby się odwróciła na pięcie i uciekła stamtąd. Później pożałowała, że tego nie zrobiła.

Furtka w płocie otaczającym posesję hrabiny była przymknięta. Jacob popchnął ją, a wtedy furtka zaskrzypiała, jakby miała się rozpaść w chmurze rdzy. Przeszli przez ogród, który najlepsze lata miał już za sobą, i zadzwonili do głównych drzwi. Dzwonek zabrzmiał głucho, jakby w pustym domu. Sarah sądziła, że to dobry pretekst, żeby już sobie pójść, jednak Jacob ją powstrzymał. Po kilku sekundach drzwi powoli się otworzyły.

Oboje stali jak wryci. Nigdy nie widzieli człowieka takiego jak ten. Widzieli różne dziwa w cyrku w Illkirch i w horrorach, ale nigdy niczego takiego, jak ta postać bez słowa mierząca ich wzrokiem z progu. Skóra mężczyzny miała kolor talku i chyba tę samą pylistą fakturę. Włosy proste i całkowicie siwe spadały mu na oczy. I to właśnie oczy najbardziej przykuwały uwagę: skośne niczym u człowieka Wschodu, ale z czerwoną tęczęwką, co nadawało jego spojrzeniu dziki i potworny wygląd. Był bardzo wysoki, zbyt wysoki, miał na sobie staromodny czarny surdut, trochę za długi, który nadawał mu wygląd wiktoriańskiego grabarza.

– Czy... czy tu mieszka hrabina Vandermonde? – wyjąkała Sarah zza pleców Jacoba.

Człowiek-zjawa nie odezwał się słowem, schował się w domu i zaczął zamykać drzwi.

Jacob mu w tym przeszkodził, odpychając drzwi.

– Przychodzimy od Alfreda Bauera!

Te słowa zadziałały jak zaklęcie „sezamie, otwórz się”. Drzwi ponownie się otworzyły i ten niesamowity człowiek usunął się im z drogi. Szli za nim ciemnym korytarzem, z licznymi zakrętami, upodabniającymi go do labiryntu bez wyjścia. W miarę jak wchodzili w głąb domu, powietrze stawało się coraz bardziej duszne i ciężkie. W końcu dotarli do salonu, który chociaż był duży, robił przytłaczające wrażenie: był wyłożony od podłogi do sufitu wyblakłym adamaszkiem, meble pokrywała warstwa kurzu, zasłony zasunięto mimo wczesnej pory, wszędzie walały się tysiące przedmiotów – porcelana, skrzyneczki, lustra, ramy, wazony, popielniczki, niezliczone ozdoby i szpargały. Czuli się jak w brudnej rupieciarni, w której trudno się poruszać. Sarah odniosła nieprzyjemne wrażenie, że są tu pierwszymi od wielu, wielu lat gośćmi; ta myśl przyprawiła ją o dreszcze.

Niemal w tej samej chwili, kiedy służący hrabiny odchodził w posępnym milczeniu, w salonie pojawił się intensywny zapach ambry i piżma, niczym na orientalnym bazarze. Te perfumy, które docierały nie wiadomo skąd, były zaskakujące.

– Czego ode mnie chcecie, małe bachory? Tutaj nie ma pracy dla nikogo, jałmużny też nie.

Chrapliwy głos dochodził przez ciemne drzwi za ich plecami, przez które niebawem wyszła w martwym świetle salonu postać drobniutka, skulona nad laską: staruszka ubrana w purpurę i z turbanem na głowie, nadającym jej wygląd jarmarcznej wróżki.

Sarah uczyniła nieśmiały krok naprzód.

– Czy pani jest hrabiną Vandermonde? – wyjąkała. – Przysłała mnie Alfred Bauer...

Staruszka skierowała się do środka salonu i wystawiła się na wąty promień słońca, przeciskający się przez szparę w zasłonach. Jej twarz wydawała się groteskową maską makijażu zbierającego się w zmarszczkach, wydepilowanych i pomalowanych na czarno brwi i czerwonej szminki przekraczającej granice ust.

– Czyli że Alfred Bauer przysłał mi jakichś Żydków...

Sarah aż paliła żółta gwiazda, która określała ją jak przedmiot albo zwierzę. Powinna była posłuchać Jacoba i nie przyszywać jej do kłapy żakietu, ale ciotka nalegała.

– Po tych wszystkich latach bez znaku życia Alfred Bauer ma czelność przysyłać mi jakichś Żydów. Teraz! Ha! Teraz, kiedy Żydów opuścił ich Bóg, on przychodzi do mnie! Co za zuchwałość! Myślisz, że ci pomogę po tym, co mi zrobił! – wyrecytowała hrabina tonem wyzwania.

Jacob prychnął. Kątem oka Sarah widziała, że zaczyna się gotować od wstrzymywanego gniewu. W odróżnieniu od niej, zawsze roztropnej i lękliwej, chłopak nie trzymał języka za zębami. Nie wahał się odpowiedzieć na te niezasłużone ataki. Sarah próbowała go uspokoić, zanim sytuacja stanie się jeszcze bardziej agresywna.

– Proszę posłuchać, proszę...

– Skoro Alfred czegoś ode mnie chce, dlaczego sam nie przyszedł o to poprosić? – lekceważąco przerwała jej hrabina. – Tak niemiłe mu jest ponowne spotkanie ze mną?

Sarah nie miała wątpliwości, czy hrabina w ogóle jest zainteresowana wysłuchaniem jej, mimo to odpowiedziała:

– Gestapo aresztowało mojego ojca...

Wbrew temu, czego się spodziewała, hrabinie po raz pierwszy zabrakło słów. Jej arogancja i pogarda znikły, ustępując miejsca innym cieniom na jej obliczu. Po kilku sekundach przeżuwania przekleństw, wsparła się mocniej na lasce i spojrzała na Sarah z wielką ciekawością.

– A więc to ty jesteś córką Alfreda... Wyprostuj się, dziewczyno!

Sarah instynktownie usłuchała. Tego dla słabej cierpliwości Jacoba było za wiele.

– Niech pani słucha, proszę pani!

– Milcz, hultaju! Kim ty jesteś?

– To nie pani sprawa – wymamrotał Jacob.

Sarah gestami próbowała go uciszyć.

– Piękne poselstwo, pospolite i chamskie, przysyła twój ojciec!

Zanim Jacob zareagował, Sarah chwyciła go za rękaw. Hrabina miała okazję przemówić:

– Teraz rozumiem... Być Żydem nie jest już zabawne, nieprawdaż? Ostrzegałam go!

Powiedziałam mu, że Żydzi tylko sprowadzają nieszczęścia, to naród naznaczony nieszczęściem, złym cieniem... Błogosławiony, kto ma odwagę oderwać ich od naszej piersi!

Napięcie ściągało mięśnie na twarzy Jacoba. Wziął Sarah za rękę i pociągnął ją do drzwi.

– Chodźmy stąd! Nie pozwolę, żeby dalej tak do ciebie mówiła!

– Sam idź, łazęgo. Ona zostaje – warknęła hrabina, uderzając laską w podłogę.

W końcu Sarah ocknęła się ze swej niewinnej głupoty. Puściła rękę Jacoba i stanęła twarzą w twarz z tą czarownicą przybraną w arystokratyczne szaty.

– Nie, ja też wychodzę. Nie mam pani nic więcej do powiedzenia.

Odwróciła się na pięcie i opuściła salon przed Jacobem. Przekleństwa hrabiny podążyły za nimi.

– Stój, bezwstydnico! Natychmiast wracaj! Płoch dziewczyno! Jesteś tak porywcza i uparta jak twój ojciec! Ale jeszcze do mnie wrócisz!

Te krzyki towarzyszyły im, dopóki główne drzwi nie zatrzasnęły się, zamykając je w murach zapuszczonego domu.

\*

## ZWRACAJĄCY UWAGĘ SZCZEGÓŁ

Nie miałam zbyt wielu elementów łamigłówki: Georg von Bergheim pojechał z Paryża do Strasburga, tam przejął kolekcję Bauera i wrócił do stolicy, gdzie pozostał do marca 1943 roku. Kiedy jednak próbowałam łączyć te elementy, pojawiały się pierwsze pytania: Czy von Bergheim szukał w kolekcji Bauera *Astrologa*? Czy go znalazł? Dlaczego wrócił do Paryża? Według doktora Arnoux lista obrazów z kolekcji Bauera nie zawierała żadnego dzieła Giorgionego. Mogło to oznaczać albo że Bauerowie nigdy nie mieli rzeczonoego obrazu, albo że go mieli, ale ponieważ zażądał go osobiście Hitler, von Bergheim nie umieścił go na liście, albo też że ukryli obraz, zanim naziści skonfiskowali ich kolekcję. Jedno było dla mnie jasne: muszę się dowiedzieć czegoś więcej o Bauerze i jego kolekcji.

Ponieważ miałam się zobaczyć z doktorem Arnoux, żeby odebrać od niego kopię raportu na temat ERR, postanowiłam po raz kolejny wykorzystać jego wiedzę.

– Pomyślałam sobie, że skoro córka Alfreda Bauera żyje, to może zechce udzielić mi informacji na temat wizyty von Bergheima w Strasburgu. Jeśli w 1942 roku nie była za mała, żeby cokolwiek pamiętać... – napomknęłam, kiedy już staliśmy przed maszyną do kawy, a ja walczyłam ze zbyt gorącym kubkiem.

Postanowiłam zaprosić go na kawę w ramach podziękowania za pomoc, ale ponieważ za dwadzieścia minut miał zajęcia ze studentami, zaproszenie sprowadziło się do wstretnej kawy z automatu na Wydziale Historii Sorbony. Nie sposób czuć się szczodrym, wrzucając monetę do maszyny i ofiarowując plastikowy kubek; trudno w ten sposób spłacić dług wdzięczności.

– Nie pamiętam dokładnie daty jej urodzin – przyznał, sparzywszy sobie usta zbyt gorącą kawą. – Ale miała wtedy około dwudziestu lat... Może jeszcze żyje... Udało mi się jedynie dowiedzieć, że nie ma jej na listach wywiezionych, a cała reszta rodziny jest.

– Myślisz, że uciekła?... Czy takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach?

Doktor Arnoux uśmiechnął się.

– Może udało jej się uciec, dlaczego nie? Ale tego nie wiem... – Wzruszył ramionami i westchnął. – Przykro mi, że nie mogę bardziej się przydać. Nie za wiele wiem. Tak naprawdę wpadłem na kolekcję Bauera przez przypadek, kiedy badałem losy innej, należącej do Heinricha Metza, osiadłego w Paryżu austriackiego Żyda. Rodzina Metzów została wywieziona, a kolekcja skonfiskowana w 1942 roku. Kilka lat temu bratanica Heinricha Metza przyszła do fundacji z prośbą o zajęcie się jej sprawą. Wpadłem na kolekcję Bauera, bo żony Heinricha Metza i Alfreda Bauera były siostrami. Sprawdziłem, że do tej pory nie zażądano zwrotu żadnego z dzieł Bauera... A to jest dziwne.

– W takim razie najbardziej prawdopodobne jest to, że córka Bauera nie żyje, bo w przeciwnym wypadku zażądałaby zwrotu. Ona albo jakiś inny potomek rodziny.

– Tak, to jest najbardziej logiczne. Ale zdziwiłabyś się. Większość właścicieli, którzy przeżyli, zażądała swoich obrazów w różnym czasie. Jednak spadkobiercy... Wielu nie wie nawet, że nimi są. Sporo Żydów żyjących przed wojną we Francji uciekło do Stanów Zjednoczonych. Nie byłoby dziwne, gdyby znów zdarzyło się coś takiego: pewnego pięknego dnia jakiś potomek przyjeżdża do Europy, zwiedza galerię w wiedeńskim Belwederze i nagle mówi: O cholera! Wygląda jak ten ze zdjęcia z domu dziadka! I okazuje się, że to obraz, który należał do dziadka i który bezprawnie zabrali naziści i sprzedali albo przekazali jakiemuś muzeum. – Doktor Arnoux dopił kawę, zgniótł kubek i wyrzucił go do śmieci. – Szczerze mówiąc, nie wiem, czy tropienie Sarah Bauer na wiele ci się zda. Nawet jeśli nie zabili jej naziści, czas nie gra na twoją korzyść – musiałyby mieć teraz dziewięćdziesiąt lat, więc trudno

oczekiwać, że jeszcze żyje. Mogę ci jednak powiedzieć, że w całej tej sprawie jest pewien zwracający uwagę szczegół...

– Jaki? – zapytałam naprawdę zainteresowana.

– Chodzi znowu o twojego majora von Bergheima: jest bardzo dziwne, że to on sygnował spis inwentarza kolekcji Bauera.

– Bruno Lohse mówił przecież, że von Bergheim brał udział w inwentaryzowaniu i katalogowaniu zbiorów.

– Tak, ale nie w tym rzecz. Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg był organizacją powołaną do działania na terytoriach okupowanych. Członek ERR nie powinien był działać na terenie Strasburga, bo od roku 1940 do 1944 miasto nie znajdowało się na ziemiach okupowanych, tylko było wcielone do Trzeciej Rzeszy: stanowiło część Niemiec. Na terenie Niemiec proces przejmowania dzieł sztuki podlegał innym procedurom, nie przechodził przez ERR. Nie było sensu wysłać von Bergheima, żeby przejął kolekcji Bauera i przeprowadził jej inwentaryzację, bo to leżało poza jego kompetencjami... Przynajmniej teoretycznie.

Nie, nie leżało poza jego kompetencjami, jeśli von Bergheim sądził, że Bauer ma *Astrologa*. Bardzo bym chciała podzielić się tym spostrzeżeniem z doktorem Arnoux. W każdym razie wszystko wskazywało na to, że von Bergheim, Bauer i *Astrolog* byli w jakiś sposób ze sobą powiązani.

\*

## LIPIEC 1942

16 lipca 1942 roku policja francuska na usilną prośbę rządu niemieckiego przeprowadziła w Paryżu obławę, w wyniku której aresztowano trzynaście tysięcy Żydów. Większość została przewieziona do Welodromu Zimowego, pawilonu sportowego w centrum miasta, gdzie byli przetrzymywani przez pięć dni w ciężkich warunkach, niemalże bez jedzenia i wody. Po osadzeniu w różnych obozach przejściowych aresztowanych wywieziono do Auschwitz.

Przed wojną Metzowie należeli do najzamożniejszego paryskiego mieszczaństwa. Zajmowali dwa piętra we wspólnym budynku w V dzielnicy, nieopodal wieży Eiffla, posiadali samochód z kierowcą, bywali na wyścigach na hipodromie Longchamp, wyjeżdżali na lotnisko do Deauville, wynajmowali łóż w Operze Garnier i regularnie uczestniczyli we wszystkich najważniejszych wydarzeniach stołecznej socjety. Heinricha Metza znano też z tego, że często bywał w galeriach i domach aukcyjnych w poszukiwaniu malarstwa romantycznego, tylko romantycznego, gdyż Metz nie był kolekcjonerem sztuki, ale kolekcjonerem malarstwa romantyzmu, był bardzo dumny z posiadania w swej skromnej kolekcji jednego obrazu Delacroix, jednego Ingres'a i jednego Turnera.

Jednak Sarah od przyjazdu do domu Metzów była świadkiem stopniowego schyłku rodziny. Nieco wcześniej wujkowi Heinrichowi zakazano wykonywania zawodu adwokata i skonfiskowano mu samochód oraz pierwsze piętro mieszkania, w którym miał gabinet. Następnie narzucono mu areszt domowy, aż w końcu został aresztowany przez francuską policję, nadzorowaną przez gestapowca – a wszystko to dlatego, że był zagranicznym Żydem. Od tego czasu ani ciotka Martha, ani kuzynka Hélène, które jako obywatelki francuskie uniknęły aresztowania, nie miały o nim żadnej wiadomości. Sarah wiedziała, że ciotka dla ograniczenia wydatków odesłała służbę, a potem zastawiła biżuterię i z czasem kilka niezwykle cennych obrazów z kolekcji męża. W końcu zdecydowała się zamknąć większą część mieszkania i od kilku miesięcy korzystała tylko z dwóch pokoiów, salonu, kuchni i łazienki. Aby zdobyć choć trochę pieniędzy, ciotka i kuzynka prały w domu pościel z pobliskiego szpitala.

Świadoma sytuacji Sarah nie chciała się stać dodatkowym ciężarem dla ciotki, lecz niestety nie miała w Paryżu innej rodziny, która mogłaby jej pomóc, tylko siostrę matki. Żeby więc uczestniczyć w domowych wydatkach, zaraz po przyjeździe do stolicy zaczęła szukać zajęcia. Nigdy wcześniej nie pracowała, nigdy nawet nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek będzie zatrudniona tak jak inni ludzie: mając przełożonego, pensję i wyznaczone godziny pracy. Studiowała historię sztuki, gdyż tak jak ojciec kochała sztukę; jej praca w przyszłości miała polegać na powiększaniu rodzinnej kolekcji, jeśli w ogóle można by to nazwać pracą.

W dniu, w którym postanowiła przemierzyć ulice Paryża w poszukiwaniu pracy, krążyła bez ustalonego kierunku. Nie wiedziała, dokąd pójść, nie przychodziło jej do głowy, co mogłaby robić dziewczyna taka jak ona ani w jaki sposób powinna prosić o zatrudnienie... Czuli się okropnie zagubiona i samotna na tych ulicach zatłoczonych nieznajomymi i wrogimi ludźmi. Jeszcze bardziej zatęskniła za swoją rodziną, domem i życiem w Strasburgu; poczuła zwiastujące płacz ściśnięcie strun głosowych, a w oczach piekące łzy, i musiała się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć z żalu nad sobą. Płacz z tego powodu byłby tak haniebny i niegodny... Godzinami chodziła po mieście, aż znalazła się w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie zebrała się na odwagę, żeby wejść do kawiarni, na której drzwiach wisiało ogłoszenie o zatrudnieniu kelnerki, i poprosić o tę pracę. Rok wcześniej nie zdobyłaby się na to. Kiedy rozmawiała z szefem, zorientowała się, że płoną jej policzki i zdradza ją drżenie głosu. Myślała, że umrze ze wstydu, gdy tamten ją odesłał, bez wątplenia z powodu braku zdecydowania i pewności siebie. To samo przytrafiło jej się

w sklepie z butami, w drogerii i u kapelusznika. Wróciła do domu na rue Desaix na chwilę przed godziną policyjną: nogi miała zmęczone od chodzenia, a dumę zniszczoną proszeniem o jałmużnę.

Upokorzona i zniechęcona, opowiedziała Jacobowi o swojej strasznej przygodzie. W jakiś sposób chłopak był dla niej namiastką tego, co zostawiła w Strasburgu: doświadczenia i autorytetu. Jacob świetnie sobie ze wszystkim radził. Za ledwie w dwa dni znalazł pokój w pensjonacie, który dzielił z jakimś innym chłopakiem; i ten chłopak polecił go do pracy przy krowach, co było dla niego zajęciem idealnym, bo w domu Bauerów był chłopcem stajennym. Nie minął nawet miesiąc, kiedy chłopak znalazł sobie inną pracę na popołudnia, jako tragarz na Gare de l'Est. Sarah, przeciwnie, przy całym swoim wykształceniu, językach, umiejętności zachowania się i eleganckiej prezencji, poniosła kompletne fiasko. Znowu Jacob był jej ratunkiem: w niecały tydzień znalazł dla niej pracę w księgarni obok Sorbony. Właściciele, bezdzietne belgijskie małżeństwo, nie byli Żydami, lecz przerażeni w obliczu wydarzeń pragnęli podjąć jakieś działania, więc przyszło im do głowy, że zatrudnienie dziewczyny będzie formą pomocy dla tych prześladowanych przez nazistów obywateli.

Zatem Sarah pracowała od poniedziałku do soboty, od dziesiątej do osiemnastej, porządkując zamówienia, czuwając nad zapasami, przyklejając ceny i obsługując klientów w księgarni, przede wszystkim studentów i wykładowców pobliskiego uniwersytetu. Najwięcej radości – poza tym, że spędzała całe dni pośród książek – przynosiła jej czułość, z jaką traktowali ją monsieur i madame Matheus. Sarah szybko zdała sobie sprawę, że jej mała rodzina w Paryżu powiększyła się.

Pewnego popołudnia, jak w wiele innych, Sarah wracała z pracy do domu pieszo od stacji metra Duplex. Szła szybko trasą znaną na pamięć, bo pokonywaną prawie codziennie, ze wzrokiem utkwionym w ziemię i skupiona na własnych myślach. Była tak zamyślona, że nie zobaczyła rzucającej się na nią madame Benoît.

– Mademoiselle Sarah! Wielkie nieba! Całe szczęście, że panienkę znalazłam!

Sarah osłupiała, nie bardzo rozumiejąc niespójne krzyki Sylvie. Nie pojmowała, o co jej chodzi, dlaczego ciągnie ją w taki sposób, silnie ściskając jej ręce i nie pozwalając iść dalej.

– Ależ Sylvie, co się dzieje...?

Sylvie Benoît była konsjerżką w kamienicy, w której mieszkało jej wujostwo. Zwykle oszczędna w słowach, dotychczas ograniczała się do mamrotanego dzień dobry. Niemal za każdym razem, gdy Sarah się na nią natykała, Sylvie, w fartuchu w kwiaty i filcowych kapciach, zamiatała schody. Teraz Sarah nawet się zdziwiła, że kobieta zna jej imię.

– Przyszłam, żeby panienkę ostrzec, mademoiselle! Nie powinna panienka wracać do domu! Powiedział mi Rémy: biegiem, Sylvie, i powiedz mademoiselle Sarah, żeby w żadnym wypadku tu nie przychodziła!

Sarah zdołała się wyplątać z ramion konsjerżki i miała zamiar poprowadzić ją do jakiegoś ustronnego zaułka. Ludzie idący chodnikiem zaczynali się im przyglądać, a w tych dniach zwracanie na siebie uwagi nie było roztropne.

– Spokojnie, Sylvie. Co się dzieje?

Kobieta przełknęła ślinę i dysząc z podekscytowania, zaczęła niespójnie opowiadać:

– Przyszli, mademoiselle. Dziś z rana. Weszli, nikogo o nic nie pytając, i odepchnęli mojego biednego Rémy'ego. Wiedzieli, dokąd idą, to oczywiste. Tak jak było z panienki wujem. Było trzech francuskich policjantów i jeden Niemiec po cywilnemu.. Jeden został na dole. Po chwili z nimi wyszli... Najświętsza Panienko! O Boże, Boże! Biedna madame! Ona jest wielką panią, a zabrali ją jak pospolitego przestępcę! Do czego to doprowadzi?

Kiedy Sylvie zalała się łzami, Sarah już rozumiała. Wsparta o ścianę, bo uginały się pod



nią kolana, zaczęła przyjmować wszystko do wiadomości.

– Nie powinna tam panienka iść, mademoiselle Sarah – łkała Sylvie. – Mój Rémy mówi, że dom jest obserwowany i panienkę też mogą zabrać. Co za nieszczęście! Niech tam panienka nie idzie, na rany Chrystusa.

Sarah niemal nie reagowała na jej wezwania. Już wcześniej to się jej zdarzało, stała sparaliżowana strachem: nieruchomy wzrok, przyspieszony oddech i ręce wilgotne od potu. Świat dookoła, hałas, wszystkie bodźce, wszystko to, co pochodziło z zewnątrz, gasło, żeby pozwolić Sarah stoczyć własną bitwę: bitwę ze strachem i niezdecydowaniem.

\* \* \*

Fräulein Volks zaskoczona patrzyła, jak jej szef wtargnął do środka wielkimi krokami i dysząc z wściekłości przeszedł mimo niej, nawet nie rzuciwszy okiem, po czym wpadł do swojego gabinetu z takim impetem, że sekretarka obawiała się, iż wystawi drzwi z futryną. Zanim Fräulein Volks doszła do siebie, drzwi, za którymi zniknął szef, lekko się uchyliły.

– Znajdź doktora Lohsego i powiedz mu, że chcę z nim rozmawiać.

Tak jak szef się pojawił, tak samo znikł w gabinecie i w miejscu pracy Fräulein Volks ponownie zagościł spokój. Dziewczyna pokręciła głową, skrzyżowała nogi, wystawiając na publiczny widok sporą część lewego uda, ułożyła kosmyk włosów za uchem i podniosła słuchawkę telefonu, żeby przez wewnętrzną linię połączyć się z doktorem Lohsem.

Georg opadł na krzesło i zanurzył twarz w rękach, przyciskając do niej palce. Jeszcze dyszał, jakby jego nos był zaworem, przez który wypływała skumulowana wściekłość. W niewytłumaczalny sposób ci kretyni z gestapo zawsze potrafili wyprowadzić go z równowagi. Nie było jak z nimi dyskutować, nie było jak ominąć ich pierdolonych procedur ani powstrzymać ich od wciskania nosa we wszystko, co choć trochę śmierdziało Żydem. A on od rozpoczęcia tej operacji miał pecha i ciągle wpadał na Żydów.

Potarł oczy i rozparł się na krześle, jeszcze ze stężalym obliczem. Za każdym razem, kiedy myślał o nieszczęsnym spotkaniu, jakie odbył z komisarzem kryminalnym Hauserem, trafiał go szlag. A prawda jest taka, że to jego ludzie znowu spieprzyli sprawę, i to koncertowo. Byli specjalistami od zabijania much wystrzałami z armaty, a po strzale muchy zawsze i tak latały.

Jego śledztwo w sprawie *Astrologa* było całkowicie zablokowane. Posiadać tylko jedno kobiece imię jako punkt wyjścia, to jakby nie mieć nic. Przyszło mu nawet do głowy, żeby pójść na francuską policję i z jej pomocą spróbować ją namierzyć. Na życzenie komendantury Francuzi przygotowywali od 1940 roku rejestr wszystkich Żydów mieszkających w Paryżu, a zatem było prawdopodobne, że jej nazwisko figuruje w rzeczonym rejestrze, jeśli dziewczyna, tak jak przypuszczał, przyjechała do stolicy. Zwlekał jednak, żeby nie musieć uciekać się do pomocy francuskiej policji; miał świadomość, że w ten czy inny sposób gestapo wie o wszystkim, co dzieje się w paryskich prefekturach...

Georg zmiął kartkę z imieniem Sarah i ze złością cisnął ją do kosza na śmieci. Był tak wściekły... Przedsięwziął tyle środków ostrożności i nic z tego nie wyszło... Chociaż – fakt – był naiwny, sądząc, że mógłby wykonać swoją pracę bez udziału policji. A prawda jest taka, że gdyby policja się nie wtrąciła, wszystko byłoby znacznie prostsze i skuteczniejsze. Szczególnie że zaledwie kilka dni wcześniej otrzymał od przypadkowej osoby wyjątkowo użyteczną informację. Zdarzyło się to, kiedy towarzyszył Lohsemu w jednym z jego zwyczajowych obchodów po galeriach sztuki i sklepach z antykami. Poszukiwał akurat kilku przedmiotów dla Himmlera: jakiegoś tybetańskiego rękopisu albo, przy odrobinie szczęścia, egipskiego amuletu; Reichsführer tak bardzo entuzjazmował się podobnymi rzeczami, że przestawał go przynaglać do

zakończenia misji. Z właścicielem pewnego domu aukcyjnego wdał się w rozmowę na temat swojego pobytu w Strasburgu oraz nieszczęsnego zdarzenia z Bauerami, a ten mu opowiedział, że kilka razy robił w Strasburgu interesy z człowiekiem nazwiskiem Bauer, pochodzącym z Illkirch – pośrednikiem był Heinrich Metz, jeden z jego najlepszych klientów. Metz był adwokatem rozmiłowanym w sztuce XIX wieku i posiadał niewielką, ale bardzo wartościową kolekcję malarstwa romantycznego, mieszkał w Paryżu i był szwagrem Bauera. „Eureka!”, powiedział do siebie w myślach Georg. Jeśli ta dziewczyna jest w Paryżu, bez wątpienia odnajdzie ją w domu Metzów.

Przez cały dzień się zastanawiał, jak podejść dziewczynę i jak poprowadzić grę, żeby znowu nie wymknęła mu się z rąk. W końcu zdecydował się złożyć wizytę Metzom. Kiedy przyszedł pod numer 5 na rue Desaix, gdzie według mężczyzny z domu aukcyjnego mieszkał Heinrich Metz, najpierw natknął się na przestraszoną i uciekającą konsjerżkę, a potem na francuskiego policjanta przy drzwiach, który zobaczywszy go, natychmiast stanął na baczność.

– Nie znajdzie pan tu Metzów, Herr Sturmbannführer. Monsieur Metz został aresztowany jakieś sześć miesięcy temu, a jego żonę i córkę aresztowaliśmy całkiem niedawno – wyjaśnił mu młody policjant.

– Pod jakimi zarzutami? – zapytał go Georg absurdalnie, wszak aż za dobrze je znał.

Policjant wzruszył ramionami.

– Zabrali tylko te dwie kobiety?

– Tak, proszę pana. W każdym razie radzę, żeby zapytał pan w prefekturze. Tam podadzą panu wszystkie potrzebne informacje.

Wykorzystując swój stopień i poczucie władzy, Georg przekonał policjanta, żeby pozwolił mu wejść do domu. To, co zastał w środku, wydało mu się gorzko znajome: mieszkanie względnie dobrze utrzymane i czyste; w pokojach szafy i szuflady zostały otwarte – kobiety nie miały czasu, żeby cokolwiek zabrać, a już na pewno nie, żeby się spakować; ale najbardziej rzucało się w oczy to, że w całym mieszkaniu nie było ani jednego mebla, ani jednego obrazu, ani jednej książki, ani jednego przedmiotu o jakiegokolwiek wartości, zostały tylko ślady w miejscach, które uprzednio zajmowały. Georg zorientował się, że mieszkały tam więcej niż dwie osoby: w czasach, kiedy paryżanie mieli wszystko ściśle wydzielane, trzy szczoteczki do zębów, trzy pary kapci i trzy szminki wskazywały na to jednoznacznie.

Georg wyszedł z domu przy rue Desaix głęboko oburzony i zgodnie ze swoim temperamentem natychmiast zabrał się do działania. Nie wybierał się wcale do prefektury. Miał zamiar udać się bezpośrednio do biur gestapo na rue des Saussaies, żeby nawrzeszczyć w twarz jakiemuś głupkowi. Gdy się tam znalazł, zaprowadzono go do sekcji IV do spraw żydowskich, do komisarza kryminalnego Hauptsturmführera SS, Günthera Hausera, najbardziej aroganckiego, głupiego i odrzucającego typu, z jakim ostatnimi czasy się zetknął.

– Ach, tak, tak... Sprawa Metzów, tak... Całkiem świeża... Nawet mam tutaj raport Oberscharführera Lodza, funkcjonariusza, który towarzyszył francuskiej policji.

Georg stał przed biurkiem Hausera, przypatrując się, jak komisarz z namaszczeniem przegląda raport.

– Martha i Hélène Metz? Czy tak?

– Ani tego nie wiem, ani mnie to nie obchodzi, kapitanie – zwrócił się do Hausera, używając jego stopnia w SS, aby podkreślić swoją przewagę. – Chcę tylko wiedzieć, dlaczego gestapo zajęło się kolekcją sztuki, nad którą opiekę i ochronę sprawuje ERR.

Georg był świadomy, że ma mało argumentów, żeby podważać zasadność działań gestapo. Skoro chcieli sobie zabrać dwie Żydówki, zabierali je i kropka. Żeby jednak ustalić, dlaczego konkretnie były to panie Metz, musiał przywołać konflikt interesów pomiędzy gestapo

a ERR – tylko to upoważniało go do żądania wyjaśnień.

Hauser spojrział na niego znad okularów z wyrazem cynizmu w wylupiastych oczach.

– Z całym szacunkiem, majorze von Bergheim, to właśnie ERR nakazał konfiskatę kolekcji Metzów. Gestapo ograniczyło się jedynie do aresztowania dwóch osobniczek zagrażających bezpieczeństwu Rzeszy, na prośbę właśnie ERR. Dla pańskiej informacji: oto rozkaz, który przysłano nam przedwczoraj z hotelu Commodore. Podpisany przez dyrektora ERR, barona Kurta von Behra.

Hauser przesunął mu papier na drugą stronę biurka, więc Georg nachylił się, żeby go przeczytać. Zdumiony przyglądał się podpisowi von Behra, jednocześnie bardzo się wysilając, żeby przełknąć całą nagromadzoną żółć i znaleźć godne wyjście z żalosnej sytuacji, w którą się wpakował.

Hauser z pewną pobłażliwością zdawał się bawić sytuacją.

– W każdym razie, Hauptsturmführer Hauser, wydaje mi się, że jestem w obowiązku poinformować pana, że przypadkiem kolekcją Metzów interesuje się osobiście Reichsführer Himmler i wierzę, że przez pochopne zatrzymanie rodziny Metzów nie ucierpią jego interesy. Byłoby bardzo niemiłe, gdyby pańscy przełożeni musieli się kontaktować z Reichsführerem Himmlerem w tej sprawie.

Hauser uśmiechnął się z dobrotliwością i pewnością siebie, bawiąc się długimi, kościstymi palcami.

– Bardzo wątpię, żeby miało się to wydarzyć, jeśli funkcjonariusze ERR będą działać w sposób skoordynowany, zanim wystąpią do nas o współpracę. Którą zresztą zawsze chętnie podejmujemy.

Ostatecznie nie miał innego wyjścia, niż opuścić budynek przy rue des Saussaies z podkulonym ogonem, klnąc na swój charakter, porywczosć i brak rozwagi.

Ciągle jeszcze rozpamiętywał całe zdarzenie z taką wściekłością, że siedząc przy biurku, połamał kilka ołówków.

– Wejść! – rozkazał, kiedy usłyszał pukanie.

W uchylonych drzwiach ukazała się uśmiechnięta twarz Brunona Lohsego.

– Ach, Lohse, to ty. Wejdz, proszę.

Lohse wszedł ostrożnie do gabinetu i powoli zamknął za sobą drzwi.

– Twoja sekretarka zasugerowała mi, że bym był ostrożny, bo jesteś w pieskim nastroju. Nie wypowiedziawszy ani słowa, Georg nacisnął przycisk interkomu.

– Helgo, proszę mi przynieść aspirynę. A następnie proszę się powstrzymać od komentowania wobec gości mojego humoru.

Lohse usiadł po drugiej stronie biurka. Był rozluźniony, założył nogę na nogę i zapalił papierosa. Uśmiechnął się, wypuszczając pierwszy obłok dymu. W gabinecie von Bergheima czuł się dobrze. Częściowo dlatego, że był taki jak jego, urządzony po spartańsku – biurko, krzesła, portret Hitlera – a częściowo dzięki tak pięknemu widokowi na ogrody Tuileries i przyległe budynki, że okno wydawało się dziełem realizmu romantycznego. Czuł się tu dobrze także dlatego, że von Bergheim był jednym z niewielu przyjaciół, których miał w Arbeitsgruppe Louvre.

– Słyszałeś o jakimś komisarzy kryminalnym Güntherze Hauserze? – zagadnął Georg, wyrывая go z zamyślenia.

– Z Sipo? – Lohsemu chodziło o Sicherheitspolizei, policję Rzeszy.

– Gestapo. Sekcja IVB4, dla ścisłości.

– Sprawy żydowskie? To same głupki. Ale nie, nie wiem, kim jest ten Hauser. Kilka razy zdarzyło mi się tylko spotkać z Lischką, skutecznym nazistą, z tych, których tak bardzo lubią na

górze.

Skoro nie znał Hausera, znaczyło to, że ten typek jest tylko jednym z wielu, bo Lohse zwykle bratał się z ludźmi od pewnej rangi w górę, czy to wojskowej, politycznej czy społecznej.

– No to mam nadzieję, że facet jest nikim, bo dzisiaj zrobiłem z siebie kompletnego idiotę przed tym nadętym dupkiem.

Lohse uważnie słuchał opowieści o niepowodzeniach von Bergheima, aż przerwała mu Fräulein Volks, przynosząc szefowi aspirynę. Gdy młoda, zmysłowa sekretarka wychodziła z gabinetu w rytmie sugestywnego stukania obcasów, Lohse odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. Następnie poczekał, aż kolega zażyje aspirynę i powróci do wątku historii – jednej z wielu podobnych, dopóki von Bergheim nie wymienił kolekcji Metzów. Wtedy wszystkie zmysły Lohsego znalazły się w stanie pobudzenia. Zgasił papierosa, usiadł prosto i udawał zasluchanie. Widać jednak było, że jest niespokojny. Zamiast słuchać Georga, zastanawiał się, jak uratować twarz w oczach kolegi. Lohse miał absolutną świadomość, że nie cieszy się w swoim środowisku wielką sympatią właśnie z powodu spraw takich jak ta. Już nie raz zaliczył wpadkę przez swoje zamięłowanie do intryg i knucia.

Von Bergheim był bardzo wzburzony. Gestykulował z przesadą, uderzał pięścią w biurko i pokrzykiwał. Lohse bał się, jak zareaguje, jeśli wyzna mu prawdę. Jednak zaskoczyło go odkrycie, że ceni przyjaźń Georga bardziej, niż mu się zdawało, więc zdecydował, że nawet jeśli ma się to wydarzyć tylko raz w życiu, zaintonuje *mea culpa*.

– Nie potrafię tylko zrozumieć, jak, do kurwy nędzy, von Behr się dowiedział o kolekcji Metza.

Najwyraźniej Georg zakończył przemowę. Rozpiął kołnierzyk i pociągnął łyk wody ze szklanki przyniesionej przez Fräulein Volks. Cisza, która nastąpiła, ścisła gardło Lohsego, nie pozwalając mu mówić; on też poluźnił krawat, jakby robił miejsce wyznaniu, na które nie miał najmniejszej ochoty.

– Ja mu o niej powiedziałem – przyznał w końcu, nie mając odwagi spojrzeć von Bergheimowi w oczy. – A nawet więcej: poprosiłem, żeby zgodził się na jej konfiskatę.

Gniew Georga nagle jakby się ulotnił niczym gaz przy spalaniu. Cisza zawładnęła jego gabinetem, a osłupienie jego obliczem.

– Kurwa, Lohse... Ale dlaczego?

– Słyszałem, co ci mówił Dequoy o kolekcji Metzów. – Dequoy był tym właścicielem domu aukcyjnego. – Marszałek Göring ma fioła na punkcie malarstwa romantycznego, więc pomyślałem, że to może być idealna okazja, żeby zaoferować mu coś z najwyższej półki. Zbliża się jego kolejna wizyta w Paryżu, a bardzo niewiele dla niego mam... Gdybym wiedział, że jesteś nią zainteresowany, wycofałbym się, zapewniam cię.

– Ale kolekcja Metzów nie była porzucona! ERR nie mógł się nią zająć! Albo to jest normalne złodziejstwo!

– Och, przestań, von Bergheim! Jeszcze do ciebie nie dotarło, co my tutaj robimy? Czy nie to samo zrobiłeś z kolekcją Bauera?

Lohse wsadził palec w ranę. Georg ukoił gniew i przygnębiony wyznał:

– To był błąd żółtodzioba i przyrzekłem sobie, że nigdy więcej go nie popełnię. Co robimy, kiedy aresztujemy ludzi, żeby odebrać im ich dzieła sztuki? To jest, kurwa, chore!

– To nie ludzie, to Żydzi.

Ujrzawszy, jak twarde spojrzenie Georga mierzy go, Lohse się usprawiedliwił:

– To nie ja tak mówię. A może tobie nie kazali się uczyć *Mein Kampf* w Bad Tölz? Wy z Leibstandarte nie cieszyście się raczej sławą grzecznych chłopców...

„Leibstandarte jest elitarną jednostką wojskową”, setki razy powtarzał sobie Georg.

Jednostką wyszkoloną, żeby walczyć na pierwszej linii, a bitewna rzeczywistość jest okrutna i bezwzględna. Nie był jednak w stanie nie zapamiętać tego razu, kiedy zaskoczył jednego ze swych kaprali z pistoletem przyłożonym do potylicy angielskiego jeńca, klęczącego w błocie. Owładnęła nim furia, więc kopniakiem wybił mu pistolet z ręki, grożąc zesłaniem na resztę życia do lochu, jeśli jeszcze kiedyś zobaczy coś podobnego. A nie chodziło o żaden odosobniony akt... Leibstandarte znana była z tego, że nie bierze jeńców, tak wymagał jej dowódca, generał Josef Dietrich, człowiek wyjątkowo surowy. Georg nie zgadzał się z tym, jak Dietrich dowodził jednostką, dlatego wystąpił o przeniesienie do jednostki generała Paula Haussera.

– *Mein Kampf* jest tylko doktryną. A wojna... Czasem jest scenerią niskich uczuć, które wymykają się spod kontroli – próbował się bronić. – Ale wchodzenie komuś do domu w nienagannie wyprasowanym mundurze i wygłancowanych butach, z czystymi rękoma i zadbanymi paznokciami, po to żeby zabrać mężczyzn, kobiety i bezbronne dzieci... To jest... Tego nie da się w żaden sposób usprawiedliwić.

Lohsego zaskakiwała niecodzienna wrażliwość von Bergheima w odniesieniu do tej sprawy. Von Bergheim był z SS, a SS szczyliło się czystkami tego rodzaju. Dla większości ludzi było to coś, na co zamykało się oczy i uszy. On sam starał się za dużo o tym nie rozmyślać. Mimo to odczuwał potrzebę usprawiedliwienia się przed przyjacielem, jak gdyby szlachetna postawa Georga sprawiała, że sam stawał się bardziej niktzemny, mimo że do tej pory splamił sobie ręce jedynie farbą.

– Sądzisz, że ty i ja moglibyśmy tego uniknąć? Ja mógłbym zostawić Metzów i ich obrazy w spokoju, a ty Bauerów z obrazami, ale za miesiąc i tak by ich aresztowano pod byle pretekstem... Może ci się to zbyt nie podobać, ale tak się właśnie sprawy mają. – Lohse był przekonany, że wie, jaka jest recepta na przeżycie w tej dżungli bez wplątywania się w kłopoty, i był gotowy podzielić się nią ze swym przyjacielem. – Jeśli chcesz porady, von Bergheim, to pilnuj swoich spraw, wykonuj jak najlepiej swoją robotę i nie rozglądaj się na boki, bo gównie zawsze zbiera się na poboczu, choćbyś nie wiem jak dbał o czystość swojej drogi.

\* \* \*

Powrót do Illkirch był szaleństwem, które mogło narazić Sarah na kłopoty z policją; nie tylko po drodze, gdzie co rusz w pociągach i autobusach pojawiali się funkcjonariusze sprawdzający dokumenty, oraz podczas niespodziewanych kontroli na ulicy, ale przede wszystkim w miejscu przeznaczenia. Po zawieszeniu broni Alzacja została wcielona do Rzeszy, więc Sarah musiała przekroczyć silnie strzeżoną granicę, aby się dostać do Strasburga. W zasadzie osobom, które uciekły albo zostały ewakuowane podczas wojny, zabroniono powrotu do swoich domów. Dlatego Sarah nie miała innego wyjścia, niż przekroczyć granicę po kryjomy, przemierzając tę samą trasę, którą pokonali, uciekając z Jacobem do Paryża: górską drogę na południe od pasma Wogezów.

Gdy tylko dotarła do Illkirch, skierowała się do domu rodziców, swojego domu. Kiedy zastała dom zamknięty i opuszczony, usiadła przed wejściowymi drzwiami, na które założono gruby łańcuch z wielką kłódką. Na chwilę zatraciła zdolność myślenia; wiedziała, że cokolwiek by powiedziała, słowa nakierowałyby ją na rzeczywistość, której nie była gotowa stawić czoła. Sam widok dwóch policjantów obchodzących okolicę sprawił, że jej zmysły otrzeźwiały i rzuciła się do biegu niczym instynktownie umykające zwierzę. Udała się do rabina Cohena.

Rabin Ben Cohen z synagogi w Illkirch przytulił Sarah, gdy tylko ujrzał ją przed drzwiami swego domu, po czym odsunął ją od siebie, powtarzając jej imię, żeby upewnić się, że dziewczyna nie jest zjawą. Od chwili jej zniknięcia tamtego okropnego dnia, w którym nad domem Bauerów zawisła tragedia, rabin obawiał się najgorszego. Oglądanie jej teraz było darem

litościwego Jahwe. Rabin wprowadził Sarah do środka i czule trzymając jej dłonie, skłonił ją, by usiadła; nie uszedł jego uwadze strach odmalowany na twarzy dziewczyny, sprawiający, że wyglądała jak obłąkana.

Rabin Cohen był przy jej narodzinach, jak również przy narodzinach jej siostry i brata; widział, jak dorastała i z miłej dziewczynki stawała się inteligentnym podlotkiem, wesołym i ślicznym.

– Byłam w domu... Gdzie są wszyscy, rabbi? Gdzie moja rodzina?

Sarah była dobrą żydowską dziewczyną, miłą i miłosierną, niezasługującą na czekające ją cierpienie; żadne stworzenie Jahwe nie zasłużyło sobie na nie.

– Wywieźli ich, kochana córeczko. Twoją matkę i siostrę, i brata. Kilka tygodni po tym, jak zabrali twojego ojca.

Rabin zdołał jej przekazać tę wiadomość, zebrawszy się na odwagę, która – był o tym głęboko przekonany – mogła na niego spłynąć tylko z Niebios; albo przedostać się zza murów fortecy, którą przez ostatnie miesiące ku własnej rozpaczycy wznosił wokół siebie; miesiące, podczas których musiał być świadkiem potworności i nieszczęść spadających na rodziny społeczności żydowskiej z Illkirch-Graffenstaden. Niemcy zabrali wszystkich młodych mężczyzn, potem starców i kobiety, a na końcu dzieci. Zabrali także dzieci. On sam był świadomy, że wcześniej czy później przyjdą po niego, był jednak przygotowany, żeby stawić temu czoło, jeśli taka będzie wola Jahwe.

– Ale dokąd, rabbi? Dokąd ich zabrali i dlaczego? – zapytała Sarah zatrwożona.

Dlaczego...? Tego nikt nie wiedział. Nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego wywozili krewnych i przyjaciół ani dlaczego rozdzielali ich i zamykali w obozach, które wyglądały jak więzienia. Nikt nie rozumiał, dlaczego potem ładowali ich do pociągów towarowych i przewozili do Niemiec. Krążyły jednak pogłoski, pogłoski straszliwe, w które rabin nie chciał wierzyć i którymi w żaden sposób nie zamierzał zatruć tej niewinnej duszyczki.

– A mój ojciec? Wyszedł z więzienia?

Rabin Cohen spuścił wzrok. Nie był w stanie patrzeć jej w twarz, wyjawiając, że ojciec zmarł w kazamatach gestapo.

Placz szczęśliwie ma właściwości kojące. Wypłakawszy się, Sarah poczuła zmęczenie, ogromne zmęczenie, i wsparła się na oparciu kanapy. Była w Illkirch i w tej chwili salonik rabina Bena, z zegarem z kukułką i naczyniami z alzackiej ceramiki, menorą na kredensie i mezuzą w futrynie drzwi, wydawał jej się najbardziej podobny do domu. Podróż była długa, ciężka i niebezpieczna: cierpiała z głodu i strachu, miała podrapane od przedzierania się przez zarośla nogi i twarz spaloną słońcem. Dotarła do Illkirch... gdzie nic już nie zostało, jedynie salonik rabina Bena, dla dziewczyny niewielki skrawek domu, miejsce, w którym można zmrużyć oczy i zasnąć.

Rabin przykrył Sarah kocem i poszedł przygotować choć odrobinę zupy, żeby zjadła, kiedy się obudzi.

Ze ściśniętym sercem Sarah pchnęła drzwi swojego domu. Wszystko tu było pogrążone w półmroku, strużki światła wpadające przez szczeliny w okiennicach ledwie rozrzedzały ciemność. Przez chwilę stała sparaliżowana w progu, obawiając się wejść do tego znajomego, a zarazem dziwnie niepokojącego wnętrza. Poznawała miejsca i przedmioty, które raczej przypominała sobie, niż widziała. Także zapach, nie do pomylenia zapach domu, ten, który nie pochodzi od nikogo konkretnego, ale należy do wszystkich w nim mieszkających. Jednak nigdy wcześniej, gdy wracała do domu, nie wychodziły jej naprzeciw niepokojąca cisza, ciemność i chłód.

W końcu zdecydowała się przejść przez próg. Każdy jej krok dudnił w ciszy domu

niczym werble podczas egzekucji. Otworzyła jedną okiennicę i światło rozlało się po salonie jak biała farba. Przenikliwego zimna nie potrafiła jednak zwalczyć i trzęsła się, chociaż była otulona kurtką. Stojąc pośrodku salonu i szcękając zębami, popatrzyła na fotel przy oknie, na którym jej matka zwykle haftowała, a który teraz był pusty; na pianino, na którym brat uczył się grać, teraz nieme; puszkę z tytoniem, którym ojciec nabijał fajkę, porzuconą; stół, przy którym z siostrą grywała w szachy, opróżniony; na koszyk, w którym przy kominku sypiała kotka...

Kiedy wydało jej się, że światło już nie jest białe ani cienie czarne, że ciepły i złoty blask spowільnił salon, kiedy wydało jej się, że słyszy śmiechy, rozmowy i graną na pianinie muzykę, wybiegła z salonu z zaciśniętymi oczyma i zagryzionymi ustami, otulając się ramionami z taką siłą, że zaczęła odczuwać ból, jakby serce wyrywało jej się z piersi. Tak jak to robiła kiedyś, weszła po schodach, które prowadziły do jej pokoju i do pokoi reszty rodziny, do miejsc skrywających skarby i sekrety, wiele snów i niewiele koszmarów.

Jej sypialnia była zamknięta, pozostałe – otwarte. Z szuflad wyglądały ubrania mamy, Ruth i Petera, ubrania, które pewnie chcieli zabrać: ulubiony sweter mamy, który tak często ją ogrzewał; bluzka, która tak dobrze leżała na Ruth; Petera piżamka w kwadraty. Przy łóżeczku zobaczyła porzuconego na podłodze pluszowego misia, starego, ze zniszczonymi uszami i wypłowiałym nosem. Od niemowlęstwa Peter wszędzie nosił go ze sobą i spał z policzkiem wspartym na jego mięciutkim brzuchu. Powoli, czując, że drżące kolana ledwie jej słuchają, Sarah kucnęła, żeby go podnieść i położyć w łóżeczku brata, żeby po powrocie Peter zobaczył, że miś na niego czeka... Ale gdy już go wzięła do ręki, wybuchła płaczem i przytuliła maskotkę, jakby przytulała własnego brata. Skulona w sobie, przyciskając misia do piersi jak skarb, łkała i łkała bez wytchnienia za tym wszystkim, co zostawiło po sobie pustkę, osamotnienie, poczucie ogołocenia, nietknięte i nieme w tym domu kiedyś tak pełnym życia. Płakała za pachnidłami matki, jeszcze unoszącymi się w powietrzu; za rodzinnym zdjęciem zrobionym podczas wycieczki na wieś, pokrytym kurzem na kredensie; za kolekcją papierków od cukierków Ruth; za książką czytaną przez ojca, leżącą na nocnej szafce, i za pluszowym misiem Petera...

– Sarah...

Jej imię wypowiedziane przez ten głos uspokoiło szloch. Powoli uniosła głowę i przez łzy dostrzegła twarz Jacoba. Patrzyła na niego zaledwie chwilę, a jej usta znowu zaczęły drżeć, gdyż cierpieniu nie było ulgi.

Chłopak kucnął obok niej i delikatnie objął ją ramieniem. Sarah przytuliła się do niego niepokieszona, bo mała pluszowa zabawka Petera wzbudziła w niej wszechogarniający żal.

Siedząc na schodach przed wejściem do domu, Sarah patrzyła na ogród: wietrzyk muskał kwiaty i liście wierzb. Wróble zagnieździły się na krawędzi dachu i popiskiwanie głodnych pisklaków umilało popołudnie. Słońce jęło skrywać się za drzewami i czułe promienie pieszczotliwie zamykały jej oczy, które wciąż ją bolały od płaczu.

Przytulenie Jacoba i świeże powietrze zdołały ją uspokoić. Z głową wspartą na ramieniu chłopaka powoli gładziła zużyty plusz maskotki; od jakiegoś czasu nie uroniła już żadnej łzy.

Teraz, gdy znalazła się w punkcie wyjścia, jej umysł odzyskał ostatnie miesiące życia: karuzelę emocji do granic, kończących się uspokojeniem, burze poprzedzające spokój. Ośmieliła się jasno spojrzeć na koszmar, spójnie odtworzyć w pamięci dręczące ją co noc sceny.

Zdarzyło się to popołudniem, kiedy jak w wiele innych dni wróciła z uniwersytetu. Był piątek, przeddzień soboty, więc cały dom pachniał adafiną<sup>[1]</sup>, duszoną powoli na małym ogniu. Wydawało się, że jest to piątek jak każdy inny... aż usłyszeli głośne walenie do drzwi. Wszyscy znajdowali się w salonie i ojciec wstał zdenerwowany. Kiedy służąca otworzyła, wyraźnie dotarł do nich ponury głos: „Policja. Chcemy rozmawiać z Herr Bauerem”.

Ojciec, jak gdyby wiedział, co nastąpi, jakby już miał wszystko przygotowane, pobiegł do

szafy i wyciągnął płaszcz. Ku zaskoczeniu i wielkim zmieszaniu Sarah, skierował się do niej.

– Weź to, Sarah, córeczko. Nie ma ani chwili do stracenia – przynaglał ją, przesuwając fotel, pod którym znajdowała się kłapa prowadząca do piwnicy.

Sarah spojrzała na matkę, która wydawała się świadoma wszystkiego, co się dzieje.

– No już, córeczko, schodź. Na dole znajdziesz tunel, który wyprowadzi cię z domu.

Musisz uciekać, Sarah. Dobrze mnie posłuchaj. Musisz dotrzeć do Paryża, do domu wujostwa.

– Ależ ojciec... Mamo?

– Rób, co ci ojciec każe, córeczko.

Oczy matki zaczęły napęniać się łzami i ledwie mogła musnąć jej rękę, kiedy ojciec popychał ją w stronę otwierającej się w podłodze dziury.

– Płaszcz, Sarah, chroń go, nawet oddaj za niego życie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Kiedy dotrzesz do Paryża, pójdź do hrabiny Vandermonde. Idź do niej, Sarah. Zrób to na pewno, córeczko. Ona ci pomoże... Tu masz adres.

Oczy Sarah otworzyły się szeroko. Miałyby ochotę powiedzieć ojcu tysiąc słów, lecz emocje nie pozwalały jej wykrztusić ani jednego. Zbita z tropu i przestraszona patrzyła, jak ojciec wsuwa jej karteczkę do kieszeni płaszcza.

Potem pocałował ją w czoło. Pocałunek przeciągnął jak najdłużej, dopóki nie musiał zamknąć kłapy. Obraz rodziny obramowany krawędziami zejścia do piwnicy był ostatnią rzeczą, którą zobaczyła. Ich przygnębione i zmieszane miny były ostatnim wspomnieniem, jakie ze sobą zabrała. Potem nastąpiła ciemność i strach.

Nad jej głową zaczęły stukać pierwsze kroki mundurowych.

– Herr Alfred Bauer? Policja Rzeszy. Pójdzie pan z nami.

– Najpierw muszę się dowiedzieć, o co jestem oskarżony.

– Nie czas na pytania.

– Żądam wyjaśnień! Nie macie prawa mnie skuwać...! Co to znaczy?!

– Wypuście go, na miłość boską! Dokąd go zabieracie? Alfredzie!

– Tato! Tato!

– Cisza! Sierzancie, proszę ich stąd zabrać!

– Niech się pan nie waży tknąć kogokolwiek z mojej rodziny!

Wtedy Sarah usłyszała nieomylny odgłos uderzenia w twarz. Potem matka krzyczała i histerycznie łkała.

– Alfredzie! Alfredzie!

– *Es reicht!*

Sarah nie wiedziała, co się dzieje, jedynie się domyślała, bo ze swojej kryjówki nie mogła nic zobaczyć. Nie rozpoznawała żadnego z głosów tych mężczyzn... aż do tamtej chwili. To „*Es reicht! Dostyc!*”, po którym zawsze budziła się z koszmaru, nie zostało wypowiedziane przez nieznajomego. Kiedy ponownie się odezwał, Sarah rozpoznała go bez najmniejszych wątpliwości.

– Wydawało mi się, że mówiłem jasno, poruczniku, że nie ma potrzeby używać siły! Proszę natychmiast zdjąć kajdanki temu człowiekowi! – rozkazał Georg von Bergheim.

Nic więcej. Tylko te słowa i ten głos. A zaraz potem pojawił się Jacob i przez tunel wyprowadził ją daleko od domu.

– Dlaczego Bergheim miałby zrobić coś takiego? – zapytała Sarah na głos jakby samą siebie.

Powróciła ze wspomnień do rzeczywistości zmierzchu zapadającego w ogrodzie.

– Bo to nazista i skurwysyn – odezwał się Jacob. – Wszyscy tacy są.

Tak, być może i wszyscy tacy są, przyznała Sarah. Jednak Georg von Bergheim od



samego początku wydawał jej się inny. Przyszedł do domu Bauerów w pewien grudniowy poranek, żeby spotkać się z ojcem. Od tego czasu jego wizyty stały się bardzo częste. Przy niektórych okazjach Sarah widziała, jak przechodzi przez hol, albo mijała się z nim w korytarzu, kiedy major kierował się do gabinetu ojca. Pewnego dnia, gdy przechodziła przed drzwiami biblioteki, przyłapała go na podziwianiu jednego z jej ulubionych obrazów z rodzinnej kolekcji. Długo się nie zastanawiając, weszła do biblioteki i stanęła obok niego.

– *Nawrócenie Marii Magdaleny Artemisii Gentileschi* – wskazała Sarah, udając, że przygląda się obrazowi tak jak on.

Georg von Bergheim odwrócił się, zaskoczony w chwili kontemplacji.

Sarah, nieśmiała i powściągliwa, od razu pożałowała tego nagłego przyplwywu spontaniczności, tak u niej niespotykanego. Nie wiedząc, co powiedzieć, zorientowała się – ku swemu wielkiemu żalowi – że jej twarz biorą w posiadanie gorąco i rumieniec.

Von Bergheim dostrzegł chyba zmieszanie dziewczyny i z wielką naturalnością ograniczył się do posłania jej uśmiechu, po czym znów pogrążył się w kontemplacji.

– To rzeczywiście wyjątkowy obraz – zauważył po chwili, nie patrząc na Sarah. – Rzadko widywałem kobiety namalowane w taki sposób. Emanuje żalem i oddaniem, ale także siłą, która nie przedstawia się w niczym konkretnym, tylko po prostu zalewa płótno: jest w twarzy, w postawie, w niej całej.

Sarah dalej nie miała śmiałości się odezwać, ale jednocześnie wydawało jej się głupie tak stać w milczeniu. Odchrząknęła.

– Większość kobiet Artemisii jest właśnie taka. A większość jej obrazów to portrety kobiet – zauważyła cienkim głosem.

Von Bergheim rzucił na nią kątem oka, onieśmienie dziewczyny zdawało się go bawić.

– Kiedyś uczono mnie, że Artemisia Gentileschi była malarką włoskiego baroku, bardzo cenioną w swojej epoce, ale po śmierci zapomnianą – napomknął. – Muszę jednak przyznać, że niewiele więcej o niej wiem.

– To była niesamowita kobieta i bardzo dobra malarka. Na pewno nie zasłużyła na zapomnienie. Siła jej kobiet jest tylko odbiciem jej własnej siły, siły kobiety, która zhańbiona i oszukana przez swojego mistrza, dla obrony honoru musiała stawić czoło społeczeństwu zdominowanemu przez mężczyzn – wyjaśniła Sarah, jakby zarażona siłą Artemisii.

Von Bergheim ponownie przesunął oczy z Marii Magdaleny na nią i zaczął się jej przyglądać z ciekawością, która Sarah wydała się równie krępująca, jak pochlebiająca.

Od tamtej chwili, gdy von Bergheim pojawiał się w domu Bauerów, zawsze wzajemnie się poszukiwali. Spotkania przeradzały się w pogawędki, a pogawędki w spacer po zamrażającym ogrodzie. Sarah bardzo podobały się te rozmowy o sztuce i te spacer z Niemcem; nazistą i skurwysynem...

– Sarah, powinniśmy wrócić do Paryża – powiedział Jacob, odrywając ją od wspomnień.

– Muszę odnaleźć swoją rodzinę, Jacobie. To, co z niej zostało...

– I co masz zamiar zrobić? Pójść na policję i zapytać o nich? Ciebie też by zatrzymali – przekonywał ją chłopak ze swą zwyczajową szorstkością.

– No to może chociaż się dowiem, gdzie są – odpowiedziała Sarah, czując, że znowu może się zalać łzami.

Jacob wyciągnął rękę, żeby ją pocieszyć.

– Wiem, że nie mówisz poważnie. Słuchaj, pomogę ci, razem ich poszukamy. Ale trzeba wracać do Paryża. Tutaj nie jest bezpiecznie.

Sarah westchnęła.

– Powiedz mi, Jacobie, czy w ogóle gdzieś jest bezpiecznie? Czy w tych przeklętych

czasach, w których przyszło nam żyć, istnieje jeszcze jakieś bezpieczne miejsce?

\*

[1] Sefardyjska odmiana czulentu (wszystkie przypisy tłumacza).

## NIE NADAJĘ SIĘ DO TEGO

Zasugerowałam Konradowi, że wobec obrotu, jaki przyjmuje śledztwo, nie jestem w stanie dalej go prowadzić. Może i jestem specjalistką od Giorgionego i od renesansowego malarstwa, ale to mi się do niczego nie przydaje. On potrzebował raczej specjalisty od nazistowskich rabunków, kogoś, kto z łatwością będzie się poruszał po archiwach z epoki, kto będzie znał zawilóści rynku sztuki w tamtym czasie, kto będzie znał możliwe do wykorzystania źródła. Konrad potrzebował kogoś takiego jak doktor Arnoux. A jednak nie chciał o tym nawet słyszeć.

– W ogóle mi o nim nie wspominaj. Już ja znam tych z EFLA: to oportuniści. Poświęcają się niszczeniu większości prywatnych kolekcji i muzeów połowy Europy, bo jakiś koleś z Wisconsin, potomek bocznej linii czwartego stopnia pewnego polskiego Żyda przychodzi któregoś dnia ze zdjęciem stryjecznego dziadka i mówi, że naziści ukradli mu obraz! Nie wkurzaj mnie! To wszystko wydarzyło się ponad siedemdziesiąt lat temu! A ludzie za te obrazy zapłacili! Interesują ich tylko tytuły w prasie. Ale moim kosztem ich nie zarobią, możesz być tego pewna. To odkrycie jest moje... Poza tym – obwieścił po dramatycznej pauzie – wcale mi się nie podoba sposób, w jaki ten doktor Arnoux wścibia nos w nasze śledztwo. Nie sądzę, że będzie ci pomagał z czystej miłości do sztuki...

– Tak, jego zainteresowanie też zwróciło moją uwagę... – przyznałam. – W każdym razie – nagle zmieniłam temat, bo nie to mnie zaprzątało – nie nadaję się do tego, Konradzie.

– Ależ oczywiście, że się nadajesz, *meine Süße*. Nadajesz się do tego, do czego się zabierasz, tylko wciąż siebie nie doceniasz. Musisz mieć do siebie trochę więcej zaufania.

Być może miał rację. Może gdyby nie on, byłabym tylko wiodącym nudne życie kustoszem w małym lokalnym muzeum. To dzięki Konradowi poczyniłam postępy, rozwinęłam się i moje życie pełne było luksusu i emocji. Chociaż czasami czułam się jak marionetka, przywiązana niewidzialnymi nitkami do kijków poruszanych wedle uznania pewnego siebie człowieka.

„Bardzo dobrze, moja śliczna, jeśli czujesz się kierowana przez swojego Niemca, dlaczego na to pozwalasz?” – pewnego dnia zapytał mnie Teo. „Bo go kocham i podoba mi się to, że mną kieruje” – przyznałam. To żalosne, wiem, ale pozostawanie w cieniu Konrada pozwala mi unikać brania odpowiedzialności za własne życie; zdaję sobie przecież sprawę, że nie mam pojęcia, jak nim pokierować.

W wyniku nalegania Konrada zostałam w Paryżu, starając się wzmocnić swoją samoocenę i zrozumieć, że jeśli we własnej opinii nie jestem w stanie prowadzić badania, to tylko dlatego, że nie podjęłam tego wyzwania...

Tymczasem Teo zagroził, że wraca do Hiszpanii, stwierdziwszy, że zakończył swoją pracę i że w jego mniemaniu bezsensownie tracę czas. Przeżona, że mogę zostać sama, przekonałam go, żeby towarzyszył mi jeszcze kilka dni, przekupując go biletami na pokaz wiosenno-letniej kolekcji Christiana Lacroix, które zdobył dla mnie mój Niemiec.

Pewnego popołudnia poszliśmy na spacer do Muzeum Rodina, które jest moim najulubieńszym muzeum, zwłaszcza że otaczają je ogrody, dzięki czemu spotkanie z dziełami sztuki staje się jeszcze dłuższym i przyjemniejszym doświadczeniem.

Zatrzymałam się przed *Pocałunkiem*, należącym do tych dzieł, które za każdym razem, gdy je oglądam, są w stanie przyprawić mnie o dreszcz.

– Ten temat zaczyna mnie przerastać – rzuciłam nagle do Teo, nie przestając oglądać rzeźby.

– Mnie nie przerasta, mnie kręci, i to jak. Wszystko jedno, że to heterycki pocałunek, bo chłopaczek ma ciało, że uuu...

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, chociaż szturchnęłam go łokciem.

– Nie chodzi mi o rzeźbę, palancie.

– Kochana, no przecież rzucasz mi jakieś z niczym niezwiązane hasła...

– Mówię ci o śledztwie – wyjaśniłam, ruszając dalej z zamiarem znalezienia wyjścia do ogrodu.

– To ci nowość! Kochanie, to śledztwo przerastało cię od początku. Ty rzucasz wyzwanie prawom fizyki: chcesz popłynąć pod prąd, po prostu dając się nieść prądowi.

– Mówię poważnie, Teo. Tylko kręcę się w kółko, ale doszłam do miejsca, w którym wszędzie, gdzie idę, znajduję się na kompletnie nieznanym mi terenie. Nie wiem nic o SS ani o Himmlerze, ani o Hitlerze, ani o nazistach, ani o tysiącach ich niebywale złożonych organizacji. I nie wiem, gdzie szukać!

– Poproś o pomoc swojego przyjaciela, doktora surfera. Wiesz, któregoś dnia zapytał mnie, jak to możliwe, że jestem taki opalony w październiku. To ci kutasina! Czy to solarium? Oczywiście, to świetne solarium...

– Dobra, Teo – przerwałam mu te dywagacje, zanim się zdążył w nich zaplątać. – Nie jest moim przyjacielem, a poza tym nie wiem... nie wierzę mu. Konrad też nie. Taka gotowość do pomocy zawsze jest podejrzana...

– Uważam, że oboje jesteście paranoikami, kochanie. Konrad ma dolary w oczach i nie dopuszcza do siebie myśli, że można coś zrobić za free. I z tobą, kochana, zaczyna się robić to samo. To oczywiste, że z kim przestajesz... – Teo przerwał przysłowie w połowie, ale w moim umyśle zasiał niepokój.

Usiedliśmy na schodach prowadzących do ogrodu. Był piękny wieczór początku jesieni, jeszcze ciepły i jasny, a ponieważ mieliśmy wtorek, nie było zbyt wielu turystów, więc w ogrodzie panował spokój.

– Poza tym co tobie do jego intencji. Ty dalej wyciągaj od niego wiadomości, używając tych samych wrednych sztuczek co do tej pory.

– Tak nie jest dobrze, Teo. Nie mogę dłużej go okłamywać. Wcześniej czy później mnie przyłapie.

– W porządku, no to dopóki cię nie przyłapie, o to ci chodziło? Nie bądź głupia, kochanie. Co masz do stracenia?

– Godność – odpowiedziałam pół żartem, pół serio.

– Nic z tego, moja droga, godność straciłaś już w dniu, w którym zobaczył cię w dresie, okularach i do tego nieuczesałą.

Za ten komentarz zarobił następnego kuksańca.

– Mówiłam ci już, Konrad nie chce.

– No to słuchaj, kochana, albo się zgodzi, albo powiesz swojemu Niemcowi, żeby sobie sam poszukał tego obrazka. Nie masz innego wyjścia. I powiem ci coś jeszcze: jeżeli chodzi o mnie, to możesz puścić w trąbę tego swojego narzeczonego mądralę. Sukces niekoniecznie osiąga najlepszy, tylko ten, kto potrafi otoczyć się najlepszymi. Jeśli więc chce osiągnąć sukces, to lepiej, żeby pozwolił ci poprosić o pomoc.

Popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, rozdziawiając usta.

– Teo! To zdanie jest zbyt głębokie jak na ciebie, nie jest godne twojej frywolności.

– Cicho, bo się zmartwię. *Forever frivolous!* – zawołał, wkładając bardzo stylowe okulary przeciwsłoneczne i zwracając twarz w stronę słońca, w poszukiwaniu natychmiastowej opalenizny.

W przyływie miłości do mojego frywolnego przyjaciela objęłam jego biceps, zaznaczony tak jak ten na rzeźbie, którą dopiero co obejrzelśmy, i oparłam głowę na jego ramieniu.

– Powiem Konradowi, co o tym sądzisz, chociaż nie wiem, czy będzie chciał mnie posłuchać... – Bardzo głośno westchnęłam, jakbym w ten sposób chciała zrzucić cały ciężar, który dźwigałam na barkach. – Jak ja tego nienawidzę, Teo! Wcale nie podoba mi się to śledztwo, nie chcę tego dalej robić.

– No to je zostaw. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, po co ci ono.

– Bo nie chcę zawieść Konrada. On tak wiele dla mnie robi... Daje mi wszystko...

I skoro ten jeden raz mnie o coś prosi, nie chcę mu odmawiać, nie uważam, żeby tak było dobrze.

\*

## NIEPRAWDOPODOBNIENIE ATRAKCYJNY I TAJEMNICZY MĘŻCZYŻNA

Tego samego popołudnia zadzwonił do mnie doktor Arnoux; nieproszony znowu znalazł dla mnie coś interesującego. Tak jak mi zasugerował Teo, postarałam się uciszyć wewnętrzne niepokoje i wykorzystać zdumiewające zainteresowanie doktora, zapominając o jego najprawdopodobniej wątpliwych intencjach. Ponieważ nie byłam w stanie sama popchnąć śledztwa naprzód, takie zachowanie wydało mi się najbardziej inteligentne.

Umówiliśmy się w irlandzkim pubie w Dzielnicy Łacińskiej, gdyż według doktora Arnoux jego gabinet był zbyt brzydki, żeby odbyć tam miłą rozmowę. Prawdę powiedziawszy, trudno było się z nim nie zgodzić.

The Four-Leaf Clover był jednym z typowych irlandzkich pubów, które na zasadach franchisingu wykwitają we wszystkich miastach świata, z wystrojem tak oczywistym jak ten w McDonalddie. Najlepsze było to, że znajdował się bardzo blisko mojego apartamentu, na wąskim deptaku, który zwrócił moją uwagę, bo wciąż jeszcze był wyłożony brukiem, być może pamiętającym czasy średniowiecza. Dochodziła dziewiętnasta i lokal zaczynał się zapełniać ludźmi, którzy wpadali tu po pracy na jednego. Na ogromnym ekranie prezentowano retransmisję meczu rugby, Walia przeciwko Francji. Pośród szumu rozmów można było usłyszeć *Where the Streets Have No Name* zespołu U2. Dostrzegłam doktora Arnoux na końcu baru, pod reklamą Guinnessa.

– Przepraszam za spóźnienie. Pomyliłam ulice...

– Nic nie szkodzi. Przyszedłem pięć minut temu. Czego się napijesz?

Usiadłam na wysokim drewnianym stolku i rzuciłam okiem na jego szklanekę: piwo. Nie miałam wielkiej ochoty na takie piwo, więc wybrałam to, co ludzie zamawiają, kiedy naprawdę nie chcą nic konkretnego.

– Proszę o coca-colę.

Kiedy doktor Arnoux składał zamówienie, położyłam na kolanach torbę, otworzyłam ją, odszukałam komórkę, sprawdziłam, czy nikt do mnie nie dzwonił przez ostatnie dziesięć minut, i znowu ją schowałam... Byłam podenerwowana; cisza mnie niepokoiła, wydawało mi się, że oboje nas odkrywa, a zaczynanie rozmowy od uwag na temat pogody wydało mi się żałosne. Tymczasem Alain wziął marynarkę leżącą na stolku obok i zaczął grzebać w kieszeniach.

– Dla ciebie – obwieścił, podając mi kopertę.

Otworzyłam. Znalazłam w niej czarno-białą fotografię przedstawiającą czterech mężczyzn w pomieszczeniu, które wyglądało na gabinet, pochylonych nad leżącą na stole wielką księgą. Natychmiast rozpoznałam jednego z nich.

– Hermann Göring? – chciałam potwierdzić. Ton mojego głosu zdradzał zaskoczenie; dlaczego miało mnie interesować jakieś zdjęcie Göringa?

Doktor Arnoux przytaknął, wypiłszy łyk piwa, i zaczął pokazywać na zdjęciu:

– Hermann Göring, Kurt von Behr, Bruno Lohse... i twój przyjaciel Georg von Bergheim.

Zaskoczyło mnie to odkrycie.

– Naprawdę?

Na chwilę oderwałam wzrok od zdjęcia, żeby spojrzeć na Arnoux i pokazać mu, jak bardzo emocjonująca jest dla mnie ta sytuacja. Potem, ponieważ w pomieszczeniu panował półmrok, wsparłam się łokciami na barze, żeby przyjrzeć się fotografii w świetle dwóch punktowych lamp.

– Tydzień temu zadzwoniła do mnie pewna dziennikarka przygotowująca artykuł na temat Brunona Lohsego, żeby poprosić o jego zdjęcia. W archiwum ministerstwa jest zbiór fotografii Arbeitsgruppe Louvre, więc wczoraj je przeszukałem, no i popatrz, gdzie to się zaplatało... Zostało zrobione w Jeu de Paume w sierpniu 1942 roku, podczas jednej z wizyt Göringa w Paryżu. Tutaj Reichsmarschall ogląda jakiś katalog, a wszyscy inni mu się podlizują.

– Ale jaja! – wyraziłam się niezbyt naukowo, ale wyrwało mi się to spontanicznie.

Skupiłam wzrok na von Bergheimie. Niestety niezbyt dobrze było go widać. Ten niski mężczyzna, na wpół schowany pomiędzy Lohsem a von Behrem, zamiast patrzeć w obiektyw, skupił się na katalogu, więc jego twarz pozostała częściowo w ukryciu.

– Nie jest zbyt dobra, wiem. – Doktor Arnoux chyba czytał w moich myślach. – Dlatego przyniosłem ci jeszcze jedną...

Następna koperta? Popatrzyłam na nią ze zmarszczonym czołem – o co chodzi z tą grą w koperty?

Wzięłam ją, otworzyłam i ponownie odkryłam fotografię. Natychmiast jednak zdałam sobie sprawę, że ta jest zupełnie inna od poprzedniej.

– Teraz masz Georga von Bergheima w całej krasie – obwieścił mi z dumą Arnoux.

Zdjęcie zrobiło na mnie tak wielkie wrażenie, że aż się wzruszyłam.

Była to typowa stara czarno-biała fotografia, ziarnista i mocno skonstrastowana światłocieniem. Mężczyzna na portrecie był młodszy, niż się spodziewałam po majorze SS, miał na sobie mundur, a jego wygląd natychmiast nasunął mi na myśl hollywoodzkie gwiazdy z lat czterdziestych. Nie wiem, czy chodziło o mundur czy o poważną minę, ale cały on emanował siłą charakteru i zdecydowaniem. Jednak największe wrażenie zrobiły na mnie oczy Georga von Bergheima; choć patrzył na mnie z wykonanej dawno temu papierowej fotografii, jego wzrok wiele mi powiedział. Mimo poważnej miny spojrzenie von Bergheima było uprzejme i chociaż miał oczy wielkie i jasne, coś w nich – może cienkie zmarszczki w kącikach albo sposób, w jaki opadały mu powieki – nadawało mu wyraz smutku, może znużenia.

Te sekundy, podczas których patrzyłam von Bergheimowi w oczy, były... nie do opisanego. Czas i przestrzeń przestały mieć znaczenie; jak gdyby nie minęło siedemdziesiąt lat i nie dzieliła nas otchłań historii, odczułam rodziną, bliską więź z tym naprawdę obcym mężczyzną ze zdjęcia.

– I jak ci się podoba?

Głos doktora Arnoux mnie przestraszył, wyrwał z niemal hipnotycznego transu, w którym się znalazłam pod wpływem ciepłego spojrzenia von Bergheima. Znowu zaczęłam słuchać U2 i toczących się wokół rozmów po francusku.

– To nieprawdopodobne – wyszeptałam jeszcze w ekstazie. – Jak ją zdobyłeś?

– Kiedy znalazłem tę drugą fotografię, tę z Jeu de Paume, zdałem sobie sprawę, że jeśli w archiwum Shoah mają komplet kopii znajdujących się w Berlinie rejestrów ERR, to na pewno będą też mieć kopie fotografii załączonych do akt osobowych. Dziewczyna z archiwum jest moją przyjaciółką, więc zadzwoniłem do niej i potwierdziła mi, że je mają. Nie tylko pozwoliła mi je przejrzeć, ale pozwoliła też zrobić kopię zdjęcia, więc możesz je sobie zatrzymać.

– Bardzo dziękuję. – Uśmiechnęłam się, a mój uśmiech był jeszcze bardziej wymowny niż słowa.

– Nie ma za co. Najlepsze jest to, jak wiele może powiedzieć ci to zdjęcie...

Rzeczywiście tak było, chociaż to, co już mi powiedział, nie miało nic wspólnego z tym, do czego odnosił się doktor Arnoux.

– Jaki mundur ma na sobie?

Doktor Arnoux przysunął się bliżej.

– To mundur SS, Waffen-SS. Zbrojnych oddziałów – podniósł głos, żeby być słyszalny wśród coraz liczniejszego i głośniejszego tłumu oraz muzyki, stopniowo rozkręcającej, żeby nie zagłuszyli jej ludzie.

W tamtej chwili jakiś chłopak, który rozpychając się, siadał na stołku obok mnie, niechętnie uderzył łokciem w moją coca-colę, która rozlewając się, o mały włos poplamilaoby zdjęcie.

– Lepiej stąd chodźmy – powiedział doktor Arnoux, wyciągając dwudziestoeuroowy banknot. – Lubisz japońską kuchnię? – Przytaknęłam. – Niedaleko stąd jest restauracja, która podaje najlepsze sushi w Paryżu.

Japońskie jedzenie należy do moich ulubionych, tak naprawdę mogę żywić się sushi i nigdy się nim nie przejeść. I doktor Arnoux miał rację, w Okaido, bo tak nazywała się restauracja, zjadłam jedno z najlepszych w życiu sushi z tuńczyka oraz niezrównane tempura roll.

– Podczas okupacji w tym lokalu mieściła się Margaret, *Wehrmacht Speiselokale*, restauracja Wehrmachtu, niemieckiego wojska – powiedział to jak anegdotę.

Im lepiej go poznawałam, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że jest ekspertem od nazistowskich Niemiec, a właśnie takiej osoby potrzebowałam w swoich badaniach, co znowu wzbudziło we mnie silniejszy niepokój.

W minimalistycznym klimacie zen restauracji i jej muzyki o orientalnym brzmieniu znowu wyjęłam fotografię von Bergheima.

– Po czym poznasz, że to mundur SS? – zapytałam z ciekawości.

– Przede wszystkim po czapce: tylko SS nosiło na górze orła, a na dole *Totenkopf*, trupa czaszkę. Ponadto po patkach na kołnierzu. Szczególnie tej po prawej, z dwoma runami *sig*: dwa „s” wyglądające jak pioruny, tak charakterystyczne dla SS. Z patki po lewej stronie, na której są cztery romby i srebrna pleciana obwódka, można poznać jego stopień: *Sturmbannführer*, major.

– A ja myślałam, że w SS nosiło się te ładne czarne mundury z czerwoną opaską ze swastyką na ramieniu. Kiedyś przeczytałam w jakiejś gazecie dla dziewcząt, że zaprojektował je Hugo Boss.

Doktor Arnoux, który podczas kolacji znowu stał się dla mnie Alainem, uśmiechnął się.

– To prawda, zaprojektował je Hugo Boss. Ty i większość z nas, którzy oglądaliśmy filmy o drugiej wojnie światowej, mamy taki obraz nazistów, jaki stworzył Hollywood. Bo trzeba przyznać, że czarny mundur jest znacznie bardziej teatralny. Ale prawdą jest, że tych mundurów używano jedynie do 1939 roku. Kiedy zaczęła się wojna, z powodów praktycznych zaczęto używać mundurów szarzielonych, bardziej podobnych do tych, które nosił Wehrmacht.

Kiedy wymienił Wehrmacht, zdałam sobie sprawę, że mam mętlik w głowie.

– Nie za dobrze rozumiem, czy von Bergheim był żołnierzem czy nie. Bo skoro mówisz, że Wehrmacht to wojsko, a on jest z SS... Czy to samo?

– Nie, to nie jest to samo. Rzeczywiście Wehrmacht to niemieckie wojsko. SS to skrót od *Schutzstaffel*, co dosłownie znaczy „eskadra ochronna”, bo początkowo miała to być osobista straż Hitlera, ale później rozwinęła się w bardzo złożoną i bardzo silną organizację paramilitarną. SS dzieliło się na skrzydło polityczne, *Algemeine-SS*, i skrzydło wojskowe, *Waffen-SS*, które połączyło się z Wehrmachtem, żeby walczyć na froncie, chociaż operacyjnie podlegały różnemu dowództwu. Dlatego von Bergheim w pewnym sensie był żołnierzem: otrzymał wykształcenie wojskowe i walczył na froncie. Ponadto był bohaterem. Widzisz? – Wskazał palcem na zawieszony na szyi krzyż. – To Krzyż Żelazny, konkretnie Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego, który był odznaczeniem ustanowionym przez Hitlera za czyny wielkiej odwagi na polu bitwy. Przyznano ich podczas wojny bardzo niewiele, coś około siedmiu tysięcy.

– Bardzo ładny... – wyszeptalam, przesuwając palcem po zdjęciu.



– Środek jest żelazny, a krawędzie srebrne. Na reliefie jest swastyka i data, 1939, jest to rok ustanowienia odznaczenia. Wstążka, na której wisi, jest czarno-biało-czerwona, w barwach Trzeciej Rzeszy – rozwodził się Alain, zauważywszy moje zainteresowanie. – Poza tym von Bergheim należał do elitarnej jednostki Waffen-SS, do Leibstandarte SS Adolf Hitler.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu; czy to nie żart, czy naprawdę wyczytał tyle informacji ze zwykłego zdjęcia?

– Boże! Skąd to wszystko wiesz?

– Z tej naszywki na rękawie z głową orła i inicjałami Hitlera. Była oznaczeniem tej jednostki.

Dalej w ciszy przyglądałam się zdjęciu, podczas gdy Alain zrobił przerwę w prezentowaniu swej erudycji i chwycił pałeczkami nigiri z tuńczyka.

– Dlaczego odesłali z frontu żołnierza elitarnej jednostki i bohatera wojennego? – zastanowiłam się na głos.

Alain popił nigiri łykiem sake i uśmiechnął się do mnie; wiedział coś, o czym ja nie wiedziałam.

– Chyba sam von Bergheim pomoże nam odgadnąć...

– Co masz na myśli?

– Kiedy zobaczyłem zdjęcie po raz pierwszy, zwróciła moją uwagę odznaka na mundurze, która ginie pomiędzy tymi Leibstandarte, Panzerdivision i innymi. – Alain wytarł ręce serwetką i znowu wskazał na fotografię. – Te...

Chodziło o mały znaczek podobny do Y z trzecim ramieniem pośrodku.

– To *algiz*, tak zwana „runa życia”, po niemiecku *leben*, który wraz z Irminsul, czyli drzewem życia z tradycji saskiej, był symbolem używanym przez Ahnenerbe.

Nazwa wydała mi się znajoma.

– Tak, pamiętam, że czytałam coś o Ahnenerbe w Internecie...

– To był instytut studiów naukowych i historycznych założony przez Himmlera w 1935 roku, najpierw jako prywatna spółka, ale w 1942 roku został włączony do SS. Na początku prowadził badania antropologiczne nad wyższością rasy aryjskiej, w końcu jednak rozrósł się do ponad czterdziestu wyspecjalizowanych działów, które zajmowały się między innymi muzykologią, filozofią, archeologią, a w końcu także eksperymentami na ludziach z obozów koncentracyjnych.

– To straszne! – Przebiegł mnie dreszcz i przypomniałam sobie to, co wiedziałam o pseudomedycznych okrucieństwach nazistów takich jak Josef Mengele albo Aribert Heim, zwany Doktorem Śmierć. By uciec od złych myśli, skoncentrowałam się na najłagodniejszej stronie zagadnienia: – Jak większości ludzi, Ahnenerbe kojarzy mi się z ekspedycjami do Tybetu, na Antarktydę... albo z poszukiwaniem Świętego Graala i Arki Przymierza. – Uśmiechnęłam się trochę zawstydzona swoją wiedzą rodem z Hollywood.

Jednak Alain był wyrozumiały i nie zwracając na to uwagi, wyjaśniał dalej:

– Ahnenerbe badał wiele innych przedmiotów magicznych, nazwanych tak, bo zarówno Himmler, jak i Hitler sądzili, że te archeologiczne relikwie posiadają ponadnaturalne moce, które pozwolą im wygrać wojnę i założyć w Europie aryjskie państwo z duchowym centrum na zamku w Wewelsburgu...

– W Wewelsburgu? – przerwałam Alainowi. – List von Bergheima był datowany w Wewelsburgu...

Byłam tak pochłonięta opowieścią, że nie zdając sobie z tego sprawy, powiedziałam za dużo. Natychmiast pożałowałam swojej impulsywności i wyzwałam się od idiotek, bo przecież wyjawiałam informację, którą Alain mógł wykorzystać.

Zrobił sceniczny gest, a jego wzrok ponownie stał się zagadkowy. Ja zaś znowu wyzwałam siebie od idiotek.

– To zaczyna być interesujące... Wewelsburg był i dalej jest miejscem tajemniczym, osobistym sanktuarium Himmlera. Bywali tam tylko wybrani ludzie cieszący się łaską Reichsführera. Zacznijmy od początku, nie jest powszechne noszenie runy *leben*, nie wszyscy członkowie Ahnenerbe ją nosili, bo nie identyfikowali się żadnymi szczególnymi odznakami.

– Uważasz, że... – zaczęłam nieśmiało, obawiając się wysunąć hipotezę, która znowu będzie się wydawać bardzo filmowa, jak moja wiedza o nazistach, i której tak naprawdę nie chciałam dzielić z kimś, komu w sumie nie dowierzałam.

– Naprzód! Nie bój się spekulować. Nie ma nauki bez hipotez.

– Nie... to bez znaczenia – wycofałam się i włożyłam do ust całe sushi, co nie pozwalało mi nic powiedzieć.

– Wiem, że może to brzmieć bezsensownie – kontynuował Alain za mnie – ale jeśli dodamy jedno z drugim, von Bergheima i Ahnenerbe... Do Paryża sprowadziło go coś niezwykle ważnego. Coś tak ważnego, co pozwoliło ściągnąć z frontu żołnierza elity. Może coś magicznego...

Alain mówił tonem żartobliwym, ale ja niemal udławiłam się sushi. Czego, u diabła, szukał von Bergheim? Czym, u diabła, był *Astrolog* Giorgionego?

– Już ci kiedyś powiedziałem – dodał – twój Sturmbannführer von Bergheim nie był byle jakim nazistą. On sam ci to mówi...

Znowu rzuciłam okiem na mężczyznę na fotografii. Ten nazista nagle stał się moim sprzymierzeńcem. W sumie nie powinno było mi się to podobać, ale prawda jest taka, że chorobliwie mnie fascynował, bo oprócz tego, że był nazistą, łotrem z definicji, był nieprawdopodobnie atrakcyjnym i tajemniczym mężczyzną.

Schowałam zdjęcie von Bergheima do torebki, jakbym miała narzeczonego w wojsku. Zeskanowałam je też, na wypadek gdybym je zgubiła, a nawet ustawiłam jako tapetę na ekranie laptopa; za każdym razem, gdy go włączałam, von Bergheim pozdrawiał mnie i zaczynaliśmy pracować.

Z dnia na dzień badanie nabrało dla mnie nowego wymiaru, znalazłam motywację i ochotę, której mi brakowało. A będąc szczerą z samą sobą, musiałam przyznać, że zafascynowało mnie wcale nie istnienie – nieprawdopodobne – ani miejsce przechowywania – z pewnością absolutnie niedostępne – *Astrologa*, lecz sam von Bergheim. Ten mężczyzna przeskoczył w czasie siedemdziesiąt lat, żeby szeptać mi do ucha tajemnice na swój temat, które pragnęłam rozwikłać, zaczarował mnie swą zimną pozą z fotografii, nimbem bohatera i wrażliwością wyczuwaną między wierszami jego listu, który przeczytałam wiele razy z takim oddaniem, jak gdybym to ja była adresatką.

Odkrycie, kim naprawdę był Georg von Bergheim, stało się moją obsesją i trzymało mnie przed ekranem komputera od rana do wieczora. Nawet Teo któregoś dnia zauważył:

– Kochanie, jesteś straconą dla świata kompulsywną obsesjonatką. Gapisz się w komputer nawet przy jedzeniu. Wyglądasz, jakbyś była zakochana w tym starożytnym kolesiu.

– Bo jestem, Teo.

Powiedziałam to bez zastanowienia. Ale chyba rzeczywiście byłam zakochana w Georgu von Bergheimie. Zakochana w tych niewielu rzeczach, które o nim wiedziałam, i w tych wielu, które przede mną ukrywał. Zakochałam się, jak się człowiek zakochuje w osobie spotkanej raz na ulicy, w aktorze postrzeganym poprzez grane przez niego postaci albo w bohaterze powieści poznanym poprzez słowa pisarza. Zakochana w nieznanym. I nagle zrozumiałam, że śledztwo ruszyło z miejsca dzięki mojej platonicznej miłości do pewnego oficera SS.



## DOPEŁNIANIE BIOGRAFII GEORGA VON BERGHEIMA

Musisz zacząć od każdego medalu, odznaczenia, odznaki, a nawet od każdej nitki na tkaninie jego munduru. Od koloru jego oczu albo od blizny na policzku. Wszystko ma swoją przyczynę, wszystko coś ci o nim mówi”. Takie wskazówki zostawił mi doktor Arnoux, kiedy wychodziliśmy z japońskiej restauracji. To i jeden klucz: Bundesarchiv, niemieckie archiwum historyczne. Tak naprawdę Alain tylko mnie zachęcił do zrobienia tego, od czego powinnam była zacząć, gdybym na poważnie zabrała się do tego śledztwa.

Zasoby Bundesarchiv znajdują się w trzech miastach: Berlinie, Koblencji i Fryburgu Bryzgowijskim. Jednak polecił mi rozpocząć od Militärarchiv we Fryburgu, gdzie przechowywane są źródła dotyczące Waffen-SS. Podpowiedział mi też, że archiwum berlińskie jest bardziej zorientowane na politykę, a dokumenty z Koblencji w części odnoszące się do działań ERR we Francji są w całości skopiiowane w archiwum Muzeum Pamięci Shoah w Paryżu.

Stosując się do jego rad, złożyłam podanie o możliwość przeprowadzenia kwerendy w Militärarchiv we Fryburgu i w dość krótkim czasie dostałam pozwolenie na to. W pewien poniedziałek o dziewiątej rano wsiadłam do pierwszego samolotu wylatującego z lotniska Charles’a de Gaulle’a do Fryburga.

Gdy znalazłam się w Bundesarchiv-Militärarchiv we Fryburgu, pięknym archiwum, całkowicie z informatyzowanym, szybkim i łatwym w korzystaniu, zaczęłam kompletować biografię Georga von Bergheima.

Szybko znalazłam sporządzony przez SS raport, z całą jego historią, od urodzenia do 1941 roku, kiedy to przeszedł do rezerwy z powodu ciężkich ran odniesionych na froncie, tych samych, którymi zasłużył sobie na Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego oraz srebrną odznakę za odniesione rany. Okryłam też, że von Bergheim był doktorem historii sztuki i nawet cytowano tytuł jego rozprawy doktorskiej. Wszystkie te klocki doskonale do siebie pasowały: chodziło o oczywistą odpowiedź na pytanie, dlaczego Hitler wybrał właśnie jego do poszukiwania *Astrologa*. Bez wątpienia ja też bym go wybrała.

Przez dwa dni zdołałam zebrać fotografie, dyplomy uniwersyteckie i wojskowe, przyznane odznaczenia, świadectwo ślubu, a nawet raport z badania, jakiemu poddano jego narzeczoną, Elsie Kirch, aby upewnić się co do aryjskiej czystości przyszłej żony oficera SS. Pod koniec drugiego dnia została mi do rozwiązania już tylko jedna tajemnica z życia von Bergheima: dlaczego ślad po nim urywa się w 1943 roku, kiedy to, jak zeznawał Bruno Lohse i potwierdzają to akta ERR, wyjechał do Niemiec, wezwany przez Himmlera.

W iPodzie brzmiał cienki głos Chrisa Martina z Coldplaya śpiewającego *The Scientist*. Na monitorze komputera widniał nieruchomy obraz odznaczenia za rany odniesione w walce: wieniec laurowy otaczający wojskowy hełm ozdobiony swastyką, na dwóch skrzyżowanych mieczach. Srebrną odznakę przyznawano za trzy albo cztery rany, za utratę kończyny albo uszkodzenie mózgu. Nie mogłam przestać zadawać sobie pytania, jakimi ranami musiał zapłacić za to odznaczenie Georg von Bergheim; przez cały czas ciekawiło mnie, dlaczego nie znajduje nic na jego temat po 1943 roku.

Nagle ktoś zasłonił mi oczy rękoma. Rękoma wielkimi i delikatnymi. Odwróciłam się.  
– Georg...

To, że usłyszałam siebie mówiącą coś równie niedorzecznego, wyrwało mnie z zamyślenia z takim samym skutkiem, jak zrobiłby to strumień lodowatej wody.

– Konrad! Ale... – poprawiłam się.

– Przelatuję przez Atlantyk tylko po to, żeby cię zobaczyć, a ty witasz mnie imieniem

innego mężczyzny?

Wstałam, żeby go przytulić. Jego szyja wyperfumowana Eau d'Orange Verte de Hermès, jego ulubionym zapachem, jak eliksir stopniowo przywracała mnie do rzeczywistości.

– Ale czy ty nie powinienesz być w Nowym Jorku? – zapytałam go pośród pocałunków.

– Byłam. Dopóki nie postanowiłem przyspieszyć powrotu, bo bardzo się za tobą stęskniłem.

Konrad odchylił się nieco, żeby spojrzeć mi w twarz.

– Jesteś śliczna, *meine Süße*... Ale wyglądasz bardzo nieporządnie.

Nie zastanawiałam się nad tym, byłam jednak przekonana, że Konrad nie kłamie. Siedziałam tam od wielu godzin, ubranie miałam przepecone, cera nabrała koloru białego światła neonówek, a po długim wpatrywaniu się w monitor komputera uwierały mnie szkła kontaktowe, więc zmieniałam je na okulary.

– Ach, Konrad – westchnęłam, upadając na duchu. – A jak mam wyglądać, skoro pracuję tu bez wytchnienia od dziesięciu godzin? – Dopiero wypowiadając te słowa, zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczona.

Przygnębiające w tej sytuacji było to, że Konrad, po locie dłuższym niż moja dziesięciogodzinna praca, wyglądał jak zwykle nienagannie.

Pocałował mnie w usta i znowu przytulił

– I jak? Co już odkryłaś na temat *Astrologa*?

– Cóż... – Leniuchowałam, więc nie odrobiłam zadania domowego. – O *Astrologu* nie mam jeszcze zbyt wielu danych. Ale zobacz, zobacz, ile się dowiedziałam o majorze von Bergheimie!

Podniecona możliwością opowiedzenia mu o wszystkich swoich odkryciach dotyczących von Bergheima z nową energią chciałam się rzucić do szukania notatek. On jednak zatrzymał mnie, obejmując drugim ramieniem.

– Nie, *meine Süße*. Teraz nie. Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Na dziś wystarczy już tej pracy.

Stanęłam na czubkach palców, żeby mieć oczy na wysokości jego oczu.

– Zaprosisz mnie na kolację? – zapytałam go czule.

Konrad zaprzeczył ruchem głowy.

– Pójdziemy do hotelu. Przygotuję ci kąpiel i zamówię szybką kolację, bo chcę tylko, żebyśmy jak najszybciej poszli do łóżka. – Jego głos i jego ręce na moich pośladkach przekonały mnie, że niekoniecznie chodziło mu o spanie.

Następnego poranka pożegnaliśmy się w hotelowym holu. Konrad leciał do Madrytu, żeby wrócić do szaleńczego rytmu wyznaczonego przez jego terminarz; ja musiałam wrócić do cichej i bezosobowej sali Militärarchiv.

Zawisłam na szyi Konrada jak mała dziewczynka w pierwszy dzień szkoły i zasypywałam go pocałunkami, dopóki nie rozdzieliły nas drzwi taksówki. Chciałabym, żeby został ze mną, ale nawet mu o tym nie wspomniałam – już znalazł przerwę w swoim kalendarzu, po przewróceniu strony nie było w nim dla mnie miejsca aż do następnego spotkania.

Trochę przygaszona porzuceniem po nocy róż i szampana, trochę zdeprymowana samotną naturą mojej pracy, dalej kręciłam się po bazie danych Militärarchiv.

Znalazłam to w złej chwili. Nie byłam w nastroju na coś takiego. Świadectwo zgonu Sturmbannführera SS Georga von Bergheima, datowane na wrzesień 1946 roku, było detonatorem wybuchu powstrzymywanych emocji. W tej samej chwili, kiedy szybko przebiegałam wzrokiem po ekranie i wysilałam się, żeby w miarę czytania tłumaczyć z niemieckiego, zauważyłam, że zaczyna mi się ścisnąć gardło i stopniowo matowieje wzrok.

Kilka łez wstydliwie spłynęło po policzkach oświetlonych światłem komputera.

„Kochanie, informuję cię, że martwię się o ciebie. Jesteś w fatalnym stanie”, zawyrokował Teo przez telefon, kiedy przedstawiłam mu powody mojego smutku.

Po zakończeniu wojny Georg von Bergheim zmarł.

Ta pewność nie tylko pozbawiała mnie zapału, ale też skierowała w ślepą uliczkę. Georg von Bergheim zmarł, nie wyjaśniwszy mi nic na temat *Astrologa*.

Opadłam na krzesło. Wyłączyłam iPod'a i rzuciłam okiem na zegarek: do zamknięcia archiwum zostały cztery godziny. Gdybym wyjechała z Fryburga w tamtym momencie, wszystko by przepadło; badanie zakończyłoby się niepowodzeniem. A von Bergheim, mój wyłączny współpracownik, moja jedyna zachęta, nie mógł mi dać więcej wskazówek. Nie mógł mi już pomóc, bo Georg von Bergheim nie żył.

Wyszukałam w BlackBerry numer, który w zasadzie powinien mieć przypisane litery SOS, to znaczy numer Alaina Arnoux. Nacisnęłam przycisk połączenia i cierpliwie czekałam na jego głos. Tak bardzo mi było pilno z nim porozmawiać, że zaczęłam mówić, gdy tylko uzyskałam połączenie, ale okazało się, że była to automatyczna sekretarka: „Tu poczta głosowa Alaina Arnoux. Po usłyszeniu sygnału proszę zostawić wiadomość. Piiiiiii”.

Zatem odłożyłam telefon. Spróbowałam zadzwonić do niego na uniwersytet, ale pani z centralki poinformowała mnie, że w jego gabinecie nikt nie odpowiada. Zrobiłam to samo z EFLA i otrzymałam tę samą odpowiedź. Zadzwoniłam na telefon stacjonarny w jego mieszkaniu, ale tam też nie odebrał. W końcu postanowiłam znów dać szansę komórce, ale i tym razem poczta zaproponowała mi zostawienie wiadomości.

BlackBerry zapłacił za moją niecierpliwość, kiedy wyprowadzona z równowagi niemożliwością rozmawiania z Alainem, rzuciłam nim o stół tak, że odpadła pokrywa baterii. Schowałam twarz w dłoniach, zrozpaczona. Wydawało się szczytem ironii, że kilka tygodni wcześniej pragnęłam znaleźć najmniejszy pretekst, który by mi pozwolił porzucić to śledztwo, a teraz myśl o zostawieniu tego wszystkiego wzbudzała we mnie tylko frustrację i wściekłość. Rozmasowałam skronie, odgarnęłam włosy z twarzy, odetchnęłam głęboko i znowu przyjrzałam się fotografii Georga von Bergheima. Nie żyje, w porządku, ale nie chciałam tego tak zostawiać. Po kilku sekundach przyglądania się jego poważnemu obliczu któryś z moich neuronów zyskał inspirację konieczną do połączenia się z następnym i razem znalazły sposób na ponowne uruchomienie maszyny. Dotychczas nazwisko von Bergheim nie doprowadziło mnie do niczego, co choćby odległe mogło mieć związek z *Astrologiem*, ale... a jego numer?

W Niemczech w czasach drugiej wojny światowej każda osoba była identyfikowana zarówno po nazwisku, jak i po numerze. Podczas swoich poszukiwań natrafiłam na dwa numery identyfikujące Georga von Bergheima: numer członkowski NSDAP i numer SS. A gdyby tak spróbować...

– Nie chcę sobie robić złudnych nadziei – wymamrotałam, niemal jak wariatka, nerwowo przeszukując notatki – ale mój kochany Georgu... a jeśli wklepię twój numer z SS do bazy danych? Może się to okaże stratą czasu, a może nie. W każdym razie nie mam lepszego pomysłu...

W końcu udało mi się znaleźć sześciocyfrowy numer i wklepałam go do komputera. Odczekałam kilka sekund, podczas których system miał dane, aż w końcu przedstawił mi wynik: długą listę wszystkich dokumentów znajdujących się w Bundesarchiv, w których figurował wprowadzony właśnie przeze mnie numer SS. Było tam wszystko: rejestry, raporty, rozkazy... Wzrokiem szybko przebiegłam po sygnaturach i nagle moją uwagę zwrócił: *Schreiben*, list. Serce zabiło mi szybciej. Nie dlatego, że to był list, ale dlatego że należał do sekcji Ahnenerbe i dlatego że nadawcą i odbiorcą byli odpowiednio Adolf Hitler i Heinrich

Himmler.

– Boże, Boże, mój Boże... – mamrotałam, nie spuszczać wzroku z sygnatury, w obawie, że źle ją przeczytałam. Po raz pierwszy udało mi się połączyć Georga von Bergheima z Hitlerem!

Nie tracąc ani sekundy, ściągnęłam dokument.

Do Reichsführera SS i szefa Policji, Heinricha Himmlera

Drogi Towarzyszu,

Mając na względzie raport z 15 października 1941 roku, wyrażam zgodę na przydzielenie oficera SS nr 634.976 do Operacji Szmaragd.

W związku z powyższym wydałem już odpowiednie rozkazy centralnemu biuru Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg w Berlinie, aby w jak najkrótszym czasie udostępniono mu akta Delmedigo.

*Führerhauptquartiere*

*17 października 1941*

DER FÜHRER

ADOLF HITLER

Zachowałam kopię mikrofilmu listu jak skarb, przeczytałam go kilkakrotnie, podkreśliłam najważniejsze rzeczy i w końcu straciłam poczucie czasu, aż jakaś pracownica czytelnicy poinformowała mnie, że do zamknięcia archiwum został tylko kwadrans. Nie spostrzegłam, że na dworze już zapadł zmrok i sala powoli pustoszała; pusta wydawała się jeszcze zimniejsza i bardziej bezosobowa niż zwykle, ze swymi funkcjonalnymi meblami, niebieską wykładziną, białym światłem, pustym wieszakiem o metalowym kulkach, nie nęciła, by zabawić tam zbyt długo...

Uśmiechnęłam się zadowolona, bo już zdobyłam swoją nagrodę. Zaczęłam zbierać laptopa, papiery i wszystkie materiały porzucane po moim miejscu pracy. W rogu stołu nagle zadrział telefon. Przestraszyłam się, zobaczywszy, że komórka przesuwana się po blacie. Czym prędzej ją chwyciłam i nacisnęłam przycisk, żeby odczytać wiadomość:

*Laß mich ruhe in Frieden.* Georg von Bergheim

„Pozwól mi odpoczywać w spokoju... Georg von Bergheim”. Dreszcz przebiegł mi po ciele i włosy stanęły mi na głowie. Co to za kawał w złym guście?

\*

## SIERPIEŃ 1942

Reichsmarschall Hermann Göring odwiedził Jeu de Paume w Paryżu przynajmniej dwadzieścia razy, aby wybrać dzieła sztuki przeznaczone do swojej prywatnej kolekcji w Carinhall. Z jednej tylko z tych wizyt zabrał do Niemiec czterdzieści obrazów, spośród których znajdowało się jedno dzieło Rembrandta, dwa Goi i jedno Vermeera.

Georg von Bergheim odłożył słuchawkę telefonu i rozparł się na oparciu krzesła. Starał się uporządkować myśli, ale jego umysł pod koniec dnia był nienaoliwioną maszyną. Wstał i podszedł do okna w poszukiwaniu odrobiny świeżego powietrza. Widok i woń roślinności z ogrodów Tuileries przyniosły mu nieco ulgi. Zapadał zmierzch i było tak, jakby natura przeciągała się i ziewała, emanując zapachami wilgotnej ziemi i świeżo skoszonej trawy. Georg wciągnął powietrze, aby nasycić się nimi, po czym westchnął przeciągle.

Właśnie rozmawiał z szefem policji w Strasburgu. Według donosu jakiegoś sąsiada Sarah Bauer znajdowała się w Illkirch, w domu rodziców. Kiedy jednak policja poszła tam, żeby przeszukać teren, po dziewczynie nie było ani śladu.

Był niemal pewien, że córka Bauerów przebywa w Paryżu. Tylko tyle zdołali wydusić z jej ojca podczas przesłuchania. Herr Bauer mógł kłamać, żeby chronić córkę, ale Georg tak nie uważał; miał dziwne przeczucie, szczególnie po przygnębiającej wizycie w mieszkaniu Metzów... Tak, czuł, że Sarah tam była. Choć mogło być i tak, że ten drapieżnik von Behr osiągnął to, czego on starał się uniknąć: przestraszył dziewczynę swoim haczykowatym dziobem i krogulczymi szponami.

Nagle poczuł ssanie w dołku, niepokój, ale też nadzieję, niepohamowane pragnienie ucieczki, porzucenia tego okropnego świata biurokratów i karierowiczów, hołoty z łapami pełnymi skradzionych łupów i butami uświnionymi brodzeniem w gównie. Odczuł niemal fizyczne pragnienie powrotu na front i do wojskowego życia, odnalezienia na nowo cnoty honoru, wierności i koleżeństwa, których doświadczył tylko w swoim oddziale, kiedy stawką było życie.

Georg zadał sobie pytanie, przepełnione goryczą – jak cisza emanująca z ulic okupowanego Paryża po godzinie policyjnej – jak, u diabła, uwikłał się w tę sprawę... Odpowiedź na to pytanie nadeszła w postaci bicia w dzwony, rytmicznego i nieprzerwanego jak uderzenia kilofa w kamieniołomach... Ogrody Tuileries zaczęły się rozpyływać przed jego oczyma, a ich miejsce zajęła wizja lasu pod Paderbornem w Westfalii.

Georg zaczął sobie przypominać wizytę w Wewelsburgu i nagle wydało mu się, że słyszy stukanie młotków, wycie piły mechanicznej i warkot wiertarki... Prace renowacyjne w zamku trwały nieprzerwanie, od kiedy Reichsführer Himmler nabył go w 1934 roku.

Przez pierwsze minuty swojego pobytu w tamtym miejscu myślał, że byłoby okropne musieć pracować w ten sposób. Potem uśmiechnął się sam do siebie, gdy uprzytomnił sobie, że on także pracuje bez przerwy w ogłuszającym łoskocie wrażego ognia. Ten hałas towarzyszył mu co noc w snach i nieodmiennie go budził, bo sprawiał, że się bał i krzyczał, czasem nawet zakłócając sen żony...

– Proszę spocząć, panie Hauptsturmführer.

Jak gdyby rozkaz podziałał na instynkt, Georg pamięta, że rozluźnił mięśnie, napięte w pozycji baczność. Natychmiast poczuł, że zdrętwiało mu ranione kolano, jak to się zwykle zdarzało, gdy długo stał w miejscu... Ale nawet go nie dotknął. Nie ma usprawiedliwienia dla łamania dyscypliny wojskowej w obecności przełożonego.

– Może pan usiąść – rzucił Reichsführer Himmler, wskazując mu krzesło przed swoim



biurkiem.

Georg znowu posłuchał.

Heinrich Himmler poprawił okulary i skupił się na leżących przed nim dokumentach. Symetria sceny, którą oglądał, wydała się Georgowi nieprawdopodobna. Ogromny portret Führera wisiał dokładnie pośrodku ściany pozbawionej jakiegokolwiek innej ozdoby. Równy przed nim stało biurko. A dokładnie po jego środku siedziała niewielka postać Himmlera. Wszystko to otoczone było flagami nowych Niemiec: czerwono-białymi, z wielką czarną swastyką.

Reichsführer Himmler długo czytał to, co miał do przeczytania. Cisza, przerywana tylko dobiegającym z daleka hałasem robót budowlanych, stała się przytłaczająca. Półmrok pomieszczenia niepokoił go, bo chociaż był środek dnia, zasłony prawie nie przepuszczały światła i tylko mała lampka oświetlała biurko; wyraźnie zarysowane cienie wywoływały niepokój. Jak pole bitwy w środku nocy, wszystko wydawało się groźne i potęgowało nerwowość Georga.

To prawda, że był podenerwowany od chwili, gdy otrzymał rozkaz stawienia się u Reichsführera Himmlera. Jako zwierzchnik SS Himmler był, po Hitlerze, jego najwyższym przełożonym. Dlaczego go wezwał, zwykłego Hauptsturmführera, kapitana Waffen-SS jakich wielu?

Do tego należało dodać nastrój panujący w Wewelsburgu. Może sugerując się tajemniczą legendą spowijającą zamek, Georg czuł się nieswojo w tym złowrogim miejscu. Gdy tylko przekroczył jego próg, naszło go dziwne uczucie, jak gdyby przeniósł się o kilkadziesiąt lat wstecz, do czasów zniekształconych wyobraźnią obsesjonata. Krocząc za adiutantem Reichsführera, przeszedł przez trójkątny dziedziniec w kierunku jednej z wież, wszedł do ogromnego okrągłego holu, którego środek został oznaczony geometrycznym rysunkiem koncentrycznie ułożonych ramion swastyki tworzących na marmurowej podłodze czarne słońce, po czym wszedł po bogato zdobionych, spiralnych drewnianych schodach. Po drodze do gabinetu Himmlera nie ominął wzrokiem bogatych drewnianych plafonów z symbolami runicznymi ani konsoli z rzeźbami przedstawiającymi wielkich germańskich wojowników, przesuwających mu się przed oczyma strażników tego miejsca, ani też kasetonowych paneli z dębowego drewna i gobelinów ze scenami z mitologii germańskiej. Wielkie kominki z rzeźbionego kamienia i ciężkie średniowieczne lampy z kutego żelaza dopełniały obrazu równie bogatego i wystawnego jak przytłaczającego.

Oficjalna nazwa SS-Schule Haus Wewelsburg pozwalała zakładać, że zamek jest miejscem kształcenia wyższych oficerów SS i miejscem spotkań zaufanych ludzi Himmlera. Niektórzy twierdzili, że słyszeli, jak Reichsführer mówił o Wewelsburgu jako o wielkim duchowym centrum aryjskiego państwa. Inni szli jeszcze dalej i zapewniali, że w jego murach odbywają się rytuały magiczne oraz pogańskie ceremonie, w których biorą udział Himmler i jego poplecznicy, choć nikt nie był w stanie podać szczegółów na temat natury podobnych ceremonii.

Z założenia Georg nie wierzył w plotki, znalazłszy się jednak w zamku, był w stanie przynajmniej ustalić, jakie było ich źródło. Nie był ekspertem od średniowiecza, ale nie był też zupełnym laikiem – nietrudno było mu się domyślić symboliki Wewelsburga i jego związku z kultem przodków i germańskim mistycyzmem. Chociaż zamek był renesansowy, Himmler nadał mu fantastyczno-średniowieczny wygląd, w duchu legend o królu Arturze albo Nibelungach. Twierdzenie, że to miejsce było czymś więcej niż akademią dla oficerów SS, wcale nie wydawało się niedorzeczne... Nie, skoro sam Himmler uważał się za wcielenie Henryka I Ptasznika i co roku w rocznicę śmierci króla medytował przy jego grobowcu.

– Chociaż pana zasługi są szeroko znane, kapitanie von Bergheim, muszę przyznać, że pańskie akta dokumentują dokonania chwalebne.

– Dziękuję, Reichsführer, ale spełniałem tylko swoje obowiązki, służąc ojczyźnie i Führerowi.

Przechodząc do porządku nad tą skromnością, Himmler zaczął na głos komentować jego akta.

– Magisterium z filozofii na Uniwersytecie Berlińskim i doktorat z historii sztuki *magna cum laude* za rozprawę „Wpływy filozofii klasycznej na malarstwo okresu quattrocenta”.

Georg podjął decyzję o poświęceniu się studiom nad historią sztuki podczas wizyty w Bildergalerie w Poczdamie, swoim rodzinnym mieście. Jego ojciec – żołnierz Wehrmachtu, weteran wojny światowej, przeniesiony do rezerwy, kiedy wojsko niemieckie zostało niemal rozwiązane po klęsce 1918 roku – pragnął dla swojego syna kariery wojskowej. Jednak Georg został zarażony bakcylem sztuki do tego stopnia, że nie przychodziło mu do głowy lepsze leczenie niż poświęcenie życia pięknu, proporcji, ekspresji, historii i treści przekazywanej przez te wszystkie obrazy z galerii, gdzie był w stanie trawić całe godziny, kontemplując je oczarowany.

– Wstąpił do partii po studiach...

„A któż nie?”, pomyślał Georg. Nie było innego wyboru, NSDAP była najlepsza dla upokorzonych i wynędzniałych Niemiec. Młodemu człowiekowi, stojącemu u progu wątpliwej przyszłości, bez wielkich możliwości zatrudnienia i prowadzenia godnego życia, Hitler wydawał się mesjaszem, zbawcą obiecującym wyciągnąć kraj z nędzy i przywrócić mu jego wielkość. Ten urodzony przywódca obiecał rozkwit, godność, prawość...

– ...w niecałe dwa lata kończy szkolenie w akademii w Bad Tölz w stopniu Sturmscharführera Leibstandarte SS.

W końcu jego ojciec zaspokoił swoje pragnienia – w obliczu nadciągającej wojny Georg rozpoczął karierę wojskową. „Ale synu, dlaczego SS?”, to było jedyne zastrzeżenie wobec decyzji Georga, chociaż odpowiedź była nad wyraz prosta: SS to młoda organizacja, bez uprzedzeń, bez przeszłości, w której wyróżniano za zasługi, a nie z racji przynależności do odpowiedniej klasy społecznej, konkretnej kasty. Georg był synem podoficera Wehrmachtu, nie chciał dźwigać tego brzemienia przez całą karierę wojskową. Wehrmacht czy SS, starszemu oczy zaszyły łzami, gdy po raz pierwszy zobaczył go w mundurze prestiżowej Pierwszej Dywizji Pancerniej SS „Leibstandarte SS Adolf Hitler”, osobistej gwardii Führera, elitarniej jednostki Waffen-SS. „Waffen-SS to wojsko, czy to prawda, Georg?” Gdy mu odpowiedział, że tak, ojciec się uspokoił, nie chciał, żeby jego syn za bardzo wplątał się w politykę.

Miesiące w akademii były trudne... Czasem nieludzkie. Musiał poddać się tytanicznym ćwiczeniom fizycznym; aby dostać się do Leibstandarte, trzeba było nie tylko mieć rodowód niemiecki przynajmniej od 1750 roku, minimum metr siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i atletyczną budowę oraz nie nosić okularów, ale też przejść sprawdziany fizyczne godne olimpijczyka – instruktorzy naprawdę nimi byli. Jednak największym wyzwaniem było wytrzymanie presji psychicznej, której był poddany przez całe szkolenie. Nie na próżno siła umysłu i siła duchowa były podstawą doboru kandydatów. Führer chciał mieć w swojej osobistej gwardii prawdziwych supermenów.

Nie wszystko wszakże, co przeżył w Bad Tölz, było ciężką pracą. Tam, na potańcówce dla kadetów, poznał Elsie i ożenił się z nią zaraz po zakończeniu szkolenia. Elsie była jedyną córką Güntera Kircha, prominentnego działacza partii i deputowanego do Reichstagu z Bawarii. Chociaż Himmler go nie wspominał, Georg był pewien, że o tym wiedział, wszak SS dokładnie prześwietlało kobiety mające wstąpić w związek małżeński z jednym z jego członków. Z Elsie nie było kłopotów, była prawdziwą Aryjką, wierną partii, Rzeszy i Führerowi – a ponadto piękną kobietą.

– Brał udział w zajęciu Austrii i Sudetów, a potem w zajmowaniu Polski, w tej ostatniej kampanii dokonując prawdziwie wyjątkowego czynu: otrzymał jednocześnie Krzyż Żelazny pierwszej i drugiej klasy za odwagę w obliczu wroga podczas walk w okolicach Łodzi...

W Polsce był przydzielony do drugiego batalionu piechoty zmotoryzowanej. Była to praktycznie jego pierwsza akcja w prawdziwej walce. Polacy umocnili się w okolicach Łodzi, ostatnim bastionie przed Warszawą, i kontrolowali wszystkie drogi, zatrzymując wojska niemieckie w marszu na stolicę. Pośród silnego ostrzału artyleryjskiego jego batalion rozproszył się po lesie, starając się wyciągnąć wroga z bunkrów i okopów. On dowodził niewielkim plutonem, złożonym z dwudziestu pięciu żołnierzy, który szybko, bez żadnego wsparcia dotarł do drogi – granatami opróżniali okopy i zajmowali bunkry strzałami z moździerza, a jego ludzie jeden po drugim padali w błocie i zaczynała brakować amunicji... Jednak ani przez chwilę nie przeszło mu przez myśl, żeby zatrzymać atak, brnął naprzód, drzewo za drzewem, kamień za kamieniem, odrzucając wroga seriami z karabinu, niemal walcząc wręcz... Zacięte walki trwały przez trzy dni, aż nagle nastąpiła nawała artyleryjska, a po niej ponura cisza. Rozejrzał się dookoła: pusta droga i jego ostatnich pięciu żołnierzy. Walka dobiegła końca. Jego pluton zdołał otworzyć drogę do Łodzi... Uważał, że nie zasłużył na ten zaszczyt: dwa Krzyże Żelazne za jednym razem! Ale wydawało się to też politycznym wybiegiem. Działania Waffen-SS w Polsce były kontrowersyjne, a jej skuteczność w boju została poddana surowemu osądowi. Po tej kampanii Leibstandarte wycofano w celu przeformowania. Szczególne odznaczenia, takie jak jego, miały chyba na celu ocalenie dobrego imienia osobistej gwardii Hitlera.

– Potem Holandia i Francja. Po zdobyciu Dunkierki i na wniosek generała Dietricha zostaje odznaczony Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego za nadzwyczajną odwagę w obliczu wroga, wyróżniające się dowodzenie i wybitne planowanie walk ponad zwykły żołnierski obowiązek...

Tak naprawdę nie dotarł do Dunkierki... Ostrzał artyleryjski, wybuchy pocisków moździerza, baterie przeciwczołgowe, ryk silników wsparcia lotniczego... te dźwięki ciągle jeszcze przesładują go we śnie. „Kiedy tam jesteś, żując pył pola bitwy, zdaje się, że ich nie słyszysz. Prawie nic cię nie niepokoi, myślisz tylko o tym, żeby rwać naprzód i nigdy nie oglądać się za siebie”. Wtedy był Obersturmführerem w Pierwszej Pancerniej Dywizji SS i dowodził trzecią kompanią czołgów. Kiedy kapitan Wolff poległ w walce, bez chwili wahania przejął dowodzenie batalionem czołgów i poprowadził jednostkę po wzgórzach nękanych przez francuską i brytyjską piechotę, broniącą okolic Dunkierki. Nadzwyczajna odwaga w obliczu wroga, wyróżniające się dowodzenie i wybitne planowanie walk ponad zwykły żołnierski obowiązek... nic z tego nie przyszło mu do głowy, kiedy robił to, co robił. Wszystko ograniczyło się do instynktu samozachowawczego, obowiązku bronienia życia swoich ludzi i do przypadku, wielkiej dawki szczęścia. Pułk stracił wielu ludzi. Jego batalion zaledwie ośmiu: trzech poległych i pięciu rannych...

– Tam został pan ciężko ranny.

Prowadził batalion na szczyty wzgórz Watten, zmuszając wroga do odwrotu, kiedy samolot RAF-u atakiem bombowym uszkodził bok czołgu. Nie pamiętał tego zbyt dobrze, wiedział tylko, że obudził się spowity czarnym duszącym dymem i z wielkim bólem. Sięgnął ręką do spodni – były przesiąknięte krwią. Krew płynęła też z lewej ręki – palec wskazujący zniknął, a serdeczny wisiał ucięty na poziomie pierwszego knykcia. Rozglądając się wokół, zdał sobie sprawę, że wieżyczka jest pusta, artylerzysta i ładowniczy wylecieli w górę wyrzuceni wybuchem i leżeli na ziemi przed pojazdem. Zajrzał do wnętrza czołgu i zobaczył kierowcę pochylonego nad drążkami kierowniczymi, ze skręconą szyją i zakrwawioną głową; zawołał go po imieniu... nie było odpowiedzi. Radiotelegrafista jęczał cicho, wybuch zmasakrował mu

ciało, ale ciągle żył. Georg założył maskę i wśliznął do środka, zarzucił radiotelegrafistę na plecy i wyciągnął go stamtąd na kilka minut przed tym, nim płomień objęły cały czołg. Na zewnątrz ostrzał artyleryjski dochodził ze wszystkich stron, bitwa wciąż trwała. Dopóki miał broń, uważał, że dalej może walczyć; zawiązał rękę chusteczką, owinał nogę skórzaną kurtką i wspiął się do porzuconego karabinu maszynowego, którym dalej osłaniał atak swojego batalionu, dopóki wystarczyło mu amunicji i nie stracił świadomości.

Kiedy ponownie się obudził, był w szpitalu polowym, brudnym i przepelnionym. „Jeśli zbliżysz się do mnie ze skalpelem, pierdolony łapiduchu, przysięgam, że cię zabiję!” Bardziej ze strachu niż z odwagi zagroził pistoletem pułkownikowi, lekarzowi zabierającemu się do amputacji. Cokolwiek się wydarzyło potem, prawa noga pozostała na swoim miejscu, a po trzech operacjach i sześciu miesiącach rehabilitacji znowu zaczął chodzić i brakowało mu tylko dwóch palców lewej ręki.

– Być może zadaje pan sobie pytanie, Hauptsturmführer von Bergheim, dlaczego rozkazałem panu się tu stawić – zakończył Himmler, zamykając teczkę z jego aktami.

Rzeczywiście tak było, nieskończenie wiele razy zadawał sobie to pytanie. Nawet zaczął myśleć, że to spotkanie wynikało z pociągania za sznurki przez jego ważnego teścia, żeby coś zrobić z inwalidztwem zięcia.

– Tak jest, Reichsführer.

Himmler przyglądał mu się przebiegłymi oczkami, które zdawały się błyszczeć w wyniku odbijania się światła w okularach. Ręce – zaskakująco małe – leżały skrzyżowane na stole, przyciskając akta, przyciskając jego życie.

– Wygląda na to, że nie nadaje się pan już do służby frontowej...

To nim wstrząsnęło.

– Z całym szacunkiem, Reichsführer, wierzę, że uda mi się całkowicie wyzdobrzeć i jak najszybciej wrócić na front.

– Pańskie poczucie obowiązku i służby ojczyźnie jest naprawdę godne podziwu, panie kapitanie. Jednakowoż obawiam się, że w świetle tego, co mówią świadectwa lekarskie, jest to bardzo mało prawdopodobne...

Kiedy Himmler spostrzegł, że Georg sposobi się do zabrania głosu, pośpiesznie podniósł głos i mówił dalej, żeby nie dać mu tej możliwości.

– Ponadto jest osobistym życzeniem Führera, aby tymczasem pozostał pan z dala od pola walki. Proszę pamiętać, Hauptsturmführer von Bergheim, że walka o wielką Rzeszę toczy się na wielu frontach, nie tylko w sferze wojskowej.

Być może w wyniku zmęczenia i chwilowego wielkiego napięcia Georgowi wydało się, że pod oczyma przełożonego zarysowują się diaboliczne cienie, gdy wypowiedział tę enigmatyczną sentencję.

– Przepraszam, Reichsführer, ale nie do końca pana rozumiem...

– Pańskie sukcesy wojskowe dowodzą, że jest pan człowiekiem wiernym Führerowi i że bez wątpienia posiada pan wiele talentów. Dzisiaj jednak sprowadziłem pana do nas nie jako kapitana, ale doktora... Czy słyszał pan kiedyś, Herr Doktor von Bergheim, o obrazie zatytułowanym *Astrolog*, przypisywanym weneckiemu malarzowi Giorgiowi da Castelfranco...?

Kilka stuknięć w drzwi gwałtownie wyrwało Georga z gabinetu Himmlera.

– Co ty tu jeszcze robisz, von Bergheim? Czas już zamykać budę.

Georg się odwrócił.

– Ach, to ty, Lohse...

– Mam pracy po uszy. Za kilka dni przyjeżdża Reichsmarschall Göring i ten szczur Hofer już węszy dookoła. Jeździ wszędzie jako doradca marszałka, a nie ma zielonego pojęcia o sztuce.

W każdym razie spadam stąd. Ty powinieneś zrobić to samo. Nie chcesz iść na kolację do La Croisette i uczcić tego, że jutro jest nowy dzień? Poza tym... może złożę ci propozycję nie do odrzucenia.

„Dlaczego nie?”, pomyślał Georg. W swoim hotelowym pokoju prawie cały czas tylko rozmyślał o tym, jak bardzo nie podoba mu się to, że jest w Paryżu, i zastanawiał się, gdzie ona może być.

\* \* \*

Sarah opadła na łóżko, sprężyny wydały z siebie jak zwykle piskliwy zgrzyt. Dzień był ciężki. Grupa niemieckich żołnierzy weszła do księgarni i robiła wszystko, żeby wywołać burdę; obmacywali książki i rzucali nimi pod pretekstem, że chcą je przejrzeć, ciskali obsceniczne komentarze pod jej adresem, a zanim poszli, grozili panu Matheusowi, kiedy ten złażał ich za zachowanie. Sarah ścisnęła w dołku za każdym razem, kiedy znajdowała się blisko niemieckich żołnierzy; nie miała dokumentów, bo posłuchała Jacoba i nie zarejestrowała się jako Żydówka ani mieszkanka Paryża, więc obawiała się, że w każdej chwili zostanie aresztowana z tego powodu. W końcu sam pan Matheus, który też trochę zaniepokoił się tymi wydarzeniami, zdecydował się natychmiast zamknąć księgarnię, więc Sarah dotarła do pensjonatu wcześniej niż zwykle.

Gdy wrócili z Illkirch, Jacob znalazł dla niej tanie mieszkanie w pewnym pensjonacie położonym w centrum miasta, gdzie dzieliła pokój z jego koleżanką, też z Alzacji. Dziewczyna miała na imię Marion i była, jak by to określił ojciec Sarah, kobietą niebywale wulgarną, co od razu wzbudziło w Sarah niechęć do niej – nie widziała siebie w mieszkaniu z dziewczyną tego rodzaju. Marion miała niewyparzoną gębę, była bezczelna i niepoohamowana we wszystkim, co robiła. Nie miała ładnej twarzy, ale jej ciało było bardzo zgrabne, a stawało się wręcz zmysłowe, jeśli udało jej się wcisnąć w jedną z sukienek doskonale podkreślających jej uroki. Gdy na ulicy natykała się na grupkę żołnierzy, Marion wypinała pierś i kołysała biodrami, cieszyła się, że prowokuje gwizdy i okrzyki. Nawet podchodziła do żołnierzy, żeby wyciągnąć od nich papierosy i czekoladę. Sarah oburzało takie zachowanie, więc starała się zanadto nie zaprzyjaźniać ze współlokatorką.

Niemniej z upływem czasu odkryła, że Marion jest czystą słodyczą otoczoną kolcami jeża. Należała do osób o najlepszym sercu, jakie Sarah kiedykolwiek poznała; szczodra, miła i zawsze gotowa pośpieszyć z pomocą. I w wszystkich żałowała: staruszków, dzieci, żebraków, nawet zwierząt... Gdy zobaczyła jakiegoś staruszka siedzącego samotnie na ławce w parku, przysiadła się, żeby chwilę porozmawiać; gdy spotykała płaczące dziecko, podchodziła, żeby je pocieszyć; gdy natykała się na żebraka, oddawała mu swoją rację chleba... Dlatego też Marion natychmiast pożałowała Sarah, nieśmiałej dziewczyny, której cichutki płacz słyszała co noc, gdy gasiły światło w pokoju. Tak naprawdę zgodziła się na dzielenie pokoju nie dlatego, że potrzebowała pieniędzy, ale dlatego że była przyjaciółką Jacoba i dlatego że gdy zobaczyła Sarah po raz pierwszy, tak wychudłą, z tak nieszczęśliwą miną, o tak zalęknionym spojrzeniu i słabym głosiku, tak bardzo jej pożałowała, że aż obudził się w niej instynkt macierzyński, zwłaszcza gdy dowiedziała się od Jacoba, że naziści zabili jej ojca i wywieźli całą rodzinę.

Obie kobiety, tak od siebie różne, bardzo szybko stały się przyjaciółkami. A Sarah, niebędąca osobą niezależną ani zdecydowaną, ale potrzebującą wsparcia innych ludzi ze swego otoczenia, zaczęła budować rodzinę składającą się z Jacoba, Marion i państwa Matheus.

Tamtego dnia, kiedy Sarah przyszła wcześniej z księgarni, Marion jeszcze nie było w pensjonacie. To jednak jej nie zdziwiło, bo Marion nie miała stałych godzin pracy, lecz dziobała to tu, to tam jako kelnerka, sprzątaczką, kasjerka... Sarah przyszła już ze ściśniętym

żołądkiem, ale złe samopoczucie stało się jeszcze bardziej dojmujące, gdy poczuła zapach gotowanej na kolację brukwi; jadła ją od kilku miesięcy i nie była w stanie już tego znieść. Weszła więc do pokoju i rzuciła się na łóżko, żeby odpocząć. Jednak cisza i samotność niebawem uruchomiły jej myśli, z jakichś przyczyn koncentrujące się na wiszącym na wieszaku płaszczu, tym samym, który dał jej ojciec. Kiedyś był to bardzo dobry płaszcz, z cienkiej wełny, dobrze skrojony i z bardzo ładnym deseniem, a teraz, po tak długim czasie używania i po tylu podróżach, był stary i wyświechtany, Sarah nawet musiała go zacerować w kilku miejscach. Bo bez względu na to, czy było ciepło, czy zimno, wszędzie nosiła płaszcz ze sobą – na sobie albo zwinięty w torbie.

Patrząc na płaszcz, przypomniała sobie pierwszy raz, kiedy ojciec opowiedział jej o *Astrologu*. Miała osiemnaście lat i zaczynała studia na historii sztuki. Ojciec wezwał ją do swego gabinetu i przez cały czas przemawiał do niej tonem podniosłym i tajemniczym. Pierwszą zaskakującą rzeczą było to, że trzymał obraz w sejfie, a nie eksponował na ścianach jak wszystkie inne. Nie był wielki, jakieś 60 na 70 centymetrów. Płótno było dobrej jakości, lniane i najpewniej pochodziło z weneckich żagli, bo tamtejsi malarze bardzo często go używali. Wydawało się, że miał kilka warstw podkładu, gdyż płótno stało się grube i dość sztywne. Widać było, że artysta poświęcił temu obrazowi wyjątkową uwagę. Sarah zauważyła, że nie ma podpisu, ale ojciec powiedział, że autorem jest Giorgio da Castelfranco, Giorgione, że to jego wczesny obraz. Sarah nie wiedziała jeszcze wystarczająco dużo, żeby sama się tego domyślić, ale po informacji ojca, że to dzieło Giorgionego, jęła skupiać się na niektórych drobiazgach. Najpierw jej uwagę zwróciła sama kompozycja, z postaciami doskonale wpisanymi w pejzaż, który nie był zwykłą dekoracją, lecz fundamentalną częścią obrazu. Następnie zwróciła uwagę na żywe kolory, szkarłaty, turkusy, ochry oraz na sposób, w jaki na pierwszy plan wysuwało się światło. Na koniec spostrzegła matowe wykończenie obrazu, typowe dla środowiska malarzy weneckich, które polegało na przygotowaniu farby z mniejszą ilością ołowiu i większą wosku. Potwierdziwszy to, Sarah mogła jednoznacznie stwierdzić, że rzeczywiście ma do czynienia z obrazem Giorgionego.

Dzieło emanowało wielkim pięknem: młodzieniec z sekstantem i dziennikiem obserwacji wydawał się naukowym spojrzeniem obserwować niebo; to astrolog, który nadał tytuł całej kompozycji. Siedział u stóp kobiety ubranej na sposób grecki, z książką w dłoni i sową na ramieniu. Od tych postaci pierwszego planu prowadziła droga do drugiego planu, pejzażu gór i dolin, a na końcu ścieżki naga kobieta trzymała za rękę dziecko.

Poza jakością wykonania i pięknem kompozycji najbardziej zauroczyła Sarah opowiedziana przez ojca historia o tym, jak obraz jest strzeżony przez ich rodzinę od pokoleń, i o wielkiej tajemnicy, którą w sobie zawiera.

Od tamtej chwili ona miała obraz i tajemnicę; ze wszystkich ludzi na świecie ta odpowiedzialność musiała spaść właśnie na nią. Na samą myśl o tym Sarah poczuła mdłości. Od początku martwiły ją warunki, w jakich przechowywała obraz. Żeby mogła wynieść go z domu, ojciec ukrył go pod podszewką płaszcza. Na początku Sarah nie odważyła się go stamtąd wyciągnąć, niemal bała się tego, jakby miała otworzyć puszkę Pandory. Ale nie przestawała myśleć o tym, jak bardzo płótno musiało zostać zniszczone po wyciągnięciu z ram, przewożone z miejsca na miejsce, choćby nie wiadomo jak się starała chronić je przed wilgocią czy gorącem. Ale co miała zrobić? Wyciągnąć obraz i narazić go na niebezpieczeństwo? Gdyby to zrobiła, teraz znajdowałby się w rękach Niemców, którzy ograbili dom jej wujostwa.

Jednakże wracając do Illkirch, odczuła konieczność stawienia czoła swojemu obowiązki. Pewnej nocy, gdy była sama, uważnie odpruła podszewkę płaszcza i wyciągnęła płótno, ostrożnie i w tajemnicy, jakby przeglądała przemycany towar, z podziwem i zachwytem

jak przy odkryciu wielkiego skarbu... Bardzo się zdenerwowała, gdy stwierdziła, że obraz zaczyna pękać i ciemnieć. Nie mógł dalej pozostać ukryty w płaszczu. Przez całą noc nie zmrużyła oka, zastanawiając się nad tym, co ma robić. A może by tak wrócić do hrabiny? Włos się jej jeżył, gdy wspominała tę przerażającą kobietę, jej niepokojący dom i odstręczającego służącego. Hrabina wyglądała na złego człowieka, cokolwiek by zrobiła, nie byłoby to dobre dla obrazu.

Następnego poranka po nieprzespanej nocy Sarah wyszła na spacer po drugiej dzielnicy, po pasażach w zaułkach na tyłach Luwru. Krążyła od księgarni do księgarni, aż w końcu weszła do sklepu specjalizującego się w kartografii, gdzie nabyła reprodukcję starego planu Paryża z XVII wieku. Było jej obojętne, co przedstawia plan, najważniejsze było to, żeby łatwo dał się wyciągnąć z ramy i miał wymiary podobne do *Astrologa*. Zniosła plan pod pachą do pensjonatu, weszła do pokoju i dwa razy przekręciła klucz w zamku. Wyjąwszy plan z ramy, położyła go na *Astrologu* rozłożonym na łóżku i razem wprawiła je w tę pospolitą ramę, która nigdy nie zwróciłaby niczyjej uwagi... Oprócz Marion: „Ale zawiesiłaś smutną i nudną rzecz, moja droga!”, zauważyła, gdy tylko weszła do pokoju. Następnego dnia Marion pojawiła się z plakatem Maurice’a Chevaliera reklamującego wiśniówkę. „No, to jest ładne!”, cieszyła się, wieszając go na ścianie.

Leżąc na łóżku, Sarah rzuciła okiem na plan. Tak naprawdę patrzyła gdzieś dalek... A jeśli Georg von Bergheim szukał właśnie *Astrologa*? A jeśli cały czas go szuka?

\* \* \*

Georg pracował bez wytchnienia przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. A wszystko z winy tego szarlatana Lohsego, który sprytnie go podpuścił. Poprosił go, żeby pomógł mu przygotować wystawę dla marszałka Göringa, a w zamian obiecał mu „wykwintną kolację i najlepsze dziwki w Paryżu” – najwyraźniej tak się zawsze kończyły „wieczory zakupów” Göringa we francuskiej stolicy.

Wizyty marszałka wywoływały prawdziwą rewolucję w Arbeitsgruppe Louvre. Lohse, oprócz tego, że spędzał miesiące na poszukiwaniu obrazów na wszystkich rynkach sztuki w Europie Zachodniej, to jeszcze bez wytchnienia przeglądał kolekcje przejmowane przez ERR, by znaleźć dzieła, które mogłyby zainteresować Göringa. Następnie trzeba je było skatalogować, a niektóre nawet poddać renowacji, żeby przygotować porządną wystawę w Jeu de Paume. Lohse przede wszystkim wybierał obrazy trafiające w gust marszałka – między innymi Cranacha, Makarta, Rubensa i Vermeera – ale dodawał też takie, które uznał za dobrą inwestycję albo które mogły zróżnicować kolekcję Göringa. Następnie przyjeżdżał Walter Andreas Hofer, doradca marszałka, i działając Lohsemu na nerwy, przekładał wszystko wedle swojego uznania. Zatem Georg musiał ostatnich kilka dni spędzić na pośpiesznym selekcyjonowaniu, katalogowaniu, ale także na kojaniu nerwów i łagodzeniu napięć.

W końcu wszystko zostało przygotowane na czas i marszałek przespacerował się po Jeu de Paume, zachwycając się wszystkim, co zawiezie specjalnymi wagonami do Carinhall, gdzie budowano jego osobiste muzeum. Jednak Georgowi najbardziej żalony wydał się otaczający Göringa dwór lizodupów, poczynając od Hofera, a kończąc na von Behrze, który towarzyszył marszałkowi w pierwszym rzędzie, obnosząc jeden z tych zaprojektowanych przez siebie groteskowych mundurów, aby przydać blasku i powagi tandetnemu tytułowi pułkownika Czerwonego Krzyża, którym szczylił się wśród śmietanki towarzyskiej Paryża. Baron Kurt von Behr był tam po to, żeby dobrze sobie żyć i schlebiać rabusiom, gdyż jego zawodowe kompetencje były ze wszech miar dyskusyjne. O Lohsem można było wiele powiedzieć, ale nie to, że był lizodupem. W sumie nie trzymał języka za zębami, gdy doradzał marszałkowi, nawet

wbrew jego gustom, a tamten zdawał się go szanować bardziej niż pozostałych, właśnie z tego powodu. Nawet Georg zauważył, że traktował swojego młodego doradcę trochę po ojcowsku.

Po wizycie w Jeu de Paume poszli na kolację do Maxima, tak jak obiecał Lohse. W słynnej restauracji zawsze był stolik zarezerwowany dla Reichsmarschalla Göringa, który nawet przywiózł z Berlina Horchera, swego ulubionego kucharza. Podano ostrygi, kawior, langustę, *foie gras* i kotlety wołowe, wszystko podlane najlepszymi winami i szampanem. Pod koniec kolacji, podczas gdy kosztowali *crème brûlée*, Lohse szepnął Georgowi na ucho, że marszałek musi być bardzo zadowolony z zakupów, gdyż nie zawsze zamawia do kolacji Château Pétrus rocznik 1922.

Wisienką na torcie tego dnia miały być „najlepsze dziwki w Paryżu”. Oficerowie niemieccy w stolicy Francji chodzili do kilku burdeli. Le Chabanaix i Le Sphinx należały do najbardziej zbytkownych, ale bez wątplenia ulubionym Göringa był One Two Two. Fabianne Jamet, madame, doskonale o tym wiedziała i gdy tylko marszałek pojawiał się w One Two Two, a pod drzwiami stawali dwaj żandarmi, burdel skupiał się wyłącznie na zaspokajaniu pragnień seksualnych marszałka i jego świty. Georg był zaskoczony przepychem tego przybytku przy rue de Provence 122. Wystrój był rewią fantazji i fetysyzmu, przesadnego i wynaturzonego barokowego luksusu; jak choćby ten korytarz w stylu leśnej grotty, od podłogi aż do sufitu wyłożony naturalnymi roślinami i kwiatami, gdzie stojące na piedestałach na wpół ubrane kobiety, jak greckie boginie, prezentowały swoje wdzięki. Według Lohsego pokoje na wyższych piętrach były jeszcze bardziej niesamowite: afrykański, kajuta, indyjski... każdy z nich był doskonale urządzony w jakimś konkretnym stylu. Poza tym na ostatnim piętrze umieszczono pokoje z prawdziwymi narzędziami tortur dla sadomasochistycznych zabaw.

Kiedy weszli do One Two Two, poprowadzono ich do oddzielnego pomieszczenia, udającego ogród zimowy, z dekoracją podświetlaną od spodu, po której nieustannie spływała woda. Aby umilić wieczór, kwartet muzyków grał utwory Mozarta. Dom Pérignon i Krug płynęły strumieniem, nie brakło też opium i kobiet, jednej piękniejszej i czulszej od drugiej. Po godzinie tęgiego picia i wdychania oparów opium Georg opadł na kanapę. Okropnie go mdliło, prawie nie rozumiał słów, które szeptała mu na ucho jakaś dziewczyna o niebieskich oczach i ciemnych włosach, o ogromnych i miękkich piersiach...

Georg był pijany i przygnębiony. Cały ten luksus i rozpasanie zamiast go rozweselić, wpędziło go w okrutny smutek; wszystko wydawało mu się niemoralną pantomimą, gdy pomyślał o kobietach i dzieciach ze swoich Niemiec, codziennie ginących pod brytyjskimi bombami, o cywilach cierpiących głód i niedostatki i o swoich towarzyszach broni, ryzykujących życie na froncie dla chwały ludzi takich jak Göring, który w tej właśnie chwili znajdował się w jednym z pokojów na górze, rżnąc naprawdę oszałamiająco piękną Azjatkę. Georg rozejrzał się wokół i stwierdził, że Lohse i Hofer też poszli na górę. W pomieszczeniu został tylko on i von Behr; baron był tak pijany, że leżał nieprzytomny, mimo że jego dziwka obciągała mu tak, że obudziłyby nieboszczyka.

Żołądek dał mu wreszcie spokój. Pomiędzy przyływami mdłości myślał całkiem jasno, jak bardzo tego wszystkiego nienawidzi i jak bardzo nie chce tam być.

– *Mon amour...* – szeptała jego czarnulka, pieszcząc mu brodę i ocierając się piersiami o tors. Czarnulka posiadała mu i uszczypnęła brodę ze zmysłowością, która byłaby nieodparta, gdyby Georga tak bardzo nie mdliło i gdyby nie czuł się tak przybity. – Chodź ze mną, mój piękny generale, bo Bernadette wie, jak ci zrobić coś naprawdę niesamowitego...

Szept dziewczyny nie mógł być bardziej uwodzający, ale Georg pomyślał ironicznie, że Bernadette jest imieniem zakonnicy, a nie dziwki. Wszystkie dziwki noszą imiona Mimi, Lulu, Fifi, Nene... ale jego musi mieć na imię Bernadette, co wcale go nie zachęcało. Nawet w tej



sprawie miał pecha.

Z trudem się podparł, wyciągnął portfel i wsunął kilka banknotów za czerwoną podwiązkę kobiety. Pocałował jej miękkie, pachnące talkiem piersi.

– Napij się za moje zdrowie, Bernadette. Dzisiaj nie jestem w nastroju – wybełkotał kompletnie pijany.

I zakosami wyszedł z One Two Two.

\*

## WRZESIEŃ 1942

„Płomień francuskiego ruchu oporu nie może zgasnąć ani nigdy nie zgaśnie”, Charles de Gaulle. Francuski ruch oporu w swej początkowej fazie składał się z licznych niezorganizowanych, nieskoordynowanych ze sobą grup, prowadzących działalność zbrojną, sabotażową, propagandową; drukował podziemne gazetki, organizował siatki przerzutowe, strajki i manifestacje. W skład aktywnego ruchu oporu wchodziło zaledwie trzy procent społeczeństwa, ale cieszył się on powszechnym wsparciem, bez którego nie miałyby szans na przetrwanie.

Marion zgasła światło, otworzyła okno, wskoczyła do łóżka i powiedziała jej dobranoc. Z szelestu pościeli i skrzypienia sprężyn Sarah wiedziała, że mości się do snu. Ona spróbowała zrobić to samo. Minęło piętnaście minut. Dziesięć. Pięć... Po półgodzinie w dalszym ciągu nie spała i błędziła wzrokiem po czarnych kształtach w pokoju. Przez okno nie wpadała poświata, gdyż w Paryżu, mieście światła, od dawna obowiązywało zaciemnienie.

– Marion, śpisz?

– Nie.

– Nie mogę zasnąć... Martwię się.

Cisza i mrok.

Sarah podparła się, żeby spojrzeć w stronę zarysu koleżanki na łóżku. Wydawało się, że leży nieruchomo, plecami do niej. Nie wyglądała na chętną do rozmowy. Dla Sarah nie miało to jednak znaczenia; ona nie potrzebowała nikogo do rozmowy, potrzebowała kogoś, kto ją wysłucha.

– Chodzi o Jacoba.

– Jacob nie jest typem faceta, o którego trzeba się martwić – Marion w końcu zareagowała. – Śpij już.

– Ale Marion... on nosi przy sobie pistolet! – szepnęła dramatycznie Sarah. – Widziałam go dzisiaj w kinie. Położył marynarkę na oparciu naszych miejsc i w kieszeni zauważyłam coś dużego i twardego...

– I jesteś pewna, kochanie, że to był pistolet? Może dotykałaś innej broni... – Marion nie mogła się powstrzymać od bezwstydnego żarciku.

– Marion! To poważna sprawa! – zawołała Sarah, której nie podobała się frywolność uwagi. – Po kryjomu włożyłam mu rękę do kieszeni: to był pistolet!

W końcu Marion postanowiła potraktować tę sprawę z powagą, na jaką zasługiwała.

– Zapytaj go, po co to nosi.

– Już to zrobiłam. I wściekł się. Krzyczał na mnie, mówił, żebym nie wtykała nosa w nie swoje sprawy, po czym sobie poszedł, w ogóle nie odprowadził mnie do domu... Obawiam się, że wpakował się w jakieś kłopoty. Znając go...

Sarah odczekała, żeby Marion coś powiedziała, ale ponieważ dziewczyna nie odzywała się ani słowem, a cisza robiła się krępująca, zdecydowała się kontynuować:

– Nie wiem, dlaczego musi mnie tak traktować. Nawet mój ojciec nigdy nie krzyczał na mnie w taki sposób. A przecież ja się tylko o niego martwię.

– A on tylko chce cię chronić. Że może powinąć mu się noga? Oczywiście. Mówiłam mu to z tysiąc razy, ale... – Marion wzruszyła ramionami i przewróciła się w łóżku; wydawało jej się, że zgrabnie zakończyła temat. – Jest późno. Śpijmy już.

Jednak dla Sarah temat wcale nie był zakończony. Chwyciła kabel lampki i włączyła ją; światło połaskotało ją w skurczone źrenice.

– Cholera! Zgaś to! Chcesz, żeby cała policja Paryża rzuciła się na nas, bo palimy

światło? – zaprotestowała Marion, zakopując głowę pod poduszką.

– Powiedz mi prawdę, Marion. Ty wiesz, w co się wplątał Jacob.

– A jeśli nawet, to co? Nie mam zamiaru nic ci mówić. Jacob by mnie zabił.

– A jeśli tego nie zrobisz, to ja zabiję ciebie – rozzuchwiała się Sarah.

Marion wystawiła rozczochną głowę spod poduszki i wybuchnęła śmiechem.

– Ty nawet muchy nie potrafiłabyś zabić!

– No... może. Ale nie macie prawa traktować mnie jak małej dziewczynki! Chcę wiedzieć, co tu się dzieje!

Marion zastanawiała się przez chwilę. Była naprawdę przekonana, że Jacob zanadto chroni Sarah; w ten sposób dziewczyna nigdy się nie usamodzielni.

– Jacob jest w ruchu oporu – wyznała przytulona do poduszki. – A teraz, do diabła, zgaś wreszcie to światło!

Ruch oporu? Sarah nie za dobrze wiedziała, co to może znaczyć. Oczywiście, że o nim słyszała, ale kim byli i co robili... tego właśnie nie wiedziała. Czasami przy wyjściu z metra jacyś chłopcy podawali jej ulotki nawołujące do przeciwstawienia się nazistowskiemu okupantowi, dopóki policja ich nie przegoniła pałkami. Pewnego razu po drodze do pracy zobaczyła nawet tłoczący się krąg osób. „Co się stało?“, zapytała jakiegoś mężczyznę pośród gapiów. „Zabili niemieckiego żołnierza“, odpowiedział, podczas gdy jakaś kobieta żegnała się i mówiła z pogardą: „To ci bandyci. Ci z ruchu oporu“. Jednak Sarah nawet nie widziała trupa; kiedy przyjechała żandarmeria polowa, przegoniła wszystkich.

– Ale... czy on jest bandytą? – zapytała Sarah, starając się uspokoić skołowaną głowę.

– Nic z tych rzeczy, kochana! – gwałtownie zareagowała Marion. – Jacob jest bohaterem! Tak jak my wszyscy, którzy uważamy, że należy się postawić tym nazistowskim świniom! Trzeba przegnać ich z Francji. Najlepszy nazista to martwy nazista, ot co.

– Ale Jacob... Czy Jacob też ich zabija? – chciała się dowiedzieć Sarah, tak naprawdę pragnąc usłyszeć, że Jacob tylko roznosi ulotki.

– Własnymi rękoma – oznajmiła Marion, przepelniona dumą. – Ten pistolet odebrał w zeszłym tygodniu niemieckiemu żołnierzowi na Pont Neuf. Była noc, zaatakował go od tyłu i udusił. Potem uciekł wzdłuż rzeki. Szkoda, że go nie widziałaś.

– A jeśli go aresztują? To przecież bardzo niebezpieczne!

– I tak aresztują, kogo im się żywnie podoba, za nic. Jeśli któregoś razu nas przydybią, przynajmniej z góry zabierzemy ze sobą kilka tych świń.

Sarah nie mogła spać przez całą noc. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Od najmłodszych lat uczono ją, że zabijanie jest strasznym grzechem; „Nie zabijaj“, to było podstawowe boskie przykazanie. Prawdą jednak było i to, że naziści zabijali bezkarnie... Rabin Ben powiedział, że naziści zabili jej ojca. Czasem Sarah trudno było w to uwierzyć... Te nieliczne kontakty, które miała z Niemcami, pozwalały zauważyć, że zawsze są to ludzie uprzejmi i dobrze wychowani, poza nielicznymi wyjątkami, takimi jak ci awanturujący się żołnierze w księgarni. Ale bywali też awanturujący się Francuzi i mordercy...

Sarah powoli wiązała ze sobą luźne końce, żeby wszystko zrozumieć. Jacob nigdy nie ukrywał swojej wielkiej nienawiści do Niemców, zawsze mówił o nich z pogardą. Ponadto jej przyjaciel był z natury nieokrzesany i agresywny. A Marion... Cóż, Marion zachowywała się wobec okupantów w sposób zalotny, ale też była nieokrzesana i agresywna. I Sarah zaczęła rozumieć, dlaczego niemal co noc siadała przy ukrywanym na szafie radiu i słuchała francuskich programów nadawanych z Londynu przez BBC, *Honneur et Patrie* i *Les Français parlent aux Français*, prowadzonych przez Maurice'a Schumanna, współpracownika de Gaulle'a. Były zabronione przez Niemców, gdyż podburzały naród francuski do oporu przeciw najeźdźcy,

wychwalając przy tym sukcesy wojskowe aliantów na froncie.

Czuła, że dryfuje po szerokim morzu, otoczona opływającymi ją prądami; raz popychały ją w jedną stronę, raz w drugą; nie rozumiała jednak za dobrze, skąd przybywają ani dokąd dążą. Jednak mimo oszłamiającego i mdlącego kołysania była świadoma, że musi się opowiedzieć, że skończył się czas swobodnego dryfowania, a nadszedł czas wiosłowania w kierunku, który sama wybierze. Ale Sarah się bała.

Od chwili, gdy Niemcy zajęli Francję, zginął jej ojciec, rodzina zniknęła, ona została zmuszona porzucić dom, miejsce, w którym czuła się bezpiecznie, i uciekać; żyła w pensjonacie trzeciej kategorii, niedojadała i nosiła stare ubrania, żołądek skręcał się jej ze strachu za każdym razem, gdy na ulicy mijała niemieckiego żołnierza, nie miała dokumentów i czasem czuła się tak samotna, że nie była w stanie pohamować łez... Od chwili, gdy Niemcy zajęli Francję, jej życie było piekłem. Ale Sarah się bała.

Kiedy nastał świt, w dalszym ciągu nie za dobrze rozumiała, o co chodzi z tym całym ruchem oporu, i dalej się bała, a jednak już podjęła decyzję.

Pan Matheus założył kłódkę na drzwiach księgarni i pożegnał się do następnego dnia. Dokładnie w chwili, kiedy Sarah ruszała w stronę domu swą codzienną drogą, po drugiej stronie ulicy zauważyła Jacoba. Opierał się o skrzynkę pocztową; czapkę miał naciągniętą na oczy, a pod daszkiem pojawiał się poruszający się niedopałek, bo Jacob nie zapalał papierosów, żuł je, żeby starczyło na dłużej. Może poddała się sugestii, ale pomyślała, że Jacob coraz bardziej wygląda jak chuligan.

Omijając kilka rowerów i wózek handlarza złomem, przeszła przez jezdnię.

– Cześć, Jacobie. – Chłopak odpowiedział jej kiwnięciem głowy. – Przyszedłeś po mnie czy tylko tędy przechodziłeś?

Tamten uśmiechnął się, pokazując jej niedopałek w zaciśniętych zębach. Jednym uderzeniem palców podsunął do góry daszek czapki i odsłonił swe wielkie oczy dobrego Żyda.

– Tak naprawdę przyszedłem, żeby dać ci to...

Zręcznie jak iluzjonista wyciągnął z kieszeni tabliczkę czekolady.

– Och, Jacobie! Znowu zacząłeś tracić pensję na czekoladę?

– To za to, jak cię wczoraj potraktowałem.

Sarah popatrzyła na Jacoba i na czekoladę; jeśli oczekiwała większej elokwencji, była w błędzie.

– Co? Nie chcesz?

Z ledwie maskowanym ociąganiem wyciągnęła rękę, a następnie szybko pocałowała kolegę w policzek.

– Przyjmuję twoją czekoladę i twoje przeprosiny, Jacobie.

On uśmiechnął się, usiłując ukryć zmieszanie i czując, że policzek płonie mu dokładnie w miejscu, którego dotknęły usta Sarah.

Dzieląc się kawałkami czekolady, poszli pieszo aż do pensjonatu Sarah. Przez większą część drogi w milczeniu, bo Jacob nie należał do ludzi rozmownych, a ona była zajęta własnymi wewnętrznymi sporami.

Na krótko przez bramę pensjonatu Sarah zatrzymała się na ustronnym rogu ulicy, z dala od obcych uszu i oczu.

– Co się dzieje? Dlaczego się zatrzymałaś? – zapytał Jacob.

Zaciskając pięści lepkie od potu ze zdenerwowania, Sarah spojrzała Jacobowi w oczy.

– Wiem, dlaczego nosisz pistolet... – powiedziała.

– I co, Sarah? Chyba już ci mówiłem, że...

– Nie, Jacobie, tym razem nie będziesz na mnie krzyczał, wysłuchasz mnie.

Sarah nie musiała podnosić głosu. Jej ton był tak ostry, a mina tak zdecydowana, że Jacob zamilkł z wrażenia; nigdy wcześniej jej takiej nie widział.

– Wiem, po co ci ten pistolet, a nawet wiem, jak go zdobyłeś. Wiem, co robisz, Jacobie, i w co się wplątałeś. Żałuję tylko, że nie dowiedziałam się tego od ciebie. I cały czas zadaję sobie pytanie, dlaczego mi nie ufasz na tyle, żeby mi o tym opowiedzieć, dlaczego nie jesteś ze mną szczerzy... Nie, proszę pozwól mi dokończyć. To już nie ma znaczenia. Teraz chcę tylko, żebyś wiedział, że ja też chcę brać w tym udział.

Sarah przewidziała reakcję Jacoba na te słowa, wiele razy wyobrażała ją sobie – zmarszczone brwi, zaciśnięte szczęki, rumieniec i w końcu usta otwarte do krzyku. Ponieważ była przygotowana, potrafiła sprawić, by krzyk zamarł mu w ustach.

– Uspokój się, Jacobie! Musisz wreszcie zrozumieć, że nie jestem małą dziewczynką, a ty nie jesteś moja niańką. Nadszedł już czas, żebym zrobiła coś więcej na tej wojnie, niż tylko ciągle uciekać, a ty nie możesz temu zapobiec. Więc wybieraj: albo przy twojej pomocy, albo bez niej; albo z tobą, albo bez ciebie, Jacobie.

Jacob musiał przyjąć ultimatum Sarah; z zaciśniętymi zębami, bo inaczej nie byłby sobą, ale musiał się zgodzić. I w ten sposób dziewczyna została członkiem Alzackiej Grupy Zbrojnej, niewielkiej komórki złożonej z ludzi, którzy zbiegli z Alzacji po przyłączeniu tego regionu do Rzeszy, zwłaszcza po ogłoszeniu dekretu o przymusowym włączaniu Alzaczyków do Reichsarbeitsdienst, czyli Służby Pracy Rzeszy, jak i do Wehrmachtu.

Grupa nie była zbyt liczna, tworzyło ją zaledwie dziesięć osób: Jacob był zastępcą dowódcy, komunisty znanego jako Trocki. Resztę stanowili: inżynier wyspecjalizowany w ładunkach wybuchowych, mężczyzna odpowiedzialny za propagandę, Marion i innych pięciu młodych chłopaków, samych Żydów, których uczono taktyki sabotażu i miejskiej partyzantki. Chociaż nieliczna, AGZ była bardzo aktywnym oddziałem.

Trocki, mężczyzna porywczy i agresywny, był aktywistą najbardziej rewolucyjnej frakcji komunistycznej, zwolennikiem walki robotniczej i konfliktu klas, głoszącym żarliwą nienawiść do wszelkich przejawów faszyzmu. Tak naprawdę Trocki rozpoczął swoją podziemną działalność po ataku Niemiec na Związek Radziecki. W Jacobie Trocki znalazł godnego naśladowcę. Poznali się w pracy na Gare de l'Est i od razu postanowili założyć Alzacką Grupę Zbrojną, wspieraną przez inne grupy ruchu oporu w strefie północnej, z którymi Trocki utrzymywał kontakty. Partyzancki impet ich obu sprawił, że działania grupy od samego początku koncentrowały się na sabotażu i na akcjach zbrojnych przeciwko niemieckim żołnierzom. Ponieważ Trocki wołał rzucające się w oczy czyny, takie, które odbijały się szerokim echem wśród wroga, zwykle atakował oficerów SS i prowadził makabryczną statystykę – po zabiciu każdej ofiary robił nacięcie na zawieszanej na szyi metalowej blaszce. Trocki całkowicie zasłużył na ów pseudonim, pod którym znano go w grupie. Nawet z wyglądu był prawdziwym bolszewikiem: bardzo błękitne oczy, bardzo biała cera, bardzo czarne włosy i szpiczasta bródka. Sarah była zaskoczona, że gestapo jeszcze go nie aresztowało, bo brakowało mu tylko napisu na czole, że jest komunistą.

Sarah była zaskoczona tym, że wszyscy w grupie znali tylko swoje pseudonimy: oprócz Trockiego Jacob był Gauloises'em, bo nieustannie trzymał w ustach papierosa, Marion była Cigale, cykadą. Ten od ładunków wybuchowych i od propagandy nazywali się odpowiednio Dynamo i Gutenberg. Dynamo był mechanikiem u Renaulta i członkiem fabrycznych związków zawodowych – mnóstwo mięśni i włosów skupionych na metrze sześćdziesięciu wzrostu; bardzo dobrze pasował do tej nieokrzęsanej grupy. Tylko Gutenberg odstawał od oddziału. Wyglądał raczej na seminarzystę, z tymi swoimi owalnymi okularkami, okrągłą łysiną na czubku głowy, jakby nosił tonsurę. Kiedy Sarah weszła do pomieszczenia, w którym się zbierali, ukrytym na

tyłach garażu na przedmieściach, Gutenberg przyjrzał się jej dokładnie, po czym zawyrokował:

– Szmaragdowy to kolor twoich oczu, więc będziemy cię nazywać Esmeralda.

Gutenberg, który pozował na intelektualistę, czasami miewał takie napady liryzmu.

Trockiemu nie za bardzo podobało się to, że Jacob wciska im tę dziewczynę. W sumie była to kolejna cholerna burzujka, wyglądająca na osobę zupełnie bez ikry. Trocki bardzo wątpił, żeby mogła im się do czegoś przydać, raczej uważał, że będzie przeszkadzać. Niemniej Jacob zdołał go przekonać, że potrzebują kogoś takiego jak ona do określonych zadań, których tak naprawdę nikomu w grupie nie przydzielili, a przecież trzeba je wykonywać dobrze: drukować ulotki, służyć jako łączniczka, przygotowywać zebrania, zarządzać funduszami. W oczywisty sposób jej przyjaciel wymienił zadania, które wykluczały Sarah z pracy w terenie, a zatem nie narażały jej na bezpośrednie niebezpieczeństwo.

– Dobrze, towarzyszu, skoro tak kręci cię ta dziewczyna, niech ci będzie. Ale ty się nią zajmuj, nie chcę żadnego zamętu.

Gutenberg dał Sarah do zrozumienia, że grupa planuje coś dużego. Dowódcy spędzali długie godziny na naradach za zamkniętymi drzwiami. Trocki upierał się przy twardszym szkoleniu partyzantów; twierdził, że chłopaki nie są przygotowani do czekającej ich misji.

Pewnego dnia pojawił się w garażu z niemieckim żołnierzem. Sam go pojmał, terroryzując nożem przy wyjściu z *Soldatenkino*, kina dla niemieckich żołnierzy. Zaprowadził go w jakiś ciemny zaułek i tam niemiłosiernie pobił. Okropny stan, w jakim żołnierz został doprowadzony do garażu, mówił sam za siebie.

Trocki wepchnął go do środka. Zaległa cisza, wszyscy porzucili swoje zajęcia i zbrali się wokół dowódcy, który przywiązywał Niemca do krzesła.

– Zwariowałeś, towarzyszu! Nie możemy przetrzymywać tu żołnierza wroga! Sprowadzi na nas kłopoty – mamrotał Jacob do ucha Trockiemu, gdy ten mocno zaciskał sznury wokół nadgarstków Niemca. – Co masz zamiar z nim zrobić?

– Zaraz zobaczysz.

Trocki zawołał jednego z partyzantów, zaledwie osiemnastoletniego chłopaka, i podał mu pistolet.

– Zabij go – rozkazał krótko, odchodząc o pół kroku, żeby dobrze widzieć przedstawienie.

Chłopak pobladł. Zdawało się, że zadaje sobie pytanie, czy dowódca mówi na poważnie, i trzymał pistolet w taki sposób, jakby go palił w dłoń.

Panowała niemal absolutna, przejmująca cisza, zaciskająca się jak dyby wokół sceny, na której znajdowali się żołnierz i jego przerażony kat. Nikt nie odważyłby się odezwać choćby słowem, a już na pewno nie przeciwstawić się rozkazowi Trockiego, tak wielki był jego autorytet. Słysząc było jedynie przytłumione jęki żołnierza, który ze spuchniętymi i zakrwawionymi ustami niemal nie był w stanie wykrztusić z siebie zrozumiałych dźwięków.

Jacob podszedł do Sarah stojącej nieruchomo za stołem, na którym porządkowała papiery.

– Wyjdźmy stąd – zasugerował, biorąc ją za łokieć.

– Nie – tylko tyle zdołała powiedzieć.

W garażu dalej trwał dramat.

– Naprzód! Nie będziemy tu stać cały dzień! – Trocki naciskał na niezdecydowanego chłopaka.

– Ale...

– Wyceluj wreszcie, do jasnej cholery, i strzelaj, kurwa!

Potężny krzyk Trockiego wstrząsnął chłopakiem; echo jego gniewu rozbrzmiewało przez kilka sekund pośród ścian grobowca, w który zamienił się garaż. Jak gdyby broń ważyła tony,

chłopak wstał, ale było oczywiste, że drżenie rąk nie pozwoli mu wycelować. Jego biała cera lśniła od potu, zaczęły na niej wykwitać czerwone plamy, odbicie strachu i zdenerwowania. Zaciskał usta. Mrugał. Drżał...

Napięcie nabierało niemal dotykanej formy, uderzało Sarah w uszy, przesycalo powietrze niczym ciężki gaz i zdawało się, że zaraz wybuchnie.

I wybuchło. Wybuchło w trzymającym pistolet chłopaku, który załamał się nerwowo: wypuścił pistolet, upadł na podłogę, skulił się i zalał łzami.

Trocki podszedł kilka kroków, powoli, jak człowiek wykonujący rutynową pracę, z taką samą swobodą i zniechęceniem pochylił się, wziął pistolet, wymierzył w głowę niemieckiego żołnierza i wystrzelił.

Wystrzał przestraszył Sarah, patrzącą z przerażeniem, jak ciało młodego żołnierza skręca się gwałtownie, aby po chwili opaść niczym lalka, z której wysypano trociny. Nic nie było słyhać ani nikt się nie poruszał, dopóki strużka krwi nie wypłynęła z głowy żołnierza i zaczęła kapać na podłogę. Sarah nie była w stanie oderwać wzroku od tych kropli, które już zaczynały tworzyć kałużę na cemencie. Stała sparaliżowana przerażeniem.

– Widzisz, o co mi chodzi, kiedy mówię, że jeszcze nie są gotowi? – powiedział Trocki do Jacoba, nie tracąc fasonu.

\*

## MĘTNA HISTORIA

To oczywista farsa, *meine Süße*. Georg von Bergheim nie żyje i nie może nikomu wysyłać esemesów – przekonywał mnie Konrad, rozważny jak zwykle.

Ja, dla odmiany, byłam dość podenerwowana. Znowu się do niego przytuliłam.

– W tym problem. Skoro Georg von Bergheim nie żyje, kto napisał tę makabryczną wiadomość? – zareplikowałam.

Konrad pocałował mnie w czubek głowy i pogłaskał, jakbym była jego córką.

– Ktoś, kto chce cię nastraszyć. Ale przyznaj, *meine Süße*, to jest tak teatralne, że aż wydaje się komiczne, nie uważasz?

– Prawdę mówiąc nie. Dla mnie to w ogóle nie jest śmieszne. Nie lubię być straszona.

– Uwielbiam, kiedy zachowujesz się jak mała dziewczynka... – stwierdził, zanim pocałował mnie w usta.

– Kochasz mnie?

Spojrzał na mnie z uśmiechem, choć ze zmarszczonym czołem.

– Nie bądź niemądra, oczywiście, że cię kocham.

– I dalej będziesz mnie kochać, nawet jeśli zostawię to śledztwo?

Konrad wybuchnął śmiechem.

– Zawsze cię będę kochał... Ale nie zostawiaj śledztwa. Nie z powodu czegoś tak głupiego... – Konrad uciszył mnie, kładąc mi palec na ustach. – Należę ci szklaneczkę, a jak już cię upiję, będziemy rozmawiać dalej.

Zadowolona uwolniłam się z jego ramion, a gdy kierował się do barku, usiadłam na jednej ze specjalnie dla niego zaprojektowanych kanap, naprzeciw wielkiego okna, zajmującego praktycznie całą ścianę i prezentującego fantastyczny widok nocnego Madrytu, niczym klif nad morzem asfaltu i światełek.

Kanapa była bardzo ładna, ale nie zachęcała do wygodnego ułożenia się. Mimo to nie pohamowałam się i podkuliwszy nogi, usadowiłam się w jednym z narożników.

Konrad przyszedł ze szklaneczkami.

– Depczesz kanapę.

– Jak dzieci... powinno ci się to podobać.

Zsunęłam nogi na podłogę, bo zrobił taką minę, że nie miałam wątpliwości, czy mu się to podoba. Pociągnęłam łyk właśnie przygotowanego Apple Martini i spróbowałam naprowadzić Konrada z powrotem na temat, którego nieodmiennie unikał.

– Zastanawia mnie, że ty, tak zazdrosny o swoje odkrycie, ani trochę się nie martwisz.

– Nie martwię się, jestem tylko czujny i... W porządku, też się martwię, ale o ciebie, o to, jak poważnie do tego podchodzisz, *meine Süße* – przyznał, gładząc mi brodę. – Jutro sprawdzę, czy da się ustalić, kto wysłał tę wiadomość. W ten sposób dowiemy się, kto jest tak bardzo zainteresowany, żebyś przestała prowadzić śledztwo.

– Ale skąd znają mój numer telefonu?

– Są sposoby, żeby go zdobyć. Nie jest to proste i trzeba mieć środki, ale można to zrobić. – Konrad postawił swoją szklanę z whisky na stole, rozparł się na kanapie i zaczął się bawić moimi włosami. – Zdajesz sobie z tego sprawę, *meine Süße*? Mamy w rękach coś naprawdę wielkiego. – W tym, jak na mnie patrzył, widać było radość i zadowolenie.

– Jak dla mnie zbyt wielkiego – ubolewałam. – Powinieneś znaleźć sobie kogoś innego, żeby się tym dla ciebie zajmował...

– Och, daj już spokój, Ano! Nie zaczynaj znowu. Ciągle ta sama śpiewka, a jednak



posunęłaś się na tyle daleko, że ktoś uznał, że za daleko.

– Ale ja nie chcę być zamieszana w tę... mętną historię!

– Mętną historię? – Konrad się zaśmiał. – Ależ dramatyzujesz...

Dobrze, może zabrzmiało to jak cytat z serialu, ale nie przychodziło mi do głowy nic innego.

– Przykro mi, że wydaję ci się pospolita, ale jeszcze nigdy nikt mi nie groził. Nie chcę przechodzić przez to wszystko.

Zamoczyłam krążek jabłka w szklance i uniosłam go do ust. Konrad przysunął się do mnie, też je ugryzł i szepnął:

– Nie chciałem, żeby było ci niemilo. Przeciwnie, myślałem, że ta praca ci się spodoba. Jesteś urodzonym śledczym...

– Ale to nie jest moja działka. Właśnie w tej chwili czuję się nie tylko zagrożona, czuję się też zagubiona.

– Masz list Hitlera i wzmiankę o aktach Delmedigo. To wielkie znalezisko!

– Och, tak, nieprawdopodobne znalezisko – ironizowałam. – A teraz co? Jeśli chcesz czegoś rozproszonego, to na pewno są to nazistowskie archiwa. Dokumenty Trzeciej Rzeszy stanowiły łup krajów, które wygrały wojnę. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Rosja, Ukraina, Francja, Holandia, Szwajcaria... żeby znaleźć jakąś wzmiankę o aktach Delmedigo, może będę musiała spędzić lata w dżungli organizacji, instytucji, fundacji, bibliotek, stowarzyszeń i wszelkiego rodzaju organizmów państwowych i prywatnych, które przechowują dokumenty z drugiej wojny światowej.

– Cóż, dotychczas nie szło ci tak źle...

– Dotychczas miałam szczęście. I praktycznie wszystko to znalazłam dzięki doktorowi Arnoux...

– Och, nie... – przerwał mi. – Już o tym rozmawialiśmy, Ano. Nie chcę w tym śledztwie nikogo obcego. A już na pewno nie doktora Arnoux, sama zgodziłaś się ze mną, że temu typowi nie można wierzyć.

– Hm... Ja nie wiem, czy można mu wierzyć czy nie, ale przyznaję, że jego zainteresowanie moją pracą jest naprawdę dziwne...

– Dziwne? Albo chce się z tobą przespać, albo chce nam zwędzić obraz. A ja, prawdę mówiąc, nie mam ochoty pozwolić mu na żadną z tych rzeczy.

Za ten komentarz został obdarzony uśmiechem i pocałunkiem o smaku likieru jabłkowego. W zasadzie podobało mi się to, że jest zazdrosny.

Nagle Konrad jakby doznał objawienia.

– A jeśli to on wysłał ci tę wiadomość? – rzucił. – Ma twój numer...

Przez chwilę ta hipoteza wydawała mi się wiarygodna, ale zaraz znalazłam jej słabe strony.

– To nie ma wielkiego sensu... Po co miałby mi pomagać, gdyby chciał, żebym porzuciła tę sprawę i zostawiła mu wolne pole?

– Może wykonałaś za niego czarną robotę, a teraz, kiedy wreszcie znalazłaś pierwszy konkretny ślad, chce cię usunąć z gry.

Argumenty Konrada wcale mnie nie przekonywały, przede wszystkim to, co się odnosiło do roli mafioza, którą przypisywał doktorowi Arnoux – nie pasowała ona do poznanego przeze mnie miłego człowieka. Mimo to przyszło mi do głowy, żeby zaproponować mu pewien plan.

– A skoro tak jest, nie sądzisz, że lepiej byłoby go kontrolować z bliska? Chodzi mi o to, że byłoby korzystniej, żeby pracował dla nas, a nie za naszymi plecami...

– Byłabyś gotowa spać z wrogiem? – zapytał z kpiącym uśmiechem.

– Gdybyś mi pozwolił...

Konrad podparł się, wziął szklanekę i wbił wzrok w jej środek, jak gdyby kostki lodu miały mu wyznaczyć coś niebywale interesującego. W końcu wypił whisky i westchnął.

– Dobrze... Zapytaj doktora Arnoux o akta Delmedigo. Ale... nie mów mu, czego szukasz. Ani słowa o *Astrologu, meine Süße*. I, rzecz jasna, o tym sypianiu, nie mówiłem w sensie dosłownym...

Zanim wróciłam do Paryża, postanowiłam zadzwonić do doktora Arnoux z Madrytu, ale udało mi się skontaktować wyłącznie z jego automatyczną sekretarką. Zostawiłam mu kilka wiadomości, ale ponieważ nie odpowiadał, w końcu zrezygnowałam. Udało mi się nawet znienawidzić ten głos z konserwy, który kazał mi zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału, piii. Napisałam do niego kilka e-maili, które bez odpowiedzi zostały porzucone w otchłani Gmaila. Spróbowałam zadzwonić na telefon uniwersytecki – przynajmniej po drugiej stronie odpowiedziała mi ludzka i miła sekretarka, ale też nie miałam szczęścia. Pod telefonem European Foundation for Looted Art sprawy miały się nie inaczej, a telefonistka nawet nie była miła. Jako ostatnią deskę ratunku wykorzystałam jego domowy telefon... bez skutku. Wszystkie moje wysiłki, żeby go zlokalizować, nie przyniosły żadnych rezultatów.

Wyglądało to tak, jakby Alain Arnoux rozplynął się w powietrzu. I chociaż upierałam się, żeby tego nie dopuszczać do siebie, to nagle zniknięcie budziło moje jak najgorsze przeczucia.

Zmęczona już tym ciągłym dzwonieniem, w końcu osobiście pofatygowałam się na uniwersytet, zdecydowana, żeby się z nim spotkać albo chociaż uzyskać jakąś informację na jego temat. W gabinecie go nie było, a zgodnie z tym, co bez większego przekonania powiedział mi jakiś chłopak snujący się po korytarzach instytutu, od kilku dni nie widziano go na uczelni. Przypadkiem jakaś bardziej rozbawiona dziewczyna, która przechodziła obok nas, usłyszała naszą rozmowę: „Doktor Arnoux wziął kilka dni urlopu. Ale jest w Paryżu. Był tu dzisiaj po jakiejś rzeczy. Mówił, że później będzie w domu”.

No, to już było coś. Przynajmniej nie porwali go kosmici ani nie został wtrącony do więzienia CIA, bo takie opcje też rozpatrywałam wobec kompletnego braku informacji.

Ponieważ byłam gotowa doprowadzić sprawę do końca, a do tego on sam podał mi swój adres – przypuszczam, że po to, abym z niego skorzystała w razie potrzeby – zwalczyłam myśl, że zakłócam prywatność osoby, którą ledwie znam, i udałam się ze swoją teczką z papierami dotyczącymi śledztwa prosto do jego domu. W końcu on też pojawił się bez zapowiedzi w moim apartamencie i przydybał mnie nieuczesaną i w dresie.

\*

## WIELKA PRZYKROŚĆ

Skoro Alain Arnoux nie został porwany przez kosmitów ani nie znajdował się w więzieniu CIA, to oznaczało, że nie odpowiedział na moje telefony, bo mu się po prostu nie chciało. Gdybym zastanowiła się nad tym, zanim rzuciłam się do ataku na jego dom, oszczędziłabym sobie wielkiej przykrości, która spotkała mnie tego wieczoru.

Doktor Arnoux mieszkał przy rue de Montorgueil, znajdującej się w drugiej dzielnicy, w samym centrum Paryża. Rue de Montorgueil jest jednym z tych skarbów, które jeszcze przetrwały w najechanym przez turystów Paryżu, czasem bardziej przypominającym scenerię z papier-mâché niż miasto mające życie i ducha. Rue de Montorgueil zachowuje ludowy klimat starej dzielnicy. Jest to deptak, na którym do dziś jest więcej *boulangeries*, *boucheries* i *poissoneries* niż sklepów z pamiątkami i fast foodów, i gdzie można spotkać paryżan z koszykami zakupów albo spokojnie popychających dziecięce wózki; a w niedziele wypełnia się barwnym ulicznym jarmarkiem i tworzą się długie kolejki przed piekarnią, żeby kupić croissanta na śniadanie oraz ciasto na deser. Cud codzienności o kilka kroków od Luwru.

Jego mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze starej kamienicy, na której gładkiej, pozbawionej ozdób fasadzie odcinały się jedynie doniczki czerwonych kwiatów na balkonach pierwszego piętra. Rzucały się też w oczy pomalowane na błękitno wejściowe drzwi, wciśnięte pomiędzy aptekę i warzywniak prowadzony przez Wietnamczyków, który – mimo że było już po siódmej – dalej był otwarty.

Wykorzystując fakt, że do budynku wchodziła jakaś sąsiadka, nie użyłam domofonu. W środku znajdował się dziedziniec z kilkoma klombami i dwoma rowerami w jednym z narożników. Z okien płynął zapach smażonych jajek i stukanie talerzy, co mi przypomniało, że dla mnie jest to jeszcze pora, żeby coś przekąsić albo choćby wypić małe piwo, a dla Francuzów jest już pora kolacji. Przeszło mi przez myśl, że być może nie jest to dobry moment na odwiedzinę, ale ponieważ zaszłam już tak daleko, w jednej chwili odrzuciłam te wahania.

Przeszłam przez brukowany dziedziniec i wspięłam po schodach na drugie piętro, bo nie było tam windy. Zadzwoiłam do drzwi oznaczonych wielką literą A i odczekałam dość, żeby zdać sobie sprawę, że jestem nieco niespokojna; zawsze się denerwowałam, gdy dzwoniłam do drzwi nieznanego człowieka.

Po chwili drzwi powoli się uchyliły.

– Kto tam? – zapytał szorstko ktoś, kto tylko wystawił nos.

– Alain?

Chociaż moja odpowiedź była raczej pytaniem, a mój głos brzmiał wątpo i drżał, chyba wypowiedziałam właściwe hasło – drzwi otworzyły się, odsłaniając niezbyt chwalebny obraz.

W półmroku ciemnego mieszkania, oświetlonego w tle jedynie białawym i drżącym poblaskiem telewizyjnego ekranu, pojawił się mężczyzna zarośnięty, rozczochrany i ubrany w wygnieciony podkoszulek oraz coś, co jak miemam, kiedyś było krótkimi spodenkami.

– Alain? – znowu zapytałam z większym zdumieniem niż zainteresowaniem.

– Ana... Nie... Ja nie...

Przypuszczam, że to w tamtej chwili pożałowałam, że tam przyszłam, i nie przestałam żałować przez całą noc.

– Przepraszam. Nie chcę przeszkadzać... Spałeś... Porozmawiamy przy innej okazji... albo nie. Dobrze, skoro... zobaczymy.

Moje słowa były nieskładne. Jak można było mówić składnie w tak krępującej sytuacji? Tak naprawdę w tamtej chwili najbardziej chciałam się rozplątać, bez słowa zniknąć stamtąd.

– Nie, nie spałem. Wejdz.

Alain odsunął się, żeby mnie przepuścić, ale ja nie miałam najmniejszej ochoty tam wchodzić. Przyszło mi do głowy, że może się pomyliłam w jego ocenie i że Alain może być bardziej niebezpieczny, niż mi się zdawało: prawdziwy nieprzyjaciel.

– Nie, nie, dziękuję. Jeśli naprawdę nie...

– Dobra, wchodź.

Przeczuwałam, że albo powinnam tam wejść, albo uciec. A nie przychodził mi do głowy żaden sposób, żeby uciec z godnością.

Kiedy Alain zamknął drzwi za moimi plecami, zdenerwowałam się jeszcze mocniej. Mieszkanie było spowite niemal całkowitym mrokiem, wypełnione bardzo ciężkim powietrzem, jakby od tygodni nie otwierał okien, i unosiła się w nim chmura lepkiej mgły. Powiedziałam sobie, że jestem niepoważna, skoro tak się zjawiłam w jego domu, w domu człowieka obcego. Co wiedziałam o Alainie? Od samego początku jego zachowanie było dziwne; miły, a nawet czarujący, tak naprawdę niespotykane miły i czarujący, jak wyrafinowany psychopata. A ja sama jak idiotka wepchnęłam się w jego łapy. Gdyby zechciał, mógłby mnie poćwiartować i pochować moje kawałeczki po całym domu... I w sumie w mieszkaniu śmierdziało tak, jakby rzeczywiście poćwiartował i przechowywał wszystkich, którzy go kiedykolwiek odwiedzili.

Alain zapalił światło, więc poczułam się odrobinę lepiej. Mały przedpokój łączył się z równie małym pokojem. Alain minął mnie, żeby wejść pierwszy.

– Wygląda tu okropnie. Przez kilka dni nie było mnie w domu – wyjaśnił, niezręcznie zbierając różne rzeczy.

Brzmiało to jak tanie usprawiedliwienie. Ten bałagan powstał w ciągu ostatnich godzin: otwarta walizka, która jakby rzygała ubraniami na wszystkie strony, wyschnięte kawałki pizzy w pudełku, wdeptane w ziemię chipsy, góra – więcej niż człowiek powinien wypić – pustych puszek po piwie wałała się po stole, stała tam też do połowy opróżniona butelka wina. Sądząc po tym, doktor Arnoux mógł mieć w domu imprezę, chociaż obył się chyba bez zaproszonych gości.

– Lepiej będzie, jeśli sobie pójdę. To nie jest dobry moment.

Alain zgasił telewizor i w końcu umilkł monotony głos, który mieszał się z naszymi słowami.

– Skoro już tu jesteś... – Wzruszył ramionami. – Chcesz coś do picia? Obawiam się, że piwa już nie ma... Wino?

Stojąc pośrodku pokoju, wyciągnął w moją stronę otwartą butelkę. Wtedy, w świetle lampy, ostatecznie potwierdziłam jego żaloszny wygląd: brudny, jakby nie mył się od wielu dni, i z podkrążonymi oczyma, jakby od dawna nie spał, z poczochraną brodą pokrywającą twarz wyglądał jak ci żebracy wałęsający się po ulicach z wózkami wypakowanymi jakimiś gratami.

– Nie, dziękuję – odrzuciłam jego propozycję, nie mogąc pohamować grymasu obrzydzenia.

Ponownie wzruszył ramionami i solidnie pociągnął z butelki. Ponieważ nie mógł inaczej, wierzchem dłoni wytarł zalaną winem brodę.

– Skoro nie przyszłaś się ze mną napić, to po co przyszłaś? Chyba nie chcesz gadać teraz o tej twojej sprawie...

– Już nie. Może jutro zobaczymy się w twoim gabinecie, kiedy będziesz... – chciałam powiedzieć trzeźwy, ale ugryzłam się w język.

Alain przysiadł na oparciu kanapy.

– Jutro nie będzie mnie na uniwersytecie. Mam urlop. Ale zdaje się, że już ci jasno powiedziałem, że nie chcę mieć nic wspólnego ze sprawą Bauerów.

– Tu nie chodzi o sprawę Bauerów – odpowiedziałam naiwnie, jakbym rozmawiała

z osobą zdolną do myślenia.

– Jasne, że nie... A jaka to sprawa, pani doktor? Być może jest to dobry moment, żebyś przestała mnie okłamywać i opowiedziała, co tak naprawdę badasz. A może myślałaś, że jestem takim głupkiem, że uwierzyłem w tę twoją historyjkę o biografii?

– Lepiej już sobie pójdę.

– Ach, wasza wysokość, błagam o wybaczenie, jeśli ją uraziłem swoją szczerością. Rozumiem, że nie jesteś przyzwyczajona. Podobno tylko dzieci i pijacy mówią prawdę.

– Przykro mi, że sprawiłam ci kłopot. Idę...

Odwróciłam się, żeby ruszyć do drzwi i opuścić to straszne miejsce, ale on przyskoczył do mnie i chwycił za ramię.

– Słuchaj, laluniu! Momencik. Myślisz, że możesz tu przyłączyć, nęcić mnie swoimi historyjkami, a potem sobie wyjść, jak gdyby nigdy nic? Myślisz, że dalej pozwolę ci się traktować jak debil? Powiesz wreszcie, co znalazłaś, czy nie?

Jego knajpiany oddech na mojej twarzy i sposób, w jaki mnie traktował, były równie obrzydliwe. Nie wiem, czy byłam bardziej wściekła, czy przestraszona; bez względu jednak na to, jaki był powód mojego wzburzenia, wywołał u mnie niepohamowany potok słów.

– A ty? Co ty znalazłeś? Wydaje ci się zabawne podszywanie się pod Georga von Bergheima? Co ty sobie wyobrażasz? Myślałeś, że tak łatwo uda ci się mnie nastraszyć? Nie prosiłam cię o pomoc, rozumiesz?

Alain popatrzył na mnie pustymi oczyma pijanego. Wydawał się całkowicie zdezorientowany. Jego obraz był tak żaloszny, że strach początkowo spowodowany tą sytuacją ulotnił się jak kamfora: ten człowiek ledwie stał na nogach, a już na pewno nie był w stanie nic mi zrobić. Uwolniłam się od niego jednym odepchnięciem.

– Puść mnie i się zdrzemnij – rozkazałam mu z lekceważeniem, zanim otworzyłam drzwi i zbiegłam po schodach.

Z progu mieszkania Alain dalej bełkotał drewnianym językiem:

– Jasne, won! Zjeżdżaj i zostaw mnie w spokoju! Opowiadaj swoje historyjki komu innemu! Wykorzystuj sobie innego kretyna! Poza tym już ci mówiłem! Wiesz to! Nie chcę mieć nic do czynienia z przekłętymi Bauerami! Już to, kurwa, wiedziałas!

Jego głos biegł za mną aż do samego dołu i przeszedł za mną przez dziedziniec, gdzie wystawił głowę jakiś zaalarmowany krzykiem sąsiad.

Gdy wyszłam na ulicę, cała się trzęsłam i chciało mi się płakać. Mimo to nie uroniłam żadnej łzy; spaliłam całą adrenalinę dzięki szybkiemu marszowi do domu, posyłając w stronę doktora Arnoux wiązki obelg i przekleństw, z każdym krokiem coraz gorszych.

\*

## LISTOPAD 1942

Hitler rozkazuje niemieckiemu wojsku zająć całą Francję, więc nawet wolna strefa dostaje się pod kontrolę Wehrmachtu. Rząd marszałka Pétaina utrzymuje się, ale w celach czysto biurokratycznych, pozbawiony autorytetu oraz znaczenia politycznego.

Działania podczas ostatnich kilku tygodni nabrały szalonego tempa. Gromadzono broń i środki wybuchowe, wszak ćwiczenie partyzantów polegało na wypuszczaniu ich na ulice w celu podpalania, sabotowania i zabijania. Wzmociono również działalność propagandową poprzez wiece w fabrykach, rozrzucanie ulotek po całym mieście i malowanie na ścianach hasła przeciwko okupantowi. Trocki twierdził, że to wszystko jest tylko wstępem do czegoś naprawdę poważnego.

Gutenberg zdobył plany centrum miasta, nad którymi Trocki i Jacob ślęczeli całymi godzinami przy zamkniętych drzwiach. Tymczasem Dynamo przygotowywał bardzo dużą bombę z zapalnikiem aktywowanym zegarem, którego precyzja i niezawodność wymagały całej jego wiedzy. Tamtego popołudnia Trocki wezwał na zebranie nawet Marion. Jak zwykle Sarah trzymana była z boku.

– Wiesz, co knują? – zapytała Gutenberga, pomagając mu wyczyścić niewielką prasę, którą zmontowali w garażu. Kwaśny zapach farby drukarskiej szczypał ją w gardło.

Już dawno temu zdała sobie sprawę, że nie warto próbować się czegoś dowiedzieć od Jacoba. Jego odpowiedzi zwykle były wymijające i zaczepne. Jacob został zmuszony wbrew sobie do przyjęcia Sarah do organizacji, ale bardzo dbał o to, żeby jej udział był symboliczny. Marion twierdziła, że tylko chce jej bronić.

Gutenberg wykorzystał pytanie Sarah, żeby sobie odpocząć. Wytarł czarne dłonie w szmatę, otarł pot z czoła i poprawił okulary, zanim odpowiedział.

– Ostatnie wielkie szaleństwo towarzysza Trockiego. Będzie to nas wszystkich kosztować życie albo jemu jednemu przysporzy chwały... A może zdarzy się to i to. – Gutenberg dramatycznie zawiesił głos, po czym dokończył: – Atak na kwaterę główną gestapo... Podasz mi trochę wody?

– Na kwaterę główną gestapo? – spytała z niedowierzaniem, nalewając mu wody. – Ale to musi być najlepiej strzeżone miejsce w Paryżu!

Gutenberg łąpczywie wypił wodę.

– W całym Paryżu, który i tak jest dokładnie obserwowany... – podkreślił, starłszy z brody kilka kropel, które umknęły jego łąpczywości. – Ale on mówi, że wszystko dobrze zaplanował... Co mam ci powiedzieć... – Gutenberg pokręcił głową, po czym wziął szmatę, żeby wrócić do pracy. – Słowo to moja jedyna broń.

Rzeczywiście plan, który przez wiele tygodni kreślił Trocki przy pomocy Jacoba, wydawał się bezbłędny. Zawierał każdy najdrobniejszy szczegół, zwracał uwagę na najmniej prawdopodobne okoliczności. Nawet Marion twierdziła, że gdy Trocki objaśnił swój plan, wszystko wydawało się bardzo proste.

Kwatera główna gestapo we Francji znajdowała się przy alei Focha 72. W zasadzie cała aleja, od numeru 13 do 84, była zajęta przez Sipo, Sicherheitspolizei, czyli niemiecką policję bezpieczeństwa, i SD, Sicherheitsdienst, wywiad SS. Aleja była nieustannie obserwowana, więc nie sposób było na nią wejść. Jednakże dawała napastnikom przewagę, którą Trocki miał zamiar wykorzystać – ucieczka była względnie łatwa, gdyż chodziło o szeroką ulicę, kończącą się w Lasku Bulońskim, gdzie łatwo było zniknąć po ataku. Ponadto, aby odwrócić uwagę strażników patrolujących okolicę, Trocki umówił się z inną organizacją ruchu oporu, że tego

samego dnia i o tej samej godzinie zwoła ona manifestację na pobliskiej rue Pergolèse.

Elementem, wokół którego kręcił się cały plan Trockiego, była Marion. Marion miała być swego rodzaju koniem trojańskim, tyle że bez żołnierzy w środku. W tej nowej wersji bronią Marion miał być jej urok i walizeczka. Strategia, choć niewolna od ryzyka, przede wszystkim dla Marion, była dość prosta: miała udawać niemiecką pracownicę świeżo przybyłą do Paryża i zagubioną w wielkim mieście. Wykorzystując swój oczywisty wdzięk, Marion miała odwrócić uwagę policjantów strzegących wejścia do budynku. Konkretnie zwykle było ich trzech: jeden patrolował ulicę, drugi sprawdzał dokumenty w budce, a trzeci policjant stał za płotem, przy drzwiach wejściowych do budynku. Ich liczba nie była jednak najważniejsza, gdyż Marion nie miała im stawić czoła w walce wręcz, tylko po prostu trzepotać rękami do policjanta patrolującego ulicę i przedstawić fałszywe dokumenty temu w budce, jednocześnie pokazując zgrabne nogi temu przy drzwiach. Potem, jakby w roztrzępaniu typowym dla dziewczyny oszołomionej wielkim miastem i przystojnymi policjantami, miała zostawić walizczkę przy budce, za klombem bujnych roślin, które zostały tam posadzone chyba tylko po to, żeby ułatwić realizację planu Trockiego. Zanim strażnicy zauważą walizczkę, bomba wybuchnie zdetonowana za pomocą zegara przygotowanego przez Dynama. Wybuch miał być na tyle potężny, żeby wysadzić w powietrze klomb, budkę, szlaban, niemieckich policjantów oraz większą część fasady pałacyku, z którego szefowie gestapo dowodzili represjami, torturowaniem i zabijaniem znakomitej części francuskiego narodu.

Trocki miał w tym czasie czekać na końcu alei Focha, żeby korzystając z zamieszania, wyciągnąć stamtąd Marion i na ukradzionym motorze popędzić do Lasku Bulońskiego. Jacob i partyzanci mieli krążyć po okolicy, na wypadek gdyby coś się nie powiodło i trzeba by załatwić jakiegoś skurwysyna nazistę. Trocki był jednak przekonany, że nic nie może się nie udać. Oprócz przewidywanych strat fizycznych i materialnych spowodowanych przez bombę najbardziej cieszył go oczywisty wpływ, jaki atak na przerażającą tajną policję wyrze na morale sił okupacyjnych.

Oczywiście nikomu nie przyszło do głowy poinformować Sarah o tym planie. Dowiedziała się dopiero później. I nieprzewidziane, wynikłe w ostatniej chwili okoliczności sprawiły, że wzięła udział w każdym elemencie planu.

\* \* \*

List Reichsführera Himmlera był kategoryczny: natychmiastowe ustalenie miejsca pobytu córki Bauera jest absolutną koniecznością; znalezienie *Astrologa* nie może być dłużej odwlekane. Georg nie był zaskoczony ani zawartością, ani celem korespondencji. Co więcej, jeśli coś go w tym zaskakiwało, to tylko fakt, że cierpliwość Himmlera nie wyczerpała się już dawno temu i że dotychczas nie zastąpił go innym, bardziej skutecznym historykiem sztuki, a jego nie wysłał na front wschodni, żeby tam zginął... Być może Georg wolałby polec z honorem na froncie, niż tak działać powoli i w sposób niegodny w tym przeklętym mieście. Zadawał sobie pytanie, dlaczego Himmler jest wobec niego tak cierpliwy i wspaniałomyślny...

A ponieważ nie potrafił znaleźć odpowiedzi, zmiął list w kulkę i celnym rzutem umieścił go w koszu na śmieci. Była to tylko kwestia czasu.

Minęło zaledwie kilka tygodni, kiedy Fräulein Volks położyła mu na stole następny list z Berlina. Zobaczywszy na nim pieczętkę Reichsführera SS, z nadzieją rozerwał kopertę.

W kilka sekund przeczytał niewiele linijek tekstu; i w ciągu tych samych sekund jego nadzieję zastąpiła wściekłość.

...ponieważ poniósł pan fiasko w poszukiwaniach Sarah Bauer, jestem zmuszony przydzielić do Operacji Szmaragd funkcjonariusza sekcji IVB4 do spraw żydowskich gestapo,

który bez wątpienia odda panu nieocenione usługi w poszukiwaniach, zatrzymaniu i przesłuchaniu tej Żydówki...

Georg z całej siły uderzył pięścią w stół, więc wszystko, co się na nim znajdowało, zatrzęsło się.

Do jasnej cholery! Dlaczego Himmler raz na zawsze nie skończy z jego agonią i nie postawi go przed sądem wojennym za niewypełnienie rozkazu?

Georg wezwał sekretarkę:

– Volks! Proszę natychmiast połączyć mnie z kwaterą główną SS w Berlinie!

„Panie Sturmbannführer von Bergheim, ma pan dokładnie dwa tygodnie i ani jednego dnia więcej, żeby zatrzymać Sarah Bauer. Jeśli nie, sprawa znajdzie się w rękach gestapo”.

Georg miał właśnie zamiar złożyć dymisję Reichsführerowi Himmlerowi i stawić czoło wszelkim konsekwencjom. Ale... co w takim razie stanie się z Sarah?

Przynajmniej dostał od Himmlera jeszcze dwa tygodnie. Trudno będzie w dwa tygodnie zrobić to, czego nie udało mu się dokonać przez te wszystkie miesiące... Dziewczyna mogła być w dowolnym punkcie Francji albo nawet zeszła do podziemia. Musiał skapitulować wobec oczywistych faktów; jedynej szansy upatrywał w zwróceniu się o pomoc do gestapo...

Z zaciśniętymi zębami powiadomił Reichsführera, że sam uda się do gestapo i poprosi o wsparcie. Himmler wyraził zadowolenie i oznajmił swoją gotowość do przedłużenia ustalonego okresu, gdyż nie miał wątpliwości, że przy współdziałaniu wszechmocnej policji sprawa Żydówki szybko zostanie rozwiązana.

Georg zakończył rozmowę z uczuciem, że wygrał bitwę jedynie w połowie. Pójdzie do gestapo, tak, ale znajdzie kogoś sam, a nie człowieka, którego narzuci mu Himmler. Z pewnością będzie unikał paryskiej siedziby przy rue des Saussaies, gdzie miał to nieprzyjemne spotkanie z komisarzem kryminalnym Hauserem; wolał trzymać się z daleka od tego typka. Poza tym nie był już wcale taki pewien, że Sarah dalej przebywa w Paryżu. Ostatnio była przecież widziana w Strasburgu, a po aresztowaniu rodziny Metzów, która dawała jej schronienie, mogła się znajdować w dowolnym miejscu Francji. Zatem Georg postanowił złożyć wizytę w kwaterze głównej gestapo we Francji, na alei Focha 72.



## GRUDZIEŃ 1942

Poza Francją szala wojny zdaje się przechylać na stronę aliantów: wojska brytyjskie otoczyły Rommla w Tunisie; wojska niemieckie są otoczone przez Armię Czerwoną w Stalingradzie, a na Pacyfiku Japończycy pod naciskiem Amerykanów szykują się do opuszczenia Guadalcanal.

Gdzie jest Marion?

Gdy wchodziła do garażu, wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią, a Jacob z posępną miną pierwszy przeszył ją wzrokiem.

Zaskoczona pytaniem Sarah skamieniała, jakby stanęła przed sądem.

– Nie wiem. Myślałam, że tu będzie. Nie spała w domu.

– Kurwa! – zaklął Jacob. Zaraz potem zaczął chodzić po garażu w tę i z powrotem.

– Co się dzieje? – Sarah zapytała Gutenberga.

– Już od pół godziny Trocki i Cigale powinni tu być... a sama widzisz, jeszcze ich nie ma.

Niepokój był wyraźny szczególnie u Jacoba, chociaż wszyscy zebrani byli podenerwowani. Nadszedł dzień ataku na kwaterę główną gestapo. Każda minuta tego dnia została zaplanowana, zwłaszcza że należało zsynchronizować działania Marion na alei Focha z manifestacją na rue Pergolèse. To, że ani jej, ani Trockiego, głównych aktorów, nie było w garażu, nie mogło oznaczać niczego dobrego.

Sarah wiedziała, że Marion i Trocki mają się ku sobie. Ostatnio Marion spędzała wiele nocy poza pensjonatem – nietrudno było zgadnąć z kim. I można by rozsądnie zakładać, że poprzednią noc również spędzili razem, ale niepokojące było to, że żadne z nich jeszcze nie dotarło na miejsce zbiórki.

Sarah zastanowiła się nad sytuacją, stojąc dokładnie w miejscu, w którym zaskoczyło ją pytanie Jacoba: w płaszczu, z szalikiem i kapeluszem na głowie, w całkowitym bezruchu. Tymczasem reszta radziła sobie z napięciem, jak umiała: partyzanci palili papierosy i popijali napar z cykorii; Gutenberg czytał, a Dynamo udawał, że poprawia ostatnie rzeczy w ładunku wybuchowym, który od dawna był gotowy.

Nagle Jacob zatrzymał się, chwycił wiszącą na krześle marynarkę i obwieścił:

– Idę po Trockiego.

Nikt nic nie powiedział; co można było powiedzieć? Wszyscy odprowadzili go wzrokiem do drzwi. Wszyscy więc zobaczyli, że w chwili, kiedy Jacob miał wyjść, weszła Marion.

– Do jasnej cholery, Cigale! Gdzie, u diabła, byłaś?

– Zamknij się, Gauloises. – Głos Marion brzmiał, jakby tonęła.

Wtedy Sarah zauważyła, jak okropnie wyglądała jej przyjaciółka. Marion była blada, miała podkrążone, podrażnione oczy i zaczerwieniony nos. Spierzchnięte i blade usta cały czas były rozchylone, bo nie mogła oddychać przez nos, i mimo że było dość zimno, na czole Marion lśniły krople potu. Dziewczyna opadła na najbliższe krzesło.

– Jestem okropnie przeziębiona. Czuje się bardzo źle – obwieściła chrapliwie, głośno pociągając nos.

– Marion, masz lodowate ręce! – zauważyła Sarah, która podeszła do przyjaciółki, gdy tylko zobaczyła, jak źle wygląda. – Zrobię ci coś ciepłego do picia.

– Dzięki.

Pozostali jeszcze przetrawiali wiadomości, że przeziębienie Marion ma znaczenie nie tylko dla niej.

– Kurwa...

Jacobowi zabrakło słów w tej sytuacji. W sumie tak bardzo był na niej skoncentrowany, że zapomniał o jeszcze jednym problemie.

– Nie wiesz, gdzie jest Trocki? – zapytał Dynamo.

Marion skinęła głową i znowu pociągnęła nosem.

– W łóżku, z czterdziestoma stopniami gorączki.

Te słowa zadziały jak trzęsienie ziemi, zburzyły resztę tego, co jeszcze jakoś się trzymało.

– Wiesz przecież, co się dzieje z towarzyszem, kiedy ma gorączkę; ma te swoje ataki. – Marion chodziło o konwulsje, na które cierpiał Trocki, gdy tylko podnosiła mu się temperatura. – Nawet nie mógł wstać, żeby mnie odprowadzić.

Znowu odpowiedzią na ostatnie słowa dziewczyny była cisza.

– Co teraz zrobimy?

– A co, kurwa, mam powiedzieć? Trzeba odwołać akcję. Bez nich nie możemy wykonać ataku.

– Ale przygotowujemy się od tygodni! Wciągnięte są inne organizacje! Demonstracja już jest zwołana! – wyliczył Dynamo, który zaczynał tracić spokój. – Nie możemy tego odwołać ot tak sobie!

– Masz jakiś lepszy pomysł? – postawił mu się Jacob. – Ja mogę zastąpić Trockiego i poprowadzić motor, ale co z Marion? Wydaje ci się, że jest w stanie zakreślić jakiegoś bosza z tą twarzą i z tym głosem jak traktor? Wszyscy mamy jaja i możemy zrobić to, co trzeba, ale, przyjacielu, w tej sytuacji potrzebujemy cycków! A tutaj nikt nie ma cycków, kurwa!

W obliczu tak miażdżących argumentów nawet Dynamo się uspokoił. Znowu cisza, jak koc spowijający zmieszanie, rozczarowanie i frustrację, przykryła pomieszczenie, ta cisza, w której każdy pozostaje ze swoimi myślami, w oczekiwaniu na to, że to ktoś inny podejmie decyzję, ta cisza, która może zostać przerwana tylko przez cud albo dobre rozwiązanie sytuacji... albo przyznanie się do porażki. Ale cisza trwała; nikt nie miał pod ręką żadnego cudu ani nikt nie chciał być rzecznikiem porażki.

Tymczasem Marion pociągała nosem, kichała i znosiła swoje przeziębienie najlepiej jak umiała. Natomiast zdenerwowanie Jacoba, zastępcy dowódcy Alzackiej Grupy Zbrojnej, było coraz bardziej widoczne: z każdą chwilą ciszy, każdym pociągnięciem nosa i kichnięciem, a nawet z każdym tyknięciem zegarka zabierającym kolejne minuty jego upragnionego planu.

– Ja to mogę zrobić.

Wielu sądziło, że niedokładnie usłyszało tę deklarację, dlatego że była niespodziewana, ale też dlatego, że została wypowiedziana cieniutkim głosikiem. Niemniej Sarah poczuła, że zdumione spojrzenia grupy żądają od niej wyjaśnienia.

– Co? – tylko tyle zdołał wykrztusić Jacob.

– Ja to zrobię. Tylko ja tu mam... cycki, których brakuje. – Sarah nie mogła nie spąsowieć, wymawiając słowo „cycki” przy tych wszystkich mężczyznach.

Marion głośno się zaśmiała, a przy jej charczącym głosie śmiech wydał się oślim rykiem.

– Nie bądź śmieszna.

Lekceważenie Jacoba dodało Sarah animuszu, a jej determinacji przydało mocy.

– A dlaczego nie? – Marion stanęła w jej obronie. – Dziewczyna ma rację, świetnie może mnie zastąpić.

– No właśnie, Gauloises, dlaczego nie? – wtrącił się Dynamo.

– Czy wyście wszyscy poszaleli? Nie jest przygotowana! Jeśli wypuścimy tego kociaka między psy, pojrzą ją, a nas razem z nią.

Cierpliwość, słodycz i delikatność Sarah ulotniły się w jednej chwili, niczym kropla wody w słońcu. Nie miała zamiaru znosić dłużej lekceważenia swojego przyjaciela. Nie mogła pozwolić na to, żeby dalej upokarzał ją przy wszystkich. Nie mogła dopuścić, żeby dalej jej uchybiał. Chociaż, aby to osiągnąć, musiała przestać być Sarah.

– Przygotowana na co, Gauloises? – szyderczo wymówiła pseudonim Jacoba. – Zrobić tak, żeby facetowi stanął? Wszystkie kobiety się z tym rodzą.

Rozbrzmiało kilka śmiechów.

– Oto, jak się gada, kochana! – zachęciła ją Marion swym robociarskim głosem.

Sarah zaczęła i już nie mogła odstąpić. Wyszła na środek i zbliżyła się do Jacoba, jakby znalazła się na scenie i zaczęła grać.

– Powiedz, jak rozepnę sobie bluzkę i rozpuszczę włosy, nie stanie ci?

W miarę, jak Sarah zbliżała się do niego z na wpół odsłoniętym dekoltem i wzburzonymi włosami, Jacob tracił pewność siebie. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Tymczasem publika pogwizdywała i rozplywała się w komentarzach, a jej kolega poczuł, że robi mu się gorąco. Niezadowolona z tego Sarah uniosła spódnicę, odsłaniając jedno udo.

– A może potrzebujesz, żebym podeszła bliżej i wsunęła ci rękę do kieszeni spodni... Wytrzymałbyś mój dotyk? – Sarah wbiła wzrok w Jacoba. – Chyba nie będzie to konieczne – zakończyła wreszcie.

Następnie gwałtownie przerwała swoje przedstawienie, obciągnęła spódnicę i upięła włosy. Odwróciła się, zostawiając Jacoba spoconego i zmieszanego pośrodku sceny. Publiczność zgotowała jej owację.

Sarah usiadła obok Marion, bo zauważyła, że trzęsą się jej nogi. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie zrobiła. Trzeba być bardzo pewną siebie, żeby odegrać taką scenę, a ona nigdy nie była niczego pewna...

– Wydaje mi się, że decyzja została podjęta przez aklamację, Gauloises – stwierdziła Marion, wysilając się do granic, żeby jej głos przebił się przez ogólną wrzawę.

Jacob mógł tylko wydać milczącą zgodę, bo ciągle jeszcze brakowało mu tchu.

– Dobrze. Nie mamy za wiele czasu – wtrącił się Dynamo. – Trzeba zabrać się do roboty. Won z nazistami! – krzyknął i wszyscy mu zawtórowali.

– Chwileczkę – przerwał Gutenberg. – Nie ma dla niej dokumentów.

Krzyki ucichły niemal w jednej chwili.

– Jak to nie ma? – Dynamo już się obawiał, że całą zabawę wezmą diabli.

– Przygotowałem fałszywe dokumenty dla Cigale, na wypadek gdyby naziści ich zażądali. Ale dla Esmeraldy nie mam papierów.

– Niech weźmie papiery Cigale – nalegał Dynamo.

– To niemożliwe. Niektóre mogłyby się nadać, ale w kenkarcie jest zdjęcie. Nie mamy też czasu na improwizację, samo zrobienie zdjęcia i wywołanie go zajęłoby mi kilka godzin.

Zniechęcenie pod postacią ciszy znowu przybiło grupę. Tylko Jacob wydawał się zadowolony.

– Widzicie? Nie jest to takie proste, jak się wydaje. Nie można w pół godziny poprawić akcji, którą przygotowywało się przez kilka miesięcy.

– Niech to wszystko szlag trafi! – ulżył sobie Dynamo.

– Pójdę bez dokumentów.

Wszystkie spojrzenia znowu skierowały się na Sarah.

– Nie sądzę, żeby ich ode mnie zażądali.

– Jesteś niepoważna... To jest samobójstwo! – wrzasnął Jacob, obstając przy swoim.

– Zgadzam się z nią. – Dynamo był jak ćma, leciał tam, gdzie widział strużkę światła. –

Jakie jest ryzyko, że jakiś napalony nazista będzie chciał oglądać jej papiery? Jeśli dziewczyna dobrze wykona swoją robotę – a zobaczywszy, co zrobiła z tobą, nie mam co do tego wątpliwości – nikt nie będzie chciał żadnych przeklętych dokumentów.

Wszyscy zgodzili się z Dynamem. Tylko Jacob jeszcze raz się przeciwstawił.

– Róbcie, co się wam podoba. Ale ja nie będę ponosić odpowiedzialności za to szaleństwo.

– Kochana, jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – Marion zwróciła się do Sarah.

Ona uniosła swe wielkie zielone oczy, żeby spojrzeć na stojącego po drugiej stronie pomieszczenia Jacoba; odezwała się tylko do niego.

– Poprowadzisz motor, żeby mnie stamtąd zabrać? – zapytała.

Głos Sarah ukoił nerwy Jacoba i jakby za sprawą czarów wszystkie jego przekonania rozplynęły się w powietrzu. Słodki głos Sarah... Na Boga, zstąpiłby za nią do piekła, gdyby tylko tego chciała!

– Tak... zabiorę cię stamtąd – oświadczył z takim przekonaniem, jakby ślubował jej dozągoną miłość.

– W takim razie zrobię to.

Radość powróciła do garażu w formie okrzyków „zwycięstwo!”.

– Oddaj się w moje ręce, kochana, a zrobię cię tak, że rodzona matka cię nie rozpozna – zapewniła ją Marion pośród tumultu.

\* \* \*

Zanim otworzył walizeczkę z bombą, Dynamo chuchnął w dłonie; mimo rękawiczek zmarzły mu i zgrabiły palce. W jego oddechu natychmiast pojawił się obłok pary.

Do zimy brakowało jeszcze kilku dni, ale panował już przenikliwy ziąb. Był to jeden z tych bezchmurnych poranków, kiedy północny wiatr zdaje się wszystko zmrażać, nawet światło słoneczne, wątle i białawe. Jeden z tych poranków, kiedy powietrze pachnie chłodem.

– Pamiętaj, zanim odstawisz walizeczkę, musisz uruchomić zegar. Trzeba tylko przekręcić zamek. Od tamtej chwili będziesz miała pięć minut, zanim wszystko zrobi... bum! – Dynamo poinstruował Sarah.

Ona opatulila się grubym płaszczem z niemieckiej wełny i zabroniła sobie myśleć o tym, dlaczego tak się trzęsie.

– Masz, weź.

Sarah chwyciła rączkę walizeczki, która tak naprawdę była futerałem maszyny do pisania marki Olympia, jakich zwykle używali Niemcy. Biorąc go do ręki, poczuła, że waży więcej, niż się spodziewała. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy zastanawiać się, ile mogą ważyć laski dynamitu; nigdy sobie nie wyobrażała, że będzie musiała coś takiego nosić. Nie wiedziała, że ma przy sobie dokładnie dziesięć kilogramów ładunków wybuchowych.

Dynamo patrzył na nią przez kilka sekund jakby z ojcowską dumą.

– Jesteś bardzo piękna, Esmeraldo. Żaden bosz ci się nie oprze.

Sarah uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Powodzenia, towarzyszeko – powiedział Dynamo na pożegnanie.

To „towaryszko” wsparło ją na duchu i dodało animuszu. Nie była już dziewczynką na posyłki; teraz była jeszcze jedną towarzyszką.

– Dziękuję, Dynamo.

– Chodź już, nie ma czasu! – wtrącił się gwałtownie Jacob.

Jeśli Sarah oczekiwała z jego strony trochę więcej ciepła, przeliczyła się. Pożegnanie Jacoba także wydawało się zmrożone północnym wiatrem.

– Będę o umówionej godzinie – tak brzmiało jego chwilowo największe ustępstwo.  
– Ja też – odpowiedziała Sarah i odwróciła się na pięcie, żeby zniknąć na ścieżce pośród drzew Lasku Bulońskiego.

– Myślisz, że jej się uda? – szepnął do Jacoba Dynamo.

– Stul swój pierdolony ryj, towarzyszu!

Jacob odepchnął Dynamo i ukrył się za drzewem, z niepokojem przeżuwiąc papierosa. To czekanie będzie dla niego zabójcze.

Na obu końcach każdej z ulic dochodzących do alei Focha stał posterunek żandarmerii. Każdy, kto tamtędy przechodził, musiał okazać żołnierzom dokument tożsamości. Procedura zwykle była rutynowa. Pod nazistowską administracją obowiązywała tak wielka liczba dokumentów, że człowiek mógł mieć przy sobie dokumenty, których nie znali nawet sami żołnierze, więc w większości przypadków nie byli w stanie odróżnić prawdziwych od fałszywych. Prawie zawsze ograniczali się do przeglądania dokumentu i jeśli widzieli przybitych wiele pieczętek i kilka podpisów, uznawali go za prawdziwy. Przynajmniej tak to przedstawił Sarah Gutenberg, więc nie wiedziała, do jakiego stopnia chodziło mu tylko o to, żeby ją uspokoić.

Dziewczyna jednak nie mogła zapomnieć, że jej kenkarta, dokument tożsamości, miała fotografię Marion. To prawda, że na fotografii przyjaciółka była ubrana po cywilnemu, nosiła okulary i miała rozpuszczone włosy, podczas gdy Sarah miała na sobie mundur, nie nosiła okularów, a włosy upięła, więc nie sposób było oczekiwać absolutnego podobieństwa. Ponadto zdjęcie Marion celowo zrobiono tak, że na jej twarz padały cienie rozmywające rysy. Obie dziewczyny nie były do siebie podobne, ale kształt twarzy i kolor włosów miały podobny. W każdym razie Sarah wierzyła, że Gutenberg ma rację i niemiecki żołnierz nie będzie szczególnie analizował fotografii.

Stanęła w kolejce do kontroli. Wyciągnęła kenkartę z kieszeni marynarki i wtedy, zobaczywszy, że trzęsą się jej ręce, zdała sobie sprawę, jak jest zdenerwowana. Serce jej łomotało i mimo zimna czuła pot pod regulaminowym grubym płaszczem SS-Stabshelferin, pomocniczej służby administracyjnej SS, który Jacob i Trocki ukradli z bagażu jakiejś niemieckiej sekretarki na Gare de l'Est.

Sarah postawiła walizczkę na ziemi, wydawała się coraz cięższa i drętwiały jej palce. Na chwilę obejrzała się za siebie... i znowu spojrzała przed siebie: kolejka poruszała się i strażnicy znajdowali się coraz bliżej. Panowała spokojna i jednocześnie pełna napięcia atmosfera, jak podczas zdradliwej ciszy przed burzą. W kolejce nikt nie rozmawiał, słychać było tylko głosy żołnierzy proszących o dokumenty oraz szuranie butami i metaliczny szcęk karabinów. Sarah westchnęła głęboko, wysilając się, żeby powietrze dotarło jej do płuc i pieszczotą uspokoiło pobudzone serce.

„Jesteś naprawdę śliczna”, powstrzymując emocje, zapewniła ją Marion, kiedy skończyły przygotowania. Sarah spojrzała w lustro i zdziwiła się – wydawało jej się, że patrzy na kogoś innego. Obraz nie należał do przestraszonej i nieśmiałej dziewczynki, ale raczej do pięknej i silnej kobiety. Być może to przez mundur. Marion skarżyła się, że ponieważ jest zima, gruby płaszcz nie za bardzo wspomaga kobiecą atrakcyjność, ale i tak coś na to poradziła; mocno ścisnęła ją pasem, więc miała bardzo szczupłą talię ponad krągłymi biodrami oraz wydatny biust, powiększony nieco różnymi rzeczami wepchniętymi pod bluzkę. Podczas ostatnich miesięcy Sarah znacznie schudła i nie tylko jej figura zeszczupiała, ale także twarz; utraciła krągłości i zdrowy dziewczęcy wygląd, a nabrała ostrych eleganckich rysów dojrzałej kobiety. Marion dyskretnie ją umalowała, jak nakazywały wojskowe rozporządzenia, ale uczyniła to z takim mistrzostwem, że jej skóra zdawała się lśnić własnym światłem, jak portrety artystów kinowych.

Ponadto zebrała jej piękną złotą czuprynę w kok z tyłu głowy, aby mogła włożyć czapkę, którą nosiła trochę na bakier i bardzo zgrabnie. „Boję się, Marion”, „Wiem, kochana, wiem”.

„Jesteś bardzo piękna, Esmeraldo. Żaden bosz ci się nie oprze...” Sarah ponownie obejrzała się za siebie, znowu westchnęła i popatrzyła przed siebie. Przed nią były już tylko dwie osoby. Kiedy przejdzie przez posterunek, nie będzie już odwrotu. Przełknęła ślinę i odrobine poprawiła sobie pas. Mocno złapała walizeczkę. A jeśli będą chcieli sprawdzić, co jest w środku, i poproszą, żeby ją otworzyła? Niemal sto lasek dynamitu i zapalnik. Może nigdy nie powinna się była podjąć tego zadania?

– *Ausweis, bitte.*

Sarah nie była w stanie powstrzymać drżenia rąk, pokazując żołnierzowi dokumenty.

– Matko boska, jak w tym mieście zimno! Czy tu zawsze tak jest? – Jej głos brzmiał naturalnie. Tylko ona wiedziała, jak wiele kosztuje ją przeciśnięcie go przez napięte struny głosowe.

Niemiecki żołnierz podniósł wzrok, niemal nie patrząc na dokumenty. Gdy tylko ją zobaczył, uśmiechnął się. Dzień za dniem, godzina za godziną przeglądał dokument za dokumentem. Była to praca nudna i męcząca. Oglądanie kobiety takiej jak ta nie było czymś zwyczajnym. A to, że kobieta jak ta odezwała się do niego, wydało mu się boskim prezentem – jakby anioł zstąpił z niebios, żeby z nim porozmawiać.

– Jest zima. Dopiero co pani przyjechała do Paryża?

– Tak. I prawdę mówiąc, spodziewałam się czegoś innego.

– Proszę dać temu miastu trochę czasu. Na wiosnę panią zaskoczy – zapowiedział żołnierz, zwracając jej dokumenty.

Sarah skinęła głową. Miała nadzieję, że żołnierz po prostu ją przepuści. Ale nie pozwalała się odejść jak gdyby nigdy nic kobiecie takiej jak ta; nic lepszego nie przydarzyło mu się od miesięcy.

– Jakieś ciekawe wiadomości z Berlina?

– Tak naprawdę to przyjeżdżam z Frankfurtu.

– Ach! Mój szwagier jest z Frankfurtu. Siostra tam wyjechała i wyszła za męża, ale nie miałem okazji jej odwiedzić od początku wojny. Chyba bombardowania zniszczyły miasto...

Wyglądało na to, że żołnierz ma zamiar prowadzić długą i niezobowiązującą rozmowę. Oparł ciężar ciała na jednej nodze i przełożył sobie karabin na plecy, wsadzając ręce za pas, jakby trzymał je w kieszeniach. Jednak Sarah ani nie miała na to czasu, ani cierpliwości.

– A które miasto ominęły przekłete brytyjskie bomby, żołnierzu? – próbowała stworzyć wrażenie empatii, wypowiadając usłyszane w BBC zdanie. – Zobaczę tu pana jutro?

Żołnierz wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję... Swoją drogą, ta walizka... – Sarah serce skoczyło do gardła. – Wygląda na bardzo ciężką. Musi ją pani nosić codziennie?

Sarah chwyciła walizeczkę, czuła, że wyslizguje jej się ze spoconej dłoni.

– Nie, nie... Tylko dzisiaj... Dziś jest mój pierwszy dzień... Muszę przynieść swoją maszynę do pisania... Rozumie pan...

Nerwowość Sarah wzrastała, w miarę jak zauważyła, że zaczyna się jąkać; postanowiła zakończyć tę rozmowę.

– No to życzę miłego dnia, Fräulein. I witamy w Paryżu – powiedział w końcu uprzejmy strażnik, unosząc rękę do hełmu w kurtuazyjnym salucie.

– Dziękuję, żołnierzu.

Sarah posłała mu swój najlepszy uśmiech i przeszła przez strażnicę, tak jak nauczyła ją Marion: pośladki i biodra. Uprzymiła dzień żołnierzowi.

Gdy przeszła, poczuła, że zaraz zemdleje. Skumulowane napięcie, utrzymujące ją w stanie spokoju i lekkości, wypływało z niej przez wypustkę każdego nerwu; puls zanikał, więc pomyślała, że zatrzymało się jej serce. Miała ochotę puścić tę przeklętą walizkę, spokojnie opaść na ziemię i zamknąć oczy... „Powodzenia, towarzyszek...” Do diabła, rzeczywiście je miała! Strażnicy zostali za plecami! Była na alei Focha!

Sarah zauważyła, że uczucie obezwładnienia stopniowo przechodzi, więc się uśmiechnęła. Na wszelki wypadek opuściła głowę; w tym czasie nieczęsto widywano na ulicach uśmiechniętych ludzi, a ona nie chciała zwracać na siebie uwagi. Czy to euforia wypinała jej pierś i nadawała wigoru jej krokom? Jak to możliwe, że wszystko było takie proste? Musiała tylko być słodka i miła; ona zwykle taka była.

Z nowym animuszem weszła na szeroki bulwar dzielący aleję na dwie części. Nie było zbyt dużego ruchu, ani samochodów, ani ludzi. Cisza i smutek na tej alei stanowiły najbardziej oczywiste oznaki okupacji Paryża. Poza tym była to jedna z najładniejszych arterii miasta, z nietkniętymi pałacami i kamienicami, jak makijaż przysyłający zdeformowaną twarz i zdegenerowaną duszę. Żadna z instytucji mieszczących się na alei Focha nie afiszowała się na zewnątrz zbyt ostentacyjnie, wszak chodziło o tajną policję. Jedyne pod numerem 72, kwaterą główną, wisiały dwie flagi ze swastyką, spływające z balkonów pałacu jak łzy.

Sarah zatrzymała się o kilka metrów przed swoim celem. Z daleka usłyszała odgłosy manifestacji: gwizdy i skandowane hasła; reszta jej towarzyszy wykonywała swoje zadanie, teraz ona musiała wykonać swoje. Tak jak przewidziano, na ulicy był wartownik, drugi za płotem w budce, a trzeci przy wejściu do budynku. Kilka służbowych samochodów stało zaparkowanych na chodniku. Jakiś mężczyzna po cywilnemu pokazał przepustkę i wszedł do budynku. Z daleka Sarah ustaliła, które miejsce będzie najlepsze, żeby zostawić walizeczkę: przy budce, pomiędzy nią a klombem, poza zasięgiem wzroku strażników.

Obciągnęła płaszcz i poprawiła kołnierz; ponownie uzmysłowiła sobie, że nosi mundur Stabshelferin i że ten mundur zmieniał ją w kogoś innego. Sarah Bauer została na bulwarze, a Greta Mesner przeszła przez jezdnię w stronę kwatery głównej gestapo, swego miejsca pracy. Szkoda, że ściśniętego serca też nie mogła zostawić razem z Sarah Bauer.

Spokój, naturalność i rutyna, powtarzała sobie w myślach, podchodząc do pierwszego strażnika.

– Büroangestellte Greta Mesner. – Podała swoją funkcję i nazwisko, trzymając kenkartę w ręku.

Wartownik nieco się wyprostował i niechętnie spojrział na dokument. Wyglądało na to, że on też kieruje się rutyną.

– Proszę przejść do kontroli – powiedział, wskazując wzrokiem budkę.

Jeden mniej, pomyślała z ulgą, przechodząc przez ogrodzenie.

Podeszła do okienka. Przyjął ją młody żołnierz SS. Gdy zobaczyła, że uśmiecha się, patrząc na nią, odwzajemniła się tym samym.

– Büroangestellte Greta Mesner – powtórzyła. Tym razem zwróciła uwagę, żeby palec spoczywał obok zdjęcia w kenkarcie.

– Mogę zobaczyć pani *Hausausweis*?

Żołnierz poprosił ją o przepustkę dla osób pracujących w budynku. Ona jednak tego nie wiedziała, nikt jej tego nie powiedział, a jedynym dokumentem, który miała przy sobie, była kenkarta. Ze wszystkich sił starała się, aby na jej twarzy nie pojawił się strach.

– *Hausausweis*? – powtórzyła, żeby zyskać na czasie, bo nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. – Właśnie przyjechałam z Frankfurtu, dzisiaj jest mój pierwszy dzień. – Tej lekcji nauczyła się bardzo dobrze.

I nie wiedząc tego, trafiła w dziesiątkę.

– Ach, przepraszam. – Esesman znowu się uśmiechnął. Nie mogła mieć przepustki, skoro to był jej pierwszy dzień pracy. To oni musieli jej dać *Hausausweis*.

Mimo że nogi się pod nią uginały, starała się na nich utrzymać. Nie bardzo rozumiała, co się wydarzyło, ale wszystko zdawało się działać znakomicie. Wartownik sprawdzał jakąś listę, na której – o czym doskonale wiedziała – nie może jej być.

– Mówi pani Greta Mesner?

– Tak.

– Przykro mi, Fräulein Mesner, ale pani nazwisko nie figuruje w rejestrze. – Wartownik był raczej skonsternowany niż podejrzliwy.

Ona zwiesiła ramiona i przygryzła wargę na znak przygnębienia.

– Ale... jak to możliwe? Mam rozkaz stawić się 18 grudnia w biurze kwatery głównej gestapo w Paryżu.

– Ma pani ze sobą rozkaz? – zapytał, pragnąc pomóc tej kobiecie o pięknych zielonych oczach, prawdopodobnie najpiękniejszych, jakie w życiu widział.

– Ach, nie... Obawiam się, że zostawiłam go w hotelu – wyrzuciła z siebie ostatnie słowo z westchnieniem żalu. – To przekłete miasto... Jest okropnie zimno, wszyscy Francuzi patrzą na ciebie spođe łba, a teraz jeszcze to...

– Proszę się nie przejmować, Fräulein. Widzi pani, nie jestem pewien, nie zobaczywszy rozkazu, ale prawdopodobnie powinna się pani stawić w kwaterze głównej paryskiego gestapo, a to jest kwatera główna gestapo na Francję.

Szeroko otworzyła oczy i jej twarz się rozjaśniła.

– Naprawdę. Co za zamieszanie! Czuje się taka głupia... Przyjechałam dzisiaj rano i miałam czas tylko, żeby się przebrać... Nie przyjrzałam się adresowi, a powiedziano mi, że to na alei Focha.

– Proszę się nie martwić. Łatwo to pomylić. W każdym razie od tej chwili proszę starać się nosić rozkaz przy sobie, zaoszczędzi sobie pani takich kłopotów. Proszę iść na rue des Saussaies 11. Tam znajdzie pani paryskie gestapo.

Gdy żołnierz mówił, Sarah, nie przestając się uśmiechać z wdzięcznością i zdumieniem, postawiła walizeczkę na ziemi.

– Bardzo dziękuję, naprawdę. Jestem panu bardzo wdzięczna. Bardzo pan miły.

– Nie ma za co, Fräulein. Miłego dnia.

– Wzajemnie.

Sarah zostawiła budkę i wyszła na ulicę, nie oglądając się za siebie. Chciała biec, ale zmusiła się do spokojnego i naturalnego kroku. Być może serce wybuchnie jej w piersi szybciej niż bomba... Jednak serce jej nie wybuchło, a Sarah zatrzymała się w pół kroku.

„Matko boska! Nie uruchomiłam zapalnika!”

Odruchowo przyspieszyła kroku. Nie mogła się zatrzymać. Nie mogła przestać iść, ale nie mogła też odejść stamtąd, zostawiając bezużyteczną bombę. Nie mogła też wrócić do garażu, zawaliwszy sprawę. „Pamiętaj, zanim odstawisz walizeczkę, musisz uruchomić zegar”. Sarah była na granicy łez.

Z samobójczym pośpiechem zawróciła, ufając, że będzie wiedziała, co powiedzieć, gdy znowu znajdzie się przed wejściem do budynku numer 72.

Tym razem pierwszy strażnik uśmiechnął się do niej. Ledwie znalazła w sobie siły, żeby odpowiedzieć na jego uśmiech i jeszcze mniej, żeby się do niego odezwać. Przy tej drugiej wizycie była znacznie mniej rozważna. Szczęśliwie wartownik nie zażądał żadnego wyjaśnienia ani nie zastąpił jej drogi.



Gdy drugi raz dotarła do budki, młody esesman spojrzął na nią z miłym zaskoczeniem.  
– Jeszcze raz przepraszam za kłopot – odezwała się Sarah, wysilając się, żeby gładko wypowiadać słowa. Otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej ołówek oraz kartkę. – Mógłby mi pan zapisać adres? Jeszcze nie za dobrze znam francuski.

– Oczywiście, Fräulein.

Sarah upuściła ołówek.

– Och, przepraszam. Jestem... trochę zdenerwowana tym całym zamieszaniem.

Schyliła się i niemal jednym ruchem podniosła ołówek i przekręciła zamek walizeczki.

Rozpoczęło się odliczanie pięciu minut.

Sarah podparła się i podała ołówek wartownikowi. Ten usłużnie zapisał adres.

– Proszę, oto adres: rue des Saussaies 11. To w pobliżu komendantury, przy rue de Rivoli.

– Och, bardzo dziękuję. – Sarah rozplywała się w uśmiechach. – Jak się pan nazywa, żołnierzu?

– Johannes Friedl, Fräulein.

– Dziękuję panu, Johannes. Czy mogę zwrócić się do pana, kiedy następnym razem zgubię się w Paryżu?

Żołnierz dumnie się wyprostował, niczym kogut w kurniku. To był podbój, którego wszyscy mu będą zazdrościli, kiedy wieczorem opowie o tym w koszarach.

– Oczywiście, Fräulein. Jestem do usług.

– No to do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Fräulein Mesner.

Budka praktycznie przylegała do płotu, a jednak zanim Sarah go minęła, usłyszała za plecami:

– Fräulein Mesner! Proszę zaczekać! Zapomniała pani tego.

To niemożliwe. Nie teraz, kiedy niemal jej się udało.

W ułamku sekundy Sarah zrozumiała, że ma tylko dwie możliwości: albo zostać, albo biegiem uciec; i zobaczyła siebie rozerwaną przez eksplozję albo zastrzeloną przez niemieckiego wartownika. Nie przychodziły jej do głowy inne scenariusze. Miała zszargane nerwy, więc nie była w stanie myśleć o niczym innym.

– Pani ołówek, Fräulein. Może się pani przydać.

Sarah zamknęła oczy. Odniosła wrażenie, że czasem poczucie ulgi może być bolesne.

Odwróciła się i zabrała ołówek.

– Dziękuję.

Prawdopodobnie Johannes Friedl coś do niej powiedział, ale ona już nie słuchała.

Wszystkie jej zmysły zdawały się oziębiać. Szła na oślep, dysząc. Parła do przodu jak lokomotywa, drogą w jedną stronę, w stronę wyjścia stamtąd, aby uciec przed upływem mniej niż pięciu minut, które jej zostały na dotarcie do posterunku przy końcu alei. Przed upływem krótkich minut życia, które pozostały Johannesowi Friedlowi.

– *Es tut mir leid.*

Sarah spojrzała rozkojarzona i instynktownym ruchem głowy przyjęła przeprosiny osoby, na którą wpadła w swoim szybkim marszu. Dalej równie szybko ruszyła przed siebie. Jednak po kilku sekundach odzyskała świadomość, jakby ktoś jej wylał na głowę kubel lodowatej wody. Stała jak wryta.

Georg von Bergheim. Mężczyzna, na którego wpadła, to był Georg von Bergheim.

Mogłaby przysiąc.

Sarah odwróciła się. Oddalające się plecy niemieckiego żołnierza nie bardzo jej pomogły rozwiązać wątpliwości, ale ten żołnierz kulał...

Czas się kończył, a posterunek był jeszcze o kilka metrów. Powinna dalej przeć do przodu jak lokomotywa, ale nie była w stanie. Jej umysł przeżywał zapas z powodu jednego obrazu i jednego wyrażenia: *Es reicht!*

Niemiecki żołnierz zatrzymał się przed kwaterą główną gestapo i wymienił kilka zdań ze strażnikiem przy bramie. Odwrócił się i wyciągnął coś z kieszeni munduru.

To był Georg von Bergheim. Sarah nie miała już wątpliwości, chociaż jeszcze nie widziała dokładnie jego twarzy. I dojrzała ją dopiero wtedy, gdy po wyciągnięciu papierosa i po zapaleniu go od osłoniętego dłonią płomyka niemiecki oficer uniósł twarz, żeby wypuścić kłąb dymu w powietrze. Bez wątplenia to był Georg von Bergheim.

Sturmbannführer von Bergheim zrobił kilka kroków przed budynkiem numer 72 przy alei Focha. Sarah Bauer przyglądała mu się zamyślona, stojąc o kilkadziesiąt metrów dalej; wydawało jej się, że już nigdy więcej go nie zobaczy. A znalazłszy go, zapomniała o wszystkim, nawet o czasie...

Wtedy von Bergheim znów zrobił kilka spokojnych kroków i rzucił okiem na zegarek. „Matko boska! Bomba!”

Sarah pospiesznie podciągnęła rękaw płaszcza w poszukiwaniu własnego zegarka... Ale nie udało jej się go zobaczyć. Ogłuszający huk zamknął jej oczy i zatkał uszy. W jednej chwili powietrze zmieniło się w taran, który gwałtownie rzucił jej ciało na ziemię.

Upłynęło pięć minut.

\* \* \*

„I uczynię znaki na niebie i na ziemi: krew i ogień, i słupy dymne. Słońce zmieni się w ciemność, a księżyc w krew (...)", Księga Joela, 3,3-4.

Sarah z trudem zamrugała, jakby miała piasek w oczach. Starając się poruszyć, zdała sobie sprawę, że boli ją całe ciało. Piekła ją twarz, dzwoniło jej w uszach i nie była w stanie jasno myśleć. Ciągle była dość oszołomiona eksplozją i uderzeniem.

Ciężko wstała. Widok był przygnębiający. Czarny dym, który piekł ją w gardle, spowijał wszystko, zaciemniając ulice, jakby nagle miasto pogrzażyło się w mroku. W oddali, pośród przejmującej ciszy, słychać było coś, co brzmiało jak huk morskich fal: to nie było morze, tylko ogień; wejście do budynku numer 72 stało w płomieniach i gorąco uderzało Sarah w twarz.

Uniosła wzrok, chcąc zobaczyć niebo, ale zasłaniała je chmura czarnego dymu. Z okien przyległych budynków ze strachem zaczęli wyglądać ludzie. Bardzo szybko dobiegł jej uszu daleki ryk pierwszej syreny i nieco ją otrzeźwił. Wiedziała, że musi wstać i uciec stamtąd, ale dlaczego tak trudno było jej to zrobić? To nie był ból, tylko jakieś dziwne otępienie, bardziej mentalne niż fizyczne. Jakby nie była w stanie zareagować na żaden bodziec. Nie chciała się ruszać ani krzyczeć, ani biec. Nie chciała zdecydować.

Syrena wciąż wyła, coraz bliżej, coraz silniej.

Sarah uniosła rękę do czoła, starając się pomyśleć. Na palcach poczuła coś lepkiego i spojrzawszy na nie, zrozumiała, że to krew. „Rana na czole”, pomyślała bez niepokoju. Nic nie mogło jej zdenerwować. Zdawało się, że nic nie pobudza jej zmysłów; być może ten przeklęty ryk syreny rozsadzający bolącą głowę i palący źrenice oślepiający blask pożaru. Niczym automat stanęła na nogi. Nie miała jednego buta, co przeszkadzało jej iść, więc zrzuciła też drugi.

Dym się rozrzedzał, ciężko wznosił do nieba i rozwiewał na poziomie ulicy. Jak unoszący się welon, odkrywał ślady zniszczenia: cegły i kawałki betonu walały się dookoła, poskręcane pręty, potłuczone szkło, połamane drzewa; chodnik popękał, a niektóre samochody leżały poprzewracane i porozbijane. Niebawem wszystko stanie się pożywką płomieni. Na chodniku leżały poszarpane ciała, kawałki, których Sarah nawet nie chciała identyfikować. Obok

samochodu leżał jakiś mężczyzna. Z pękniętego przewodu na wszystkie strony tryskała benzyna, więc niebawem zajmie się ogniem. Może ten mężczyzna już był martwy.

Nagle pośród tego chaosu pojawił jej się przed oczyma wyraźny obrazek sprzed wybuchu: major Georg von Bergheim patrzył na zegarek o kilka kroków od budynku numer 72, przy samochodzie. Ten obraz wstrząsnął jej zmysłami i Sarah się ocknęła.

Jej obowiązkiem było uciec stamtąd. Wiedziała o tym. A jednak ruszyła w kierunku centrum tego chaosu. Mężczyzną, którego zobaczyła na ziemi, był Georg von Bergheim, więc musiała się dowiedzieć, czy żyje.

Przy budynku dym stawał się coraz gęstszy, a skwar pożaru nie do zniesienia. Płomienie wściekle wyły, bardzo groźne. Było to jak spacer po piekle. Podeszła do ciała bosza i spojrzała na niego, nie odważając się go dotknąć: rzeczywiście był to major von Bergheim i był martwy.

Ona przysłała tam, żeby zabijać Niemców. Teraz już mogła odejść. Sarah odwróciła się, żeby ruszyć przed siebie.

Jednak nie zrobiła jeszcze nawet jednego kroku, kiedy pośród ryku płomieni wydało jej się, że słyszy jęk. Odruchowo się odwróciła.

– Boże, on się rusza...

Sarah natychmiast całkowicie doszła do siebie, zaczęła znowu odczuwać wielkie zdenerwowanie i strach. A także świadomość śmierci, zniszczenia i niebezpieczeństwa. Szybko łzy nabiegły jej do oczu, kiedy nachylała się nad majorem. Usłyszała, jak jęczy i ciężko dyszy. „Żyje”.

Ale ona przysłała tam zabijać Niemców.

Groźny jęzor ognia zbliżał się po strużce benzyny do silnika samochodu. Jęki Niemca były coraz bardziej intensywne. Wiele się nie zastanawiając, chwyciła go pod pachy i próbowała go pociągnąć. Musiała zabrać go stamtąd, zanim samochód wyleci w powietrze. Jednak mimo wysiłku ledwie mogła go ruszyć, zbyt wiele ważył. Ściągnęła płaszcz, żeby było jej wygodniej, i próbowała jeszcze raz z całych sił. Spocone dłonie ślizgały jej się po ramionach majora, a w białe stopy wbijały się kawałki pokruszonego asfaltu i potłuczone szkło, ale Sarah nie ustępowała. Ciągnęła go i ciągnęła, pośród czarnego dymu i palącego ognia, pośród ryku syren i łoskotu płomieni, pośród chaosu i zniszczenia, centymetr za centymetrem, krok za krokiem. Zawlokła go aż do załomu w murze.

Właśnie w tamtej chwili samochód wybuchł i znowu wszystko zadudniło i się zatrzęsło. Sarah poczuła falę uderzeniową. Rzuciła się na Georga von Bergheima, żeby osłonić go własnym ciałem – zrobiła to odruchowo, usłyszawszy eksplozję.

– Nie mogę oddychać...

Georg mówił z trudem, ledwo słyszalnym głosem, ale Sarah była tak blisko niego, że zdołała go usłyszeć. Rozpięła mu mundur i kołnierzyk koszuli. Następnie podparła go nieco i położyła jego głowę na swoich kolanach. Georg niezdarnie walczył o każdy haust powietrza, ale jego płuca nie reagowały. Sarah widziała, jak porusza ustami, przygnębiona, przekonana, że ten mężczyzna umrze na jej kolanach.

Na ulicy zaczęli się pojawiać pierwsi ludzie z pomocą dla rannych, jeśli po tym straszliwym wybuchu ktoś w ogóle przeżył. Byli to pracownicy z przyległych budynków, bo karetki jeszcze nie przyjechały.

Sarah krzyknęła:

– Tutaj! Pomocy! Czy ktoś może mi pomóc?

Własny krzyk wydał jej się szeptem pośród tego całego zamieszania. Ludzie przechodzili mimo, jakby jej nie widzieli.

– Na pomoc! Proszę!

W końcu podszedł do niej jakiś młody mężczyzna.

– Dobrze się pani czuje, Fräulein?

– Tak, tak. Ale ten mężczyzna jest ciężko ranny.

Oddech Georga wydawał się coraz słabszy i cięższy. Jednak zrobił wysiłek, żeby się podeprzeć. Sarah próbowała go powstrzymać i wtedy znaleźli się twarzą w twarz.

– Sa...? Sarah? – wyszeptał, ledwie mogąc mówić. Nie wierzył własnym oczom, nagle bardzo szeroko otwartym, jakby wysysały z niego całe życie, które jeszcze w sobie miał.

Sarah przestraszyła się jeszcze bardziej, kiedy zobaczyła, że von Bergheim walczy, żeby wstać i ją przytrzymać. Georg nie był do końca pewien, czy nie doznaje halucynacji, a jednak starał się jej dotknąć, żeby zatrzymać ją przy sobie.

Sarah udało się wyplątać i wstać.

– Co mówi? – zapytał mężczyzna, który pośpieszył z pomocą.

– Nie... nie wiem. Proszę, musi mu pan pomóc – błagała go, ruszając przed siebie.

Georg powtarzał jej imię chrapliwym, niezrozumiałym szeptem.

– A pani? – Mężczyzna wydawał się zaskoczony takim zachowaniem dziewczyny.

– Ja mam się dobrze, proszę się nie martwić. Proszę mu pomóc.

Teraz. To była ta chwila, żeby stamtąd uciec, nie mogła dłużej zwlekać.

– Ale proszę posłuchać...!

Uciekając, słyszała jeszcze krzyk tego mężczyzny.

Na ulicy było coraz więcej ludzi i zaczęły się pierwsze sceny paniki: ludzie biegali bez celu, histerycznie krzycząc i łkając. Sarah próbowała się odnaleźć pośród dymu i zamieszania. Musiała wyjść z alei Focha i dotrzeć do Lasku Bulońskiego. Skorzystała z tego, że tłum ludzi uciekał ulicą. Gwizdki i syreny były coraz liczniejsze; żandarmeria polowa zaraz zamknie strefę, pomyślała zatrwożona.

Nagle pośród tłumu spostrzegła szybko przejeżdżający ulicą motocykl. To niemożliwe, że... „Jacob!”, serce podskoczyło jej z radości, gdy go zobaczyła. Wydostała się z tłumu i ruszyła w jego stronę. Przyjaciel też ją dostrzegł, bo zbliżał się do niej.

– Do diabła, Sarah! Gdzieżeś ty była? Musiałem kropnąć obu strażników, żeby tu po ciebie przyjechać! – krzyknął jak oszalały, gdy tylko znalazł się przy niej.

Sarah spojrzała na niego bez odpowiedzi. Była wyczerpana.

– Chodź, mała, wsiadaj! Żandarmeria zaraz zamknie ulicę, złapią nas jak szczury.

Sarah posłuchała. Wsiadła na motor, chwyciła się Jacoba i zamknęła oczy.

Jacob na pełnej szybkości ruszył do Lasku Bulońskiego. A Sarah, mocno przytulona do jego pleców, pozwoliła, żeby po jej policzkach jedna za drugą toczyły się łzy; nie mogła otworzyć oczu, nie mogła się rozejrzeć dookoła.

\* \* \*

## STYCZEŃ 1943

W ramach represji za akty oporu Niemcy przeprowadzili egzekucje francuskich zakładników. Wielu z tych egzekucji dokonali w Mont Valerién, forcie mieszczącym się na zachód od Paryża, który podczas niemieckiej okupacji służył za więzienie. Od roku 1940 do 1944 w lasach w pobliżu Mont Valerién zostało rozstrzelanych 863 więźniów.

Komisarz kryminalny Hauser nie pofatygował się, by wstać, kiedy von Bergheim wszedł do jego gabinetu. Georg się nie zdziwił, po tak głupim człowieku nie mógł się spodziewać niczego innego.

– Heil Hitler! – wykrzyknął Hauser z podniesionym wysoko prawym ramieniem.

Georg odpowiedział mu tradycyjnym wojskowym pozdrowieniem, przekonany, że ten gest będzie pogardliwy wobec Hausera, fanatycznego nazisty. Sam nie miał nic przeciwko nazistom, przecież był jednym z ich, ale nie cierpiał fanatyków.

– Proszę usiąść, panie Sturmbannführer. Cieszę się, że w pełni wrócił pan do zdrowia po tym szaleńczym ataku, którego stał się pan ofiarą. Szkoda, że nie wszyscy mieli tyle szczęścia...

Uszkodzenie płuc, złamane żebro oraz kilka ran ciętych i oparzeń. Tylko kilka dni w szpitalu. A jednak Georg nigdy nie czuł się tak blisko śmierci. Może nawet by zginął, gdyby nie ta kobieta, gdyby nie Sarah Bauer... Sarah... Czy to możliwe, że miał halucynacje? Pourazowe urojenia? Georg powtarzał sobie, że nie, chciał wierzyć, że nie, że ona znajdowała się w Paryżu i wydobyła go z płomieni, jak anioł stróż pośród apokalipsy...

– Ucieszy pana wiadomość – ciągnął Hauser – że właśnie wczoraj w Mont Valerién rozstrzelano stu dwudziestu zakładników, w ramach represji za ten brutalny czyn. Dwudziestu niepotrzebnych Francuzów za jednego zamordowanego Niemca – chełpił się.

– O ile mi wiadomo, w zeszłym roku zdecydowano się zaprzestać egzekucji zakładników... – odparł.

I rzeczywiście tak było, władze niemieckie doszły do wniosku, że egzekucje powodują u ludności większą niechęć niż strach; nie była to dobra propaganda dla Rzeszy.

Hauser z pogardą machnął ręką.

– Och, to szczególny przypadek. Zamach na samo serce gestapo nie może ująć bezkarnie. Nie możemy dopuścić, żeby naród francuski rósł w siłę dzięki akcjom kilku ohydnych rebeliantów, w większości Żydów i marksistów, będących trędem samej Francji. Trzeba pokazać tym *Frochfresser*, że Niemcy i tak są silniejsze: *Deutschland siegt an Allen Fronten!*... – Hauser pompatycznie wyrecytował najbardziej wyświechtany slogan nazistowskiej propagandy: „Niemcy zawsze zwycięskie”. Potem spojrzał na Georga spod przymrużonych powiek. – A może nie zgadza się pan ze mną, panie Sturmbannführer von Bergheim?

– Jakżebym mógł, panie Hauptsturmführer? – odpowiedział Georg z wyniosłością, do której uprawniał go mundur obwieszony odznaczeniami. Jedną z rzeczy, których Georg najbardziej nie znosił w osobach takich jak Hauser, było to, że wydobywali z niego jego najgorsze cechy, jak w tym przypadku pyszałkowatość.

– Tak. Oczywiście. – Przez kilka chwil spojrzenie Hausera było mozaiką niskich uczuć, aż w końcu stężenie jego rysów zelżało. – Ale nie będziemy marnować pańskiego czasu na dywagacje. Co pana ponownie sprowadza do mojego gabinetu?

Georg powiedział do siebie w myślach, że pech. W sumie próbował już wcześniej z gestapo przy alei Focha, ale tam poinformowano go, że jeśli poszukiwana przez niego dziewczyna znajduje się w Paryżu, sprawa leży w kompetencji rue de Saussaies. Tak jak się obawiał.

– Poszukuję pewnej kobiety.  
– Oczywiście Żydówki – dodał ten drugi, aby przypomnieć mu, że tylko Żydzi leżą w jego gestii.

Jednakże Georg nie chciał dać mu tej satysfakcji.

– Tak naprawdę to nie wiem. Wszystko zależy od tego, czy jest w pańskich rejestrach czy nie.

– Niestety sprawy nie wyglądają tak prosto. Nie wszyscy Żydzi mają dobry zwyczaj przychodzić do nas, żeby się wpisać do naszego rejestru.

Georg nie potrafił zrozumieć, jak choćby jedna osoba mogła to zrobić, lecz postanowił nie dzielić się wątpliwościami ze swoim rozmówcą.

– Jak nazywa się ta kobieta?

– Sarah Bauer. – Nazwisko wyszło z jego ust z takim samym trudem, jak korek wychodzi z butelki wina. Wstrętne mu było przekazywanie tego nazwiska Hauserowi.

Komisarz kryminalny się uśmiechnął.

– Drogi panie Sturmbannführer, powinien pan już wiedzieć, że wszystkie kobiety o imieniu Sarah są Żydówkami!

– Być może. Ale w swojej pracy wolę kierować się faktami, a nie statystyką. W każdym razie potrzebuję pańskiej pomocy, żeby ją zlokalizować. Jeśli znajduje się w pańskich rejestrach, wszystkim będzie łatwiej, jeśli nie... Jestem przekonany, że gestapo wie, jak działać w takich sytuacjach.

Georg zaraz znajdzie się na skraju szaleństwa, jeśli Hauser nie zetrze z twarzy tego przeklętego uśmiešku, cynicznego i impertynenckiego. Hauser grał miłego i usłużnego pracownika, a w rzeczywistości był lisem przyczajonym w norze, żeby zniecka wyskoczyć i kasać.

– Dobrze, skoro jednak potrzebuje pan pomocy gestapo, gestapo powinno wiedzieć, z jakiegoż to powodu poszukuje pan tej kobiety, i ocenić możliwości wykorzystania środków, o których wie pan, że w krajach okupowanych niestety są nie za wielkie.

Ze spokojem, który dawała mu możliwość rozkoszowania się chwilą, Georg położył na stole list uwierzytelniający Himmlera, dający mu *carte blanche* do działania pod auspicjami Reichsführera. Georg pragnął to zrobić od nieszczęsnej chwili pierwszego spotkania z Hauserem.

– Przykro mi, panie Hauptsturmführer, ale nie mogę udzielić panu tych informacji. Ściśle tajne.

Hauser musiał przełknąć jego arogancję, ku większej radości Georga. Zwierzę jednak staje się bardziej niebezpieczne, kiedy czuje się zagrożone.

– Jeśli namierzemy tę... tam... – Hauser rzucił okiem na notatki – Sarah Bauer, będziemy musieli ją zatrzymać i przesłuchać.

– Zatrzymać, tak. Przesłuchać, nie. To moja sprawa.

– O tym, że to pańska sprawa, już nie dyskutujemy. Ale musi pan mieć na względzie, że gestapo posiada specjalistów do jak najlepszego wykorzystania przesłuchań.

Oczywiście, że Georg miał to na względzie. Czytał raport z przesłuchania Alfreda Bauera. Dlatego był absolutnie zdecydowany nie dopuścić do tego, żeby gestapo zrobiło to samo dziewczynie.

– Jestem o tym przekonany. Jednak wolę zająć się tym osobiście, skoro to ja odpowiadam przed Reichsführerem Himmlerem.

– Rozumiem... Jednakowoż nie może pan oczekiwać, że gdy już ją zlokalizujemy i stwierdzimy, że rzeczona kobieta może być istotna dla zadań gestapo, powstrzymamy się od postawienia jej kilku pytań.

Cierpliwość Georga nagle się wyczerpała. Jeśli chodziło o niego, skończyły się uprzejmości i wysilona kurtuazja. Wstawszy, pochylił się nad biurkiem Hausera.

– Tak naprawdę nie tylko oczekuję, panie Hauptsturmführer, ale i żądam. Co więcej, ostrzegam pana, że jeśli którykolwiek z pańskich ludzi dotknie zatrzymanej, będzie musiał się tłumaczyć Reichsführerowi z utrudniania śledztwa, którym on osobiście kieruje. Pan ma się ograniczyć do zatrzymania Sarah Bauer i do powiadomienia mnie, że pan to zrobił, co mam nadzieję nastąpi w niedalekiej przyszłości.

Georg kipiał wściekłością, widząc, że ostrość jego słów nie zdołała wpłynąć na zachowanie Hausera ani nie zmasała z jego twarzy drażniącego uśmiešku.

Tym razem to Georg pożegnał się *Hitlergruß*, bo teatralny gest pozwolił mu ulżyć wściekłości na ziemię i niebo.

– Heil Hitler!

\* \* \*

Atak na kwaterę główną gestapo skończył się dla ruchu oporu absolutnym sukcesem. Przez cały tamten dzień w garażu Alzackiej Grupy Zbrojnej trwała zabawa. Sarah została przywitana okrzykami i honorami. Nagle dziewczyna na posyłki zmieniła się w bohaterkę, którą wszyscy oklaskiwali i szanowali. Sarah Bauer zasłużyła sobie na tytuł towarzyszkii Esmeraldy.

Nawet Trocki, kiedy doszedł nieco do siebie i został poinformowany o bohaterskim czynie, czuł się z niej dumny i przez kilka chwil porozmawiał z dziewczyną, przede wszystkim o tym, jak przebiegła operacja. Sarah nie tylko uratowała prestiż Trockiego wśród innych grup oporu, ale nawet więcej – podniosła go, więc młody komunista otrzymał gratulacje i wyrazy uznania od wielu dowódców ruchu oporu. Wiadomość o wyczynie niewielkiej grupy z Paryża, przekazywana z ust do ust, obiegła całą Francję. Trocki dostał największą nagrodę, kiedy Joseph Epstein, dowódca Franc-Tireurs et Partisans, zbrojnego ramienia Francuskiej Partii Komunistycznej, osobiście mu pogratulował.

Także Jacob wydawał się poruszony, ale na swój sposób.

– Gratuluję, Sarah. Dobra robota. Przyznaję, że myliłem się co do ciebie – wyznał, gdy dotarli do garażu, zanim jeszcze zsiadli z motoru.

Tak naprawdę jej przyjaciel był zarówno zaskoczony, jak i przerażony tym, do czego ona jest zdolna. Jacob zawsze ją podziwiał, odkąd był dzieckiem i przyglądał jej się, kiedy bawiła się z rodzeństwem w ogrodzie domu Bauerów; albo kiedy prowadził konia, na którym ona uczyła się jeździć; kiedy widział, jak wracała ze szkoły w swym białym fartuszkach i z porządnie zaczesanymi warkoczami, obładowana książkami i otoczona zalotnikami; podziwiał ją co szabat przy wyjściu z bożnicy, kiedy paradowała w najlepszych sukienkach i dalej była otoczona zalotnikami. A przede wszystkim podziwiał ją, kiedy spacerowali razem po ulicach Paryża, i wtedy czuł się jak rycerz. Teraz Jacob obawiał się, że Sarah za bardzo urosła i nie będzie już go potrzebowała ani nie pozwoli mu się dalej podziwiać.

Ze swej strony po świętowaniu, pochwałach, pochlebstwach i tryumfalizmie Sarah wycofała się do jakiegoś kąta, żeby sama wyleczyć swoje rany, przynajmniej te widoczne. Niewidzialnych nie potrafiła wygoić. Sarah czuła się silniejsza, pewniejsza siebie, bardziej dumna i zdolna do zrobienia wszystkiego. Jednak odtąd co noc śniła o uśmiechniętej twarzy młodego żołnierza Johannes Friedla, a rano budziła się, jakby się postarzała o kolejny rok.

Nikomui nie opowiedziała o spotkaniu z Georgiem von Bergheimem, zwłaszcza nie Jacobowi. Gdyby jej przyjaciel dowiedział się, że się spóźniła, bo ratowała życie jakiegoś bosza, byłby wściekły. Ona sama zadawała sobie pytanie, dlaczego to zrobiła, a ponieważ nie znajdowała żadnej satysfakcjonującej odpowiedzi, przekonała siebie, że potrzebuje Georga von

Bergheima żywego, gdyż jest jedynym człowiekiem, który mógłby jej podać jakieś informacje o miejscu pobytu jej rodziny. W każdym razie Sarah wolała usunąć ze swej głowy Sturmbannführera von Bergheima; jego wspomnienie jedynie ją niepokoiło.

W kilka dni po ataku Trocki i Jacob bardzo ostro się pokłócili. Tak mocno krzyżeli na siebie w garażu, że wszyscy doskonale znali cały przebieg kłótni. Niemcy zastrzelili zakładników w ramach represji za zamach na gestapo. Jacob był przekonany, że powinni zrezygnować z jakichkolwiek działań zbrojnych, które mogą się zakończyć podobnymi represjami, i skoncentrować się na sabotażu i propagandzie. Dla odmiany Trocki, niesiony na skrzydłach świeżej popularności, twierdził, że zamordowanie zakładników nie wpłynie na zmianę jego celu i sposobów działania, że czasem trzeba ponieść niewielkie ofiary dla dobra większości i że oni sami przez cały czas są odsłonięci i gotowi oddać życie za wolność i ideały.

Jak to zwykle się dzieje przy większości kłótni, nie było jednoznacznego zwycięzcy, ale od tamtej chwili atmosfera w garażu stała się duszna; mimowolnie powstały dwie grupy i każda grupa miała swoich zwolenników.

\*



## SAMA NIE JESTEM W STANIE TEGO ZROBIĆ

Konrad nigdy nie tracił panowania nad sobą, był na to zbyt elegancki. Ponadto jego najgorszą bronią był kompletny chłód, chłód ocierający się o zamrażanie; za jego pomocą był w stanie paraliżować swoje ofiary. Dlatego nie wpadł we wściekłość, kiedy mu opowiedziałam, co mi się przytrafiło w mieszkaniu Alaina. Po prostu zmrużył swoje lodowate oczy i wypuszczając nie mniej lodowaty oddech, powiedział: „Lepiej, żeby się więcej do ciebie nie zbliżał”.

– Zostań ze mną w Paryżu – błagałam. – Ty mi pomóż w badaniu. Jesteś błyskotliwym człowiekiem, więc razem nam się uda. Nie zostawiaj mnie samej...

Konrad spojrział na mnie wzrokiem tyle miłosnym, ile pobłażliwym.

– Wiesz, że nie mogę, *meine Süße*. Ale jestem przekonany, że mimo tych przeciwności nie zawiedziesz mnie.

Nie chciałam tego zrobić. Naprawdę nie chciałam. Szczególnie że udało mi się trochę bardziej zbliżyć do *Astrologa*. Jednak stałam przed nieprzeniknionym murem: murem własnej gnuśności.

Zmęczyło mnie wysyłanie e-maili i dzwonienie do dziesiątków archiwów w połowie Europy i w Stanach Zjednoczonych. Nie udało mi się namierzyć akt Delmedigo.

Oczywiście robiłam coś nie tak, ale nie wiedziałam co. Prawdopodobnie to, że rzuciłam się jak wariatka na poszukiwanie igły w stogu siana, dokumentu, którego autorstwa, pochodzenia i zawartości nie znałam, w morzu archiwów rozrzuconych po całym świecie od Waszyngtonu po Moskwę.

Sądziłam, że staram się dowieść samej sobie i całej reszcie świata, że nie potrzebuję nikogo, żeby rozwiązać tę tajemnicę, więc zabrałam się do działania jak automatyczna centralka, wypuszczająca telefony bez ładu i składu, w nadziei, że ktoś na nie odpowie. W moim działaniu brak było analizy, metody i zdrowego rozsądku, bazy każdego badania. W taki sposób nigdy nie udałooby mi się zająć donikąd, mogłabym umrzeć, wysyłając listy bez opamiętania.

Psychoanalityk powiedziałby, że wręcz przeciwnie – usiłowałam dowieść sobie i całemu światu, że sama nie jestem w stanie tego zrobić. I pewnie miałby rację.

Jadłam śniadanie, obiad i kolację w samotności. Kładłam się i wstawałam sama. Nawet rozmawiałam sama ze sobą, poza tymi kilkoma przypadkami, kiedy zadzwonił Konrad, i dziesiątkami razy, gdy dzwoniłam do Teo. W Paryżu czułam się samotna, bardziej samotna niż kiedykolwiek wcześniej. I to przerażało mnie bardziej, niż przerażyłyby tysiące esemesów z pogrózkami.

Zrozumienie tego zajęło mi dwa tygodnie. Rozpaczliwie pragnęłam stamtąd wyjechać. Tęskniłam za Madrytem, swoim domem, pracą w muzeum, czułością Teo, jedzeniem Toniego i wychodzeniem z Konradem w piątki na kolację do Arome; tęskniłam nawet za coniedzielnymi kłótniami z moją matką. Tęskniłam za swoim życiem i chciałam je odzyskać.

Dlatego pierwszy dzień, w którym zadzwonił budzik, a prosta myśl o opuszczeniu łóżka, żeby znów stawić czoło samotności w Paryżu, była nie do zniesienia, mimo że nie czułam się zmęczona, spędziłam w łóżku, drzemiąc do wieczora. Tego samego dnia zdecydowałam, że nadszedł czas zakończyć to wszystko, zanim popadnę w depresję, jeśli jeszcze mnie nie dopadła.

– Konrad, muszę wrócić do Madrytu. Nie mogę tu zostać już ani minuty dłużej. Nie znoszę tego... – wyznałam mu przez telefon, starając się połykać łzy, bo wiedziałam, że ich nie toleruje, wstrzymując oddech w obawie, że skarci mnie za słabość i postanowi mnie porzucić z tego powodu.

– Zgoda, *meine Süße*. Ale proszę cię tylko, żebyś poczekała jeszcze kilka dni. W piątek spotkam się z tobą w Paryżu, organizujemy przyjęcie z okazji prezentacji nowej linii telefonów i chcę, żebyś ze mną poszła.

– Skoro tak chcesz...

– Idź sobie na zakupy. Posiedź w spa; powiem sekretarce, żeby cię umówiła do Instytutu Diora w Plaza Athénée. Chcę, żebyś wyglądała kwitnąco. Przyrzekam ci, że w niedzielę razem wrócimy do Madrytu, jeśli tego chcesz.

Zniechęcona odłożyłam słuchawkę. Czasem Konrad tylko słuchał moich słów, nie słuchał mnie. Ale nie przejmowałam się tym, gdyż zareagował bardzo dobrodusznie na moją próbę dezercji.

\*

## JEŚLI MAM W TO WEJŚĆ, TO TYLKO Z TOBĄ

Konrad był zwierzęciem towarzyskim, świetnie się czuł pomiędzy ludźmi – rzecz jasna pomiędzy ludźmi, których sam sobie dobierał. Żeby się nimi otoczyć, organizował koncerty, przyjęcia, wystawy, recitale... wszelkiego typu akty ludyczne. Konrad doskonale potrafił połączyć właściwe Niemcom zdolności organizacyjne z właściwymi Hiszpanom skłonnościami do nieustannego zamieszania.

Jak zwykle osobiście zaangażował się w przygotowanie tego przyjęcia, niesamowitej prezentacji linii telefonów komórkowych zaprojektowanej przez najbardziej znanych i najbardziej medialnych artystów owego okresu. Architekci, malarze, rzeźbiarze, a nawet projektanci prototypów Formuły 1 zabawiali się, tworząc aparaty, do których jedno z jego przedsięwzięciom dopasowało wnętrze. Jakby tego było mało, jakiś operator telefoniczny, także jego własność, rozdawał je swoim najważniejszym klientom. W ten sposób kółko Konrada się zamykało.

Około ósmej wieczorem, kiedy muzea już drzemią, a ich galerie są pogrążone w ciszy i ciemności, Konrad jak te duchy skrywające się w trzewiach budynków i czekające na nadejście nocy, żeby sobie polatać, wybrał galerię południową Muzeum Sztuk Pięknych w Paryżu, oświetlił ją na fioletowo i wypełnił kwiatami, muzyką i ludźmi.

Muzeum Sztuk Pięknych mieści się w Petit Palais, pięknym budynku z 1900 roku, znajdującym się pomiędzy Polami Elizejskimi a Sekwaną. Bardzo piękne miejsce. Konrad sponsorował tam czasową wystawę zatytułowaną *Kinowe muzy* i w tej samej sali, obok wspaniałych czarno-białych fotografii ze złotej epoki Hollywood, wystawiał swoje telefoniczne klejnoty. Scenografia sprawiła, że wszystkim zaproszonym opadły szczęki: sposób, w jaki gra światła prezentowała i fotografie, i aparaty telefoniczne – a przy okazji trzeba powiedzieć, że miały niesamowity design, więc same w sobie były dziełami sztuki – wielkie okna galerii otwarte na lekko oświetlony ogród, zespół muzyki kameralnej ustawiony na końcu galerii i jego przyciągająca wzrok czarna śpiewaczka o nieprawdopodobnie zmysłowym głosie... Nawet talerze firmy cateringowej były uczcą dla zmysłów, nie tylko smaku, ale także wzroku, z czarnymi orchideami pośrodku na tle srebrzystych obrusów. Odnosiło się wrażenie podróży w czasie do lat czterdziestych, do ich klimatu przydymionego srebra i mroku.

W sumie nie żałowałam, że dałam się na siłę zaprowadzić na to także oryginalne przyjęcie.

Kiedy wychodziłam z szatni, ktoś mnie objął od tyłu i zaczął tańczyć w rytm piosenki Franka Sinatry, którą sam śpiewał. Łatwo było zgadnąć, kto to taki, uśmiechnąć się, oprzeć głowę na jego piersi i pozwolić się prowadzić.

*Lovely... Never, ever change.*

*Keep that breathless charm.*

*Won't you please arrange it?*

*'Cause I love you... Just the way you look tonight.*

Teo przestał śpiewać i odrobinę się odsunął, żeby na mnie spojrzeć.

– Na wszystkie heteroseksualne ikony, kochanie, wyglądasz bosko! Absolutnie cudownie!

– To tylko sukienka. – Uśmiechnęłam się ze skromnością równie fałszywą jak uwodzicielską.

Rzeczywiście Konrad wybrał dla mnie fantastyczną sukienkę z czarnego jedwabiu, przylegającą do ciała jak rękawiczka, o kroju syreny i szalonym dekolcie na plecach, bardzo w stylu hollywoodzkiej scenografii całego tego spektaklu. Jednak najbardziej zwracały uwagę

brylanty lśniące niczym gwiazdy na nocnej czerni sukienki. Nic prostszego, a jednocześnie bardziej skomplikowanego.

– Głupstwa opowiadasz, kochanie! Armani jest mistrzem, ale nie bogiem, jeszcze nie. Może tworzyć dzieła sztuki, ale nie czynić cuda. Gdybyś była wstrętnym pokurczem, ta sukienka byłaby okropną szmatą, wierz mi. No cóż, te kamyki też pomagają...

Bez wielkich wstępów i pochlebstw objęłam tors przyjaciela wypracowany podczas wielu godzin spędzonych w siłowni.

– Wiesz? Ty też pięknie wyglądasz.

– Wiem. – Oczywiście, że to wiedział. Na Teo smoking leżał znakomicie, wyglądał jak reklamowy podrywacz. Znowu pomyślałam o straszliwej stracie, jaką oznaczała dla kobiet jego homoseksualność.

– Nie miałam pojęcia, że przyjedziesz – wyznałam, ciągle z policzkiem wspartym na jego piersi.

– Ależ oczywiście, że przyjechałam, kochanie. Jestem jednym z oficjalnych fotografów kampanii. Za nic na świecie nie przepuściłbym takiej imprezy!

– Brakowało mi ciebie... Powiedz, jak ma się mój dom? Dobrze się nim zajęliście?

– Lepiej niż dobrze. Toni codziennie podlewa kwiaty na tarasie, czego przecież ty nie robisz. Udało mu się nawet sprawić, że zakwitły te zwiędłe orchidee, co je trzymasz w kącie.

– Toni ma dobrą rękę do kwiatów.

– Tak. Nie tylko do kwiatów – dodał dumnie z szelmowskim uśmiechem. – Ale ty... Jesteś przywiedła jak te orchidee. Wyglądasz na smutną i przygaszoną.

Delikatnie odsunął mnie, chociaż wciąż nie przestawałam go obejmować.

– Spójrz: masz na sobie sukienkę Armaniego i górę brylantów wiszącą na szyi! Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie byłaby smutna w twojej sytuacji!

Żeby dowieść mu, że przestałam być kobietą przy zdrowych zmysłach, uśmiechnęłam się żałośnie, uciekając wzrokiem przed jego karcącym spojrzeniem.

– To koniec, Teo. Jutro wracam do Madrytu.

– To dobrze, przecież tego chciałaś, nie?

Wzruszyłam ramionami.

– Może tak... Może nie...

– Kurwa, co za żaloszny brak zdecydowania!

Jakby jego ciało było lodówką, a ja magnesem z chińskiego sklepu, znowu się do niego przylepiłam. Przytulając się, nie musiałam na niego patrzeć, a ten fakt ułatwiał mi wyznanie tego, co miałam zamiar powiedzieć.

– Nie chcę tego zostawiać, Teo. Ale też nie jestem w stanie zrobić tego sama. Wiesz? Wydaje mi się, że tak naprawdę czuję się zdradzona przez doktora Arnoux. Nie spodziewałam się, że to on okaże się czarnym charakterem. A ta scena w jego mieszkaniu była taka... okropna – wspomniałam, potrząsając głową, żeby odpędzić złe duchy. – Poza tym nagle zostałam bez sprzymierzeńców. Muszę to przyznać: bez Arnoux nie jestem w stanie tego pociągnąć.

Było to odkryciem chyba bardziej dla mnie niż dla Teo. Ku mojemu zaskoczeniu zdołałam streścić w kilku zdaniach uczucia, które do tego czasu utrzymywały mnie w stanie zmieszania. A może tylko tego potrzebowałam, aby powrócić do normalności: przytulenia się po tak długiej samotności.

– *Meine Süße*, moja kochana... Niedobrze, że tulisz się do innych mężczyzn na oczach moich gości.

Konrad podszedł do nas z wyraźnym zamiarem oderwania magnesu od lodówki.

– Oj, Konradzie, ale śmieszne! Przecież już wiesz, że nie jestem mężczyzną...

– Ja to wiem, ale inni nie. To kwestia wizerunku. Niepotrzebnie ją monopolizujesz, Teo. Przykro mi, ale muszę ją zabrać. – Konrad objął mnie w talii. – Chcę, żebyś kogoś poznała, *meine Süße*.

– Dobrze, zostawcie mnie samego, nie przejmujcie się mną – dramatyzował Teo. – Chyba gdzieś widziałem Jeana Paula Gaultiera. Pójdę złożyć mu uszanowanie.

I żwawo wmieszał się w tłum.

– Nie zaprosiłem Jeana Paula Gaultiera – zapewnił mnie Konrad, kiedy mój przyjaciel odszedł.

Sporo czasu zajęło nam przejście przez galerię; co dwa kroki ktoś do Konrada podchodził, co przekładało się na dziesięć minut nudnej rozmowy. W końcu dotarliśmy do fotografii, na której na pierwszym planie było biodro Gildy, a na nim spoczywała ręka trzymająca papierosa; ostrość aparatu została ustawiona na odcinającą się na czarnym tle wijącą się strużkę białego dymu.

Konrad podszedł do jakiegoś mężczyzny, który stojąc do nas plecami, przyglądał się fotografii. Kiedy się odwrócił, przez kilka sekund nie byłem w stanie go rozpoznać. A potem nie mogłam uwierzyć, że naprawdę go rozpoznałam.

– Ano, pozwól, że ci przedstawię, doktor Alain Arnoux z Sorbony.

Nie myliłam się. To rzeczywiście był on. Chociaż wydawał się inną osobą niż ta, którą widziałam w tak żalonym stanie. Ogolił się i trochę podciął włosy, poza tym był nienagannie ubrany w smoking bez muszki i miał bardzo osobisty dodatek: spod kołnierzyka koszuli wysuwał się czarny sznurek z egipskim skarabeuszem na szczęście, którego nigdy nie ściągał.

Sytuacja była tak absurdalna, tak powieściowa i tak niezręczna, że nie wiedziałam, jak zareagować. Zaczęłam od ostentacyjnego ignorowania obecności Alaina.

– Konrad, doskonale wiesz, że już się znamy. – Mój uśmiech był wymuszony.

– Przestań, *meine Süße*, to tylko niewinny żarcik. Chcieliśmy cię zaskoczyć. – Jego zachowanie, dla odmiany, było radosne i pełne luzu.

– Cześć, Ana – w końcu wtrącił się Alain, bardzo poważny.

– Cześć, Alain. – Ja byłam oschła.

– Rozmawiałem z doktorem Arnoux, zgodziliśmy się, że zaszłaś za daleko w swoim poszukiwaniu, żeby je teraz porzucać. Doktor Arnoux zdecydował się z nami współpracować.

Wolałam godnie milczeć. Zresztą i tak nie wiedziałam, co powiedzieć. Z Alainem chyba działo się to samo.

Konrad podszedł do jednego z kelnerów spacerujących po sali z tacami napojów i wziął trzy kieliszki szampana.

– To zasługuje na toast – obwieścił, podając nam po kieliszku. – Za przyszłe sukcesy!... *Santé!*

Chyba nigdy w życiu nie byłam tak spięta podczas toastu, no może wtedy, gdy ojciec przypijał do Konrada z okazji moich urodzin, a w tym czasie moja matka pytała, kiedy ślub.

Dokładnie w chwili, kiedy wznosiliśmy kieliszki do ust, podszedł do nas jeden z asystentów Konrada i szepnął mu coś do ucha.

– Musicie mi wybaczyć, ale nadeszła pora mojego przemówienia – wyjaśnił.

Konrad poklepał Alaina po ramieniu, a mnie pocałował w policzek.

– Zaraz do was wrócę – obiecał, zanim nas zostawił, i oddalił się w stronę sceny.

Odprowadziłam go wzrokiem: stawiał wielkie, energiczne kroki, jednocześnie poprawiając muszkę i przeczesując włosy rękoma. Tak naprawdę to nie chciałam patrzeć na Alaina.

Ucichła muzyka i powoli zaczęła zalegać cisza. Reflektor oświetlił Konrada na scenie.

Stał za mównicą z logo firmy telekomunikacyjnej. Wyglądał jak prezenter na oscarowej gali.

Rozpoczął przemówienie do zebranych gości w doskonałej angielszczyźnie. Nagle poczułam potrzebę wyjścia stamtąd. Konrad emanował zaufaniem, bezpieczeństwem, entuzjazmem, ale z jakiejś przyczyny oglądanie go, kiedy przemawiał do publiczności, powodowało u mnie nerwowość. I niepokoiła mnie obecność u mego boku Alaina, gdy widziałam tego drugiego na scenie.

– Jeśli pozwolisz... – kurtuazyjnie zwróciłam się do niego. – Wyjdę na chwilę do ogrodu.

Odwróciłam się, zanim mógł odpowiedzieć, ale usłyszałam za plecami:

– Pójdę z tobą.

Torowałam sobie drogę pomiędzy ludźmi, jakbym go nie usłyszała. Nie chciałam, żeby ze mną szedł, ale też nie mogłam mu tego zabronić.

Petit Palais ma piękny wewnętrzny ogród w kształcie półokręgu, otoczony perystylem z grubymi granitowymi kolumnami. Oparłam się o jedną z tych kolumn, żeby popatrzeć na ogród, strategicznie oświetlony w swoich najładniejszych zakątkach. Ze środka dobiegał szmer przemowy Konrada.

Po kilku sekundach stania nieruchomo i w milczeniu zdecydowałam się przestać ignorować obecność u mego boku Alaina.

– Co tu robisz? – zapytałam go, nawet na niego nie patrząc.

– Towarzyszę ci przy zażywaniu powietrza.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Pan Köller przyszedł do mnie kilka dni temu i poprosił, żebym wziął udział w jego badaniu.

Zaśmiałam się sarkastycznie.

– Pan Köller musiał rzucić ci na stół kupę forsy, skoro zgodziłeś się na coś, czego mi odmówiłeś w bardzo nieprzyjemny sposób.

– Tak naprawdę nie rozmawiałem z panem Köllerem o pieniądzach...

– No to teraz już w ogóle nie rozumiem, co tu robisz... I, na miłość boską, przestań nazywać go panem Köllerem! Przecież wiesz, że to mój... narzeczony, czy jak tam się nazywa faceta, z którym się chodzi, mając więcej niż trzydzieści lat.

Zaległa cisza. Mój obrażony ton mógł sprawiać wrażenie wyrzutu, że Konrad jest moim narzeczonym. Poczułam się żalсна.

– Co ci powiedział?

– Powiedział mi, czego tak naprawdę szukacie. Opowiedział mi o *Astrologu*...

Prychnęłam jak zwierzę w klatce.

– Słuchaj, Ano, masz całkowitą rację, czując się dotknięta...

– Nie jestem dotknięta.

Alain spojrzał na mnie. Moje kłamstwo było tak oczywiste, że nie musiał odzywać się ani słowem, żeby skłonić mnie do zwierzeń.

– Tak jestem. Ale jeszcze nie wiem, czy czuję się bardziej dotknięta przez Konrada czy przez ciebie. Nigdy nie chciałam cię okłamywać. Jeśli to zrobiłam, to dlatego, że mnie o to poprosił. A teraz ten zdrajca... A ty... Ty znikasz, nie odpowiadasz na moje telefony, a potem... tamto... – Nawet nie chciałam wspominać o zdarzeniu z jego mieszkania.

– Chodź. Przejdźmy się – zaproponował Alain.

Wysypane żwirem ścieżki biegnęły pomiędzy klombami palm, bananowców i juk. Były tam też rzędy doniczek również z palmami, a obok wspaniałego wejścia do północnej galerii nieustannie tryskała wodą wyłożona mozaiką fontanna. Orzeźwiający szmer wody, echo słów Konrada dobiegające z galerii i nasze kroki skrzypiące na żwirze były jedynymi dźwiękami. My

kroczyliśmy w milczeniu; czuliśmy się niezręcznie... przynajmniej ja. Nie lubię chodzić w milczeniu u boku kogoś, z kim nie jestem wystarczająco zżyta. Dla mnie milczenie jest nieodłącznym elementem intymności. Poza tym bolały mnie stopy; zabijały mnie te buty na obcasie. Pewnie jestem swego rodzaju heretykiem glamour, bo buty Manola Blahnika, powszechnie pożądane i noszone, dręczyły moje stopy.

Szczęśliwie ogród Petit Palais jest niewielki, można go przemierzyć w kilka kroków. Niebawem znaleźliśmy się po jego drugiej stronie, przy szemrzającej fontannie. Nie pytając Alaina o zgodę, zesłam ze ścieżki i skierowałam się do perystylu; znowu para kolumn posłużyła mi za zaimprovizowane miejsce do siedzenia.

– Nie zniosę tych butów ani sekundy dłużej – wyznałam, gdy ściągałam je pod jego uważnym spojrzeniem.

– Do tego jest ci zimno... Chcesz wrócić do środka?

– Nie, nie jest mi zimno.

Moje kłamstwo nie byłoby bardziej oczywiste, gdybym z pełnymi ustami oświadczyła, że nie jem. Mój dekolt był wyzwaniem dla chłodnej październikowej nocy, którą wilgoć ogrodu i fontanna czyniły jeszcze chłodniejszą. Nie mogłam pozwolić sobie na kozactwo z gęsią skórką na plecach, ramionach i rękach; nie dało się.

– Tak naprawdę to nie chcę znowu wkładać tych przeklętych butów przynajmniej przez najbliższe dziesięć minut, ale nie chcę też chodzić po zwirze na bosaka, to kłuje. Więc zostanę tutaj.

Alain uśmiechnął się. Zdjął marynarkę i położył mi ją na ramionach.

– Przynajmniej włóż to...

Kiedy miałam zaprotestować, okazało się, że wyciąga mi włosy spod marynarki.

– Żeby nie zniszczyły ci się loki...

– Dziękuję.

Moje dziękuję, sztywne, nieśmiałe i nieco oschłe, zawisło w nowej przestrzeni ciszy. Alain oparł się na bliźniaczej kolumnie i oboje udawaliśmy, że rozkoszujemy się kontemplowaniem nieba, ciemnej i absurdalnej pustki bez gwiazd, bo Paryż, z całym swoim światłem, przyćmił je.

To milczenie zaczynało mnie oburzać i denerwować. Skoro nie ma nic do powiedzenia, niech sobie idzie i zostawi mnie w spokoju.

W ciszy zdałam sobie sprawę, że Konrad skończył przemówienie, gdyż delikatny głos piosenkarki, śpiewającej *Blue Velvet* z lekkim francuskim akcentem, docierał nawet tu, na koniec ogrodu.

Alain lekkim westchnieniem zdradził, że wciąż żyje. I w końcu przemówił.

– Chciałem do ciebie zadzwonić, naprawdę. Od dwóch tygodni chcę do ciebie zadzwonić... Ale nie miałem odwagi. Za bardzo się wstydzę tego, co zaszło.

– Nie jestem o to obrażona... Nie jesteś mi nic winien. Denerwuje mnie to, że Konrad przyprowadził cię za rękę, mówiąc, że weźmiesz udział w badaniu, bo wszystko się skończyło, Alain. Jutro wyjeżdżam do Madrytu... chociaż on nie chce tego przyjąć do wiadomości. Chyba że Konrad znalazł sobie zastępcę na moje miejsce.

Alain pokręcił głową.

– Kiedy rozmawiałem z Konradem Köllerem, nie miałem zielonego pojęcia, że zamierzasz to zostawić. Nie jestem tu, żeby cię zastąpić, Ano, nie mam też zamiaru przekonywać cię, żebyś tego nie zostawiała. Ale jeśli mam w to wejść, to tylko z tobą. Jeśli nie, to sprawa się skończyła. Ty wrócisz do Madrytu, a ja do swojego gabinetu na uniwersytecie.

To był brudny, przeklęty i niktzemny szantaż. Następną gierka Konrada, z tych, które tak

świetnie się sprawdzały w jego interesach i które raz na jakiś czas bez skrupułów wykorzystywał w życiu prywatnym. Nie bez powodu wykazał się tak wielkim zrozumieniem...

– Naprawdę, Alain, ja chcę tylko wrócić do domu i odzyskać swoje życie – przyznałam zrozpaczona. – Chcę raz na zawsze zapomnieć całą tę sprawę.

– Jeśli właśnie tego chcesz, ja na pewno nie będę ci tego zabraniał. Już ci mówiłem, że nie po to tu przyszedłem. Przyszedłem, żeby wyjaśnić ci coś, co powinienem był wyjaśnić wiele dni temu.

– Nie chcę o tym mówić. – I prawda była taka, że nie chciałam. Zdarzenie z mieszkania okazało się zawstydzające dla nas obojga, nie należało go dotykać. – Popełniłam błąd, przychodząc do twojego domu bez zapowiedzi. Masz prawo do swojej intymności i ja powinnam ją była uszanować, to wszystko.

Alain pochylił się do przodu i wsparł rękoma na kolanach. W ten sposób jego twarz znalazła się poza moim polem widzenia. Nie sądzę, żeby było mu łatwo mówić mi o tym, o czym mówił.

– Po kilku dniach od twojego wyjazdu do Niemiec zadzwoniła moja siostra...

Myślałam, że będzie się usprawiedliwiał, a to wyglądało raczej na opowiadanie – zaskoczył mnie.

– ...powiedziała, że właśnie umarł mój dziadek.

– Przykro mi... – To konwencjonalne zdanie zabrzmiało tak pusto, że lepiej było zachować milczenie. Wyszło mi jednak automatycznie, jak dziękowanie kelnerowi.

– Cóż, miał dziewięćdziesiąt lat. Kiedyś musiało się to wydarzyć... Nic zaskakującego, poza tym, że od miesięcy nie chciałem o nim słyszeć... Właśnie z powodu sprawy Bauerów.

Jego oświadczenie spadło na mnie jak cegła i samo wspomnienie sprawy Bauerów sprawiło, że poczułam się winna – nagle wracało do mnie coś, co wydawało się dalekie.

– Mój dziadek był nadzwyczajnym człowiekiem... Nie był szczególnie czuły, nie był też typem wesołka ani żartownisia. Był poważny i powściągliwy... Ale nauczył mnie łowić ryby i łapać koniki polne, szukać na niebie Wielkiej Niedźwiedzicy. Razem z nim po raz pierwszy poszedłem do Luwru i razem z nim wróciłem tam dziesiątki razy; i do Orsay, i Muzeum Rodina, i do Centrum Pompidou, i tu, do Petit Palais, też... Aż któregoś dnia powiedziałem mu, że chciałbym wiedzieć o sztuce wszystko, co on wie. Chciałem zrozumieć obrazy, jak on je rozumiał, i czuć je, jak on je czuł. Dziadek wtedy kupił mi w prezencie *O sztuce* Gombricha<sup>[2]</sup>... Na swój sposób prowadził mnie i wspierał w karierze przez całe moje życie. Wydaje mi się, że robił wszystko najlepiej jak potrafił i mógł przy dwójce małych dzieci...

Czułam, że sprawa przybierze dramatyczny obrót. Nie dlatego, że Alain będzie dramatyzował, ale dlatego, że robił się coraz bardziej nerwowo: spięta postawa, niespokojne ręce, palce przygotowane, żeby wzajemnie się w siebie wpijać.

– Kiedy zmarli moi rodzice, on zajął się mną i moją siostrą.

– Nie... nie wiedziałam o tym... – Wiem, że jękałam się, bo nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów.

– Nie było powodu, żebyś o tym wiedziała. Nie mam zwyczaju opowiadać smutnej historii o sieroctwie, żeby wzbudzać współczucie – stwierdził ironicznie. – Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałem niewiele ponad dwa lata. Może to brzmieć strasznie, ale niczego nie pamiętam, nie zostało mi po nich żadne wspomnienie. Moją rodziną zawsze byli siostra i dziadek, i nasze życie było absolutnie normalne.

– Nie brzmi okropnie, brzmi rozsądnie.

– Kiedy do mnie przyszedłeś, właśnie wróciłem z Prowansji, bo tam żył mój dziadek. Tego samego dnia rano go pochowaliśmy. Kiedy wszedłem do domu, czułem się bardzo smutny, pusty,



ale przede wszystkim byłem na siebie zły, byłem okropnie wkurzony, bo mój dziadek odszedł, a ja nie widziałem go od miesiący, od miesiący z nim nie rozmawiałem. Wszystko z powodu jakiejś głupiej kłótni o jakieś głupie obrazy. Wszystko przez jego pieprzoną dumę i moją pieprzoną dumę. Przez to całe gówno nie zdażyłem mu podziękować ani powiedzieć mu, że na swój sposób ja też go kochałem... Zacząłem pić. Jedno piwo, potem drugie, tyle ile trzeba, żeby się kompletnie zalać, doprowadzić do uśmierającego i leczniczego stanu kompletnego upojenia. I wtedy pojawiłaś się ty...

Oblałam się potem na samo wspomnienie tej tragicznej chwili. Żeby trochę rozładować sytuację, wysiliłam się na żarcik:

– I po pijaństwie.

– Niezupełnie. Powiedzmy, że co się odwlecze, to nie uciecze. Kiedy sobie poszłaś, wyżyłem się na pokoju, aż do wyczerpania. Potem postanowiłem dobić się winem. Pamiętam tylko, że obudziłem się następnego dnia, leżąc pośrodku pokoju. Szczęśliwie nie miałem w domu zbyt wielkich zapasów. Mimo to i tak nie mogłem się ruszyć z łóżka przez cały dzień. Nigdy w życiu nie miałem podobnego kaca.

– Niezłe szaleństwo, Alain – podsumowałam z pouczającym kręceniem głową.

On wzruszył ramionami.

– Głupota też jest ludzka.

– Tak... Wiem o tym.

W chwilowej ciszy usłyszałam pierwsze akordy i pierwsze zdania *Love is the End* Keane. Nie jest to bardzo znana piosenka, choć należy do moich ulubionych. Pomyślałam, że to Konrad poprosił zespół, żeby zagrał ją w szczególny sposób.

*Nothing can touch us and nothing can harm us*

*No, nothing goes wrong anymore*

Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęłam ją nucić.

– Proszę, widzę, że muzycy posłuchali mojej prośby. Zwykle tego nie robią. – Alain wydawał się mile zaskoczony. Chociaż nie tak bardzo jak ja.

– Lubisz tę piosenkę?

Alain uśmiechnął się tajemniczo.

– Wiem, że tobie się podoba. Śpiewałaś ją tamtego dnia w archiwum...

Ucieszyłam się, że chronią mnie cienie nocy; zrobiłam się czerwona jak burak.

– Przykro mi, Ano. Nigdy nie byłem tak niemiły wobec nikogo, zapewniam cię. Bardzo, ale to bardzo się wstydzę. Mam nadzieję, że nie weźmiesz do siebie niczego, co powiedziałem albo zrobiłem.

*I took off my clothes and I ran to the ocean*

*Looking for somewhere to start anew*

*And when I was drowning in that holy water*

*All I could think of was you*

Przy tej pieszczącej moje zmysły muzyce potrafiłabym wybaczyć nawet najstraszniejsze zniewagi. Przy tej pieszczącej zmysły muzyce mój żal zelżał, a moje słowa stały się łagodne i słodkie.

– Nie biorę ich do siebie, nie byłoby to słuszne. Ja też zrobiłam źle, przychodząc do ciebie bez zapowiedzi... Wszystko to było szczytem nonsensu i lepiej będzie, jeśli puścimy to w niepamięć.

– Kilka razy dziennie brałem telefon, szukałem twojego imienia ma liście, a kiedy pojawiała się na ekranie, nie miałem śmiałości zadzwonić. Nie zrozum mnie źle, ale od dwóch tygodni bez przerwy o tobie myślę.

Trochę żal, bo to zdanie, wyciągnięte z kontekstu, było najpiękniejszym, jakie ktokolwiek kiedykolwiek do mnie powiedział. Oczywiście Alain natychmiast poustawiał rzeczy na swoich miejscach, a zdania w ich kontekstach.

– Chcę powiedzieć, że myślę tylko o twoim nazistowskim majorze i o Bauerach. Nie mogę przestać zadawać sobie pytania, co ich łączyło...

– Dlaczego przestałeś się zajmować kolekcją Bauera?

– Bo dziadek mnie o to poprosił.

Ten powód, równie prosty jak nielogiczny, wprowadził mnie w osłupienie.

– Któregoś dnia, gdy sobie rozmawialiśmy o różnych sprawach, powiedziałem mu, że przypadkiem natrafiłem na pewną kolekcję. On słuchał mnie z tą samą obojętnością jak zwykle, dopóki nie wymówiłem nazwiska Bauer. Wtedy zmieniła mu się mina. Zrobił się poważny jak nigdy i po prostu mi powiedział: Zostaw to, zapomnij o tej kolekcji.

– Ale... dlaczego?

– O to samo go zapytałem: Ale dlaczego? Nie chciał mi odpowiedzieć. Zaczął mi opowiadać, że o tę kolekcję nikt się nie upomniał, że nie mam prawa się nią zajmować, że to nie moja sprawa... Ale to było absurdalne! Kierując się takim myśleniem, nie zajmowalibyśmy się wieloma kolekcjami. My nie jesteśmy właścicielami, więc konkretnie żadna sprawa nie jest nasza, ale to nie ta kwestia. Kwestia jest taka, że w swoim czasie zostały bezprawnie przejęte, a naszym obowiązkiem jest je odnaleźć i zwrócić właścicielom albo ich spadkobiercom. Kiedy chciałem z nim polemizować w taki sposób, całkowicie stracił panowanie nad sobą i zachowywał się jak szalenciec. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu zrobił albo powiedział coś, co wzbudziłoby w nim taką reakcję. Zaczął krzyczeć, przeklinać, złorzeczyć... Nie dało się z nim dyskutować, więc trzasnąłem drzwiami i wyjechałem.

– Ale w końcu przystałeś na to, o co prosił, i zostawiłeś tę sprawę.

– W pierwszej chwili nie. Nie rozumiałem jego argumentów, bo nie miały żadnego sensu, były żalotne, więc po powrocie do Paryża dalej prowadziłem śledztwo. Namierzyłem dwie flamandzkie deski we Frankfurcie, w Muzeum Städel, a nawet jednego Marcoussisa w MoMA. Nie wiem, zupełnie zawróciła mi w głowie ta kolekcja, musiałem dowiedzieć się o niej więcej. Wtedy, któregoś dnia, zadzwoniła do mnie siostra. Mieszka w Prowansji razem z dziadkiem. Powiedziała mi, że stary ma obsesję na punkcie Bauerów, że w kółko powtarza, że muszę zostawić tę sprawę. Przekonywała, że jest na skraju szaleństwa albo wpadnięcia w depresję. Błagała mnie, żebym zostawił tę kolekcję, jeśli nie dla dziadka, to dla niej...

– I tak zrobiłeś. Zostawiłeś ją.

Alain ponuro skinął głową.

– Zostawiłem. Ale byłem tak wściekły na wszystkich, na dziadka, na siostrę, na samego siebie, że wypowiedziałem im zimną wojnę. Przestałem do nich jeździć, nawet dzwonić. Nie chwyciłem za pieprzony telefon, żeby powiedzieć staremu, że wygrał, ale że należy mi się wyjaśnienie. Nie zrobiłem nic... Najgorsze w tym wszystkim jest to, że którejś nocy zadzwonił do mnie, zobaczyłem jego imię na ekranie i pozwoliłem, żeby telefon dzwonił i dzwonił w kółko. Później nie było już żadnych telefonów. Teraz... cóż, teraz nie ma już powrotu.

Szmer wody i liście palm wstrząsane bryzą, chłodna jesienna noc i zmysłowe *Love Is the End* płynące przez okna galerii... Chwila mogła być doskonała. Niemniej pośród dźwięków piosenki, podmuchów bryzy słyszałam mroczny głosik, który usilnie wątpił w motywy Alaina; nie rozumiałam osobistego zaangażowania, które zdawał się wkładać w moje śledztwo.

– Nie musisz tego robić, Alain... Nie wiem, co ci powiedział Konrad – wiem jednak, że potrafi być bardzo przekonujący – ale nie jesteś do niczego zobowiązany, ani wobec niego, ani wobec mnie. To badanie nie ma żadnego sensu, to jakiś jego kaprys, do którego nie ma jak się

zabrać i nigdy nie powinno się było tego zaczynać.

– Wiesz co, Ano? Nie mógłbym odmówić swojego udziału, ale nie ma to nic wspólnego z Konradem Köllrem. Stoję w obliczu... jednej z najpiękniejszych rzeczy, na jakie wpadłem w całym swoim życiu.

Alain zawiesił głos. Może oczekiwał jakiejś reakcji z mojej strony, ale ja jeszcze nie wiedziałam, co powiedzieć. Wykorzystał sytuację, że siedzę w milczeniu, żeby spojrzeć mi w twarz, jakby poszukiwał jakiegoś sposobu, żeby mnie zrozumieć, nawet zakatalogować mnie.

– Może masz rację, może to jego kaprys albo bezsens... – powiedział w końcu. – Ale zobacz, dokąd dotarłaś sama, więc wyobraź sobie, co moglibyśmy osiągnąć razem... Chociaż już ci powiedziałem: jeśli w to wejdę, to tylko z tobą. To jedyna rzecz, co do której dotychczas nie mam wątpliwości.

„To prawda, że istnieją wyznania miłości, które nie są aż takie piękne”, pomyślałam sobie po oświadczeniu Alaina.

\*

[2] E.H. Gombrich, *O sztuce*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2007.

## SYPIAĆ Z WROGIEM

Lepiej, żeby się do ciebie nie zbliżał...” Przypominam ci, że to były twoje słowa – odświeżyłam mu pamięć, kiedy już znaleźliśmy się sami w naszym pokoju. – A jednak to ty w końcu popchnąłeś go w moją stronę. Gdzie się podziały twoje wątpliwości i niepokoje? Dlaczego nagle doktor Arnoux zasługuje na twoje zaufanie?

Konrad pachniał alkoholem. Chociaż nie był pijany, wypił odrobinę za dużo; robił się czuły i wyraźnie było widać, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat.

– Dalej nie zasługuje na moje zaufanie... – zapewnił, szepcząc mi w szyję, jednocześnie odpinając mi zamek sukienki. Jego ręce przesunęły się pod jedwabiem w poszukiwaniu mojego pępka, a mną wstrząsnął dreszcz. – Kazałem mu podpisać dokument: zgadza się działać jako osoba prywatna, zostawiając na boku fundację, i zrzeka się wszelkich praw do *Astrologa*. – Te tak formalne słowa wydawały się dziwnym dodatkiem do jego pieszczot.

Wsparałam głowę na jego piersi, starając się zapanować nad dreszczami rozkoszy, które wzbudzały we mnie jego palce bawiące się moimi sutkami, i odzyskać mowę.

– Wiesz, że to porozumienie nie ma mocy prawnej... i on też wie... – jęknęłam.

– Ale to deklaracja intencji – szepnął Konrad. – Musimy go obserwować z bardzo bliska...

Ugryzł mnie w ucho. Zamknęłam oczy...

– Czyli... jednak będę musiała sypiać z wrogiem...

– Nie, *meine Süße*, ty sypiasz tylko ze mną...

\*

## LUTY 1943

SOE, Special Operations Executive, czyli Kierownictwo Operacji Specjalnych, było tajną agencją wojskową stworzoną na polecenie Winstona Churchilla w lipcu 1940 roku w celu prowadzenia działań wywiadowczych, partyzanckich i sabotażu na tyłach wroga. Agentów SOE regularnie zrzucono na spadochronach nad terytorium francuskim; byli to operatorzy radiowi, instruktorzy i oficerowie łącznikowi, współpracujący z francuskim ruchem oporu przy tworzeniu linii komunikacyjnych, szkoleniu partyzantów i sabotażystów i tworzeniu dróg ewakuacji dla alianckich pilotów zestrzelonych nad terenem wroga. Ponadto SOE zrzucało zasobniki z uzbrojeniem, żywnością, a czasem z pieniędzmi na finansowanie sprawy. Do Francji SOE wysłało około 470 agentów, z których 200 poległo, oraz dostarczyło broń dla pół miliona Francuzów.

Po ataku na gestapo Trocki nawiązał współpracę z innymi grupami zbrojnymi ruchu oporu, bardziej zasobnymi i lepiej zorganizowanymi niż Alzacka Grupa Zbrojna. Zgrupowaniami, które w wielu przypadkach pracowały pod bezpośrednim zwierzchnictwem generała de Gaulle'a i poprzez SOE ściśle współpracowały z brytyjskim rządem.

Na początku lutego Alzacka Grupa Zbrojna została wybrana do przechwycenia zaopatrzenia wysłanego z Wielkiej Brytanii i przetransportowania go do Paryża. Konkretnie chodziło o przesyłkę broni i amunicji, która zostanie zrzucona w okolicach Valençay, o jakieś dwieście kilometrów na południe od stolicy. Kiedy Sarah się o tym dowiedziała, postarała się znaleźć odpowiednią okazję, żeby porozmawiać z dowódcą.

Trocki zwykle bywał w garażu w niedziele z rana, bo to był jego dzień wolny od pracy na stacji; przeglądał podziemną prasę, redagował własne obwieszczenia, wymyślał nowe akcje... Był umysłem niespokojnym, należał do takich ludzi, którzy gdy nic nie robią, to wymyślają, co by tu zrobić, którzy żyją dla sprawy i z jej powodu. Tamtej niedzieli, kiedy Sarah weszła do garażu, zastała Trockiego z Dynamem. Obaj starali się naprawić dostarczone przez Anglików radio, które podczas zrzutu poważnie ucierpiało. Trocki zdobył je dzięki swoim nowym kontaktom w ruchu oporu i chociaż inni je wyrzucili, on był zdeterminowany, żeby je naprawić, przekonany, że jeśli chce, by grupa stawała się coraz silniejsza, musi mieć radio.

- Mogę z tobą porozmawiać, towarzyszu? – zagadnęła Sarah. – Na osobności.
- Teraz? – Trocki zdziwił się pośpiechem.
- Tak.
- W porządku.

Dynamo wyszedł, żeby zapalić papierosa. Sarah podziękowała mu uśmiechem, kiedy ją mijał.

- O co chodzi?
- Chcę pojechać po zrzut do Valençay.

Trocki spojrzął na nią zaintrygowany ponad zapalonym właśnie papierosem. Dał sobie czas na zgaszenie zapalki i zaciągnięcie się.

– Miałem zamiar wysłać kogoś z chłopaków. To w zasadzie nie jest wycieczka za miasto.

Nie spodziewała się, że Trocki od razu ustąpi. Zaledwie miesiąc temu Sarah tylko kręciła się po jego garażu, a teraz prosiła o wyznaczenie do realizacji ważnej misji.

– Wiem o tym. Ale jestem gotowa to zrobić. Udawałam już personel pomocniczy SS, przebranie się za francuską chłopkę będzie łatwiejsze... z lugerem pod spódnicą. Chłopaki nauczyli mnie, jak się nim posługiwać.

Trocki dalej był zamyślony. Nie wątpił, że jest w stanie to zrobić, może nawet bardziej by się do tego nadawała niż te dzieciaki, które miał za partyzantów; niektórzy sikali w majtki, kiedy obok pojawiał się Niemiec. Jednak Trocki był zaintrygowany.

– Pozwolisz, że zapytam, towarzyszeko, skąd takie zainteresowanie? Misja jest niebezpieczna, Niemcy mają dane o zrzutach i kontrolują drogi, ścieżki i leśne łąki. Poza tym wszędzie mają konfidentów, każdy prostak zbierający kartofle może donieść na ciebie do gestapo, jeśli będzie coś podejrzewał.

– Jestem świadoma niebezpieczeństwa... – Od tamtej chwili zachowanie Sarah zmieniło się z twardego na błagalne. Nigdy nie przypuszczała, że będzie w stanie otworzyć się przed Trockim, najmniej sympatycznym człowiekiem na świecie, ale nagle odczuła taką potrzebę. – Muszę coś zrobić, towarzyszu. Ta beczynność mnie zabija. Nie mogę siedzieć dzień za dniem w księgarni albo pensjonacie, w pensjonacie albo księgarni, i odżywać jedynie w weekendy przy drukowaniu ulotek...

Sarah przyniosła sobie krzesło i opadła na nie.

– Wczoraj widziałam, jak zabrali jakąś kobietę i jej syna, na środku ulicy, w biały dzień. Tylko dlatego, że nie przyszyła dziecku do ubrania gwiazdy Dawida... Przypięła ją agrafką. Dziecku najwyżej ośmioletniemu... Muszę się stąd ruszyć, towarzyszu. Muszę wyjechać z tego przeklętego miasta, choćby na kilka dni – zakończyła przygnębiona.

Nie chciała, żeby przełożony widział ją w takim stanie. Wiedziała, że od niego nie może się spodziewać żadnego pocieszenia, bo w każdym przypadku chłodny rewolucjonista odczyta jej zniechęcenie jako słabość. Sarah jednak nie była jeszcze dość silna, żeby uniknąć załamania w określonych sytuacjach.

I rzeczywiście ust Trockiego nie opuściło żadne słowo pocieszenia. Trocki wcale nie myślał o przygnębieniu dziewczyny, a już najmniej o pocieszaniu jej; co najwyżej myślał o tym, że ta kobieta mogła go jeszcze zaskoczyć i o tym, jak podniecające jest wyobrażenie sobie lugera pod jej spódnicą, ale pod warunkiem, że ten luger w końcu będzie wycelowany w tył głowy jakiegoś Niemca.

Trocki przydeptał niedopałek.

– Zgoda, towarzyszeko Esmeraldo. Misja jest twoja. – Zanim Sarah zdążyła mu podziękować, Trocki mówił dalej: – Ale zabierz ze sobą Gauloises'a... Pod twoją spódnicą nie zmieści się cała broń zrzucona przez Anglików.

\* \* \*

Fabrice i Pauline Renard. Sarah wolałaby, żeby Jacob i ona udawali rodzeństwo, ale w ogóle nie byli do siebie podobni. Gutenberg nalegał, żeby dla bezpieczeństwa udawali, że są małżeństwem, takie też przygotował im fałszywe dokumenty.

Podróż pociągiem do Valençay przebiegła spokojnie i bez nadzwyczajnych zdarzeń. Szczęśliwie przeszli kilka rutynowych kontroli. Zwyczajowo policja przeglądała dokumenty na stacjach i w wagonach ludziom, którzy nie wysiadali. Oni jednak już o tym wiedzieli i byli na to przygotowani. Spokojne i naturalne zachowanie było kluczem do niewzbudzenia podejrzeń.

Sarah zaskoczyło to, że najbardziej nieprzyjemne podczas podróży były dla niej nie kontrole policji czy Niemców, ale przebywanie z Jacobem. Oczywiście nigdy nie był zbyt gadatliwy, teraz jednak okazał się mężczyzną niemal kompletnie niemym. Ograniczał się do okazjonalnych szorstkich monosylab, bardziej wychrząkiwanych niż wypowiedzianych. Jacob nie tracił okazji, żeby wyraźnie okazać swoje niezadowolenie.

Odkąd Trocki wydał polecenie, żeby Jacob jej towarzyszył, Sarah obawiała się właśnie czegoś podobnego. Szybko zdała sobie sprawę, że Trocki wykorzystuje ją w walce o władzę ze

swoim zastępcą.

– Zapytałam Trockiego, czy mogę z tobą pojechać odebrać zrzut w Valençay... – Sarah starała się zachować jak najbardziej dyplomatycznie, przewidując, że Jacob nie zaakceptuje tego, że Trocki właśnie jej zlecił dowodzenie, za jego plecami. Nic to jednak nie dało.

Szef w każdej chwili wyraźnie potwierdzał, że to Sarah dowodzi w tej operacji, a Jacob jej podlega, bo on zdecydował, że tak ma być. Wszystkie szczegóły omawiał z dziewczyną: rozkład godzin, kontakty, podróż, plany... A ona miała przekazywać to wszystko Jacobowi, który przyjmował jej słowa z wyraźną niechęcią. Jacob był o krok od rzucenia w diabły misji, Trockiego i Alzackiej Grupy Zbrojnej. Nie zrobił tego jednak... Gdy tylko przychodziło mu do głowy, że Sarah mogłoby się coś przytrafić, bo ją zostawił, połykał całą swoją dumę i całą złość. Wyzywał siebie od głupców i marionetek, jednocześnie mówiąc sobie, że przenigdy nie mógłby jej opuścić; on musiał ją chronić.

Te szlachetne uczucia nie przeszkodziły mu wszakże w tym, by całą gorycz, którą łykał przez ostatnich kilka dni, wyrzucić z siebie podczas podróży, paradoksalnie traktując źle osobę, która była przedmiotem jego troski.

Marcel Berry liczył sobie sześćdziesiąt lat, był wdowcem, jego jedyny syn zginął na froncie przed zawieszeniem broni, i kierował tawerną w Saint-Denis, malutkiej wiosce na obrzeżach Valençay. A także pracował dla ruchu oporu. Służył jako łącznik i przewodnik po okolicy zarówno dla członków SOE zrzuconych ze spadochronem w regionie centralnym, jak i dla innych członków ruchu oporu, którzy przyjeżdżali odebrać zrzuty. Marcel Berry był kontaktem Sarah.

Jacob i ona weszli do tawerny, jakby byli parą zwykłych podróżnych. Usiedli i poprosili o dwie szklanki wina. Gospodarz był mężczyzną postawnym, który poruszał się za kontuarem z zaskakującą szybkością jak na swoje wielkie ciało. Zanim nalał wina, udał, że brudną szmatą wyciera sobie ręce.

– Przepraszam, monsieur, jaka jest najlepsza droga do Saint-Benoît?

To zwykle zdanie było hasłem dla Marcela. Kiedy wypili wino i wyszli z tawerny, Marcel zamknął ją i spotkał się z Sarah i Jacobem w szopie na tyłach budynku.

Przyjaciele czekali na niego ukryci za rogiem. Zobaczyli, że przychodzi z chłopakiem niespełna osiemnastoletnim, ale wyglądającym na potężnego osiłka. Miał pseudonim Samson. Na Marcela mówiono Grand-Père. I Sarah pomyślała, że rzeczywiście Marcel ma miły wygląd dziadka, z okrągłym brzuchem, gęstymi, całkowicie siwymi włosami i głosem opowiadacza bajek, którym zdawał się raczej snuć jakąś fantastyczną historię, a nie omawiać szczegóły operacji.

Kiedy jednak Marcel ujrzał Sarah, jego reakcja nie była wcale poetycka: „Kobieta! Ci wariaci z Paryża przysłali kobietę! Co oni sobie wyobrażają, że to wycieczka za miasto?”

W szopie Marcel przechowywał niewielkie walizkowe radio do kontaktowania się z Londynem. Za jego pomocą zamawiał zrzuty na prośbę komórek organizacyjnych i określał detale operacji. Każda operacja miała zaszyfrowaną nazwę i „dzień D”, w którym ją realizowano. Dzisiejszej nocy czekała ich operacja *Snow White*, Królowna Śnieżka. Określano też D/Z, czyli strefę zrzutu, wybierając spośród wcześniej ustalonych. Dla operacji Królowna Śnieżka wybrano pola Cher, przestronny odsłonięty teren, bez drzew i innych przeszkód, w pobliżu rzeki o tej samej nazwie.

Marcel miał w szopie również dwa odbiorniki. Jedno, *biscuit tin radio*, nazywane tak, bo mieściło się w puszcze herbatników. Używano go do słuchania wiadomości BBC; po pojawieniu się jakiegoś zwykłego zdania, na przykład *le sucrier est entre les deux tasses*, cukierniczka jest pomiędzy dwoma filiżankami, ruszała z miejsca cała operacja, w uprzednio umówionych dniu,

godzinie i miejscu.

Drugi odbiornik miał zabrać Marcel ukryty w niewielkiej siatce w kolorze khaki. Wykorzysta go do odsłuchania wiadomości nadanej przez samolot przed dokonaniem zrzutu, gdy zbliży się do strefy D/Z. Dzięki temu tak zwany komitet powitalny, czekający na niego członkowie ruchu oporu, będzie mógł zapalić latarki oznaczające strefę. Latarki powinny zostać uformowane w literę L: trzy czerwone światła w linii kierunku wiatru i jedno białe światło o jakieś dwadzieścia metrów na prawo od pierwszego czerwonego. Białą latarką nadawano alfabetem Morse'a literę służącą brytyjskim pilotom do zidentyfikowania komórki w różnych strefach. Ponieważ Marcel był jedynym, który znał literę przypisaną do tej operacji, to on miał trzymać białą latarkę. W przypadku pola Cher tej nocy oczekiwano sześć zasobników i jednej torby, dlatego wokół pola rozlokowało się sześć grup ruchu oporu, żeby każda odebrała jeden zasobnik.

Mimo tych wszystkich przygotowań i środków ostrożności Marcel przestrzegł ich przed ryzykiem, jakie niosła ze sobą cała akcja. Brał już udział w różnych operacjach takich jak ta i kilka z nich zakończyło się fiaskiem. Czasem obecność patroli gestapo w okolicy uniemożliwiała zapalanie światła i samolot odlatywał, nie dokonawszy zrzutu. Przy innych okazjach na niepowodzenie akcji wpływała zła pogoda. Marcel widział też, jak rozbija się niejeden z tych samolotów; latały na bardzo małej wysokości, aby uniknąć chaotycznego rozrzucenia ładunku, więc czasem zahaczały o jakiś słup albo rozbijały się o zbocze wzgórza. Niektóre z nich zostały zestrzelone przez niemiecką obronę przeciwlotniczą. Marcel na szczęście nie był tego świadkiem, ale słyszał o pewnej operacji, podczas której gestapo zmusiło wszystkich członków komitetu powitalnego, żeby zapalili światła. Kiedy samolot wykonał zrzut, zastrzelili wszystkich strzałami w tył głowy i przejęli ładunek.

Marcel opowiadał to wszystko ze wzrokiem sztywno utkwionym w Sarah. Matko boska, była taka młodziutka! Śliczna dziewczynka, o słodkich i eleganckich manierach, która nie powinna się mieszać w taką kabałę. Zdecydowanie nie czuł się dobrze, zabierając dziewczynę na taką wycieczkę. Do diabła! To bardzo niebezpieczne! Normalnie trzeba było czekać na przylot samolotu w zaroślach otaczających D/Z, cierpiąc niepogodę. Niemcy, świadomi, że w tym rejonie działa ruch oporu, nieustannie patrolowali i obserwowali polany. Dostrzegłszy najmniejszy ruch, strzelali tak, żeby zabić. Czy to wrogi agent, czy transport zaopatrzenia, wszystko, co wyrzucały samoloty, stawało się dla nich zwierzyną łowną. Wyjście na otwarte pole na jednej z tych polan równało się stanięciu przed plutonem egzekucyjnym. Nie, nie, nie, to nie była robota dla kobiety.

– Hej, chłopaku, czemu nie powiesz swojej koleżance, żeby tu została, kiedy my zajmujemy się przesyłką? – zasugerował Jacobowi w pewnej chwili, kiedy Sarah nie mogła go usłyszeć. – Nie tylko jest to niebezpieczne, ale do tego noc zapowiada się zimna, mamy przymrozek. Nie wydaje mi się, żeby dziewczyna to wytrzymała.

Zasobniki ważyły około dwustu kilogramów i potrzeba było czterech osób do ich transportu. Marcel znowu zaczął przeklinać tych z Paryża. Musieli sobie poradzić i nieść ładunek we trzech, ale był gotowy to zrobić, byle tylko kobieta nie pałętała mu się pod nogami.

Jacob uniósł wzrok, żeby na niego spojrzeć. Przełożył papierosa z jednej strony ust na drugą i splunął na ziemię, po czym odpowiedział mu sucho:

– Moja koleżanka dowodzi tą operacją.

Marcel posiadał stary wóz ciągnięty przez muła, przygotowany do transportu zaopatrzenia. Czasem wykorzystywał też wóz doktora Lapierre'a, lekarza z miasteczka: przerobionego na gaz Citroena, będącego jedynym samochodem na chodzie w okolicy. Wolał zmieniać środki transportu, żeby nie zwracać uwagi Niemców. Pod podłogą wozu znajdowały się



skrytki, które dodatkowo jeszcze Marcel ukrywał, przywalając je słomą, kocami, skrzynkami wina, workami ziemniaków i koszami wypełnionymi śmierdzącym francuskim serem, im bardziej śmierdzącym, tym lepiej – Niemcy nie znosili zapachu dobrego francuskiego sera.

Jeszcze za dnia wyjechali z Saint-Denis, siedząc z tyłu wozu prowadzonego przez Marcela, z Samsonem u boku. Było dość ciepło, ale pola już pokrywała cienka warstwa śniegu, ze skorupą lodu po kilku mroźnych nocach. Sarah otuliła się kocem, przygnębiona myślą o tym, że będzie musiała leżeć w śniegu i czekać na przekłęty zrzut.

Nie potrafiła powiedzieć, jak daleko odjechali od Saint-Denis ani w którym zmierzali kierunku, bo po chwili zapadła w sen, ukołysana trzęsieniem na dziurawej drodze. Obudziła się, dopiero gdy poczuła, że się zatrzymali. Zapadł już zmrok i znajdowali się w środku gęstego lasu. Marcel postarał się ukryć samochód i grupa dalej poszła pieszo. Mimo kompletnych ciemności Gran-Père zdawał się iść po omacku ze zręcznością nietoperza, sprawiał wrażenie człowieka, który doskonale wie, gdzie jest i dokąd zmierza. Po półgodzinie męczącego marszu pośród kamieni i kłujących zarośli dotarli na skraj polany.

Była piękna noc i księżyc w pełni światłem malował postaci. Sarah pomyślała, że Cher z góry musi wyglądać jak srebrna wstążka. Uniosła wzrok i zadała sobie pytanie, jak to by było latać... Operacje zaopatrzenia były przeprowadzane jedynie w okresie pełni, kiedy piloci kierujący się starymi mapami drogowymi Michelina mogli liczyć na lepszą widoczność. Latanie prawdopodobnie byłoby przerażające, podsumowała swoje rozważania Sarah.

Marcel znalazł miejsce za jakimiś krzakami. Przyłożył dłonie do ust i zahuczał jak puchacz. Natychmiast podobne pohukiwanie doszło do nich z drugiej strony polany.

– Pozostali już tu są – potwierdził.

Sprawdziwszy, co było do sprawdzenia, rozłożył na ziemi brezent, który przyniósł ze sobą, żeby ich nie przemoczyło od siedzenia na śniegu. Potem otworzył sakwę i wyciągnął ser, kawałek chleba, butelkę wina i kilka jabłek.

– Łatwiej będzie poczekać z pełnym żołądkiem – oznajmił szeptem.

Sarah i Jacob łakomie patrzyli na ser. Od tak dawna nie jedli sera! W Paryżu nie było już prawie nic do jedzenia, tylko ludzie mieszkający na wsi, w pobliżu gospodarstw rolnych i mający dostęp do płodów rolnych, mogli pozwolić sobie na taki luksus.

– Kiedy przyleci samolot? – zapytał Jacob, pochłonawszy znakomitą część swojej porcji.

Marcel wzruszył ramionami.

– Wiemy, kiedy wylatuje, ale nie kiedy tu dotrze, jeśli w ogóle dotrze. W każdym razie wątpię, żeby tu był przed pierwszą albo drugą. Wszystko zależy od tego, jak sobie poradzą z resztą zrzutów.

Sarah rzuciła okiem na zegarek, dopiero co minęła północ. Była zmęczona i zdenerwowana, każdy szelest zdawał się zwiastować nadciągające niebezpieczeństwo. Ręce i nogi miała już przemarznięte, a znoszone ubranie niebawem podda się osaczającemu chładowi. Noc zapowiadała się na długą...

Reszta przyjmowała to z rezygnacją. Samson drzemał przy jakimś głazie. Marcel założył słuchawki odbiornika i czekał na znak z samolotu, od czasu do czasu pociągając z butelki. Jacob wyciągnął papierosa i spokojnie go przeżuwał. Grand-Père przestrzegł ich, że nie mogą palić, bo nawet ogień papierosa może zwrócić uwagę gestapo. Sarah wydawało się to przesadzone, ale pilnowała się, żeby nie przeciwstawić się Marcelowi. Także Jacobowi zakaz raczej nie przeszkadzał, był przyzwyczajony do przeżuwania papierosów.

Jacob nie odezwał się do niej ani słowem i prawdopodobnie nie zrobi tego aż do końca akcji. Sarah знаła go i wiedziała, że łatwo się denerwuje. Co więcej, starał się trzymać od niej z daleka, jakby się nie znali. Jacob już taki był.

W tej sytuacji Sarah skuliła się na brezencie, zagrzebała dłonie i twarz w ubraniu, aby jak najdłużej zachować własne ciepło, i starała się zdrzemnąć, żeby skrócić czekanie. Nie chciała myśleć o zimnie ani o patrolach gestapo, ani o rozbijających się na ziemi samolotach. Pocieszało ją tylko to, że nie jest sama. I gdyby udało jej się zasnąć, być może miałyby piękny sen...

– Są! Już tu są! Mam ich w odbiorniku!

Krzyki Marcela wybudziły Sarah z drzemki. Nie była pewna, czy śpi, pewna była tylko, że nie śni niczego ładnego. Obudziwszy się, stwierdziła, że ktoś przykrył ją kocem, ale i tak miała odrętwiałe ciało i trzęsła się z zimna. Niebawem usłyszała dochodzący z nieba ryk.

– To Halifax! – obwieścił Marcel, mówiąc o bombowcu RAF-u. – Wy siedźcie tutaj i czekajcie na mój znak. Zaczyna się przedstawienie!

Grand-Père znowu zahuczał i z zarośli natychmiast wyszło trzech mężczyzn. Zaraz i on wyszedł na polanę z latarką w dłoni. Sarah widziała ich, jak się ustawiają w świetle księżyca: trzech w rzędzie i Marcel o dwadzieścia metrów po prawej od pierwszego. Nagle zapaliły się światła i na ziemi powstało świetliste białoczerwone L. Białe światło mrugało, podając hasło alfabetem Morse'a.

Wycie silników stawało się coraz bliższe, aż znalazło się ponad nimi – oglądanie tej niemal ocierającej się o ziemię wielkiej masy, jak przelatuje nad głowami, z kadłubem lśniącym w świetle księżyca i silnikami wydającymi z siebie ogłuszający ryk, było niezwykłym przeżyciem. Sarah poczuła niewypowiedziane podniecenie wspaniałością tego, co działo się na jej oczach, i tego, jakie miało to znaczenie: ludzie lecący tym samolotem ryzykowali życie, aby zostawić za sobą wiadomość wolności i nadziei. Z całą mocą przyszło jej do głowy, że ten koszmar pewnego dnia się skończy, a wtedy wróci do rodziny i wszystko będzie jak kiedyś.

Gdy patrzyła na spadochrony otwierające się i unoszące w powietrzu niczym płatki na wietrze, łzy popłynęły po jej lodowatych policzkach i płacz przyniósł jej ulgę swoim ciepłem.

Stopniowo Halifax wznosił lot i znikał na horyzoncie, z tym samym niskim hymnem, z którym nadleciał.

– Chodźmy! To znak! – zauważył Samson, przywracając Sarah do rzeczywistości.

Cała trójka w te pędy wyszła na polanę i dołączyła do Marcela. Reszta komitetu powitalnego robiła swoje i w krótkim czasie D/Z zmieniło się w ludzki kocioł, w którym każdy starał się jak najszybciej wykonać swoje zadanie. Oczywiście chodziło o najbardziej niebezpieczną część misji, kiedy byli najbardziej odsłonięci po głośnym przelocie bombowca, więc gestapo najłatwiej mogło ich nakryć.

Nad terenem D/Z leciało sześć zasobników długości człowieka. Niestety torba, na którą czekali, została zrzucona za wcześnie i zahaczyła się o drzewa. Każda grupka koncentrowała się na jak najszybszym odebraniu swojego zasobnika.

Podczas gdy Marcel sprawdzał dokumenty zasobników, na których opisano ich zawartość, Jacob i Samson odcięli uprząż spadochronu; koniecznie trzeba się było go pozbyć, dlatego należało go zakopać za pomocą kilofa i saperki przyczepionych do zasobnika. Sarah zaobserwowała, że wszystkie grupy skrupulatnie przestrzegają bardzo dokładnej procedury. Działania na polanie Cher były pospieszne, ale precyzyjne niczym dobra choreografia. I cisza, cisza była do głębi przejmująca.

– No dobra, zabieramy was stąd. Esmeraldo, ty złap za ucho z tyłu, razem ze mną, Samson i Gauloises z przodu – rozkazał Marcel, odnosząc się do czworga uszu umieszczonych po bokach zasobnika, żeby ułatwić jego transport. – Raz, dwa, trzy. Do góry!

Sarah nie mogła wyjść ze zdumienia, jakie to było ciężkie. Uginały jej się kolana i ucho wyslizgiwało ze zgrabiących od zimna rąk; z wysiłku w końcu rozboleły ją palce, jakby miały się złamać. Z każdym krokiem było coraz gorzej, stopy zapadały jej się w lodowate błoto – te buty

z drewnianą podeszwą, bo we Francji brakowało już skórzanych, nie były odpowiednie na spacer po śniegu z dwustukilogramowym obciążeniem. Niemniej dziewczyna nie okazała najmniejszej oznaki zmęczenia, nie wypowiedziała ani słowa skargi – nie chciała dać satysfakcji tym krzepkim mężczyznom, którym ręce trzęsły się jak jej. Pokonywany biegiem dystans dzielący ich od ściany lasu był piekłem, ale Sarah powiedziała sobie stanowczo, że nic poza utratą przytomności jej nie powstrzyma.

W końcu zrzucili ładunek w leśnej gęstwinie. Dopiero kiedy zobaczyła, że pozostali dyszą i ocierają pot z czoła, Sarah pozwoliła sobie oprzeć się z rezygnacją o zasobnik, aby sprawdzić, czy jeszcze ma wszystkie palce.

– Jutro przyjedzie mademoiselle Perrault, nauczycielka, na wycieczkę z dziećmi na wieś. Oni postarają się zatrzeć ślady po zrzutach – wyjaśnił Marcel.

Zasobniki składały się z kilku połączonych ze sobą modułów z zamknięciami podobnymi do tych, jakie mają kufry. Każdy moduł był zaopatrzony w rzemienie, żeby można go było łatwo nosić na plecach jak plecak. Mimo to Marcel przyprowadził ze sobą wózek, żeby można je było łatwiej przetransportować do wozu. On i Sarah rozłączali moduły, podczas gdy chłopaki zakopywały spadochron.

Jeszcze trochę czasu zajęło im zanieśenie wszystkich modułów do wozu i odpowiednie ich ukrycie. Praca pomagała im się rozgrzać; była ciężka, a jednak z pewnością lepsza niż leżenie w śniegu w oczekiwaniu na samolot.

W końcu około trzeciej nad ranem ładunek był gotowy, więc mogli wyruszyć z nim z powrotem do Saint-Denis. Po ułożeniu się na tylnej części wozu Sarah zzuła przemoczone i oblepione gliną buty i wysuszyła stopy. Natychmiast poczuła ulgę i chociaż od dawna się nie modliła, wzniosła do nieba modlitwę dziękczynną: „*Mode ani lefanecha melech chai wekajam shehechezarta bi niszmati bechemla, raba emunatecha*. Dziękuję Ci, żyjący i wieczny Królu, że przywróciłeś mi moją duszę przez litość – wielka jest Twoja wierność...” Wszystko się udało.

Gdyby Marcel ją słyszał, powiedziałaby, żeby nie chwaliła dnia przed zachodem słońca. Sprawy mogą się skomplikować w najmniej spodziewanym momencie.

\* \* \*

Niemcy zamknęli drogę do Saint-Aignan, żeby przepuścić konwój pancerny. Posterunek kontroli znajdował się dokładnie na wyjściu z zakrętu, na skrzyżowaniu z drogą prowadzącą do Saint-Denis. Nigdy w życiu by tego nie przewidzieli. Kiedy zobaczyli go przed sobą, było już zbyt późno, żeby uciec bez wzbudzania podejrzeń.

Jeden niemiecki żołnierz stał na drodze i kolistym znakiem pokazywał im, żeby się zatrzymali. W powietrzu unosiła się lekka mgła, więc światła niemieckich wozów pancernych tworzyły widmową atmosferę bieli i czerni, spowitych dymem cieni.

Marcel delikatnie powściągnął cugle, żeby przyhamować muła. Nie oglądając się za siebie, wyszeptał:

– Wszyscy spokojnie. Ja będę mówił.

Marcel modlił się, żeby nie było to stanowisko gestapo, tylko żandarmerii.

– *Halt!* – rozkazał żołnierz, oświetlając ich latarką, gdy podchodził do samochodu. Z tyłu ubezpieczał go inny i mierzył do nich z karabinu.

Gdy wóz się zatrzymał, cisza zrobiła się niezręczna, jakby w jakiś sposób mogła ich zdradzić. Szum otaczającego ich lasu, stukot butów wojskowych na asfalcie, gwar rozmów po niemiecku, a nawet mgła zdająca się szeptać coś do ucha... Sarah miała ochotę krzyknąć, żeby uwolnić napięcie.

– Dlaczego jeździecie po godzinie policyjnej?

Marcel ściągnął beret i z szacunkiem pochylił głowę. Zaczął swoje wyjaśnienia w niezręcznym niemieckim, wplatając mnóstwo słów po francusku.

– Bardzo przepraszam, panie majorze. – Celowo podwyższył szarżę żołnierzowi, który na pierwszy rzut oka był zwykłym szeregowcem żandarmerii polowej. – Przy wyjeździe z Prunières pękło nam koło i zanim je naprawiliśmy, zaskoczyła nas noc.

– Dokumenty. Obu – dodał, oświetlając Samsona.

– Chłopak to mój siostrzeniec – wyjaśnił Marcel, podając dokumenty.

Żołnierz dokładnie się im przyjrzał.

– Siostrzeniec, co? – Marcel przytaknął. – Co macie tam z tyłu?

– Jedzenie, panie majorze. Do mojej tawerny w Saint-Denis. Byliśmy kupić jedzenie w okolicy.

Snop światła latarki wdarł się do tylnej części wozu. Obaj żołnierze zajrzeli do środka.

– A tych dwoje? To też pańscy siostrzeńcy? – nie bez pewnej ironii zapytał ten, który wydawał się ważniejszy.

– Nie, panie, to dwoje podróżnych, których wzięliśmy po drodze. Jadą w tę samą stronę, więc ofiarowaliśmy się ich podwieźć. Chyba dlatego pękło mi koło. W sumie to wielki ciężar dla takiego starego wozu. – Marcel nie przestawał gadać, starając się odwrócić uwagę żołnierzy od faktu, że zarówno Esmeralda, jak i Gauloises nie mają żadnego bagażu.

– Dokumenty!

Nie otwierając ust, Sarah i Jacob wyciągnęli dokumenty i wręczyli je żołnierzowi.

Rzuciwszy na nie okiem, uśmiechnął się. Latarką zaśwycił Sarah w oczy, a ta zamrugła oślepiona światłem. Potem oświetlił jej piersi i nogi, jakby snop światła był patykiem, którym mógł podnieść jej spódnicę.

– Te kutasy mają szczęście – odezwał się do swojego towarzysza. – Popatrz, jakie ładne są te jebane Francuzeczki.

– Sierżancie, a może ją aresztujemy i zerzniemy dzisiaj w koszarach, co?

Jacob się wzdrygnął. Sarah natychmiast zdała sobie sprawę, że chłopak jest gotowy skoczyć im do gardła. Złapała go za ramię i silnie ścisnęła, żeby przeszkodzić mu w samobójstwie.

– Nie bądź idiotą, Ernst. Porucznik wsadziłby nas do paki i do końca świata byś stamtąd nie wyszedł. Nie gadaj głupot i przeszukaj ten wóz. Ja zobaczę, co wiozą tam z tyłu te żabojady.

Sierżant obrzucił okiem jedzenie, po czym skupił się na Sarah.

– Śliczna jesteś, malutka. Pewnie dobrze się pieprzysz, co, Pauline? Prawda?

Kpił z niej, sądząc, że go nie rozumie. Dziewczyna weszła w jego grę. Modłać się, żeby Jacob nie popełnił żadnego szaleństwa, kiedy ona będzie uwodziła Niemców, uśmiechnęła się od ucha do ucha i mechanicznie skinęła głową.

– *Oui, oui, monsieur le commandant. Vous voulez un peu de fromage?*

Sarah podsunęła kawałek sera pod nos Niemca.

– Zabierz stąd ten śmierdzący ser, kurwa mać! Przeklęta Francuzka... – Gwałtownym ruchem sierżant odrzucił ser. – Do cholery, bierz się wreszcie do tego przeszukiwania, Ernst!

Marcel, bardzo zdenerwowany, patrzył, jak drugi żołnierz ogląda wóz od dołu. Starał się dobrze ukryć schowki, ale z dołu trochę wystawały. Granaty ręczne, pistolety, ładunki wybuchowe, zapalniki, karabiny... Jeśli Ernst zacznie coś podejrzewać, będą mieli przerąbane.

Nie uspokajało go też to, co działo się z tyłu, z Gauloises'em czerwonym z wściekłości, kiedy patrzył, jak sierżant zabiera się do obmacywania Esmeraldy. Marcelowi trzęsły się zaciśnięte na lejcach ręce. Przez chwilę pomyślał o ucieczce z tego miejsca. Byłoby to szaleństwo, nie dojechaliby nawet do skrzyżowania, zanim dopadłyby ich strzały.

– Wyjdź z wozu, Pauline. – Sierżant do słów dołożył gest, żeby mieć pewność, że dziewczyna zrozumiała. – Sierżant Stüber musi cię przeszukać – dodał. W świetle latarki jego lubieżny uśmiech wyglądał diabolicznie.

Natychmiast Sarah dotknęła uda, żeby poczuć lugera, którego miała pod spódnicą. Jeśli Niemcy mają ją złapać, najpierw zabije kilku z nich.

– Co się dzieje, sierżancie? Dlaczego ten wóz jeszcze tu stoi?

Ten mocny głos wyłonił się z ciemności dokładnie w chwili, kiedy sierżant miał zmusić Sarah do wyjścia z wozu, co skończyłoby się tragedią.

Sierżant stanął na baczność. Zrobił to bardziej odruchowo niż z szacunku; miał wrażenie, że przyłapano go na czymś zabronionym.

– Przeszukujemy go, Herr Leutnant. Miałem właśnie zacząć rewidować pasażerów i zatrzymać ich za jeżdżenie po godzinie policyjnej.

– No to nie trać czasu. Gdyby byli uzbrojeni, już by cię zastrzelili. To tylko jacyś wieśniacy. Niech zawrócą i wracają, skąd przyjechali. Nie mogą tu być.

– Tak, Herr Leutnant.

Ernst skończył przeszukiwanie, z całą wojskową skwapliwością, której do tej pory nie przejawiał, krzyknął bardziej do porucznika niż do Francuzów:

– Słyszeliście! Natychmiast odjeżdżać!

Marcel mógł w końcu potrząsnąć lejcami, a robiąc to, spostrzegł, że bolą go palce od tak mocnego ich ściskania. Ze stukotem kopyt i skrzypieniem zardzewiałych kół wóz zawrócił i zniknął w ciemności, z której się wyłonił.

\* \* \*

Musieli pojechać długim objazdem, żeby dotrzeć do Saint-Denis. Minęła już czwarta, kiedy Marcel wypręgał muła i wprowadzał wóz do szopy. Mieli zamiar rozładować go dopiero rano, kiedy skończy się godzina policyjna; zbyt głośna krzątania mogłaby wzbudzić podejrzenia sąsiadów.

Wszyscy mieli spędzić noc u Marcela, w mieszkaniu nad tawerną, o pobielonych ścianach i niemalowanych deskach na podłodze. Miał tylko dwa pokoje. Marcel przeznaczył jeden z nich dla tych z Paryża, wierząc, że świetnie sobie sami poradzą; nie wiedział, na czym polega ich związek, i guzik go to obchodziło: jeśli chłopak ma spać na kanapie, niech ona mu to powie.

Marcel rozpałił drewnem pod kuchnią i postawił na ogniu garnek.

– Uważam, że zasługujemy na porządne ciepłe jedzenie po tak długiej nocy.

Sarah podeszła do kuchni; czuła, że przemarzła do szpiku kości. Jacob wołał zacząć się rozgrzewać porządną szklanką wina.

Smakowity zapach ciepłego jedzenia, gotowanych jarzyn, zalał pomieszczenie, zapach zimowego poranka i rodzinnych spotkań. Krzątania w kuchni, szcęk sztućców i brzęk talerzy, stukot jabłek wrzucanych do koszyka, chlupot wina wlewanego do szklanek i rozmowy Samsona i Grand-Père... Wszystko to razem było jak ciepłe przytulenie domu, czegoś niemal już zapomnianego. Sarah otuliła się płaszczem, uśmiechnęła się i postanowiła pomóc nakrywać do stołu.

Siadając, uznała, że czegoś tak ładnego nie widziała już od bardzo dawna. Było dość jedzenia: *cassoulet* z fasoli i wieprzowiny, chrupiący pszenny chleb, ser, jabłka, miód, orzechy i masło!, dużo, dużo masła. Delikatne ciepłko tej kuchni, miękkie światło świec, a nawet wzmagający się apetyt w żołądku okazały się bardzo przyjemne. Sarah poczuła się szczęśliwa, mogąc przeżywać tę chwilę, ten sen pośród koszmarów.

Po kolacji, ponieważ nikt nie przejawiał ochoty na sen, Marcel nastawił na gramofonie

plytę Marie Dubas i wyciągnął papierosy oraz swój najlepszy czereśniowy bimber.

Sarah nigdy jeszcze nie piła bimbrow. Pierwszy łyk wydał jej się żrący, drugi płonący, a trzeci drapiący. Po wypiciu pierwszego kieliszka była w stanie posmakować czereśnię, a potem drugą i miała ochotę na trzecią.

Czuła się szczęśliwa. Lekko pijana, więc może dlatego szczęśliwa. Bo od bardzo dawna tak dobrze nie jadła i nie słuchała muzyki, bo śmiała się w głos z dowcipów Samsona i dlatego że Marcel, z fajką między zębami i dobrodusznym uśmiechem, jeszcze bardziej wyglądał na dziadka.

Po każdym kieliszku bimbrow Sarah czuła się coraz bardziej zadowolona. Zapomniała o wszystkim, tylko była szczęśliwa. I miała ochotę tańczyć.

– Zatańcz ze mną, Jacobie – poprosiła, ciągnąc za rękę upartego chłopaka.

– Nie umiem tańczyć.

– No to Samson ze mną zatańczy.

Chłopak zaraz wyskoczył, żeby zatańczyć *Le tango stupéfiant* z tą piękną dziewczyną. Spletli się w groteskowym i niezgrabnym tangu na kuchennej posadzce. Ale było zabawnie. Marcel sobie nucił, a ona śmiała się coraz głośniejsze i rzucała się do tyłu w mocnych ramionach Samsona.

Kiedy igła gramofonu przeskoczyła do następnego rowka i zaczęła rozbrzmiewać *Quand je danse avec lui*, Sarah zawisła na szyi partnera. Samson zdawał się podnosić ją z ziemi jak piórko, żeby nieść w lekkim rytmie piosenki. A ona wspierała głowę na jego piersi.

To było coś, czego Jacob już nie mógł znieść. Oburzony zgasił papierosa w popielniczkę – pierwszego, którego zapalił od miesiąca – i wypuszczając dym niczym rozwścieczony smok, podszedł do pary.

– Idź do łóżka, Sarah.

Ona spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. Zostawiła szyję Samsona i zawisła na szyi Jacoba.

– Zatańcz ze mną, Jacobie – powtórzyła. – Proszę...

Jacob poczuł, że wszystkie jego mięśnie tężeją w kontakcie ze skórą Sarah. Ona, delikatnie się kołysząc, jęła prowadzić go po pomieszczeniu. Nieśmiało objął ją w talii i wtedy Sarah opuściła głowę na jego pierś.

Nigdy wcześniej nie miał jej tak blisko. Tak bardzo, że nawet mógł poczuć jej szczupłe ciało i wydzielane przez nie ciepło; mógł nawet położyć brodę na jej głowie i jej włosy laskotały go w nos.

Zaledwie po dwóch refrenach piosenka się skończyła i Jacob zapragnął nie wypuszczać jej z objęć. Jakby spełniając to nieme pragnienie, ona pozostała w jego ramionach, wciąż tańcząc w rytm już wybrzmiałej muzyki.

Potem zagrało *Mon légionnaire*. Sarah nie tańczyła, po prostu poruszała się po podłodze, przytulona do niego. Marcel znowu zaczął nucić tonem niemal pogrzebowym tę melancholijną piosenkę. Słuchanie *Mon légionnaire* w tych mrocznych dniach było czymś uroczystym i emocjonującym, wywoływała gęśń skórkę.

Jacob usłyszał, że Sarah łka.

– Dlaczego płaczesz, Sarah?

– Nie wiem... Chyba jestem pijana.

Wtedy ujął jej twarz w dłonie i zmusił do spojrzenia na siebie. Miała czerwone i zalane łzami policzki. Kciukami zaczął je osuszać, a ona pozwalała na to bez szemrania.

– Chodź, odprowadzę cię do pokoju – szepnęła czule, trzymając ją pod ramiona, żeby pokierować jej niepewnymi krokami.

Na progu sypialni Sarah znowu objęła Jacoba. Ledwie trzymała się na nogach.  
– To ty mnie przykryłeś kocem, kiedy zasnęłam w lesie?  
On skinął głową.  
– Och, Jacob... Zawsze się o mnie martwisz. Już się na mnie nie gniewasz, prawda? Nie lubię, kiedy się na mnie gniewasz.  
– Nie, Sarah. Już się na ciebie nie gniewam.  
Sarah westchnęła zadowolona i wtuliła się w jego pierś. Jacob pogłaskał ją po głowie, jakby była małą dziewczynką.  
– Gdzie będziesz spać, Jacobie?  
– Na kanapie.  
Sarah podparła się, żeby ponownie spojrzeć mu w oczy.  
– Nie, Jacobie, jesteś dla mnie zbyt dobry, żeby spać na kanapie. Nie powinieneś spać na kanapie. Skoro już mi wybaczyłeś, dlaczego masz spać na kanapie?  
Jacob miał zamiar przemówić, ale nagle usta Sarah zamknęły jego usta.  
Stał jak sparaliżowany, był przekonany, że ten pocałunek będzie tylko przelotnym muśnięciem. Był przekonany, że Sarah nie jest panią swoich czynów.  
A jednak pocałunek się przeciągnął, stał się wilgotny i delikatny, ciepły. Jacob myślał, że wybuchnie z pożądania.  
– Nie idź na kanapę. Nie zostawiaj mnie samej, Jacobie – błagała, nie odsuwając się od chłopca; każde jej słowo pieściło jego usta.  
Nie chciał, żeby to wydarzyło się w taki sposób. Nie tak zwykle wyobrażał sobie miłość z Sarah. Kiedy jednak ona wsunęła mu ręce pod koszulę i pogładziła jego pierś, wiedział, że już nie ma odwrotu. Jacob wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

\* \* \*

Obudziło ją pianie koguta. Ten przeklęty ptak nie darłby się tak bardzo, gdyby wiedział, że dziewczynie pęka głowa.  
Noc była równie krótka jak straszna. Tak naprawdę, chociaż odnosiła wrażenie, że ma sklezione powieki, cieszyła się, że wstał dzień i słońce zakończyło te katusze w pościeli.  
Na Boga, nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w życiu tak bardzo bolała ją głowa. Miałaby ochotę zanurzyć ją w poduszce... gdyby na tej samej poduszce nie spał Jacob, bardzo głęboko.  
Choćby podejmując tytaniczny wysiłek, musiała opuścić tamto łóżko i tamten pokój, zanim on się zbudzi i sytuacja stanie się okrutnie niezręczna.  
Sarah wyrzała na korytarz domu pogrążonego w całkowitej ciszy; wszyscy jeszcze spali. Ostrożnie, idąc cichutko jak kotka po zimnej podłodze, odszukała łazienkę. Koniecznie musiała się umyć, zetrzeć z siebie te lepiące się do ud krwawe resztki; było to obrzydliwe. Mimo że woda w kranie była lodowata, jak zresztą wszystko dookoła, Sarah dokładnie się umyła.  
Ubrawszy się i narzuciwszy płaszcz, wyszła na dwór. Słońce lśniło niecodzienną jasnością, tak jej się wydało, kiedy blask uderzył ją w oczy. Miała gigantycznego kaca. Musiała się przejść, zażyć odrobinę świeżego powietrza.  
Ponieważ tawerna znajdowała się na skraju miasteczka, z dala od centrum, szczęśliwie nie było tam zbyt wielkiego ruchu. Najmniejszy zgiełk wydałby jej się nie do zniesienia.  
Włożyła chustkę na głowę i zawiązała ją pod brodą, po czym przeszła przez pustą drogę w kierunku pustego pola, na którym gdzieśgdzie siedziały gawrony, pracowicie dziobiąc zmarzniętą ziemię w poszukiwaniu jakiegoś pożywienia. Wszedłszy na ścieżkę, rozpoczęła spacer pod osłoną drzew.  
Cisza działała jak lek przeciwbólowy, także poranne powietrze, niosące ze sobą zapach

drewna i rosy. Jednak Sarah była za bardzo zmęczona i wystarczająco niespokojna, żeby nic nie mogło na długo ukoić jej zmysłów. Niebawem rozboleły ją nogi i sumienie zaczęło dręczyć jej myśli, brzęczeń jej w uszach jak muchy w lecie.

W końcu zdecydowała się usiąść na kamieniu, żeby zadość uczynić skargom zmęczonych nóg, i uznała, że nie sposób będzie przejść do porządku nad tym, co zdarzyło się w nocy.

Nie żałowała, ale nie była też zadowolona. Doświadczenie poprzedniej nocy nie było warte zachodu, zwłaszcza kiedy sobie pomyślała, że dobre Żydówki powinny zachować dziewictwo do ślubu. Ani jej się nie podobało, ani nie było miło.

Nie wiedziała wiele o seksie. Jasna sprawa, że ten temat nigdy nie pojawił się w jej domu. Wiedziała tylko tyle, ile po kryjomu wyczytała w kilku książkach z biblioteki rodziców, i w jakiś sposób ukuła sobie jego bardziej romantyczną wizję. O ile jednak oczekiwała chórów anielskich i sztucznych ogni, kompletnie się pomyliła. Nic dalszego od prawdy. Nie pamiętała szczegółów, ale było to bolesne doświadczenie. Kiedy pocałowała Jacoba po raz pierwszy, była bardzo podniecona, ale to wrażenie szybko ustąpiło miejsca apatii, niezręczności i w końcu bólowi. Jeśli taka była cena, którą płaciły kobiety za utratę dziewictwa, zdecydowanie Bóg nie trzymał ich strony.

Najgorsze jednak było to, że źle się czuła. Pomijając zasady moralne innych i przestrzegając własnych, nie chciała się kochać z niekochanym mężczyzną. Bo ona Jacoba nie kochała. Lubiła go, ale nie kochała. Tej nocy mogła to potwierdzić i być może z tego to powodu nie zobaczyła sztucznych ogni.

Sarah wolałaby nie wracać do tawerny. Niepokoiła ją myśl o ponownym ujrzeniu Jacoba, czuła się niemal zawstydzona. Jednak wcześniej czy później będzie musiała stawić temu czoło. Ponadto była głodna i potrzebowała mocnej kawy albo czegoś do niej podobnego.

Czarne samochody zaparkowane przed tawerną obudziły jej czujność. Zamiast przejść przez drogę, ukryła się w rowie za krzakami. Nie wiedziała dokładnie, co mogą oznaczać te stojące tam pojazdy, ale wolała zachować ostrożność; przecucie tragedii wskazywało jej, że nie zwiastują niczego dobrego. W tych czasach samochodami jeździli głównie Niemcy.

Starając się zachować optymizm, pomyślała, że może chodzić o klientów tawerny. Prawdopodobnie Niemców, rzecz jasna, którzy zatrzymali się na kawę. W każdym razie miała zamiar zaczekać w ukryciu na jakiś ruch.

Nie musiała czekać długo. Zaledwie po dziesięciu minutach drzwi tawerny otworzyły się, potwierdzając jej najczarniejsze przecucia.

Ze wstrzymanym oddechem i nerwami napiętymi jak postronki, naiwnie powtarzając sobie, że to nie może dziać się naprawdę, Sarah ze swego schronienia patrzyła, jak czterech mężczyzn po cywilnemu wyprowadza Jacoba, Samsona i Marcela i wpycha ich do tylnej części samochodów. Byli skuci i mieli na sobie tylko koszule i spodnie. I chociaż Sarah tego nie widziała, ich twarze nosiły oznaki brutalnego aresztowania.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, zawyły silniki, koła zaskrzypiały na żwirze... Kilka sekund hałasu, kurtyna kurzu i wszystko w Saint-Denis pozostało jak wcześniej: słońce, cisza i poranne powietrze przepełnione zapachem drewna i rosy. Saint-Denis i jego tawerna wyglądały jak nieruchoma fotografia, sceneria dramatu rozgrywającego się poza kadrem. Dramatu jednego widza.



## NIE CHCĘ UMRZEĆ W POKRYTYM KURZEM ARCHIWUM

Uważam, że *Astrologa* ma Sarah Bauer. – Przeszłam bezpośrednio do sedna sprawy, gdy tylko rozpoczęłam pierwsze robocze spotkanie z Alainem, nawet jeszcze przed włączeniem komputera i otwarciem teczki z dokumentami.

On zmarszczył czoło i odpowiedział z rezerwą:

– Opierasz się na czymś konkretnym, czy tylko na kobiecej intuicji? Nie chodzi o to, że mam coś przeciwko kobiecej intuicji – wyjaśnił pośpiesznie z tą samą powściągliwością – ale jako metoda naukowa jest... problematyczna.

– Po trochu na wszystkim – przyznałam. – Jest to wynik zmieszania w jednej próbówce Georga von Bergheima, Bauerów i *Astrologa*, dodania szczypty kobiecej intuicji i wstrząśnięcia.

– To raczej czary, a nie nauka, ale jako hipoteza wydaje mi się interesująca.

Uśmiechem podziękowałam za te słowa i przeszłam do bardziej szczegółowego wyjaśnienia.

– Przynajmniej ma to sens. Wiemy, że Georg von Bergheim poszukiwał *Astrologa*, wiemy, że wbrew zwyczajowej procedurze wywłaszczenia przeniósł się z Paryża do Strasburga, żeby skonfiskować kolekcję Bauera...

– Wiemy, że obrazu nie ma w kolekcji Bauera – przerwał mi.

– Niezupełnie. Wiemy, że nie widnieje na liście inwentaryzacyjnej, ale to nie oznacza, że nie było go w kolekcji.

– *Touché* – zgodził się z lekkim skinięciem głową.

– Jak wynika z twoich badań, Niemcy zatrzymali całą rodzinę Bauerów, poza Sarah Bauer... Dlaczego? Dlaczego nie ma śladu *Astrologa* ani Sarah Bauer? Dlaczego przypadkiem zaginęli oboje?

– Nie powiedziałem, że nie ma po niej śladu, powiedziałem tylko, że ja na niego nie natrafiłem...

– No to trzeba go znaleźć. Kobięca intuicja mówi mi, że ślad Sarah Bauer jest śladem *Astrologa*.

– Taaa, ale męski sceptycyzm podpowiada mi, że jest wiele innych hipotez. Pierwsza, inny motyw, a nie *Astrolog* zawiodły von Bergheima do kolekcji Bauera. Druga, to *Astrolog* przywiódł von Bergheima do kolekcji Bauera, ale Bergheim pomylił się co do poszukiwań w rzeczony kolekcji, bo nigdy go tam nie było. Trzecia, von Bergheim znalazł *Astrologa* w kolekcji Bauera, zabrał go do Himmlera i wypełnił swoją misję.

– Dlaczego zatem wrócił do Paryża?

– Przychodzą mi do głowy setki powodów...

Zignorowałam oświadczenie Alaina i dalej mówiłam swoje:

– Wrócił do Paryża za Sarah Bauer, bo myślał, że ona go ma.

– Dlaczego nie... Ale dlaczego tak? Nie mamy dowodów na nic.

– W takim razie trzeba ich będzie poszukać. Skoro trzeba odrzucać hipotezy, zacznę od znalezienia Sarah Bauer. Musimy tylko dowieść, że była w Paryżu w tym samym czasie co von Bergheim; musimy ich tylko połączyć, żeby wiedzieć, gdzie jest *Astrolog*.

Alain wzruszył ramionami.

– Dobrze... Będziesz musiała przejrzeć rejestry dwudziestu paryskich merostw w poszukiwaniu znaku, że Sarah Bauer tam była; jakiś meldunek, akt ślubu, zgonu... Będziesz musiała też prześledzić wszystkie bazy danych dotyczące zaginionych podczas Holokaustu; jest ich sporo. Archiwa Czerwonego Krzyża, bo oni jako pierwsi zajęli się obozami przejściowymi

i koncentracyjnymi po wyzwoleniu. I archiwum gestapo w Paryżu, a nawet Strasburgu, bo poprzez wykorzystanie lokalnej policji gestapo kontrolowało Żydów mieszkających w każdym mieście... Możesz dać ogłoszenie do gazety; być może odpowie ci ktoś spokrewniony z Sarah Bauer, a nawet ona sama, jeśli jeszcze żyje... Nie będzie łatwo ją znaleźć, ale przynajmniej łatwiej niż akta Delmedigo – zawyrokował Alain, a ze mnie powietrze zeszło jak z balonika.

– Czy mówisz to wszystko, żeby mnie zachęcić?

– Oczywiście. Powiedziałem ci tylko, że nie będzie łatwo. Gdybym uważał, że to niemożliwe, nie byłoby mnie tutaj i nie wyciągałbym z teczki tego cennego listu Hitlera, który znalazłaś.

Kiedy patrzyłam, jak czyta list, pomyślałam, że w sumie jest w nim dziwaczny optymizm. To musiało być dobre dla powodzenia poszukiwań.

Do Reichsführera SS i szefa Policji, Heinricha Himmlera

Drogi Towarzyszu,

Mając na względzie raport z 15 października 1941 roku, wyrażam zgodę na przydzielenie oficera SS nr 634.976 do Operacji Szmaragd.

W związku z powyższym wydałem już odpowiednie rozkazy centralnemu biuru Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg w Berlinie, aby w jak najkrótszym czasie udostępniono mu akta Delmedigo.

*Führerhauptquartiere*

*17 października 1941*

DER FÜHRER

ADOLF HITLER

– A więc akta Delmedigo znajdowały się w ERR w Berlinie... To nie jest dobra wiadomość...

Ta uwaga Alaina w zasadzie nie była optymistyczna.

– Tak... Chociaż Hitler z pewnością też miał kopię. Przypuszczam, że Himmler i von Bergheim też... Nie? – zauważyłam z pewną nieśmiałością.

– Bez wątpienia, ale śledzenie losów dokumentów, które znajdowały się w prywatnych rękach, jest znacznie trudniejsze niż tych należących do wielkich instytucji. Problem w tym, że część dokumentów ERR z Berlina spaliła się podczas bombardowania w 1943 roku...

– I mówisz, że to nie jest niemożliwe? – przerwałam mu zniechęcona.

– Spaliła się tylko część, nie wszystko – odparł znowu optymistyczny do granic. – Dokumenty, które przetrwały, zostały przewiezione do Raciborza w Polsce. Kiedy Niemcy doszli do wniosku, że postępy Armii Czerwonej są nie do zatrzymania, znowu zaczęli je przenosić w różne miejsca w Niemczech, przede wszystkim do Berlina i Bawarii. Upraszczając, możemy powiedzieć, że istnieją dwa bloki archiwów ERR: te, które znajdowały się na Wschodzie, kiedy zakończyła się wojna, i te, które znajdowały się na Zachodzie, i to określa ich dzisiejszą lokalizację. Chociaż prawda jest taka, że archiwa ERR są rozrzucone pomiędzy dwadzieścia dziewięć instytucji dziewięciu różnych krajów...

– Powiedz, że dalej mnie zachęcasz...

W odpowiedzi Alain kpiąco się uśmiechnął.

– Wróćmy do naszych archiwów ERR w Berlinie, bo to one nas interesują. – Z typowym dla swojego powołania zacięciem dydaktycznym Alain wziął kartkę i ołówek i zaczął kreślić dla

mnie jakiś schemat. – Kiedy w 1945 roku Rosjanie przejęli dokumenty ERR, których Niemcy nie zdążyli wywieźć, uznali je za łup wojenny i zdecydowali przerzucić je do Moskwy, jednak z niewiadomych przyczyn większość z nich pozostała na Ukrainie, w Kijowie, gdzie się znajdują do dziś, bo chociaż po rozpadzie Związku Radzieckiego Ukraina uzyskała niepodległość, Rosjanie nigdy nie zażądali ich zwrotu.

– Co stało się z dokumentami wywiezionymi przez Niemców?

– Po zakończeniu wojny przejęli je Amerykanie – nie wszystkie, ale znakomitą ich część – i przenieśli je do Waszyngtonu, do NARA – sprecyzował, odnosząc się do National Archives and Records Administration, czyli Państwowego Archiwum Stanów Zjednoczonych.

Widziałam już siebie rozdartą pomiędzy Kijowem a Waszyngtonem, kiedy Alain dodał:

– W 1960 roku rząd amerykański oddał te dokumenty prawnemu właścicielowi, którym podówczas była Republika Federalna Niemiec. Zatem w NARA zostały tylko kopie na mikrofilmach, oryginały znajdują się w Bundesarchiv w Lichterfelde w Berlinie.

W dalszym ciągu widziałam się rozdartą, chociaż Berlin i Kijów znajdowały się bliżej siebie.

– A zatem: przyjmując, że akta Delmedigo ocalały z pożaru w 1943 roku, zakładając, że wbrew prawu Murphy’ego nie znajdują się w Holandii, Wielkiej Brytanii, Belgii, Rosji ani w żadnym innym kraju posiadającym część archiwum ERR, zakładając, że nie wpadły w żadną czarną dziurę czasu i przestrzeni, najprawdopodobniej znajdują się w Berlinie albo w Kijowie.

W miarę dywagacji Alaina na temat miejsca przechowywania naszych dokumentów coraz bardziej zatapiałam się w swoim krześle i w tej chwili byłam ucieleśnieniem pesymizmu i totalnej klęski.

– Nie chcę umrzeć sama w zabałaganionym, pokrytym kurzem archiwum... – jęknęłam.

Alain znowu wyszczerzył zęby w sarkastycznym uśmiechu, takim samym, jaki prezentował przez całe popołudnie.

– Nie umrzesz sama, ja umrę z tobą...

Alain i te jego wyciągnięte z kontekstu zdania... Piękna deklaracja, która za bardzo mnie nie pocieszyła. Spojrzałam na niego tak, że sprawa chyba okazała się dla niego jasna.

– Spoko, kobieto: jeszcze nie powiedziałem ci, jakie są dobre wiadomości.

– A są jakieś?

– Oczywiście. Mam przyjaciół – wyszeptał bardzo teatralnym, tajemniczym tonem. –

W Berlinie i w Moskwie, dwóch wielkich archiwistów, znających archiwa ERR jak własną kieszeń. Jeśli akta Delmedigo istnieją, jeśli znajdują się w Bundesarchiv albo w CDAWOWU, czyli państwowym archiwum Ukrainy, jeśli w swoim czasie władze wyciągnęły je ze skrzyni i zadały sobie trud utajnienia ich, a później zdecydowały się je odtajnić, żeby wszyscy je mogli poznać, moi koledzy je odnajdą – zakończył tryumfalnie.

Ja nie byłam tak entuzjastyczna, ograniczyłam się do powtarzania:

– Tak... tak... tak... Zbyt wiele warunkowych...

\* \* \*

Alain i ja pracowaliśmy razem popołudniami. Z rana on dalej prowadził wykłady na uniwersytecie, a ja poświęcałam się poszukiwaniom Sarah Bauer. Ponieważ sama nie byłam w stanie ogarnąć tego wszystkiego, zatrudniłam genealoga, aby odnalazł potencjalnych krewnych Sarah Bauer i żeby przeprowadzał badania w merostwach w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów jej pobytu w Paryżu. Tymczasem robiłam, co tylko możliwe, aby ją odnaleźć pośród dokumentów pozostawionych przez Niemców po okupacji.

Znakomita ich część – te, które nie zostały przez Niemców zniszczone przed ucieczką

z Paryża, przede wszystkim te odnoszące się do obywateli pochodzenia żydowskiego – znajduje się w archiwach Muzeum Pamięci Shoah, w Centrum Współczesnej Dokumentacji Żydowskiej, gdzie rzecz jasna Alain miał przyjaciółkę, młodą archivistkę o imieniu Edith, o drobnej budowie i mysiej buźce. Dziadkowie Edith zostali aresztowani podczas tak zwanej obławy Vel' d'Hiv, której nazwa pochodzi od Welodromu Zimowego, i zginęli w niemieckich obozach koncentracyjnych. Jej matka, która w owym czasie miała zaledwie dwa lata, zdołała uniknąć wywózki, bo przygarnęli ją jacyś sąsiedzi i wmówili wszystkim dookoła, że to bratanica. Teraz Edith uważa, że ma obowiązek pomagać rodzinom żydowskim, które tak jak ona utraciły kogoś podczas nazistowskiej okupacji.

Edith opowiedziała mi, że zgodnie z rozkazem wydanym przez Militärbefehlshaber Francji we wrześniu 1940 roku, wszyscy Żydzi mieszkający w Paryżu byli zobowiązani stawić się w swoich podprefekturach, żeby się zarejestrować. Ich nazwiska i adresy zostały spisane w centralnym archiwum policji francuskiej, znanym pod nazwą Archiwum Tularda, które z kolei zostało przekazane gestapo, aby można było zacząć wywózkę. W rzeczonym archiwum jest zarejestrowanych niemal sto pięćdziesiąt tysięcy Żydów.

– Chociaż nie wszyscy mieszkający w Paryżu Żydzi się zarejestrowali – wyjaśniła mi Edith – to może być dobry punkt wyjścia do poszukiwań Sarah Bauer.

Jeśli Sarah przebywała w Paryżu, to była jedną z tych osób, które się nie zarejestrowały. Zdałyśmy sobie z tego sprawę po bezskutecznym przeszukaniu blisko stu pięćdziesięciu tysięcy nazwisk.

– Przejrzyjmy listy zatrzymanych przez gestapo i paryską prefekturę – zaproponowała wtedy Edith z coraz mniejszą nadzieją. – To bardzo rzadkie, żeby Żyd z Paryża w taki czy inny sposób nie znalazł się w ich rejestrach. Chyba że się ukrywał...

Po wielu dniach przeszukiwania setek list zaczęłam myśleć, że Sarah Bauer zeszła do podziemia... Co więcej, że ta kobieta nigdy nie zawitała w stolicy. Zaczęłam nabierać pewności, że głupotą jest tracić tyle czasu na poszukiwanie osoby, której związek z *Astrologiem* wydawał się bardzo daleki. A w końcu nawet odrzuciłam hipotezę, że Sarah Bauer uciekła z obrazem. I wtedy...

– Znaleźliśmy ją! – krzyknęłam do Alaina przez telefon, z policyjną fiszką Sarah Bauer w ręku.

\*

## POSENGEIST

Była sobota i Konrad przyjechał do Paryża. Zjedliśmy kolację w domu jego przyjaciół na rue de Berri; oficjalna kolacja z ambasadorem Niemiec. Po zakończeniu bolała mnie szczęka od wymuszonych uśmiechów, a głowę miałam ciężką od wlewanego w siebie na siłę szampana. Dlatego pokochałam Konrada odrobinę bardziej, kiedy zaproponował, żebyśmy wrócili do domu spacerkiem.

Pola Elizejskie wyglądały wspaniale jak zawsze, zalane światłami i pełne grupkę turystów i paryżan, którzy korzystając z sobotniej nocy, krążyli pomiędzy restauracjami i modnymi lokalami: luksusowe samochody, długonogie kobiety w szpilkach, mężczyźni ubrani zgodnie z etykietą, zapach świeżo podlanych ogrodów i aromaty przyjęć.

Oczarowana spacerowałam z Konradem pod rękę, praktycznie na nim uwieszona, i wreszcie mogłam z nim porozmawiać o naszych sprawach. Spacer był długi, a noc przepiękna, ciepła, z delikatnym wietrzykiem, który pomógł mi dojść do siebie.

– To nieprawdopodobne... Powinieneś być zobaczyć listy i liczby – mówiłam do niego ożywiona o niektórych swoich odkryciach. – Nie miałam pojęcia, ale podczas niemieckiej okupacji wywieziono sześćdziesiąt sześć tysięcy francuskich Żydów. I to za zgodą, a nawet przy współudziale lokalnych władz. Rozumiemy nazizm jako coś przede wszystkim niemieckiego...

– A nie jest tak? – przerwał mi.

– Pochodził z Niemiec, ale tam, gdzie był wprowadzany, znajdował naśladowców i sympatyków: Francja, Holandia, Belgia, Norwegia, Czechosłowacja, Węgry... Naziści byli w stanie rządzić przez cztery lata w połowie Europy. A było to możliwe, bo znaleźli więcej kolaborantów niż oporu. Wiesz, że podczas pierwszych miesięcy okupacji większość donosów do gestapo składali obywatele francuscy przeciw obywatelom francuskim?

– Zatem narodowy socjalizm jest z natury ludzki – podsumował Konrad nie bez ironii.

– Jest perwersyjnie ludzki, obawiam się.

W tej chwili zatrzymał się i otoczył mnie ramionami, poszukując moich oczu.

– Powiedz mi, że zaczyna cię entuzjasmować to poszukiwanie, *meine Süße*.

– Zaczyna mnie intrygować... – przyznałam z uśmiechem.

Konrad wyciągnął ramię, więc pozwoliłam mu się objąć. I kiedy było mi najbardziej miło, zadzwoniła komórka ukryta gdzieś pomiędzy naszymi ciałami.

– To twój?

– Na to wygląda... – wymamrotałam, wyjmując telefon z torebki. – Kto, u diabła, dzwoni do mnie w sobotę o tej porze? Nieznany numer? – burknęłam, gotowa odrzucić rozmowę.

– Odbierz, żeby wiedzieć, kto to...

– Może chcą mi sprzedać Internet... Tak?

Cisza po drugiej stronie telefonu. Jedynie lekkie brzęczenie linii.

– Słucham? – nalegałam pod czujnym spojrzeniem Konrada.

Cisza i brzęczenie.

– Wyłącz... Pewnie pomyłka.

Miałam to zrobić, gdy jakiś chrapliwy, głęboki głos przerwał ciszę jednym słowem, które ledwie zrozumiałam. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Słowo zostało powtórzone.

– Słucham. Kim pan jest? – udało mi się powiedzieć.

Połączenie zostało przerwane.

Sparaliżowało mnie, poczułam, że owionął mi ciało ponadczasowy chłód.

– Co się dzieje? Kto to?

– Nie wiem...  
– Ale co ci powiedział? Jesteś blada!  
– Nie chodzi o to, co mi powiedział, tylko jak. To był głos... To był okropny głos,  
Konrad. Jeśli umarli mówią, jestem przekonana, że właśnie takim głosem...

Mocno mnie przytulił.  
– Dobrze, uspokój się. Co ci powiedział?  
– Nie... nie jestem pewna. To było jedno słowo, to samo za każdym razem. Za pierwszym razem zrozumiałam coś jakby *poltergeist*. Ale za drugim razem brzmiało jakby *posengaist*...

Wydało mi się, że ciało Konrada sztywnieje.  
– PosenGeist – powtórzył w doskonałej niemczyźnie.  
Odsunęłam się nieco od niego, żeby spojrzeć mu w twarz. Miałam wrażenie, że jego oblicze stało się nazbyt poważne, choć może to tylko silne światło latarni świeciło mu w twarz.

– Tak, dokładnie to... Skąd wiesz?  
– Tylko sobie wyobraziłem...  
– Czy wiesz, co to jest PosenGeist?  
– Nie – zdecydowanie zaprzeczył.  
Chciałam mu odpowiedzieć, że sprawia wrażenie człowieka, który doskonale to wie, kiedy telefon ponownie zadrżał w moim ręku. Westchnęłam i niemal w tej samej chwili Konrad wyrwał mi go i odebrał.

– Słuchaj, skurwysynu, czy kim tam, kurwa, jesteś... – Gwałtownie przerwał. – Kurwa! Rozłączył się!

– Co się dzieje? Co to jest? – zażądałam wyjaśnień, jakby on wiedział, o co chodzi. Byłam zbyt wystraszona, żeby jasno myśleć, ten złowrogi głos jeszcze rozbrzmiewał mi w uszach.

– Nie wiem. Ale to telefoniczne nękanie jest już nie do zniesienia!  
Od dawna nie widziałam go tak oburzonego, tym oburzeniem, od którego tężał każdy mięsień jego twarzy i oczy zmieniały się w miotające pioruny szparki. To wzbudziło moje podejrzenia.

– Doskonale wiesz, o co chodzi, Konradzie. Wiesz, co znaczy ta wiadomość. Dlatego jesteś taki zdenerwowany – ośmieliłam się powiedzieć.

– Nie gadaj głupstw, Ano! Wiem tyle samo, co i ty, tylko że czuję się za ciebie odpowiedzialny i nie pozwolę, żeby nęcano cię w taki sposób. PosenGeist nic mi nie mówi. *Geist* to duch po niemiecku, ale PosenGeist nie ma żadnego sensu... Ja pierdolę! Dlaczego nagle mnie podejrzewasz?

– Nie podejrzewam...  
– Właśnie że tak. Dlaczego nie przyjrzesz się lepiej swojemu doktorowi Arnoux? Mówiłem ci przecież, że musimy go obserwować. Upieram się przy tym, że tylko on ma twój numer telefonu, więc poczekał, aż zrobisz krok naprzód w badaniu, żeby wrócić do swojej bezsensownej gry.

Wydało mi się, że trochę przesadza. Mogłam się zgodzić, że motywy skłaniające Alaina do uczestniczenia w poszukiwaniach mogły być podejrzone, ale żeby miał zamiar mnie nękać...

– Sam to powiedziałeś: bezsensownej. Po co niby miałby mnie straszyć... Poza tym, jeśli wydaje ci się taki niebezpieczny, to dlaczego przeciągnęłaś go na naszą stronę? Przecież to nie ja poprosiłam go, żeby z nami współpracował...

– Ja też nie.  
To lakoniczne oświadczenie zupełnie mnie zaskoczyło.

– Że co?

– Ja do niego nie dzwoniłem.

– Ale on mi powiedział, że ty... Albo tak to rozumiałam.

– To on się ze mną skontaktował, żeby zaproponować współpracę. Tak bardzo chciał, że bez słowa zgodził się wszystko podpisać. Pewnie sprzedałby mi swoją matkę, gdybym o to poprosił.

– Nie ma matki na sprzedaż... – wymamrotałam z zagubionym spojrzeniem, starając się przetrwać tę wiadomość.

– Co?

– Nic...

Może Alain nie powiedział mi wyraźnie, że Konrad do niego zadzwonił, a tylko ja to tak zinterpretowałam. A może... W tej chwili już nie byłam niczego pewna.

Nagle poczułam się wyczerpana. Pola Elizejskie stały się dla mnie wrogie i zatłoczone; światła, cały blichtr i delikatny wietrzyk zbladł niczym kolory starej fotografii, a powietrzu unosiło się jedynie słowo-duch: PosenGeist.

Przysiadłam na pobliskiej ławce. Konrad poszedł w moje ślady.

– Zadzwonimy po taksówkę – powiedział.

Nie oponowałam.

\*

## LUTY 1943

W 1942 roku po zamordowaniu Reinharda Heydricha, szefa RSHA, przez czeskich i słowackich cichociemnych, szef gestapo, Heinrich Müller, wydał pozwolenie na poddawanie „terrorystów ostrym przesłuchaniom”, zatwierdzając takie metody, jak pozbawianie snu i jedzenia, ćwiczenia fizyczne do wycieńczenia, nieustające bicie oraz osadzanie w izolowanych celach. Takie przesłuchania można było stosować jedynie w celu uzyskania informacji od tych, którzy mieli „wrogie zamiary wobec Państwa”, ale nie w celu uzyskania oświadczenia o winie. Naprawdę jednak tortury gestapo wychodziły znacznie dalej poza te metody i ograniczenia, rozkaz Müllera jest wszakże jedynym oficjalnym pisemnym dowodem znalezionym przez aliantów po zakończeniu wojny.

Ostatnie czterdzieści osiem godzin było zatrważające. Wyścig z czasem i szaleństwem. Długa i mroczna podróż do Paryża, żeby znaleźć Jacoba.

Sarah opuściła rów o zmroku. Ledwie mogła się poruszać z przerażenia i odrętwienia. Kiedy weszła do domu Marcela, całkowicie straciła animusz; wszystko było porzucane. Ubrania Jacoba walały się po ziemi w sypialni, zabrali go w tym, co miał na sobie. Sarah przyklękała, żeby je pozbierać i pieczołowicie schować w walizce. Była bardzo przygnębiona, znowu czuła się wewnętrznie okaleczona; za każdym razem, kiedy kogoś zabierano, zabierano część niej. Ostatnią rzeczą, którą złożyła, jakby składała świętą tkaninę, była marynarka Jacoba. Z czułością popatrzyła na wyświechtane łokcie i z czułością włożyła ją do środka, zamknęła paski i z walizką w ręku wróciła na parter. Zanim wyszła z samego rana na spacer, zebrała swoje rzeczy i schowała je we wnęce pod schodami. Nie zrobiła tego w jakimś konkretnym celu, tylko po to, żeby zaoszczędzić czas, bo niebawem mieli ruszać w drogę. I chyba właśnie to uchroniło ją przed poszukiwaniami, może nie zauważyli, że ona też tam była.

Ale na pewno znaleźli broń. Szopa została wywrócona do góry nogami; nie było śladu po radiu ani po planach Marcela. Schowki w wozie zostały otwarte i opróżnione i zastrzelono muła, który leżał w kałuży krwi na słomie w swojej stajni. To że gestapo znalazło broń, było fatalne dla Jacoba i pozostałych – to był dowód potrzebny do oskarżenia ich o terroryzm i skazania na śmierć. Musiała natychmiast wracać do Paryża i skontaktować się z resztą swojej grupy.

Jeszcze przed upływem godziny policyjnej zabrała walizki swoją i Jacoba i udała się pieszo przed siebie. Nie przejmowała się bezsensownością swojego działania, musiała dotrzeć do stacji w Valençay, żeby złapać pierwszy poranny pociąg; jeśliby musiała zastrzelić kogoś, kto stanąłby jej na drodze, zrobiłaby to bez wahania.

A jednak szczęście jej sprzyjało. Około południa dotarła do Paryża ze swymi dwiema walizkami oraz ze wszystkimi kulami w magazynku lugera.

– Kurwa jego mać! Gauloises wszystko wyśpiewa!

W swoim pokoiku w garażu Trocki przyjął wiadomość wybuchem złości. Sarah była zbyt zmęczona, żeby przejmować się jego krzykami, machaniem rękoma i złorzeczeniami. Nie wstając z krzesła, spokojnie mu odpowiedziała:

– Nie robi tego. On nie jest zdrajcą.

– To nie zdrada, mała, to jaja. Trzeba mieć wielkie jaja, żeby nie wyśpiewać gestapo na przesłuchaniu nawet tego, czego nie wiesz. A twój koleżka ich nie ma. Założyli nam pętlę na szyję, rozumiesz?

Nie czekając na odpowiedź Sarah, Trocki wyjrzał przez drzwi pokoiku i zaczął się drzeć jak opętany:

– Słuchajcie! Zbierajcie stąd wszystko! Za dwadzieścia minut ma tu być czysto! Trzeba



spieprzać! – Ponieważ wszyscy patrzyli na niego zaskoczeni, w kompletnym bezruchu, rozsierdzony powtórzył rozkaz: – Ruszajcie się, kurwa!

Kiedy utwierdził się w przekonaniu, że pozostali zabrali się do pakowania, zrobił sam, co należało, z górą papierów i swoimi szpargałami.

– Na twoim miejscu, lala, starałbym się chronić własny tyłek. Możliwe, że twoje imię wypłynie jako pierwsze w jego miłej konwersacji z pierdolonymi szkopami. Już cię może szukają.

Sarah powoli wstała, wzięła walizki i wyszła z pokoju w kierunku drzwi garażu. Nie mogła jednak wyjść bez wysłuchania pełnych niepokoju pytań pozostałych:

– Co się stało? Dlaczego musimy się stąd wynieść?

Nie zatrzymując się, Sarah odpowiedziała zniechęcona; nie chciała mówić, nie chciała składać wyjaśnień.

– Gestapo zwinęło Gauloises'a.

Krzyk biegł po garażu niczym ścieżka prochu. Jednak Sarah tylko patrzyła na drzwi, tylko szła w tamtym kierunku, tylko chciała wyjść.

Gutenberg i Dynamo poszli porozmawiać z Trockim. Marion chwyciła ją za rękę, żeby ją zatrzymać.

– Wszystko w porządku, kochana?

Sarah wzruszyła ramionami.

– Dokąd idziesz? Nie chodź nigdzie sama. Poczekaj minutkę, pójde z tobą.

Sarah spojrzała na przyjaciółkę, jakby nie do końca rozumiała, co do niej mówi.

– Nie, Marion. Idę się spotkać z Jacobem.

Sarah miała zamiar iść dalej, ale Marion ją zatrzymała.

– Zwariowałaś? Ciebie też zamkną! Na Boga, Sarah, zastanów się!

– Muszę iść, Marion. Muszę zanieść mu ubrania, nie ma co na siebie włożyć.

– Ale, malutka, czy ci się wydaje, że tam jest hotel? Co ty gadasz? Sama pchasz się w paszczę lwa!

– Nie mogę go porzucić, Marion. On by tego nie zrobił, gdybym ja była na jego miejscu. On nigdy mnie nie opuścił.

Marion westchnęła i uznała się za pokonaną.

– Nie ma znaczenia, co ci powiem, prawda? Zdecydowałaś się to zrobić, nawet gdyby to było szaleństwo.

Sarah skinęła. Wyciągnęła z kieszeni notes i zapisała adres.

– Słuchaj, Marion. Jeśli nie wrócę za tydzień, zaniesiesz obraz hrabinie? Powiedz jej, że jest ode mnie.

Marion wzięła kartkę do rąk.

– Ten okropny plan Paryża?

Sarah nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Tak.

Marion wydało się, że jej przyjaciółka postradała zmysły. Jednak nie mogła nic zrobić. Po prostu mocno ją przytuliła, czując, że głos więźnie jej w gardle.

– Bądź ostrożna, dobrze?

W odpowiedzi Sarah wyciągnęła lugera spod spódnicy i położyła go na rękę Marion.

Kazali jej czekać w poczekalni. Surowej sali z flagą Trzeciej Rzeszy, kilkoma krzesłami i stołem, za którym sekretarka nieustannie stuknęła w klawiaturę maszyny do pisania i od czasu do czasu patrzyła na nią znad okularów.

Kiedy przedstawiła dokumenty w bramie, strażnik zadzwonił po kolegę.

– Mówi, że przyszła zobaczyć Fabrice’a Renarda. Najwyraźniej to jego żona.

Drugi strażnik wszedł do gabinetu i wyszedł po kilku minutach.

– Niech wejdzie.

Zrewidowali ją i przeszukali walizkę, brutalnie rozgrzebując ubrania Jacoba, które z taką pieczołowitością poskładała. Następnie kazali jej poczekać i odprowadzili ją do poczekalni.

Sarah była zdenerwowana. A im dłużej czekała, tym bardziej się denerwowała. Pozornie wszystko szło dobrze. Nie rozumiała, dlaczego nie może się uspokoić. Być może to ciągle stukanie maszyny do pisania doprowadzało ją do szału, a może ta przeklęta flaga.

– Pauline Renard!

Strażnik zawołał jej nazwisko od drzwi. Sarah wstała jak na sprężynach. Obiema rękami złapała źle zamkniętą walizkę.

– Proszę za mną!

Przeszła przez niekończące się korytarze, przygnębiające i emanujące coraz większą samotnością, w miarę jak zagłębiała się we wnętrzości budynku przy rue des Saussaies. Zeszła po schodach, które zdawały się prowadzić do samego piekła, i przeszła przez coraz grubsze, pełne zamków drzwi. Kiedy zaczęła odnosić wrażenie, że znalazła się w labiryncie prowadzącym donikąd, wprowadzono ją do pokoju. Był to mały pokoik bez okien, praktycznie pusty; goła żarówka wisiała nad krzesłem przykręconym do podłogi, a w rogu stał stolik z telefonem. W sumie wyglądał jak cela. Sarah ogarnęło przerażenie.

– Co się dzieje? Gdzie jesteśmy? Gdzie jest mój mąż? Chcę zobaczyć męża!

– Zamknij się i siadaj!

Strażnik popchnął ją, trzymając za plecy, aż posadził ją na krzesło, po czym stanął za nią.

W tej samej chwili wszedł inny mężczyzna, który wykręcił numer telefonu.

– Wszystko gotowe – oznajmił do słuchawki. Odłożył ją i stanął przy drzwiach.

W tej chwili Sarah umarła już ze strachu. Serce jej łomotało i zaczęła się pocić, chociaż w pomieszczeniu było bardzo zimno. „Sama pchasz się w paszczę lwa”. Słowa Marion nieustannie kołatały się jej po głowie.

Nagle otworzyły się drzwi celi. Przyszpilona przerażeniem do krzesła i niezbyt dobrze widząc w słabym świetle, Sarah ujrzała, jak dwóch mężczyzn wepchnęło do środka poskręcane ciało i zawiesiło je za kajdanki na haku w ścianie. Dopiero kiedy ten człowiek uniósł głowę, zdołała go rozpoznać. Chciała krzyknąć jego imię, ale szczęśliwie zdusiła je w sobie.

– Matko boska! Co oni ci zrobili?

Chciała się rzucić do niego, żeby wziąć go w ramiona. Strażnicy jej to uniemożliwili.

– Dlaczego kobieta nie ma kajdanek? – zapytał inny mężczyzna, ubrany w mundur SS, który wszedł w tej samej chwili. – Natychmiast ją skuć!

– Tak jest, komisarzu.

Jacob rzucił się do przodu, lecz zdołał wydać z siebie tylko chrząknięcie podobne do cichego „nie”.

Sarah niemal nie stawiała oporu, kiedy przykuwali ją do krzesła; praktycznie nie słyszała kliknięcia zatrząsków ani nie poczuła chłodu stali wokół nadgarstków. Nie mogła przestać patrzeć na Jacoba, na jego spuchniętą twarz, zniekształconą i zalaną krwią, na jego poranione i posiniaczone ciało. Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach.

– Powiedz coś do mnie... Mów, proszę... – łkając, błagała go o jakiś znak życia.

– Nie powinnaś być tutaj... – Jacob zdołał wydać z siebie cienki, rwany głos. – Musisz stąd wyjść...

– Dobra, dobra. – Głos niemieckiego funkcjonariusza, brzmiały boleśnie żwawo w porównaniu ze słowami Jacoba, odbił się echem od nagich ścian. – Pani Renard, oto pani mąż.

Albo... może nie – powiedział, jednocześnie nachylając się, żeby spojrzeć Sarah w oczy; jego spojrzenie było mroczne i przeszywające, obliczone na wzbudzenie przestachu.

Ponieważ dziewczyna milczała, wytrzymując jego spojrzenie, w końcu uśmiechną się diabolicznie i wyprostował, aby rozpocząć teatralną przechadzkę po wąskiej celi; nie mniej teatralne były wypowiedane przez niego słowa.

– Dobrze jest mi się nie przeciwstawiać. Nie ma żadnej pani ani pana Renarda. A w każdym razie wy nimi nie jesteście. Wasze dokumenty są fałszywe i wiemy o tym. Ten człowiek ma rację – stwierdził, wskazując na Jacoba. – Pani nie powinna tu była przychodzić... z fałszywymi dokumentami. Nie jest dobrze kłamać policji. W końcu poprosiła nas pani o zobaczenie męża, a my tę prośbę spełniliśmy. Powinna nam więc pani podać swoje prawdziwe nazwisko. – Komisarz kryminalny znowu stanął przed Sarah. – Proszę nam powiedzieć, jak się pani nazywa.

Sarah zacisnęła zęby i przełknęła łzy. Wytrzymała wzrok Niemca, słysząc, jak jej przyjaciel się miota, i mając wrażenie, że szepcze, żeby nic nie mówiła.

– Uciszcie tego człowieka!

Pomocnicy pospieszyli wypełnić rozkaz i zakneblowali Jacoba. Jego niezrozumiałe szepty zmieniły się w chrapliwy jęk.

– Pytam panią po raz ostatni, jakie jest pani prawdziwe nazwisko?

Ze spojrzeniem pełnym wściekłości Sarah odpowiedziała:

– Pauline Renard.

Komisarz wyprostował się, żeby spojrzeć na nią twardo z góry.

– Szkoda, że nie chce pani z nami współpracować, Fräulein. Żal, bo jest pani taka piękna. Nie mówiąc ani słowa więcej, obrócił się.

– Możecie zaczynać, Huber – rozkazał pomocnikowi wyznaczonemu do przesłuchania. – Powiadomcie mnie, jak skończycie.

Komisarz wyszedł z celi. Nie interesowało go uczestniczenie w przesłuchaniu. Tak naprawdę takie sytuacje męczyły go. Sesje tortur zawsze w końcu wzbudzały w nim mdłości. Poza tym ta kobieta była naprawdę ładna. W sumie będzie to dość nieprzyjemne zdarzenie.

Kriminalassistent Huber przejął kontrolę nad sytuacją.

– Wyciągnijcie knebel aresztantowi.

Kiedy strażnicy wykonali polecenie, zwrócił się do buntowników w niemal doskonałej francuszczyźnie:

– Dokładnie mnie posłuchajcie, bo powiem to tylko raz. To może być szybkie i proste. Wszystko zależy od was. Ponieważ już ustaliłem, że nie wykazujecie chęci do współpracy, przyjmę inną strategię. – Teraz zwrócił się do Sarah: – Zacznę od pani. Powie mi pani swoje nazwisko, kiedy o nie zapytam. Proszę dobrze spojrzeć na swojego męża... czy kim on tam jest. Jeśli nie odpowie pani na moje pytania, strażnik Schwarz poleje kwasem jego rany, a strażnik Backe będzie go bił kijem po najbardziej wrażliwych miejscach...

– Nie! Nic nie mów! Nie patrz na mnie! – zawołał Jacob, ale jego krzyk był zaledwie cichym szepcem.

– Bądź cicho albo znowu cię zakneblujemy!

– Nie patrz na mnie! Nie rób tego! Nie...!

Strażnicy znowu uciszyli go kneblem.

Huber spojrzał na Sarah.

– Jak się pani nazywa?

W odpowiedzi Sarah mocno zacisnęła powieki i odwróciła twarz. Jednak pilnujący jej strażnik chwycił ją mocno i wyprostował szyję.

Huber wyciągnął zapalniczkę, zapalił płomień i przybliżył go do jej zamkniętych oczu.  
– Jeśli nie otworzy pani oczu, będę zmuszony spalić pani powieki – zagroził z sadystycznym spokojem.

Sarah otworzyła oczy i płomień natychmiast ją oślepił. Gdy po chwili Huber zgasił zapalniczkę, znowu zobaczyła Jacoba.

– Jak się pani nazywa?

Sarah drżała i zalewała się potem, mocno zagryzała usta. Jacob kręcił głową. Powiedział jej, żeby nic nie mówiła.

Huber dał znak. Jeden z policjantów przysunął do Jacoba żarówkę tak blisko, że światło dokładnie zalało każdą z jego ran. Sarah poczuła ścisnięcie w żołądku. A potem zobaczyła, jak zadają Jacobowi cios pałką między nogi – cios, który odbił się echem w pomieszczeniu. Jacob musiał stracić dech, ale nie wydał z siebie najcichszego dźwięku. Wtedy strażnik Schwarz wlał mu kilka kropel kwasu w rany na twarzy. Krew zdawała się wrzeć w kontakcie z kwasem i poza szmerem wrzenia nie było słyhać nic innego.

Sarah zdarła sobie gardło, wrzeszcząc, żeby przestali. Szarpała kajdanki, aż wbiły jej się w nadgarstki, i starała się wyrwać krzesło z podłogi aż do bólu kolan. Kiedy nie było już ratunku, zalała się łzami wściekłości i rozpacz. Strażnik znowu wyprostował jej głowę, ciągnąc za włosy.

– Może przemyślała pani sprawę i wreszcie poda mi swoje prawdziwe nazwisko.

Sarah spojrzała na Jacoba: równomiernie kręcąc głową, pokazywał jej „nie”. Potem na kilka sekund wlepiała wzrok w Hubera i splunęła.

Huber stał za daleko, żeby ślina do niego doleciała. Niemniej bezczelność kobiety wzmogła jego sadyzm.

– Backe! Benzyna!

Sarah wpadła w panikę.

– Nie! Nie! Co chcecie zrobić?

Huber nawet na nią nie patrzył, a już na pewno nie miał zamiaru jej odpowiadać. Rozkoszował się przyglądaniem, jak Backe smaruje tors Jacoba benzyną. Zapach paliwa wypełnił pomieszczenie. Kiedy Sarah zobaczyła, jak Backe zbliża płomień do ciała chłopaka, zaczęła drzeć się jak opętana.

Wrzaski Sarah, płomienie palące jego ciało i ból nie do zniesienia – nie mogło istnieć nic bliższego piekła. Jacob chciał umrzeć albo przynajmniej zemdleć. Wierzył, że będzie w stanie to wytrzymać, wierzył, że będzie w stanie znieść ból w milczeniu, żeby pomóc Sarah, lecz kiedy płomienie zaczęły palić jego szyję, z samej głębi trzewi wyrwało mu się wycie, które zdawało się rozbijać ściany tej krypty.

Sarah nie mogła dłużej się pohamować i po krzyku Jacoba ona też krzyknęła:

– Sarah! Sarah Bauer!

Huber uśmiechnął się zadowolony. Wziął z ziemi szlauch i polał wodą płonące ciało więźnia. Nie mógł pozwolić, żeby umarł, ale gasząc płomienie, wykorzystał sytuację, żeby schłostać zmaltretowaną skórę tego plugawego Francuza – skurwiel był twardy.

Kiedy uciął szmer wody, słyhać było tylko jęki Jacoba i łkanie Sarah, a w tle kapanie wody z ciała chłopaka na betonową podłogę jak kropli deszczu na chodnik.

– Cieszy mnie, kiedy robimy postępy w naszej pracy – powiedział zadowolony Huber, znów wyciągając Jacobowi knebel.

Sarah ze smutkiem patrzyła na przyjaciela. Jego ubranie było niemal całkowicie zwęglone, a skóra odsłoniła jeszcze dymiące żywe mięso. Z wielkim trudem chłopak uniósł wzrok, żeby na nią spojrzeć. Mając wolne usta, chciał do niej przemówić, ale paliły go piersi i wydawało mu się, że dym zatkał mu płuca. Niemal nie mógł złapać tchu. Zwyczajny kaszel

wstrząsnął jego ciałem jak smagnięcie pejczem. Jacob usiłował wydobyć z siebie słowa, ale z gardła wychodziło mu jedynie charczenie.

Widząc, że nie może mówić, Huber kazał ściągnąć go ze ściany i posadzić na krześle. Ponieważ chwiał się na nim, przywiązali go do oparcia. Sznury wydały mu się żyletkami na poparzonej skórze. Dali mu trochę wody, ale ją zwymiotował.

– Proszę – łkała Sarah – pozwólcie mi do niego podejść. Trzeba go położyć i wyleczyć mu rany, bo inaczej umrze. Proszę... Proszę...

Huber odwrócił się i uderzył ją na odlew w twarz. Uderzenie oszołomiło Sarah. Ledwie zauważyła strużkę krwi spływającą jej z kącika ust; rozciął je sygnet Hubera, ale tak naprawdę bolało ją samo uderzenie. Przez chwilę myślała, że rozciął jej twarz.

– Zamknij się, dziwko! Patrz na swoje dzieło! Teraz ten palant nie jest nam do niczego potrzebny!

Huber miał świadomość, że przesadził. Aresztowany został doprowadzony do stanu, w którym nie sposób było kontynuować przesłuchania. Gdyby nawet torturowali dziewczynę, on nie mógłby mówić, a jeśli będą torturowali jego, prawdopodobnie wyzionie ducha.

– Powiadomcie komisarza! – warknął do jednego z policjantów.

Niebawem do celi wszedł oficer SS. Okropny smród palonego ciała i włosów od razu uderzył go w nos. Kątem oka spojrzął na aresztanta i nie mógł opanować grymasu niechęci, z przyjemnością jednak stwierdził, że dziewczyna jest praktycznie nietknięta. Nie miał ochoty na kolejne wzbudzające mdłości widoki, wystarczył mu już ten przewracający flaki smród. Pragnąc z tym jak najszybciej skończyć, zagadnął Hubera:

– Co pan ma?

– Niewiele, panie komisarzu. Dziewczyna jest twarda, prawie musieliśmy go zabić, żeby chociaż powiedziała, jak się nazywa.

– I po to mnie pan wezwał? – Komisarz zaczynał się niecierpliwić. – Jak, do diabła, ona się nazywa, Huber? Nie będę tu siedział cały dzień...

– Sarah Bauer, panie komisarzu.

Mina komisarza natychmiast się zmieniła. Od znudzenia przeszedł do żywego zainteresowania.

– Tak naprawdę potrzebuję pańskiego pozwolenia na dalsze przesłuchiwanie, chyba że mam nie przesłuchiwać – Huber ciągnął swoją przemowę. – Ten facet nie może mówić...

Komisarz, ignorując podwładnego, podszedł do dziewczyny, żeby spojrzeć w jej kocie oczy.

– Sarah Bauer, co? Naprawdę to ty jesteś Sarah Bauer?

Sarah powoli uniosła głowę i pokazała mu swoją twarz, zalaną łzami, ale pełną wściekłości.

– Nie zmusicie mnie do powiedzenia ani słowa więcej. Możecie mnie torturować aż do śmierci, tak jak zrobiliście z nim, ale umrę, nie mówiąc ani słowa więcej. Przysięgam na Boga – popeliła bluźnierstwo Sarah, opętana wściekłością i przerażeniem.

Komisarz poczuł, jak podnieca go ta wściekłość wypływana przez kobietę przez zęby. Gdyby o niego chodziło, nie torturowałby jej, zerznąłby ją tylko i po krzyku.

Starając się powstrzymać, z wielkim wysiłkiem wydał kolejny tego dnia rozkaz:

– Powiadomcie komisarza kryminalnego Hausera. Pewnie się ucieszy z naszego znaleziska.

– Co mamy z nim zrobić, komisarzu? – zapytał Huber o Jacoba.

– Zabierzcie go stąd i wsadźcie do jego celi. Jeśli go nie zabiliście, będziecie musieli poczekać, aż wydobrzeje, żeby dalej go przesłuchiwać.

– Zamknij się żydowska suko! Wystarczy mi, że muszę siedzieć w tej dziurze, dość tego wycia hieny! – wrzasnął strażnik z drugiej strony drzwi celi.

Ale Sarah dalej krzyczała. Nie przestała tego robić od chwili, kiedy zabrali Jacoba; wyła, jakby postradała zmysły. Dopiero kiedy pokonało ją wyczerpanie, jej wycie ucichło i wpadła w swego rodzaju letarg.

W absolutnej ciemności celi straciła poczucie czasu. Mogły minąć godziny albo dni, zanim weszli po nią ci mężczyźni, nie potrafiła powiedzieć. Nie mogła też rozpoznać drogi, którą ją poprowadzili, popychając po labiryncie schodów i korytarzy tego budynku. Słońce ją oślepiało, oszałamiały dźwięki; czuła się skołowana i nie panowała nad sobą.

Wprowadzono ją do czegoś, co wydało jej się gabinetem. Był bardziej funkcjonalny niż elegancki, ale dobrze umeblowany, miał stół i krzesła ze szlachetnego drewna. Były doniczki z kwiatami, półki pełne książek, zdjęcie Hitlera i kanapa pod oknem. Sarah zauważyła, że jest dzień i że mocno pada deszcz. Znowu posadzili ją skutą kajdankami na krzesło, ale nie było metalowe, jak to w celi, tylko szerokie i wygodne, z wielkim oparciem, miękkim skórzanym siedziskiem i podłokietnikami. Nagle poczuła się lepiej. Ponadto pomieszczenie było suche i ogrzane, więc ciepło pieściło jej zziębnięte członki. Mogłaby zasnąć, odpocząć przez kilka godzin albo nigdy więcej się nie obudzić...

Szczęk drzwi za jej plecami sprawił, że się wzdrygnęła. Odwróciła głowę, żeby rzucić okiem ponad ramieniem.

– Witaj, Sarah.

Wtedy wpadła w kompletne osłupienie. Przyszło jej do głowy, że może rzeczywiście zasnęła i śni. Jednak obraz majora von Bergheima przechodzącego przez gabinet z charakterystycznym utykaniem wydał jej się nazbyt rzeczywisty.

Georg także był zaskoczony, widząc ją w takim stanie: wymizerowana, wygłodzona i z pękniętą wargą, która jeszcze krwawiła. Ta kobieta nie miała nic wspólnego z radosną i beztroską dziewczyną, którą poznał w Strasburgu.

– Co oni ci zrobili, malutka? – zapytał przymilnie, starając się zamaskować wściekłość, jaką wzbudził w nim jej stan. Musiał bardzo poważnie porozmawiać z tym kretynem Hauserem.

Sarah siedziała w milczeniu. Patrzyła na niego jak zamknięte w klatce zwierzę, z mieszanką strachu i wściekłości w oczach. Georg zbliżył dłoń do brody dziewczyny, żeby unieść jej twarz i lepiej zobaczyć ranę. Ona jednak gwałtownie się odchyliła, a wtedy wszystko wokół niej zawirowało.

– Od ilu dni nie jadłaś?

Sarah zamknęła oczy. Dalej milczała. Wydawało jej się, że Georg podszedł do drzwi i je otworzył. Dalej miała zamknięte oczy, gdy słuchała, jak rozmawia z kimś na zewnątrz.

– Proszę przynieść mi apteczkę i jedzenie.

– Jedzenie, Sturmbannführer?

– Tak, jedzenie i picie. Przynieście jakąś zupę i mięso... Coś ciepłego... I chleb... Nie wiem, proszę coś zorganizować, przecież nie każę panu zdobywać wysp na Kanale. Chcę tutaj tacy z tym samym, co pan dzisiaj będzie miał na obiad. I to szybko!

– Tak jest, panie Sturmbannführer.

Zanim Georg zamknął drzwi, przyszedł następny żołnierz z apteczką, którą pewnie łatwiej było znaleźć niż jedzenie.

Gdy znowu znaleźli się sami, Georg wrócił do jednokierunkowej rozmowy z dziewczyną.

– Musisz pozwolić mi opatrzyć ranę, Sarah. Jeśli znowu będziesz kręcić głową, zemdlejesz, rozumiesz? Zaufaj mi, ja cię nie skrzywdzę.

Mówił do niej tak, jak zwracał się do swojej małej Astrid, kiedy dziewczynka się

buntowała przeciwko czemuś, a on chciał ją przekonać do swoich racji. Tymczasem polewał watę spirytusem.

– Będzie trochę piekło. Nie ruszaj się.

Sarah tylko przygryzła wargi, kiedy Georg delikatnie przesunął watą po ranie, dopóki całkowicie jej nie oczyścił. Ponieważ nie wyglądała na bardzo głęboką, tylko trochę posmarował ją jodyną. Później zapiął jej pierwsze guziki bluzki i marynarkę.

– Już, Sarah. Teraz dobrze mnie posłuchaj: zdejmę ci kajdanki, ale musisz mi przyrzec, że nie zrobisz nic głupiego.

Ona ciągle na niego patrzyła szeroko otwartymi oczyma. Dalej wyglądała jak zwierzę, teraz bardziej przestraszone niż rozwścieczone, bardziej zaniepokojone niż groźne.

– Zrobimy tak – zaproponował, otwierając wiszącą mu u pasa kaburę pistoletu – odłożę pistolet na stół.

Stal sauera 35 delikatnie stuknęła o drewno.

– Jeśli ty ufasz mi, ja ufam tobie – zapewnił, otwierając jej kajdanki.

Uwolniona Sarah spostrzegła, że prawie nie może ruszać nadgarstkami. Chciała je rozmasować, ale miała na nich rany do żywego mięsa. Georg także je opatrzył i zabandażował. Właśnie przyklejał plaster końcówkę ostatniego bandaża, kiedy zastukano do drzwi: przyniesiono jedzenie.

Była gotowa nie wziąć do ust ani kawałka, lecz kiedy major von Bergheim postawił przed nią tacę, sama woń ciepłego jedzenia zemdliła ją, więc zaczęła się ślinić. Był tam rosół z makaronem, cielęcina w sosie z duszonymi ziemniakami i kompot gruszkowy. Żołądek skręcał się jej i głośno burczał. Jeśli nie zje, niechybnie zemdleje od samego widoku jedzenia.

– Nie jesz? Nie utrzymasz sztucców?

Sarah zrobiła pierwszy ludzki gest, kiwając na zgodę. Delikatnie wzięła sztucce i zaczęła pożerać jedzenie. Starła się hamować, jeść powoli, tak jak nauczyła ją matka, ale nie mogła, przy każdym kęsie ciało zdawało się ją błagać o następny kęs natychmiast, nie zostawiając jej czasu na przeżucie pokarmu ani smakowanie. Jej ciało w tej chwili nie znało się na wychowaniu ani rozkoszowaniu, potrzebowało tylko się odżywić. Było jej wszystko jedno, że major von Bergheim uważnie się jej przygląda, i połknęła każde z dań w kilka minut, jak wygłodniały indyk. Gdy skończyła, major zabrał tacę.

Wsparty na stole, niemal siedząc na jego krawędzi, trochę ponad nią górujący, Georg patrzył na nią niemal po ojcowsku.

– Teraz zechcesz ze mną porozmawiać, Sarah Bauer?

Ona w odpowiedzi tylko spuściła oczy, żeby uniknąć jego wzroku. Georgowi nigdy nie przyszło do głowy, że będzie łatwo, mógł zrozumieć zachowanie dziewczyny.

– Co się stało, Sarah? Dlaczego ci to zrobili?

Powoli uniosła głowę i uśmiechnęła się, na ile pozwoliły na to jej dusza i rozbite usta. W jej uśmiechu było tyle pogardy i tyle goryczy, że Georg się przestraszył; z tym mrocznym grymasem jej oblicze jakby należało do kogoś innego.

– Dlaczego? – powtórzyła. Jej głos brzmiał chrapliwie i szorstko po tak długim wyciu w celi. – Pyta mnie pan, dlaczego, majorze von Bergheim? Czy jest jakaś przyczyna tego całego szaleństwa? Czy jest jakiś powód, dla którego pańscy ludzie mnie torturowali? Czy był jakiś powód, żeby zrujnował mi pan życie? Tak naprawdę to ja powinnam pana zapytać, panie majorze: Dlaczego mi to wszystko zrobiliście?

Georg wiedział, że nie będzie łatwo, ale nigdy się nie spodziewał, że to spotkanie będzie jątrzyć jego własne otwarte rany. Słowa Sarah wpadły w nie jak kwas, ale on starał się trzymać fason.

– Tylko chcę ci pomóc, Sarah. Musisz mi uwierzyć.

– W takim razie proszę zwrócić mi ojca i matkę, i brata, i siostrę. Proszę zwrócić mi moje życie, to, które miałam, zanim pan wszedł do mojego domu.

– Ja nie chcę cię skrzywdzić. Nigdy tego nie chciałem; ani ciebie, ani twojej rodziny. Coś, co powinno być bardzo łatwe, skomplikowało się w niewyjaśniony sposób. Teraz to nawet ja sam nie wiem, co zrobić, żeby cofnąć czas... Niektórych rzeczy już nie da się zmienić.

Georg westchnął. Co on robił? Usprawiedliwiał się...? Chciał dokończyć tę sprawę bardziej rozumem niż sercem. Chciał być dobrym Niemcem, który służy ojczyźnie i Führerowi do śmierci, jak brzmi przysięga Leibstandarten. *Meine Ehre heißt Treue*, wierność jest mym honorem. Chciał zostawić na boku swe prywatne zgrzyzoty i poczucie winy, chciał być wierny swoim obowiązkom. Oficer SS nigdy by się nie usprawiedliwiał przed wrogiem... Ale czy ta dziewczyna rzeczywiście była jego wrogiem? Co to za wróg?

Sarah była zbita z tropu. Ten mężczyzna zbijał ją z tropu. Wydawał się nazistą, pierdolonym, skurwysyńskim nazistą, jak wszyscy pozostali: ubierał się jak oni, mówił jak oni, używał tych samych symboli i tych samych gestów. Jednak było w nim coś innego, coś, co pozostawało ukryte, ale od czasu do czasu wychylało się jak słońce zza chmur; sposób zachowania, zrozumienie w jego oczach albo to, jak opatrzył jej rany; w tym *Es reicht!*, przy którym co noc budziła się z koszmaru. Było w majorze von Bergheimie wiele rzeczy, których Sarah nie rozumiała.

Ona także westchnęła, jakby uznawała się za pokonaną. Była zmęczona, za bardzo zmęczona.

– Czego pan ode mnie chce, majorze?

Wyglądała na tak smutną i przybitą, tak zniszczoną, że Georg miałby ochotę pogłodzić ją po policzkach, żeby ją pocieszyć i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, że on może sprawić, by wszystko skończyło się dobrze. Ale okłamywanie jej wydało mu się nikczemne, a pogłazdzenie jej... zuchwałe. Prawda, tak jak i dystans, były mu narzucone, choćby wydawały się wyjątkowo niemile.

– Chcę się dowiedzieć, gdzie jest *Astrolog*. Powiedz mi, a przestanę cię męczyć.

Sarah ze smutkiem pokręciła głową.

– Nie mogę uwierzyć, że prosi mnie pan o coś takiego. Nie mogę uwierzyć w nic, co się dzieje. Bycie Francuzem, Żydem albo jakiś przeklęty obraz mogą stać się wystarczającym powodem, żeby ludziom niszczyć życie. Co to za szaleństwo? – Ponieważ nie spodziewała się żadnej odpowiedzi na te pytania, mówiła dalej: – Ja nie mam tego obrazu ani nie wiem, gdzie się znajduje. Nie wiem, gdzie się znajduje cokolwiek i ktokolwiek z tych, których miałam, zanim pana poznałam...

Przerwało im pukanie do drzwi. Oboje się przestraszyli.

– Wejść! – krzyknął Georg szorstko.

Komisarz Hauser otworzył drzwi i stanął w progu, nie wchodząc do środka.

– Sturmbannführer von Bergheim, chciałbym z panem porozmawiać na osobności.

Georg powoli wstał, zabrał pistolet ze stołu i schował go do kabury.

– Zaraz będę – powiedział do Sarah. – To tylko kilka minut.

Kiedy wyszedł, Hauser rozkazał dwóm strażnikom, żeby pozostali w gabinecie, jednocześnie zadając sobie pytanie o to, czy major jest aż tak bezmyślny, żeby zostawiać aresztowaną samą i bez kajdanek.

Na korytarzu Georg podszedł do okna i wyciągnął cygarnicę.

– Przykro mi, panie Sturmbannführer, tutaj nie można palić – ostrzegł go Hauser, aby po chwili dodać z przewrotnym uśmiechem: – Zakaz dotyczy wszystkich budynków RSHA...



Georg nie należał do Reichssicherheitshauptamt, Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Pomyślał sobie, że gdyby chciał, zrobiłby to, i żaden Hauser by mu nie zabronił. Ugryzł się jednak w język i schował cygarnicę, nie zniżając się do odpowiedzi.

– Czego pan chce, Hauser?

– Zdaje się, że znaleźliśmy tę kobietę, nie?

Georg już się przekonał, że Hauser nie zmierza do celu najkrótszą drogą: wszystko w nim było poprzekęcane i zagadkowe. Chciał przypisać sobie order i żeby to Georg mu je przyznał.

– Wy z gestapo zawsze wykonujecie swoją pracę, co do tego nie mam wątpliwości – tylko na tyle zgodził się Georg. – Nawet kiedy się was prosi, żebyście się od niej powstrzymali. Wydawało mi się, że jasno powiedziałem, że nie chcę, żebyście dotykali tej dziewczyny.

Hauser z uśmiechem wzruszył ramionami, bawił się sytuacją.

– Wygląda na to, że przyszła tu z fałszywymi dokumentami i odmawiała podania prawdziwego nazwiska. W każdym razie reklamacje proszę składać do D1, oni ją zatrzymali – zauważył, odnosząc się do sekcji gestapo zajmującej się opozycją wobec reżimu na terytoriach okupowanych. Zanim zaczął dalej mówić, ściągnął okulary i starannie je wyczyścił. – Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać. Panie Sturmbannführer, znajduję się w niezręcznej sytuacji wobec D1. Oskarżają tę kobietę o współpracę z terrorystami. Zdaje się, że jest żoną kogoś z nich...

Georg nie mógł się powstrzymać od okazania zdziwienia.

– Żoną?

– Tak twierdzi ona. Choć z tymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo: mówią więcej kłamstw niż słów. Chodzi o to, że wcale nie podobało im się, że muszą oddać aresztanta. Chcą wiedzieć, co zamierza pan z nią zrobić, i jak najszybciej wrócić do swojego... do swojej roboty.

– To bardzo proste, panie Hauptsturmführer: skończę z nią rozmawiać i wypuszczę ją na wolność.

Hauser w sposób przesadzony uniósł brwi; w chwili okazywania zdumienia był niebywale teatralny.

– Nie mówi pan poważnie, panie Sturmbannführer! Są dziesiątki powodów, żeby zatrzymać ją w więzieniu: terroryzm, opozycja wobec Rzeszy, fałszowanie dokumentów... nie mówiąc już o tym, że jest Żydówką. – Komisarz machnął ręką w geście absolutnej dezaprobaty.

– Proszę mi pozwolić powiedzieć, że wątpię w pański sposób działania, panie Sturmbannführer von Bergheim. Nie wiem, czego pan chce od tej kobiety, ale nie osiągnie pan tego, zapraszając ją na obiad, zapewniam pana. Tych ludzi trzeba traktować twardą ręką.

– Szczerze mówiąc, panie Hauptsturmführer Hauser, nie mam najmniejszego zamiaru dyskutować z panem o swoich metodach. Gestapo już wykonało swoją robotę, a co zrobimy z zatrzymaną, nie jest pańską sprawą ani nawet moją, to jest sprawa Reichsführera Himmlera i to, żeby uwolnić Sarah Bauer jest jego pragnieniem i poleceniem.

Hauser zmrużył oczy. Nie był typem człowieka, który dawał się nabierać. Ze spokojem wbił spojrzenie w Georga i jakby ostrzył kolejne z wymawianych sylab, zawyrokował:

– W takim razie muszę zobaczyć bezpośredni rozkaz Reichsführera. Kobieta nie wyjdzie stąd bez niego.

\*

## DOBRA I ZŁA WIADOMOŚĆ

Zadzwoiła do mnie Irina. Jeśli chcesz, za godzinę po ciebie przyjadę na motorze i na spacerze opowiem ci, co mi powiedziała – obwieścił Alain, dzwoniąc do mnie w niedzielę o jedenastej rano.

Kąpiąc się i szykując, zastanawiałam się, jakież to wiadomości może mieć Alain, że nie mogą poczekać do poniedziałku. Konrad wrócił wcześniej do Madrytu, a ja znowu zostałam sama, z gorzkim posmakiem słowa *PosenGeist* w ustach i wątpliwościami dotyczącymi Alaina, niczym miecz wiszącymi mi nad głową. Nie miałam ochoty się z nim spotykać, a już na pewno nie chodzić z nim na spacer, ale bardzo chciałam się dowiedzieć, co takiego powiedziała Irina.

Irina Jegorowa była technikiem Rosyjskiego Państwowego Archiwum Wojskowego, RPAW. Kilka lat wcześniej pomogła Alainowi zlokalizować część bardzo cennych tomów zrabowanych przez nazistów z biblioteki Rothschildów. Według niego Irina знаła wszystkie archiwa dawnego Związku Radzieckiego od Moskwy do Tbilisi jak korytarz we własnym domu, wszędzie miała przyjaciół. Jeśli akta Delmedigo były w Centralnym Państwowym Archiwum Wyższych Organów Władzy i Rządu Ukrainy, CDAWOWU, w Kijowie, ona na nie w końcu trafi.

Po kilku minutach udało nam się wydostać z korków, żeby dojechać do Belleville w XX dzielnicy. Park Belleville znajduje się na szczycie wzgórza, z którego można podziwiać najwspanialsze widoki Paryża. Jest to park nowoczesny i inny od pozostałych w tym mieście, schodzący w prostej i uporządkowanej formie po zboczu, pośród dobrze przyciętych żywopłotów i ogrodowych parterów oraz pięciokątnych wodnych kaskad. Ponieważ jednak w Paryżu nic nie może być zwyczajne, zachowano tu kilka krzewów winorośli szczepu pinot i chardonnay na pamiątkę winnej przeszłości okolicy, z wieków XIV i XV, kiedy Belleville było niezdrowym przedmieściem pełnym tawern i *guinguettes*. Ponadto korzystne jest to, że znajduje się poza zwyczajowymi szlakami turystycznymi, co dla człowieka spędzającego życie pomiędzy Luwrem, *quai d'Orsay* i Dzielnicą Łacińską, w otoczeniu łakomych i bezczelnych grup turystów, jest czymś bardzo cennym. Belleville jest zwykłym parkiem na niedzielną wizytę, tak jakby Paryż był miastem jak każde inne.

Zaparkowaliśmy motor na ulicy o tej samej nazwie. Nie jest najładniejsza w Paryżu, ale jest znana, bo mieszka tu najliczniejsza społeczność chińska miasta; to takie małe francuskie Chinatown. Nagle szyldy w języku francuskim zaczynają mieszać się z szyldami po chińsku, jedna za drugą zaczynają pojawiać się restauracje azjatyckie, orientalne bazy, na których sprzedaje się malowaną ręcznie porcelanę, koty na szczęście, papierowe lampiony, jadeitowe figurki Buddy, herbatę i ciasteczka z wróżbą. W jakiejś chińskiej restauracji kupiliśmy na wynos: smażony ryż, makaron z krewetkami i kaczkę po pekińsku i zrobiliśmy sobie piknik na trawie w parku, pod słońcem znikającym i wyłaniającym się spośród chmur, które znowu od czasu do czasu skrapiały nas deszczem i napełniały powietrze zapachem wilgotnej ziemi i wonią jesieni.

– I co takiego powiedziała Irina? – postanowiłam zapytać, kiedy już byliśmy w połowie posiłku, a on nie przejawiał ochoty, żeby zacząć mówić na ten temat.

Jakby nie było to prawdziwym powodem naszego przyjazdu w to miejsce, Alain dalej jadł, walcząc pałeczkami z wyślizgującym się makaronem.

– Ach, tak – zgodził się, kiedy pochwycił krewetkę. – No więc są dwie wiadomości, dobra i zła...

Zmarszczyłam czoło; nie spodobało mi się to, bo zwykle złe wiadomości przyćmiewają dobre.

– Dobra wiadomość jest taka, że znalazła akta Delmedigo.

Szeroko otworzyłam oczy i usta.

– Znalazła je? – Pchnęłam go tak, że zakołysał się na trawie. – Ale jak możesz być tak...! Jak mogłeś milczeć do tego czasu! Przestań wreszcie jeść, na miłość boską, i opowiedz mi wszystko! – zażądałam, wrywając mu z rąk pudełko z makaronem.

Alain pokonał moją obronę i znowu zanurzył pałeczki w pudełku.

– *Streng Geheim* – odpowiedział lakonicznie przed włożeniem sobie do ust krewetki. Po pogryzieniu jej i przełknięciu dodał: – Znalazła je, bo Niemcy uznali je za ściśle tajne. Dzięki temu Rosjanie zakwalifikowali je do tysięcy skonfiskowanych dokumentów. Problem archiwów ERR w Kijowie jest taki, że nie zostały odpowiednio zorganizowane, wiele dokumentów dalej pozostaje w takim samym stanie jak siedemdziesiąt lat temu. To dość nieuporządkowane archiwum, w którym szukanie czegokolwiek zmienia się w koszmar. Jeśli w ogóle coś sklasyfikowano, to w pierwszym rzędzie wszystkie teczki i dokumenty, które miały na sobie pieczęć *Streng Geheim*...

– Ściśle tajne... – powtórzyłam zamyślona, wyciągając pierwsze wnioski. – Ciekawe... To dziwne, że zwykły obraz powoduje tyle zamieszania, że nawet jest zaklasyfikowany jako ściśle tajny. Tego wyrażenia używa się z wielką łatwością, ale pomyśl sobie, co to dokładnie oznacza.

– Stosuje się do każdego dokumentu, którego opublikowanie może spowodować poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

– W porządku, jak obraz może spowodować poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego jakiegokolwiek kraju...? Czym tak naprawdę jest *Astrolog* Giorgionego?

– Nie jestem pewien, ale jeśli połączymy kawałki układanki: najtajniejsze Ahnenerbe plus nieznany obraz Giorgionego, pachnie mi tu czymś magicznym, relikwiami, na które liczył Hitler przy podboju świata. Z jakiegoś powodu Führer wierzył, że *Astrolog* ma w sobie coś nadnaturalnego. Nie sądzę, żeby było przypadkiem, że Giorgione jest uważany za jednego z najbardziej tajemniczych malarzy: interpretacja niektórych jego obrazów jest dyskusyjna i mówi się, że romansował z hermetyzmem i alchemią... Ty wiesz to lepiej ode mnie.

Nie mogąc się powstrzymać, zamknęłam oczy w geście znudzenia.

– Mogę cię zapewnić, że w Giorgionem nie ma nic tajemniczego, poza tym, że niewiele wiadomo o jego życiu i że miał nieprzyjemny zwyczaj niepodpisywania swoich prac, co powoduje немало błędów przy ich identyfikacji oraz zostawia wiele łamigłówek historykom sztuki. Poza tym wszystkie te historie o rzekomo ciemnej stronie Giorgionego są zwykłym „bloggerowaniem”.

Alain uśmiechnął się.

– Bloggerowanie? Co to takiego?

– Steki bzdur, które ludzie wypisują na blogach, żeby być na bieżąco – zdefiniowałam wymyślone przez siebie słowo.

– Nie spieram się. Ale sprawa jest taka, że Hitler ślepo wierzył w przesady, był fanatykiem wiedzy tajemnej. I w tym przypadku wszystko wskazuje na taką właśnie obsesję Führera. Co więcej, kiedy podam ci złą wiadomość, przynasz mi rację.

– Och, przestań... Zapomniałam już, że jest jakaś zła wiadomość... Niech zgadnę, dokumenty nie zostały odtajnione i nie możemy ich zobaczyć.

Alain przecząco pokręcił głową.

– To coś trochę bardziej... tajemniczego.

– Co? – nalegałam, gotowa dać się zaskoczyć przez tę pogmatwaną sprawę.

– Akta Delmedigo znikły.

To mnie zaskoczyło. Zaniemówiłam ze zdumienia, wyciągając wnioski, które mnie zmroziły.

– Boże...

– Ludzie z Kijowa zapewniają, że kiedy robili ostatnią inwentaryzację dwa miesiące temu, dokumenty tam były... – dodał Alain. – Codziennie giną dokumenty z archiwów. Przykro o tym mówić, ale tak jest. Zabierają je sobie niektórzy pozbawieni skrupułów badacze, a nawet sam personel. Ale prawdą jest też to, że dokumentów się nie kradnie na chybił trafił.

– To jasne, że ktoś nie chce, żebyśmy dotarli do sedna tej sprawy... – podsumowałam zapatrzona w przestrzeń. To zdanie wyrwało mi się spontanicznie, ale tak naprawdę wykorzystałam je też po to, żeby poddać Alaina próbie, zobaczyć, jak zareaguje.

– Twój przyjaciel duch von Bergheima?

– Nie żartuj sobie z tego, Alain. Na samą myśl dostaję gęsiej skórki.

– Zgoda, duchy nie łążą po archiwach i nie kradną dokumentów. Ale masz rację, że jest ktoś, kto nie chce, żebyśmy doszli do sedna tej sprawy. Podniecające, co?

– Zależy, jak na to popatrzeć... – Westchnęłam, zanim wyznałam mu jak na spowiedzi: – Wczoraj miałam dziwny telefon...

Chociaż po zarzuceniu tej przynęty uważnie mu się przyglądałam, nie dostrzegłam żadnego nienormalnego zachowania. Ograniczył się do uniesienia brwi, nie zmieniając rytmu połykania chińskiego jedzenia.

– Telefon?

Podalam mu wszystkie szczegóły na temat zdarzenia: godzinę, nieznaną numer, niepokojący głos i jedyne wypowiedziane słowo.

– PosenGeist? – powtórzył Alain. Naprawdę wyglądał, jakby słyszał te słowa po raz pierwszy, nawet wahał się, gdy je wymawiał. – I co to jest?

– Nie wiem. *Geist* to duch po niemiecku. Ale według Konrada PosenGeist nie ma żadnego sensu. *Posen* nic nie znaczy...

Wtedy po raz pierwszy zapomniał o pudełkach z makaronem i ryżem i się zamyślił. Po chwili podsumował:

– *Posen* to może być niemiecka nazwa polskiego miasta Poznania. Podczas wojny było wcielone do Rzeszy i ma smutną sławę z powodu tak zwanych przemówień poznańskich.

Z tonu Alaina wywnioskowałam, że to zwiastuje coś interesującego.

– Przemówienia poznańskie? – zachęciłam go do kontynuowania.

– Tak, to były dwie tajne mowy, które Heinrich Himmler wygłosił w ratuszu tego miasta dla nazistowskiej elity w październiku 1943 roku. Osobliwość tych przemówień polega na tym, że wyjaśniają bez ogródek, że w obozach koncentracyjnych odbywa się przemyślana i zaplanowana przez rząd i Hitlera eksterminacja Żydów.

Przezuwając tę wiadomość, wyszeptalam:

– PosenGeist: Duch Poznania... Może to być jakaś organizacja, naśladowców ducha tych przemówień...

– Może... Może to też być obraz: *Duch Poznania*. A nawet imię konia: Duch Poznania, dziesięć do jednego dla zwycięzcy, jest faworytem tej gonitwy.

Nie zwróciłam uwagi na sarkazm Alaina i wyciągnęłam iPoda. Korzystając z wifii, połączyłam się w Internetem, co w zasadzie powinnam była zrobić znacznie wcześniej.

– Czego szukasz? – Alain patrzył mi przez ramię.

– Wpisałam w Google PosenGeist...

Wyszukiwarka pracowała przez 0,06 sekundy i znalazła zaledwie 25 wyników, wszystkie po niemiecku i żaden interesujący dla nas.

– Nic nie ma...

– To oznacza, że nie jest ani obrazem, ani koniem... Pewne jest, że jeśli chodzi o organizację miłośników Himmlera, nie znajdziesz o niej informacji w wyszukiwarce Google – dodał Alain.

Hipoteza nabierała kształtu, ale w dalszym ciągu była tylko przypuszczeniem.

– A jeśli PosenGeist w jakiś sposób jest powiązany ze zniknięciem akt Delmedigo? Może ten telefon był swego rodzaju ostrzeżeniem...

– No to jeśli chcieli cię przed czymś przestrzec, mogli być bardziej wylewni.

Beztraska Alaina zaczynała wyprowadzać mnie z równowagi, co było łatwe, biorąc pod uwagę temat. Nie mogłam się powstrzymać od skoczenia mu do oczu!

– Łatwo sobie żartować, kiedy to nie ciebie osaczają! Zapewniam cię, że dla mnie to w ogóle nie jest śmieszne!

Raczej nie przejął się jakoś szczególnie moim atakiem.

– Nie żartuję sobie z tego, po prostu uważam, że niepotrzebne dramatyzowanie nie ma sensu. Wyrwanie sobie włosów z głowy, wydzieranie się wniebogłosy i załamywanie rąk, żeby okazać, że jesteś w niebezpieczeństwie – nie wydaje mi się to odpowiednie.

– Proszę cię tylko o odrobinę zrozumienia. Tak trudno pojąć, że to mnie martwi i rozstraja nerwy? Skręcają mi się wnętrzności na zwykły dzwonek telefonu... – wyznałam z grymasem obrzydzenia.

W końcu Alain porzucił kpiarski ton.

– Przykro mi... Wydawało mi się, że bardziej ci będę pomocny, bagatelizując sprawę... Oczywiście, że rozumiem twój niepokój, ale... w sumie nie wiem, co mogę zrobić albo ci powiedzieć. Wierz mi, wolałbym sam dostawać te telefony. Ja wiedziałbym, jak się bronić, ale nie wiem, jak chronić ciebie... I to mnie zbija z tropu.

Jego słowa były niespójne i nieśmiałe, zdecydowanie inne od ironicznej postawy sprzed kilku chwil. A co najważniejsze, wydawały się szczerze... Ponadto mówił z tą nieprawdopodobną wrażliwością, która już mnie zaskoczyła przy innych okazjach.

Westchnęłam. Wyciągnęłam się na trawie. I poddałam się.

– Dziękuję – powiedziałam z uśmiechem, a on odwzajemnił mi się tym samym.

Po zawarciu pokoju chciałam zmienić temat.

– A co sądzi twoja przyjaciółka Irina o tym, że dokumenty zginęły, ot tak sobie? – zapytałam.

Zanim odpowiedział, spojrzał na mnie z powagą, jakby przez cały czas czekał, aż zadam właśnie to pytanie.

– Uważa, że być może ma dla nas coś ciekawego, ale sądzi, że powinniśmy ją odwiedzić w Moskwie. Dobra, w zasadzie w Sankt Petersburgu.

\*

## LUTY 1943

Niemcy poddają się w Stalingradzie, po raz pierwszy ponosząc wielką klęskę w walkach z Armią Czerwoną. Stalingrad oznaczał wielki odwrót na froncie wschodnim i w znacznym stopniu podkopał morale nazistowskiego wojska. Od tamtego czasu, aby wzmocnić władzę Rzeszy nad resztą Europy, wzmożono represje na terytoriach okupowanych.

Heinrich Himmler nie był człowiekiem, którego łatwo było oszukać. Jego własna niepewność zmuszała go do nieustannego zachowywania gotowości i podejrzliwości. Z rzadka tracił nad sobą panowanie, nie ponosiły go nerwy. Jeśli jednak coś mu się nie podobało, prezentował swoje niezadowolenie z nieludzkim chłodem; jego groźby były równie spokojne jak bezwzględne, a gdy je wypowiadał, dreszcz przebiegał po plecach człowieka, do którego były skierowane. Heinrich Himmler wydawał się nie człowiekiem, lecz maszyną, zbiorem niezmordowanych poruszających się przekładni, nakręcanych jedynym ideałem i jedynym celem, poruszanych przez jedyną osobę, w którą ślepo wierzył: Adolfa Hitlera.

Georg szanował go, bo winien mu był posłuszeństwo i wierność, bo jako członek SS złożył przysięgę, a Georg był człowiekiem honoru, który nie łamał danego słowa, poza tym był całkowicie przekonany, że jedynie tradycyjne wartości: wierność, skromność, szczerłość i odwaga sprawią, że Niemcy wygrają wojnę i odzyskają godność deptaną przez tak wiele lat. I takie właśnie wartości ucieleśniało SS ze swoim Reichsführerem na czele.

Jednak w odróżnieniu do wielu innych Georg się go nie bał. Patrzył już w twarz śmierci i cierpienia, więc nic na tym świecie nie mogło natchnąć go strachem, nawet sam Heinrich Himmler.

Dlatego z niejakim zaskoczeniem stwierdził, że drży mu ręka, kiedy sięgnął po słuchawkę, żeby poprosić Reichsführera o rozkaz wypuszczenia Sarah. Wiedział, że jest słabym negocjatorem, nie dlatego, że miał coś do stracenia, ale dlatego, że miał do stracenia Sarah.

– Pański telefon absolutnie mnie rozczarowuje, panie Sturmbannführer – słowa Himmlera zdawały się zamrażać linię telefoniczną. – Powinien pan się odważyć do mnie zatelefonować tylko po to, żeby mnie poinformować, że już ma pan ten obraz. A pan w sposób impertynencki dzwoni do mnie z... tym. – Himmler wypowiedział ostatnie słowo z pogardą, jakby „to” było eufemizmem czegoś zbyt obrzydliwego, by mogło zostać nazwane.

Wyglądało na to, że Reichsführer stracił cierpliwość. Oczekiwał od swoich podwładnych takiej samej skuteczności, jaką on wykazywał na wszystkich polach, i nie dopuszczał spóźnień ani usprawiedliwień, ani wyjątków; nie dopuszczał ich u siebie, a więc także u innych. Uważał, że liczą się tylko wyniki w czasie i formie, metody były sprawą nieistotną. To, że Georg usprawiedliwiał się właśnie metodą, było dla niego oznaką słabości, a słabość wyprowadzała go z równowagi, słabość była potworem, którego on sam zakneblował w swoim jestestwie.

Georg jednak nie był człowiekiem słabym i nie mógł pozwolić, żeby Reichsführer zdegradował go do tej pozycji. Odpowiedział mu z szacunkiem, ale twardo:

– Zgadza się z panem, że ta sytuacja jest tak żałosna, jak denerwująca. Gdyby gestapo się nie wtrącało, już dawno mielibyśmy obraz.

– Proszę o wyjaśnienia, panie Sturmbannführer. Nie mam czasu na te historie – przerwał mu Himmler niezadowolony.

– To proste, panie Reichsführer: bez dziewczyny nie ma obrazu. Dopóki ona siedzi w więzieniu, nie ma sposobu, żeby mnie doprowadziła do Giorgionego. Umrze torturowana albo zabije się, zanim nam powie, gdzie jest, i zabierze sekret do grobu. Jednak ci z D1 za wszelką cenę chcą ją zatrzymać pod jakimiś niejasnymi pretekstami. Obawiam się, panie Reichsführer, że

tylko pan będzie w stanie zmienić ich zdanie. Nie ma innego wyjścia, potrzebuję pańskiego rozkazu, żeby ją uwolnić.

\* \* \*

Nie dotknęli jej więcej. Skuli ją kajdankami i znowu zaprowadzili do celi. Ale więcej jej nie dotknęli. Tak naprawdę już nic więcej nie zrobili. Zostawili ją w tej ciemnej celi, kompletnie zapomnianą.

„Nie martw się Sarah. Bardzo szybko po ciebie wrócę”, powiedział jej von Bergheim.

„Bardzo szybko...” Miarą czasu w tamtej dziurze nicości były posiłki: trzy razy dziennie zostawiali jej tacę. Początkowo podchodziła do niej jak zwierzę niespokojnie zbliżające się do jedzenia. Ciemna breja, która nawet nie była cykorią, i twarde chleb smakujący trocinami na śniadanie; wodnista zupa na obiad i kolację... Stopniowo przestała podchodzić do jedzenia i stopniowo zaczęła tracić poczucie czasu.

„Bardzo szybko...”, powiedział jej von Bergheim. Sarah położyła się na sienniku w kącie i czekała, czekała na von Bergheima, czekała na śmierć, czekała. Tylko jedno z tych dwojga przyjdzie pierwsze. Czasem błagała Boga, żeby to była śmierć.

„Bardzo szybko...” Czasem myślenie o von Bergheimie przynosiło jej ulgę, otuchę niemal instynktowną i nieświadomą, pociechę zmieniającą się w wyrzut sumienia i niepokój, jak anielskie liczko zmienia się w diabelskie oblicze podczas nocnego koszmaru. Jak von Bergheim mógł być jej mesjaszem i jej nemezis jednocześnie?

„Bardzo szybko...” Wraz z upływem czasu zmysły Sarah zaczynały zanikać: nie była już głodna i nie odczuwała chłodu ani bólu; znikł sen i jawa; i strach. Przez jej umysł beznamytnie defilowały niepołączone ze sobą myśli; wspomnienia, obrazy i postaci krążyły po jej wnętrzu, żeby więcej się nie pojawić, tak jak woda płynąca korytem rzeki i ledwie muskająca jej brzegi. I krążył von Bergheim. Ukradkiem, niczym bandyta, major przyklepał się do jej myśli, wił się zygakiem pośród jej wspomnień, pojawiał się i znikał w jej obrazach.

„Nie martw się, Sarah. Przyjdę po ciebie bardzo szybko”, mówił do niej podczas spaceru po ogrodzie w Illkirch, a ona była zaledwie dziewczynką...

„Bardzo szybko...”

– Bauer! Sarah Bauer!

Wołanie strażnika odbijało się echem od ścian celi. Po echu zapadła cisza, pusta w czarnej celi, która zdawała się wszystko pochłaniać.

– Sarah Bauer!

Głośno powtórzył swoje wezwanie, ale i tym razem nie było odpowiedzi.

Tak jak wosk świecy, życie Sarah spalało się powoli, delikatnie skapując z krawędzi kandelabru, aż w końcu wąty płomyk migotał ponad ostatnimi resztkami płynnego wosku.

Karetką przewieziono ją do szpitala Pitié-Salpêtrière, gdzie położono ją w sali zarezerwowanej dla więźniów. Na wpół przytomna Sarah słuchała z ust lekarzy słów takich jak: hipotonia, odwodnienie i arytmia. Ona sama wiedziała tylko, że czuje się śmiertelnie zmordowana, tak że nie była w stanie utrzymać się na nogach ani podnieść głosu, żeby poprosić o zostawienie jej w spokoju i pozwolenie na sen, bo chciała tylko odpocząć.

– Jest ciężko niedożywiona – poinformował Georga jakiś lekarz kapitan.

– Jak ciężko?

– W dwa dni zmarłaby z odwodnienia. Nie wiem, czy uda nam się ją uratować.

Georg przez okno sali przyglądał się obrazowi Sarah. Wyglądała jak jakiś cholerny trup, blade i kościste ciało zakopane w szpitalną pościel; biel na bieli.

Krew zaczęła mu wrzeć już tam, a wybuchł, gdy dotarł na rue des Saussaies, w gabinecie

Hausera. Wściekle krzyki majora von Bergheima można było usłyszeć na całym piętrze.

Wyszedł z budynku gestapo jeszcze owładnięty niepokojem i wściekłością, po czym schronił się w jakimś klubie na Pigalle. Zgubił się pośród papierosowego dymu i zapachu dziwek i pił bez umiaru, aż wsparty na barze stracił przytomność.

\*



## MAGIA POSZUKIWANIA

Zostawiłam tusz na umywalce i pobiegłam otworzyć drzwi pokoju, usłyszawszy delikatne stukanie po drugiej stronie.

– Dzień dobry – zaśpiewał Alain.

– Pięć minut. Za pięć minut będę gotowa.

Wróciłam do łazienki, żeby nałożyć do końca tusz na rzęsy zmaltretowane po przespanej nocy.

Alain wszedł za mną do pokoju i zamknął drzwi. Niemal natychmiast wydał z siebie teatralny gwizd.

– To ci dopiero bukiet róż. W moim pokoju takiego nie było.

– Są od Konrada – wyjaśniłam mu z łazienki.

– Przysłał ci kwiaty do Sankt Petersburga? Cholera...

– Na pewno wybrała je i wysłała któraś z jego sekretarek. Nie sędzę, żeby on wiedział chociaż, czy to róże, czy chryzantemy. – Nie powiedziałam tego cierpko (tak naprawdę byłam wdzięczna za to, że pośród tysięcy rzeczy, które miał na głowie, pamiętał o tym, żeby polecić sekretarce zamówić kwiaty do mojego pokoju), po prostu stwierdzałam coś, co było dla mnie oczywiste. Może dlatego moje słowa były chłodniejsze, niż zamierzałam.

– Gdybym był Konradem, nie spodobałyby mi się twoje słowa.

Wychyliłam się zza drzwi do łazienki, jeszcze z pędzelkiem tuszu w ręku. Alain ciągle patrzył na róże, bordowe i wielkie jak pięści.

– Tak. Ale ty nie jesteś Konradem.

Także jedna z jego sekretarek zarezerwowała nam pokoje w hotelu Astoria w samym centrum Sankt Petersburga, zaledwie o piętnaście minut spacerkiem od Rosyjskiej Biblioteki Narodowej, gdzie umówiliśmy się z Iriną Jegorową. Ucieszyłam się, że spotkanie było po południu, przynajmniej będę miała czas na szybką wizytę w Ermitażu.

Gdy wyszliśmy z hotelu, niebo było bezchmurne, miało lazurowy kolor, lazur porcelanowy. Niewielkie płatki śniegu szybowwały w powietrzu, jakby wydobywały się z nicości. Śnieg był suchy i drobny, przyczepiał się do włosów i ubrań. Spacerowaliśmy jakby w konfetti albo pośród plastikowych gwiazdeczek, do których podobne były lodowe kryształki. Było w tym spacerze coś z realizmu magicznego, z pięknymi budynkami Sankt Petersburga, jego kościołami, jego parkami i mostami nad Newą, ukrytymi przed światłem słonecznym i spowitymi białym, lśniącym kurzem.

Alain dobrze znał miasto, był tam kilka razy, za pierwszym podróżując z plecakiem i ostatnim – zaproszony na wykład na uniwersytecie. A jednak wydawało się, że przygląda mu się po raz pierwszy. Każda ulica i każda fasada, każda perspektywa i każdy zakątek wydawały się nowe w jego oczach i cieszył się nimi z tym samym entuzjazmem. „To światło. Nigdy nie widziałem Sankt Petersburga w tym świetle. To nie jest szare miasto, które pamiętam”, wyznał, szkicując wszystko w swoim notesie Moleskine.

Nie sposób zwiedzić Ermitażu w kilka godzin, ale ja doskonale wiedziałam, co chcę zobaczyć.

– Czy to nie jest niesamowite? – wyszeptalam podniecona przed *Judytą* Giorgionego. – Obraz przedstawia brutalną scenę, ale emanuje spokojem i niewyjaśnioną czułością.

Rysy Judyty są delikatne, jej twarz spokojna, pejzaż sielankowy... ale bezlitośnie depta głowę Holofernesa, którą sama oderznęła, uwiódłszy go wcześniej. Przez całą historię malarstwa setki twórców powielały ten mit na swoich obrazach, zawsze odzwierciedlając brutalność i gwałt

zdarzenia. Giorgione dla odmiany stworzył dzieło o wielkiej delikatności: elegancką Judytę, Holofernesa, który jest zaledwie brunatną plamą w dole obrazu, romantyczne otoczenie i uspokajające barwy w pastelowych tonach. Giorgione był malarzem o szczególnej wrażliwości...

Alain stał w ciszy, o krok za mną, jakby chciał się trzymać na uboczu tej intymnej chwili, mojego spotkania twarzą w twarz z obrazem, podczas gdy Giorgione przemawia do mojego serca.

Dopiero po kilku minutach zdecydował się podejść, żeby przyłączyć się do mnie w mojej namiętności.

– Teraz rozumiem, dlaczego wybrałaś Giorgionego na swój doktorat.

– Jest wielu innych artystów, sławniejszych, i wiele innych dzieł znacznie bardziej cenionych. Nie pytaj mnie dlaczego, ale tylko obrazy Giorgionego przyprawiają mnie o gęsią skórę. Nie są szczególnie widowiskowe, ale w jakiś sposób mnie poruszają: twarze, sceny, światło, kolory... Tylko ktoś nadzwyczajny mógł malować z taką wrażliwością. Dlatego Giorgione mnie intryguje, intryguje mnie człowiek stojący za obrazem. To niesprawiedliwe, żeby ktoś, kto zostawił nam takie cuda, był postacią niejasną i źle interpretowaną.

Rozmowa o namiętnościach jest trudna i niebezpieczna. Czasem jednak sztuka zdoła pobudzić uczucia i rozbudzić namiętności z siłą uderzenia w twarz albo delikatnością pieczyoty, to zależy od sytuacji.

W Ermitażu zaczęliśmy rozmawiać o Giorgionem. W porze obiadu rozmawialiśmy o Konradzie.

– Jak go poznałaś? – To pytanie pojawiło się na koniec obiadu, gdy piliśmy herbatę i jedliśmy morelowe pierniki.

– Przez mojego ojca. Jest marszandem i czasem udawało mu się znaleźć dla niego coś interesującego. Poznaliśmy się na jakiejś wystawie, na którą poszłam z ojcem. Było lato, a klimatyzacja w sali się zepsuła, było piekielnie gorąco. Konrad i ja skończyliśmy wieczór na ławce na ulicy, siedząc na oparciu i rozmawiając o Jacksonie Pollocku i ekspresjonizmie abstrakcyjnym, aż przyszedł jakiś żebrak i chciał się położyć spać na swojej ulubionej ławce, więc nas przegonił. Kiedy się o tym tak mówi, nie brzmi to jakoś szczególnie romantycznie ... – przyznałam z uśmiechem. – Ale następnego dnia zaprosił mnie do Galerii Thyssen. Wizyta była prywatna, tylko dla naszej dwójki, poza normalnymi godzinami otwarcia. Codziennie kwiaty, klejnoty bez okazji, kolacja w Monako, wieczór zakupów w Mediolanie, spektakl w Londynie... Sposoby na zdobycie kobiety stosowane przez Konrada nie są zbyt konwencjonalne i niemal nie sposób im się oprzeć.

Dlaczego zabrzmiało to jak usprawiedliwienie? Dlaczego wydawało się, że się usprawiedliwiam z zakochania w Konradzie?

– Z tego, co opowiadasz, trudno byłoby się nie zakochać w Konradzie Köllerze. – Zdaje się, że Alain czytał w moich myślach.

– Tak, trudno się w nim nie zakochać – zapewniłam go, żeby zaraz potem się zamyślić. Właśnie coś odkryłam. – Konrad jest w jakimś stopniu jak von Bergheim: łatwo zakochać się w jego obrazie. Jednak czasem odnoszę wrażenie, że nic o nim nie wiem. Jest tak, jakbym była częścią scenerii, na której tle on gra dla swojej publiczności, a ja jeszcze nie weszłam do garderoby, gdzie mogę spotkać prawdziwego Konrada...

Powiedziałam to, nie mając na uwadze miejsca ani słuchaczy. Myślałam tylko o mówieniu do samej siebie, a słowa płynęły, bo w kilku zdaniach udało mi się zawrzeć lata niepokoju. Kiedy zdałam sobie sprawę, że Alain zaniemował, zrozumiałam, że nie było zbyt roztropne niechcący dzielić się z nim tym osobistym odkryciem. I czułam się głupio: kochałam

Konrada i sposób, w jaki go kochałam, czy też po prostu sposób, w jaki to postrzegałam, był wyłącznie mój.

– Przepraszam... Nudzę cię swoimi historiami.

– Sam cię o to zapytałem.

Otuliłam się marynarką, jakby zrobiło mi się zimno, i spuściłam wzrok na pustą filiżankę; po tym sentymentalnym striptizie krępowało mnie spojrzenie Alaina, jakbym rzeczywiście się przed nim obnażyła. Czułam się, jakbym stała przed sędzią, którego wyrok skrywał się za tajemniczym spojrzeniem, tak ciężka była cisza naładowana tym, czego nie miał śmiałości powiedzieć, podobnie jak chmury ładują się ładunkami elektrostatycznymi w oczekiwaniu na iskrę, która uwolni piorun.

Alain westchnął, jakby w ten sposób chciał rozładować napięcie.

– Poproszę o rachunek, bo spóźnimy się na spotkanie z Iriną – uciął w końcu, kładąc kres naładowanemu ładunkami elektrostatycznymi nastrojowi.

Zawsze myślałam, że dawne biblioteki są miejscami magicznymi i że jest w nich coś nadnaturalnego. Musi coś być, bo w ich murach zbierają się cała wiedza, nauka, tradycja i doświadczenie minionych czasów.

Uważam, że książki posiadają aurę, jak każde dzieło sztuki. Książka to nie plik papierów, tak jak obraz nie jest płótnem, jedno i drugie to kreacja w czystej postaci, energia twórcza, i dlatego mają aurę.

Jestem przekonana, że gdybym kiedyś została w starej bibliotece po zamknięciu, sama i po ciemku, mogłabym zobaczyć lśnienie półek jak ogni świętego Elma nad masztami żaglowca. Słyszałabym też ich głos: szmer kartek i szept atramentu. Jestem przekonana, że książki mówią i oddychają, a im są starsze i dłużej leżały wystawione na miłość czasu, łatwiej można dostrzec ich życiowe stałe.

Nie mogłam uniknąć wrażenia tej magii, kiedy weszłam do pałacu w Sankt Petersburgu, gdzie mieściła się Rosyjska Biblioteka Narodowa. W ciszy, w ciszy zakłócanej szelestem i szmerami; zapach, zapach kurzu i papieru, pastowanej drewnianej podłogi, starości; wizja szeregów półek ściśniętych jedne z drugimi na gubiących się w dali regałach, o światłach zamkniętych w lampkach czytelnicy, sklepionych i polichromowanych sufitach i szerokich oknach wyglądających na miasto. Magię można kosztować zwykłym smakowaniem językiem przy zamkniętych ustach.

– To jest przejmujące. Dostaję gęsiej skórki – wyznałam Alainowi niemal na ucho. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– To z czułości... Bardzo mnie rozczuła, że wszystko przyprawia cię o gęsią skórkę. – Uśmiechnął się kpiarsko.

Irina Jegorowa czekała na nas w sali rękopisów, która była pusta, bo niewielu ludziom wolno tam wchodzić. Panowało mdłe światło, przygaszone ciemną patyną drewna i starych książek. Nasze kroki rozbrzmiewały echem pod sklepieniem, fantasmagoryczne echo, a gdy tylko się wchodziło, człowiek odczuwał szorstki i enigmatyczny uścisk czasu. W sali rękopisów spoczywały perły biblioteki, najstarsze i najcenniejsze książki, zamknięte w witrynach, bo nawet podmuch powietrza mógł je zniszczyć, tak jak postać z piasku rozpada się, gdy przesuwamy po niej palcami. W tej sali można było odnieść wrażenie, że zostało się przeniesionym do innego czasu i innego świata, bliskiego fantazji; można było niemal dotknąć aury tych książek, nadającej miejscu nastrój nierealności.

– Mademoiselle Jegorowa! – pozdrowił ją Alain serdecznie.

Irina Jegorowa rozłożyła ramiona, eksponując obfity biust.

– Jak to mademoiselle Jegorowa? Alainie Arnoux, nie będziesz mi teraz wyskakiwał

z etykietą! – Wyrzuciła z siebie głośny śmiech i rzuciła się na niego, obdarzając nie mniej głośnymi pocałunkami w policzki.

Zaskoczył mnie jej wygląd. Z jakiegoś dziwnego powodu od pierwszej chwili, kiedy Alain mi o niej powiedział, byłam przekonana, że Irina nie jest dla niego zwyczajną koleżanką; nie miałam wątpliwości, bo spuścił wzrok, kiedy o niej mówił, i był bardzo oszczędny w słowach, co dla mnie nieomylnie stanowiło oznakę ich cielesnego związku, dobrego czy złego. Przypuszczam, że my, kobiety, nie zaznamy spokoju, dopóki nie znajdziemy pary dla znajomego mężczyzny. Zaraz wymyśliłam sobie młodą Słowiankę, piękną i bystrą, z blond włosami, niemal białymi, długimi i prostymi, oraz wielkimi niebieskimi oczyma. Jej wygląd byłby niewinny i anielski. Jej ciało, drobne, ale zgrabne, niczym delikatna porcelana. Byłaby to doskonała dziewczyna dla Alaina. Nawet przyszło mi do głowy, że ta niespodziewana podróż do Sankt Petersburga była tylko wybiegiem ich obojga, żeby móc się zobaczyć; czegóż to dzisiaj nie da się załatwić przez telefon albo przez pocztę elektroniczną? Wymyśliłam sobie cały film wokół zwykłego imienia i nazwiska: Irina Jegorowa.

No więc ta Irina w żadnym calu nie przypominała tej, którą sobie wymyśliłam. Przede wszystkim była kobietą ogromną, zarówno wzdłuż, jak i wszerz. Nie miała blond włosów, tylko ciemne i kręcone, krótkie, bo sięgające zaledwie do uszu. Jej oczy były niebieskie, ale małe, jeszcze mniejsze za okularami w złotych drucianych oprawkach. Nie miała niewinnego, anielskiego wyglądu, ale wręcz przeciwnie, była uosobieniem pancernika *Potiomkina*, ogromnego i rozkołysanego. I miała pewnie z sześćdziesiąt lat... Chociaż nie tak dziwne rzeczy już widywano, tak jak wymyśliłam historię miłości pomiędzy Alainem a Iriną, gdy tylko ją ujrzałam, zaraz ją skreśliłam.

– Jakże się cieszę, że znowu cię widzę, Irino Jegorowa! Jesteś jak zawsze bardzo piękna... Nie, bardziej jeszcze – odezwał się Alain spomiędzy ramion Iriny, wystających jak wielkie salami z rękawów sukienki w kwiaty.

– Jesteś zatwardziałym kłamcą, Alainie Arnoux – śmiała się Irina. – Ale miło mi tego słuchać, nawet jeśli to kłamstwo. Już nikt nie mówi ładnych rzeczy takiej starej babie jak ja. Ty to dopiero dobrze wyglądasz, chłopcze, znacznie lepiej niż z tą okropną marksistowską brodą – zauważyła, klepiąc go po gładko ogolonych policzkach. Bardziej się z nią zgodzić nie mogłam.

Alain przyjął komplement z grymasem wstydu i wykorzystał sytuację, żeby odwrócić uwagę od swojej brody i osoby, wyciągając z plecaka białe pudełko.

– Masz, przywiozłem ci ciasteczka z orzechami laskowymi do herbaty.

Kobieta uniosła wieczko pudełka i kiedy zobaczyła rządki lukrowanych ciasteczek, jej okrągłe i zaczerwienione policzki przeciął uśmiech łakomstwa.

– Ach, łotrze, jak dobrze mnie znasz. Wiesz, jak lubię słodczy. Któregoś dnia moja krew zamieni się w marmoladę. – Zaśmiała się z własnego dowcipu. – Bardzo dziękuję.

Po powitaniach i prezentach nadeszła kolej na mnie. Alain objął mnie ramieniem, żeby doprowadzić do sceny.

– Irino, przedstawiam ci panią doktor Anę Garcję-Brest. Mówiłem ci, że z nią współpracuję.

– Ach, tak, tak, tak...

Wyciągnęłam do niej rękę, która ona złapała, żeby mnie do siebie przyciągnąć i zasypać takimi samymi pocałunkami jak wcześniej Alaina.

– To wielka przyjemność, kochana.

– Dla mnie również, mademoiselle Jegorowa.

– Nie, kochana, nie; Irina, Irina – powtórzyła, jakby uczyła mnie mówić. – Przyjaciele Alaina są moimi przyjaciółmi.

– A więc Irina – potwierdziłam zachęcona jej gorącym powitaniem. Kto powiedział, że Rosjanie są zimni? Później dowiedziałam się, że ta kobieta urodziła się w tej samej wiosce co Nikita Chruszczow, Kalinowka na południu Rosji, przy granicy z Ukrainą; zdaje się, że Rosjanie z południa charakteryzują się wylewnością.

– Dobrze, dobrze, cieszę się, że wszystko u was w porządku i że świetnie się trzymacie. Jak tam podróż? Po raz pierwszy jesteś w Sankt Petersburgu, Ano? Jak ci się podoba miasto?

Irina nie miała żadnego problemu, żeby swoimi ramionami objąć nasze ramiona i z naszej trójki zrobić silnie zjednoczoną grupę, jakbyśmy mieli zaśpiewać jakąś ludową pieśń.

– Tak, tak, pierwszy raz. Miasto wydaje mi się cudowne. Niestety nie miałam wiele czasu, żeby je pooglądać. Będę musiała wrócić na spokojnie.

– Dobrze zrobiłaś, Irino, umawiając się z nami w Sankt Petersburgu. To była przynęta, obok której nie sposób przejść obojętnie – zażartował Alain.

– Nie przeleciałbyś przez pół Europy, Alainie Arnoux, tylko po to, żeby mnie zobaczyć. Ale żeby pokazać piękne miasto pięknej kobiecie... to już inna historia, co? – dalej żartowała i zakończyła żart uderzeniem Alaina łokciem pod żebro i tym swoim charakterystycznym śmieszkim. – Dość tych żartów, Irino – skarciła samą siebie. – Wezwałam was tutaj, bo wasza prośba otworzyła skrzynię z żywiołami – szepnęła teatralnym tonem tajemnicy. – Rozbudziliście ciekawość Iriny Jegorowej, a to może być przerażające! – Nie była w stanie mówić poważnie przez długi czas. – Ale nie przyspieszajmy wydarzeń. Tymczasem nie. Chciałam, żebyście przyjechali, między innymi po to, żebyście poznali mojego brata, Antona Jegorowa, wicedyrektora Działu Rękopisów tej biblioteki. Czeka na nas w swoim gabinecie. Chodźcie ze mną.

Anton Jegorow stanowił męską wersją swojej siostry Iriny. Był równie wielki, miał równie niebieskie oczy, a włosy tak samo kręcone i czarne, chociaż szpakowate, bo ich sobie nie farbował. Co do sympatyczności nie ustępował siostrze i na lewo, i prawo rozdawał takie same głośne pocałunki.

W jego gabinecie zebraliśmy się wokół inkrustowanego laką stołu z drewna orzechowego z epoki Romanowów, przed katalogiem CDAWOWU, państwowego archiwum Ukrainy.

– Niestety nie po raz pierwszy jestem świadkiem kradzieży dokumentów. Nieważne, czy instaluje się kamery, wykrywacze metali i wprowadza kontrolę karty badacza... Zawsze jest tego za mało, żeby uniknąć kradzieży.

– I będzie dopóty, dopóki będzie istniał czarny rynek dokumentów historycznych – dodał Alain.

Irena ze smutkiem skinęła głową, żeby zaraz wrócić do naszej sprawy.

– Ale ten przypadek jest inny... – oświadczyła tajemniczym tonem.

Dramatyczna pauza posłużyła jej do otwarcia katalogu na stronie, na której znajdował się wpis dotyczący akt Delmedigo.

Anton, Alain i ja czekaliśmy w napięciu, wsparci na stole, wszyscy – niczym jedno bractwo – objęci tym samym światłem proszącym na nas z sufitu, zamykającym nas w jasnym kole, poza którym wszystko wydawało się ciemne, jakbyśmy byli zawieszani w próżni.

– Bardziej niż na kradzież wygląda to na próbę usunięcia ich śladów z powierzchni ziemi – wyjawiała Irina.

– Co chcesz powiedzieć? – Alain jako pierwszy wypowiedział te słowa, które mnie też cisnęły się na usta.

– Pracujecie w archiwach, więc wiecie, że my, archiwiści, mamy różne instrumenty kontroli i opisu źródeł dokumentalnych. Jedne są do użytku wyłącznie wewnętrznego, a inne publicznego, aby ułatwić pracę badaczy. Z tych ostatnich fiszki katalogowe są instrumentem

najbardziej kompletnym w odniesieniu do opisu zawartości dokumentu. No i fizyczne fiszki, które oddano do wglądu wraz z dokumentami, także zaginęły – przypuszczam, że ukradła je ta sama osoba. Ale na tym nie koniec, komuś udało się włamać do systemu informatycznego CDAWOWU i wymazać rejestry fiszek katalogowych akt Delmedigo. Nie zostało prawie nic na temat tego, co to były za akta i co zawierały. Nic oprócz krótkiego opisu w książce rejestrów i w katalogu – zakończyła, kładąc rękę na kopii, którą ze sobą przyniosła.

– Możemy zobaczyć katalog? – poprosił Alain.

– Nie ma przeciwwskazań, ale cały jest po ukraińsku. Przygotowałam wam tłumaczenie na francuski – dodała Irina, kładąc jeszcze jedną kartkę. – Zobaczycie, że poziom informacji jest bardzo podstawowy. Akta zostały sklasyfikowane krótko po zakończeniu wojny, kiedy trzeba było opracować nieprawdopodobną liczbę dokumentów, więc wszystko robiono raczej szybko niż szczegółowo.

Alain położył kartkę i katalog w taki sposób, żebyśmy wszyscy je widzieli. Cyrylica od razu wybiła mi z głowy śledzenie ukraińskiego tekstu, więc skupiłam się na tłumaczeniu.

774(935)-23 R15

AKTA DELMEDIGO

*16 grudnia 1941, Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg, Berlin*

Obserwacje: rodzaj Ścisłe Tajne według źródła

Zawiera:

1. List hrabiego Pico della Mirandoli do Eliasza Delmedigo. Florencja, 15 maja 1492.

Pochodzi z archiwum w Salonikach, Grecja.

Oryginał po łacinie. Kopia przetłumaczona na niemiecki.

2. Raport z rozmowy z baronem Heinrichem Thyssen-Bornemisza de Kaszon. Lugano, 3 listopada 1941.

3. Oryginał w języku niemieckim.

4. Studia genealogiczne rodziny Franza Bauera. Paryż, 1 grudnia 1941.

5. Oryginał w języku francuskim. Kopia przetłumaczona na niemiecki.

Alain podrapał się po karku.

– Cóż, przynajmniej jest to więcej, niż mieliśmy. – Był optymistą.

– To przygnębiające – wyznałam z głębokim westchnieniem. – Co na to policja, Irino?

Czy jest jakaś możliwość odzyskania tych dokumentów?

Irina prychnęła z rezygnacją.

– Policja? Policja, kochana, zwykle nic nie mówi. Co więcej, z doświadczenia powiem ci, że nie złapią typa, który podprowadził te dokumenty. Mogliby co najwyżej natrafić na niego, gdyby znowu coś zrobił, gdyby chodziło o niepoprawnego złodzieja albo gdyby był członkiem jakiejś siatki dostarczającej towar na czarny rynek. Ale to nie jest normalna kradzież. Nie jest... – powtórzyła z naciskiem.

– Dlaczego tak uważasz? – chciał wiedzieć Alain, który bardziej dowierzał doświadczonemu oku archiwistki niż policji.

– Po pierwsze dlatego, że jak wam powiedziałam, zabrali także fiszki. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy wcześniej w mojej długiej karierze archiwistki. Po drugie, dlatego że zhakowali system... – Wydało mi się komiczne, że Irina używa słowa „zhakowali”; to tak jakby słodka babunia nagle siarczyście zakłęła. – Po trzecie, ze względu na rejestr kontroli udostępniania. Akta zostały zamówione pocztą jakieś dwa tygodnie przed waszym telefonem. To ciekawe, bo odkąd je odtajniono na początku lat dziewięćdziesiątych, to znaczy od prawie dwudziestu lat, nikt do nich nie zaglądał. Przyniosłam wam kopię formularza podania. Też jest po ukraińsku, chociaż w danych klienta nie ma nic zaskakującego, jakiś niemiecki dziennikarz

śledczy. Rzecz jasna wszystko fałszywe, zarówno legitymacja badacza, jak i paszport, za pomocą którego wszedł do archiwum, na nazwisko niejakiego Georga von Bergheima.

Nie mogłam zobaczyć samej siebie, ale byłam pewna, że zbladłam, bo poczułam, że krew niemal nie dopływa mi do głowy. Chyba Alain natychmiast na mnie spojrział. Chociaż nie jestem pewna, bo nie byłam w stanie oderwać wzroku od tego nazwiska.

– Co się dzieje? – bystro zauważyła Irina.

– Georg von Bergheim to major SS, który zajmował się Operacją Szmaragd. Zmarł w 1946 roku.

– To wiadomość dla mnie – wyszeptalam cienkim głosem, czując, że po plecach przebiega mi dreszcz, jakby nagle ktoś otworzył okno w głębi pokoju.

Alain czule pogładził mnie po ramieniu w nadziei, że mnie pocieszy.

– Ana dostała już groźby podpisane nazwiskiem Georg von Bergheim – wyjaśnił.

Oczy Iriny rozszerzyły się jak migawka aparatu.

– Groźby?

– Żeby zostawiła te poszukiwania – wyjaśnił Alain.

– Rozumiem. – Jej oczy ponownie zrobiły się małe i przebiegłe.

– W końcu uda mu się osiągnąć to, do czego dąży: rzucę ręcznik. Nie przejmuję się groźbami. – Oczywiście, że się nimi przejmowałam, tylko udawałam kozaka. – Ale za każdym razem, kiedy wydaje nam się, że otworzyliśmy jakieś drzwi, one zamykają nam się przed nosem, więc ciągle krążymy w miejscu.

Wtedy Anton Jegorow, który przez cały czas siedział poza naszym kręgiem światła, w ciszy i pośród ciemności, ciężko oparł się na stole i poważnym głosem, we francuskim naznaczonym silnym rosyjskim akcentem, oświadczył:

– Nie powinnaś tracić ducha, droga przyjaciółko. – Jego ciepła dłoń klepała moją zimną.

– Nie możesz pozwolić na to, żeby wygrał człowiek okaleczający historię. Nikt nie ma prawa knebłować tego, co przeszłość ma nam do powiedzenia. – O ile Irina była prozaiczna i nieskomplikowana w swoich wyjaśnieniach, Anton był alegoryczny, a jego słowa pełne były ozdobników. – Może i zamknięto ci drzwi... ale my chcemy otworzyć okno. – Skwitował swoją sentencję ciepłym i tajemniczym uśmiechem.

Anton odsunął krzesło, wstał z powściągliwością człowieka podnoszącego ciężkie ciało i skierował się do swojego gabinetu. W ciszy tego miejsca jego ruchy przełożyły się na sekwencję szmerów i dyszenia. Zapalił lampkę i wziął paczkę leżącą na stole skrupulatnie uporządkowanym i zaskakująco pustym jak na stół roboczy. Następna sekwencja szmerów i dyszenia przywiodła go z powrotem do nas.

Ostrożnie, niemal uroczyście Anton postawił paczkę przed naszymi oczyma: była mała i zawinięta w coś, co wyglądało jak zorflex<sup>[3]</sup>, którego używa się do ochrony bardzo cennych przedmiotów przed zanieczyszczeniem.

– Tutaj macie swoje otwarte okno – obwieścił.

Anton zobaczył chyba niepokój w naszych twarzach, bo zaraz ponaglił siostrę, żeby rozwiała wszelkie wątpliwości.

– Opowiedz im, Irino, co tu dla nich mamy.

Rodzeństwo wymieniło porozumiewawcze uśmiechy.

– Okropne zbezczeszczenie tych akt zdołało mnie oburzyć bardziej niż cokolwiek innego wcześniej – zaczęła opowiadać Irina. – Ty, Alainie, zwróciłeś się do mnie o pomoc, a ja nie mogłam nic ci dać! Moja praca polega na pilnowaniu całości dokumentacji, więc rzeczy takie jak ta doprowadzają mnie do szału, zwłaszcza jeśli muszę świecić oczami przed przyjacielem...

Alain chciał jej wyjaśnić sprawę, ale ona nie pozwoliła sobie przerwać – bardzo dobrze

wiedziała, dokąd zmierza.

– Zaczęłam szukać wyjścia jak zwierzę zamknięte w klatce. Raz za razem czytałam notatkę z rejestru. Słyszałam w głowie swego rodzaju szemranie, jakby pracowała sprężyna czekająca, aż mechanizm zaskoczy. Klucz znajdował się w Salonikach. Przypomniałam sobie, że powiedziałeś mi, Alainie, że jest bardzo możliwe, że te akta należą do źródeł dokumentalnych i bibliograficznych ERR, wywiezionych z Berlina do Raciborza, a po zakończeniu wojny przetransportowanych do Związku Radzieckiego przez Armię Czerwoną. I rzeczywiście tak było. Przejrzałam resztę archiwów, szczególnie te pochodzące z Salonik, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie natknę się na inną wzmiankę o Eliaszu Delmedigo albo o Pico della Mirandoli. Nic nie znalazłam. Wtedy przyszło mi do głowy, że w Kijowie umieszczono tylko dokumenty ERR, a bibliografię przeniesiono do Sankt Petersburga, do tej biblioteki. I w związku z tym poprosiłam o pomoc Antona...

Irina spojrzała na brata, żeby oddać mu głos.

– Tak jest. Problem w tym, że my, bibliotekarze, nie byliśmy ani skrupulatni, ani szybcy, jeśli chodzi o katalogowanie materiałów pochodzących z Raciborza. Mnóstwo skrzyń z książkami i rękopisami spędziło całe dziesięciolecie w piwnicach pewnego opuszczonego kościoła w Uzkoje pod Moskwą, pokrywając się kurzem i gołębimi odchodami. Potem przywieźli je nam tutaj, więc leżały teraz w naszych piwnicach. Od czasu do czasu otwierano jakąś skrzynię i przeprowadzano jej inwentaryzację, wiele więcej nie robiono. Nawet po 2001 roku i po dekrete zobowiązującym nas do inwentaryzacji wszystkich materiałów z drugiej wojny światowej proces był bardzo powolny. Kiedy zadzwoniła do mnie Irina z pytaniem o materiały z Salonik, mogłem ją jedynie zapewnić, że jest kilka skrzyń z przejętymi przez Niemców książkami pochodzącymi z bibliotek Żydów z Salonik. Skrzynie, których w ogóle nie otworzono od 1945 roku... Ale cóż, przyjaciele, moja kochana Irina jest niespokojną i skuteczną archiwistką! Przyjechała tutaj, do Sankt Petersburga, i w kilka dni zrobiła inwentaryzację wszystkich skrzyń, których nie otwierano od lat. – Anton zaśmiał się piskliwie, podczas gdy Irina zaczerwieniła się z niejaką dumą.

– To prawda – wyznała. – Złapałam Antona za chabety i zawlokłam do piwnicy. Paczka za paczką, książka za książką... Niech to stąd nie wyjdzie – nie znoszę dawać pożywki prasie sensacyjnej – ale w tych piwnicach gniły prawdziwe klejnoty: rękopisy greckie i hebrajskie, inkunabuły... – Miłośniczka papieru i historii, którą Irina była w głębi ducha, dostawała białej gorączki od samego myślenia o tym. – Ale do czego zmierzam, po czterech dniach intensywnej pracy znaleźliśmy to... Pokaż im, Anton.

Nasze spojrzenia powróciły do przystrojonej żałobnie paczki, stojącej na stole pod niemal ojcowskim oknem Antona.

Ta chwila i to, co po niej nastąpiło, emanowało napięciem: kapłan zwrócił się ku sanktuarium, nabożnie wyciągnął święte naczynia, ustawił je na ołtarzu i wznosił ręce do nieba, czekając na błogosławieństwo.

Anton, niczym kapłan, włożył białe bawełniane rękawiczki i ostrożnie zaczął ściągać czarny materiał z aktywnym węglem. W miarę jak odwijał tajemniczy przedmiot, powietrze zdawało się napełniać szczególną wonią starego papieru. Stopniowo pokazywał się nam, odcinając się na czarnej tkaninie, plik pożółkłych, niemal brunatnych kartek przewiązanych rzemieniem.

– Matko boska... – nie mogłam powstrzymać szeptu. – Jaki piękny...

– Niesamowity, prawda? – zauważył Anton, zachęcony moim zainteresowaniem. – Rękopis z końca piętnastego wieku: cudowny... Okładki są z wytłaczanej skóry, a papier z bawełnianych włókien. Inkaust jest żelazowy, na pewno z galasem<sup>[4]</sup>, stąd brązowy kolor,



będący skutkiem oksydacji z upływu czasu... Och, przepraszam, poniosło mnie...

– Nie musisz się usprawiedliwiać, Antonie. To rzadko spotykany skarb – poparłam jego przypyływ entuzjazmu.

– Oczywiście, że tak. To prawda. Ale nie przynieśliśmy go tu dlatego... Ten skarb ujrzał światło dzienne dzięki Irinie, jej ciekawości i wytrwałości.

Słowa Antona wywołały u siostry półuśmiech. Potem ekspert od manuskryptów ogłosił w sposób napuszony:

– Dobrze się przypatrzcie, moi przyjaciele. Stoicie przed dziennikiem hebrajskiego filozofa Eliasza Delmedigo.

Nasze oblicza w jednej chwili rozjaśnił uśmiech. Daliśmy się ponieść nastrojowi stworzonemu przez Jegorowa: półmrok gabinetu, rytuał objawienia, oczekiwanie i tajemnica. Ale tak naprawdę nie byliśmy w stanie określić znaczenia tego znaleziska; nie mieliśmy pewności, że manuskrypt Delmedigo może być użyteczny dla naszego poszukiwania.

Irina, jakby pojęła nasze wątpliwości, zabrała głos, żeby podać nam więcej informacji na temat odkrycia.

– Kiedy z Antonem znaleźliśmy rękopis, ledwie widoczny na dnie skrzyni, zakopany pomiędzy znacznie bardziej opasłymi tomami, nie za bardzo wiedziałam, czy rzeczywiście tego szukamy. Czy Elias Delmedigo będzie mówił o *Astrologu* na stronach, na których zebrał swoje najbardziej intymne rozważania? Przyszło mi nawet do głowy, że nie, bo nie znajdowałam żadnej wzmianki... Aż dotarłam niemal do końca, do notatki sporządzonej krótko przed śmiercią, która nastąpiła w 1493 roku.

Irina zrobiła przerwę i jakby to wszystko było częścią dobrze przećwiczonego przedstawienia, Anton, bez jednego słowa polecenia, otworzył rękopis. Neurochirurg nie posługiwałby się tą relikwią z większą ostrożnością. Ledwie dotykał stron dłońmi w rękawiczkach i przewracał je niemal w zwolnionym tempie, jak gdyby można je było połamać samym dotykiem. W sumie papier groźnie skrzypiał, od czego włosy jeżyły nam się na głowie, gdy patrzyliśmy na tę delikatną operację.

Na ostatnich stronach pliku Anton się zatrzymał. Otwarty manuskrypt pozwalał stwierdzić, że papier jest dość zniszczony. Upływ czasu, wilgoć i żelazowy inkaust niszczyły go, więc stał się tak cienki, że ledwie można było dostrzec litery w kolorze ochry. Mimo to widać było piękną hebrajską kaligrafię, zdecydowaną i dokładną.

– Tutaj macie wpis: *20 Tevet 5253*. To data z kalendarza hebrajskiego oznaczająca 18 stycznia 1493 roku według kalendarza gregoriańskiego. Przeczytam wam tłumaczenie.

Irina wzięła zeszyt, poprawiła okulary i zaczęła czytać:

Przezuwam, że osacza mnie śmierć, że kręci się niczym wygłodniały wilk po obrzeżach mego domu. Może dlatego nawiedzają mnie wiecznie myśli o niedokończonych sprawach.

Dawno nie miałem wiadomości o negocjacjach mojego dobrego przyjaciela hrabiego Pico della Mirandoli dotyczących *Astrologa*. Ta cisza mnie niepokoi. Jak również niepokoi mnie myśl, że tajemnica Szmaragdowej Tablicy mogłaby wyjść na światło dzienne. Ludzkość nie jest gotowa na to, co YHVH chciał pozostawić poza zasięgiem naszego pojmowania. Szmaragdowa Tablica jest narzędziem diabła, które niechybnie zachwieje fundamentem naszej wiary i naszego porządku, naszego świata, a nawet zawali go, doprowadzi nas do samozagłady.

Wawrzyniec Medyceusz był mędrce wyznaczonym przez Przedwiecznego, aby narzucił rozsądek strzeżenia podobnego sekretu i związanych z nim zagrożeń. Niestety nie pokładam takiego samego zaufania w jego następcy. Błagam Niebiosa, aby hrabia Pico odnalazł konieczną inspirację i zdołał przekonać ojca Ficina i mistrza Giorgia o potrzebie zniszczenia *Astrologa* i wymazania na wieki śladów Szmaragdowej Tablicy.

Przez kilka sekund echo słów Iriny unosiło się w powietrzu. W ciężkim powietrzu, przepelnionym zbyt wieloma cennymi rzeczami, nieskończonymi sekretami: całą energią emanującą z logiki, intuicji i niepokoju; wszystkimi historiami szeptanymi przez przedmioty z przeszłości w języku, który nie zawsze potrafimy zrozumieć; magią poszukiwania.

– Zdumiewające. – Głos Alaina był szorstki, przytłoczony całym tym ładunkiem. – Hitler poszukiwał Szmaragdowej Tablicy...

Przytaknęłam ze wzrokiem utkwionym w dal, żeby po chwili doprecyzować:

– Sekretem *Astrologa* jest Szmaragdowa Tablica.

\*

[3] Tkanina najnowszej technologii, zawierająca aktywny węgiel, pochłaniająca zapachy, pyły, bakterie oraz zapewniająca ochronę przed promieniowaniem podczerwonym.

[4] Od XII wieku w Europie produkowano inkaust (atrament) przede wszystkim z witiolu, czyli siarczanu żelaza lub miedzi, z dodatkiem galasu, czyli soku z narośli na liściach drzew, szczególnie dębu. Sposób ten stosowano aż do XIX wieku. Ponieważ witiol jest substancją aktywną i wchodzi w reakcję z papierem lub pergaminem, stare rękopisy blakną, co też stanowi podstawę do ich datowania.

## NIKOMU NIE UFAJ

Proszę się tu zatrzymać – polecił Alain taksówkarzowi, kiedy podjechaliśmy pod drzwi mojego apartamentu.

Podczas gdy kierowca, młody Pakistańczyk, wyciągał moją walizkę z bagażnika, wykorzystaliśmy chwilę na pożegnanie.

– To była fantastyczna podróż. I bardzo owocna – stwierdziłam, z radością myśląc o leżących w teczce mikrofilmach dziennika Eliasza Delmedigo.

– Rzeczywiście taka była... Przyznam ci się, że żal mi, że się już skończyła. Będzie mi brakowało twojego malowania rzęs przed lustrem...

Szczęśliwie wtedy już wiedziałam, kiedy Alain sobie żartuje.

– Nie martw się, powtórzę to dla ciebie, kiedy tylko będziesz chciał.

Cmoknęłam go dwa razy na pożegnanie.

– Zobaczymy się jutro w bibliotece?

– W bibliotece uniwersyteckiej o trzeciej.

– Dobranoc.

– Dobranoc, Ano.

Apartament w Paryżu po powrocie wydał mi się zimny i samotny, mimo że zdążyłam się tam już zadomowić. Poza tym po kilku dniach spędzonych w Sankt Petersburgu czułam się dziwnie, nie mając obok siebie Alaina. Podróż do Rosji stanowiła cezurę w moich stosunkach z nim. Spędziliśmy ze sobą wiele godzin, odbyliśmy wiele rozmów i dzieliliśmy kilka chwil intymności (jak ta z tuszem do rzęs, bo dla mnie malowanie oczu zawsze jest czynnością intymną). Poznaliśmy się trochę lepiej, więc zaczęłam odsuwać na bok wątpliwości, niepokoje i podejrzenia, bo nie pasowały do Alaina, który był mi coraz bliższy. Powoli przestawał być intruzem, któremu nie należy ufać, i zmieniał się w mojego przyjaciela.

Zapaliłam wszystkie światła i włączyłam telewizor, żeby towarzyszył mi jego głos. Pomyślałam, żeby zadzwonić do Konrada i powiedzieć mu, że wróciłam do Paryża, ale przypomniałam sobie, że wyjechał do Tokio, a tam był środek nocy.

Ściągnęłam płaszcz i otworzyłam walizkę, żeby wyciągnąć kosmetyczkę. Byłam nieco zmęczona. Lotniska i samoloty zawsze w końcu mnie wykańczają, ponadto musieliśmy czekać dwie godziny w samolocie, bo zła pogoda uniemożliwiła nam start. Chciałam wziąć prysznic, a później zamówić coś na kolację, obejrzeć jakiś film: jakieś wyciskające łzy romansidło.

Prysznic był długi i bardzo przyjemny, z tych, po których zostaje zaparowane lustro i cała łazienka. Po wyjściu włączyłam w iPodzie *Love Is the End* i zaczęłam się ubierać, ale piosenka sprawiła, że poczułam się jeszcze bardziej samotna.

Zanim zadzwoniłam po chińszczyznę, włączyłam komputer, żeby zobaczyć pocztę i wiadomości. Rzuciłam okiem na tytuły i nagle wzrok mi utkwiał na jednym z nich.

**NAPAD Z BRONIĄ. Z ROSYJSKIEJ BIBLIOTEKI NARODOWEJ SKRADZIONO CENNY RĘKOPIS.**

Odruchowo kliknęłam na tytuł, żeby przeczytać wiadomość. Poczułam, jak stopniowo przyspiesza mi puls i jeży mi się włos.

Według źródeł z Rosyjskiej Biblioteki Narodowej wczoraj wieczorem skradziono rękopis z XV wieku, którego autorstwo przypisuje się żydowskiemu filozofowi epoki renesansu Eliaszowi Delmedigo.

Po zamknięciu biblioteki dla publiczności złodzieje weszli do budynku, podając się za robotników zakładu energetycznego, i udali się do gabinetu wicedyrektora Działu Rękopisów

Antona Jegorowa. Pod groźbą użycia broni zmuszono go do otwarcia sejfów, w którym przechowywano manuskrypt. Złodzieje opuścili bibliotekę z rękopisem ukrytym w torbie z narzędziami.

Cenny eksponat został niedawno odnaleziony. Był poddawany opracowaniu i konserwacji oraz przygotowywany do późniejszego wystawienia w gmachu biblioteki.

Policja wszczęła śledztwo, dotychczas szczegóły nie są znane...

Przerwałam lekturę i niespokojnym zwierzęcym spojrzeniem odszukałam teczkę z mikrofilmami. Zostawiłam ją na stole w jadalni. Tknięta dziwnym przecuciem, miałam absurdalną potrzebę sprawdzenia, czy mikrofilmy dalej tam są. Jednym skokiem poderwałam się z miejsca i pośpiesznie przeszłam przez salon. Z tym samym pośpiechem rzuciłam się na teczkę i... Wtedy zdałam sobie sprawę, że to nie moja teczka... To była teczka Alaina. Trzymając ją w rękach, przypominałam sobie, jak wysiadaliśmy z taksówki; kiedy się żegnaliśmy, Alain podał mi ją, myśląc, że jest moja... a może nie. Może był absolutnie świadomy, że zabiera moją teczkę z mikrofilmami... Może wszystko było manewrem doskonale zgranym z kradzieżą oryginalnego rękopisu w Sankt Petersburgu.

Kręciło mi się w głowie, jakby spłynęła do niej cała krew z serca. Opadłam na krzesło z teczką na kolanach. Spojrzałam na nią. Położyłam rękę na zamku. Teczka Alaina. Pomyślałam, żeby ją otworzyć... I jakbym po pstryknięciu palcami obudziła się z hipnozy, doszłam do siebie. To było żalosne, chodziło o zwykłą pomyłkę. Alain zamienił teczki przez przypadek. Musiałam tylko do niego zadzwonić i wyjaśnić zamieszanie.

Wzięłam komórkę i wykręciłam jego numer – głos poinformował mnie, że telefon, pod który dzwonię, jest wyłączony albo poza zasięgiem. Spróbowałam jeszcze kilka razy, nie wypuszczając z rąk teczki i nie spuszczać wzroku z monitora komputera z wiadomością o kradzieży. Za każdym razem, kiedy z telefonu dobiegał ten beznamiętny głos i czytałam wiadomość o kradzieży, skręcał mi się żołądek i podgryzały mnie wątpliwości.

BlackBerry nagle zapiszczał w mojej dłoni, więc się przestraszyłam. Lękliwie spojrzałam na telefon i przestraszyłam się jeszcze bardziej, zobaczywszy, że nadeszła kolejna przekłeta wiadomość. „Nie chcę jej otwierać, nie chcę jej widzieć, nic nie chcę...”, myślałam, naciskając klawisz.

*Vertrauen Sie niemanden! Das ist ein gefährliches Spiel. Gib's auf!* Georg von Bergheim  
Rzuciłam telefon na stół, jakby mnie parzył.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – wyszeptalam, żeby sobie ulżyć, żeby zmniejszyć strach i upuścić napięcie. Jednak wiadomość rozbrzmiewała w mojej głowie.

„Nikommu nie ufaj! To jest niebezpieczna gra. Porzuć ją!”

Chciałam się zastanowić, zareagować, zrobić coś... ale prawie nie byłam w stanie się poruszyć. Ukryłam twarz w dłoniach i siedziałam nieruchomo, z rozbrzmiewającym w tle lektorem CNN przedstawiającym prognozę pogody dla rejonu Wielkich Jezior... Przekląłam Georga von Bergheima. Przekląłam tego, kto mi to robił.

Telefon zabrzmiał i jego piskliwy ton wywołał mój rozpaczliwy krzyk:

– Kurwa! Już dość!

Rzuciłam na niego okiem z pogardą, nie mając ochoty nawet go dotknąć: na niebieskim wyświetlaczu lśniło imię Alaina. Dalej dzwonił, podczas gdy ja patrzyłam na niego przygnębiona, na krawędzi łez, na krawędzi wybuchu. Przestał dzwonić. Tylko na kilka sekund. Znowu rozbrzmiały jego przenikliwe dźwięki, szarpały mi nerwy. Wzięłam telefon i przyjrzałam mu się, trzymając go na drżącej dłoni. Alain, Alain, Alain... „Nikommu nie ufaj...”

Nacisnęłam czerwony przycisk, żeby odrzucić rozmowę. Ucichł ten okropny dzwonek. I wtedy wyłączyłam telefon.

Nieufnie odkładając go na stół, czułam się zagubiona. Oszołomiona strachem i trwogą przed każdym esemesem, każdym telefonem, każdą kradzieżą, każdą wiadomością w komputerze; osaczona, z poczuciem, że na szyi zaciska mi się pętla. Miałam świadomość, że nawet wyłączenie telefonu i komputera i zamknięcie się na siedem spustów nie ma sensu, bo osaczający mnie duch wciśnie się przez każdą, choćby najmniejszą szparkę – przecież mnie obserwuje, przecież jego eteryczne ciało unosi się nad moją głową.

Wbiłam wzrok w teczkę Alaina... A może to nie duch mnie śledził? Powoli ją podniosłam i otworzyłam zamek. Zaczęłam opróżniać jej zawartość: ulotka z Ermitażu, bilet do muzeum, kilka cukierków, paczka chusteczek higienicznych, plastikowa koszulka, plik papierów spiętych spinaczem, hotelowy ołówek, następne papiery... Wszystko wyłożyłam na stół. Drżącymi rękami przekładałam papiery: ksero dokumentów, notatki, wiadomości z Internetu... Wszystko odnosiło się do naszego badania. Obejrzałam plastikową koszulkę – w środku znajdowała się poźółkła, wytarta na krawędziach nieopisana koperta. Otworzyłam ją, a papier zaszeleścił żałośnie skargą ze starości. Ostrożnie wyciągnęłam dwie fotografie oraz dokument z urzędowymi pieczętkami. Wszystko było tak stare jak koperta i wypłowie.

Przyjrzałam się jednej fotografii. Przedstawiała chłopaka na tle czegoś, co wyglądało jak stajnie. Ciemnowłosey i silny, patrzył prosto w obiektyw, a jego usta otwierały się w szerokim uśmiechu; w policzkach miał dołeczki i mrużył oczy oślepione słońcem. Z czapką na bakier, w znoszonych butach i roboczym ubraniu wyglądał na łobuziaka. Na odwrocie zdjęcia napisano: „W domu Bauerów, Illkirch, sierpień 1932”.

Drugie zdjęcie przedstawiało dziewczynę trzymającą za uzdę konia przy jakiejś zagrodzie. Była ubrana jak amazonka. W przeciwieństwie do chłopaka zdawała się chować przed aparatem, a jej twarz była niemal ukryta pod toczeniem. Na odwrocie tym samym pismem zapisano tylko suchą informację bez daty: „Moja kochana Sarah”.

Odłożyłam zdjęcia i skupiłam się na dokumencie z koperty. Rozłożyłam go i od razu stwierdziłam, że to oficjalny dokument, akt urodzenia chłopca o imieniu Jacob, spisany w Illkirch 16 maja 1917 roku. Od razu zwróciło moją uwagę, że zarówno rubryka przeznaczona na imię ojca, jak i matki pozostały niewypełnione i że później wpisano dziecku pospolite nazwisko. Chodziło o sierotę o nieznanym pochodzeniu.

Zbita z tropu rzuciłam okiem na zdjęcia i dokument. W jakiś sposób wszystkie trzy były związane z Bauerami i z Illkirch. A jednak Alain je przede mną ukrył... Nie wydawały się jakoś szczególnie ważne, ale je przede mną ukrył. A jeśli ukrył, to... Całkowicie opróżniłam teczkę. Gorzka pigułka pojawiła się wraz z następnym plikiem papierów: te były nowe, wydruki komputerowe, kolorowe fotokopie i fotografie. Poczulałam, że ściska mi się gardło, kiedy zobaczyłam wycinki z gazet poświęcone Konradowi, skserowane z brukowców nasze zdjęcia, raport na temat interesów i działań mojego narzeczonego i drugi – na temat mojej kariery. Zaczęłam szybko dyszeć i łzy zalały mi oczy, powoli toczyły mi się po policzkach, kiedy tak siedziałam z głową pochyloną nad haniebnymi papierami, dowodami zdrady Alaina, potwierdzającymi, że jest wilkiem w owczej skórze.

Energiczne i natarczywe stukanie do drzwi doprowadziło moje serce do granic łomotania. Uniosłam głowę w przerażeniu, niczym zwierzę, które węszy wroga w powietrzu, nasłuchuje... ale spiker CNN nie pozwalał mi niczego usłyszeć; rzuciłam się na pilota, żeby wyłączyć telewizor. Cisza okazała się przerażająca. Ale nie tak bardzo jak stukanie, które ponownie zadudniło o drzwi. Skuliłam się w sobie.

– Ano?... Ana, to ja Alain...

To mnie nie uspokoiło. Umierając ze strachu, spojrzałam na drzwi, żeby się upewnić, że nie zapomniałam zamknąć ich od środka. Przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić na policję,

ukryć się pod łóżkiem...

– Ana, wiem, że tam jesteś. Widziałem światło w oknach... Otwórz.

Nawet gdyby drzwi były z papieru, nie czułabym się bardziej bezbronna. Schowałam się w najciemniejszym rogu pokoju, ze zgaszonym światłem. Nie panowałam nad płynącymi łzami i mimo że z całej siły próbowałam uciszyć łkanie, nawet oddech, wszystko zdawało się mnie zdradzać.

– Ana... Słuchaj, Ana... Chcę się tylko dowiedzieć, czy wszystko w porządku... – do moich uszu docierał przytłumiony głos Alaina.

Następne uderzenie w drzwi, jeszcze silniejsze.

– Ana. Ana...! Słyszysz...? Pozwól mi wejść! Ana... Wiem, że tam jesteś!

Znowu walenie.

– Anaaaa...!

Cisza. Skrobanie w zamku. Serce w gardle.

– Kurwa!

Uderzenie. Znowu cisza. I w końcu drzwi do windy.

\*

## NIE, NIE BYŁAM ODWAŻNA

Do rana nie zasnęłam. Miałam spuchnięte oczy i pękała mi głowa od płaczu. Leniwie wstałam, niezdolna stawić czoło dniu, wypłam mocną kawę i zażyłam aspirynę. Po chwili drzemiała na stole w kuchni z filiżanką w dłoniach zebrałam całą świadomość i siły, żeby włączyć telefon. Nieodebrane połączenia od Alaina wyskakiwały jedno za drugim, przez co nabrałam ochoty, żeby znowu wyłączyć ten cholerny rupieć. Były nawet wiadomości:

Ana, tu Alain. Przepraszam, zapomniałem włączyć telefon po wyjściu z samolotu i dopiero teraz zobaczyłem, że dzwoniłaś. Zadzwoń do mnie, jak będziesz chciała.

Ana, to znowu ja. Nie mogę cię znaleźć. Proszę, zadzwoń do mnie i powiedz, że wszystko w porządku.

Ana, idę do ciebie. Martwię się.

Przekłety cynik. Kłamca, oszust... Cholerny kutas.

Znowu pociekły mi łzy, kiedy zadzwonił telefon. Gdybym od razu nie zobaczyła na ekranie, że to Konrad, może rzuciłabym telefonem o ścianę.

– Cześć, Konrad... – wymamrotałam, starając się połykać łzy.

– Dzień dobry, *meine Süße*... Obudziłem cię?

– Nie, nie... Już nie śpię.

– Wszystko w porządku? Jesteś... jakaś dziwna.

Te przejawy empatii o mały włos nie doprowadziłyby mnie do wybuchu histerycznego płaczu, ale z wielkim wysiłkiem się powstrzymałam. Konrad znajdował się o tysiące kilometrów stamtąd, na drugim końcu świata, nie mogłam robić mu scen przez telefon.

– Tak, wszystko w porządku... Hm, wydarzyło się mnóstwo rzeczy. – Zagryzałam usta tak silnie, że z łatwością mogła pociec z nich krew.

– Chodzi o śledztwo?

– Tak... Ukradziono rękopis...

– Tak, widziałem w wiadomościach... Ale macie kopię, prawda?

– Tak... Tylko że ma ją Alain...

– Dobra, to nie ma znaczenia...

– Ma znaczenie, Konrad! – krzyknęłam. – Oszukuje nas, od początku to robi. Nie wiem dokładnie, czego on chce, ale wydaje mi się, że tylko nas wykorzystuje... Poza tym dostałam następnego esemesa z pogróżkami. Dokładnie wtedy, gdy Alaina nie było... Chyba zaraz zwariuję...

– W porządku, *meine Süße*, uspokój się i opowiedz mi wszystko po kolei.

Posłusznie przedstawiłam mu zdarzenia z poprzedniej nocy, szczególnie koncentrując się na esemesie mówiącym, żebym nikomu nie ufała, i na materiałach Alaina na nasz temat. Kiedy skończyłam, Konrad milczał.

– Co za skurwysyn... – wymamrotał po chwili. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. – Ale spodziewałem się tego, ta cała EFLA to padlinożercy. Dobrze zrobiłaś, nie odpowiadając na telefony i nie otwierając drzwi, nie wiemy, do czego jest gotowy się posunąć, to może być bardzo niebezpieczny facet, *meine Süße*. Właśnie przesłano mi e-mailem informację na temat rozmowy i tego esemesa...

– I?

– Komórka na kartę. Telefon został kupiony w sklepie Orange przy boulevard Sebastopol tego samego dnia, kiedy pojechałaś do Fryburga. Kupujący przedstawił dowód wystawiony na nazwisko Georg von Bergheim. Esemesa wysłano z opuszczonej fabryki, leżącej o dwadzieścia

kilometrów od Paryża. Rozmowa została przeprowadzona z cmentarza Père-Lachaise...  
Wszystko tak kurewsko teatralne...

– To przerażające – stwierdziłam z zaciśniętym gardłem.

– Przykro mi, *meine Süße*, ale będę mógł do ciebie przyjechać dopiero w piątek, do tego czasu nie wychodź z domu, jeśli to możliwe, i staraj się unikać doktora Arnoux.

– Boję się, Konradzie – wyznałam cichutko, obawiając się jego reakcji. – Chciałabym wrócić do Madrytu...

– Wiem, *meine Süße*. Masz powody, żeby się bać, ale uda ci się to przezwyciężyć, jesteś bardzo odważną kobietą, dlatego cię kocham...

„Jesteś bardzo odważną kobietą, dlatego cię kocham...” Nie, nie byłam odważna. Konrad nie mógł mnie kochać z tego powodu. Chociaż jeśli się dobrze zastanowić, dlaczego właściwie mnie kochał...? Chciałam sobie odpowiedzieć na to pytanie, może po to, żeby nie myśleć o niczym innym, żeby oderwać się od tego okropnego otoczenia. To oczywiste, że byłam przygnębiona. Musiałam porozmawiać z Teo.

– Ach, kochanie, na Boga, nie łkaj w taki sposób, bo sam się rozplączę...

– Przykro mi... – Te miłe i czułe słowa były gorszym lekarstwem niż choroba.

– Zostaw to, Ana. Zostaw to i już. Posłuchaj tego tam Georga von Bergheima, który w tej sytuacji wydaje się jedynym rozsądnym człowiekiem. Zostaw to, bo to niebezpieczna gra. Nawet się nie pakuj, jedź do domu od razu, już.

– Nie mogę, Teo. Jeśli to zrobię, Konrad przestanie mnie kochać. A jeśli on przestanie mnie kochać, to umrę.

\*



## JEŚLI CHCE PANI DOKONAĆ WIELKIEGO ODKRYCIA

Wróciłam do łóżka. Byłam fizycznie i psychicznie wyczerpana. Przespałam się chwilę, nie wiem, jak długo. Obudził mnie dzwonek do drzwi. Zbyt zmęczona, żeby się przestraszyć, z nerwami przytłumionymi po tak długim napięciu, przewróciłam się na drugi bok i pozwoliłam, żeby moje sny wessały dzwonek i żeby rozbrzmiewał, jakby w rzeczywistości to się nie działo.

Ale działa się.

– Mademoiselle... Jestem Philippe, konsjerż. Przyniesiono dla pani paczkę...

Mademoiselle Garcia?

Zdecydowałam się otworzyć. Potykając się, czując piasek w oczach, wyrzłam przez uchylone drzwi. Z ulgą stwierdziłam, że to rzeczywiście konsjerż. Uśmiechnął się do mnie całą swoją pooraną zmarszczkami twarzą.

– Przepraszam, mademoiselle. Ktoś to dla pani zostawił. Powiedział, że to pilne, więc postanowiłem panią niepokoić.

Popatrzyłam na paczkę, w rękach usłużnego Philippe'a wyglądającą na prezent: było to pudełko o wymiarach około 50 x 60 centymetrów, zawinięte w szary papier i przewiązane sznurkiem; nie miało nadawcy ani adresata, ani żadnej litery, ani numeru, ani pieczętki, nic...

– Kto to przyniósł?

– Jakiś kierowca, mademoiselle. Nic nie powiedział, tylko że to dla pani.

W końcu zdecydowałam się wziąć paczkę, nie bez wahania.

– Dziękuję, Philippe.

Konsjerż pochylił głowę i poszedł sobie, zamykając drzwi i zostawiając mnie samą z paczką. Opadłam na podłogę, jakby ciężar paczki był zbyt wielki dla moich kolan, i po kilku sekundach przyglądania się zaczęłam odwiązywać sznurek. Może gdybym była bardziej przytomna, nie otworzyłabym tej paczki bez uprzedniego jej prześwietlenia promieniami X; może usłyszałabym szepczące do ucha ojcowskie ostrzeżenie: to może być bomba albo paczka węglika... Ale cały czas byłam zaspana, a w moim świecie szarego człowieka paczki otwiera się bez zastanowienia.

A jednak otwierałam tę paczkę długo i z ostrożnością. Ściągnęłam sznurek i szeleszczący papier pakowy, po czym natknęłam się na zwyczajny i nudny karton, anonimowy jak cała reszta. Może instynktownie wstrzymałam oddech, podnosząc wieko. Kiedy nic nie wybuchło ani nie skaziło powietrza, odetchnęłam z ulgą. Bardziej zdecydowanie odrzuciłam biały papier, który był w środku, i ku memu zaskoczeniu znalazłam idealnie złożoną marynarkę. Rozłożyłam ją, była czarna i bardzo prosta: zapinana pod szyję, typu Mao, i krótka; żadnej ozdoby, ani odrobiny radości. Pod marynarką znajdowała się koperta, torebeczka z materiału, etui na biżuterię i pudełeczko, ale pierwsza rzuciła mi się w oczy złożona czerwona chusteczka, która po chwili okazała się opaską na ramię z czarną runą *sig*. W kopercie znajdowała się tylko plastikowa karta z paskiem magnetycznym, jak karta kredytowa, biała, z nadrukowanym numerem i chipem. A w pudełeczku był pendrive.

Rozłożywszy to wszystko na podłodze, nie potrafiłam sobie odpowiedzieć na pytanie, co to za żart, który w sumie nie śmieszył mnie ani trochę.

Wzięłam pendrive i zostawiając resztę, udałam się prosto do komputera. Na pendrivie był plik w programie PowerPoint, który bez problemu przeszedł zabezpieczenia antywirusowe. Prezentacja zaczynała się od zwykłego slajdu: niebieskie tło i wiadomość napisana po niemiecku białymi literami, czcionka Arial.

Jeśli chce pani dokonać wielkiego odkrycia, proszę postępować zgodnie z poniższą

instrukcją.

Proszę włożyć ubranie i buty, które pani dostała, oprócz opaski i odznaki. Proszę upiąć włosy w prosty kok i dyskretnie się umalować. Powinna pani być gotowa dzisiaj o 20.30. Wychodząc z domu, proszę zabrać ze sobą kartę, opaskę i odznakę, właściwie ukryte.

Na rue de Lille, naprzeciw Galerie Parisienne, zastanie pani zaparkowanego czarnego range rovera o numerze rejestracyjnym z Paryża, BZ-189-PT. Samochód będzie otwarty; w schowku będą klucze. Proszę wsiąść i uruchomić samochód przyciskiem. GPS ma zaprogramowaną drogę. Pani cel podróży znajduje się o 77 km od Paryża. Powinna tam pani przyjechać nie później niż o 22.30.

Na miejscu proszę okazać identyfikator, żeby się dostać do środka. Zanim zostawi pani samochód do zaparkowania, proszę włożyć na prawą rękę opaskę i przypiąć odznakę na lewej piersi. Przed wejściem do budynku znowu będzie pani musiała przedstawić identyfikator.

**WAŻNE**

- Musi być pani sama.
- Proszę nie zabierać broni.
- Może mieć pani telefon, ale powinna go pani wyłączyć i zostawić w samochodzie.
- Proszę nie zabierać żadnych dokumentów tożsamości ani niczego, po czym można by panią zidentyfikować.

- Proszę dokładnie przestrzegać tych instrukcji, od tego zależy – pani bezpieczeństwo.

**GEORG VON BERGHEIM**

Nie mogłam uwierzyć w to, co widziałam, ani nawet w te rzeczy porozrzucane po podłodze. Przyszło mi nawet do głowy, że dalej śpię i że to wszystko to tylko zły sen...

„Jeśli chce pani dokonać wielkiego odkrycia...” Nie byłam pewna, czy chcę. Przeczuwałam, że cena za to odkrycie może być nazbyt wysoka. I tylko ja mogłam ją zapłacić... Alain okazał się zdrajcą, a Konrad wydawał mi polecenia z drugiego końca świata... Byłam absolutnie sama. Sama, żeby podejmować własne decyzje, żeby przyjmować ich konsekwencje. Sama, żeby być sobą, a nie narzędziem w rękach innych ludzi. Sama, żeby dokonać tego wielkiego odkrycia.

– Mówisz, że bym nikomu nie ufała, Georgu von Bergheim. A dlaczego miałabym ufać tobie?

„Posłuchaj tego tam Georga von Bergheima, który w tej całej sytuacji wydaje się jedynym rozsądnym człowiekiem”.

Podniosłam marynarkę z podłogi i włożyłam ją na nocną koszulę. Włożyłam też buty. Georg von Bergheim domyślił się moich rozmiarów z niepokojącą precyzją.

\*

## KWIECIEŃ 1943

Wielka Brytania i Stany Zjednoczone spotykają się na konferencji na Bermudach, żeby rozważyć sytuację Żydów w Europie, jednak nie dochodzą do żadnych wniosków ani nie podejmują żadnych konkretnych kroków. Tymczasem naziści w dalszym ciągu realizują *Endlösung der Judenfrage*, ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej. W planie eksterminacji ludności żydowskiej w Europie dokonują masowych egzekucji z użyciem gazu.

Łało z takim impetem, że łatwo mogło człowiekowi przyjść do głowy, że deszcz podziurawi ulice Paryża. Padało gwałtownie, ale przede wszystkim bardzo głośno, dookoła słysząc było tylko deszcz.

Jakaś pielęgniarka pożałowała dziewczyny i dała jej stary parasol, a chociaż po otworzeniu go stwierdziła, że materiał jest porwany, pod jego osłoną zanurzyła się w ulewę.

Georg postawił kołnierz płaszcza i chciał zapalić następnego papierosa. Krył się pod gzymsem, ale i tak jego ręce były wilgotne i zapalniczka ślizgała mu się w palcach. Niczym kropla przepelniająca kielich, ta ślizgająca się zapalniczka jeszcze bardziej poszarpała jego już zbyt nadwątlone nerwy. Georg zaklął siarczyście, wcisnął zapalniczkę do kieszeni, zmiął papierosa w garści i wyrzucił go z wściekłością.

Gdy tylko zobaczył, jak wychodzi ze szpitala, pomyślał, że jest za lekko ubrana, że ten parasol na niewiele się jej zda i że przemoczy sobie buty. Mogła zachorować, jeszcze była słaba...

Przyszło mu do głowy, żeby podejść i okryć ją płaszczem. Ale nie mógł tego zrobić, oficerowie SS nie osłaniają przed deszczem kobiet mających na piersi przyszytą gwiazdę Dawida. Georg odrzucił z niesmakiem resztki zmiętego papierosa i wyszedł spod gzymasu. Będzie tylko szedł za nią, wierząc, że wcześniej czy później Sarah doprowadzi go do *Astrologa*. Ograniczy się do wypełniania swoich rozkazów.

Sarah doszła do pensjonatu całkowicie przemoczona. W połowie drogi podmuch wiatru połamał jej parasol, więc wyrzuciła go do kosza na śmieci.

Właścicielka udała, że nie zdziwiła się na jej widok po tak długiej nieobecności i niepłaceniu za pokój. Spojrzała tylko z grymasem niechęci na strużkę wody, którą Sarah zostawiała za sobą w sieni, i przypomniała jej szorstko:

– Kolacja o siódmej, jak zwykle. Nie wiem, co teraz zrobimy, po tym zmniejszeniu racji mięsa. Pewnie będziemy jedli kamienie...

Kobieta zrzędziła pod nosem, kiedy Sarah wchodziła po schodach. Dziewczyna nie wiedziała, że Marion opłacała pokój za nie obie i zaczęła pracować jako przewodniczka funkcjonariuszek SOE, które od czasu od czasu sypiały tam, w łóżku Sarah.

Kiedy Sarah weszła do pokoju, od razu spojrzała na ścianę, na której powiesiła obraz... Była pusta. Zrzuciła mokrą odzież i poszukała czegoś suchego do ubrania, ale okazało się, że jej szafa i szuflady też są puste. W całym pokoju nie było ani jednej jej rzeczy. Jednak na Sarah takie sprawy nie robiły wrażenia. W sumie nic nie robiło na niej wrażenia. Po prostu pożyczyla sobie koszulę Marion, włożyła ją i położyła się do łóżka; może pod kocami będzie w stanie się rozgrzać i zapomni o wilgoci.

Nie zmrzyła oka przez całą noc. Nie chciało jej się spać, a miała tak wiele do przemyślenia. Ostatnio bardzo wiele myślała, jednak ciągle o tym samym. Nieustannie krążyła wokół tych samych spraw, ale ani razu nie udało jej się dojść donikąd, do żadnych wniosków. Myślała o Jacobie, o Marion i o ruchu oporu; myślała o von Bergheimie i obrazie; myślała o rodzinie... Podczas niekończących się i niepewnych dni w szpitalu tylko myślała. Wiedziała

jednak, że nadszedł czas, aby przejść do działania. W taki czy inny sposób przeczuwała, że jest u progu nowego rozdziału swego życia, w chwili, w której każdy z tych rozdziałów wydaje się ostatni.

Marion pojawiła się w pokoju dopiero rano. Sarah słyszała, jak się zbliża korytarzem, nucąc jakąś niemiecką piosenkę. Była lekko podpita.

Otworzyła drzwi i zapaliła światło. Sarah stała przy oknie i odsłaniała zasłony, żeby wpuścić do środka światło dnia. Gdy tylko ją zobaczyła, Marion podskoczyła i zawołała:

– Sarah...! Na wszystkich świętych...! Sarah...!

Stała jak sparaliżowana z szeroko otwartymi oczyma i z twarzą w dłoniach. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

– Marion...

Podbiegły do siebie, żeby się przytulić. Marion wzięła Sarah w ramiona i mocno ją uścisnęła, a Sarah, czując gorące powitanie przyjaciółki, nie mogła pohamować łez. Od bardzo dawna nikt jej nie przytulał, nikt nie okazywał jej najmniejszych oznak czułości. Już dawno temu przestała czuć się człowiekiem.

Marion także głośno płakała, niczym płaczka na pogrzebie. Pociągała nosem, wycierała łzy i powtarzała raz za razem: „Myślałam, że nie żyjesz, myślałam, że nie żyjesz”.

Ta burza emocji trwała, nie wiedziały jak długo, aż w końcu usiadły na łóżku, jedna naprzeciw drugiej, i trzymając się za ręce, wpatrywały się w siebie z uśmiechem nieschodzącym im z ust.

Wyglądało na to, że Marion przybrała tyle kilogramów, ile straciła Sarah. Miała policzki bardziej okrągłe i różowe, a jej oblicze promieniowało zdrowiem. Pachniała tytoniem i drogimi perfumami. Miała włosy odrobinę wzburzone oraz szminkę rozmazaną w kącikach ust.

W tamtych czasach w Paryżu tak wyglądały jedynie dziwki.

Sarah pogładziła ją po policzkach i poprawiła jej włosy.

– Skąd przychodzisz, kochana Marion?

Koleżanka nie okazała ani krztyny wstydu. Puściła umalowane oko i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Znasz mnie przecież, kochana. Nie lubię spędzać nocy w domu. Paryż pełen jest Niemców, którzy mają papierosy, alkohol i mnóstwo sekretów do opowiedzenia po kilku głębszych.

Sarah znowu ją pogładziła. Żal jej było koleżanki. Marion działała w ruchu oporu na swój sposób, na sposób, który znała najlepiej.

– Powiedzieli mi, że nie żyjesz. Te skurwysyny z gestapo powiedziały mi, że nie żyjesz.

– Może cię nie okłamali... Może trochę nie żyję...

Ostre rysy twarzy Sarah były poznaczone cieniami cierpienia i strachu. Przejęta czułością i współczuciem Marion znowu ją do siebie przygarnęła, do swojego ogromnego biustu, i przytuliła jak dziecko.

– Jesteś tu. I tylko to jest ważne.

– Tak... Ale teraz nie wiem, od czego zacząć...

Marion opowiedziała Sarah, że po zatrzymaniu jej i Jacoba Alzacka Grupa Zbrojna została rozwiązana. Prerażony Trocki czmychnął z Paryża w obawie, że go wydadzą. Ostatnia informacja, jaką od niego mieli, była taka, że przyłączył się do partyzantów w Normandii. Dynamo, Gutenberg i ona sama pracują dla innej grupy w Paryżu, siatki, która przechwytuje i ukrywa agentów SOE wysyłanych przez Brytyjczyków za linie wroga. Ponadto Marion wykonuje swoje nocne zadania, zajmuje się niemieckimi oficerami, z tych co to mają plecione pagony, pomagając im rozwiązać język, żeby później przekazywać informacje do SOE.

– Musiałam zabrać wszystkie twoje rzeczy, kochana. Czasem przyprowadzam tu którąś z dziewczyn z SOE. Zniosłam wszystko do domu Matheusów... Ach, kochana! Ile czasu minęło? Tygodnie, miesiące...? Przez to pierdolone życie nawet nie pamiętam, którego dziś mamy.

Marion wyciągnęła z kieszeni paczkę niemieckich papierosów Sondermischung i jednego z nich zapaliła. Sarah zakaszłała, kiedy dym podrapał ją w gardle.

– Któregoś razu poszłam na rue des Saussaies – ciągnęła Marion, kształtując strugę dymu swoimi słowami. – Skłamałabym ci, gdybym powiedziała, że poszłam po was... Jestem przecież cholernym tchórzem. Ale poszłam tam, żeby odwiedzić jednego z moich niemieckich przyjaciół i pomyślałam sobie: Dlaczego nie? Dlaczego o nich nie zapytać...? „Jacob i Sarah? Tu nie ma nikogo o tych imionach”, zapewnił mnie strażnik. Wtedy podszedł jeden taki, który przechodził obok, i powiedział: „Dzisiaj wyciągnięto jakąś Sarah z celi... nie żyła. Śmierdziała suką, zdechła Żydówka”. Ten skurwysyn śmiał mi się w nos i owionął mnie jego śmierdzący oddech. Matko boska, Sarah! Powinnaś była słyszeć, z jakim sadyzmem do mnie mówił...

Sarah nie musiała go słyszeć. Na własnym ciele doświadczyła sadyzmu, widziała go na własne oczy. Ale nigdy o tym nie będzie mówić, do końca życia.

Musiała zapytać Marion o obraz, ale obawiała się to zrobić – nie chciała poznać odpowiedzi, którą mogła przewidzieć. Marion uznała, że ona nie żyje... nietrudno było się domyślić, co zrobiła z obrazem.

– Marion – wypowiedziała jej imię ze słodyczą, nie chciała się z nią pokłócić – co zrobiłaś z moim planem?

Twarz Marion się zachmurzyła. Spuściła wzrok na ręce, którymi nerwowo się bawiła, przesuając papierosa pomiędzy palcami o pomalowanych na czerwono paznokciach.

– Zniosłam do hrabiny... – przyznała szeptem.

Sarah nic nie powiedziała. Nie trzeba było. Westchnienie i gest zniechęcenia wystarczyły, żeby Marion zaczęła energicznie się usprawiedliwiać:

– Zrobiłam tylko to, o co mnie poprosiłaś! Powiedziano mi, że nie żyjesz! Skąd miałam wiedzieć, że powinnam jeszcze poczekać?

Sarah nagle poczuła, że musi rozprostować nogi. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Szyby były zamazane i chłód przenikał przez cienki materiał koszuli nocnej. Wstrząsnął nią dreszcz.

– Nie jestem na ciebie zła, Marion. Jestem zła na siebie. Pomyliłam się, prosząc cię, żebyś przekazała go tej kobiecie...

– A nie możesz go od niej odebrać?

Sarah rysowała palcem po zaparowanej szybie. Narysowała znak zapytania.

– Mogę ją poprosić... Ale ona mi go nie odda.

Nawet nie chciała myśleć o ponownym oglądaniu tej czarownicy. Zwłaszcza że tym razem Jacob nie mógł jej towarzyszyć.

Rozpaczliwym gestem zmasała swoje obrazki z okna. Szyby zadrżały, jakby miały pęknąć.

– Ach, Sarah, nie bądź taka... To tylko obraz!

– Nie, to nie tylko obraz. To cena życia Jacoba.

Marion zmarszczyła brwi.

– Życia Jacoba? Bądźmy realistami, kochana. Może być tak, że życie Jacoba nic już nie jest warte...

Znowu duchy Sarah krążyły jej po głowie, zarażając ją echem rozzwierających wrzasków albo gorszej jeszcze ciszy, z okropnymi obrazami bitego Jacoba, krwawiącego i umierającego

w celi... ale żywego.

– Może – odpowiedziała. – Ale nie zaznam spokoju, dopóki nie dowiem się, czy Jacob jeszcze żyje czy nie.

\*

## U WRÓT PIEKIEŁ

Punktualnie o dwudziestej trzydzięci przeszłam przez hol L'École ubrana cała na czarno, z prostym kokiem, dyskretnym makijażem i malutką torebką z opaską, odznaką, plastikową kartą i wyłączonym BlackBerry. Pozdrowiłam Philippe'a i wyszłam na ulice Paryża w kierunku rue de Lille, zaledwie o dwie przecznice od apartamentu.

Moje kroki były niepewne, obcasy wydawały się gumowe. Udawanie odwagi nie oznacza, że jest się odważnym. A ja umierałam ze strachu.

Zgodnie z zapowiedzią naprzeciwko Galerie Parisienne stał czarny range rover, którego karoseria idealnie lśniła w świetle lampy. Drzwi kierowcy otworzyły się bez problemu, więc usiadłam za kierownicą. Chłód skórzanej tapicerki w piaskowym kolorze na moich plecach nie był najlepszym przyjęciem. Jednak wsiadłszy do tego ogromnego terenowego samochodu, poczułam się zaskakująco bezpieczna i ogarnęło mnie pragnienie, żeby zablokować drzwi i pozostać tam na zawsze. To uczucie – równie absurdalne jak chwilowe – rozwiało się, gdy tylko nacisnęłam przycisk uruchamiania silnika i ekran nawigacji zaczął nakreślać trasę: autostrada A6A w kierunku Bordeaux–Nantes. Miałam zmrożone ręce, kiedy chwyciłam nimi kierownicę i ruszyłam z parkingu.

Nawigacja poprowadziła mnie do Fontainebleau, gdzie skręciłam na Champagne-sur-Seine, na krętą drogę zagłębiającą się w las – wskazówki nawigacji skończyły się u wielkiej bramy z kutego żelaza. Kamery ochrony rejestrowały moje przybycie, podczas gdy strażnik, wyglądający na ochroniarza jakiejś grubej ryby, podszedł do samochodu. Przeglądając instrukcje von Bergheima, opuściłam szybę i pokazałam kartę. Bez słów zanotował mój numer oraz rejestrację samochodu. Brama otworzyła się wolno i strażnik gestem wpuścił mnie do środka. Poczulałam ścisnięcie w gardle, gdy zobaczyłam we wstecznym lusterku, że brama się zamyka – już nie było odwrotu. Prowadzona intuicją, kierowałam się prostą drogą, rozwijającą się przed moimi oczyma. Przejechałam przez las, na którego końcu otwierał się przestronny ogród i pośród ciemnej nocy zarysowywał się elegancko oświetlony kształt renesansowego *château*. Zbliżając się, wyobrażałam sobie wielkość i piękno pałacu, majestatycznie prezentującego klasyczne elementy francuskiego renesansu: cylindryczne wieże narożne zwieńczone daszkami z łupkowej dachówki, spiczaste, pstrokate kominy i podwójne schody.

Na wielkim placu przed pałacem zaparkowano dziesiątki samochodów, żaden z nich nie kosztował mniej niż sześćdziesiąt tysięcy euro. Podprowadziłam range rovera do głównego wejścia i zatrzymałam się u stóp schodów, gdzie parkingowy, o takim samym wyglądzie jak strażnik przy bramie, otworzył mi drzwi i pomógł wysiąść. Stałam przez kilka sekund, sztywno przy schodach, jakbym dotarła do wrót piekieł, czując się osaczona ciszą i przerażona samotnością, które nie zapowiadały nic dobrego.

– Madame... Musi pani wejść, proszę bardzo. – Parkingowy wytrącił mnie z zamyślenia.

Zmagając się z drżeniem palców, nałożyłam opaskę i przypięłam odznakę. Nagle przypomniałam sobie obraz Toma Cruise'a z filmu *Oczy szeroko zamknięte* przychodzącego na obrzęd jakiejś sekty – wszystko to wyglądało niepokojąco podobnie. Wzięłam głęboki oddech, chcąc rozluźnić ścisnięte piersi, ale udało mi się tylko wypuścić powietrze. W końcu weszłam po schodach.

Na szczycie schodów jakiś mężczyzna otworzył mi ciężkie drewniane drzwi i znalazłam się w ogromnym, ciemnym holu z granitowymi ścianami i ciężkimi czerwonymi draperiami. Wrażenie niebezpiecznego osaczenia wzmogło się, kiedy zobaczyłam tę złowieszczą scenografię. Inny mężczyzna przesunął wzdłuż całego mojego ciała wykrywacz metali i poprosił o kartę.

Dokładnie w chwili, kiedy miał ją wsunąć w czytnik, pojawił się trzeci.

– Szukają cię w kontroli – wyszeptał do niego. – Ja się tym zajmę...

Ten drugi dotknął słuchawki, którą miał włożoną do ucha.

– Nic mi nie mówili...

Tamten wzruszył ramionami, ale w końcu jego towarzysz sobie poszedł.

Nowo przybyły oddał mi kartę, nie wsunąwszy jej do czytnika. Nagle szybkim ruchem włożył coś do mojej torebki.

– To telefon komórkowy – wyszeptał, nie patrząc na mnie, udając, że zapisuje coś w rejestrze. – Nie może pani dzwonić, ale ktoś zadzwoni do pani; raz, proszę uważać.

Skamieniałam, przyglądając się temu mężczyźnie w poszukiwaniu znajomych rysów. Taka sama czarna marynarka, takie same ciemne okulary i taki sam wygląd ochroniarza jak u pozostałych. Nic w nim nie wydawało się inne, nic nie wydawało mi się nawet odlegle znajome.

– Ale kto...?

On dalej mówił, nie podnosząc wzroku:

– Proszę pójść tym korytarzem aż do dziedzińca. Proszę usiąść w ostatnim rzędzie... I proszę zapanować nad tą nerwowością. W żadnym razie nie może pani zwracać na siebie uwagi. Pani nie wolno tu być.

– No to sobie pójdę. – Zrobiłam ruch, jakbym chciała się odwrócić. Powiedział znacznie więcej, niż potrzebowałam, żeby złamać moją kruchą determinację.

– Proszę wejść. Już.

Rzecz jasna ta rozmowa mnie nie uspokoiła, ale starałam się iść krokiem zdecydowanym i zachować równowagę. Niekończący się, klaustrofobiczny korytarz bez drzwi, tylko okno w głębi, przez które wpadały drżące odbłaski pomarańczowego światła i echo płomiennego przemówienia.

Zaskoczył mnie spektakl czekający na mnie na końcu korytarza: rozwinięcie neonazistowskiego imaginarijumu przekształciło ten dziedziniec w scenę przedwojennego Berlina. Flagi, sztandary i draperie barwiące kamień na czerwono, białą i czarno. Jedynym oświetleniem było kilka pochodni umieszczonych na otaczających dziedziniec kolumnach. Umundurowani mężczyźni ustawieni w wojskowym szyku. A pod ogromnym zdjęciem Himmlera podwyższenie zajęte przez dwunastu mężczyzn w czerwonych tunikach. Moją uwagę zwróciło to, że zamiast swastyki wszechobecnym symbolem była runa *sig*, runa SS.

Nie odważyłam się wejść w tę scenę i wmieszać w publiczność ubraną tak samo jak ja, w wersji zarówno męskiej, jak i żeńskiej. Ukryłam się za jakąś kolumną, choć w sumie wolałabym, żeby ziemia się rozstąpiła i połknęła mnie, abym mogła natychmiast zniknąć. Oslupiała przyglądałam się przemawiającemu, który z podwyższenia wytrząsał się nad niespełną stuosobową publicznością. Szybkość i płomiennosc jego mowy w języku niemieckim, w połączeniu z moim załamaniem umysłowym, utrudniały mi jego zrozumienie, ale od czasu do czasu wychwytywałam takie słowa, jak wojna, władza, diabeł, groźba, islam, judaizm, chrześcijaństwo. Nagle diatryba zakończyła się z taką samą gwałtownością, z jaką się rozwijała. Widownia wstała z miejsc i klaskała entuzjastycznie, a jednocześnie zabrzmiała marszowa muzyka grana na instrumentach dętych i perkusyjnych. Aplauz ucichł i zebrani, z ręką na piersi, zaintonowali hymn tak głośno, że byli w stanie wstrząsnąć fundamentami pałacu.

*SS marschert in Feindesland*

*Un singt ein Teufelslied...*

W chwili największego natężenia dźwięku zorientowałam się, że telefon drży w mojej kieszeni. Wyciągnęłam go i odebrałam; przyłożyłam go do ucha, obawiając się wypowiedzieć



choćby jedno słowo.

– Słucha pani właśnie hymnu SS – zaczął wyjaśniać głęboki głos. – To pieśń nawołująca do bezpardonowej walki aż do śmierci. Deklaracja, która skłania do czczenia Heinricha Himmlera i do wprowadzenia w życie jego doktryny.

Pośród tego zgiełku ledwie mogłam usłyszeć, co do mnie mówi. Jego ponury ton i niezrozumiałe słowa wzbudzały we mnie mdłości. Czulałam, że serce wali mi jak młotem. Wszystko zaczęło wirować...

*Wo wir sind da geht's immer vorwärts*

*Und der Teufel, der lacht nur dazu*

*Ha, ha, ha, ha, ha!*

*Wir kämpfen für Deutschland*

*Wir kämpfen für Himmler*

– To jest PosenGeist. Nowy porządek, nowy świat. Proszę nie stać się współnikiem tej potworności. Pewnych bestii nie należy budzić. Proszę zostawić *Astrologa*, niech dalej będzie tylko legendą.

– Kim pan jest? – wybełkotałam.

– Proszę stąd wyjść, zanim panią odkryją.

– Proszę pana... Halo!

Rozmowa została przerwana.

Patrzyłam na telefon zaaferowana, jeszcze oszołomiona wszystkim, co się działo, niezdolna do oceny znaczenia tych rzeczy ani implikacji, niezdolna nawet do zareagowania, odwrócenia się na pięcie i ucieczki.

Wtedy ktoś złapał mnie za ramię.

– Proszę za mną.

Odwróciłam się przerażona. Jeden ze strażników ciągnął mnie w stronę wyjścia.

– Nie... – Mój głos zabrzmiał słabo, ledwie wydobywał się z gardła. – Nie... Muszę iść, przepraszam...

– To nie jest propozycja – odpowiedział mężczyzna z przyprawiającą o dreszcz powagą. Instynktownie opuściłam wzrok, celował w mój brzuch z pistoletu.

– Idziemy!

Gdyby ten człowiek nie zmusił mnie do marszu, pewnie bym zemdlała.

Nie byłam w stanie przestać mówić, żądałam wyjaśnień i udzielałam ich, mieszając wszystko i mówiąc o wszystkim jednocześnie; w ten sposób odganiałam strach, podczas gdy on brutalnie prowadził mnie po ciemnych i krętych korytarzach. W końcu popchnięta wylądowałam na ziemi w pomieszczeniu ciemnym jak wszystko wokół. Uciszyło mnie dopiero uderzenie o kamienną podłogę. Przerażona przyjrzałam się zamkniętym oknom oraz kilku starym, zniszczonym meblom. Poczulałam zapach starości i wilgoci, lodowate zimno przeniknęło mnie do szpiku kości. Zaczęłam się trząść.

Strażnik podniósł mnie na nogi jednym szarpnięciem i obszukał, obmacując po całym ciele. Zabrał mi telefon i kartę, dzięki której weszłam do pałacu; jedyne rzeczy, które przy sobie miałam. Następnie rzucił mnie na krzesło.

– Ta przepustka jest fałszywa! Skąd ją pani ma? – Jego krzyki nie były bardzo głośne, ale ton i tak był zastraszający.

– Ja... Przysłano mi ją...

– Kto ją przysłał?

– Nie... nie wiem... – wyjąkałam na skraju płaczu. – To chyba była jakaś pułapka...

Zwabiono mnie w pułapkę... Nie wiedziałam, co tu się dzieje...

– Nie interesuje mnie, co pani wie, a czego nie. Zależy mi tylko na tym, żeby pani stąd nie wyszła, żeby nie móc o tym opowiedzieć.

– Nie! Proszę! Nic nie wiem, przysięgam...!

– Milczeć!

Zanim ten krzyk zdołał mnie przestraszyć, zostałam uderzona w twarz, co mnie trochę oszołomiło. Po chwili poczułam łzy płynące po policzkach, które piekły mnie, jakby spływały po żywym mięsie.

– Nie bądź bydlakiem, Paul. Jeśli dalej będziesz ją tak bił, pozbawisz ją przytomności, zanim puści parę. Tysiąc razy ci mówiłem, że są skuteczniejsze metody.

Przez łzy zobaczyłam zamazany obraz drugiego strażnika, który wszedł do pomieszczenia. Nie znalazłam w sobie sił, żeby zaprotestować ani błagać o litość. Strach pozbawił mnie możliwości reakcji.

Drugi mężczyzna podszedł do stołu, otworzył na nim walizeczkę i zaczął w niej grzebać. Ponieważ był odwrócony plecami, nie widziałam, co robi, a on w tym czasie mówił do kolegi:

– Poza tym to nam zagwarantuje, że powie prawdę. Inaczej trudno ich skłonić do mówienia prawdy... Trzymaj ją... – Gdy wypowiedział ten rozkaz, odwrócił się ze strzykawką w rękę.

– Nie... nie... Puście mnie... Niiieeee!

Zacząłam się drzeć i wierzczać jak opętana, a moja histeria wzrosła, gdy poczułam się uwięziona przez tego bydlaka, podczas gdy ten drugi zbliżał się do mnie, pokazując mi strzykawkę. Wrzeszczałam do utraty tchu, bo nie mogłam zrobić nic innego. I kiedy już miałam sobie zedrzeć gardło...

– Co tu się dzieje? – krzyknął ktoś z głębi pomieszczenia jeszcze głośniejszym głosem niż ja.

Wszystko zamarło w ułamku sekundy. Moje wrzaski umilkły. Strażnicy zwrócili się w stronę drzwi. Jednocześnie rozbrzmiały dwa strzały. Obaj runęli jak dłudzy. Ja też znalazłam się na podłodze, instynktownie skulona w obawie przed strzałem.

Wtedy ktoś mnie poderwał z ziemi.

– Chodźmy! – Spojrzałam na niego wzruszona; miał taki sam uniform jak pozostali: marynarka, okulary, słuchawka. A jednak... – Pomogę się pani stąd wydostać. Musimy się pospieszyć, zanim zjawią się posiłki. Strzały pewnie było słychać w całym pałacu.

Złapawszy mnie za rękę, powiodł przez korytarze w szaleńczym biegu, ledwie mogłam za nim nadążyć. Pokonaliśmy kilka zakrętów, aż przeszliśmy przez drzwiczki ukryte za jakimś gobelinem, niemal skokiem pokonaliśmy kilka stopni i dotarliśmy do tunelu chronionego przez grubą kratę. Tajemniczy nieznajomy otworzył ją z chrzęstem zamka i skrzypieniem zawiasów. Zajrzał do środka, zapalił latarkę i rozkazał:

– Za mną.

Musielśmy wejść w przejście pochyleni, bo tunel miał co najwyżej półtora metra wysokości. Był to podkop, wilgotny, ciemny i wąski, pachnący korzeniami i mokrą ziemią. Przemierzaliśmy jego zakręty dłużej, niżbym sobie tego życzyła, w towarzystwie jedynie naszych kroków i przyspieszonych oddechów. Przed sobą widziałam tylko plecy mojego przewodnika; dlatego niemal na niego wpadłam, gdy znienacka się zatrzymał przed ścianą ziemi, bez widocznego wyjścia.

– Co teraz? – zapytałam, dysząc, o krok od ataku klaustrofobii.

Nie odpowiedział. Stał na palcach i pchnął klapę w sklepieniu. Fala świeżego powietrza spowodowała przeciąg w tunelu, a ja poczułam się odrobinę lepiej. Przez ten otwór widać było gałęzie drzew na tle bezgwiazdznego ciemnoniebieskiego nieba.

– Od tej chwili musi sobie pani poradzić sama.

Sama? To słowo zwykle mnie przerażało, a w tych okolicznościach było zabójcze.

– Ale...

– Kiedy pani wyjdzie, znajdzie się pani w lesie otaczającym *château*, chociaż jeszcze na jego terenie. Proszę iść wzdłuż ścieżki, ale niech pani nie próbuje iść po niej, bo łatwo panią znajda. Po jakichś pięciuset metrach trafi pani na strumień. Proszę go przejść. Proszę iść prosto następne dwieście metrów, aż dojdzie pani do muru granicznego. Musi go pani przeskoczyć. Szczęśliwie będzie pani blisko miejsca, gdzie jest trochę zniszczony, proszę je odszukać i przeskoczyć właśnie tam...

– Chwileczkę, chwileczkę... Mam skakać? Nie... Nie mogę... Jest za ciemno, nie trafię. I skakać? Nie, nie, nie. Nie mogę skakać...

Byłam za bardzo przestraszona i zdenerwowana, żeby stawić czoło temu wszystkiemu; nawet trochę się zaśmiałam.

– Proszę posłuchać, nie mamy czasu. Za kilka minut cały teren zaroi się od strażników z psami. Jeśli nie wyjdzie pani teraz przez tę dziurę, wpadnie pani w ich szpony jak królik. Proszę robić, co pani mówię. Za murem, po drugiej stronie szosy, znajdzie pani ukrytego w lesie range rovera. Proszę nie utrudniać, jeśli chce pani dojechać do Paryża żywa.

Od śmiechu przeszłam do płaczu.

– Ale... nie może pan iść ze mną?

– Nie. – Mężczyzna kucnął. – Proszę stanąć mi na udach, pomogę pani wyjść.

Podniosłam wzrok w stronę dziury – panowała tam ciemność.

– Przynajmniej proszę mi dać latarkę... Nic nie będę widziała... – wybąkałam.

– Światło panią zdradzi. Musi sobie pani poradzić bez latarki. Naprzód!

Zaczęłam przyjmować do wiadomości, że nie mam wyjścia, muszę to zrobić. Drżąc, stanęłam na jego nogach. On pomógł mi utrzymać równowagę. Potem przytrzymał mnie za biodra, żeby podsadzić w górę. Zanim to zrobił, spojrzałam na niego.

– Kim pan jest?

Nie odpowiadał przez kilka sekund, a kiedy to zrobił, ciemność nie pozwoliła mi zobaczyć jego miny. Bardzo chciałabym zobaczyć jego twarz, kiedy mówił:

– Georg von Bergheim.

Zaraz potem poczułam, że mocno popycha mnie w górę, żeby podsadzić mnie do krawędzi otworu. Kiedy starałam się z niego wygrzebać, zdałam sobie sprawę, że bolą mnie ręce od szamotania się z tamtymi zbirami. Z wysiłkiem udało mi się wydostać na zewnątrz i niemal bez tchu nachyliłam się do środka, żeby ostatni raz rzucić okiem na swojego wybawcę. Ale już go tam nie było.

Przez chwilę leżałam na ziemi sparaliżowana, nieruchoma pośród ciszy i ciemności. Ciszy i ciemności, które w kilka sekund się rozwiały. Kształty zaczęły się rysować w słabym świetle księżyca: drzewa, krzaki, pagórki, kamienie... A powietrze wypełniło się dziwnymi dźwiękami: skrzypieniem, szmerami, szelestami, wyciem...

Poczułam łaskotanie na ręce i spojrzawszy na nią, zobaczyłam pająka o długich nogach, który wchodził po moich palcach. Żeby zrzucić go z siebie, potrząsnęłam ręką, jakbym poczuła okropny skurcz, i jednym skokiem stanęłam na nogi. Czułam się okropnie. Wszystko mi zagrażało i mnie przerażało. Chociaż zachowywałam jeszcze dość rozsądku, by wiedzieć, że pozostanie w tamtym miejscu byłoby najgorszym wyborem.

Było wystarczająco jasno, abym mogła znaleźć drogę pośród tego gąszczy cieni, więc poszukałam ścieżki. Szybko ją odnalazłam i ruszyłam wzdłuż niej, ukryta w krzakach. Poruszałam się powoli pośród gęstych krzewów, które sięgały mi powyżej pasa i gałęziami drapały całe ciało. Starałam się nie myśleć o setkach gatunków robali, które mogły się tam

chować, i koncentrowałam się na liczeniu przebytych metrów.

Nie uszłam zbyt daleko, kiedy usłyszałam pierwsze szczekanie. Stanęłam jak wryta, żeby się upewnić, i zaraz uzyskałam potwierdzenie w postaci drugiego szczeknięcia, a potem następnego i następnego, aż zaczęły się powtarzać niemal nieprzerwanie. Rzuciłam okiem za siebie, ale nic nie zobaczyłam. Poczucie osaczenia stało się jednak tak namacalne, że niemal mnie dusiło. Rzuciłam się biegiem – było to trudne i bolesne; poza tym buty na obcasie wcale nie pomagały. Zrzuciłam je i przyspieszyłam kroku, nie zwracając uwagi na wbijające mi się w nogi kolce i kamienie. Szczekanie wydawało się coraz bliższe i ponownie spojrzawszy za siebie, zobaczyłam wznoszące się w niebo snopy światła mocnych latarek. Oszałała ze strachu, rzuciłam się naprzód, rozchylając krzaki własnym ciałem. Kilka razy potknęłam się i upadłam, kilka razy gałęzie niemal wykoliły mi oko. Pewnie miałam całą twarz podrapaną, bo łzy piekły mnie, spływając po policzkach.

Biegłam i biegłam, a strumienia ani śladu. Zaczęłam podejrzewać, że pomyliłam drogę i się zgubiłam. Nie mogłam dalej biec. Byłam wyczerpana, niemal bez tchu i ból przeszywał mi brzuch, nie pozwalając iść. Byłam pewna, że strażnicy zaraz mnie pochwycą. Przeszłam jeszcze kilka kroków, jak zabawka, której kończą się baterie, myśląc, że się poddam, osaczona, niezdolna do dalszej ucieczki.

Wtedy nagle się pojawił, tak nagle, że nie widząc go, prawie do niego weszłam. Oto i strumień, spokojnie płynął, daleki od mojego osobistego dramatu. Nie miałam czasu, żeby się z tego ucieszyć, po prostu bez zastanowienia weszłam w jego zimne wody. Szczęśliwie nie był zbyt szeroki ani głęboki, w swej najgłębszej części przykrył mi nogi jedynie do wysokości spódnicy, i przeszłam go niemal w jednej chwili. Dotarcie na drugi brzeg dodało mi animuszu. Znowu poczułam się zdolna do ucieczki przed tym koszmarem.

Mokra, zmaltretowana i skulona, żeby ulżyć bólowi brzucha, przebiegłam ostatnie metry do muru. Kiedy go zobaczyłam, znowu popłynęły mi łzy. Był wyższy, niż się spodziewałam, ale skoro dotarłam do tamtego miejsca, mur nie był wystarczającą przeszkodą, żeby mnie zatrzymać. Nawet pomyślałam sobie, że wolałabym umrzeć, przeskakując przez niego, niż z rąk tych dzikich fanatyków.

Znalazłam częściowo zrujnowane miejsce. Kilka kamieni wpadło do środka i pozwoliło mi wspiąć się na wysokość krawędzi. Mimo to musiałam zeskoczyć z ponad trzech metrów. Przez chwilę spoglądałam w dół. Nigdy wcześniej nie skakałam z tak wysoka. Chociaż przez ostatnie godziny zrobiłam już wiele rzeczy, które wcześniej nawet nie przyszyłyby mi do głowy... Zawahałam się. Tylko na chwilę. Szczekanie psów pomogło mi się nie zastanawiać za bardzo nad tym, co robię, zamknęłam zatem oczy i skoczyłam.

Upadając, skręciłam sobie nadgarstek, ale to nie było ważne – znalazłam się po drugiej stronie. Prawie mi się udało.

\*

## MUSZĘ KOMUŚ ZAUFAC

Nie za bardzo pamiętam powrotną podróż do domu. Mam tylko zamazane obrazy i nieprzyjemne wrażenia. Do teraz nie potrafię sobie wytłumaczyć, gdzie znalazłam siły i determinację, żeby prowadzić samochód. Przypuszczam, że rozpaczliwe pragnienie ucieczki z tego okropnego miejsca zdominowało strach, nerwy i ból, chociaż pamiętam, że kierowałam tylko lewą ręką, bo prawą po upadku nie byłam w stanie ruszać.

Kiedy już byłam w Paryżu, uczucie ulgi okazało się niszczące. Jakby rozluźniły mi się wszystkie połączenia nerwowe w ciele i zgasły po przeciążeniu, działałam automatycznie, jak pod wpływem silnego leku na uspokojenie.

Schroniwszy się w końcu pośród ścian apartamentu, zrzuciłam mokre ubrania i weszłam pod prysznic. Naga mogłam dokładnie obejrzeć ślady po mojej przygodzie: zadrapania, rany i siniaki; nawet górna warga była spuchnięta po uderzeniu tamtego łajdaka. W tych warunkach mydło działało na moją skórę jak kwas, więc kąpiel była krótka. Wyszłam z łazienki zawinięta w szlafrok i po prostu rzuciłam się na niepościelone łóżko. Zasnęłam, zanim przyszło mi do głowy, żeby się ubrać i wysuszyć włosy.

Obudziłam się, usłyszawszy swoje imię. Miałam wrażenie, że dopiero co zamknęłam oczy. Jednakże był już dzień i słońce zalewało mieszkanie przez otwarte okno. Znowu usłyszałam swoje imię... Podparłszy się, stwierdziłam, że mam obolałe całe ciało, a wstanie z łóżka i wyjście z sypialni okazało się nie mniej bolesne.

Zajrzałam przez drzwi do salonu i zobaczyłam Philippe'a, konsjerża, który speszony i skrepowany rozpływał się w usprawiedliwieniach z powodu wtargnięcia do apartamentu.

– Przepraszam, że użyłem klucza, żeby wejść, mademoiselle... Pani nie odpowiadała... ani na telefon, więc doktor Arnoux się zaniepokoił. Ja sam zadzwoniłem do pani przed otwarciem drzwi... Słyszysz o tylu różnych rzeczach... o takich młodych kobietach jak pani...

Doktor Arnoux? Jeszcze zaspana nie byłam pewna, czy dobrze go usłyszałam... Wtedy spojrzałam w stronę jadalni. Stał tam, przy stole, mierzając mnie wzrokiem z góry do dołu, z wyrazem przestachu na twarzy; w rękach trzymał jeden z papierów ze swojej teczki, które sama dzień wcześniej zostawiłam na stole i które ciągle tam leżały.

Porządnie opatuliłam się szlafrokiem i spróbowałam wyprostować plecy, co miało być oznaką godności, ale moje ciało znowu zaprotestowało, więc wsparłam się o framugę drzwi.

– Proszę zrozumieć, mademoiselle... – Philippe nie przerywał swojej mowy obrończej.

– W porządku, Philippe, nie ma sprawy. Na pewno pan Köller będzie ci bardzo wdzięczny za czujność. Ale sam widzisz, że wszystko jest w porządku. Możesz odejść.

Konsjerż zawahał się. Pewnie przypuszczał, że zanosi się na soczystą scenę, której nie chciałby stracić.

– Jest pani pewna, mademoiselle? Wie pani, że gdyby czegoś potrzebowała...

– Tak, dziękuję, Philippe. Tymczasem niczego nie potrzebuję.

Konsjerż niechętnie wyszedł. Zatrzaśnięcie drzwi ożywiło Alaina, wprawiło w działanie.

– Wyjaśnij mi, o co chodzi? Przez cały dzień nie odpowiadasz na moje telefony ani wiadomości, przez cały dzień nie otwierasz drzwi, nie...!

– Zabierz swoje rzeczy i wyjdź – rozkazałam mu spokojnie. Byłam za bardzo zmęczona na kłótnie. Chciałam tylko, żeby zszedł mi z oczu.

– Kurwa, Ana, byłem pewien, że znajdę tu twojego trupa pośrodku salonu! Czy ty sobie nie zdajesz sprawy?! – wybuchnął.

Nieczuła na to jego miotanie się, powoli podeszłam do stołu w jadalni. Chociaż chodzenie

boso po podłodze przyprawiało mnie o dreszcze, starałam się trzymać fason i zaczęłam zbierać to, co on sam powinien był zebrać.

– Powiedziałam, żebyś sobie poszedł.

Alain wyglądał na zdenerwowanego, zmieszanego moim zachowaniem i wrogością. Chciał mnie powstrzymać, chwytając za rękę. Zawylałam z bólu.

– Co...? Co się dzieje...? Prze...przepraszam, tylko cię dotknąłem... – Nic jednak nie mogłam wiedzieć o konsekwencjach tego zwyczajnego dotknięcia.

Lekko zemdlnona opadłam na krzesło. Czułam, że dłużej nie jestem w stanie udawać siły, na którą mnie w tej chwili nie stać, jakby przeszywający ból nadgarstka osłabił we mnie wszystko, także nieugiętość. Zasłaniając nadgarstek drugą ręką i powstrzymując łzy, spojrzałam na niego. Sprawiał mi nie tylko ból fizyczny.

Dopiero wtedy Alain zdał sobie sprawę z mojego wyglądu. Klęknął przy mnie, chociaż trzymał dystans.

– Boże... Co ci się stało?

– Proszę... wyjdź...

– Ta ręka bardzo źle wygląda... – zignorował mnie.

Nie ma co mówić, rzeczywiście nie prezentowała się najlepiej, była spuchnięta i sina. Na szczęście Alain nie mógł zobaczyć reszty mojego obolałego ciała. Szczególnie krwiaków, które mocowanie się ze strażnikami zostawiło na moich ramionach, a także siniaków.

Bez słowa ściągnął apaszkę, przełożył mi ją przez szyję i bardzo ostrożnie ułożył rękę na tym zaimprovizowanym temblaku. Pozwoliłam mu na to, nie miałam ochoty grymasić.

– Masz lód w lodówce? Przyłożę ci... A potem się ubierzesz, żebyśmy mogli pójść do lekarza...

Pokręciłam głową, nie patrząc mu w twarz.

– Nie... Nie... Nigdzie z tobą nie idę. Chcę, żebyś ty sobie poszedł.

Alain westchnął. Nie miał zamiaru mnie posłuchać, usiadł na krzesło.

– To przez to, prawda? – zapytał, ruchem głowy wskazując na papiery.

Nie odpowiedziałam.

– Mogę to wyjaśnić.

– Naprawdę...? Bardzo chętnie się dowiem, dlaczego masz taki piękny raport na nasz temat, i to ze zdjęciami. I dlaczego ukryłeś przede mną materiał przydatny w śledztwie. Z przyjemnością też się dowiem, dlaczego mnie okłamałeś, że Konrad do ciebie zadzwonił, żeby zaprosić cię do śledztwa, chociaż tak naprawdę było dokładnie odwrotnie. Dlaczego mnie okłamujesz, osaczasz, manipulujesz...? Dlaczego wydaje mi się, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz, doktorze Arnoux?

– Byłem durniem...

– Nie sędzę... Sędzę, że byłeś złym człowiekiem.

Nie zastanawiałam się, tryskając tym jadem. Potem jednak ugryzłam się w język i poczułam siarkowy smak urazy rozchodzący mi się w ustach. Chciałam pomyśleć, że przemówił przede mną niepokój, że normalnie nigdy w życiu bym czegoś takiego nie powiedziała. Ale nie wycofałam się, czułam się za bardzo obolała.

– Nie tracisz czasu na owijanie w bawełnę, co?

– Nie stać mnie na delikatność po tym, co się wydarzyło. – Alain wyglądał na tak bardzo przybitego, że spróbowałam osłabić ton. – Ach, Alainie... Czy to musiałeś być ty? Zaufałam ci, wierzyłam, że jesteś kimś, na kim mogę się wesprzeć. A ty mnie zdradziłeś, okłamałeś mnie, wykorzystałeś... I kto wie, co jeszcze gorszego zrobiłeś.

– Chwileczkę. – Aż podskoczył. – Z tego wszystkiego, o co mnie oskarżasz, zgadza się

tylko to, że cię okłamałem... A nawet nie to... raczej ukryłem przed tobą kilka informacji. A jeśli to zrobiłem, to tylko dlatego, że się obawiałem, że Konrad nie pozwoli mi z wami współpracować.

– A czemu to zawdzięczamy tak wielkie zainteresowanie współpracą z nami, Alainie? Tak wielkie, że trzeba się posuwać do kłamstwa...? Wygląda na to, że wszyscy ludzie potracili głowy z powodu tego przekłętego obrazu... Ty też, prawda? Może Fundacja... A może stoi za tym ktoś jeszcze...? – odważyłam się na insynuacje.

– To nie obraz, Ano... To coś... osobistego... Coś, co ma związek tylko ze mną...

Ze wzrokiem utkwionym w podłogę Alain wyglądał na człowieka, który czuje się bardzo niezręcznie i nie ma ochoty na zwierzenia.

– To nic poważnego... To... sprawa osobista. I jest... trudna... Nawet wstydliva. Ty możesz tego nie zrozumieć. A Konrad jeszcze mniej. Wasze życie jest cudowne, same sukcesy...

Miałam ochotę zaprotestować – nie wszystko złoto, co się świeci. Z drugiej strony nie uważałam, żeby Alain nie był cudownym człowiekiem, przynajmniej taki się wydawał, jeśli chodzi o jego karierę zawodową. Trzymałam jednak buzię na kłódkę; nie chciałam mu przerywać teraz, kiedy zaczynał się otwierać.

– Wiecie, kim jesteście i skąd się wzięliście... Ja, przeciwnie... Moja rodzina jest jak wielka czarna dziura, która wszystko połyka, to dom pełen zatrzaśniętych drzwi i ciemnych pokojów, pusty album fotograficzny...

Kiedy powiedział o zdjęciach, przypomniałam sobie te z teczki. Odszukałam je pośród papierów na stole i wzięłam do rąk: stare fotografie, fotografie rodzinne, fotografie Bauerów... Alain patrzył na nie razem ze mną.

– W moim domu nie ma zdjęć – wyznał. – Nigdy ich nie było. Ani moich rodziców, ani moich dziadków... Ani nawet mojej siostry i moich. Mój dziadek trzymał je na dnie szuflady. Nigdy ich nie pokazywał, a już na pewno nie stawiał ich w ramce na kominku. Wyglądało to tak, jakby miał coś do ukrycia, coś wstydliwego... Moja rodzina pełna jest nieobecności i nieobecnych, ale nie ma żadnej pamiątki, ani jednego wspomnienia... Wydaje się, że nie ma nic, czym można by się szycić albo być z tego dumnym. Po rozrzuceniu popiołów zmarłych ich ślad znika na zawsze...

Zwróciłam głowę w jego stronę; cały czas chciałam pokazywać, że jestem twarda i urażona, a jednak ogarniało mnie dziwne współczucie z odrobiną czułości.

– A co to ma wspólnego ze mną, Alainie?

Z powagą spojrział mi w oczy.

– Kiedyś mi powiedziałaś: „Uważam, że *Astrologa* ma Sarah Bauer”. Ja też tak sędzę, Ano. Ale mnie nie interesuje *Astrolog*... Mnie interesują Bauerowie...

Odwróciłam jedno ze zdjęć, to chłopaka: „W domu Bauerów, Illkirch, sierpień 1932”.

– To jedna z fotografii, które przechowywał mój dziadek. Kiedy pokłóciłem się z nim z powodu Bauerów, czułem się tak zmieszany jego zachowaniem, że potajemnie przeszukałem jego gabinet. Nie wiedziałem dokładnie, czego szukam, chciałem tylko znaleźć wyjaśnienie, którego on mi odmawiał. Wyłamałem zamek jednej z szuflad i znalazłem to.

– Akt urodzenia też?

Alain przytaknął.

– Jest twojego dziadka?

– Nie przypuszczam... Mój dziadek miał na imię André. André Lefranc. Nie mam pojęcia, kim był Jacob ani co robił jego akt urodzenia w gabinecie dziadka.

– A dziewczyna? – zapytałam, patrząc na amazonkę ze zdjęcia. – „Moja kochana Sarah”... Sarah Bauer?

Alain wzruszył ramionami.

– Rozumiesz, Ano...? Nic nie wiem... Tylko tyle, że zdjęcia z mojego domu pochodzą sprzed osiemdziesięciu lat i że na odwrocie napisano „Bauer”. I chcę się dowiedzieć dlaczego. Ty pojawiłaś się ze swoim śledztwem w odpowiedniej chwili, z Konradem za plecami i czekiem in blanco... Musiałem wykorzystać tę sytuację...

– Czyli że ty nie wysyłałaś tych esemesów ani nie dzwoniłaś do mnie i nie mówiłaś grobowym głosem, nie ukradłaś dokumentów Delmedigo ani jego diariusza? – potwierdziłam na w pół żartem, a na w pół serio, bardziej już z ulgą niż podejrzliwie.

Alain uśmiechnął się po raz pierwszy podczas tej rozmowy.

– Nie, Ano. Nic z tego nie zrobiłem... Zapewniam cię, że nie jestem złym człowiekiem, jestem tylko durniem.

Zorientowałam się, że zaczynam pąsowieć.

– Przepraszam... nie chciałam tego powiedzieć. Byłam tylko wściekła... Wybaczysz mi?

– Oczywiście, że tak... Tak naprawdę dostałem, co mi się należało.

– No tak... zachowałeś się trochę jak dureń. Konrada interesuje tylko obraz, guzik go obchodzi to, czego chcesz się dowiedzieć o Bauerach. Ale schrzaniłaś sprawę i więcej ci nie zaufa.

Alain wziął raport na temat Konrada.

– Przyznaję, że to w niewielkim stopniu świadczy na moją korzyść... ale nie ma w tym żadnych podstępnych zamiarów. Fundacja zwykle sporządza takie raporty na temat osób, z którymi pracuje. W tym świątku jest wielu oportunistów, wielu ludzi zajmujących się szemranymi interesami, więc zadawanie się z nimi może narazić na szwank nasze dobre imię i zaszkodzić naszej reputacji. Trzeba bardzo uważać, zanim postawi się krok naprzód...

– To ma sens... Przynajmniej tak mi się wydaje.

– To mi wystarczy... Wystarczy, że ty znowu mi zaufasz. – Alain spojrzał na mnie z niepokojem, jakby oczekiwał mojej odpowiedzi.

Westchnęłam. Strasznie bolał mnie nadgarstek i byłam bardzo, bardzo zmęczona. Wszystko to sprawiło, że osłabła moja skuteczność obrony. Czułam się obolała i bezbronna; chciałam komuś zaufać.

– Wiesz? W noc, kiedy wróciliśmy z Sankt Petersburga – wydawało mi się, że minęła cała wieczność – dostałam następnego esemesa: *Vertrauen Sie niemanden!* Nikomu nie ufaj... Ale nie mogę. Muszę komuś zaufać albo oszaleję... Nie rób mi tego więcej, Alainie. Nie chcę więcej kłamstw – ostrzegłam go.

– Przysięgam. Ja też ich nie chcę. Cieszę się, że przez pomyłkę zabrałaś moją teczkę i że wszystko wyszło na jaw. Teraz, kiedy to z siebie wyrzuciłem, czuję się znacznie lepiej.

Ja też. Ja też poczułam się lepiej.

Alain nalegał, żeby mnie zawieźć do szpitala. Przypuszczam, że wybrał to sobie na pokutę. W dzisiejszych czasach każdy mężczyzna, który pojawi się na pogotowiu z obita kobietą, od razu staje się podejrzany o przemoc domową. Alain musiał więc znieść wiele podejrzliwych spojrzeń.

Badająca mnie lekarka nie zawahała się zapytać, gdy robiła mi zastrzyk uspokajający i zakładała opaskę elastyczną na nadgarstek:

– Jak to się stało?

– To było wczoraj wieczorem. Ktoś chciał mi ukraść torebkę. Odmówiłam, więc mnie pobili – zaimprovizowałam, unikając szczegółów.

– Ten mężczyzna, który z panią przyszedł, to mąż, narzeczony?

– Nie... to kolega z pracy.



Gdy wychodziliśmy z pogotowia, byłam tak głodna, że czułam się słabo. Zapach ciepłego jedzenia, który snuł się na narożnikach ulic w południe, sprawił, że skręcał mi się żołądek.

Weszliśmy do małej osiedlowej restauracji uczęszczanej przez okolicznych robotników: stoliki z papierowymi obrusami i prosta, szybka kuchnia oparta na tym, co Francuzi nazywają *formule*, przystawka oraz danie główne, do tego deser, wszystko za 12 euro.

– Opowiesz mi, co ci się przytrafiło? – Alain w końcu zdecydował się zapytać, kiedy zmagalam się ze skorupą zapieczonego sera na zupie cebulowej.

Rzuciłam mu smutny półśmiech – na ile pozwoliły mi moje spuchnięte usta – znad łyżki.

– Poznałam Georga von Bergheima – odpowiedziałam. Zrobiłam to, żeby dać sobie czas; nie wiedziałam, od czego zacząć, nie wiedziałam, czy chcę cokolwiek zaczynać.

Alain w odpowiedzi uniósł brwi. A potem dał mi sygnał, że zrozumiał komunikat...

– Nie musisz mi niczego opowiadać. Chyba że chcesz... Pomyślałem, że może wolałabyś o tym mówić...

Wyraz jego twarzy wydał mi się schroniskiem w górach pośród śnieżnej burzy, z dymiącym kominem i oknami wymalowanymi złotym światłem. Alain miał ciepłą i niesamowicie miłą twarz, z tych, które wyrywają zwierzenia i wyznania nawet z najbardziej zamkniętych dusz. A ja zdecydowanie nie jestem zamkniętą duszą.

Zacząłam mówić, wahając się, jak zimny silnik, który trudno uruchomić, z większą powściągliwością niż entuzjazmem. Jednak stopniowo silnik zaczął się rozgrzewać: powiedziałam mu o esemesie, tajemniczej paczce, mundurze, runach *sig*, czarnym range roverze, *château* i wszystkich tych okropnych wydarzeniach, których byłam świadkiem i w których brałam udział. Ponownie zawahałam się, gdy mówiłam mu o strażnikach, ich znęcaniu się, strzykawce, żalostnej ucieczce – ubieranie tego w słowa czyniło koszmar rzeczywistym i słowa nie płynęły z taką łatwością... Weszłam do restauracji głodna, a jednak moja zupa cebulowa wystygła w fajansowej miseczce.

Alain wysłuchał mnie w milczeniu i z uwagą, niemal bez mrugnięcia okiem. Pozwolił mi mówić, ani razu nie przerywając, zachował milczenie nawet, gdy ja już zakończyłam opowiadanie. Niezdolna do wytrzymania jego spojrzenia, spuściłam wzrok na zapomnianą zupę.

– Teraz mi powiesz, że jestem wariatką, że to było nierozsądne i popełniłam głupotę?

– Nie... Tak naprawdę chciałem ci powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. Trzeba mieć... rozumiesz, żeby samej się pchać w coś takiego.

– Dziękuję, ale nie uważam, że to była odwaga, chodziło raczej o dowiedzenie czegoś samej sobie, chociaż nie wiem dokładnie czego...

– Zostałaś sama na polu bitwy i zamiast się poddać, postanowiłaś podjąć wyzwanie i dalej walczyć.

– Samobójstwo...

Alain uśmiechnął się.

– Być może. Ale teraz możesz czuć się z siebie dumna.

– Dziękuję... – powiedziałam szczerze wdzięczna. Byłam bardzo rozczulona i kilka klepięć po plecach dobrze mi zrobiło.

Kelner zabrał zimną zupę i przyniósł nam danie główne: cielęcinę *à la bourguignon*. Zdrową ręką zaczęłam podjadać kawałki mięsa w sosie z czerwonego wina.

– Co Konrad sądzi o tym wszystkim? Co będziecie robić od tej chwili? – zagadnął Alain pomiędzy kęsami.

– Konrad jeszcze nie wie, co się stało, właśnie leci z Japonii. Nie mam pojęcia, co powie... Chociaż Konrad nie jest człowiekiem, którego łatwo wystraszyć...

– A ty? Co ty chcesz zrobić? Przecież to ty jesteś na pierwszej linii...

– Nie wiem... Jeszcze jestem za bardzo obolała, żeby jasno myśleć... Może mogłabym zostawić śledztwo. Chociaż nikt nie ma prawa odsuwać mnie od niego. Z drugiej strony... Jeśli prawdą jest to, co mi powiedzieli? Jeśli lepiej zostawić sekrety w spokoju?

– Chodzi ci o Szmaragdową Tablicę?

Przytaknęłam i moja mina stała się jeszcze bardziej ponura.

– Co to, do cholery, jest, Alainie? Dlaczego ktoś nie chce, żeby ujrzała światło dzienne?

Zanim Alain odpowiedział, popił i wytarł sobie usta serwetką.

– Kiedy ty bawiłaś się w Larę Croft, ja robiłem za mola książkowego – zażartował. – Poszukiwałem informacji o Szmaragdowej Tablicy... Czysta ezoteryka, Ano. Magia, alchemia, hermetyzm... Historyjka.

– Ale co to dokładnie jest?

– Dam ci swoje notatki do poczytania... Ale legendy nie powinny nas interesować. My jesteśmy historykami, naukowcami, znajdujemy się poza tymi rzeczami. Ty poszukujesz obrazu, tkaniny pokrytej farbami, czegoś rzeczywistego i dotykającego, co jest ważne przez swoją wartość artystyczną i historyczną. Cała reszta to bzdety.

Sama siebie zaskoczyłam zastanawianiem się nad nadnaturalnymi konsekwencjami. Byłam raczej realistką z pragmatycznym podejściem do życia, niezbyt przyjaźnie nastawioną do wszystkiego, co nie jest dotykające. Przypuszczam, że wpłynęło na mnie wszystko to, co zobaczyłam. Jednak rozumowanie Alaina przywróciło mi rozsądek, więc bez wysiłku podałam mu bardziej konkretne argumenty:

– Zgoda, Szmaragdowa Tablica to legenda. Ale istnieją ludzie, którzy ślepo wierzą w jej nadnaturalną siłę i są gotowi zrobić wszystko, żeby zdobyć to, co my uważamy za bzdety. Zapewniam cię, Alainie, ci ludzie to nie banda harcerzyków. A za nimi stoi pełno psycholi... Patrz na tego walniętego Breivika z Norwegii: nacjonalista przekonany, że jest mesjaszem. Albo w Niemczech na tę neonazistowską bandę, która zabijała sprzedawców kebabów. Nie wiem... Nie wiem, czy chcę narażać życie dla tego obrazu... Ale nie chcę też ugiąć się wobec czyichś groźb... Ach, Alainie, jestem taka skołowana... – poskarżyłam się z zalem w głosie.

– I ja to rozumiem... A jednak nie mogę ci pomóc podjąć decyzji. Nie chcę przed tobą ukrywać, że dalej będę poszukiwał informacji o Bauerach. Nie wiem, czy to mnie oddali od *Astrologa* czy przybliży, nie wiem, czy to mnie nie postawi w trudnej sytuacji. Jest mi to obojętne, nie zrezygnuję, bo sam jestem odpowiedzialny za swoje bezpieczeństwo i przyjmuję tego konsekwencje. Co do ciebie... Nie będę ukrywał, lubię z tobą pracować, wolę pracować z tobą niż sam. Uważam, że stanowimy dobrą ekipę, i chociaż nasze interesy są różne, pokrywają się w jednym punkcie. Jestem pewien, że śledztwo lepiej by szło naprzód, gdybyśmy pracowali razem niż oddzielnie. Ale nie będę cię zachęcał, żebyś w tym dalej siedziała, bo teraz już wiem, że nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa. Gdyby coś ci się stało, czułbym się winny i odpowiedzialny za to.

Spojrzałam na niego poważnie, półuśmiechem dziękując mu za zrozumienie, jednocześnie myśląc sobie, jak wielką byłam idiotką, że mu nie dowierzałam.

Nagle, nie wiem właściwie dlaczego i mając pełną świadomość niebezpieczeństwa, na jakie się wystawiam, poczułam się mniej przestraszona.

Niemniej nie tylko Alain i ja należeliśmy do ekipy.

– Trzeba poczekać na to, co powie Konrad. Do niego należy ostatnie słowo.

\*

## CO TERAZ ZROBIMY, KONRADZIE?

Jesteś szalona! Cholerna wariatka! Co ci wpadło do głowy, żeby bawić się w gierki jakiegoś pieprzonego świra? Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś? Wystawiłaś się na absurdalne niebezpieczeństwo! Jeśli coś ci się stanie, jak ja będę wyglądał? Ja jestem za to odpowiedzialny! Odpowiedzialny za ciebie!

Reakcja Konrada przyszpiliła mnie do krzesła. A przecież mogłam ją przewidzieć, wszak widziałam, jak w miarę mojego opowiadania zmieniał się na twarzy: przymykał powieki, zaciskał usta, na skroniach zaznaczały mu się żyły, tężał i szarzał. Aż w końcu wybuchnął pretensjami. Widziałam, jak się denerwował przy innych okazjach, nawet wkurzał, w ten cichy i powściągliwy sposób, tak dla niego charakterystyczny. Ale nigdy nie widziałam u niego takiego wybuchu.

Konrad jednym haustem opróżnił szklankę whisky. Przyjechał do domu po północy, zmęczony długim lotem z Japonii. Nie była to najlepsza chwila, żeby stawić temu wszystkiemu czoło.

Siedząc za barem oddzielającym kuchnię od salonu, przyglądałam mu się w milczeniu. Gwałtownie odstawił szklankę na kredens i rzucił mi wrogie spojrzenie z drugiego końca pokoju.

– Czy ty nie masz zamiaru nic powiedzieć?

Otuliłam się swetrem, który włożyłam na koszulę nocną, i wzruszyłam ramionami.

Konrad wykorzystał moje milczenie, żeby nalać sobie następną whisky. Wtedy postanowiłam urosnąć w jego oczach.

– Nie jestem dzieckiem – odważyłam się powiedzieć. – Nie jesteś za mnie odpowiedzialny. Kiedy coś robię, nie chcę się za każdym razem zastanawiać, czy to cię zmartwi czy nie, czy się zdenerwujesz czy nie. Mam prawo podejmować własne decyzje.

Konrad odwrócił się gotowy do ataku.

– Jak możesz być taka niewdzięczna?

Jego spojrzenie przewróciło mi żołądek do góry nogami. Zapomniałam, jaki czasem potrafi być okrutny. A jego okrucieństwo zwykle studziło moje zapąły.

– Ty... Ty powiedziałaś, że jestem odważna. I powiedziałaś, że dlatego mnie kochasz. Musiałam ci dowieść, że taka jestem...

– Jedna rzecz to odwaga, a druga to szaleństwo.

– Alain uważa, że wykazałam się wielką odwagą.

Konrad odsunął szklankę, nie zamoczywszy w niej ust.

– Alain? Doktor Arnoux? Co on, kurwa, ma z tym wszystkim wspólnego? Nie ustaliliśmy, że on zostaje wyłączony, że to zdrajca? Na tego chuja naślę największego skurwiela z moich adwokatów!

– Nie, Konradzie! To wszystko to nieporozumienie. On tylko się bał, że ty nie będziesz chciała z nim współpracować.

Konrad spojrział na mnie, nic nie rozumiejąc. Opadł na kanapę; wydawało się, że ma wszystkiego dosyć. Mimo to dalej mu wyjaśniałam:

– Jego nie interesuje obraz... Chce poszukać swojej rodziny, swoich korzeni...

– Dość, Ano. Nie chcę teraz gadać o tym facecie, niech wypierdala w chuj. Na dzisiaj mam już dosyć... Sama myśl o tym, co się stało...

– Ale przecież nic mi się nie stało! A teraz wiemy o sprawach, o których wcześniej nie mieliśmy pojęcia. Wiemy, kogo mamy przeciwko sobie... Nie możesz cieszyć się z tego powodu? Powiedzieć, że zrobiłam coś dobrze?

Spojrzenie Konrada stało się przebiegłe.

– A kogo mamy przeciwko sobie, Ano? PosenGeist? Georga von Bergheima?

– Georg von Bergheim nie żyje... Jakkolwiek by było, ten mężczyzna tylko chciał mnie przestrzec.

– Tak uważasz? Ja bym powiedział, że ten duch z krwi i kości wpuścił cię do wilczej jamy, naraził twoje życie na niebezpieczeństwo, jakby dla niego nie było nic warte. Powiedz, Ano, naprawdę wiesz, kogo mamy przeciwko sobie? Naprawdę myślisz, że dobry samarytanin w postaci Georga von Bergheima, oddanego nazisty, członka SS, chciał cię ostrzec przed niebezpieczeństwem...? Z czego mam się cieszyć? Z tego, że się wystawiłaś?

Konrad pociągnął łyk i potarł oczy palcami jednej ręki. Kiedy uniósł głowę, z zagubionym wzrokiem i zaczerwienionymi powiekami, wydawał się nieobecny. Wściekłość na jego twarzy ustąpiła miejsca wyczerpaniu i to sprawiło, że się uspokoiłam.

– Przykro mi – wyszeptałam. – Nie sądziłam, że się tak bardzo zdenerwujesz...

– Tylko się o ciebie martwię – stwierdził jeszcze nieobecny, bezbarwnym tonem, nie wykonując przy tym żadnego gestu.

Podeszłam do niego i usiadłam obok. Wsparłam głowę na jego ramieniu. Wzięłam go za rękę. Jednak minęło kilka sekund, zanim ścisnął mi palce. I dopiero po chwili otoczył mnie ramieniem i przytulił do siebie.

Dopił drugą whisky, odsunął szklankę i przytrzymał moją dłoń w swoich, dokładnie się jej przyglądając.

– Powinnaś pamiętać, że to zaledwie minimalna część tego, co mogło się wydarzyć. Nie igraj więcej z ogniem.

– Uważaj, jeszcze mnie boli...

Konrad jakby nie zdawał sobie sprawy, że coraz bardziej ścisną mi dłoń swoją, wielką i silną.

– Przepraszam. – Wypuścił ją.

Zaległa cisza, która działała mi na nerwy. Konrad też był zdenerwowany. Przytulona do niego, czułam jego napięte mięśnie.

– Należę sobie jeszcze jednego – oświadczył, podpierając się.

Zanim to zrobił, pocałował mnie. Jego usta smakowały alkoholem, co mi się spodobało, były miękkie i wilgotne; jednak po kilku chwilach zaczęły mnie piec poranione wargi, więc się odsunęłam.

– Wypij coś ze mną. Nie chcę sam się upijać – powiedział chrapliwym głosem.

– Nie... nie mogę pić alkoholu z lekami na uspokojenie.

Przyjął wymówkę i poszedł po butelkę. Bez lodu. Bez wody. Nalał sobie pół szklanki czystej whisky.

– Co teraz zrobimy, Konradzie? – Wcale nie miałam wielkiej ochoty o tym rozmawiać, ale chciałam, żeby wszelkie wątpliwości zostały rozwiane.

– Będziemy robić swoje – odpowiedział bez chwili wahania, jakby to było oczywiste, jakby nie było żadnej kłótni.

Nie protestowałam. Nie mogłam rzucić mu w twarz, że wykazałam mu swoją odwagę, by zaraz dzielić się z nim obawami. Poza tym na nic by się to zdało.

– Ci ludzie uważają, że Szmaragdowa Tablica ma jakieś nadprzyrodzone moce. Hitler też w to wierzył – ograniczyłam się do stwierdzenia.

Pomiędzy łykami whisky dostrzegłam coś tajemniczego w jego minie.

– Naprawdę...? W takim razie to zwiększa wartość *Astrologa*. To następny powód, żebyś go odnalazła.

Postanowiłam wystąpić w roli adwokata diabła.

– Jednak Alain uważa, że to tylko historie i legendy.

Samo wspomnienie Alaina go rozdrażniło. Usiadł koło mnie, ujął moją twarz w dłonie i spojrzał mi w oczy. Patrzył na mnie w dziwny, niepokojący sposób.

– Uważam, że ten facet za wiele ci mówi, *meine Süße*. – Jego przesycony whisky oddech owionął mi twarz. – Chcę go widzieć jutro w swoim gabinecie – rozkazał, wsuwając ręce pod moją koszulę.

\*

## PRZEDMIOT ICH KLÓTNI

Gabinet Konrada w Paryżu znajdował się na samej rue de la Paix, na ostatnim piętrze neoklasycystycznego budynku, z którego okien było widać wejście do hotelu Ritz oraz obelisk na placu Vendôme. Był przestronny, a jego wystroju w kremowych barwach i palisandrowych mebli dopełniało ekspresjonistyczne malarstwo, zwieńczone aktem Modiglianiego oraz brązowym koniem Giacomettiego.

Umówiliśmy się tam z Alainem o czwartej po południu. Ponieważ była sobota, sekretarka nie przyszła do pracy, więc sama przygotowałam kawę, podczas gdy Konrad i Alain rozmawiali o Modiglianim w beznadziejnym wysiłku przełamania lodów. Myślałam, że napięcie pomiędzy nimi zelżeje dzięki sztuce, a jednak wręcz przeciwnie, wróciwszy z kawą, zastałam ich prężących muskuły przy stole konferencyjnym.

Alain wstał, żeby pomóc mi postawić filiżanki, Konrad tymczasem plątał się w agresywnym przemówieniu.

– To jest niczym nieusprawiedliwione mieszanie się do naszych spraw, doktorze Arnoux. Potrzebuję bardzo poważnego powodu, żeby zrezygnować z prawa doniesienia na pana policji... Proszę, pozwólcie mi dokończyć. Przywykłem już do tego, że jestem przedmiotem wszelkiego rodzaju działań szpiegowskich i praktyk mafijnych; mam w zasięgu ręki dość środków, żeby stawić im czoło. Ale wydaje mi się zawstydzające i niegodne to, że ofiarą pańskiego matactwa stała się Ana.

Wykorzystując to, że postawiłam na stole ostatnią filiżankę, Konrad wziął mnie za rękę i po złożeniu na jej grzbiecie pocałunku posadził mnie obok siebie, po czym pocałował w policzek. Ten ekshibicjonizm wydał mi się zbyteczny.

– Myślałem, że już to panu wyjaśniłem. – Wyglądało na to, że Alaina nie przeraża ton rozmówcy. – Po pierwsze, nie zrobiłem nic nielegalnego. Informacje zamieszczone w tym raporcie na pański temat i na temat doktor Garcii-Brest są publiczne, raport jest tylko ich zbiorem. Po drugie, EFLA jest instytucją non profit, która działa dzięki subsydiom i darowiznom. Dobre imię jest podstawą jej przetrwania. Musimy być pewni, że intencje ludzi, z którymi się zadajemy, są uczciwe. Musimy wiedzieć, z kim pracujemy.

– Jasne. Ale jednym z warunków podjęcia współpracy z nami było niemieszanie w to Fundacji. EFLA ze mną nie współpracuje ani ja z nią. A zatem to badanie jest nie tylko nadużyciem, ale jest też bezpodstawne.

– Nie w moim przypadku. Jestem prominentnym członkiem Fundacji i wszystko, co robię w swoim życiu osobistym, wpływa na jej obraz, zwłaszcza wszystko, co dotyczy sztuki. Musi pan zrozumieć, że jeśli przyłgnie do mnie błoto, Fundacja też zostanie splamiona.

– Panie doktorze Arnoux, nie wiem, co stoi za pana okrągłymi słowami i niejasnymi intencjami. Już panu kiedyś powiedziałem, że Fundacja nie wzbudza mojego szacunku, mimo to zaufałem panu. Pan jednak nadużył tego zaufania, oszukał mnie i oszukał doktor Garcie-Brest. Wykorzystał pan moje zaufanie, moje środki i moje finanse. Wiele pan otrzymał, a w zamian ja nie otrzymałem nic...

– Podejmowanie decyzji w zaciszu pańskiego gabinetu jest bardzo proste, panie Köller. Co do ryzyka finansowego... Szczerze mówiąc, ośmielę się stwierdzić, że dowolna operacja z tych, którymi zajmuje się pan w codziennym życiu, jest finansowo znacznie bardziej ryzykowna niż ta. Skoro mówimy o ryzyku, Ana jako jedyna ryzykuje w tym śledztwie. Ryzykowała własne życie...

– No właśnie! A gdzie pan był wtedy? Gdzie pan był, kiedy ona pana potrzebowała?

– Pod jej drzwiami! A pan?

– Niech się pan nie waży mnie krytykować, doktorze Arnoux! Nic panu do mojego związku z nią! I do niej też!

Nie mając odwagi się wtrącić, obserwowałam, jak między Konradem a Alainem narasta napięcie. Patrzyłam, jak wspierają się na stole, podnoszą głos, uciekają się do coraz bardziej nerwowych gestów; zachowywali się jak dwa zbiry, brakowało tylko, żeby zakasali rękawy, zacisnęli pięści i zaczęli się okładać. Ale w osłupieniu wprawiło mnie to, że nie wiadomo jak, bez mojego udziału i bez sensu, stałam się przedmiotem ich absurdalnej kłótni.

– Chwileczkę, chwileczkę – przerwałam im. Zawstydzona sobą i nimi, postanowiłam położyć kres tej głupocie.

Obaj spojrzeli na mnie, jakby dopiero teraz zdali sobie sprawę z mojej obecności. Starając się zapanować nad drzeniem głosu i rąk, zaczęłam łagodzić sytuację:

– Spróbujmy wszyscy się opanować, w porządku? Po pierwsze, byłabym wdzięczna, gdybyście przestali gadać o mnie, jakby mnie tu nie było. A po drugie, po prostu byłabym wdzięczna, gdybyście w ogóle przestali o mnie gadać.

Alain spuścił wzrok. Konrad utkwiał spojrzenie przed sobą, wyraźnie starając się raczej zdusić wściekłość, niż słuchać, co mam do powiedzenia.

– Jesteśmy tutaj, żeby porozmawiać wyłącznie o śledztwie, żeby zastanowić się, co dalej robimy. Cała reszta jest stratą czasu i absurdalnym paplaniem. Co było, to było, teraz chodzi o to, co mamy dalej robić.

Skończyłam poruszona i spocona. Antagoniści w ciszy dochodzili do siebie po tym ostrzegawczym dzwonku. Ja też dochodziłam do siebie.

Alain odchrząknął.

– Masz rację – zgodził się. – Lepiej będzie skupić się na tym.

Konrad dopił kawę, odstawił filiżankę na bok, oparł łokcie na stole i złączył palce przed twarzą. Z typowym dla siebie rozsądkiem zawyrokował:

– Rozumiem, doktorze Arnoux, że pańskim zamiarem jest dalej z nami współpracować. Skoro tak, dlaczego znowu mam panu zaufać?

– Nie ma pan powodu. W każdym razie do pana należy decyzja, czy mi pan zaufa czy nie. W obecnej sytuacji nic, co powiem, nie przekona pana, a ja też nie zamierzam tego robić. Prawda jest taka, że nie przerwę swojego badania, z panem czy bez pana, to mnie nie powstrzyma. Robiąc to oddzielnie, podejmiemy jednak absurdalną rywalizację, która nie będzie korzystna dla żadnej ze stron. Teraz musi pan zdecydować, co jest dla pana lepsze.

Spotkanie skończyło się tymczasowym porozumieniem w sprawie współpracy. Konrad zgodził się przyjąć Alaina jako mniejsze zło, chwilowego sojusznika.

Kiedy zamknęły się drzwi i zostaliśmy sami, rzuciłam ostro:

– Można wiedzieć, o co chodzi? Czego ty, u diabła, oczekiwałeś? Lepiej będzie, żeby się nie domyślił, że potrzebujemy go bardziej niż on nas...

Bez słowa, szybkim ruchem, Konrad złapał mnie za brodę i unieruchomił opartą o ścianę. Uderzył o nią moją głowę. Jego oczy miały iskry i cedził słowa przez zacisnięte usta:

– Nigdy. Słyszysz? Nigdy więcej nie odsłaniaj mnie przed nikim. Nigdy nie mów mi, co mam robić. – Wypluwszy to, uciszył mnie gwałtownym pocałunkiem, tak silnie przyciskając mi usta, że zerwał mi strup z rany. – Nigdy, *meine Süße*.

W końcu mnie puścił, otworzył drzwi i wyszedł, zostawiając mnie przyklejoną do ściany, z rdzawym smakiem krwi na języku. Usiadłam na ziemi bez tchu, tak poruszona, że nawet nie byłam w stanie płakać.

Nie miałam wiadomości od Konrada do poniedziałku, kiedy w mieszkaniu pojawił się

ogromny bukiet róż i etui od Cartiera.

Gdy z dziwnym ściśnięciem żołądka oglądałam bransoletkę z diamentami, zadzwonił telefon. Alain.

– Przypadek jest po naszej stronie – obwieścił tajemniczo.

– To znaczy?

– Właśnie wziąłem udział w promocji książki wydanej przez Fundację: *Nadine de Vandermonde, nazistowska hrabina*, taki nosi tytuł. Nadine de Vandermonde należała do najbardziej zjełczałej francuskiej arystokracji, jej życie jest ciekawe z wielu powodów, między innymi jej antysemityzmu i gorącego poparcia dla nazistowskiego reżimu podczas okupacji. Ale najciekawsze jest to, że Nadine de Vandermonde była żoną Rolfa Bauera.

– Rolfa Bauera? To, że Bauera, podoba mi się, ale Rolf to zupełnie nowa sprawa.

– Rolf i Nadine Bauer byli rodzicami Alfreda Bauera. A zatem nazistowska hrabina była babką Sarah Bauer. I żyła w Paryżu podczas okupacji.

\*



## KWIECIEŃ 1943

Kolaboracja czy ruch oporu? Po kapitulacji, podczas okupacji Francuzi zmuszeni byli do wyboru między tymi dwoma postawami, czy to aktywnie, czy biernie. Formy kolaboracji były bardzo różnorodne, od kolaboracji państwowej, której przewodził rząd Vichy i która była zarówno polityczna, jak gospodarcza i wojskowa, aż do kolaboracji wynikającej z powodów ideologicznych identyfikowania się z faszyzmem – zwykle w klasach średniej i wyższej oraz w niektórych środowiskach kulturalnych i intelektualnych – jak również z przyczyn praktycznych, wynikających ze zwykłego pragnienia przeżycia, częstszej w klasach niższych i wśród robotników. W miarę rozwoju wojny i niekorzystnego dla Niemiec obrotu spraw ewoluowała także tendencja ludności francuskiej do odchodzenia od kolaboracji i zwracania się ku ruchowi oporu.

Nic się nie zmieniło, tylko ona sama. Już nie była przestraszoną dziewczynką, zagubioną i ciągle uciekającą. Teraz stała się kobietą, która chwyciła cugle swojego życia i prowadziła je klusem ku przeznaczeniu... Niemniej cieszyła się, że jeszcze została jej odrobina niewinności, kiedy odkryła, że pragnie, aby towarzyszył jej Jacob, jak za pierwszym razem.

Sarah wygładziła spódniczkę i poprawiła kapelusz, patrząc na swoje odbicie w szybie. W końcu nacisnęła dzwonek.

Otworzył jej służący hrabiny Vandermonde. Jego obecność nie uspokoiła jej: wyniosły niczym posąg, ubrany według nienagannej etykiety i dziwny, bardzo dziwny.

– Dzień dobry. Chcę się zobaczyć z hrabiną – oświadczyła Sarah głosem, który miał sięgnąć poziomu imponującej postawy rozmówcy.

W milczeniu i nie wykonując żadnego gestu, służący przepuścił ją przez próg i poprowadził ciemnym korytarzem do salonu nie mniej przygnębiającego niż przy pierwszej wizycie. Tak samo jak wtedy przez okna, ukryte za aksamitnymi zasłonami, nie wpadało ani trochę dziennego światła i półmrok ledwie zarysowywał ciężki wystrój, przytłaczający licznymi luksusowymi meblami w ciemnych kolorach, o zakurzonych obiciach. Powietrze było ciężkie, przesycone paczuli i wilgocią. A po panującej ciszy można by stwierdzić, że dom nie był zamieszkały. Od jej ostatniej wizyty nic się nie zmieniło.

Sarah wiedziała, że musi poczekać. Służący nie potrzebował nic mówić. Był wyniosły, a jedno spojrzenie jego skośnych, płomiennych oczu wystarczyło, żeby się zrozumieli; spojrzenie sztywne, groźne, którym zdawał się wycinać sylwetkę osoby, na którą patrzył.

Sarah nie mogła przestać mu się przyglądać, kiedy wychodził. Wydawał jej się absolutnie odpychający, a zarazem atrakcyjny i wywoływał u niej niemal perwersyjne uczucie niezręczności. Ta postać była taka jak dom, jedno i drugie ją przytłaczało.

– To ciekawy mężczyzna, nieprawdaż?

Sarah odwróciła się przestraszona. Hrabina weszła do salonu drugimi drzwiami. Przepłynęła bezszelestnie pomiędzy zasłonami niczym cień. W purpurowym kaftanie, jedwabnym turbanie i z laską z hebanu i kości słoniowej wyglądała jak zjawą z innej epoki.

– Przepraszam? – wykrztusiła Sarah oszołomiona.

Hrabina nie uśmiechnęła się.

– Anh Trang. Mój służący. Początkowo trudno na niego nie patrzeć, wszystkim się to przytrafia. Jest albinosem, to wietnamski albinos. Dlatego nazwano go Anh Trang, co po wietnamsku znaczy „poświęta księżycy”. Ojciec zasztyletował matkę, gdy tylko zobaczył go po urodzeniu. Zabrano mu dziecko, kiedy właśnie się zabierał do wyłupienia niemowlęciu oczu, po tym jak już mu wyrznął język. Chciał w ten sposób odpedzić złe duchy. Dlatego Anh Trang nie

mówi ani słowa, nie może. Może tylko jęczeć...

Hrabina z trudem przeszła przez pomieszczenie, wlokąc jedną nogę za drugą. Wsparła się obiema rękami na lasce i usiadła w fotelu z całą elegancją, na jaką pozwalały jej artretyczne stawy.

– Wzięłam go z sierocińca w Sajgonie, gdzie zostawili go jacyś misjonarze. Kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, siedział skulony w kącie, a inne dzieci rzucały w niego kamieniami i wyzywały od potworów... To ciekawe, mnie zawsze wydawał się bardzo atrakcyjny... Naprawdę bardzo atrakcyjny chłopak. Szkoda, że prawie nie może wychodzić, żeby inni mogli podziwiać jego piękno... Ale światło słoneczne by go zabiło.

Sarah przytaknęła zmieszana. Być może Anh Trang miał piękne rysy i byłby pięknym mężczyzną, gdyby nie te czerwone oczy i bladość zjawy... Dreszcz przebiegł jej po plecach. Ta okropna starucha i przerażająca historia Tranga zbiły ją z tropu. Dobrze sobie obmyśliła, co powie, kiedy przekroczy próg tego domu. Nie spodziewała się jednak, że hrabina wyskoczy jej z tą niewczesną historyjką.

W milczeniu usiłowała odtworzyć swoją strategię, ale staruszka ją uprzedziła.

– Powiedziano mi, że nie żyjesz. – Słowa hrabiny były lodowate.

– Mylili się. To oczywiste – odpowiedziała Sarah sarkastycznie.

– Licz się ze słowami, bezczelna dziewczyno! – warknęła hrabina, stukając laską. – Skoro już miałaś dość odwagi, żeby tu wrócić po tym, jak stąd wyszłaś w sposób tak grubiański, przynajmniej zachowuj się grzecznie i z szacunkiem.

Sarah nie pozwoliła się zastraszyć i dalej zachowywała się wyzywająco wobec tej nieprzyjemnej kobiety.

– Nie jestem tu z kurtuazyjną wizytą. Chcę tylko odzyskać swój obraz.

– Swój obraz? – Hrabina pogardliwie się zaśmiała. – Jesteś tak samo brzydka i impulsywna jak twój ojciec...

– Proszę posłuchać – przerwała jej Sarah – nie przyszłam tu, żeby znowu wysłuchiwać obelg wobec mojej rodziny. Co pani sobie wyobraża, kim pani w ogóle jest, żeby mówić do mnie w taki sposób?

– Kim ja jestem...? Gdyby ten dzikus, z którym tu ostatnio byłaś, pozwolił mi mówić, nie zadawałabyś teraz tego pytania. – Na twarzy hrabiny pojawił się uśmiech, który Sarah wydał się tajemniczy i diaboliczny. – Ja, panno mądralińska, jestem twoją babką.

Sarah rozdziawiła usta ze zdumienia, oszołomiona i przestraszona, jakby dziesiątki trąb jednocześnie zagrzmiało w jej uszach.

– Tego się nie spodziewałaś, co? – powiedziała hrabina niemal chępliwie, z wysiłkiem próbując sięgnąć do sznurka przy drzwiach. – Nie miałam najmniejszych złudzeń, że twój ojciec ci o mnie mówił, ale byłam przekonana, że przynajmniej w ostatniej chwili powiedział, do kogo cię wysyła. Widzę, że całkowicie usunął mnie ze swojego życia...

Sarah nie mogła się nawet ruszyć. Obserwowała tylko tę ekstrawagancką kobietę, gdy ta do niej mówiła.

– Usiądź.

Sarah nie posłuchała tego pozbawionego uprzejmości i szacunku rozkazu. Dalej z niepokojem przyglądała się hrabinie.

Hrabina zamknęła oczy, prezentując pawi makijaż powiek. Jakby policzyła do dziesięciu, westchnęła, po czym powoli je otworzyła.

– No dobrze już... usiądź – powtórzyła tonem, jakim zwraca się do piesków pokojowych.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i pojawił się Anh Trang, przybywając na wezwanie pani. Ponownie Sarah poczuła, że bada ją swoimi oczyma zjawy. Wtedy, niemal nie

zdając sobie z tego sprawy, usiadła.

– Anh Trang, proszę przynieś nam po kieliszku sherry.

Służący skłonił głowę na znak, że zrozumiał, i podszedł do barku, gdzie nabożnie przygotował wino. Kiedy zbliżył się do Sarah z kieliszkiem, dziewczyna, czując zagrożenie jego bliskością, zwalczyła w sobie chęć odsunięcia się, ale nie była w stanie odwrócić spojrzenia.

– Nie musisz się bać intensywnego wzroku Anh Tranga – poradziła jej hrabina, kiedy służący wyszedł. – Niezbyt dobrze widzi, a jest ciekawy, jak wyglądasz, jaka jest twoja twarz. Czasem używa rąk, żeby dotknąć tego, na co patrzy, ale w twoim przypadku nie ma śmiałości.

Sarah podziękowała w duchu, że tego nie zrobił; bardzo by ją przestraszył.

Zdenerwowana odstawiła kieliszek na stół. Nie miała ochoty pić, była już dość oszołomiona. Chciałaby coś powiedzieć, ale nie wiedziała co. Ciągle zadawała sobie pytanie, jak ta kobieta może być jej babką. Czy to nie jej starcze delirium?

Hrabina dla odmiany pociągnęła solidny łyk sherry, niemal połowę kieliszka. Jakby alkohol dodał jej sił, wstała z fotela. Z jednego z kredensów wzięła niewielką oprawioną fotografię, która ginęła pośród licznych ozdóbek i przedmiotów nagromadzonych w pokoju bez ładu i składu. Pokazała ją Sarah, trzymając w kościstych dłoniach o długich pazurach czarownicy kuszącej Śnieżkę jabłkiem.

Sarah ostrożnie wzięła zdjęcie. W ciemności salonu nie widziała dokładnie, co przedstawia. Przynurła je do światła małej lampki oświetlającej całe pomieszczenie. Było stare i nieco zniszczone, z wieloma widocznymi zagięciami i białymi plamami, jakby przypaleniami. Na tle leśnej dekoracji, będącej swego rodzaju sceną, stała rodzina: ojciec z dziewczynką u boku i matka z dzieckiem na rękach. Ich ubrania potwierdzały wiek fotografii: ojciec miał na sobie garnitur i koszulę z wysokim wykrochmalonym kołnierzykiem oraz *canotier*, matka, uczesana w wyszukany kok, elegancką długą suknię w stylu wiktoriańskim; dziewczynka była cała w koronkach, a we włosach miała wielką kokardę, malec nosił marynarskie ubranko. Bardzo poważnie spoglądali w aparat, jakby robienie fotografii było bardzo uroczystą chwilą.

– To była moja rodzina. Zdjęcie zrobiono w Baden, latem 1887 roku... Zanim wszystko zaczęło się powoli rozsypywać... – Zniszczony wiekiem głos hrabiny stał się jeszcze bardziej nieprzyjemny. – Od śmierci mojej malutkiej Katriny nic już nie było takie jak dawniej...

Staruszka opadła na fotel, przytłoczona bardziej wspomnieniami niż wiekiem. Po raz pierwszy Sarah spojrzała na nią ze współczuciem.

– Tak, bezczelna dziewczyno... – Westchnęła. – Jest wiele rzeczy, o których nie masz pojęcia, wiele rzeczy, których ojciec ci nie opowiedział.

– To dziecko... – odważyła się zainsynuować Sarah.

Hrabina przytaknęła.

– To twój ojciec, tak. Tutaj ma jakieś dwa lata. Zawsze był ślicznym dzieckiem, taki blondynek, i taki pulchniutki, z wielkimi oczyma, którymi patrzył na wszystko z wielką uwagą.

Sarah delikatnie przesunęła palcem po fotografii, dokładnie w miejscu, w którym znajdował się malec, i poczuła, że emocje ściskają jej gardło.

– Być może to moja wina... – dalej wspominała hrabina. – Byłam bardzo młoda i nieprzygotowana na bycie matką. Kiedy dyfteryt zabrał Katrinę, nie mogłam znieść siedzenia w domu, szalałam w zamknięciu tych cuchnących śmiercią ścian. Zaczęłam wychodzić, podróżować, poznawać ludzi... Przystałam być dobrą matką i dobrą żoną. Aż któregoś dnia Rolf nie wytrzymał i zażądał rozwodu. Oczywiście zgodziłam się... Ja też go chciałam – to było moje uwolnienie. Kiedy więc twój ojciec miał dziesięć lat, zostawiłam go w Getyndze, gdzie Bauerowie żyli od pokoleń, i wróciłam do Paryża. Chociaż tak naprawdę nigdy nie przestałam podróżować, zawsze byłam niespokojnym duchem. – Uśmiechnęła się gorzko. – Kiedy Alfred

skończył szkołę, byłem w Nowym Jorku; kiedy miał swój pierwszy koncert fortepianowy, w Turcji, a kiedy umarł Rolf, po jedenastu latach od naszego rozvodu, byłem w Singapurze i popijałam singapore sling z Rudyardem Kiplingiem w podcieniach hotelu Raffles. Zaskakujące, po tylu latach człowiek pamięta tak wiele szczegółów...

Hrabina znowu uśmiechnęła się do siebie i spojrzała na Sarah.

– Sama widzisz, że w żadnym wypadku nie byłam tradycyjną matką... W ogóle nie byłam matką dla Alfreda, który zimę spędzał w internacie, a lato z ojcem, poza tym jednym razem, kiedy go zabrałam do Egiptu i nieomal zmarł mi na dyzenterię. Kiedy wybuchła pierwsza wojna, twój ojciec zaciągnął się do niemieckiego wojska, a po jej zakończeniu przyjechał do mnie, do mojego domu, żeby mi oznajmić, że się żeni i wyjeżdża do Strasburga... Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że panna młoda była Żydówką, a on był gotowy przejść na judaizm, żeby się z nią ożenić. – Twarz hrabiny stężała, a jej ręce zaczęły się trząść na oparciach fotela. – Bardzo się na niego zezłościłam. Krzyczałam, że nie może tego zrobić, że zdradza dobre imię Bauerów i przyjętą na siebie odpowiedzialność strzeżenia obrazu. Obraz nie mógł wpaść w żydowskie ręce – o to zawsze walczyli Bauerowie, a wcześniej Medyceusze. Żydzi to przeklęty cień mroku. Wszystko, czego się tkną, jest skazane na nieszczęście... Przykro mi, że musisz tego wysłuchiwać. W końcu jesteś teraz Żydówką, córką Żyda... Ale takie były dokładnie słowa, które powiedziałam twojemu ojcu, słowa, które nas rozdzieliły na zawsze... Alfred sobie poszedł. Po jakimś czasie napisałam do niego list, w którym przeprosiłam go za to, co powiedziałam, i wyraziłam gotowość zaakceptowania małżeństwa, jeśli tylko nie przejdzie na judaizm. Nigdy mi nie odpowiedział. Nigdy więcej o nim nie słyszałam, dopóki ty nie weszłaś przez te drzwi...

Hrabina wyciągnęła rękę, żeby wziąć zdjęcie od Sarah. Z dziwnym wyrazem pomarszczonej twarzy na kilka chwil zatopiła w niej wzrok.

– Bóg pomylił się, dając mi tak piękną rodzinę... – podsumowała, znowu wstając, żeby z dbałością, jakby to była relikwia, odłożyć fotografię na kredens.

– Mój ojciec nie żyje... – oznajmiła Sarah z trudem.

– Wiem – odpowiedziała hrabina po chwili. Nie miała nic więcej do dodania.

W krępującej ciszy staruszka powlokła się do ciemnego kąta, gdzie włączyła światło.

– Tu masz swój obraz, Sarah Bauer – oświadczyła. – Możesz go zabrać, kiedy będziesz chciała.

Sarah wstrząsnął dreszcz. Od dawna nie oglądała *Astrologa* w pełnej jego krasie; wyniosły w swojej ramie, delikatny na ścianie, bohater skąpany w lekkim świetle. To był niesamowity widok i Sarah odczuła chwilowe duchowe uwolnienie, efemeryczny moment spokoju, jakby czas się zatrzymał i na całym świecie został tylko ten obraz i ona, ten przeklęty cud, który odmienił jej życie i skazał ją na piekło.

Poczuła impuls, żeby wstać i spokojnie stamtąd wyjść, z uśmiechem. Jednak tego nie zrobiła. Pomyślała o Jacobie i tego nie zrobiła.

Podczas gdy Sarah kontemplowała obraz, hrabina kontemplowała ją. Była naprawdę ładna, zauważyła, twarz aniołka z lekką domieszką diabolicznej siły, płynącej bezpośrednio z oczu, zielonych jak jeszcze wiszące na drzewie migdały, intensywne jak blask żaru.

– Możesz go zabrać... – zgodziła się powoli hrabina – i znowu ukryć go pod jakimś tanim obrazem, porzucić go na łaskę chłodu i wilgoci, kurzu i wycierania... Niemców.

Głębokie i teatralne spojrzenie hrabiny pod maską makijażu spadło wprost na Sarah wraz z oskarżeniem. Nagle poczuła się naga. Co wie ta kobieta, która mówi, że jest jej babką? Co wie, czego ona nie wie?

Madame de Vandermonde znowu zaczęła chodzić po salonie, nie odrywając nóg od

podłogi. Jednym haustem dopiła kieliszek sherry i usiadła naprzeciw wnuczki.

– Przypuszczam, że nie jesteś świadoma wielkiej odpowiedzialności, jaką pociąga za sobą opiekowanie się tym obrazem, i że ojciec nie opowiedział ci wszystkiego, co powinnaś o nim wiedzieć.

– Wiem wystarczająco dużo. Wystarczająco, żeby być świadoma, że żaden obraz na świecie nie jest cenniejszy niż ludzkie życie.

– To nie obraz, Sarah, tylko jego tajemnica. Tajemnica, która od niepamiętnych czasów kosztowała życie wielu jego strażników. Ale bez wątpienia okropny sekret, jaki skrywa ten obraz, właśnie teraz jest bardziej zagrożony niż kiedykolwiek wcześniej. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby *Astrolog* wpadł w ręce Hitlera. Sympatyzuję z nazistami, nie przeczę, ale istnieje broń, której określone osoby przenigdy nie powinny dostać. A ty, jako Żydówka, członek już zagrożonej i atakowanej społeczności, powinnaś w pełni zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Twój ojciec o tym wiedział i dlatego wołał sam wpaść w ręce gestapo, niż oddać obraz, czy pomyślałaś o tym na chłodno?

Hrabina wsadziła palec w ranę. Sarah popatrzyła na nią przygnębiona. Nie, nie pomyślała o tym; ani o tym, ani o niczym innym. Spadło to na nią pewnego wieczoru, gdy na siłę wpychali ją do zejścia w podłódze, pośród urywanych zdań i bez słowa wyjaśnienia.

– Nie sądzę, żeby twojemu ojcu było miło słuchać, że ten obraz nie jest cenniejszy niż życie choć jednej osoby. Nie, skoro sam za niego oddał życie.

Sarah poczuła ukłucie bólu w tym nieokreślonym miejscu, gdzie znajduje się dusza. Skuliła się w sobie i ukryła twarz w dłoniach; czuła, że sytuacja całkowicie ją przerosła. Nikt jej na to nie przygotował, nikt jej nie przestrzegł, że będzie musiała poświęcić życie swoje i Jacoba. Nikt jej nie zapytał, czy jest gotowa to zrobić... Ogarnięta wściekłością i niemocą przeklęła ojca za to, że zgotował jej taki los, za to, że zmusił ją do wybierania pomiędzy obrazem a tym, co kochała najbardziej na świecie.

Hrabina de Vandermonde podeszła do niej. Nie była osobą wylewną, ale delikatnie przesunęła ręką po włosach wnuczki w geście pieśczości.

– Dobrze, Sarah Bauer. Teraz już wiemy, dlaczego twój ojciec przysłał cię do mnie.

\*

## OTO KLUCZ DO DELMEDIGO

Przeczuwam, że osacza mnie śmierć, że kręci się niczym wygłodniały wilk po obrzeżach mego domu. Może dlatego nawiedzają mnie wiecznie myśli o niedokończonych sprawach.

Dawno nie miałem wiadomości o negocjacjach mojego dobrego przyjaciela hrabiego Pico della Mirandoli dotyczących *Astrologa*. Ta cisza mnie niepokoi. Jak również niepokoi mnie myśl, że tajemnica Szmaragdowej Tablicy mogłaby wyjść na światło dzienne. Ludzkość nie jest gotowa na to, co YHVH chciał pozostawić poza zasięgiem naszego pojmowania. Szmaragdowa Tablica jest narzędziem diabła, które niechybnie zachwieje fundamentem naszej wiary i naszego porządku, naszego świata, a nawet zawali go, doprowadzi nas do samozagłady.

Wawrzyniec Medyceusz był mędrce wyznaczonym przez Przedwiecznego, aby narzucił rozsądek strzeżenia podobnego sekretu i związanych z nim zagrożeń. Niestety nie pokładam takiego samego zaufania w jego następcy. Błagam Niebios, aby hrabia Pico odnalazł konieczną inspirację i zdołał przekonać ojca Ficina i mistrza Giorgia o potrzebie zniszczenia *Astrologa* i wymazania na wieki śladów Szmaragdowej Tablicy.

W bibliotece Sorbony zdobyliśmy kopię mikrofilmów, nad którymi mogliśmy pracować w gabinecie Alaina. Ponownie przejrzelismy dziennik Delmedigo i potwierdziliśmy, że urywek, który przeczytała nam Irina, rzeczywiście jest jedynym istotnym dla naszego badania.

Fluorescencyjnym markerem zazaczyłam na żółto kilka słów z tekstu: *Astrolog*, Szmaragdowa Tablica, Wawrzyniec Medyceusz, hrabia Pico, ojciec Ficino i mistrz Giorgio.

– Oto klucz do Delmedigo – zapewniłam Alaina. – Za jego pomocą musimy odpowiedzieć na trzy pytania, do których sprowadza się nasze badanie.

– Czy *Astrolog* istnieje albo istniał? Dlaczego chciał go Hitler? I gdzie jest teraz? – Alain przeczytał w moich myślach.

Przytaknęłam poważnie, delikatnie uderzając się w usta markerem.

– No, ja uważam, że przynajmniej na dwa z nich odpowiada – zauważył.

– Tak jest. Przyznaje to po raz pierwszy... Wielki Boże, w sumie do tej pory w to nie wierzyłam... – Zawiesiłam głos, nie mogąc ukryć zdziwienia. – Potwierdza po raz pierwszy istnienie obrazu Giorgionego zatytułowanego *Astrolog*. Ze słów Delmedigo można wnosić, że ten obraz zawiera sekret Szmaragdowej Tablicy, której pragnął Hitler... i oczywiście wielu innych.

– Na to wygląda... – zgodził się Alain.

– Ale czym dokładnie jest Szmaragdowa Tablica? Z tego, co wiem, chodzi o tekst, zaledwie kilka linijek symboli, których interpretację przeprowadza się na podstawie alchemii. I ten tekst jest znany od średniowiecza. Nie jest żadną tajemnicą i na pewno nie jego tak bardzo pragnął Hitler.

– Rzeczywiście, masz rację. Szmaragdowa Tablica jest też przedmiotem albo przynajmniej była nim na samym początku. W końcu nie miałem czasu, żeby dać ci notatki z moich badań, ale ogólnie rzecz biorąc, to wszystko ma związek z hermetyzmem...

– Ezoteryka, tak?

– Ezoteryka i to najwyższej próby, z tysiącami lat tradycji. Tak naprawdę to dość skomplikowane. Jeśli wpiszesz w Google słowo „hermetyzm”, pojawiają się setki tysięcy stron. Masz szczęście, że wcześniej już to przerobiłem i przygotowałem dla ciebie wersję ogólną i kieszonkową, typu Wikipedia.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Lepiej sobie tego nie wyobrażaj – pociągnął mój żart. – Dobra, hermetyzm. Można powiedzieć, że to dziedzina wiedzy ezoterycznej oparta na pewnych tekstach, przypisywanych

Hermesowi Trismegistosowi, swego rodzaju bóstwu grecko-egipskiemu, które miało być połączeniem bogów Thota i Hermesa. Mówi się, że żył w latach trzytysięcznych przed Chrystusem w starożytnym Egipcie, ale tak naprawdę nie ma historycznych dowodów na jego istnienie. To raczej postać, którą budowano na bazie tradycji, filozofii i rytuałów od II wieku naszej ery, ale szczególnie od średniowiecza, kiedy stał się przede wszystkim odniesieniem dla alchemików. Ponadto w świetle myśli judeochrześcijańskiej do Thota i Hermesa w postaci Trismegistosa dołączył Abraham, wnoszący dwie nauki: jedną publiczną, zebraną w Starym Testamencie, a drugą ukrytą, przekazaną wyłącznie wtajemniczonym i zebraną w *Corpus hermeticum*. W sumie wierzenia hermetyczne zakładają próbę usystematyzowania całej wiedzy religijnej, filozoficznej i mistycznej epoki. Jednak zebrały także tradycje wiedzy okultystycznej praktykowanej od najdawniejszych czasów, a wszystko to w jednym jedynym celu: osiągnięcia jedności z Bogiem poprzez przywołanie nadziemskich mocy. Ot i wszystko.

– Matko boska... – zakończyłam lakonicznie. – To znaczy, że Szmaragdowa Tablica...

– Jest czymś równie nieprawdopodobnym jak cała reszta. Legenda mówi, że kiedy Aleksander Wielki wkroczył do Rakotis, gdzie później założono Aleksandrię, odkrył tam grób Hermesa Trismegistosa. Wszedłszy do komory grobowej, zobaczył, że mumię pogrzebano z wielkim szmaragdem w rękach i że na szmaragdzie jest inskrypcja... Mówi się, że szmaragd Hermesa spadł z czoła samego Lucyfera, kiedy czarny anioł został pokonany w walce przeciw Bogu, i posiada pewną niewyczerpaną i ciemną moc, moc diabelską. Prawdopodobnie Aleksander był świadkiem mocy szmaragdu, co go poruszyło i jednocześnie przeraziło. Dlatego grecki bohater postanowił ponownie ukryć Szmaragdową Tablicę, żeby uchronić ją przed ludzką zachłannością i bezmyślnością. Świadomy, co zawiera, skopiował tekst inskrypcji, lecz ukrył Szmaragdową Tablicę w tajemnym miejscu, odległym i niedostępnym.

– Nie tak tajemnym, jak widać...

– Poczekaj, pozwól mi dokończyć. Aleksander Wielki zapisał miejsce ukrycia Szmaragdowej Tablicy w tekście, który podzielił na dwie części i wymieszał je na wzór szyfru, żeby nie można było odczytać jednej bez drugiej. Oba teksty zostały wyrzeźbione na kamiennych walcach. Jeden z walców wręczył pewnemu mędrcewi imieniem Kybalion, strażnikowi tajemnicy Hermesa. Ten mędrzec miał chronić walec, nawet poświęcając życie, jeśliby zaszła taka potrzeba, albo przekazać go, gdy nadejdzie jego czas, innemu zaufanemu mężowi. I w ten sposób aż do końca świata. Drugi walec zabrał sam Aleksander Wielki, zawsze nosił go przy sobie jak amulet, i opowiada się, że kiedy go chowano, ciągle miał ów walec na szyi.

Kiedy jeszcze przetrawiałam wszystkie te informacje, Alain wyłożył mi swoją pierwszą wątpliwość:

– Nawet jeśli założymy, że legenda jest prawdziwa, nie potrafię sobie wyjaśnić, w jaki sposób Giorgione zdobył oba walce i poznał miejsce ukrycia Szmaragdowej Tablicy.

Dzień wcześniej ja też odrobiłam zadanie domowe i spróbowałam znaleźć połączenie pomiędzy Medyceuszami a Giorgionem i tych obu z całą sprawą, posiłkując się swoją wiedzą o renesansie.

– Giorgione nie wiem... – zgodziłam się. – Ale być może Wawrzyniec Medyceusz. Jego dziadek, Kosma, był entuzjastycznym miłośnikiem relikwii i starożytności. Wysyłał ludzi po całym świecie w poszukiwaniu rzeczy rzadkich, które lubił, zbierał i przechowywał. I rzeczywiście jeden z tych wysłanników przywiózł pierwszy manuskrypt, znany jako *Corpus hermeticum*, oryginał w języku greckim, który Kosma nakazał przetłumaczyć na łacinę. A kto zajął się przekładem? Więcej ni mniej, ni więcej tylko Marsilio Ficino, ten *pater* Ficino, założyciel Akademii Florenckiej. W związku z tym wydaje się logiczne, że walce mogły dotrzeć do rąk Kosmy, a ten przekazał je Wawrzyńcowi.

Alain skrzywił się. Nie do końca był przekonany do mojej teorii.

– Możliwe, że przypadek i historia włożyły w ręce Kosmy Medyceusza walec powierzony przez Aleksandra Wielkiego Kybalionowi. A ten, który Aleksander zabrał ze sobą do grobu? Bo jego grób jeszcze nie został odkryty...

– Nie, ale może walec nigdy nie został pogrzebany z Aleksandrem. Ciało Aleksandra pochowano dopiero w dwa lata po jego śmierci, bo było przedmiotem walk o władzę i dysput na najwyższym szczeblu: czy pogrzebać je w Macedonii, czy zabrać do Egiptu, czy wybudować grobowiec w Memfis, czy też może przenieść je do Aleksandrii... Każdy z jego ambitnych dowódców bardzo łatwo mógł przejąć amulet, który Aleksander zawsze nosił przy sobie – zabranie relikwii człowieka, którego czczono jako boga, byłoby nieodpartą pokusą. Nie mówiąc już o tym, jak często mumia Aleksandra była odwiedzana, odkrywana i dotykana przez rzymskich cesarzy. Mówi się, że cesarz August złożył uszanowanie mumii macedońskiego króla tak wylewnie, że złamał nos masce pośmiertnej. Cmentarni rabusie, szabrownicy starożytności... Nie wiem, tysiące hipotez, które mogłyby nas skłonić do myśli, że walec krążył po świecie i skończył w rękach Medyceuszków.

– Zbyt wiele legend...

– Tak, ale prawdą jest, że te legendy przetrwały do dziś, że uwiodły Hitlera i jeszcze uwodzą jego uczniów. Przetrwały tysiące lat. I sprawiły, że my teraz poszukujemy obrazu. To jest ważne: bieg po zwycięstwo. Potwierdzić, czy to przedmiot magiczny, czy – jak to powiedziałeś – kawałek tkaniny pokryty farbą, to nie jest sprawa, którą się powinniśmy teraz zajmować. To przyjdzie z czasem... jeśli przyjdzie.

Alain pokręcił głową.

– Masz rację. Tyle historii krzyżuje się w tej sprawie, że łatwo zatracić perspektywę. Najpierw *Astrolog*, a potem Szmaragdowa Tablica – podsumował. – Wróćmy więc do *Astrologa*: Wawrzyniec Medyceusz odkrył miejsce ukrycia Szmaragdowej Tablicy i postanowił o zapisaniu sekretu w obrazie, prawdopodobnie poprzez symbole, które tylko on potrafił odczytać...

– On i co najmniej Marsilio Ficino i Pico della Mirandola, których też wymienia Delmedigo – dodałam. – Te imiona wskazują bezpośrednio na Akademię Florencką.

– A Elias Delmedigo, który to wszystko opisuje? On też należał do Akademii?

– Nie. Ale był mistrzem i przyjacielem Pico della Mirandoli i liczne listy, które między sobą wymienili, dowodzą, że Delmedigo był na bieżąco z tym, co się działo w Akademii. Ciekawostką jest jednak to, że zawsze był sceptyczny w sprawie doktryn hermetycznych i przeciwstawił się ich wpływom na myśl żydowską poprzez kabałę. Był jednym z pierwszych hebrajskich myślicieli, którzy bezpośrednio zaatakowali żydowski mistycyzm i jego podstawowy tekst, Zohar, czyli „Księgę blasku”.

– „...niepokoi mnie myśl, że tajemnica Szmaragdowej Tablicy mogłaby wyjść na światło dzienne. Ludzkość nie jest gotowa na to, co YHVH chciał pozostawić poza zasięgiem naszego pojmowania. Szmaragdowa Tablica jest narzędziem diabła, które niechybnie zachwieje fundamentem naszej wiary i naszego porządku, naszego świata, a nawet zawali go, doprowadzi nas do samozagłady” – Alain przeczytał kawałek dziennika Delmedigo. – Wydaje się raczej przestraszony niż sceptyczny... Szczerze mówiąc, cały ten hermetyzm robi na mnie wrażenie historyjki. Ale oczywiście jest to ten typ historyjek, które kręciły Hitlera: tysiącletnie sekrety, moc ciemności, czarna magia...

Alain odłożył kartkę na stół i rozparł się na krześle.

– Już przejrzelśmy wszystkie słowa, które podkreśliłam. Zostaje nam tylko jedno: mistrz Giorgio. Przypuszczam, że był jednym z tych artystów, którzy przeszli przez Akademię...

Zrobiłam przerwę, żeby rozciągnąć zdrętwiałe mięśnie i zająć się najbardziej zawiłą



częścią rękopisu, częścią najmniej pasującą do całej układanki, a jednak najważniejszą.

– Nie. – Alain był tak zaskoczony, jak się spodziewałam. – Nie ma dowodów historycznych, że Giorgione był w Akademii. I to jest z tego wszystkiego najdziwniejsze. Wawrzyniec mógłby zamówić obraz u każdego malarza ze swego dworu, a było ich wielu i to bardzo dobrych. Giorgione nawet nie był Florentczykiem, ale Wenecjaninem, i współczesnym Wawrzyńca tylko przez chwilę; kiedy Wawrzyniec zmarł, on miał zaledwie piętnaście lat i pewnie był jeszcze uczniem bez dorobku. Rola Giorgionego w tej historii nie ma żadnego sensu.

– Ale jest oczywista, bo jak twierdzi Delmedigo, zamówił obraz u młodego Wenecjanina bez dorobku. Może Giorgione wiedział więcej, niż nam się wydaje... Już słyszałam, że się z tym nie zgadzasz, ale zawsze mawiano, że Giorgione jest tajemniczym malarzem.

– Przyznaję, że pewni autorzy twierdzą, że wiele z jego dzieł zawiera symbolikę hermetyczną. Jego najsłynniejszy obraz, *Burza*, spowodował wylanie morza atramentu na ten temat, tak samo *Trzej filozofowie* i wiele innych. Ale nigdy nie udało się dowieść związku Giorgionego z tradycją hermetyczną... Teraz sama już nie wiem, co o tym myśleć...

Alain potarł oczy i spojrzał na mnie przygaszonym wzrokiem. Po raz pierwszy tego popołudnia zobaczyłam, że jest zmęczony. Rzeczywiście zaczęliśmy pracować po całym dniu jego drugiej pracy.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Tylko potrzebuję przerwy na kawę. To był długi dzień – westchnął. – Dzisiaj rano przez pół ćwiczeń dyskutowałam z jakimś lizusem o ekspresjonizmie Beckmanna, czyli o czymś, co do czego sam Beckmann z krytykami nie mogli dojść do porozumienia. Potem poprawianie tych przeklętych prac...

– Poprawianie prac w październiku?

– Zrobiłem im kolokwium z pierwszych zajęć i niemal wszyscy chcieli podyskutować o pieprzonych poprawkach. Większość studentów uniwersytetu w dzisiejszych czasach powinna być jeszcze w przedszkolu...

Rzuciłam okiem na zegarek, było kilka minut po siódmej. Okno zalewało nas pomarańczowym światłem z ulicznych latarni, niedawno zapadł zmrok. Na korytarzach cisza zastąpiła odgłosy kroków, rozmów, telefonów i kserokopiarki.

– Kończymy na dziś – oznajmiłam, zaczynając zbierać papiery.

– Nie, naprawdę. Wszystko w porządku – mówił żywszym głosem, jakby chciał mnie przekonać. – Trochę się odświeżę i możemy kontynuować.

– Jasne, jutro. Na dziś wystarczy.

Alain położył rękę na teczce, którą próbowałam zamknąć.

– Przecież nie odpowiedzieliśmy na ostatnie pytanie: Gdzie jest *Astrolog*?

Spojrzałam na niego z uśmiechem. Nie było rozsądnej odpowiedzi na bezsensowny argument. Po prostu stwierdziłam, że nadszedł czas skończyć.

– Coś ci zaproponuję – powiedziałam. – Ty dajesz mieszkanie, a ja kolację. Mam świetny sposób na zmęczenie spowodowane przez lizusów, uniwersyteckich przedszkolaków i rękopisy z piętnastego wieku: jajka sadzone z frytkami, kieliszek albo dwa czerwonego wina i, rzecz jasna, dobre towarzystwo.

Alain zaczął się zbierać.

– Zakupy zrobimy po drodze do domu.

Zwrócenie się do żołądka mężczyzny zawsze jest najlepszą strategią, żeby przewyciężyć jego opór.



## DLACZEGO VON BERGHEIM POSZUKIWAŁ OBRAZU Z KOLEKCJI BAUERA?

Wkońcu to Alain dał dom oraz kolację. Należało się tego spodziewać. Ja zbliżam się do kuchni tylko po to, żeby włożyć воск do depilacji do kuchenki mikrofalowej. Dla odmiany Alain okazał się kucharzem zawołanym, który lubi trzaskać garami dla czystej przyjemności. Rozsądniej było zmienić zaproponowane przeze mnie jajka, które i tak pewnie bym rozdziabala przy smażeniu, na cukinie podsmażane z kozim serem, następnie rybę *en papillotte* z imbirem i cytryną i czerwone owoce z czekoladą na deser.

Ja ograniczyłam się do nakrycia do stołu, bo tym zajmują się ludzie mający alergię na kuchnię. Kiedy rozkładałam obrus, wykorzystałam sytuację, żeby się rozejrzeć. Na pierwszy rzut oka, albo na pierwsze wrażenie, stwierdziłam, że mieszkanie Alaina jest w jakiś nieokreślony sposób przyjemne. Nie był to pokój nastolatka podniesiony do rangi mieszkania singla; większość z nich tak właśnie wygląda, co sprowadza się do dziwaczego współlistnienia plakatów Queen i skórzanej kanapy z Divatto, systematycznego gromadzenia niepranych ubrań na krzesłach Philippe'a Starcka, nieuniknionej i jakoś dziwacznie atrakcyjnej dla mężczyzn lampy z lawą oraz bezdyskusyjnego pierwszeństwa telewizora: koniecznie plazmy, no i oczywiście dużego, bardzo dużego, nie mniej niż pięćdziesiąt cali (w sumie jestem przekonana, że mężczyźni decydują się kupić mieszkanie tylko po to, żeby przechowywać w nim telewizor). Oczywiście w mieszkaniu Alaina nie brakowało pięćdziesięciocalowej plazmy – w przeciwnym razie nie byłby mężczyzną – ale moją uwagę zwróciło to, że wszystko było czyste i uporządkowane, co jest zaskakujące w przypadku mieszkania singla, a nawet singielki...

– Widać, że dzisiaj była tu Belinda: powietrze pachnie Panem Properem... i znowu schowała mi tarkę – zrzędził Alain w kuchni, jakby odczytał moje myśli.

No cóż, być może czystość i porządek były zasługą angolskiej służącej, która przychodziła dwa razy w tygodniu sprzątać, ale i tak mieszkanie miało coś, co czyniło je ciepłym i przyjemnym. Nie chodziło konkretnie o wyszukany i dobrze dobrany wystrój, nie było świec ani kwiatów, ani par poduszek, ani żadnej z tych rzeczy, które my, kobiety, lubimy stawiać w domu. Może chodziło o książki zapełniające półki piętrzące się w niemożliwych stosach w każdym kącie. A może o pisma o sztuce otwarte na stole. Mogło też chodzić o czarno-białe fotografie niektórych zakamarków Paryża, porozrzucane po meblach z Ikei, które świetnie pasowały do staroci z prowansalskich ryneczków.

Ostatecznie to jednak rysunki odciągnęły mnie od nakrywania do stołu. Były ich dziesiątki: w narożnikach, na podłodze, zawieszzone na ścianach, w oprawie albo bez, zwinięte albo rozłożone. Rysunki węglem i sangwiną, przepiękne szkice ludzkiego ciała, jakiejś neoklasycznej fasady, jakiejś sceny w parku; notatki jednej chwili ze światła i cienia. A pod nimi, w narożnikach grubego czerpanego papieru, cztery kreski, które układały się w litery: AA.

– Już prawie gotowe. Jak tam stół?

Głos Alaina mieszał się ze skwierczeniem warzyw na patelni i smakowity zapach wyprzedził jego obwieszczenie.

– Nie najlepiej – przyznałam. – Rozglądałam się. Nie wiedziałam, że rysujesz... tak dużo.

Wyjrzał nad barem kuchni. Wycierając ręce w ścierkę, patrzył, jak kręcę się pośród rysunków.

– Podobają ci się?

Zatrzymałam się przed jednym z nich. Ostrożnie wzięłam go do rąk za krawędzie, starając się nie rozmazać węgla i nie poplamzić papieru. Był to niedokończony szkic rzeźby Antonia

Canovy, *Kupidyn i Psyche*: detal pieszczoty Kupidyna na półeczku Psyche.

– Tak... – wyszeptalam. – Bardzo.

Alain uśmiechnął się i wrócił do kuchni.

– Znowu pada...

Alain, który był w kuchni, nie mógł mnie usłyszeć przy głośnym ryku Nespresso.

Zapięłam marynarkę i skrzyżowałam ramiona. Było zimno przy balkonie, skąd patrzyłam na krople spadające na ziemię w świetle lamp. Rue de Montorgueil była pusta, tylko zielony neon otwartego non stop wietnamskiego warzywniaka lśnił na mokrym chodniku.

– Pada? – zagadnął, gdy wszedł i zobaczył, że stoję przy oknie.

Przytaknęłam.

Alain postawił tacę z kawą na stole, zgasił górne światło i zapalił kilka lampek. Nastrój ponownie zrobił się ciepły i intymny jak zapach kawy. Przycupnęłam na skraju kanapy, podczas gdy Alain nastawiał płytę na starym gramofonie. Szum igły na winylowych rowkach, zanim rozbrzmiał głos Tony'ego Bennetta, cofnął mnie w czasie, rozgrzał i popieścił mi duszę aksamitną rękawiczką.

W tym stanie uniesienia i rozkoszy, w jakim się znajdowałam, nawet nie przyszłoby mi do głowy rozmawiać o śledztwie... nie wiem więc, dlaczego Alain zainicjował ten temat, gdy podawał mi filiżankę kawy.

– A jeśli obraz został zniszczony?

Powrót do świata śmiertelników zajął mi trochę czasu.

– Słucham?

– Tak. Zgodnie z dziennikiem Delmedigo, Pico della Mirandola powinien był przekonać Ficina i Giorgionego do zniszczenia *Astrologa*. A jeśli mu się to udało? Von Bergheim pewnie stracił czas, i my też.

– Nie przypuszczam. Miej na względzie, że my opieramy się na tym niewielkim fragmencie dziennika, ale nasiścisci mieli list, zaginiony list Pico della Mirandoli do Delmedigo, może zawierający więcej informacji... – Przysunęłam filiżankę do ust i zanim wypiałam, przez sekundę się zastanowiłam. – Podaj mi swojego iPada, OK? – poprosiłam, zapominając o kawie.

Alain wszedł do sypialni i wrócił z iPadem. Włączył go, a ja weszłam w Google i napisałam: Pico della Mirandola i Angelo Ambrogini.

– Kim jest Angelo Ambrogini? – chciał wiedzieć Alain, który z zainteresowaniem obserwował moje działania.

Przeglądając wyniki wyszukiwania, zaspokoiliłam jego ciekawość.

– Także członek Akademii Florenckiej. Może będziesz go znał jako Poliziana, bo tak go nazywano, dlatego że urodził się w Montepulciano. – Alain zaprzeczył. – Był nauczycielem dzieci Wawrzyńca Medyceusza i jego osobistym sekretarzem, człowiekiem z jego najbliższego otoczenia. Prawdopodobnie był homoseksualistą i kochankiem hrabiego Pico... Oto i ona. – Wskazałam na informację, której poszukiwałam. Szybko ją przeczytałam. – Coś z tego tłuło mi się po głowie, ale nie byłam pewna. W 2007 roku grupa włoskich badaczy ekshumowała ciała ich obu. Historycy zawsze mieli podejrzenia co do okoliczności ich śmierci: obaj zmarli nagle, jeden kilka miesięcy po drugim. Według tego – dodałam, wskazując na wiadomość z BBC – zbadawszy ciała, udowodniono, że otruto ich arsenikiem i wszystko wskazuje na... Piotra Medyceusza, syna Wawrzyńca – skończyłam, unosząc brwi.

– Z powodu obrazu?

– No, tego to tutaj nie mówią, rzecz jasna. Nikt nie wie, że istnieje. Ale my tak, i to mogłoby być doskonały motyw. Zakładając, że Piotr dowiedział się, że Pico spiskował, żeby zniszczyć obraz, a przede wszystkim zaprzepaścić wielką tajemnicę, która prawnie należała do

Medyceuszów, a szczególnie do bezpośredniego spadkobiercy Wawrzyńca. Zgodnie ze standardami epoki nie zawahał się usunąć go z drogi, zarówno jego, jak i Poliziana, który będąc kochankiem Pico, prawdopodobnie był doskonale poinformowany o spisku.

– To ma sens... Ale jedno jest pewne: *Astrologa* nie ma w kolekcji Bauera, przynajmniej nie w tej, której inwentaryzację przeprowadzili naziści. – To była ulubiona śpiewka Alaina.

Zgasiałam iPada i zostawiłam go na stole. Także filiżankę z ostatnim łykiem kawy, która już ostygła.

– Dlaczego von Bergheim poszukiwał obrazu z kolekcji Bauera? – zastanawiał się Alain.  
– Bo jeśli on się pomylił, my też szukamy w złym miejscu.

– Nie wiem... Może ta informacja znajdowała się w raporcie ERR, tym, który ukradziono w CDAWOWU.

– Wiesz co? – Ton głosu Alaina nagle się zmienił. – Von Bergheim się nie mylił. – Spojrzałam na niego tak zdziwiona jego nagłą pewnością, że Alain poczuł się zobowiązany do wyjaśnienia. – Gdybyśmy szli niewłaściwą drogą, nikt nie zadałby sobie tyle trudu, żeby zacierać ślady.

– Jakżebyś chciała mieć ten cholerny raport w całości! Pamiętasz, że zawierał wywiad z baronem Thyssenem? Może baron powiedział coś takiego, co naprowadziło von Bergheima na ślad Bauerów... Ale co?

Alain właśnie skończył pić kawę. Jak gdyby napój był zatruty, jego oczy stały się puste, wbił je w jakiś punkt na ciemnozielonej podłodze, jakby patrzył na mroczny las.

– Chyba znam kogoś, kto może nam pomóc – wyszeptał powoli, jakby zamiast dobrą wiadomością było to tragedią.

\*

## KWIECIEŃ 1943

W sierpniu 1941 roku grupa budynków stawianych w Drancy, na przedmieściach Paryża, została przeznaczona na obóz internowania Żydów. Do 1943 roku odpowiadała za niego prefektura Paryża, potem zaś administracja przeszła w ręce gestapo. Drancy było najważniejszym obozem przejściowym we Francji. W latach 1942–1944 w sześćdziesięciu jeden konwojach wywieziono stamtąd do obozów koncentracyjnych w Auschwitz i Sobiborze ponad sześćdziesiąt dwa tysiące ludzi.

Ostatnio Sarah przychodziła do pensjonatu później. Skończywszy pracę w księgarni, zwykle szła do domu hrabiny Vandermonde, by spędzić popołudnie ze staruszką. Nie dlatego, że ta kobieta wzbudzała w niej jakąś szczególną sympatię – oczywiście nie darzyła wielką miłością babci, która nagle spadła jej z nieba, szorstka i obojętna. Hrabina opowiadała jednak Sarah historie o Bauerach, o *Astrologu* i o dzieciństwie jej ojca, więc dziewczyna czuła się dobrze: blisko swoich, blisko siebie. Jedzenie, którym babcia ją raczyła, też ją wabiło: czekolada, ciasteczka, masło i cukier; rzeczy, które trudno już było znaleźć w Paryżu, chyba że było się na tyle bogatym, żeby kupować je na czarnym rynku. Przez ostatnie dwa tygodnie Sarah przytyła bardziej niż przez wszystkie miesiące swojego pobytu w stolicy.

Hrabina jadła niewiele. Siadała obok Sarah z filiżanką herbaty i patrząc, jak wnuczka raz za razem moczy słodkie bułeczki w czekoladzie, opowiadała, a mówiła bez ustanku. Pośród rozlicznych historii opowiedziała jej też o tym, jak *Astrolog* dostał się w ręce Bauerów.

Od chwili, kiedy Wawrzyniec Medyceusz zlecił Giorgionemu jego wykonanie, zawsze należał do potężnej florenckiej rodziny. Katarzyna, wnuczka Wawrzyńca, zajmowała się nim jako ostatnia z Medyceuszów. W środku wojen religijnych pomiędzy katolikami a protestantami we Francji Katarzyna, będąca królową Francji dzięki małżeństwu z Henrykiem I, drżała o przyszłość obrazu po swojej śmierci. Miała siebie za ostatnią ze szlacheckiego rodu Medyceuszów, jedyną bezpośrednią spadkobierczynię Wawrzyńca Wspaniałego. Mimo że królowa miała dziesięcioro dzieci, przeżyła je wszystkie, poza dwojgiem, którym zresztą nie ufała wystarczająco mocno, aby powierzyć sekret rodziny – ani Henryk, ani Małgorzata w oczach Katarzyny nie zasługiwali na zostanie kolejnym Kybalionem; w jej opinii oboje bardziej byli Walejuszami niż Medyceuszami, nie było w nich ani krztyny inspirującego jej przodków renesansowego i humanistycznego ducha. Ponadto Katarzyna, kobieta niebywale przesądna, chętnie zasięgała rad astrologów, jasnowidzów i czarnoksiężników. Pewnego dnia miała widzenie senne: objawił się jej Anioł Pański i oświadczył, że powinna powierzyć *Astrologa* Egidiuszowi z Getyngi, mnichowi, alchemikowi z opactwa Świętego Mateusza, który był jej spowiednikiem i przewodnikiem duchowym. Zatem w 1589 roku Egidiusz z Getyngi został nowym Kybalionem. Jednakże około 1600 roku Egidiusz był zamieszany w spisek mający na celu zabójstwo króla Henryka IV. Oskarżony o praktykowanie czarownictwa i czarnej magii, salwował się ucieczką z Francji i schronił w swym rodzinnym mieście, Getyndze. Tam świadczył usługi wpływowemu kupcowi jako nauczyciel łaciny i greki jego dzieci. Nazwisko rodziny brzmiało Bauer. Najmłodszy z Bauerów, Maksymilian, niebawem okazał szczególnie zainteresowanie tajemnicami astrologii, alchemii i innych dziedzin dawnej wiedzy, którymi Egidiusz od czasu do czasu oświecał swych młodych uczniów. Mnich, podówczas osiemdziesięcioletni, uważał Maksymiliana Bauera za kochanego i ulubionego ucznia, zatem gdy wybiła godzina śmierci, powierzył mu *Astrologa*, niniejszym czyniąc go pierwszym Kybalionem z nowej gałęzi strażników w łonie rodziny Bauerów, gałęzi, która kończyła się na ojcu Sarah.

Hrabina Vandermonde opowiedziała jej także o tym, jak to całkiem niedawno Bauerowie

o mały włos nie utraciliby *Astrologa* przez bezmyślność stryjecznego dziadka Sarah. Ale to była już inna historia, historia, którą Sarah była gotowa wykorzystać na swoją korzyść.

\* \* \*

Pewnego popołudnia Sarah poszła prosto z księgarni do pensjonatu; miała Marion coś ważnego do powiedzenia, zanim koleżanka rozpocznie zwyczajową rundę po nocnych klubach Paryża.

Kiedy weszła do pokoju, zastała ją przy oknie, malującą paznokcie w nikłym świetle zmierzchu. Po zmroku będą musiały zasłonić szyby grubymi granatowymi zasłonami; była to godzina *couvre-feu*, zaciemnienia chroniącego Paryż przed lecącymi do Włoch angielskimi bombowcami, „ekspresem do Mediolanu”, jak żartobliwie nazywali je Francuzi, kiedy słyszeli ich silniki rozdzierające nocne niebo.

– Cześć, kochana. Wcześniej przyszłaś – pozdrowiła ją Marion, nie spuszczać oka z pędzelka, którym nakładała sobie czerwony lakier.

Sarah wyczuła ostry zapach lakieru i acetonu.

– Dzisiaj nie poszłam do hrabiny.

Marion wyciągnęła palce i zaczęła dmuchać na paznokcie, jednocześnie wachlując nimi.

– A więc nie przyniosłaś dla mnie drożdżówki?

– Nie...

Sarah ściągnęła płaszcz i zawiesiła go na wieszaku. A następnie stanęła nieruchomo pośrodku pokoju, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

Marion spojrzała na nią podejrzliwie.

– Będziesz tam stała przez cały wieczór, gapiąc się, jak sobie maluję paznokcie?

Nie tracąc czasu na wstępy, Sarah obwieściła:

– Przeprowadzam się, Marion.

– Przeprowadzasz? – Natychmiast zauważyła osłupienie koleżanki: w barwie głosu i w szeroko otwartych oczach. – Ale dlaczego? Już ci się tu nie podoba? Zrobiłam coś nie tak? Byłam dla ciebie zła ...?

Sarah uśmiechnęła się, czasem Marion wzbudzała w niej czułość. Podeszła do przyjaciółki i zamykając jej flakonik z lakierem, poprosiła, żeby się uspokoiła.

– Spokojnie... Nie gadaj głupstw... Spójrz przez okno. Ukradkiem...

Marion była zdumiona. Nie rozumiała, o co chodzi. A jednak posłuchała. Ostrożnie podeszła i wyjrzała na zewnątrz. Padało. Dość silnie. Poza tym wydawało się, że nic się nie zmieniło na tej wąskiej i brudnej ulicy: te same odrapane kamienice, ten sam sklepik kolonialny z pustymi wystawami, te same kocie łby pokryte mulimi odchodami, te same porwane i poplamione farbą plakaty propagandowe...

– To prawda, w Paryżu bywają ładniejsze widoki, ale...

– Cicho bądź... Widzisz tego faceta, który schował się przed deszczem pod markizą?

– Tego w czarnym płaszczu i kapeluszu?

Sarah skinęła głową i wtedy Marion zapaliło się światelko w głowie.

– Jezus Maria! To gestapo! Znowu szuka cię gestapo!

– Nie, to nie gestapo. To Sturmbannführer von Bergheim z SS.

– SS, gestapo, prefektura! Co za różnica? Ten facet na pewno nie śledzi cię, żeby zaprosić na tańce.

– Nie. Ale też nie chce mnie skrzywdzić. – Sarah zapewniała Marion o czymś, o czym sama do końca nie była przekonana. W sumie nie była pewna, jakie tak naprawdę są intencje von Bergheima, ale chciała ją uspokoić. – To teraz nie ma znaczenia, Marion. Ważne jest to, że z tym

łąącym za mną krok w krok typem wystawiam cię na niebezpieczeństwo. Obserwując moje ruchy, w pewnym stopniu obserwuje też twoje. Wcześniej czy później to twoje wychodzenie wzbudzi jego podejrzenia, więc odgadnie, czym się zajmujesz. A jeżeli kiedyś wpadniesz na niego na którejś z twoich imprez z tymi niemieckimi bonzami? Mógłby cię rozpoznać...

Marion milczała. Starła się przyswoić sobie ten natłok informacji, usiłując wyciągnąć własne wnioski.

– Poza tym, kiedy się wyprowadzę, będziesz miała wolne łóżko i znowu będziesz mogła tu przechowywać dziewczyny z SOE.

Marion szybko dała się przekonać argumentom Sarah. Ciągłe jednak było coś, czego nie rozumiała.

– A dokąd pójdziesz? Do swojej babki?

– Nie, matko boska! Skłamałabym, gdybym powiedziała, że mi tego nigdy nie zaproponowała, ale nawet jeśli jej oferta jest szczerą, nie rodzi się z uczucia, tylko z interesu. Dobrze mnie traktuje, bo jestem swego rodzaju przedmiotem odkupienia win dla jej nieczystego sumienia, a nie dlatego, że mnie lubi. Tak w ogóle to nie wydaje mi się, żeby ona była w stanie kogoś lubić. Nie, zdecydowanie nie mogłabym z nią mieszkać. Poza tym jestem przekonana, że nienawidzi Żydów tak bardzo jak naziści, jeśli nie bardziej. Mnie toleruje tylko dlatego, że jestem jej wnuczką.

– A więc?

– Matheusowie mają małe mieszkanie dokładnie nad księgarnią. Do tej pory wynajmowali je jakiemuś studentowi z Lyonu, ale dostał list z STO; Niemcy wysłali chłopaka na przymusowe roboty na drugi brzeg Renu.

Marion zagryzła dolną wargę, okazując swoje współczucie wobec chłopca; to ohydne, że Niemcy zmuszają młodych Francuzów do pracy, której nie chcą wykonywać Niemcy, bo ci muszą iść w kamasze, którymi deptają całą Europę. Service du Travail Obligatoire, STO, był ohydny.

– Biedny chłopak...

– Jutro wyjeżdża. Matheusowie są przerażeni. Najbardziej prawdopodobne jest to, że kiedy naziści zorientują się, że mieszkanie stoi puste, zmuszą ich do przyjęcia lokatora, na pewno kogoś ze swoich albo jakiegoś kolaboranta. Pewnie Matheusowie nie będą mieli nic przeciwko temu, żebym ja tam zamieszkała, dopóki nie znajdą kogoś lepszego...

– Ale Sarah, to jest wspaniałe! Całe mieszkanie tylko dla ciebie!

– No cóż, jeszcze się nie zgodzili... Jest małe, zaledwie czterdzieści metrów, ale zdecydowanie wystarczy... Och, Marion, jakbym chciała, żebyś mogła pójść ze mną!

Marion przytuliła ją.

– Tak, cudownie byłoby uwolnić się od gospodyni. Tej wrednej czarownicy... A my się świetnie dogadujemy, prawda, kochana? Fajnie jest razem mieszkać... Ale masz rację, jeśli bosze cię obserwują, wcześniej czy później mnie też odkryją.

– Będziesz mnie odwiedzać. Codziennie, tak? I będziemy piły herbatę z drożdżówką hrabiny – zażartowała Sarah.

Jednak Marion nie podchwyciła żartu; stała zamyślona. Odsunęła się odrobinę od Sarah, żeby spojrzeć jej w twarz, i powiedziała:

– No właśnie, Sarah, skoro te typy śledzą cię w dzień i w nocy, jak zrobisz, żeby nie odkryli twojego nowego mieszkania?

Marion miała rację. Chociaż rzeczywiście Sarah zmieniała mieszkanie, żeby chronić Marion, a nie dla własnego bezpieczeństwa, była to też dobra chwila, żeby pozbyć się von Bergheima. Ale jak to zrobić?



Sarah wychyliła się przez okno. Tym razem nie ukrywała się, a nawet zrobiła to z pewną bezczelnością. Major stał niewzruszony w deszczu i chłodzie przy sklepowej wystawie.

Nagle Sarah się odwróciła, w kilku susach znalazła się przy wieszaku i ściągnęła płaszcz.

– Co robisz? Dokąd idziesz? – chciała wiedzieć Marion, która nie rozumiała pośpiechu przyjaciółki.

– Zrobić coś, co powinnam była zrobić już dawno temu – wymamrotała, otwierając drzwi i znikając w dole schodów.

– Ale, kochana, czy ty zwariowałaś? Niedługo godzina policyjna...! Przynajmniej weź parasol, bo okropnie leje!

Przestrogi nie zostały wysłuchane. Pośpieszne stukanie obcasów na schodach musiało starczyć Marion za odpowiedź.

– Do diaska, cóż to za dziewczucha!

Georg rzucił okiem na zegarek. Musiał już iść. Niedługo zacznie się godzina policyjna i byłoby bezsensowne, a nawet niebezpieczne dalej tam tkwić jak gmoń pod jej oknem. W ogóle to wszystko okazywało się bezużyteczne. Życie Sarah było podporządkowane rutynie, nie miało tajemnic: z pensjonatu do księgarni, z księgarni do pensjonatu, a od czasu do czasu wizyta u staruszki z placu Wogezów. Nawet przeszukał jej pokój, wykorzystując nieuwagę gospodyni: ani śladu *Astrologa*; niemal żadnego śladu samej Sarah. Kilka książek, spódnic, bluzek i fotografia Bauerów. Jak zapach piżma przepełniający pokój, słodki i dojmujący zapach nocnych klubów, obecność jej towarzyszkę spowijała wszystko, więc nie było tam miejsca dla Sarah. Georg wyszedł stamtąd rozczarowany.

Ponownie rzucił okiem na zegarek. Musiał sobie pójść. Uniósł wzrok do okna; delikatne światło lśniło za zasłoną deszczu, tam gdzie była Sarah. Georg czuł coś dziwnego: to był niepokój. Mógłby przez całe życie patrzeć w gwiazdy, zostawić ich odbicie w środku swoich źrenic... a nigdy by ich nie dotknął choćby opuszkami palców. Chociaż nieodmiennie mu się pokazywały, pozostawały poza jego zasięgiem.

Zdecydowanie musiał sobie stamtąd pójść. Ale nazajutrz powróci. Dalej będzie kroczył w ślad za jej krokami po ulicach Paryża, wążąc trop jej istnienia jak uliczny pies. Nie jest ważne, jak wiele wojskowych honorów opłacił własną krwią, w tej wojnie jego wrogiem była młoda Żydówka.

– Traci pan czas, wszędzie za mną chodząc, majorze.

Georg wyprostował się przestraszony. Jakby właśnie został obudzony z głębokiego snu, z trudem rozpoznał stojącą przed nim Sarah. Deszcz moczył jej włosy, krople spływały po policzkach, kapały z rzęs i ciekły po brodzie. Jej głos w deszczu był niemal niesłyszalny.

– Nie mam *Astrologa*.

Georg był oszołomiony. Oszalał go deszcz i Sarah.

– Ale wiem, gdzie można go znaleźć...

Spojrzał na nią podejrzliwie. W deszczu postać Sarah stawała się zamazana, a jej słowa niejasne. W deszczu grunt stawał się grząski, a wróg wyslizgiwał się z rąk. Doświadczenie nauczyło go, że idąc naprzód, trzeba zachować ostrożność.

Czas zatrzymał się na Sarah, w jej twarzy i jej wyzywającym spojrzeniu. W jej ustach, wilgotnych niczym świeżo umyty owoc, i w jej ogromnych zielonych oczach, bez mrugnienia powiek czekających na kolejny krok. Georg mógł tak na nią patrzeć przez całą wieczność; patrzeć na gwiazdę z tak bliska jak nigdy wcześniej, mimo świadomości, że obojętnie jak by wyciągał rękę, nawet jej nie musnie. Georg chciałby musnąć te usta.

– Co chcesz w zamian, Sarah?

– Życie mojego męża.

– Masz już swoje życie... Nie mogę nic zrobić dla twojego męża.

– No to nie ma interesu.

Sarah odwróciła się na pięcie.

– Zaczekaj!

Georg wiedział. Wiedział, że będzie patrzył na nią w deszczu tak długo, jak długo będzie mówił. I wiedział, że od tego, co powie, będzie zależała możliwość oglądania jej. Dlatego ostrożnie ważył każde wypowiedane słowo, patrząc w oczy Sarah.

– Przyjdź do Luwru... Za kilka dni... Zobaczę, czy mogę ci pomóc.

Wydawało mu się, że Sarah otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale jej wilgotne wargi ponownie się złączyły. Zanim go zostawiła, zanim przebiegła przez ulicę, rzuciła mu kocie spojrzenie. Deszcz zdawał się ją połykać.

\* \* \*

W Illkirch miała garderobę godną księżniczki. Latem nosiła sukienki z tafty i organzy, z gazy i muślinu; zimą tweedowe spódnice, jedwabne bluzki i żakiety z kaszmiru. Miała dziesiątki par butów na obcasie z dopasowaną torebką, futra, wykonane ręcznie filcowe kapelusze i słomiane kapelusze z sinamayu przyozdobione satynowymi wstążkami i kwiatami.

Straciła praktycznie wszystko, co przywiozła z Illkirch. Zaczęła od zamieniania się na kosmetyki, mydło albo pastę do zębów, potem na jedzenie. Zachowała tylko rzeczy niezbędne: lekką bawełnianą sukienkę i inną dzierganą na lato oraz kilka spódnic i żakietów na zimę; płaszcz, torebkę i buty. Także kapelusz, który wkładała zarówno po to, żeby się ochronić przed chłodem, jak i przed słońcem. I jedwabną chusteczkę, którą podarował jej ojciec, kiedy skończyła szesnaście lat.

Kilka tygodni wcześniej babka dała jej sukienkę. Oczywiście nie była nowa, hrabina nosiła ją w czasach młodości. Chociaż pachniała kamforą i wyszła z mody, materiał, piękna krepa z granatowej wełny, był w bardzo dobrym stanie. Ponadto Sarah podobała się jedwabna kremowa wstążka, którą przewiązywało się w pasie – sądziła, że nadaje jej bardzo elegancki wygląd. Z pomocą pani Matheus, która miała maszynę do szycia, dopasowały sukienkę, ponadto poszerzyły jej talię i podniosły spódnicę o kilka centymetrów, aby wydawała się nowocześniejsza.

Sarah postanowiła włożyć ją po raz pierwszy, kiedy poszła do majora von Bergheima. Gdy się w nią ubrała, poczuła się tak elegancka, że głośno pożałowała, że musi ją przykryć brzydkim starym płaszczem z żółtą gwiazdą Dawida. Jednak kwiecień w Paryżu jeszcze był zimny. Gdy tylko weszła do skrzydła pałacu w Luwrze, gdzie Niemcy zorganizowali swoje biura, ściągnęła go i skrupulatnie złożyła na ręku, prezentując podszewkę, a wstydliwie chowając gwiazdę.

Kiedy Fräulein Volks otworzyła Sarah drzwi, Georg był olśniony. Nieruchomo stał za biurkiem przez kilka sekund, zanim się otrząsnął i podszedł do niej, aby poprowadzić ją do miejsca, gdzie mogła usiąść.

Była śliczna. Przytyła i jej skóra znowu lśniła, jędrna i różowa. Nie miała już zapadniętych, podsiniaczonych oczu, ale wielkie i jaśniejące w twarzy; promieniowały życiem i energią. Major pomyślał, że jest w Sarah coś szczególnego, w jej twarzy i spojrzeniu, a nawet w sposobie, w jaki się porusza, coś niemożliwego do opisanego, coś pięknego.

Georg podsunął jej krzesło, a następnie usiadł obok niej. Nie chciał żadnych przeszkód między sobą a nią, nie chciał być daleko teraz, gdy miał ją blisko.

– Dziękuję, że przyszedłaś, Sarah. Jestem bardzo zadowolony, że zgodziłaś się ze mną współpracować.

– Wszystko ma swoją cenę, majorze. A ja dotychczas nie otrzymałam odpowiedniej propozycji...

Kiedy dziewczyna przemówiła, jakby lód kruszył się z każdym jej słowem. Georg przeszedł od zachwyty do smutku zaledwie w kilka sekund. Zdał sobie sprawę, że wszystko jest iluzją, nową fasadą dla zrujnowanego budynku. Odkrył w Sarah rany, które choć pozostawały w ukryciu, były niezabliźnione i krwawiły.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – ciągnęła ona, zamrażając gabinet. – Jestem wdzięczna za to, co pan dla mnie zrobił. Ale to, co pan zapłacił za obraz, to nie była cena, której żądałam. Czasem życie innych ludzi jest cenniejsze niż własne.

– A dla ciebie życie tego mężczyzny jest cenniejsze niż twoje?

– Ten mężczyzna, majorze, jest jedyną osobą, której wy, naziści, mi nie odebraliście... jeszcze.

Georg poczuł się zaatakowany. Nie miało znaczenia, jak miły i cierpliwy dla niej będzie, zawsze trafi go kilkoma strzałami w pierś. Ta kobieta nie była skłonna mu wybaczyć, nie miała zamiaru zrozumieć, jak bardzo się dla niej stara, jak często nadstawiał dla niej karku. Kiedy indziej wyciągał strzały z piersi i lizał rany, nakładając na siebie zasłużoną pokutę. Jednak tym razem odczuwał te ukłucia jak prowokację mającą ocenić jego odwagę.

Zaczynał czuć oburzenie, więc wstał i wrócił za biurko, skąd miał zamiar grać rolę sędziego, jeśli ona sobie tego życzyła.

– Co ci każe przypuszczać, że ten człowiek jeszcze żyje?

Georg nie chciał patrzeć na Sarah, która odpowiadała mu jedynie milczeniem. Skupił się na poszukiwaniu teczki pośród wielu leżących na biurku papierów. Był to sposób na okazanie obojętności, ustawienie każdego na swoim miejscu. Był to sposób na wywołanie cierpienia, na pokazanie, kto sprawuje władzę i kontroluje sytuację. Bo ta dziewczyneczka bardzo się myliła, jeśli sądziła, że to ona rozdaje karty w tej sprawie, bardzo się myliła, jeśli sądziła, że wbijając ostrogi w boki Georga, będzie w stanie ujarzmić bestię.

– Pan... jak mu tam – skończył pogardliwie, gdy zaślepienie uniemożliwiło mu znalezienie w notatkach nazwiska Jacoba – jest terrorystą. Jest oskarżony o handel bronią i o jej posiadanie oraz opór wobec władz Trzeciej Rzeszy, a więc o zbrodnie karane śmiercią. Zapłacenie ceny, której żądasz za obraz, może się okazać nierealne. Nie sposób wskrzesić zmarłych.

W końcu podniósł wzrok na Sarah, chciał wystraszyć ją spojrzeniem, które miało okazywać całą złość, jaką w sobie dusił. Nie było to konieczne. Dziewczyna już była pogrążona, dokładnie zanurzona pod powierzchnią wody. Pobladła, spocona, z rękoma złożonymi na podolku i wzrokiem utkwionym w podłogę.

Okrucieństwo jest nikczemną bronią, odbierającą godność temu, kto ją stosuje. Okrucieństwo jest najgorszą formą nadużywania swojej pozycji. Ale to środek bardzo łatwy do użycia, jad zatruwający całe ciało, wzbudzający euforię narkotyk. Było już późno, kiedy Georg wyczuł na dnie gardła gorzki posmak okrucieństwa.

Z dzbanka, który Fräulein Volks co rano zostawiała na stole, nalał trochę wody do szklanki.

– Masz, wypij.

Sarah posłuchała jak automat, wydawała się całkowicie pozbawiona woli. Georg znowu usiadł u jej boku.

– Powiedz, Sarah, ten mężczyzna naprawdę jest twoim mężem?

Sarah, nie podnosząc wzroku, odpowiedziała:

– Tak...

Georg rozpaczliwie poszukiwał jej oczu. Nie uznałby żadnej odpowiedzi za prawdziwą bez spojrzenia jej w oczy.

– Czy on umarł? – udało się jej wykrztusić.

Tych kilka sekund ciszy równie dobrze mogło sprawić, że Sarah wyleje wodę, zemdleje, a nawet, że jej serce się zatrzyma, by nigdy więcej nie ruszyć.

– Nie. Nie umarł.

– Boże...

Myślał, że Sarah zaleje się łzami, kiedy zobaczył, że unosi rękę do twarzy. W milczeniu błagał, żeby tego nie zrobiła, nie był na to przygotowany.

– Miesiąc temu przeniesiono go do obozu w Drancy, żeby go wywieźć do Niemiec.

Jednak w zeszłym tygodniu musieli go odesłać do szpitala. Ma gruźlicę.

W końcu Sarah na niego spojrzała. Jej oczy lśniły, ale nie było w nich śladu łez. Ani radości. Jediną dostrzegalną emocją był niepokój.

– W którym szpitalu?

Georg nie chciał jej podać tej informacji.

– Sarah... nie możesz nic dla niego zrobić, nie narażając na niebezpieczeństwo własnego życia.

– Proszę się nie martwić, majorze. Nie wyjdę stąd, nie mówiąc panu tego, co panu obiecałam. Kiedy już to zrobię, moje życie nie będzie warte więcej niż życie zwykłego Żyda, czy nie tak?

Ta kobieta była nieugięta. Nie przepuszczała żadnej okazji, żeby przycisnąć go do ściany.

– Jesteś bardzo niesprawiedliwa wobec mnie, Sarah – rzucił rozżalony. – Skazałaś mnie już, nie dając szans na obronę.

– To nie ja sprowadziłam do Francji taką sprawiedliwość.

Georg był zmęczony, bardzo zmęczony tym, że wojna przeniosła się do jego gabinetu. Na polu bitwy przenigdy nie nadawał nieprzyjacielowi żadnej twarzy, a teraz nieprzyjaciel miał twarz Sarah. Nie, nie, nie i nie! Nie taką wojnę chciał prowadzić.

– Oko za oko, ząb za ząb. Prawo talionu. To żydowskie prawo, prawda? Dobrze, Sarah, jeśli tego chcesz, tak będzie. Daj mi to, co mi obiecałaś, i idź sobie stąd. Skończmy to wreszcie.

Zobaczył, że ona przez chwilę się waha. Czy to żal zagościł w jej smutnych oczach...? Szybko zorientował się, że nie.

– My nigdy nie mieliśmy obrazu. Nie należy do rodziny od ponad dwudziestu lat. Mój stryjeczny dziadek sprzedał go, żeby spłacić karciane długi. Sprzedał go baronowi Heinrichowi Thyssenowi po pierwszej wojnie.

Georg westchnął. Tego się nie spodziewał. A może tak, może czegoś podobnego. W sumie była godną córką swojego ojca. Alfred Bauer opierał się przesłuchaniom, dopóki atak serca nie pozbawił go życia; Alfred Bauer wyzionął ducha, nie powiedziawszy o *Astrologu* ani słowa prawdy.

Był przekonany, że Sarah niezbyt długo wytrzyma jego spojrzenie, i tak się stało. Chciał wierzyć, że jeszcze została w niej choć odrobina wstydu i uczciwości, że gra w tę brudną grę tylko dlatego, że została do tego zmuszona.

– Idź, Sarah – poprosił ją przygnębiony.

Ona posłuchała. W milczeniu zabrała płaszcz i torebkę i ze spuszczoną głową ruszyła do drzwi. Jednak gdy tylko je otworzyła, odwróciła się.

– Przykro mi, że wszystko musiało potoczyć się w taki sposób. Lubiłam spacerować z panem po ogrodzie mojego domu. Lubiłam godzinami rozmawiać z panem o sztuce, siedząc pod starą wierzba... Lubiłam pana, majorze, zanim wydarzyło się to wszystko.

Bez cienia uśmiechu Sarah ruszyła do wyjścia, ale Georg zatrzymał ją.

– Sarah!

Ona spojrzała na niego od progu.

Georg westchnął.

– Szpital Rothschilda.

I w końcu oblicze Sarah się rozjaśniło.

\* \* \*

Szpital Rothschilda był przeznaczony dla Żydów. Został ufundowany przez barona Edmunda Rothschilda jako instytucja zajmująca się opieką zdrowotną nad biednymi Żydami. Okupacja zmieniła jego charakter, jak wszystkiego w Paryżu. Od końca 1942 roku szpital Rothschilda stanowił część obozu internowania w Drancy; w praktyce był szpitalem więziennym, o czym świadczył drut kolczasty nad jego murami, kraty w oknach i policja pilnująca sal oraz wejść i wyjść. U Rothschilda leczono chorych z Drancy, tam też rodziły Żydówki, zanim matkę i dziecko wywożono z Francji.

Kiedy Sarah dowiedziała się, że Jacob został przewieziony do Rothschilda z powodu gruźlicy, w pierwszym odruchu chciała pójść go zobaczyć, zanim choroba z nim skończy albo zanim zostanie odesłany do Drancy i wywieziony.

Po wielu wysiłkach Marion zdołała ją przekonać, że samo zbliżanie się do szpitala jest czystym szaleństwem, zwłaszcza w jej przypadku, osoby znanej gestapo. Nie przeszłaby nawet pierwszej kontroli; policja prefektury, która pilnowała szpitala w imieniu gestapo, zatrzymałaby ją.

Sarah zżerał niepokój. Jacob żył i znajdował się w Paryżu, ale jak długo jeszcze? Czuła się winna, winna tego, że nie miała dość taktu ani odwagi, żeby poprosić majora von Bergheima o jego uwolnienie. Spotkanie okazało się katastrofą. Sam widok jego munduru, zawieszono na szyi Krzyża Żelaznego, swastyki na biurku i zdjęcia Hitlera na ścianie wzbudził wściekłość i niechęć u Sarah, które teraz wybuchły w twarz von Bergheimowi. Powodowana nienawiścią, atakowała go słowami, a zrobiłaby to pazurami, gdyby tylko mogła. Musiała jednak przyznać, że von Bergheim był jedynym człowiekiem, który jej pomógł. Przy odrobinie dyplomacji, powtarzała sobie, być może w tej chwili Jacob już byłby na wolności. Kiedy zdała sobie sprawę z własnej niezręczności, było już za późno, żeby się cofnąć.

Przez całe dwa dni nie była w stanie zasnąć, zastanawiając się nad tym, co może zrobić dla przyjaciela. Dwa całe dni, podczas których niemoc, strach i niepokój ledwie pozwalały jej oddychać. Dwa całe dni, zanim Marion przedstawiła ją Carole Hirsch.

Carole Hirsch pracowała w administracji Rothschilda; należała do nielicznej grupy pracowników nieżydowskich szpitala, nie licząc dyrekcji kontrolowanej przez rząd okupacyjny. Carole Hirsch także pracowała dla ruchu oporu.

Spotkały się pewnego poranka na zapleczu księgarni. Mademoiselle Hirsch była kobietą w średnim wieku, schludną, drobną i z szorstkim wyglądem nauczycielki, ostrej i wymagającej, ale jej spojrzenie i głos były miłe i okazały się kojące, niemal uśmierzające. Przynajmniej takie wydały się Sarah, kiedy ta położyła jej rękę na ramieniu i opowiedziała o Jacobie.

– Proszę się nie niepokoić, mademoiselle Bauer. Pani przyjaciel nie ma gruźlicy. Kiedy był w Drancy, jedna z pielęgniarek sfalszowała jego zdjęcie rentgenowskie – podmieniła je. To był jedyny sposób, żeby przenieść go do Rothschilda i wyleczyć poważną ranę oka, której nabawił się podczas tortur. Funkcjonariusze Drancy nie pozwalają na przeniesienie z powodu zakażenia, bez względu na to, jak jest poważne. Z gruźlicą sprawy mają się inaczej... jest zakaźna – podsumowała mademoiselle Hirsch, puszczając oko.

Od tej chwili Sarah odkrywała dzięki słowom Carole Hirsch, jak to szpital Rothschilda przemienił się w prawdziwe jądro ruchu oporu. Gdy tylko stał się przybudówką Drancy, natychmiast lekarze zdali sobie sprawę, że dla wielu ludzi, którzy się tam znaleźli, stanowi możliwość uniknięcia obozu i wywózki. Szybko stworzono sieć ucieczkową, w którą był zaangażowany cały personel szpitala, od lekarzy i pielęgniarek do salowych, portierów i sprzątaczek; każde z nich, czy to aktywnie, czy poprzez niedopełnianie swoich obowiązków i zachowywanie milczenia, współpracowało, żeby wyciągnąć na zewnątrz i uratować jak najwięcej pacjentów, nie tylko ze szpitala, ale także z sierocińca i domu starców. Wymyślano choroby albo sztucznie przedłużano leczenie, aby zyskać czas na przygotowanie planów ucieczki: fałszywe zdjęcia rentgenowskie, analizy i wykresy temperatury były na porządku dziennym, jak również terapia, bandażowanie, gipsowanie, a nawet operacje wyrostka u zdrowych pacjentów. Przygotowywano fałszywe dokumenty, nawiązywano kontakty ze światem na zewnątrz, szukano pieniędzy dla uciekinierów... Wszystko, aby tylko uniknąć ich powrotu do Drancy.

Sarah była olśniona, zaskoczona wielką pracą, jaką wykonywali mężczyźni i kobiety z Rothschilda, ryzykując nawet życie. Wszystko, co ona zrobiła do tej pory, w porównaniu z tym wydawało jej się niczym, a nawet wiarołomstwem; ona tylko niszczyła życie innych ludzi, bez względu na to, po której opowiadali się stronie, a tamte osoby, przeciwnie, ratowały życie.

– Każdy stawia opór okupantowi tak, jak potrafi, w sytuacji, w jakiej może, i przy zastosowaniu środków znajdujących się w jego zasięgu. A każde ziarnko piasku stanowi górę. Nie wolno gardzić niczyją pracą – pocieszała mademoiselle Hirsch jej niespokojnego ducha.

Nagle przed Sarah otworzył się świat możliwości tego, co zrobić z własnym życiem. Nie mogła dalej żyć w strachu, uczipiona czynów, które niemal kosztowały ją życie. Wojna toczyła się dalej, a ona nie mogła załamywać rąk. Nie była inna od tysięcy Żydów chodzących po Paryżu, codziennie ryzykujących przez sam fakt, że żyją. A jeśli tak było... Było tak, bo miała okazję znowu coś zrobić, znowu zmieniać ten okropny pejzaż. Musiała tylko zapomnieć o kazamatach gestapo, musiała tylko przezwyciężyć traumę przeszłości i uwolnić się od strachu.

Przede wszystkim jednak musiała zająć się Jacobem.

– Proszę mi powiedzieć, mademoiselle Hirsch, czy istnieje jakiś sposób, żeby wyciągnąć stamtąd Jacoba? – zapytała z nutą nadziei w głosie.

Kobieta westchnęła, ale nie przestała się uśmiechać.

– Sprawy mają się coraz gorzej. W miarę wzrostu liczby ucieczek zwiększono też kontrolę ze strony policji. Ostatnio za każdą ucieczkę żąda się wypisania określonej liczby pacjentów i przeniesienia ich do Drancy. Z dnia na dzień niebezpieczeństwo rośnie, nie tylko dla nas, także dla samych więźniów.

Sarah spuściła wzrok i pochyliła głowę. Może wybuchłaby płaczem, gdyby nie to, że od dawna tego nie robiła; ostatnio odkryła, że nawet płacz nie przynosi jej ulgi.

– Rozumiem...

Jednak nie trzeba płakać, żeby osoba spostrzegawcza zrozumiała, co się czuje.

Carole Hirsch uściśliła jej dłoń leżącą na stole i swoim uśmierającym głosem powiedziała:

– Proszę dać mi kilka dni. Zobaczmy, co zdołamy zrobić.

Mademoiselle Hirsch wróciła do księgarni pod koniec tego samego tygodnia.

Towarzyszył jej młody chłopak z oddziału chirurgii, doktor Simon Vartan. Doktor Vartan leczył Jacoba zarówno z jego prawdziwej infekcji oka, jak i z symulowanej gruźlicy – to on ciągle fałszował zdjęcia rentgenowskie, aby dowieść rzekomych postępów choroby i spowodować, żeby Jacob nie został wypisany ze szpitala.

– Rozmawiałem z Woźniakiem. – Doktor Vartan rzucił okiem na mademoiselle Hirsch, mówiąc o jednym ze szpitalnych farmaceutów. – Nie byłoby problemów, żeby sfalszować dokumentację przy tych nowych tamponach, które mu pani założyła. Problemem jest wyciągnięcie go stamtąd. – Zwrócił się do Sarah. – Wcześniej wystarczyło zmienić piżamę pacjenta na biały kitel albo spuścić go po zsywie brudnej bielizny. Łatwo było oszukać strażników i szybko wyprowadzić człowieka poza strefę niebezpieczeństwa. Ale teraz... Strażnicy są bardziej czujni, nie spuszczają z nas oka. A najgorsze jest to, że każda ucieczka pociąga za sobą zemstę. W zeszłym tygodniu przyszli z prefektury z listą dziesięciu osób, troje z nich to były dzieci niespełna dwuletnie: zabrali je ciężarówką do Drancy.

Sarah uważnie ich słuchała, niemal łapczywie, jednocześnie patrząc na nich bez zrozumienia: „W takim razie po co pan tu przyszedł, doktorze Vartan?”

Wydawało się, że doktor Vartan usłyszał jej milczące pytanie. Poprawił okulary, złączył palce przed twarzą i wsparł się łokciami na stole, żeby przybliżyć się do Sarah, i wyszeptał:

– Mimo to, mademoiselle Bauer, istnieje niejaka możliwość. Trzeba by jednak bardzo dokładnie zastanowić się nad ryzykiem, gdyż jedyna rozsądna opcja jest taka, żeby to nie wyglądało na ucieczkę. A to może Jacoba kosztować życie...

\*

## DO RZECZY, CAMILLE

Camille de Brianson-Lanzac. Na pierwszy rzut oka to nazwisko nic mi nie mówiło. Dopiero kiedy Alain wyjawiał mi, jak się nazywała jej matka, elementy układanki zaczęły do siebie pasować – gdyby Camille była Hiszpanką, jej drugie nazwisko brzmiałoby von Thyssen. Jednak w ogóle nie pasowało do układanki to, z jak pieskim humorem obnosił się Alain za każdym razem, gdy nazwisko tej kobiety pojawiało się w naszych rozmowach.

Unikał odpowiedzi, był lakoniczny, a nawet niemiły, gdy musiał wyjaśnić, kim jest Camille de Brianson-Lanzac von Thyssen.

– To von Thyssen drugiego sortu. Pochodzi od kuzyna sławnego Augusta von Thyssena, tego od wind – zażartował bez zapału. – Wszystko jedno. Dla nas istotne jest to, że ona czuje się bardzo przywiązana do nazwiska von Thyssen, do tego stopnia, że przez całe życie pracuje nad książką o rodzinie, jakby to była jej autobiografia.

– A skąd ją znasz?

– Z uniwersytetu. Razem studiowaliśmy. – I kropka. Alain natychmiast zmienił temat.

\* \* \*

Camille była za pan brat z wielkimi świata mody. Nie tylko dlatego, że często kupowała sobie torebki od Diora albo garsonkę Chanel, ale dlatego że miała galerię przy alei Montaigne'a, w samym złotym trójkącie miasta, co czyniło ją sąsiadką najbardziej wystawnych i znanych domów mody na świecie.

Pewnego poranka poszliśmy na spotkanie do jej galerii. Zostawiliśmy motor zaparkowany przed Diorem i przeszedłszy przez ulicę, stanęliśmy przed czarno-białą fasadą i firmowym szyldem Brianson Art: chłodnym, eleganckim, utrzymanym w niebywale pretensjonalnym nastroju ulicy i niezwykle pasującym do samej Camille, co szybko miałam okazję potwierdzić.

Weszliśmy do lokalu. Na białych ścianach wisiały hiperrealistyczne obrazy młodej japońskiej malarki. Natychmiast podeszła do nas bardzo wysoka i bardzo wyzywająca dziewczyna, aby zaoferować swoją pomoc.

Podczas gdy Alain wyjaśniał jej, że jesteśmy umówieni z mademoiselle Brianson-Lanzac, zwróciłam uwagę, być może z racji wyraźnego kontrastu, jaki tworzył z tym eleganckim, czystym i luksusowym otoczeniem, na estetyczne niechlujstwo, w jakie popadł mój kolega: broda zaczęła mu się mierzwić i wybrał chyba najstarsze i najbardziej pogniecione ubranie z szafy, i to po ciemku, sądząc po nieprawdopodobnym doborze kolorów. Co więcej, wydało mi się, że wysoka i wyzywająca pani z Brianson Art, z włosami prosto od fryzjera, garsonką, silikonowymi ustami oraz doskonałym manikiurem, powątpiewa w umówione spotkanie, utrzymując jednak wymuszony uśmiech i bezpieczną odległość.

Niemniej przepuściła nas na zaplecze, do gabinetu tak eleganckiego jak cała reszta, z nowoczesnymi meblami o nienagannych liniach i orchideami w każdym kącie, iMakiem na biurku i perskim dywanem – z tych tak cienkich, że można sobie z nich zrobić sukienkę – pokrywającym niemal całą podłogę oraz kilkoma doskonale dobranymi dziełami sztuki, spośród których rozpoznałam kwiaty chińskiego malarza Qi Baishi, warte, jeśli nie były reprodukcją, około miliona dolarów.

Camille de Brianson-Lanzac i, co najważniejsze, von Thyssen wstała z szerokim uśmiechem, aby nas przywitać, i podeszła, żeby pocałować Alaina dwa razy w policzki i mnie dwa razy, kiedy zostałyśmy sobie przedstawione.

Camille była młoda, po trzydziestce, tak jak my. Nie była w zasadzie ładna, ale miała



klasę, bardzo stylowo nosiła bardzo drogie ubrania i dodatki i doskonale potrafiła wyeksponować swoje korzystne cechy makijażem oraz bardzo staranną fryzurą, więc w sumie wydawała się atrakcyjna.

– Słyszałam już o twoim dziadku – od razu powiedziała do Alaina. – Moja matka ma makabryczny zwyczaj czytania nekrologów we wszystkich gazetach i wydaje mi się, że jest bardzo rozczarowana, kiedy nikogo nie zna. *C'est top!* – opowiedziała Camille ze swym afektowanym paryskim akcentem.

– Taaa...

– Uwierz, że od tygodni chcę do ciebie zadzwonić, ale jestem absolutnie zagoniona, przysięgam. Wczoraj, kiedy zobaczyłam twoje nazwisko na HTC, pomyślałam: O Boże, to istna telepatia!

– Na pewno...

Ta sytuacja wydała mi się co najmniej szokująca. Było oczywiste, że Alaina i Camille łączą jakieś relacje znacznie wykraczające poza przypadkowe lub zawodowe, jednak wyglądało na to, że poruszają się w światach równoległych, jej był kolorowy jak kraina Oz, a jego czarno-biały jak Arkansas.

– Ale siadajcie, proszę. Chcecie się czegoś napić? Kawy? Czegoś zimnego?

– Nie, nic – uciał jej Alain, chociaż ja nie miałabym nic przeciwko kawie. Jednak nic nie powiedziałam, sytuacja wydawała się napięta. – Nie zostaniemy długo.

Camille, która była dobrze wychowana, przyjęła arogancję wzruszeniem ramion i uśmiechem. Bez dalszych ceregieli usiadła z nami w kąciku składającym się z sofy, dwóch foteli i stolika. Skrzyżowała nogi, a na nich ręce, w postawie tak pretensjonalnej jak ona cała.

– Jak ci wyjaśniłem przez telefon – Alain przeszedł bezpośrednio do sprawy – Ana i ja badamy sprawę zaginięcia pewnego obrazu, który mógł się znajdować w kolekcji pierwszego barona Heinricha von Thyssen, więc może coś o nim słyszałaś.

Camille wstała i podeszła do swojego biurka, skąd wzięła kalendarz i plik papierów. Następnie wróciła do nas. Za każdym razem, gdy się poruszała, jej perfumy płynęły w powietrzu.

– Tak, *Astrolog* Giorgionego, mam to tu zapisane. A priori w ogóle nic mi nie mówił, ale przejrzałam swoje notatki i, konkretnie, wywiad, jaki przeprowadziłam z baronem – synem, rzecz jasna – na krótko przed jego śmiercią. Wczoraj wysłuchałam całego nagrania. To niesamowite, jak wiele rzeczy zapominam! Jest coraz gorzej, przysięgam. Przy tej całej technologii i tych wszystkich maszynach nie jestem już w stanie zapamiętać nawet, gdzie mieszkam, jeśli najpierw nie spojrzę w mój HTC. Totalna katastrofa! Macie taki problem?

Alain wyniośle zignorował jej wynurzenia.

– A więc, Camille, masz nam coś ciekawego do opowiedzenia? – „Czy dalej będziemy tracić czas?”, dopowiedział chyba milcząco.

– Tak, jasne, ależ jestem głupia. Moje problemy z pamięcią wcale nie są zajmujące. – Camille uśmiechnęła się, jakby tylko żartowała. Tak naprawdę chciała być sarkastyczna.

Gdybym siedziała na bombie, nie byłabym bardziej spięta. Z jakiegoś powodu, którego nie rozumiałam, Alain zachowywał się jak źle wychowany kretyn. Postanowiłam się wtrącić, uprzedzając kolejną część seansu pastwienia się nad Camille.

– Mam tak samo jak ty, Camille. Bez telefonu tracę połowę osobowości.

Spojrzała na mnie, jakby nagle przypomniała sobie o moim istnieniu. Szczęśliwie, po chwilowym szoku, posłała mi pełne zrozumienia spojrzenie. Postanowiłam dalej podążać drogą dyplomacji, błagając w myślach, żeby Alain trzymał buzię na kłódkę.

– To wspaniale, że zadałaś sobie trud przesłuchania tego wywiadu. Naprawdę mamy duży problem z tym obrazem: prawie nie ma po nim śladów, a ponieważ ty miałaś dostęp do barona

von Thyssena, może będziesz w stanie udzielić nam informacji z pierwszej ręki... To wielki przywilej. Wyświadczasz nam ogromną przysługę.

Moja przemowa była miodem na serce Camille, która zaraz oblizła się jak próżna kotka. Rozsiadła się na swoim miejscu, z kolanami skierowanymi w moją stronę; od tej chwili uważała mnie za jedyne go rozmówcę.

– Tak, *chérie*, Heini, baron Thyssen, to był wspaniały człowiek. Kiedy go poznałam, był już bardzo wyniszczony, ale ciągle zachowywał *charme* i niezrównaną elegancję. Poświęcił mi całe popołudnie w swojej wspaniałej rezydencji w Geronie i mogliśmy porozmawiać o wszystkim: o jego życiu, rodzinie, także o sztuce, oczywiście... Przeznaczyłam dla niego znakomitą część mojej książki, zasłużył sobie na to.

– Masz wielkie szczęście, że dana ci była taka okazja. Ale to oczywiste, że baron potraktował cię w taki sposób; cokolwiek by mówić, to twoja rodzina.

Camille uśmiechnęła się mile polechtana.

– Tak, to prawda...

– Chętnie przeczytam twoją książkę, kiedy już ją skończysz. Będzie wspaniała, oczywiście, bo widać, że jesteś bardzo wrażliwa.

Alain westchnął. Camille zignorowała go, pławiąc się w moich komplementach. A ja nienawidziłam siebie za to, co robiłam. Jednak nie miałam pojęcia, w jaki sposób wrócić do tematu Giorgionego, bo ona raczej nie miała ochoty go poruszać.

Dla odmiany Alain znalazł sposób.

– Do rzeczy, Camille, mówił ci czy nie o *Astrologu*?

Ona znowu go zignorowała i dalej mówiła tylko do mnie.

– To oczywiste, że nie rozmawialiśmy o każdym z jego obrazów. Bardziej niż wywiad to była rozmowa, długa i przyjemna. Jednak w pewnej chwili pojawił się temat falsyfikatów. Zapytałam, czy kiedykolwiek ktoś chciał mu sprzedać jakiś sfałszowany obraz. Zapewnił mnie, że tak, że wielokrotnie. Jeden pamiętał w szczególności. – Camille zamilkła, spojrzała na mnie, zagryzła usta i poklepawszy mnie po ramieniu, dodała: – Poczekaj. Przyniosłam magnetofon. Puszczę ci tę część nagrania.

Camille poszła po urządzenie.

– Mam to już przygotowane. Muszę tylko nacisnąć *play*.

Porcelanowymi paznokciami nacisnęła małe przyciski i postawiła magnetofon na stoliku.

Poprzez szumy usłyszeliśmy słaby głos staruszka, mówiący nienaganną francuszczyzną. ...To było w czterdziestym ósmym albo dziewiątym... Krótco po śmierci mojego ojca. Jeden z marszandów, z którym zwykle pracowałem, powiadomił mnie, że ma coś szczególnego: obraz, który znaleziono w ruinach zamku w Wewelsburgu w Westfalii. Powiedział, że to wspaniały obraz szkoły weneckiej z końca quattrocenta albo początków cinquecenta, może Tycjan albo Giorgione, może nawet Bellini. Cóż, wydało mi się to interesujące. Po pierwsze było to nęcące (śmiech): obraz z Wewelsburga! Świątyni czarnego zakonu Himmlera! Już choćby dlatego miał wartość historyczną. A jeśli jeszcze namalował go wielki mistrz... To byłoby fantastyczne! Najbardziej pragnąłem, żeby to był Giorgione. Mój ojciec szczególnie lubił tego artystę. Zawsze opowiadał, że niejaki Bauer – opowiadał to tyle razy, że nazwisko utkwilo mi w pamięci – zaproponował mu dwa obrazy tego weneckiego mistrza, ale w ostatniej chwili rodzina zabroniła mu sprzedania jednego z nich, tego, który mój ojciec uważał za cenniejszy. Bardzo się oburzył, ale ten drugi kupił, bo był przepięknym dziełem. Jednak szybko zwątpił w jego autentyczność i go sprzedał; Duncanowi Phillipsowi, chyba ciągle jest wystawiany w muzeum w Waszyngtonie... W końcu pojechałem do Niemiec zobaczyć ten obraz. Na

pierwszy rzut oka to mógł być Giorgione. Kompozycja była ustawiona w charakterystycznym podwójnym planie mistrza: dopracowany pejzaż w tle i postać na pierwszym planie: młody człowiek z wieloma astrologicznymi instrumentami, takimi jak Giorgione namalował na fresku w domu Pellizzarich. Natychmiast nakazałem przebadanie obrazu, żeby potwierdzić jego autorstwo. Bardzo byłem zaskoczony, kiedy się okazało, że jest fałszywy. Doskonała podróbka, bardzo staranna, bez wątplenia pomyślana tak, żeby uchodził za autentyk: pigmenty, płótno, nawet rama... Wszystko z epoki. Bez analizy chemicznej nie sposób było dowieść oszustwa. Prawda jednak była taka, że obraz nie miał więcej niż dziesięć lat...

Camille zatrzymała magnetofon.

– Cóż, słyszycie, że nie mówi konkretnie o *Astrologu*, czyli nie jest to obraz z imieniem i nazwiskiem, ale... Może to jego szukacie, prawda? Choć falsyfikat... Powiedział, że wiadomość pojawiła się we wszystkich gazetach, ale tytuły bardziej koncentrowały się na wyśmiewaniu Himmlera za to, że kupił fałszywy obraz, niż na samym oszustwie.

– Tak, mógł się odnosić do *Astrologa* – przyznałam, starając się powściągnąć entuzjazm. W opowieści barona Thyssena było więcej informacji, niżby nam się śniło. – Dziękuję, Camille. Bardzo nam pomogłaś.

– Jestem kopalnią niespodzianek, *chérie*. – Camille okazała, że kocha siebie jeszcze trochę bardziej, niż wcześniej dawała po sobie poznać.

Alain wyprostował swoje długie nogi, żeby wstać i już wyjść.

– Dzięki, Camille. – Ton jego głosu zdradzał lepszy humor. Może ucieszył się tak bardzo jak ja i to mu poprawiło nastrój.

– Nie ma za co. Jeśli mogę wam w czymś jeszcze pomóc, wiecie, gdzie mnie szukać...

Przerwało jej delikatne pukanie do drzwi. Głowa asystentki pojawiła się w progu.

– Camille, przepraszam, przyszedł posłaniec z prezentem. Mam mu powiedzieć, żeby go zostawił, czy zaniósł do domu?

– Och... Co za mania przysyłania tu prezentów! To naprawdę męczące... Tak, niech go zanieś do mnie do domu. Dziękuję, *chérie*.

– Jesteś szczęśliwą kobietą, Camille, ludzie przysyłają ci prezenty, chociaż nie masz urodzin – zauważył Alain.

Wydało mi się, że znowu jest sarkastyczny; może już miałam obsesję.

W tym momencie po raz pierwszy zobaczyłam, że Camille traci rezon. Była nawet odrobinę zmieszana, jak księżniczka z bajki.

– No... Tak... Cóż... Wiesz... To nie są prezenty urodzinowe... To... hm... Prezenty ślubne. Bo Jean-Luc i ja... bierzemy ślub... w tę sobotę...

Wtedy Alain też okazał zmieszanie. Atmosfera ogólnie stała się bardzo niezręczna.

– Ach... No proszę... To... To fantastycznie, nie? – Alain odchrząknął, jakby słowo utkwilo mu w gardle. – Gratulacje... Dla was obojga... – nie bez kłopotów udało mu się wyrzucić z siebie.

Alain zachował fason na tyle długo, żeby kurtuazyjnie się pożegnać z Camille i wyjść z galerii z niejaką godnością. Jednak gdy tylko znalazł się na ulicy, jego spojrzenie stało się ciężkie, szczeka mu zeszytywniała i gdyby był zwierzęciem, dyszałby i toczył pianę z ust.

Przeszedł przez ulicę jak samobójca: trzy samochody musiały gwałtownie się zatrzymać i głośno na niego zatrąbiły; na mnie też, bo szłam za nim jak oczadziała. Podeszedł do motoru, włożył kask i wymamrotał przez zasłonę:

– Jedziemy do biblioteki czasopism, poszukamy wiadomości o fałszywym Giorgionem. Wsiadaj.

– Nie – przeciwstawiłam się. – Nie mam zamiaru ruszać się stąd, dopóki nie odpowiesz

mi na dwa pytania.

Alain spojrział na mnie wyczekująco.

– Co to, do diabła, jest HTC i... kim tak naprawdę jest ta kobieta?

Minęło kilka sekund, zanim zareagował. Podniósł szybkę kasku, jakby dusił się w środku, westchnął, spojrział przed siebie, mocno złapał kierownicę... Znowu na mnie spojrział.

– HTC to taki BlackBerry, ale lepszy... Ta kobieta to suka, ale jeszcze gorsza. To moja była żona.

Następnie przekręcił kluczyk i 500-centymetrowy silnik zaryczał. Nie było możliwości, żeby ciągnąć ten temat. Ja zresztą też nie byłabym w stanie tego zrobić. Jednak musiałam coś powiedzieć, nie mogłam tak po prostu milczeć. Głośno, żeby przekrzyczeć motocykl, bardzo poważnie oświadczyłam:

– To niemożliwe. Nie ma nic lepszego niż BlackBerry.

\*

## MAJ 1943

„Naczelne Dowództwo nie będzie tolerować żadnych aktów wrogości wobec sił okupacyjnych. Wszelki sabotaż i agresja będą karane śmiercią. Zostaje wprowadzona godzina policyjna od 20.00”. Taka była pierwsza wiadomość skierowana do mieszkańców Paryża po jego zajęciu 14 czerwca 1940 roku. Od tego czasu *couvre-feu*, czyli godzina policyjna, obowiązywała w różnych porach aż do roku 1944. Zwykle trwała od 22.00 do 5.00, choć nie dla Żydów, którzy nie mogli przebywać na ulicy od 20.00 do 6.00. Podczas godziny policyjnej każda osoba znajdująca się na ulicy była natychmiast aresztowana.

W miarę upływu lat Paryż był coraz bardziej wrogim i niebezpiecznym miastem. Wraz z nadejściem zmroku stawał się ciemny, pusty i cichy, z rezygnacją czekał, aż nadejście godziny policyjnej zaknebluje jego gasnącą duszę. Bo zapadający zmierzch nie tylko przygaszał światło, ale także zwiędnięte już nastroje, więc chodniki wypełniały się ludźmi o posepnych twarzach, niechętnie zmierzającymi ku ostatnim pociągom. Po zmroku na ulicach zostawały jedynie wojskowe patrole, które z wolna przemierzały Paryż – dlatego jego mieszkańcy milkli i spuszczaali głowę.

Sarah podbiegła, szukając schronienia w półmroku jak szczur, kryjąc się jak złodziej, nerwowa jak zbieg. Noc nie powinna była zaskoczyć jej na ulicy, lecz nieugięte ją prześladowała, wydłużając jej coraz mniej wyraźny cień.

Zrobiło się późno. Była na spotkaniu z doktorem Vartanem oraz mademoiselle Hirsch i zagadali się, dopracowując ostatnie szczegóły uwolnienia Jacoba. Potem musiała pójść do hrabiny po kawę; doktor Vartan powiedział jej, że jeśli Jacob napije się kawy, to będzie mógł mu wstrzyknąć mniej narkotyku. W Paryżu brakowało kawy, ale babcia dostawała ją na czarnym rynku.

– *Halt!*

Sarah odruchowo się zatrzymała. Patrol czterech żołnierzy SS zastąpił jej drogę. Jak to możliwe, że ich nie zauważyła? Szła, nie patrząc, albo patrzyła, nie widząc; myślała o następnym dniu, o Jacobie, o powrocie do domu...

– *Ausweis!*

Włożyła rękę do kieszeni, ale jeden z nich natychmiast ją wyszarpnął. W środku miała tylko dokumenty, kartki żywnościowe, kilka monet i klucz do domu. Kawę przezornie ukryła w kieszeni żakietu; jeśli Niemcy ją znajdą, zabiorą jej.

Jeden z żołnierzy wyciągnął jej dokumenty z kieszeni i zaraz rzucił je na ziemię. Pozostali nie spuszczaali Sarah z oczu, z rękoma wspartymi na karabinach. Wydawało się, że się uśmiechają, grymas ich twarzy wzbudzał jednak przerażenie.

W końcu w świetle niewielkiej latarki obejrzaali jej dokumenty. Niemal od razu zaczęli szeptać i się śmiać.

– To żydowska dziwka, sierżancie.

– Wiem, durniu. Nie widziałeś gwiazdy?

– To kurwa...

– Dobrze by było rozłożyć jej nogi z buta i zerznąć.

– Ohyda! Zerznąć Żydówkę to obrzydliwe!

– Pizda to pizda, co chcesz. A ta Żydówka jest niezła.

– Świnia z ciebie, Wulff.

Sierżant zaświecił jej latarką w twarz. Sarah zamrugowała.

– Co jest, żydowska dziwko? Nie wiesz, że nie możesz łązić po ulicach?

Udała, że nie rozumie.

– Odpowiadaj, suko! I patrz na mnie, jak do ciebie mówię! – rozkazał, jednocześnie popychając ją na ścianę.

Sarah o mało co by upadła, ale udało jej się utrzymać równowagę. Pokręciła głową, ale zaraz przytaknęła. Drżała. Jeśli mają ją zatrzymać, niech to zrobią od razu. Wcale jej się nie podobało to, jaki obrót przybierają sprawy.

– Rozepnij jej płaszcz, sierżancie, zobaczymy, jakie ma cycki!

Zaczęła marzyć o tym, żeby któregoś z nich kopnąć, wyrwać mu karabin i wystrzelić. Zaczęła marzyć o śmierci – o zadawaniu śmierci. Ale nie miała dość odwagi, nie znalazła dość sił, żeby choć ruszyć palcem. Przerazenie ją sparaliżowało.

Lufą karabinu sierżant rozchylił jej żakiet.

– Dobra mała, pokaż cycki chłopakom!

Wszyscy zawtórowali mu ze śmiechem. Sierżant sięgnął ręką, żeby zerwać z niej bluzkę. Sarah odepchnęła go odruchowo.

– Co robisz, idiotko?! – krzyknął jej w twarz, znowu popychając ją na ścianę i przyciskając jej lufę do piersi.

Sięgnął ręką do jej szyi i silnie ją ścisnął, wsadzając palce pod brodę. Sarah zaczęło brakować powietrza. Zapragnęła zemdleć w tej samej chwili, kiedy poczuła na twarzy oddech i wypłute przez żołnierza słowa.

– Słuchaj mnie, kurewska Żydówko! Jesteś obrzydliwa! Więc nie próbuj mnie dotykać, rozumiesz? Jak ci powiem, że masz się położyć, żebyśmy cię mogli zerznąć, to tak zrobisz...!

– Co tu się dzieje?

Sarah go widziała. Widziała, jak zatrzymuje się samochód i on wysiada. Myślała, że ma przywidzenia, że jej wizja jest tylko skutkiem przerażenia. Myślała, że już zemdlą i że Georg von Bergheim bez pozwolenia wszedł do jej głowy.

Ale wszystko wydawało się takie rzeczywiste...

Żołnierz odwrócił się gwałtownie niczym rozdrażnione dzikie zwierzę. Zobaczywszy jednak Sturmbannführera SS, stanął jak wryty.

– *Still gestanden!* – krzyknął sierżant.

Kiedy to bydlę rzuciło komendę baczność, Sarah poczuła, że kolana odmawiają jej posłuszeństwa, i z plecami opartymi o mur powoli osunęła się, aż usiadła na ziemi jak żebrak.

– Pytałem, co tu się dzieje! Scharführer?

Czterech esesmanów, wyprężonych przed majorem, wydawało się postaciami ze stali.

– Ta kobieta jest Żydówką, Sturmbannführer – zaczął wyjaśniać sierżant – i nie przestrzega godziny policyjnej. Właśnie ją zatrzymaliśmy.

– To nie jest pańska sprawa, Scharführer, ale prefektury albo żandarmerii wojskowej.

– Z całym szacunkiem, panie Sturmbannführer...

– Milczeć! Powiniennem spisać wasze numery identyfikacyjne i donieść na was do przełożonych za niewypełnianie rozkazu numer 137 z 7 stycznia 1941 roku, który wyraźnie zakazuje wkraczania w kompetencje przekazane organizacjom lokalnym na terytoriach okupowanych – na poczekaniu wymyślił Georg. – Zrozumiano?

– Tak jest, panie Sturmbannführer! – odpowiedzieli jednym głosem.

Georg dramatycznie zawiesił głos, przechodząc pomiędzy nimi i przeszywając ich wzrokiem.

– Tym razem was wypuszczę – powiedział już spokojniej. – Mam nadzieję, że w przyszłości nie zdarzą wam się sytuacje takie jak ta. Nasza praca tutaj nie polega na tworzeniu fikcji przy użyciu lokalnych instytucji. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest, panie Sturmbannführer!

– Możecie odejść. Heil Hitler!

– Heil Hitler!

Patrol Schutzstaffel ruszył ulicą i po kilku sekundach znikł na bulwarze Saint-Germain.

– Nic ci nie jest? – zapytał Georg, pomagając Sarah wstać.

Ona kiwnęła głową. Otrzepała się, zapięła żakiet i chciała schylić się po torebkę, ale von Bergheim zrobił to za nią.

– Dziękuję – wyszeptała po cichu, drżącym głosem.

Cała się trzęsła, od wyciągniętej po torebkę ręki aż do nóg, które w każdej chwili mogły się pod nią ugiąć.

Georg podtrzymał ją za ramię.

– Chodź. Wypijemy coś w tej kawiarni. Usiądziemy na chwilę, aż się uspokoisz.

Sarah nie zauważyła jej aż do tej chwili, ale na rogu bulwaru była kawiarnia z dużymi oknami pod pasiastą markizą wychodzącymi na ulicę. Niełatwo ją było zauważyć, bo okna już zostały zasłonięte granatową tkaniną, przez którą nie przeciskał się ani promyk światła.

– Ja... ja tu nie mogę być. Jestem Żydówką. Mam gwiazdę.

Od miesięcy, nawet lat gromadziły się w niej upokorzenia, a jednak po raz pierwszy Sarah poczuła się upokorzona do tego stopnia, że nie chciała unosić wzroku, kiedy mówiła, że szeptała słowa ze wstydem.

To doprowadziło gniew Georga do szczytu. Zerwał żółtą gwiazdę z lewej piersi dziewczyny i cisnął ją na ziemię.

– Już nie.

Tak jak pozwoliła Georgowi zerwać gwiazdę, tak pozwoliła mu się poprowadzić do kawiarni. Mimo że była zatłoczona ludźmi, pełna dymu i głosów, Sarah po wejściu poczuła przyjemne ciepło. Do godziny policyjnej dla mieszkańców miasta niebędących Żydami pozostało ponad sześćdziesiąt minut, więc i paryżanie, i Niemcy szybko wychylali napitki i rozmawiali, zanim będą musieli zamknąć się w domu.

Przecisnęli się na sam koniec sali i zajęli miejsce w kącie. Szybko podszedł do nich kelner: Georg zamówił brandy dla siebie i kawę dla Sarah, choć wiedzieli, że nie pomoże im ani jedno, ani drugie. Przynieśli im *Ersätze*: surogaty. Pewnie kartoflany bimber i brązowy napar nie wiadomo z czego.

Nie zamienili ani słowa. Było za głośno, a między nimi brakowało zaufania.

To prawda, że major von Bergheim potrafił być miły, ale Sarah miała zamiar czym prędzej wypić swoją lurę i wyjść stamtąd. Zrobiłaby tak, gdyby z pierwszym łykiem nie oparzyła sobie ust; ta lura była wrząca.

Georg podsunął jej swój kieliszek.

– Powinnaś wypić trochę... tego. Jest okropne, ale alkohol przyniesie ci ulgę pewniej niż ta brudna gorąca woda.

– Nie, dziękuję. Jest w porządku.

Ciepło i odpoczynek zadziałały; krew znowu zaczynała krążyć w żyłach Sarah. W miarę jak odzyskiwała panowanie nad sobą, coraz bardziej miała ochotę zostawić to miejsce i majora. Hałas stawał się coraz trudniejszy do wytrzymania, a miejsce klaustrofobiczne. Nie mogła czekać, aż jej napój ostygnie, musiała natychmiast stamtąd wyjść.

Gwałtownie wstała. To wtedy zobaczyła ich pośród tłumu. Dwóch tajniaków sprawdzających ludziom dokumenty.

Zanim zdążył zapytać, Georg zobaczył, że dziewczyna znowu siada albo raczej opada na krzesło.

– Co się dzieje?

– Policja. Wszystkim sprawdzają dokumenty.

Georg natychmiast zrozumiał, że to gestapowcy. Francuzi z gestapo.

– Nie powinnam tu była wchodzić – zaczęła się jąkać zdjeta paniką. – Nie mogę tu być.

Z gwiazdą czy bez, ciągle jestem Żydówką.

– W porządku, Sarah, uspokój się.

Georg starał się szybko myśleć. Zaledwie kilka minut dzieliło ich od podejścia tajniaków.

Sarah myślała o paczusce kawy dla Jacoba. Myślała też o Jacobie. Jeśli teraz ją aresztują, co się wydarzy? Co z nim będzie? Wtedy zobaczyła, że major szybkim ruchem magika zamienia ich napoje. Potem zanurzył palce w bimbrze i posmarował nim jej szyję. Sarah nie wiedziała, jak zareagować.

– Wypij trochę. Przynajmniej jeden łyk – wyszeptał.

– Co?

– Rób, co mówię. Szybko!

Sarah nie za bardzo rozumiała, o co mu chodzi, ale posłuchała.

Gdy tylko wypła, Georg przygarnął ją do piersi i przycisnął jej twarz do munduru. Na koniec potargał jej włosy.

Sarah nic nie widziała, z trudem oddychała, a w policzek wbijała jej się jedna z odznak majora. Zaczęła jednak rozumieć, w czym rzecz.

– Przepraszam pana. Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty?

– Oczywiście.

Georg włożył rękę do kieszeni munduru, wyciągnął swoją *Soldbuch* i podał tajniakowi.

– Pani też, bardzo proszę – dodał policjant, starając się zobaczyć twarz dziewczyny.

– Obawiam się, że pani nie jest w stanie niczego panu pokazać. Ma słabą głowę, a ten ostatni kieliszek ją załatwił. – Georg starał się nawiązać nić porozumienia. – Trochę się boję, że jak ją za mocno poruszę, to zarzyga mi mundur.

Sarah czuła, jak napręża się pierś von Bergheima, i słyszała jego głos wydobywający się spod żeber.

– Przykro mi, proszę pana, ale mam rozkaz sprawdzić dokumenty wszystkich osób.

– Rozumiem pana, ale ta pani jest ze mną, to powinna być gwarancją, że jej dokumenty są w porządku.

– Mimo to, proszę pana, nalegam, ponieważ wypełniam swoje obowiązki. Musi pokazać mi swoje dokumenty.

Sarah słyszała, jak serce von Bergheima bije coraz mocniej, jak jego klatka piersiowa dudni niczym pudło rezonansowe.

Georg gestem kazał policjantowi się zbliżyć. Kiedy ten pochylił się nad stolikiem, wolną ręką chwycił go za koszulę i przysunął jego twarz do swojej. Major był świadomy tego, jak wielki strach potrafi wzbudzić, kiedy okazuje wściekłość.

– Powiedziałem panu, że ta pani jest ze mną! – ryknął przez zęby. – Wystarczy, że sprawdzi pan mnie. – Po czym go odepchnął.

Zgiełk w lokalu ucichł. Sarah wstrzymała oddech i modliła się, żeby znowu nie usłyszeć głosu tajniaka. Przez kilka sekund odmierzanych jedynie biciem serca von Bergheima panowała przerażająca cisza.

Kiedy w końcu poczuła, że ręka majora spoczęła na jej głowie, zrozumiała, że niebezpieczeństwo minęło. Tak jak i ona rozmowy powoli wracały do swego normalnego stanu. Pomyślała wtedy, że mogłaby tak zostać, wtulona w pierś Georga von Bergheima, może przez całą noc. Szybko jednak odsunęła od siebie te absurdalne myśli.



– Już poszli – wyszeptał jej na ucho po chwili, która Sarah wydała się zbyt krótka. Wtedy uniosła twarz i spojrzała na niego. Spojrzeli sobie w oczy, ale żadne nie zwolniło uścisku.

– Chodźmy stąd – powiedział w końcu Georg. – Muszę wyjść na powietrze. Przekroczenie progu kawiarni oznaczało przejście do innego wymiaru, ciszy i ciemności, wojny. Jednak Sarah poczuła się dziwnie lekko, zostawiając za sobą ciężką atmosferę lokalu.

– Chodź, zawiozę cię do domu – zaproponował major von Bergheim. Georg ruszył w stronę samochodu zaparkowanego na skrzyżowaniu. Sarah nie poszła za nim.

– Nie. Dziękuję... Dziękuję, ale pójdę sama. Odwrócił się i spojrzał na nią zniecierpliwiony. – Nie bądź uparta, Sarah. Ile jeszcze razy zamierzasz ryzykować tej nocy? Sarah rzuciła okiem w głąb bulwaru Saint-Germain, którego końca wzrok nie sięgał. Paryż był labiryntem ulic mrocznych jak tunele. Chociaż perspektywa podróży w towarzystwie von Bergheima nie wydawała jej się przyjemna, na myśl o samotnym przemierzaniu tego labiryntu skrzywił jej się żołądek.

Georg zapalił papierosa, zaciągnął się i z westchnieniem wypuścił dym. – Chodź – przynaglił, chwytając ją za łokieć. Przeszli przez ulicę, ich kroki rozbrzmiewały w spowitym ciszą mieście. Major otworzył jej drzwi od strony pasażera, następnie usiadł za kierownicą, wyrzucił papierosa przez okno i włożył kluczyk do stacyjki. Nie zapalił jednak silnika.

– Dlaczego mnie okłamałaś, Sarah? Usłyszawszy to, Sarah zapragnęła otworzyć drzwi i rzucić się do ucieczki. Mogłaby to zrobić, von Bergheim nie patrzył na nią, lecz przed siebie.

– Twój stryjeczny dziadek Franz nie sprzedał obrazu von Thyssenowi. Twój ojciec do tego nie dopuścił.

Bardzo szybko przejrzał myśli Sarah. Nawet nie miała czasu na wyciągnięcie Jacoba ze szpitala. Teraz wszystko mogło pójść w diabły. „Otwieraj drzwi i uciekaj, Sarah. Uciekaj, dopóki możesz”, mówiła do siebie, zaciskając palce na podolku. „Biegnij. Biegnij... aż dobiegniesz do rogu i on cię zastrzeli”.

– Jest taki obraz w kolekcji Phillipsa w Waszyngtonie. Nazywa się *Klepsydra*, ale jest też znany jako *Astrolog*. Niektórzy uważają, że jego autorem może być Giorgione, choć to nieprawdopodobne. Baron von Thyssen sprzedał ten obraz Duncanowi Phillipsowi w 1939 roku. Dostał go od twojego dziadka na pocieszenie, kiedy transakcja nie doszła do skutku. Tak naprawdę Thyssen chciał drugiego *Astrologa*. Miałaś pecha, chcąc mnie oszukać tym samym podstępem, który doprowadził mnie do twojej rodziny. Chociaż może dzięki temu ja też coś uzyskałem – teraz wiem, że to ty masz obraz, w przeciwnym razie nie trudziłabyś się tak, żeby go chronić.

Mimo wszystko Sarah była w stanie odpowiedzieć: – Nie mam tego obrazu. Von Bergheim rozpaczliwie pokręcił głową. – Nie rozumiem... nie rozumiem uporu twojego i twojej rodziny. To tylko cholerny obraz i jakaś pieprzona legenda! Nie warto za nią umierać!

– Nie wiem, czy to legenda czy nie. Wiem tylko, że skoro wy i wasz Führer macie wygrać wojnę, niech tak będzie. A jeśli macie ją przegrać, to też niech tak będzie. Ale są rzeczy, których lepiej nie tykać. Wydaje się pan rozsądnym człowiekiem, powinien pan to rozumieć.

– Nie chodzi o to, czy ja to rozumiem, Sarah. Ja mogę to zrozumieć, przestać za tobą

chodź i zaraz wyjechać z Paryża. Mogę nawet zapewnić swoich przełożonych, że się pomyliłem i że Bauerowie nigdy nie mieli obrazu. A jutro będziesz miała w domu gestapo. – Georg odwrócił się w jej stronę. Miał bardzo poważną minę, niemal mroczną. – Musisz mi oddać obraz albo cię aresztują, nie mogę ich już dłużej powstrzymywać.

– Nie mam tego obrazu – powtórzyła Sarah z uporem.

– To nie jest ważne, do jasnej cholery! I tak cię aresztują!

Kiedy Georg zobaczył jej spojrzenie, wiedział, że mu nie wierzy.

Sytuacja była rozpacзлиwa. Tego poranka otrzymał wyraźny rozkaz Reichsführera dotyczący pozostawienia Sarah do dyspozycji gestapo, któremu miała przekazać obraz... Gdyby tego nie zrobiła, również miała pozostać w dyspozycji gestapo. Jeśli on odmówi wykonania rozkazu, ktoś inny robi to za niego. Georg był w patowej sytuacji; bez względu na to, jaką drogę obierze, zakończenie będzie takie samo: on trafi przed sąd wojskowy jako zdrajca, a Sarah do obozu koncentracyjnego jako Żydówka.

Georg potrzebował tego obrazu. Jedynie dzięki niemu mógłby w jakiś sposób usprawiedliwić się przed Himmlerem, zyskać dla niej trochę czasu. Ale uparta dziewczyna nie miała zamiaru współpracować. Najwyraźniej nie była świadoma powagi sytuacji.

Georg przekręcił kluczyk w stacyjce. Pracujący silnik szarpnął samochodem.

– Może kiedy podsunę ci pod nos swoje rozkazy, zrozumiesz, że nie żartuję.

Sarah się zaniepokoiła.

– Dokąd jedziemy?

– Do mojego hotelu.

– W żadnym razie nie pojedę do pańskiego hotelu! Proszę zatrzymać samochód! Chcę wysiąść.

Samochód jechał pustymi ulicami.

– Powiedziałaś, żeby się pan zatrzymał! – nalegała, widząc, że von Bergheim ignoruje ją i sztywno wpatruje się w asfalt. – Niech pan zatrzyma ten cholerny samochód, bo przysięgam, że otworzę drzwi i wyskoczę w biegu!

Georg gwałtownie nacisnął hamulec. Samochód zatrzymał się z piskiem opon, tak ostro, że Sarah poleciała do przodu i niemal uderzyła głową w szybę.

– Nie musisz wyskakiwać w biegu. Możesz wysiąść, kiedy masz na to ochotę.

Sarah chwyciła klamkę...

– Ale zaskakuje mnie to, jak odważna i dorosła jesteś w jednych sprawach, a w innych zachowujesz się jak tchórzliwe dziecko. Nie wiem już, co mam robić, żebyś zrozumiała, że jestem po twojej stronie.

...klamka szczęknęła...

– Jeśli myślisz, że nie jestem po twojej stronie, to dlaczego powiedziałem ci, gdzie jest twój mąż, skoro wiedziałem, że mnie okłamujesz?

... lecz drzwi się nie otworzyły.

– Guzik mnie obchodzi ten obraz, chcę tylko nie popełnić ponownie błędów, które popełniłem z twoją rodziną w Strasburgu. Nie chcę przez całe życie mieć wyrzutów sumienia z twojego powodu, Sarah. – Georg westchnął. – Ale to i tak bez znaczenia, ty nie chcesz tego zrozumieć. Wsiadaj. Nie mogę dla ciebie zrobić już nic więcej.

Cisza zamknęła rozpaczliwą przemowę. Cisza Paryża i milczenie Sarah. I w tej ciszy ona mogła otworzyć drzwi i wysiąść. Ale w ciszy została, starając się zrozumieć wszystko, co jej powiedział... w ciszy.

Gdy tylko weszli do holu hotelu Commodore, Sarah zapragnęła odwrócić się na pięcie i wyjść stamtąd. Czuła się jak żołnierz zgubiony za liniami wroga. Każdy mundur, każda twarz,

każde spojrzenie i każde słowo wydawało jej się wrogie. Miała wrażenie, że w każdej chwili ktoś zawoła: „To Sarah Bauer! Aresztować ją!”.

Georg podszedł do recepcji po klucz.

– Pójdę do swojego pokoju po papiery, które chcę ci pokazać. Zaczekaj tu na mnie.

Już chciała go błagać, żeby nie zostawiał jej samej, ale ta prośba zawisła w powietrzu, bo podszedł do nich jakiś człowiek.

– Co tam, von Bergheim?

– Cześć, Lohse.

Sarah stanęła za majorem w naiwnej próbie ukrycia się.

– Cieszę się, że widzę jakąś przyjazną twarz. Fischer i Aufranc znowu się poprzytykali i w barze atmosfera jest nieco napięta. Miałem ci zaproponować kieliszek i partyjkę bilarda, ale widzę, że masz lepsze towarzystwo – zauważył Bruno Lohse, spoglądając na dziewczynę z dwuznacznym uśmiechem.

Zanim Georg zdołał odpowiedzieć, Lohse mówił dalej:

– No właśnie, jest tu ten Hauser z gestapo. Wypytuje o ciebie.

Sarah zauważyła, że major zeszywniał.

– O, zobaczył cię, właśnie tu idzie...

– Kurwa, Lohse, zajmij go przez chwilę, dobra?

– Ale...

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Rób, co mówię, błagam – przynaglał go lekkimi pchnięciami.

Lohse wzruszył ramionami. Nic nie rozumiał, ale uznał, że von Bergheim musi mieć jakiś kłopot. Ruszył w stronę Hausera i przechwycił go przy wyjściu z baru.

Georg odwrócił się do Sarah. Nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego i to ją przestraszyło.

– Masz klucz, Sarah. Idź do pokoju i poczekaj tam na mnie. Numer 212. Drugie piętro – wyszeptał tak szybko, jakby jego słowa były pociskami wyrzucanymi z karabinu.

Ona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, blada i skulona niczym przerażony ptaszek.

– Nie martw się. Wszystko jest w porządku. Ten człowiek po prostu nie może zobaczyć nas razem, rozumiesz?

Sarah skinęła głową i wzięła klucz.

– Idź już. Szybko.

Major odczekał, aż dziewczyna zniknie na schodach. W samą porę, bo Hauser właśnie go zlokalizował i zbliżał się do niego – Lohse nie był w stanie zatrzymać go ani chwili dłużej.

– Dobry wieczór, panie Sturmbannführer von Bergheim. Szukałem pana...

– No to mnie pan znalazł. Właśnie miałem iść do pokoju. To był długi dzień, ale mogę z panem wypić ostatni kieliszek. – Georg chciał wyciągnąć policjanta z holu, na wypadek gdyby Sarah przyszło do głowy coś głupiego, jak na przykład wykorzystać sytuację i sobie pójść.

– Obawiam się, że moja wizyta nie jest kurtuazyjna, Sturmbannführer. – Major nie był zaskoczony. W Hauserze nie było nic z kurtuazji. – Będę się streszczał i od razu przejdę do sprawy: właśnie doszły mnie słuchy, że prosił pan o informacje na temat terrorysty, który był z Sarah Bauer.

– Rzeczywiście prosiłem – przyznał, jakby nie było w tym nic złego. – Ten człowiek jest jej mężem i może być użyteczny w moim śledztwie.

Na ustach Hausera pojawił się gadzi uśmiech. Bardziej obrzydliwy mógłby być tylko, gdyby syczał.

– Ciągłe zaskakuje mnie pańska naiwność, von Bergheim. Mam wrażenie, że nie chce pan sobie zdać sprawy, że ta hołota więcej łże, niż gada. Ten facet nie jest jej mężem.

Georg poczuł się, jakby połknął solidną łyżkę cykuty, chociaż starał się niczym nie okazać swojej goryczy. Nie wiedział, co go bardziej dręczy, czy przyłapanie Sarah na kolejnym kłamstwie, czy zrobienie z siebie idioty przed Hauserem. Ponieważ nie miał godnej odpowiedzi, ograniczył się do obojętnego wzruszenia ramionami.

– To wszystko, Hauser?

To nie było wszystko. Tamten chciał kłótni i nie miał zamiaru bez niej wyjść. To wtedy zaczął syczeć jak żmija.

– Proszę mnie dobrze posłuchać, Sturmbannführer, mam dosyć pańskiego poczucia wyższości. Myśli pan, że może łązić tu i wtykać nos w nie swoje sprawy i gardzić pracą innych ludzi. Ale radzę, żeby od tej chwili był pan bardziej ostrożny. Takie współczucie wobec wrogów Rzeszy może podważyć pańskie oddanie Niemcom i Führerowi.

Georg miałby ochotę rozdeptać mu głowę, żeby przestał wysuwać gadzi język pod jego nosem. Nie miał jednak zamiaru stać się ofiarą jego prowokacji.

– Dziękuję za pańskie porady. Ale potrafię sam o siebie zadbać. Jeśli nie chce pan się napić, idę do łóżka.

Hauser był u kresu wytrzymałości; Georg zauważył to w stężonych rysach jego twarzy, jakby zaraz miał wypuścić parę uszami. Szczęśliwie postanowił nie wybuchać w tamtym miejscu.

– Heil Hitler! – Hauser stuknął obcasami.

Georg odpowiedział mu wojskowym salutem:

– Heil.

I stał, patrząc, jak Hauser z podkulonym ogonem wychodzi z hotelu Commodore.

– W co ty się wpakowałeś, panie Sturmbannführer?

Lohse stał obok niego.

– W nic. To tylko ten kutas ma się za Führera.

– Uważaj na niego, przyjacielu. Te typy z gestapo są niebezpieczne. Mogą znaleźć ci jakieś problemy, choćbyś ich nie miał.

Georg spojrział na niego. Może Lohse nie był ucieleśnieniem dobra, ale w głębi ducha to porządny człowiek. Wydawał się szczerze zmartwiony.

– Spokojnie, będę uważał.

– No dobra. Idź już, nie każ czekać damie.

Georg uznał, że lepiej będzie nie wyprowadzać Lohsego z błędu, więc nie wyjaśnił mu prawdziwej natury stosunków łączących go z tą damą. Życzył mu dobrej nocy i ruszył schodami do pokoju.

Był bardzo zły. Nie na Hausera, ale na Sarah. Czuł się bardzo zmęczony jej kłamstwami, jej uporem i głupią dumą purytańskiego mieszczaństwa. Wbiegł po schodach jak lokomotywa, gotowy jasno ustalić z nią pewne rzeczy. Pchnął drzwi pokoju tak mocno, że mógł wyrwać klamkę. Kiedy jednak zamierzał na nią krzyknąć, sflaczał jak przekłuta opona.

Sarah patrzyła na niego przerażona – wykrzywiona blada twarz. Wstała jak na sprężynach, zobaczywszy, że wchodzi, i jak na sprężynach omdlała usiadła znowu na materacu.

Major von Bergheim zamknął drzwi. Sarah nie chciała, żeby to robił. I podszedł do niej, kulejąc. Sarah nie chciała mieć go obok siebie.

– Źle się czujesz? Słabo wyglądasz...

– Tak. Tu jest gorąco...

Sarah nie powiedziała mu, że słyszała, jak gestapowiec mówi o Jacobie. Tak bardzo się

zdenerwowała, że zaparło jej dech. Wbiegła po schodach, wpadła do pokoju i poszła prosto do łazienki, gdzie zwymiotowała. Użyła też jego pasty do zębów, żeby usunąć absmak z ust. Jednak nic z tego nie powiedziała majorowi.

– Otworzę okno.

Georg zgasił światło i szeroko otworzył okno.

– Usiądź tu, przy oknie – zasugerował, przysuwając jej fotel. Wyciągnął cygarnicę i zapalił papierosa. Jego czarna sylwetka odcinała się na granatowym tle nieba, a ognik papierosa był dymiącym pomarańczowym punkcikiem. Gdyby Sarah miała w ręku pędzel, zaczęłaby malować na płótnie okna. Pierwsze pociągnięcia pędzla byłyby gwałtowne, mieszałyby kolory, żeby uczynić je ciemniejszymi, tak mrocznymi jak jej dusza... Choć może w końcu pieściłaby kontury i rozpuszczała postaci delikatnymi posunięciami. Sarah chciała krzyczeć jak Munch albo łkać jak Picasso, ale też płynąć gwiazdzistym niebem jak Matisse. Na tym płótnie, czarnym, granatowym i pomarańczowym, namalowałyby własny ekspresjonistyczny obraz, żeby krzyczeć, płakać i na koniec latać.

Z ulicy dobiegał odgłos wystrzałów, ale ani on, ani ona się nie przestraszyli. Nocne wystrzały były czymś powszednim, potem gwizd i wycie syren. Paryż konał na swój sposób.

Sarah wstała i wyjrzała przez okno obok Georga. Noc była ciemna i bezksiężycowa. Jedna lampa swą błękitną żarówką oświetlała całą ulicę, po której przejechał jeden samochód ze zgaszonymi światłami i cicho pracującym silnikiem, jakby się skradał na palcach. Ponadto nic w Paryżu nie wydawało się żywe, zaledwie oni przy otwartym oknie.

Kiedy Sarah do niego podeszła, przestała czuć spaliny i zgniliznę miasta; przy majorze roztaczał się zapach wody kolońskiej 4.711 i tytoniu.

Georg po raz ostatni zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopałek przed siebie.

– Musimy już iść, Sarah. Już niedługo nawet ja nie będę mógł wyjść na ulicę.

– Wiem...

Georg spuścił wzrok, żeby się jej przyjrzeć, a ona odwzajemniła jego spojrzenie. Świetlista poświata otaczała twarz Sarah i jej skóra wydawała się aksamitna.

– Jediną zaletą zaciemnienia jest to, że można zobaczyć gwiazdy...

Georg zgadzał się z nią w pełni – stał pod tysiącem niebieskich aksamitnych gwiazd. Może nawet mógłby ich dotknąć... Wyciągnął rękę i wierzchem dłoni pogładził Sarah po brodzie. I ona na to pozwoliła, wystawiając się na pieszczotę jak kotka, podczas gdy Georg zarysowywał owal jej twarzy.

Wtedy zamknęła oczy, a on pogładził jej powieki. Sarah rozchyliła usta i wtedy on dotknął palcami jej warg. Sarah jęknęła... Georg pochylił się nad nią i pocałował jej szyję... Sarah jęknęła, Georg znowu ją pocałował... na skraju policzka, w brodę... w kąci ust... w rozchylone usta... Sarah jęknęła... i w jej rozchylonych ustach pojawił się koniuszek języka. Jej język przesunął się po ustach Georga... jego zębach... Georg jęknął... Otoczył Sarah ramionami i pocałował ją raz jeszcze.

Gdyby Sarah piła, nie czułaby się bardziej oszołomiona. Pocałunek majora był delikatny, a jego ciepły oddech pieścił jej usta jak para znad gorącej herbaty, zanim upije się łyk. W jego ramionach czuła się bezpiecznie, bo choć ugiwały się pod nią nogi, one trzymały ją i nie pozwalały jej upaść. Otworzyła usta i wpuściła do nich pocałunek majora. Kiedy je w końcu zamknęła, czuła się, jakby płynęła pośród gwiazd Matisse'a, ale nie była sama.

Georg oddychał z trudem – nie wiedział, czy z powodu pragnienia czy niepokoju, a może to jego sumienie? Coś z tego wszystkiego miało zaraz wybuchnąć w jego piersiach. Odsunął się od dziewczyny, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Nie... – wyszeptła. – Proszę mnie nie puszczać...

Sarah mocno się do niego przytuliła, jakby jej było zimno, jakby się bała. Tego już Georg nie był w stanie znieść. Czuć ciepło jej ciała, piersi, bioder, rąk na jego plecach... Georg był o krok od wybuchu.

– Pozwól się rozebrać, Sarah... – poprosił ją szorstkim głosem.

Ona zadała mu pieszczotę swymi pięknymi zielonymi, przymkniętymi oczyma; było coś zwierzęcego w tym spojrzeniu. Ściągnęła buty i poprowadziła ręce Georga do pierwszego guzika bluzki... On go rozpiął... i drugi... i trzeci... i stanik... Spojrzał na jej uwolnione piersi. Najpierw je pocałował, później, gdy natrafił na sutki, pieścił je koniuszkiem języka, aż w końcu delikatnie ugryzł. Sarah znowu jęknęła, zrzuciła bluzkę i stanik, a po jej skórze przebiegł dreszcz, gdy owionęło ją wpadające przez okno zimne powietrze. On znowu ją przygarnął, objął całą rękoma, przylgnął do niej. I wrócił do jej ust, do zębów, języka, do każdego jej zakamarka, kiedy rozpiął spódnice i wsuwał jej rękę w majtki.

Sarah przestała go całować. Nie mogła znieść ucisku w piersiach i napięcia w kroku, uczucia niepokoju w brzuchu i omdlenia głowy. Odsunęła się od Georga, podeszła do łóżka i wyciągnęła się na materacu.

Georg ściągnął marynarkę munduru i rozpiął koszulę. Przez chwilę patrzył na nagie ciało dziewczyny w pościeli: wyglądało jak szkic na płótnie, miało wzruszające piękno dzieła sztuki. Położył się obok niej i wziął ją w ramiona.

Noc zaciemnienia. Dla Sarah cała noc.

\* \* \*

Sarah wsparła głowę na piersi majora i zabawiała się jego *Erkennungsmarke*. Być może brzęczenie nieśmiertelnika i łańcuszka nie pozwoliło jej usłyszeć ryków własnego sumienia.

A Sarah czuła się dobrze; tak dobrze jak w Illkirch, kiedy popołudniami czekała na wizytę majora; jak wtedy, gdy razem spacerowali, a on wrywał płatki ze słoneczników van Gogha albo zawiązywał pantofelki któreś z baletnic Degas. Wtedy Sarah go podziwiała; myślała, że wygląda jak nordycki bóg, a jego niebieskie oczy są oczyma germańskiego władcy, że ma głos mądrego mistrza i uśmiech wiernego towarzysza. Bo mimo munduru był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Sarah czuła się tak dobrze jak w Illkirch. I chociaż próbowała odnaleźć w sobie choć odrobinę poczucia winy, znajdowała tylko spokój. Skoro wojna zrobiła z niej morderczynię, co za różnica, że zrobiła z niej także dziwkę. Może jutro, w świetle dnia, odkryje plamy na sumieniu i usłyszy małostkowe podszepty, ale tej nocy nie... jeszcze nie.

Sarah przesunęła dłonią po ramieniu Georga.

– Co to jest? – wyszeptwała, dotykając znamienia.

– Moja grupa krwi. Każdy członek Schutzstaffel ma taki tatuaż.

Sarah pocałowała go. Całowała wszystkie i każdą z osobna jego blizny, a ten tatuaż był kolejną blizną.

Georg wyciągnął rękę, żeby wziąć cygarnicę.

– Chcesz? – zaproponował.

– Nie...

Oczywiście Sarah nie paliła i on o tym wiedział. Ale był przyzwyczajony wypalać papierosa z Elsie po tym, jak się kochali. Dlatego włosy Elsie pachniały dymem, a włosy Sarah... Georg wciągnął powietrze – włosy Sarah pachniały mydłem. Pocałował ją i pogładził. Odłożył cygarnicę na szafkę przy łóżku. Nie zapalił, wolał zająć swoje usta ustami Sarah i znowu się z nią kochać.

\* \* \*

Jacob nie mógł spać. Zamykał zdrowe oko i starał się o niczym nie myśleć. Trudno jednak to zrobić, gdy głowa pełna jest myśli. Czy mógł o niczym nie myśleć, skoro ta noc prawdopodobnie miała być jego ostatnią nocą w szpitalu?

Nie był do końca pewien, co go czeka. Doktor Vartan starał mu się to wyjaśnić. Zaprowadził go do sali operacyjnej na opatrunek; to było jedyne bezpieczne miejsce. Strażnicy początkowo tam wchodzili, ale na widok krwi i w smrodzie zainfekowanych ran niektórzy mdleli, dlatego ostatnio woleli zostawać przed drzwiami.

Kiedy znaleźli się sami, doktor Vartan włożył mu do ust zapalonego papierosa i ściągając mu bandaż z oka, opowiedział o dziwnych rzeczach, których Jacob nie był w stanie zrozumieć: może w wyniku znieczulenia, które doktor zawsze mu aplikował przed zabiegiem.

– Proszę dać sobie spokój, doktorze. Ja nic z tego nie rozumiem. Ale to bez znaczenia. Jutro opowie mi pan to jeszcze raz.

– Ale wiesz, że możesz umrzeć... – upierał się chirurg.

Umrzeć? Śmierć przejmowała go akurat najmniej! Ileż razy pragnął umrzeć! Śmierć nie może być gorsza niż powrót do Drancy, gdzie z towarzyszeniem ciosów kolb karabinowych zapakują go do wagonów bydłowych i wyślą do Niemiec. Tam też czekała go śmierć, agonía w niewolniczej pracy dla jakichś skurwysyńskich boszów. Skoro miał umrzeć, lepiej, żeby zginął, uciekając.

– W porządku, Jacob. Widzę, że niczego się nie boisz.

Tak myśleli wszyscy, wierzył w to sam Jacob: że niczego się nie boi. Ale to nieprawda. Odkąd mademoiselle Hirsch potwierdziła mu, że Sarah żyje, Jacob znowu zaczął się bać. Zaczął się bać, że więcej jej nie zobaczy.

– Chcę tylko być pewien, że jesteś świadomy ryzyka. Tylko ty możesz zdecydować, czy mamy to robić.

Świadomy ryzyka? Nie ma ryzyka, skoro Sarah czeka na niego po drugiej stronie krat. Skoro miał umrzeć i więcej jej nie zobaczyć, wolałby paść, wiedząc, że idzie do niej.

– Tak, doktorze, robimy.

\*

## HISTORIA ALAINA

Nie mogło być tak, że Alain mi powie „ta kobieta to suka”, „to moja była żona”, po czym jak gdyby nigdy nic pójdziemy sobie do biblioteki. W ramach swego rodzaju milczącego porozumienia trafiliśmy do bistra, gdzie na obiad zjedliśmy ser i popiliśmy winem; Alain raczej pił wino, niż jadł ser.

– Nie okłamałem cię, mówiąc, że studiowaliśmy na tym samym roku. Studiowaliśmy. Chodziliśmy na kilka tych samych zajęć na ostatnim roku. Ale tutaj kończą się zbiegi okoliczności i podobieństwa. Camille zawsze była lalunią. Sama widziałaś. Jej ojciec jest senatorem z departamentu Nièvre w Burgundii, gdzie rodzina ma winnice i niesamowite *château*. Jest z tych ludzi, co to obnoszą się ze swoimi herbami, mają kupę forsy i niewiele w głowie. A do tego jest jednym z najważniejszych kolekcjonerów sztuki we Francji. Zgadnij, kto założył galerię dla Camille. To jego jedyna córka, ma pięciu braci, ale wszyscy oni są jeszcze mali. Jest więc oczkiem w głowie tatusia. Kiedy byliśmy na uniwersytecie, ona zadawała się z grupą ludzi z dobrych domów, a ja ze swoją, z plebsem. Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Spotkaliśmy się kilka lat później, kiedy kończyłem doktorat. Jej ojciec był sponsorem cyklu wykładów uniwersyteckich i ona uczestniczyła w sesji inauguracyjnej. Zaczęło się od banalnego „zadzwoń do mnie, to może pójdziemy gdzieś na kawę”, a skończyło na tym, że zaczęliśmy ze sobą chodzić. Muszę przyznać, że Camille jest atrakcyjna i dość zabawna, trudno się z nią nudzić; zawsze ma coś do zrobienia i coś do powiedzenia. No i wejście w jej świat otwiera przed tobą wiele drzwi, trudno temu zaprzeczyć: łoża w operze, gale bokserskie w Monako, apartamenty w górach w Kitzbühel, dom letni w Antibes... Pociąga mnie duch cyganerii.

Alain przerwał, żeby nalać sobie wina. Czekałam cierpliwie, aż mi też naleje, po czym porządnie pociągnęłam. Miałam dziwne uczucie w żołądku, jakby Alain przeczytał brudnopis mojej historii. Tyle że chodziło o jego historię i on już znał finał.

Łyk, który pociągnął z kieliszka, też nie był mały.

– Po kilku latach chodzenia ze sobą powiedziałem jej, że wydaje mi się głupie, że odprowadzam ją co wieczór do domu, jakbyśmy mieli po piętnaście lat, a do tego jeszcze zawsze kończymy w jej łóżku; że mam dosyć tego, że połowa moich ubrań jest u niej w domu i że zbyt często muszę myć zęby szczoteczką, jaką dostajesz w hotelach, bo taką mi dawała. Zaproponowałem jej, żebyśmy zamieszkali razem i przestali zwracać sobie głowę konwenansami. Nie chciała. Mówiła, że jej rodzice są bardzo konserwatywni i że umarliby z żalu. No to pomyślałem sobie: „Kurwa, a ci rodzice to myślą, że co my robimy co noc w jej mieszkaniu? Oglądamy znaczki?”. No dobra, ale rozumiem, że państwo księżęta nie mogą się przyznać przyjaciołom, że jedna z Brianson-Lanzac żyje na kocią łapę jak zwykła dziewczyna z gminu, na dodatek z kimś takim jak ja. Wtedy Camille, taka figlarna, jak ją dzisiaj widziałaś, rzuciła: „Słuchaj, a może weźmiemy ślub?”.

Alain zrobił przerwę. Znowu wychylił kieliszek. Spuścił wzrok i w zamyśleniu przyglądał się obrusowi, jakby czegoś szukał pomiędzy bawełnianymi kwadratami.

– Nigdy wcześniej nie myślałem o małżeństwie. Życ z Camille trzeba na pełnej szybkości... Wtedy jednak zdałem sobie sprawę, że ją kocham. Skoro połowę swoich ubrań miałem u niej i codziennie myłem zęby pożyczoną szczoteczką do zębów, to dlatego, że nie byłem w stanie spędzać nocy bez niej, bo lubiłem być przy niej podczas kolacji i przygotowywać kawę dla dwojga na śniadanie. Więc się zgodziłem. I przypuszczam, że tym samym jeszcze bardziej rozczarowałem jej rodziców. Byłem w jej rodzinie jak oset pośród tulipanów. Ojciec uważał, że nie jestem wart jego córki, matka uważała, że okropnie się ubieram. Dla jej braci...



cóż, oni traktowali mnie serdecznie: mieli plebejskiego szwagra zamiast egzotycznej maskotki, można się świetnie bawić... Kurwa... – zakończył, uśmiechając się kpiąco. – W końcu pobraliśmy się wbrew wszystkiemu i wszystkim. Dziewięć miesięcy przygotowań, sześciuset zaproszonych gości i reportaże na dwie strony ze zdjęciami w „Paris Match”... I tak szybko jak balon został nadmuchany, wybuchł. Nasze małżeństwo trwało niewiele ponad sześć miesięcy.

Przypuszczam, że po wypowiedzeniu tego zdania został mu w ustach gorzki smak, bo znów sięgnął po butelkę wina. Jednak była pusta. Alain zamówił u kelnera następną.

– Rodzina zaczęła się wtrącać...? – zagadnęłam.

– Nie. To nie rodzina... zaczęła się wtrącać.

Kelner przyniósł następną butelkę, nalał nam i Alain wychylił kieliszek.

– Za dużo pijesz – zauważyłam. – Zjedz coś.

Podsunęłam mu pod nos kawałek Saint Marcellin na kromce chleba. Jak automat otworzył usta i zjadł go z mojej ręki, połykając niemal bez gryzienia.

– Początkowo wszystko szło dobrze – ciągnął po przełknięciu. – Jej ojciec nawet zostawił nam eleganckie poddasze na tyłach avenue Bosquet, żebyśmy się tam przeprowadzili. Ja zacząłem uczyć na uniwersytecie, a ona miała pracę w galerii. Wieczorami przy dobrej kolacji opowiadaliśmy sobie, co robiliśmy przez cały dzień, i kilka razy w tygodniu się kochaliśmy. Cóż, wcale nie mówiłem, że było źle. Czuję się szczęśliwy i wydawało mi się, że ona też. Może nawet była naprawdę szczęśliwa, nie wiadomo, Camille jest specyficzna. – Następną przerwę i następny łyk wina. Trzeba było dobrać odpowiednie słowa. – Pewnego dnia wstała, mówiąc, że nie pójdzie do pracy, bo się źle czuje, że boli ją głowa, plecy i nie wiem co jeszcze. Zostawiłem ją w łóżku z paracetamolem i poszedłem na uniwersytet, ale udało mi się zamienić kilka zajęć, żeby być szybciej w domu i nie zostawiać jej za długo samej. Kiedy wróciłem... Dalej była w łóżku... ale już nie z paracetamolem.

Może odruchowo opadła mi szczęka. Nie pamiętam za dobrze, jak zareagowałam. Staralam się zachowywać naturalnie, ale nie wiedziałam, co znaczy naturalnie w takiej sytuacji.

– Przynajmniej nie powiedziała mi: „To nie tak, jak myślisz”. Oczywiście, że było absolutnie tak, jak myślałem... Ale też nie usprawiedliwiała się przede mną, w ogóle nie starała się znaleźć żadnego usprawiedliwienia. W sumie koleś wydawał się znacznie bardziej zmieszany niż ona, kiedy wychodził z domu, dopinając spodnie. Camille tak naprawdę nie przywiązywała żadnej wagi do tego, co się wydarzyło.

– No ale co zrobiła? Co ci powiedziała?

– Nic. Weszła pod prysznic, włożyła dres i poszła na siłownię. Chciałem ją zatrzymać: „Camille, musimy porozmawiać”. Ale ona ucięła: „Teraz nie, *chérie*. Nie jestem w nastroju”. – Alain wruszył ramionami i znów wychylił kieliszek. – Chyba byłem w stanie zaakceptować potknięcie, każdemu może się zdarzyć chwila słabości... chyba. Może... Kurwa, ja ją kochałem! Jednak szybko zdałem sobie sprawę, że to nie było potknięcie. Facet ją rznął, albo ona jego, jeszcze przed ślubem. Należał do jej środowiska, wiesz? Był z tych, co to odwiedzają tatusia i mamusię, którzy grywają z braćmi w golfa, którzy mają fantastyczną karierę w UBS i rodzinne *château*. Zdałem sobie też sprawę, że jeśli nie wystąpię o rozwód, zrobi to ona.

– Nie zrozum mnie źle, ale skoro tak było, po co za ciebie wychodziła?

– Też zadaję sobie to pytanie. Nie wiem, może chciała pokazać ojcu, że robi coś wbrew jego woli, a może po prostu Camille taka jest, w każdej chwili musi żyć pełnią życia, również w małżeństwie... Aha, koleś ma na imię Jean-Luc. Z nim bierze ślub w sobotę.

– Teraz pojmuje... – Staralam się okazać zrozumienie, chociaż tak naprawdę myślałam sobie: „Ale historia!”

– Tak jest lepiej. Nie mówię ci, że to było przyjemne, ale pomogła mi odkryć, że nie

mógłbym być szczęśliwy z kobietą, dla której idea fantastycznej soboty sprowadza się do tego, żeby spędzić rano na siłowni, popołudnie w spa, a wieczór z przyjaciółkami; albo woli nie mieć dzieci, bo ciąża zniekształca ciało i dzieci za bardzo związują ręce. To prawda, że nie było fajnie spać z konia w taki sposób, ale...

– Mówią, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Tak mówią... Najgorsze jest to, jak długo odzyskujesz miłość własną. Powinny istnieć kliniki z sesjami terapii dla rogowców, naprawdę. Czujesz się żalony i wydaje ci się, że wszyscy uważają, że taki jesteś.

– Ja nie uważam, że jesteś żalony... jeśli ma cię to pocieszyć.

Miałam okropne wrażenie, że moje słowa brzmią pusto. Zdarzają się takie chwile, kiedy słowa wydają się zwykłym ciągiem głosek, jak pusta forma, i nie ma znaczenia, jak bardzo chcesz, żeby były szczere. Mimo to Alain uśmiechnął się do mnie; jego oczy zaczęły lśnić od wina.

– Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem. Jesteś pierwszą osobą, której to opowiadam... I naprawdę mam poczucie, że zrzuciłem z barków wielki ciężar.

Nie był pijany, ale wypił za dużo. Kiedy wyszliśmy z bistra, zostawiliśmy motor i poszliśmy spacerem do ulicy Montorgueil; powietrze było chłodne i pomogło mu dojść do siebie. Zostawiłam go w domu i poszłam do siebie: jego morale i głowa wymagały odpoczynku. Jutro będzie nowy dzień.

\*

## MAJ 1943

W 1943 roku 2775 skrzyń wyładowanych dziełami sztuki wyruszyło do Niemiec z Paryża, gdzie zostało ich jeszcze 400. Przez całą okupację Niemcy zrabowali francuskim Żydom ponad 20 tysięcy dzieł sztuki.

Georg obudził się z krzykiem i Sarah się przestraszyła.

Kiedy zdał sobie sprawę, że znajduje się we własnym pokoju, a nie przysypany ziemią na polu bitwy, uspokoił się. Siedząc na skraju łóżka, Sarah patrzyła na niego z niepokojem.

– Przepraszam... Przestraszyłem cię. To tylko zły sen. – Jak co noc.

Jednak teraz była tam ona. Georg chciał wyciągnąć rękę, żeby ją pogłaskać. Nie zrobił tego. Sarah wydawała się spięta i odległa – unikała jego wzroku i koncentrowała się na zapinaniu guzików bluzki.

– Co robisz?

– Minęła już godzina policyjna. Idę.

Georg patrzył na ostrą jasność poranka przeciskającą się przez szpary w oknie. Cholerny świt... Przesunął się w jej stronę, aż znalazła się w zasięgu jego ramion i mógł objąć ją w talii.

– Nie idź jeszcze. Zjemy śniadanie i zawiozę cię do domu.

Sarah położyła ręce na kolana i spuściła głowę, niemal dotknęła brodą piersi. Westchnęła.

– To nie tak... – wyznała.

„Nie tak?” Od trzech lat miota się pomiędzy śmiercią a bólem, cierpieniem a całym tym głównem. Ze wszystkich rzeczy, do których robienia zmusiła go ta cholerna wojna, ta była najlepsza.

– Co jest nie tak, Sarah?

Spojrzała na niego. Nie miała zamiaru wystawiać się, wyjaśniając to, co oczywiste.

– Nie możemy się więcej spotykać. Musisz przestać za mną chodzić. Musisz o mnie zapomnieć.

Georg podparł się i pocałował ją za uchem.

– Nie mogę... – wyszeptał. – Nie mogę o tobie zapomnieć...

Nie, nie, nie... protestowało jej sumienie, podczas gdy ona nie miała siły, żeby go usłuchać. Powoli odwróciła się w stronę Georga i wzięła jego twarz w ręce.

– Proszę... – prosiła, gładząc go po policzkach. – Nie rób mi tego. Pozwól mi odejść.

Georg pocałował jej ręce, po czym wstał. Włożył szlafrok i poszedł po aktówkę. Nie tracąc czasu na słowa, położył jej papier przed oczyma.

Najpierw zwróciła uwagę na orla nad swastyką, a poniżej podpis H. Himmler. Resztą były zaledwie cztery linijki tekstu na oficjalnym papierze biura RSHA w Berlinie; przeczytała.

– Teraz mi wierzysz? Mam zaledwie dwa tygodnie, żeby zawieźć Himmlerowi obraz i dostarczyć cię gestapo.

Sarah zwróciła mu papier, bardzo starając się trzymać w ryzach.

– Nie rób tego – tylko tyle jej przyszło do głowy.

– Nie robię. Ale mnie odwołają, przyślą kogoś innego na moje miejsce po obraz i po ciebie. Musisz uciekać.

Sarah najpierw pomyślała o Jacobie. Nie mogła wyjechać teraz, kiedy mieli go uwolnić: on jej potrzebował. Ale potem... potem przestała myśleć o Jacobie.

– A ty? Co będzie z tobą?

– Nie wiem. Ale w tej chwili to nie jest ważne. Dobrze mnie posłuchaj, Sarah, musisz wyjechać z Paryża.

Dla Sarah to było okropne. Nawet nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Opuścić Paryż? Ale dokąd iść...?

– Dokądkolwiek. Może do Hiszpanii.

Sarah pokręciła głową i westchnęła. Ogarnął ją smutek: opuszczone ramiona i przygarbione plecy.

– Nie przeszłabym przez pierwszą kontrolę. Matko boska, oni są wszędzie! Wy jesteście wszędzie...

– Ja tylko jestem myśliwym, który ma królowej wręczyć serce Śnieżki...

Sarah uśmiechnęła się. Porównanie wydało jej się zbyt miłe jak na tę nazbyt okrutną sprawę. Przypomniała sobie, jak poszła z rodzeństwem do kina zobaczyć ten amerykański film. A gdy to wspominała, wydało jej się, że w ciemnym pokoju pojawiają się jasne promienie...

– Tak... – zaczęła mówić z błyskiem przenikliwości w oczach – ale myśliwy znosi do królowej serce, które nie jest sercem Śnieżki...

Georg spojrział na nią bez zrozumienia.

– Co się wydarzy, kiedy przedstawiś obraz swojemu Reichsführerowi?

– Rozkazy są jasne, widziałas... – Rozmawiając z nią, Georg oszczędzał słowa.

– Mnie i tak aresztują – powiedziała za niego.

Chociaż Georg wzbraniał się przed przyznaniem, tak rzeczywiście miało być. Nerwowo podrapał się po brodzie.

– Nie wiem... Gdybym miał obraz, może sprawy by się jakoś inaczej ułożyły. Mógłbym próbować zyskać trochę na czasie...

Zyskać na czasie. Dla Sarah brzmiało to dobrze, bo gdyby tylko wyciągnęła Jacoba ze szpitala, mogliby uciec razem. A Georg... Georg nie będzie miał kłopotów ze swoimi.

– Ale Sarah... – spojrział na nią bardziej z niedowierzaniem niż z nadzieją – jesteś gotowa oddać mi obraz?

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego, a jemu wydało się, że ma najśłodszy uśmiech na świecie. Bo kiedy Sarah się uśmiechała, jej oblicze wyglądało bosko, miało w sobie coś niezmiernego. Każdy wysiłek wart był tego uśmiechu.

– Tego nie mogę zrobić. Tak naprawdę obraz nie należy do mnie, ja się nim tylko opiekuję. I nie mogę zdradzić wszystkich, którzy opiekowali się nim przede mną. Nie mogę zdradzić swojego ojca. Jeśli oddam ci obraz, jego śmierć nie będzie miała sensu. – Twarz Sarah spochmurniała.

Georg ujął jej brodę.

– Uśmiechnij się znowu.

I Sarah uśmiechnęła się.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Sturmbannführerze von Bergheim. W taki czy inny sposób zawsze byłam tego pewna. Ale wojna sprawiła, że stoimy po przeciwnych stronach... Tak czy inaczej, te papiery przypieczerowały mój los. Twój jeszcze nie. Z tym obrazem miałbyś szansę.

– Nie wiem, do czego zmierzasz – wyznał Georg, nie rozumiejąc, co oznaczają słowa dziewczyny.

I za to dostał następny uśmiech.

– Proponuję ci interes. Proponuję, żebyś zachował się jak myśliwy: zanieś królowej serce, ale nie Śnieżki. Zanieś królowej fałszywe serce.

Po drodze do Arbeitsgruppe Louvre Georg nie mógł myśleć o niczym innym: zanieść Himmlerowi fałszywego *Astrologa*. To wyglądało na kompletne szaleństwo!

Propozycja Sarah go sparaliżowała. Jakby na mózg wylało mu się wiadro wody i jego połączenia neuronowe zaczęły sypać iskrami. *Meine Ehre heißt Treu*. Honor i wierność obudziły

się jako pierwsze i major pomyślał, że to bezsensowny i nierealny pomysł. Ale potem zaczęły się przebijać uczucia skrywane na dnie szuflady po latach indoktrynacji, uczucia, które nadawały wartościom nową perspektywę.

Musiał mieć czas, żeby powoli przeanalizować ideę, żeby wyłuskać i ocenić za i przeciw, ryzyko i konsekwencje.

Da Sarah szansę, co do tego nie miał wątpliwości. Podsuwając obraz pod nos Reichsführera, mógł próbować go przekonać, że udział tej Żydówki jest niezbędny do odczytania tajemnicy.

Ale da też szansę sobie. Jeśli zdecyduje się na odejście, hańbę i niesławę oraz karę, przyjmie je na siebie, ale nie może zapomnieć o konsekwencjach, jakie będzie to miało dla Elsie i dzieci. Jeśli on popadnie w niełaskę, jego rodzina wraz z nim. Macki Rzeszy, Schutzstaffel i partii były bardzo długie i bestia nie zadowolili się pożarciem tylko części ofiary.

Jakie jednak istniało ryzyko, że odkryją tę farsę? Nikt nie widział obrazu, nikt nie wiedział dokładnie, jak została zaszyfrowana tajemnica. Być może specjalista mógłby odkryć fałszerstwo, ale to on był jedynym kompetentnym człowiekiem w tej materii, więc zadba o to, żeby nikt nie wtykał nosa w tę sprawę. Co do Himmlera, to tutaj nie powinno być kłopotów. W innych sprawach mógł być bardzo niebezpieczny, ale w sprawach sztuki, mimo że uważał siebie za erudyte, był ignorantem i ufał mu, dlatego wezwał go do swojego gabinetu. Podsuniecie mu fałszywego *Astrologa* będzie łatwe jak oszukanie dziecka.

Zanieść Himmlerowi fałszywego *Astrologa*... Dlaczego nie?

Kiedy dotarł do Arbeitsgruppe Louvre, odszukał Brunona Lohsego. Ten lepiej niż ktokolwiek inny znał szczyty i najgłębsze dno rynku sztuki w Europie; był jedynym człowiekiem, który mógł mu pomóc, i jedynym, któremu mógł zaufać.

Przed kilkoma miesiącami von Behr zostawił kierowanie ERR i Lohse przejął bardziej eksponowaną rolę w organizacji; nadzorował techników i specjalistów pracujących w Arbeitsgruppe Louvre, więc coraz trudniej było znaleźć go w biurze. Sekretarka powiadomiła Georga, że jest w Jeu de Paume, gdzie czuwa nad katalogowaniem kolekcji Davida-Weilla, ostatniego „nabytku” ERR.

Jeu de Paume znajdował się niedaleko pałacu Tuileries, na jednym z narożników placu Zgody, więc Georg postanowił udać się tam pieszo. W tym pawilonie składowano, fotografowano, inwentaryzowano i pakowano wszystkie dzieła sztuki przejęte przez ERR, po czym wysyłano je do Niemiec. W jego salach piętrzyły się dziesiątki zamkniętych skrzyń, pod ścianami stały setki obrazów – prawdziwe klejnoty – całe kolekcje książek, porcelany, szkła, dywanów i rzeźb wydawały się porzucone w oczekiwaniu niepewnego przeznaczenia. Georg często spędzał czas w Jeu de Paume, pomagając w pracach, które absolutnie przekraczały możliwości ERR: potrzebowali więcej historyków, więcej konserwatorów, więcej fotografów... krótko mówiąc, więcej specjalistów.

Zastał Brunona Lohsego z dwoma francuskimi fotografami: instruował ich, które dzieła z kolekcji Davida-Weilla sfotografować.

– Możemy chwilę porozmawiać na osobności? – zagadnął Georg.

– Jasne.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia, wykorzystywanego jako ciemnia.

– Co się dzieje? – Lohse nie potrafił ukryć naglącej ciekawości.

Georg od razu przeszedł do rzeczy.

– Potrzebuję dobrego fałszerza.

– Taaa... Ale teraz nie rozmawiajmy... Ściany mają uszy – wyszeptał Lohse. –

Spotkajmy się o czwartej we Florentinie.

Florentin mieścił się na jednej z ulic biegnących do placu du Tertre. Był to ciemny, klaustrofobiczny lokal, uczęszczany przez cyganerię z Montmartre'u, nostalgiczna reduta złotych czasów dzielnicy, kiedy inspirowała ona wielkich artystów, jak Degas, Matisse, Toulouse-Lautrec i Pissarro.

Lohse także był stałym bywalcem tego lokalu, dobijał tu wiele własnych interesów, z dala od ciekawskich i niepożądanych oczu.

We Florentinie podawali *guinguet*, białe wino, lekkie i kwaśne, robione z winogron rosnących na zboczach Montmartre'u. Georgowi wydawało się mało smaczne, chociaż mimo wszystko było to wino, więc zgodził się wypić z Lohsem butelkę.

– Nie mogę uwierzyć, że ty mnie pytasz o fałszerza. Wydawało mi się, że jesteś jedyną osobą choć odrobinę uczciwą, która została w Paryżu... – zażartował Lohse, zapalając papierosa.

Siedzieli przy stoliku w rogu sali i starali się nie mówić zbyt głośno, żeby nie zwracać uwagi Niemczyzną.

– Powiesz mi, o co chodzi, czy to ściśle tajne, jak wszystkie twoje sprawy?

Georg opowiedział mu tylko część historii. Mówił o zainteresowaniu Himmlera *Astrologiem*, chociaż nie wyjawiał mu powodów tego zainteresowania. Opowiedział mu też, dlaczego musi go sfalszować.

Lohse zaciągnął się papierosem i wypił łyk wina. Starał się zyskać na czasie, żeby zastanowić się nad tym, co Sturmbannführer mu opowiedział.

– Bardzo dziwny z ciebie facet, von Bergheim – podsumował. – Cieszysz się uznaniem w świecie sztuki, jesteś bohaterem wojennym i szanują cię u góry... Nie rozumiem, dlaczego ryzykujesz to wszystko z powodu jakichś Żydów, do których nic nie masz.

– Właśnie dlatego, że do nich nic nie mam, nie mogę zrozumieć tego bezinteresownego prześladowania ich. Ani ich lubię, ani nie lubię bardziej niż każdego innego człowieka, z którym zdarza mi się spotkać, dlatego nie mogę brać udziału w tym, co się dzieje.

– Ja też nie mam nic przeciwko nim... Ale, Georg, to system! Sprawy są takie, jakie są, a ty w nich bierzesz udział. Choćbyś nie wiem jak się buntował przeciwko wszystkiemu i przeciwko wszystkim, niczego nie zmienisz. Przeciwnie, system może zadziałać przeciwko tobie: oni nie tolerują zdrajców w swoich szeregach.

Georg zaczynał się niecierpliwić. Nie miał ochoty tracić całego dnia w tym miejscu na wałkowaniu jednego tematu.

– Nieważne, Lohse. Już o tym parę razy rozmawialiśmy. Ty masz swoją postawę, a ja swoją, żaden z nas nie zmieni zdania. I wcale nie mam zamiaru cię przekonywać, chcę tylko wiedzieć, czy jesteś gotowy mi pomóc czy nie.

Nie wypuszczając papierosa z ręki, Lohse zaczął się bawić stojącym na stole kieliszkiem wina. Zdał sobie sprawę, że kilka osób wyszło z lokalu i rozmowy stały się cichsze, dlatego starał się mówić szeptem.

– Łatwo nabrać tych z góry, bo oczywiście nie mają bladego pojęcia o sztuce i są na tyle aroganccy, że nigdy nie przyjdzie im do głowy zapytać specjalisty, zwłaszcza że ślepo wierzą każdemu, który twierdzi, że nim jest... Jaką chcesz fałszywkę?

– Szybką. Nie mam wiele czasu. Ale na tyle dobrą, żeby na pierwszy rzut oka uszła za autentycznego Giorgionego.

– Jutro jadę do Amsterdamu. Znam tam faceta, który ma wobec mnie pewne zobowiązania. Jest bardzo dobry, ale nietani, a już na pewno nie, jeśli ma być szybko...

– Możesz mi załatwić jakąś wymianę? – zasugerował Georg, myśląc o tysiącach obrazów składowanych w Jeu de Paume.

– Mogę... To fanatyk holenderskiego złotego wieku.

\* \* \*

Sarah starała się skoncentrować na słowach Carole Hirsch, ale nie potrafiła. Mdlilo ją przez cały dzień. Była zdenerwowana i napięta jak powierzchnia spokojnego jeziora, gotowa rozpaść się przy najmniejszym wstrząsie na koncentryczne fale. Czuła nieustanny skręt żołądka, wciąż zaciskała szczęki, odnosiła wrażenie, że lada chwila jej głowa eksploduje.

To przez Jacoba. Myśli o nim wzbudzały w niej nieprawdopodobną trwogę. Trwogę, że znowu go zobaczy, że będzie musiała stawić mu czoło, nie wiedząc, co ma zrobić ani powiedzieć.

Ale także z własnego powodu. Czuła się winna, niemoralna, brudna... a jednocześnie czuła się lekko, latała na białym obłoczku, który unosił ją ponad całą tę nędzę i obrzydliwością.

Starała się umniejszyć swoją winę, zrzucając ją na majora von Bergheima. Myślała o nim i chciała go nienawidzić, czuć do niego odrazę, gardzić nim... Kiedy jednak myślała o Georgu, czuła się tak, jakby balsam koił wszystkie jej rany. Kiedy myślała o Georgu, jej stężale rysy się rozluźniały w uśmiechu i poczucie winy znikało bez śladu; jeśli tylko nie przyzywała go w imię zasad, w których została wychowana.

– ...po raz pierwszy spróbujemy ucieczki tego typu – mówiła pielęgniarka do bladej i nieobecnej Sarah, która siedziała zatopiona w jedynym fotelu, starym i rozchwianym, w mieszkaniu ruchu oporu o kilka ulic od szpitala Rothschilda. – Zrobiliśmy to kilka razy z noworodkami: stwierdziliśmy zgon przy porodzie i wyciągnęliśmy je przez szpitalną kostnicę. Biedulki! Czasem musimy dawać im środki uspokajające albo kneblować je, żeby nie płakały...

Sarah przełknęła ślinę. Wszystko było tak śmiertelnie przerażające... Jak to możliwe, że życie znajduje się po drugiej stronie kostnicy? Jak ta kobieta mogła jej mówić, że Jacob wyjdzie ze szpitala zamknięty w trumnie, udając nieboszczyka? Jak mogli to robić z małymi dziećmi?

Carole Hirsch ujęła jej zimne dłonie.

– Proszę się nie martwić, mademoiselle Bauer, wszystko będzie dobrze – chciała uspokoić ją przyjaznym gestem.

Wszystko będzie dobrze? Sarah nie była taka pewna. A tym bardziej teraz...

\* \* \*

Jacob się modlił. Wypił bardzo mocną kawę i znowu się pomodlił. Myślał albo o Bogu, albo o Sarah, nie chciał myśleć o niczym innym.

Pielęgniarka postawiła parawan przy jego łóżku, który osłonił go przed spojrzeciami innych pielęgniarzy w sali. Zanim odeszła, odwróciła się do niego i uśmiechnęła porozumiewawczo, może nawet z żalem.

Światła szpitala zgasły po ogłoszeniu godziny policyjnej. Dźwięki stały się bardziej wyraźne i przygnębiające: krzyki bólu chorych, skargi konających, kroki strażników... W ciemności Jacob się bał. Znowu więc pomyślał o Bogu... i o Sarah.

Nie był w stanie powstrzymać drżenia, kiedy doktor Vartan w towarzystwie pielęgniarki podszedł do jego łóżka. Czuł się bardzo podniecony, kawa i strach nie pozwalały mu zapanować nad drżeniem rąk i zuchwy.

– Jesteś gotowy, Jacobie?

Chciał się odezwać, ale wydał z siebie tylko jakiś dziwny bulgot.

Nie wiedział, co go czeka. Doktor Vartan od kilku dni wstrzykiwał mu kokainę. „Musimy przygotować cię na śmierć”, żartował, ale Jacobowi nie wydawało się to śmieszne. Narkotyki wprawiały go w euforię, dawał mu energię, znosił ból, wprawiały go w dobry nastrój. Kiedy jednak mijało jego działanie, czuł się okropnie, miał całe ciało rozstrojone i był bardzo, bardzo

przygnębiony.

Co wydarzy się tej nocy, podczas której kokaina sprawi, że będzie wyglądał jak trup? A co wydarzy się potem? Może duża dawka naprawdę go zabije, ale jeśli nawet nie, to jak się będzie czuł po powrocie do żywych?

– Wypiłeś całą kawę? – chciał potwierdzić doktor Vartan, przygotowując zastrzyk: dokładnie 1,5 miligrama chlorowodoru kokainy na kilogram masy ciała.

Jacob skinął głową.

– Była bardzo mocna. – Głos mu drżał i się łamał.

– Tak ma być. Dzięki kofeinie mogę wstrzyknąć ci o jedną dawkę mniej.

Doktora martwiło wiele elementów tego planu ucieczki. Zabawa z narkotykami nie może być dobra. Nie przychodził mu jednak do głowy inny sposób na wprowadzenie Jacoba w stan katalepsji tak, żeby w oczach niedoświadczonych strażników wyglądał na nieboszczyka. Przed wszystkim chciał mieć pewność, że zastosowana dawka będzie daleka od śmiertelnej: jeden gram wstrzyknięty dożylnie mógł go zabić. Najbardziej wszakże martwiło doktora Vartana to, czego nie mógł kontrolować: jaki wpływ będzie miał narkotyk na Jacoba, kiedy już znajdą się poza szpitalem.

Przysunął strzykawkę do świecy, żeby spojrzeć na nią pod światło – kropelka wypłynęła przez czubek igły.

– Zwiążemy cię i zakneblujemy. Przed wejściem w stan katalepsji będziesz czuł wielkie podniecenie, więc musimy uważać, żebyś nie ściągnął na siebie uwagi strażników. Później zobaczysz, że nie jesteś w stanie się poruszać, najpierw będzie ci bardzo gorąco, a potem zimno, nie będziesz mógł otworzyć ani zamknąć oczu. Może przez cały czas będziesz świadomy, nie jestem pewien... Ale nie będziesz czuł bólu... Nie bój się, Jacobie, przez cały czas będę przy tobie.

Kiedy doktor Vartan mówił, pielęgniarka włożyła mu chusteczkę do ust i przywiązała mu ręce i nogi do prętów łóżka.

Lekarz usiadł obok niego, wziął go za rękę i odszukał niebieską ścieżkę jednej z żył, najwyraźniejszą na wysokości łokcia.

– No to naprzód, Jacobie. Zobaczymy się po drugiej stronie krat. – Uśmiechnął się.

Jacob odwrócił głowę. Kiedy poczuł ukłucie, pomyślał o Bogu... i o Sarah.

Po pięciu minutach zaczęło się podniecenie. Najpierw poczuł zimny pot i wielkie, wielkie gorąco, następnie serce zaczęło mu bić tak mocno, jakby chciało się wyrwać z piersi. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze i szybko pojawiły się pierwsze konwulsje. Chociaż był przywiązany do łóżka, pobudzenie było takie, że przy każdym szarpnięciu poruszał materacem i zagłówkiem.

Wszystko zaczęło przyspieszać, konwulsje się wzmacniały, bicie serca stało się nie do zniesienia. Wydawało mu się, że kości się rozerwą, organy wypłyną przez usta... Jacob myślał, że wybuchnie. Wtedy nagle wszystko ustało. Jak urządzenie, które nagle zostało odłączone od prądu, Jacob opadł sparaliżowany, jego ciało było sztywne jak kij. Stopniowo jego świadomość stawała się coraz słabsza, jakby zapadał w niespokojny sen, w którym słyszał wokół siebie pomieszane głosy, w którym wydawało mu się, że wcale nie śpi, choć nie mógł się poruszyć ani mówić, choć nic nie czuł...

– Szybko, mamy niecałą godzinę, zanim wejdzie w stan nadpobudzenia.

Doktor Vartan zaczął odwiązywać Jacoba. Pielęgniarka wyciągnęła mu chustkę z ust, struga śliny spłynęła z kącików.

– Doktorze...

– Proszę się nie martwić, ślinotok, to normalne, to wpływ kokainy. Proszę zamknąć mu usta i je wytrzeć.



– Powieki też mam mu zamknąć?  
– Nie. Szeroko otwarte i wytrzeszczone oczy są bardziej przekonujące... Jego temperatura jest zbyt wysoka, musimy przyłożyć mu zimne kompresy.  
Pielęgniarka była gotowa wykonać polecenia doktora Vartana.  
– Nie, proszę to zostawić, ja to zrobię. Pani niech idzie po nosze. Musimy go stąd jak najszybciej wyciągnąć.  
Metaliczne skrzypienie kręcących się kółek, stare żelastwo, źle nasmarowane. Szepty w salach. Przyspieszone oddechy, ale nie jego, jego pierś nie poruszała się przy oddychaniu.  
Wszystko wydawało się pomieszane i nierealne, jakby został uwięziony we własnym ciele, stalowy całun, w którym dudniły zewnętrzne odgłosy.  
– Dokąd idziecie z tym człowiekiem? Nie możecie wyjść z sali bez pozwolenia.  
– On nie żyje. Przyszedłem stwierdzić zgon i zanosimy go do kostnicy.  
– Proszę odsłonić prześcieradło!  
– Patrz, Fournier, to ten jednooki... I mówi pan, że kopnął w kalendarz? Rano był taki wesolutki, łąził po ogrodzie.  
– Kurwa... wygląda na to, że nie żyje.  
– Zgaś mu peta, Fournier, zobaczmy, czy się obudzi...  
Jacob chciał się skrócić na noszach, ale jego ciało nie reagowało. Przypalili go papierosem? Czy to zrobili? Nic nie czuł. Nic nie słyszał.  
– Śmierdzi spalonym mięsem! I w ogóle się nie rusza, popatrz no! Facet jest trupem...  
– Ohyda! Zabierajcie go, szybko!  
– Mówiłem wam, że on nie żyje...  
– No zabierajcie go stąd wreszcie!  
Jacob znowu stracił świadomość.  
Obudził go głos Sarah. To był głos Sarah. Był. Gdzie się znajdował? Dlaczego już jej nie słyszał? Sarah. Sarah. Sarah...  
– Co ta kobieta tu robi, mademoiselle Hirsch?  
– Wydawało mi się, że to może być dobry pomysł...  
– Proszę wyjść z pokoju, mademoiselle Bauer... Nie powinna tu pani być. Nie teraz. Sarah. Sarah. Mów do mnie, Sarah. Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie...  
– Nie powinna tu była przychodzić. Kiedy on się obudzi, to nie będzie przyjemny widok.  
– Przepraszam, myślałam, że...  
– Trzeba przygotować zastrzyk z tiopentalu.  
– Jak się udało? Jakież problemy?  
– Nie. Dwóch sadystów na straży w sali. Myślałem, że tylko Niemcy są okrutni. Widzisz te przypalenia przy ustach?  
– Są świeże...  
– Papieros. Chcieli sprawdzić, że naprawdę nie żyje.  
– Bydlaki...  
– W kostnicy wszystko załatwiliśmy bardzo szybko i zgodnie z planem. Strażnik niczego nie podejrzewał. Nawet nie zwracał na nas specjalnej uwagi, więc włożyliśmy ciało do karetki i przywieźliśmy tutaj. Przejechaliśmy przez jeden punkt kontroli, ale nas nie zatrzymali. Przez chwilę wydawało mi się, że to zrobią; ostatnio nie przepuszczają nawet karetkom podczas godziny policyjnej. Tak, wszystko poszło niepokojąco dobrze...  
– To niesamowite... Naprawdę wygląda na trupa: kolor skóry, rozszerzone źrenice, zaciśnięte szczęki... Nie wyczuwam pulsu i wydaje się, że nie oddycha...  
– Mam nadzieję, że nie umarł naprawdę... Przysuń mi światło, żeby widział, gdzie kłuć.

Minęły ponad dwie minuty od wstrzyknięcia tiopentalu, ale Jacob nie reagował. Dalej leżał nieruchomo, bez wyrazu, w letargu. Dalej był martwy.

Doktor Vartan zaczął się bać, że coś poszło nie tak, że kokaina zabiła Jacoba.

Carole Hirsch patrzyła na niego, jakby czytała w jego myślach i dzieliła je z nim – Jacob za długo się wybudzał.

Dwie minuty. Jeszcze tylko dwie minuty i zaczniesz mu robić masaż serca.

Wtedy silny wstrząs przebiegł ciało Jacoba.

Nagle zobaczył, że jego ramiona i nogi gwałtownie się poruszają, że nie może ich kontrolować. Poczuł, że pot zalewa mu twarz. Znowu brakowało mu powietrza, a serce było na skraju eksplozji. Skurcze ogarniały szyję i plecy; myślał, że odpadnie mu głowa. Zemdliło go i wymiotował.

– Szybko! Musimy położyć go na boku, żeby się nie udusił! Trzymaj go mocno...!

Rzucili się do niego. Złapali go za ręce i nogi. Unieśli mu głowę.

– Spokojnie, Jacobie, już jesteś bezpieczny. Już po wszystkim. Spokojnie...

Jacob chciał krzyknąć, ale nie mógł przestać wymiotować. To było przygnębiające; był pewien, że wyrzyga żołądek.

Kiedy na chwilę wymioty ustały, Jacob nabrał powietrza i wyrzucił z siebie jedyną rzecz, która mu została w środku:

– Saraaaaaaaaaaaaaah!

Sarah usłyszała, jak krzyczy jej imię po drugiej stronie drzwi. Opadła na podłogę, zwinięta w kłębek, i zasłoniła sobie uszy rękoma. Mimo to słyszała spazmy i dyszenie, wymioty i kaszel... Słyszała każdy dźwięk agonii Jacoba, a w końcu jego zatrważający krzyk.

Jednak nie ruszyła się z miejsca, dalej obejmowała kolana, z mocno zaciśniętymi powiekami. Bała się. Bała się, że znowu go zobaczy.

Widziała go zaledwie przez chwilę; ta żalosa chwila wystarczyła, żeby ją przerazić. Patrzyła na jego woskową, stężałą twarz... na jego martwe oblicze i czarną dziurę po oku.

Jacob wydał jej się potworem. A teraz krzyczał, jakby rzeczywiście nim był.

Od kilku chwil zza drzwi nie dobiegały żadne głośne dźwięki, jedynie szmery głosów doktora Vartana, mademoiselle Hirsch i pielęgniarki. Sarah nie wiedziała, co jest dla niej bardziej przerażające, czy te chwile cierpienia Jacoba czy godziny ciszy.

Drzwi się otworzyły i Sarah uniosła głowę: Carole Hirsch patrzyła na nią z uśmiechem na milej twarzy.

– Proszę za mną, mademoiselle Bauer. Już może pani wejść.

Jacob leżał w łóżku. Miał spokojne oblicze, a jego oddech był równy. Spał.

Założyli nowy opatrunek na jego pusty oczodół i opatrzili oparzenie przy ustach. Ogolili go i ubrali w czyste rzeczy.

„To Jacob – powiedziała do siebie Sarah – to nie trup ani potwór. To Jacob”.

Powoli wyciągnęła rękę do jego twarzy; obawiała się go dotknąć, żeby obraz nie rozplynął się jak dym. W końcu położyła dłoń na jego ciepłych i gładkich policzkach.

– Jacob... – wyszeptwała.

Dzięki magii jej głosu Jacob uniósł powiekę. Gdy tylko ją zobaczył, uśmiechnął się.

– Sarah...

Spróbował się podnieść, żeby jej dotknąć, ale czuł się zbyt zmęczony. Zadowolili się przytuleniem policzka do dłoni Sarah i patrzeniem na jej piękną twarz.

– Sarah... nie płacz... Już tu jestem... Zajmę się tobą jak kiedyś, Sarah. Zawsze będą się tobą opiekował...



## NASTĘPNA KRADZIEŻ

O dziewiątej rano przyszedłam do Francuskiej Biblioteki Narodowej, do wystawnego i awangardowego budynku Le site François-Mitterrand, z czterema narożnymi wieżami otwartymi jak szklane książki. Ponieważ o tej porze Alain miał ćwiczenia ze studentami, zajęłam się poszukiwaniem informacji o fałszywym Giorgionem.

Gdy skończyłam, zebrałam materiał, owoc trzech godzin intensywnej pracy – tych, które mi zostały po przejściu przez kontrolę i poproszenie o dostęp do sal i dokumentów. Mieliśmy się spotkać o drugiej w kawiarni uniwersyteckiej, żeby zjeść coś na szybko.

Kiedy jednak spotkałam się z Alainem, wszystko to zeszło na drugi plan. Coś się wydarzyło tego dnia rano i nie mogłam się doczekać, żeby mu to opowiedzieć. Nie wiedziałam jednak, że on też ma coś ważnego do opowiedzenia, i był w tym szybszy niż ja. Zbliżając się do mnie, już z daleka zagadał:

– Właśnie rozmawiałem z Camille... Kurwa, była w hysterii. Najwyraźniej wczoraj, po wyjściu z galerii, kiedy zabierała samochód z parkingu, jacyś kolesie postraszyli ją nożem i okradli.

Słuchałam Alaina uważnie, a jednak nie byłam zaskoczona. Obawiałam się, że coś takiego może się wydarzyć.

– Zabrali jej tylko magnetofon i taśmę z wywiadem z baronem.

Bez słowa otworzyłam torebkę, wyciągnęłam telefon, przeszłam do skrzynki z odebranymi wiadomościami i pokazałam mu ostatnią.

Alain zaniepokoił się moim zachowaniem, które nie miało nic wspólnego z tym, co mi właśnie opowiedział. Zbity z tropu wziął komórkę i spojrzał na nią. W jednej chwili jego mina się zmieniła.

– Georg von Bergheim?... Ja pierdołę... I co pisze?

Przetłumaczyłam mu niemieckie zdanie:

– „Ostrzegalem panią. Teraz idę na całość. Oni też”... Mniej więcej tak.

– Oni? PosenGeist?

– A któż by inny?

Alain westchnął ze wzrokiem utkwionym w ekran telefonu.

– To jasne, że idą na całość: idą po ciebie, po Antona, po Camille... i po każdego, kto się zbliży do *Astrologa* – podsumował i w jednej chwili oddał mi telefon.

– Jak możesz przypuszczać, gdy go dostałam, włosy stanęły mi na głowie... – Alain uśmiechnął się na ten przejaw mojego dobrego humoru. – Chcę, żeby zostawił mnie w spokoju – stwierdziłam, kiedy siadaliśmy przy jednym ze stołów w kawiarni. Chociaż stawiałam czoło strachowi inaczej, nie mogłam zaprzeczyć, że jestem przestraszona.

– Obawiam się, że dopóki nie zostawisz tej sprawy, nie odczepi się.

Alain zamyślił się.

– Powinien wiedzieć, że nie jesteś sama... – powiedział po kilku sekundach. – Pokaż mi tę wiadomość jeszcze raz.

Nie za bardzo rozumiałam, dokąd zmierza, ale wyciągnęłam komórkę i podałam mu ją. Siedząc obok niego, patrzyłam, jak naciska klawisz odpowiedzi i zaczyna pisać po francusku: „Mam kopię dziennika i nagrania. Przyjdź po nie, skurwielu. Alain Arnoux”.

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

– Nie musisz tego robić. Nie musisz się wystawiać, żeby go prowokować. Nawet wolę, żebyś tego nie robił.

– Musimy dokładnie się dowiedzieć, kim jest, Ano. Zmusić go do wyjścia z cienia. Co to za facet, który węszy wokół ciebie, który atakuje każdego, kto się do ciebie zbliży, ale ciebie nawet nie dotknie? Co to za psychopata, który cię osacza, a jednak cię szanuje i strzeże? Jakie znaczenie ma w tym wszystkim PosenGeist...? Nic nie wiemy i to nas pewnie ma bardziej wystraszyć.

– Nie wiemy też, do czego jest gotowy się posunąć. Trzeba bardzo uważać, Alain. On sam to powiedział: to nie jest zabawa. I uwierz mi, że nie jest, miałam okazję sprawdzić to osobiście.

– Dobra, niech się dzieje, co chce, ja też w tym biorę udział, ze wszystkimi konsekwencjami. Jesteśmy w tym razem, pamiętasz?

W końcu się do niego uśmiechnęłam, chociaż sztywno.

– Myślę, że zwariowałaś... Ale dziękuję.

I Alain nacisnął guzik, by wysłać wiadomość.

\*

## CHOLERNY GĄSZCZ NITEK

Wznowiliśmy poszukiwania w nie najlepszych nastrojach przy dwóch cappuccino przyniesionych ze Starbucksa. Pomiędzy nimi położyłam kopie kilku artykułów z francuskiej prasy i jeden z magazynu specjalizującego się w sztuce – materiały, które zebrałam tego rana.

– Wszystkie artykuły mówią mniej więcej to samo, co powiedział Camille baron von Thyssen – wyjaśniałam. Na koniec pokazałam Alainowi artykuł z magazynu o sztuce: był to specjalny numer poświęcony wielkim fałszerstwom wspominający Giorgionego Himmlera. – Ten jest najbardziej kompletny, bo traktuje rzecz z punktu widzenia technicznego.

Alain przerzucił artykuł.

– Z tego, co tu mówią, falsyfikat był bardzo dobry...

– Tak. To samo powiedział baron. To był bardzo starannie wykonany falsyfikat. Przy analizie pigmentów potwierdzono, że te użyte były takie jak renesansowe i zwykle używane przez Giorgionego, jak szkarłat wenecki, azuryt, grynspan i żółta ochra. Wszystkie je otrzymywano z substancji naturalnych. Nawet olej był taki, jak wyrabiany w środowisku malarzy weneckich, co sam Giorgione ulepszył – do przygotowywania mieszanki wykorzystywał mniej ołowiu i więcej wosku, dzięki czemu otrzymywał farbę gwarantującą większą szybkość wykonania, bo lepiej się smarowała.

– No to odkryli, że jest fałszywy? Wykonanie, płótno...

– Nie. Wykonanie było dobre, obraz bez problemu został uznany za Giorgionego po analizie ekipy konserwatorów z Galerii Akademii Weneckiej. Pojawiły się jedynie wątpliwości co do tego, czy nie chodzi o Tycjana, jak to zwykle. Płótno też przeszło badanie rentgenowskie: była to tkanina naturalna, płótno lniane, jakie mógł wykorzystać każdy malarz z piętnastego wieku.

Alain spojrzał nad krawędzią kubka parującej kawy z pytaniem w uniesionych brwiach.

– Zagęszczacz farby – odpowiedziałam – syntetyczna żywica fenolowo-formaldehdowa, która nie mogła być renesansowa, bo zaczęto ją produkować na początku dwudziestego wieku.

Skinął głową zamyślony, ze wzrokiem utkwionym w kopii artykułu.

– Dlaczego więc ktoś, kto zadał sobie tyle trudu i przyłożył tyle wagi do szczegółów, popełnił tak oczywisty błąd...?

– Ja też zadaję sobie to pytanie i nasuwają mi się dwie odpowiedzi: albo nigdy nie przyszło mu do głowy, że ktoś będzie robił analizę pigmentów, więc zwracał uwagę tylko na takie szczegóły, które wpływały bezpośrednio na wygląd obrazu, albo bardzo się spieszył, a żywice syntetyczne pozwalają na wyschnięcie farby szybciej, niż wysychają klej albo żywice naturalne.

– Przypomina mi to przypadek Hana van Meegerena – powiedział Alain.

– Hana van Meegerena?

– Słynnego holenderskiego fałszerza. Jego specjalnością był Vermeer. Wypuścił na rynek kilka jego obrazów, które krążyły jako autentyki, niestety miał pecha, że jeden trafił w ręce Göringa. Po wojnie oskarżono go o wyprzedanie holenderskiego majątku narodowego nazistom, więc żeby uchronić się przed więzieniem, wołał wyznać, że Vermeer Göringa jest fałszywy. Sąd powołał specjalną komisję ekspertów mających dowiedzieć, że dzieło rzeczywiście jest sfalszowane. Van Meegeren był bardzo drobiazgowym fałszerzem, dbającym o materiały i wykonanie, ale też go zdradził zagęszczacz, przypadkiem żywica syntetyczna... jak w przypadku naszego Giorgionego.

– Chcesz powiedzieć, że...? – Przerwał mi dzwonek komórki. – To Konrad. Przepraszam

na chwilę...

Wysłałam z gabinetu Alaina, żeby porozmawiać.

– Cześć, Konradzie...

– Cześć, *meine Süße*! Możesz teraz rozmawiać?

– Tak, słucham...

– Wszystko w porządku, prawda?

– Nie, naprawdę...

– Dobrze, zajmę ci tylko chwilę. Chciałem ci powiedzieć, że jednak nie będę mógł przyjechać w ten weekend, bardzo mi przykro, *meine Süße*, ale w czwartek przyjeżdża jeden Japończyk, potencjalny inwestor w pewne sprawy... Nie będę cię zanudzać, bardzo mi zależy na złowieniu kasy tego gościa, więc chciałbym być w Madrycie, kiedy przyjedzie. Rozumiesz, prawda?

Konrad wyrzucił to przemówienie bez przerwy na oddech, w swoim zwyczajowym stylu geniusza marketingu osobistego: bardzo zabawnie, bardzo niejasno, bardzo Konradowsko. Nie przyszło mu do głowy zastanowić się, czy go rozumiem czy nie, nie wiem też, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Znow grożono mi przez telefon i ukradziono taśmę z nagraniem barona von Thyssena – udało mi się dokończyć zdanie tak, że Konrad mi nie przerwał.

– Pieprzony von Bergheim! Ten pierdolony kutas jest niezmordowany...

– Von Bergheim albo PosenGeist... Nie wiemy tego.

– Nie, oczywiście, oczywiście. Cóż, dobrze chociaż, że ty już masz informację. Chodzi o to, żeby się dowiedzieć, kto chce nam sprzątnąć odkrycie.

– Alain już...

– Muszę kończyć, *meine Süße*, przepraszam. Wchodzę na zebranie. Porozmawiamy wieczorem, zgoda?

– Tak... jasne. Wieczorem...

Wyłączyłam telefon i wróciłam do gabinetu. Alain stukał w klawiaturę laptopa.

– Odświeżałem sobie historię Hana van Meergerena – poinformował mnie. – Nie uwierzysz, jego żywica syntetyczna też była fenolowo-formaldehydowa, jak mówi, Albertol, marka z tamtych czasów. Przypadkiem ta sama marka, której użyto przy fałszowaniu Giorgionego. Tutaj jest napisane... Albertol...

W pewnej chwili przestałam słuchać Alaina. Nawet przestałam widzieć to, co znajdowało się za oknem, przez które patrzyłam. Potrzebowałam chwili i przestrzeni dla siebie i swojego rozczarowania, cała reszta znikła.

Nie pierwszy raz Konrad coś odwoływał. Przynajmniej był na tyle uprzejmy, że nie narażał mnie na czekanie pod jego drzwiami z pomalowanymi ustami i w butach na obcasie; uprzedził mnie z dość sporym wyprzedzeniem. Ale Konrad taki właśnie był: w jego skali priorytetów praca zajmowała pierwsze miejsce, a ja, przy dużej dozie szczęścia, znajdowałam się zaraz za nią. To zaakceptowałam w nim niemal od razu, bez żadnych problemów – może uważałam to za wadę, którą kompensowały zalety, jak na przykład to, że ode mnie też nie wymagał, żebym stawiała go na pierwszym miejscu mojej listy. Tym razem jednak odebrałam to źle, bardzo źle. Po wszystkim, co się wydarzyło... Patrzyłam na Konrada przez inne okulary, coraz mniej różowe, a coraz bardziej czarne. Poza tym, mimo że chciałam uchodzić za twardą, byłam bardzo wrażliwa. Nie lubiłam zostawać sama w apartamencie, a on prawie nie dopuścił mnie do głosu, żeby pozwolić mi poprosić go o wspólny weekend. Czułam się rozczarowana i niemal zaatakowana, poza tym przekonałam się, że Konrad porzucił mnie w bardzo niemiły sposób...

– Wszystko w porządku?

Dopiero usłyszawszy jego głos, przypomniałam sobie, że jest tam Alain, i zdałam sobie sprawę, że wstał z krzesła, podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu.

– Tak... Tak. Przepraszam, zamyśliłam się.

Zmarszczył czoło i spojrzał na mnie. Natychmiast chciałam się osłonić przed ciemnymi chmurami zapowiadającymi deszcz pytań, ale powstrzymałam się.

– Na pewno wszystko w porządku?

Nie miałam nic przeciwko temu, żeby jego spojrzenie było złotym światłem podczas burzowej nocy. Nie chciałam nawet zadawać sobie pytania, czy jego ramię będzie dość szerokie i miękkie, żeby się na nim wyplakać, na pewno takie było. Wiedziałam, że jeśli spróbuję pomieszać Konrada z Alainem, wyjdzie z tego śmierdząca i wybuchowa mieszanka; nie chciałam eksperymentować z taką chemią. Zdawałam sobie sprawę, że jestem w takim nastroju, że mówienie Alainowi o moim stosunku do Konrada byłoby jak przynoszenie pracy do domu, jak chodzenie po lesie w szpilkach albo zaczynanie wakacji od przeziębienia.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Tak... Jasne. – Wzięłam się w garść i próbowałam wrócić do rzeczywistości. –

W porządku, gdzie to byliśmy?

Na stole dalej leżały artykuły prasowe i laptop ze stroną internetową na temat Hana van Meegerena.

– Ja byłem w Holandii. Ty... nie wiem.

Był wytrwały, a ja nieugięta. Nie mogliśmy sobie pozwolić na stratę kolejnego popołudnia na sesję wzajemnej psychoanalizy. Zatem zignorowałam jego komentarz.

– No to będziesz mi musiał wyjaśnić, jak dotarłeś do Holandii, bo ja się zgubiłam.

Alain zawahał się.

– Idąc za syntetycznym utwardzaczem, myśląc, że może van Meegeren jest naszym fałszerzem: są pewne zbieżności.

Nie, nie, nie, nie, nie. Nie chciałam dać się w to wciągnąć; nie chciałam się kręcić wokół fałszywego Giorgionego, bo z każdym kółkiem, które robiłam, oddalałam się od prawdziwego. Tak naprawdę, im bardziej zbliżaliśmy się do *Astrologa*, tym byliśmy od niego dalej.

Westchnęłam. Potarłam skronie. Przygryzłam usta. Zrobiło mi się gorąco; czułam się niezręcznie i byłam rozdrażniona. Chwytając się za głowę, jakbym miała ją zaraz stracić, stanęłam przed Alainem.

– Gdzie jesteście?

On spojrzał na mnie, nie rozumiejąc. Wydawało się, że myśli: „Przecież ci mówiłem, w Holandii”. Ale to nie była odpowiedź na moje pytanie.

– Od kilku miesięcy ciągle podróżuję i już nie wiem, gdzie jestem. Od kilku miesięcy podróżuję, a wydaje mi się, że niepostrzeżenie trafiłam do punktu wyjścia. To przygnębiające. To tak, jakbym znalazła się w labiryncie: choćbym nie wiem jaką wybrała drogę, nigdy nie docieram do wyjścia. Dokumenty, archiwa, biblioteki, wywiady... Po co to było? Dalej nic nie mamy. Tylko telefony w pogrózkami...

Może dlatego, że telefon Konrada zadziałał jak środek wymiotny i dał mi niejaki dystans do tego, co robię; może dlatego, że popsuł mi się humor i widziałam wszystko w czarnych barwach; może przez rozmowę z Konradem, a może nie – prawda była taka, że byłam absolutnie przygnębiona, jakby ten pokój stawał się coraz mniejszy i jak Alicję w Krainie Czarów jego ściany mnie przytłaczały, a sufit miażdżył mi głowę. I podczas gdy pokój robił się coraz mniejszy, obraz stawał się ogromny, nieogarniony, nieosiągalny i nierealny, ulatniał się jak gaz, wyslizgiwał się jak galareta spomiędzy palców, umykał mi. Nieważne, jak wiele czasu, wysiłku



albo zgryzoty i nieprzespanych nocy mu poświęcałam, obraz wciąż mi umykał.

– Chyba... chyba więcej nie dam rady... Jestem całkowicie zablokowana.

Zaczęłam odczuwać narastające przygnębienie, potrzebę ucieczki, krzyku, a nawet wyjścia na świeże powietrze.

Alain stanął za moimi plecami. Masował mi szyję i ramiona.

– Jest dobrze... Rozluźnij się...

Odrzuciłam głowę do tyłu i oparłam ją na jego brzuchu.

– To jest jak szukanie igły w stogu siana... Nie, gorzej. Nigdy go nie znajdziemy. To cholerny gąszcz nitek, coraz bardziej poplątanych. I nie wiem, za którą pociągnąć...

Alain nachylił się nad moją twarzą – jego odwrócona twarz była kubistycznym portretem, który w połączeniu z jego głosem miał hipnotyczne, odrobinę surrealistyczne działanie.

– Zapomnij o wszystkim, Ano...

Jego palce masowały moje ramiona...

– Zapomnij o fałszerstwie, o hermetyzmie, o Akademii Florenckiej, o nazistach...

...masowały moją szyję...

– To tylko nitki, które znajdowałaś w kosmyku...

...kark...

– Oddziel je wszystkie... powoli... ostrożnie...

...brodę...

– I wybierz tylko jedną... Pociągnij ją...

Masaż zatrzymał się na moich policzkach, które zostały zamknięte w jego wielkich dłoniach.

– Co jest na końcu nitki, Ano?

Delikatnie pokręciłam głową.

– Bauerowie – sam odpowiedział. – Ty to powiedziałaś na samym początku: *Astrologa* zawsze mieli Bauerowie. Dlatego ja tu jestem.

\*

## *I'M NOT IN LOVE*

Z gramofonu Alaina płynęła *I'm Not in Love* 10cc z szumem winylowej płyty. Delikatna i wolna muzyka, półmrok i alkohol uspiły mnie. Wsparłam głowę na oparciu kanapy.

– Kim byli Bauerowie? – zapytałam Alaina, nie przestając kręcić szklanką w rękach; lód ślizgał się po listkach mięty, torował sobie drogę w lepkich falach rumu i limonki.

– Alfred Bauer był właścicielem jednej z największych fabryk tekstylnych w Alzacji. Odziedziczył interes po swoim teściu, Hansie Zimmermannie, Żydzie. Alfred nie był żydem z urodzenia. Był niemieckim katolikiem z Getyngi, ale po pierwszej wojnie światowej ożenił się z jedyną córką Zimmermanna i przeszedł na judaizm. Małżeństwo miało troje dzieci: Ruth, Sarah i Petera... – Alain dopił swoje mojito i lód brzęczał w szklance, kiedy odstawiał ją na podłogę. – To była jedna z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin w Strasburgu. Kiedy Niemcy zaanektowały Alzację, Bauerowie w odróżnieniu od większości żydowskiej społeczności miasta zdecydowali się nie uciekać. Przypuszczam, że Alfred Bauer wierzył, że jego katolicka przeszłość i narodowość niemiecka będą go chronić; do tego był weteranem niemieckiego wojska i walczył w pierwszej wojnie. Na nic mu się to zdało... W dniu, w którym von Bergheim przejął kolekcję, gestapo zabrało Alfreda Bauera. Zmarł w więzieniu... Oczywiście nie ma tego w żadnym oficjalnym dokumencie, ale prawdopodobnie nie wytrzymał przesłuchania.

Spojrzenie Alaina zgasło.

Wyobrażałam sobie odpowiedź, ale i tak zachęciłam go, żeby kontynuował:

– Co się stało z resztą rodziny?

Długie spojrzenie, przeciągłe westchnienie... Nikt nie lubi przynosić złych wiadomości, nawet z dawno minionych czasów.

– Wywieźli ich. Do Auschwitz. Żona i młodsza córka zginęły w komorze gazowej. Chłopca zawieźli do Treblinki, gdzie zaraził się tyfusem i zmarł na krótko przed wyzwoleniem obozu przez Rosjan... To ohydne... Mam dosyć grzebania się w dokumentach z obozów koncentracyjnych, mam dosyć czytania okropieństw, oglądania całych rodzin zamordowanych w okropny sposób, mam dosyć poszukiwania spadkobierców pośród popiołów krematoriów, pośród kości w zbiorowych mogiłach... Ale to i tak na nic; przy każdym nazwisku, każdym numerze, każdym mężczyźnie, kobiecie albo dziecku... ściska mnie w gardle i zbiera mi się na wymioty.

Uniosłam się, by podać mu swoje mojito. Przy okazji pogłaskałam go po mrocznej twarzy. Alain przytrzymał moją szklankę i rękę. Potem zgodził się napić.

– Bardzo ładne jest to, co robisz – wyszeptalam. – Szukać ludzi, żeby zwrócić im pamięć, majątek, honor...

– To pretensjonalne i głupie chcieć zwrócić życie, jakbym był jakimś bogiem – uśmiechnął się, skrywając uśmiech w mojej dłoni.

– To szlachetne. Poświęcasz swój czas i swoją wiedzę szlachetnej sprawie i w zamian niczego nie oczekujesz... Musisz mieć w sobie sporo z idealisty.

Niesamowite było spotkanie kogoś takiego. W świecie Konrada, w moim świecie, wszystko miało cenę, nawet miłosierdzie. A Alaina, przeciwnie, ofiarowywał się za darmo.

Nagle wydało mi się obrzydliwe, że Konrad chce Giorgionego tylko dla siebie, żeby zwiększyć swój prestiż, swój majątek, zaspokoić własną próżność i... ogromne ego. Poczulałam się niezręcznie, jakby przez okno wpłynął nieprzyjemny zapach, jakby muzyka 10cc brzmiała fałszywie, jakby ktoś opryskał egoizmem idealizm Alaina.

– Dlaczego marszczysz brwi? – zauważył Alain. – Nie jest dobrze marszczyć brwi, gdy

mówisz takie ładne rzeczy... Podobają mi się to, co powiedziałaś... Dzięki. – Przesunął kciuk pomiędzy moimi zmarszczonymi brwiami i jedną pieśczęcią odpędził złe duchy: pokój znowu pachniał wodą kolońską Alaina, 10cc znowu zaśpiewali *I'm Not in Love*, a ja pozwoliłam się ponieść ciepłej i przyjemnej senności.

– Dopij moją szklankę... zaczynam zasypiać – poprosiłam, znowu kładąc głowę na oparciu kanapy.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczyłam przed zaśnięciem, były usta Alaina ocierające się o lód i miętę...

– Gdzie, do diabła, może być Sarah Bauer? – to były jego ostatnie słowa, zanim zasnęłam.

\*

## AKT ZGONU EVE MARIE BAUER

Zadzwonili do mnie ci ze studia genealogicznego – powiedziałam Alainowi przez telefon.

– Zdaje się, że znaleźli coś interesującego o Sarah Bauer...

– Właśnie zaczynam zajęcia, ale możemy się tam spotkać o pierwszej, jak uważasz?

Badacz genealogii był mężczyzną w nieokreślonym wieku, przyznanym i wypacykowanym, który nosił szare flanelowe spodnie, granatowy sweter w serek i czarny krawat, i prawdopodobnie nie zmienił oprawek okularów od lat siedemdziesiątych.

Wprowadził nas do gabinetu nie mniej wylizanego i wypchnionego jak on i z namaszczeniem pokazał nam dokument.

– Przyszedł do nas dziś rano. Sprawdziliśmy dwadzieścia merostw Paryża i w końcu mamy jakiś rezultat. To akt zgonu.

Kościstymi palcami, zakończonymi zbyt długimi jak na mężczyznę paznokciami, pobieżnie przebiegł po dokumencie.

– Akt zgonu Eve Marie Bauer. Szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, o godzinie trzeciej zmarła Eve Marie Bauer, zamieszkała w Île-de-France, urodzona w Paryżu Île-de-France dwudziestego piątego października tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego, córka (puste miejsce. Notatka na marginesie: ojciec nieznan) i Sarah Bauer. Zarejestrowano trzeciego marca...

Przestałam słuchać wysokiego głosu genealoga. Nie potrzebowałam wiedzieć więcej. Sarah Bauer miała córkę i urodziła ją w Paryżu.

– Tak, ale dziewczynka zmarła w kilka miesięcy po urodzeniu, więc znowu straciliśmy ślad Sarah – zauważył Alain, gdy wychodziliśmy z biura genealoga. – A najciekawsze jest to, że zgonu nie zgłasza ona, cokolwiek by mówić matka, ale wujek małej.

– Może ona też zmarła?

– To możliwe, ale dziwne byłoby znaleźć najpierw akt zgonu córki, a dopiero potem matki. Poza tym, skoro wiemy, że rodzeństwo Sarah zginęło, jak wujek dziewczynki mógł zgłosić zgon?

Wzruszyłam ramionami. To, co wydawało mi się proste i odkrywcze, przynosiło nam coraz więcej tajemnic.

– Brat ojca?

– Nieznanego ojca? – Alain się skrzywił. – Nie wydaje mi się to prawdopodobne... Najpewniej ojcem był jakiś Niemiec. Wielu z nich przyjechało do Francji, dziewczyny zachodziły z nimi w ciążę, a potem oni wracali do domu, nie uznawszy dzieci.

– I znowu to samo! – prychnęłam ze złością. – Za każdym razem, kiedy się do czegoś zbliżamy, droga otwiera się w tysiącu kierunków. To rozpaczliwe!

Zanim włożył kask motocyklowy, Alain ponownie natchnął nasze życie optymizmem:

– No dobra, teraz wiemy, że Sarah Bauer 25 października 1943 roku ciągle była w Paryżu. Kolejny krok naprzód.

\*

## CZERWIEC 1943

W Algierii generał de Gaulle zbiera Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego, organizację, która będzie koordynować wszystkie wysiłki, aby doprowadzić do wyzwolenia Francji spod okupacji niemieckiej. Po wyzwoleniu ów Komitet przekształci się w tymczasowy rząd republiki.

Sarah poszła po Marion do pracy. Musiała z nią porozmawiać, ale nie mogły się umówić w domu, skoro był tam Jacob. Panowała przyjemna temperatura, więc trochę się przejdą albo usiądą sobie na ławce w parku.

Marion kończyła zmianę w kasach dworca o trzeciej. Następnie zjadała jakąś kanapkę, szła do toalety, czesała się i około wpół do czwartej była na ulicy.

– Sarah, kochana! Co ty tu robisz?

– Przyszłam po ciebie. – Sarah starała się wyglądać naturalnie, udawać, że sprawa jest błaha.

Przyjaciółka zmarszczyła brwi. Sarah nigdy nie przyszła po nią do pracy, jej pojawienie się było bardzo dziwne.

– Wszystko w porządku? Wszystko z tobą w porządku? Co z Jacobem?

Sarah chwyciła ją pod rękę. Chciała iść, ale nagle poczuła potrzebę, by usiąść. Zobaczyła ławkę stojącą w cieniu drzewa.

– Muszę z tobą porozmawiać, Marion. Muszę z kimś porozmawiać, zanim zwariuję.

Marion usiadła u jej boku. Była bardzo zaniepokojona.

– Co się dzieje, kochana? Przestraszyłaś mnie...

Sarah wołała patrzeć sobie na ręce niż na przyjaciółkę. Łatwiej było się jej zwierzyć, nie patrząc w oczy.

– Jestem w ciąży.

Sarah mogła mówić sama do siebie, bo na swoje oświadczenie nie usłyszała żadnej reakcji. Uniosła wzrok, żeby sprawdzić, czy Marion dalej tam jest.

Siedziała tam skamieniała, zamyślona, oniemiała, desperacko poszukując słów odpowiednich na tę chwilę. Ale Marion nie była kobietą posiadającą lekkość wypowiedzi.

– Kochanie... Ale... Ale jak to się stało?

Sarah uniosła brwi. Naprawdę chciała wiedzieć, jak do tego doszło? To dziwne, zdumienie koleżanki wydało jej się komiczne i to ją rozluźniło.

– Powiedzmy, że się... stało.

– Ale... jesteś pewna?

– Od miesiący nie mam okresu. Początkowo myślałam, że to z wycieńczenia, w szpitalu powiedzieli mi, że to normalne. Ale minęły już cztery miesiące, cztery miesiące, w których objadałam się tak, że znowu przytyłam. Poza tym od tego czasu urósł mi brzusek, a piersi chyba zaraz wybuchną. Nie wspomnę już o nudnościach, czasem męczą mnie przez cały dzień. Tak, Marion, jestem pewna.

Rozwiawszy wątpliwości, koleżanka, zawsze gotowa do pomocy, postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce.

– Dobrze... Zobaczymy... Nie denerwuj się, kochana. Znajdziemy kogoś... Chyba wiem, do kogo możemy się udać... Ta dziewczyna, jak ona się nazywa? Ciągłe się w coś pakuje i kilku już się pozbyła, rozumiesz... Tak, ona na pewno kogoś zna. Kogoś, kto będzie mógł... rozumiesz, załatwić sprawę...

– Nie, Marion. – Sarah szybko jej przerwała, gdy wyczuła, w którą stronę zacierają

sprawy. – Nie chcę usunąć.

– Jak to? – Marion była przekonana, że źle słyszy.

– Urodzę to dziecko.

Przyjaciółka uniosła wzrok, aż w oczach widać było niemal same białka, wołając do nieba.

– Na Boga, kochana! Nie przemyślałaś tego... Zdajesz sobie sprawę, w co ty się pakujesz? W dzisiejszych czasach mieć dziecko to szaleństwo! Nie ma jedzenia! Ani mleka, ani mąki, ani jajek! Nie ma światła i węgla! Nie ma nic! Jak sobie dasz radę, kochana? Jak je wykarmisz?

Cała ta wymieniona przez Marion lista przeszkód już była Sarah znana, a nawet wiele innych rzeczy. Ale nic z tego nie było ważne, ważniejsze od życia dziecka. Bez sensu było je zabijać dlatego, że mogło umrzeć.

Sarah nie musiała nikomu niczego wyjaśniać, wystarczyło, że wytrzymała spojrzenie Marion.

– Jesteś zdecydowana, prawda?

Sarah kiwnęła głową.

– Sama... to bezmyślność! – Wtedy Marion przypomniała sobie, że zapłodnienie wymaga dwojga ludzi. – No właśnie, a wiesz, kto jest ojcem?

Tak, oczywiście, że to wiedziała. Nie miała najmniejszej wątpliwości. Tak samo jak nie wątpiła, że Marion zada jej to pytanie. Mimo to czuła się niezręcznie, kiedy na nie odpowiadała.

– Jacob.

Dziewczyna z zaskoczenia aż wygięła się do tyłu i wypięła swój szczodry biust jak kura.

– Kurwa jego...! Powinam się była domyślić! Zawsze coś tam między wami było...

Zaraz, zaraz, Jacob przez kilka miesięcy był w więzieniu...

– A ja od kilku miesięcy jestem w ciąży. Nie ma wątpliwości, Marion, to Jacob jest ojcem.

Marion musiała to przyznać – nie wszystkie kobiety są takie jak ona. Większość wie, jak, kiedy i z kim idzie do łóżka. Ona doskonale się pilnowała przed ciążą; nikt nie wchodził w jej cieplutki zakątek bez założenia kapturka, ale jeśli kiedyś – oby Bóg pozwolił, że nie – zdarzy jej się takie nieszczęście, będzie miała poważny problem, żeby ustalić ojcostwo.

W końcu Marion się rozluźniła i przychylnie spojrzała na Sarah.

– Kochana... – Wyciągnęła rękę i położyła ją na brzuchu przyjaciółki, który ledwie się zarysowywał. – To niesamowite – wymamrotała podniecona. – Czujesz je?

– Takie łaskotanie. Nie zawsze, tylko kiedy jestem spokojna. Jeszcze jest bardzo małe. – Uśmiechnęła się.

– Jesteś bardzo odważna, kochana. Jacob powinien być z ciebie bardzo dumny.

Oblicze Sarah, które przez chwilę jaśniało blaskiem szczęśliwości, znowu się zachmurzyło. Jakby niebo zaciągnęło się ciężkimi chmurami i bryza znowu stała się lodowata, Sarah przebiegł dreszcz.

– On nic nie wie...

Po ucieczce ze szpitala Jacob zamieszkał z nią. Zaproponowała mu to spontanicznie, wcale się nie zastanawiając, nie myśląc o przyszłości... W tamtych czasach absurdalne było robienie planów nawet na następny dzień, nikt nie miał pewności, że dożyje następnego poranka. Jacob bez domu i zmuszony do pozostawania w ukryciu, potrzebował miejsca do życia. Tylko ona mogła mu je zapewnić. Mieszkanie było małe, ale wystarczające dla dwojga; zostawiła sypialnię Jacobowi, a sama spała na kanapie – nie przeszkadzało jej to, nawet wołała, żeby tak było.

„Dlaczego nie śpisz ze mną, Sarah? Zapomniałaś już ostatnią noc i wszystko, co się wtedy wydarzyło? Ja nie...”, powiedział do niej Jacob. „To nie byłoby dobre, Jacobie. Wystarczy, że raz obraziliśmy Boga”. Wybrała łatwy argument, bo nie chciała składać mu wyjaśnień, które mogłyby go urazić – kochała Jacoba, on był jedną z niewielu osób, które zostały jej na świecie, ale nie chciała dzielić z nim łoża, byłoby to tak dziwne, jak leżeć z bratem.

Może to właśnie tamta chwila naznaczyła początek jej piekła; piekła życia z Jacobem.

– Ale dlaczego mu nie powiedziałaś?! Kochana, musisz mu powiedzieć!

Sarah zaczęła czuć się osaczona, nie tyle przez Marion, ile przez własne sumienie.

– Wiem, wiem... – Westchnęła. – Ale chodzi o to... Jakby ci to wyjaśnić... Jacob nie jest taki sam. Bardzo się zmienił, Marion.

– Kobieto, to oczywiste. Po tym wszystkim, co przeszedł...

– Tak, ale nie tylko to. Wydaje mi się, że z Jacobem coś jest nie tak.

– Przecież on nigdy nie był chory. I już doszedł do siebie po operacji oka.

– Nie chodzi mi o ciało... To raczej sprawa ducha.

Ze sposobu, w jaki na nią spoglądała, Sarah wywnioskowała, że Marion nie wie, o co jej chodzi. Zrozumiała, że musi być bardziej dosadna, mówić otwarcie o tym, co tak bardzo jest dla niej trudne.

– On jest zupełnie załamany, Marion. Zaczęło się od tego, że nie może w nocy zmrużyć oka. Słyszałam go, jak chodzi po pokoju od ściany do ściany niczym lew w klatce. Potem zaczęły się krzyki, krzyczał z bólu, mówił, że boli go głowa, potem, że wszystko, że boli go wszystko i że potrzebuje lekarstw, środków przeciwbólowych... Ale nie mamy ich, bo doktor Vartan powiedział, że ich nie potrzeba. Od samego początku odmawiał jedzenia, całymi dniami może nic nie brać do ust, ale potem nagle pożera wszystkie nasze mizerne zapasy i gdy jedzenie się kończy, zaczyna wrzeszczeć jak oszalały... Czasem oddaję mu swoje racje i przynoszę mu też jedzenie od hrabiny, ale w tych okresach i tak wszystkiego jest dla niego za mało.

Marion była zaszokowana.

– Nie powinnaś mu oddawać swojego przydziału, kochana, szczególnie w twoim stanie...

– Ale tak już jest, Marion. Wiesz, że nie mogę zdobyć więcej jedzenia... A nawet gdybym zdobyła, może akurat nie będzie chciał jeść. To mordęga... Całymi dniami tylko siedzi w fotelu: kiedy wychodzę rano do księgarni, zostawiam go w fotelu, kiedy wracam, on dalej w nim siedzi. Wstaje tylko po to, żeby pójść do łóżka, gdzie i tak nie śpi, całą resztę czasu spędza w fotelu, z nieobecny wzrokiem, jakby był rośliną, a usta otwiera tylko po to, żeby przeżuwać papierosy i skarżyć się, że się czuje bardzo zmęczony, że jest żalonym człowiekiem, niepotrzebnym i bezużytecznym, że lepiej już by mu było umrzeć w więzieniu... Kiedy staram się go pocieszyć, dostaje szału, rzuca się z impetem, którego, jak mówi, mu brakuje, klnie i ostatnio też mnie wyzywa... – Sarah przełknęła ślinę i zaczęła nerwowo zacierać ręce. – Któregoś dnia... przycisnął mnie do ściany, jakby chciał mnie uderzyć. Nie zrobił tego, nagle popadł w odrętwienie, bez słowa zamknął się w drugim pokoju i od tamtego czasu nieprzerwanie śpi. To było przedwczoraj... Dziś rano jeszcze się nie obudził... Zaczynam się bać, Marion...

– Och, kochana, jestem zaszokowana...

– Jak mam mu powiedzieć o dziecku? Nie mogę! Boję się!

Marion była naprawdę poruszona przygnębieniem Sarah. Chociaż sytuacja całkowicie ją przerastała, czuła, że w jakiś sposób musi pomóc przyjaciółce. Najlepsze, co jej przyszło do głowy, to zasianie spokoju i zgody.

– Nikt nie wie, jak się będzie czuł człowiek, który przejdzie przez to, przez co przeszedł Jacob... Tobie nie trzeba tego tłumaczyć, widziałas to w więzieniu, a to była tylko część tego, co on wycierpiał. Jacob to dobry człowiek i kocha cię, to oczywiste, zawsze cię kochał, mnie takie

rzeczy nie umykają. Może on potrzebuje jakiegoś sensu, żeby żyć, czegoś, dzięki czemu będzie mógł zapomnieć te swoje straszliwe przeżycia. Może świadomość, że zostanie ojcem, jest właśnie tym, czego najbardziej potrzebuje, żeby odzyskać dawnego ducha.

Były też inne powody, dla których Sarah trzymała w tajemnicy swoją ciążę. Obawiała się, że jeśli wyzna Jacobowi, że oczekuje jego dziecka, Jacob będzie chciał wziąć z nią ślub. A Sarah w żadnym razie nie chciała za niego wychodzić.

Pokazała Marion, że jest absolutnie pewna, że chce urodzić to dziecko, i tak było. Jednak w dniu, kiedy się o tym dowiedziała, jej determinacja nie była tak wielka. I rozważała myśl o pozbyciu się dziecka. Przyszło jej to do głowy ze strachu, że będzie musiała je wychowywać sama albo że sprowadzi je na świat, który się rozpada, na straszne życie w głodzie, strachu i cierpieniu... Nie, jeśli pomyślała o usunięciu ciąży, to dlatego, że nie chciała mieć dziecka Jacoba, nie chciała czuć się związana tak silnymi więzami z człowiekiem, którego nie kochała. Cóż, jaka w tym była wina dziecka, że matka nie kocha ojca? Cóż dziecko jest winne, że matka była głupia, pewnej nocy się upiła i poszła do łóżka z mężczyzną, którego nie kochała...? Odpowiedź na te pytania i pragnienie trzymania dziecka w ramionach były wystarczającymi powodami, żeby zdecydować się nie usuwać ciąży.

Poczucie odpowiedzialności wymagało od niej jeszcze powiedzenia Jacobowi, że jest w ciąży. Może Marion miała rację, może wiadomość, że zostanie ojcem, pozwoli mu odzyskać ducha... Nie za bardzo w to wierzyła, ale rozmyślanie nad tym i tak nie prowadziło donikąd. Od kilku dni nie mogła już zapiąć żadnej spódnicy. Niebawem jej stan będzie oczywisty dla wszystkich i nawet gdyby chciała, nie zdoła utrzymać tego faktu w tajemnicy.

\* \* \*

Tego poranka jak zawsze zeszła do księgarni, Jacob spał. W południe, jak to miała w zwyczaju, wróciła do mieszkania na obiad; on ciągle spał. Dopiero po skończonym dniu pracy, wieczorem, zastała Jacoba obudzonego.

Pomyślała, że może nadeszła chwila, żeby go poinformować. Zaskoczyło ją to, że nie zastała go w fotelu, skrzywionego i wymiętego. Był w kuchni, grzebał w spiżarni, wyciągając z niej wszystko po kolei.

– Cześć, Jacob...

– Gdzie jest jedzenie?

– W garnku masz duszone ziemniaki, a w koszyku chleb. Jest też suszone mięso i kasza ze słoniną. I trochę mleka, które wczoraj przyniosłam od hrabiny.

Było to wszystko, czego Jacob nie zjadł przez te dni, kiedy spał, i wszystko, co mieli na kolację.

– Już to zjadłem, ale potrzebuję więcej. Dalej jestem głodny. – Jacob otwierał i zamykał szafki i szuflady, grzebał w garnkach nerwowo jak głodna mysz.

– Nie ma więcej. To wszystko.

– No to dlaczego nie poszłaś na zakupy?

– Poszłam po chleb. Więcej nie było trzeba. Było dość. Jeśli zużyję teraz całe kartki, co będziemy jedli pod koniec miesiąca? Ale jeśli chcesz, możesz wziąć kartki i sam zejść po jedzenie.

Jacob rzucił się jak dzikie zwierzę.

– Leniwa i bezczelna kobieto! Nie widzisz, że nie mogę wyjść! Są wszędzie! Śledzą mnie! Jak wyjdę, znowu mnie złapią!

Sarah była nieczuła na jego atak wściekłości. Przygnębiona opadła na fotel. Bolały ją plecy i była zmęczona, nie miała ochoty znowu przez to przechodzić.



– Uspokój się, Jacob – poprosiła. – Nie krzycz, proszę cię. Zrobię ci kawy...  
Jacob uderzył pięścią w stół. Garnki, które tam zostawił, podskoczyły z głośnym brzękiem przed twarzą Sarah. Przestraszyła się.

– Nie chcę twojej pierdolonej lury! Chcę jeść, kurwa! Taka jesteś głupia, że nie możesz tego zrozumieć?

Sarah spojrzała na niego surowym wzrokiem.

– Nie obrażaj mnie, Jacobie!

– Zamknij się i się nie wydzieraj! Boli mnie głowa!

– Nic dziwnego. Spałeś dwa dni...

Jacob poczerwieniał z wściekłości i zacisnął zęby. Chwytał Sarah za kołnierz sukienki i podniósł ją z fotela, żeby krzyczeć jej w twarz.

– Jestem chory! Nie widzisz tego? Chory! – powtórzył, po czym cisnął nią o ścianę. – Ale ty jesteś cholerną egoistką i myślisz tylko o sobie! Potrzebuję jedzenia, a ty mi go nie dajesz! Potrzebuję lekarstw, a ty mi ich nie dajesz! Nie widzisz, że ze mną jest źle, bardzo źle! Chciałabym, żeby umarł!

– Jacob, proszę cię... – Sarah przytuliła się do ściany. Chciała, żeby mur ją połknął i żeby znikła.

On rozbił talerz o stół i potrząsał kawałkiem ostrego szkła przed jej twarzą.

– Ja też bym chciał nie żyć! Nienawidzę tego pierdolonego życia! Nie mogę go znieść! Więcej nie wytrzymam. Nie wytrzymam!

Sarah patrzyła na kawałek talerza. Potem na wykrzywioną twarz Jacoba. Popatrzyła też na jego zaciśnięte palce, rozognione oczy i dzikie usta. I nie myśląc wiele, przytuliła się do niego. Przytuliła go bardzo mocno, wiążąc jego ręce, przyciskając je do swego ciała.

Kawałek talerza spadł na ziemię, podczas gdy Jacob się rozpadał.

– Nie wytrzymam... – łkał z twarzą ukrytą w szyi Sarah. – Nie dam rady...

Sarah pogłaskała go po plecach, jakby był dzieckiem.

– Spokojnie. Spokojnie. Jestem z tobą. Jestem z tobą...

Jacob zatopił się w jej objęciach. Przybity i pokonany, wyglądał jak szmata.

– Co się ze mną dzieje, Sarah? Co się dzieje? Nie chcę cię skrzywdzić... Nie chcę się tak zachowywać. Przepraszam...

– Wiem, Jacob. Potrzebujesz pomocy. Oboje jej potrzebujemy. Ale oboje z tego wyjdziemy, zobaczysz. Obiecuję ci. Obiecuję, Jacob.

On łkał w jej objęciach. Nic go nie mogło pocieszyć, ale ramiona Sarah były jedynym pięknym miejscem na świecie, wykrzywionym i mrocznym świecie Jacoba.

\* \* \*

Sarah porozmawiała z Carole Hirsch, a ona umówiła ją z doktorem Vartanem u niego w domu.

Doktor Vartan mieszkał w Le Marais, w mieszkaniu dzielonym z dwoma innymi pracownikami Rothschilda: farmaceutą, młodym polskim Żydem, który uciekł z Polski w 1939 roku, i pediatrą z Rouen.

Lekarz najpierw chciał zobaczyć Jacoba sam na sam. Mniej więcej po godzinie doktor Vartan wszedł do pokoiku, w którym czekała Sarah.

– Gdzie jest Jacob? – zapytała zaniepokojona, zobaczywszy, że przychodzi sam.

– Proszę się nie martwić, mademoiselle Bauer. Jest z nim doktor Woźniak – oznajmił, mówiąc o polskim farmaceutce.

– Co mu jest?

Doktor Vartan usiadł obok niej, w ładnym zakątku obok balkonu, przez który wpadały promienie słońca i widać było czubek gałęzi kasztanowca rosnącego na ulicy. Ściągnął okulary, wytarł je i ponownie włożył. Wyglądał na zmęczonego. Rozmowa zapowiadała się na długą.

– Na samym początku poprosił mnie o więcej kokainy. Obawiałem się, że coś takiego może nastąpić...

Sarah nie wiedziała, co powiedzieć, nie do końca rozumiała, do czego zmierza doktor Vartan. Skoro Jacob tylko potrzebował kokainy, rozwiązanie problemu wydawało się proste. Czego tu się obawiać?

Doktor Vartan mówił dalej, może bardziej do siebie samego niż do Sarah:

– Myślałem, że podawana w krótkim czasie nie powoduje uzależnienia, więc po oczyszczeniu organizmu nie będzie objawów zespołu abstynencji. Myślałem, że nie zostanie żaden ślad... Ale myliłem się. Obawiam się, że bardzo się myliłem.

Doktor Vartan był psychiatrą i neurochirurgiem. Zanim antysemityczne prawo zabroniło lekarzom Żydom pracy w szpitalach publicznych, większość czasu pracował w Ośrodku Zapobiegania Chorobom Psychicznym szpitala psychiatrycznego Świętej Anny, zajmując się badaniami w obszarze farmakopsychiatrii i wykorzystania leków w leczeniu zaburzeń psychicznych. Działał zgodnie z naukami Freuda, Pawłowa, Baruka, Gutierrez-Noriegi i innych wielkich badaczy z dziedziny leczenia narkotykami. Jednakże okupacja niemiecka zmusiła go do porzucenia swego powołania i zostania chirurgiem, lekarzem i pielęgniarzem w szpitalu Rothschilda. Musiał przyznać, że kiedy przedstawiono mu przypadek Jacoba i jego ucieczki, przyjął to jako okazję do przeprowadzenia badania, choćby dlatego, że w stan sztucznej katalepsji za pomocą kokainy wcześniej wprowadzano tylko zwierzęta, nigdy ludzi. Jednak najbardziej nęciło doktora Vartana w tym eksperymencie zbadanie właściwości uzależniających kokainy i jej skutków neurologicznych u człowieka. Jacob był królikiem doświadczalnym. Dlatego przez cały czas doktor chciał wiedzieć, czy pacjent jest świadom niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą ucieczka. Chociaż... jak miał poznać je Jacob, skoro on sam ich dokładnie nie znał? Bardzo możliwe, że w jego przypadku śmierć nie była największym zagrożeniem.

Doktor Vartan przyjrzał się Sarah: tak młoda, tak ładna, tak osaczona przez okrucieństwo i bezsens tych czasów... Do jakiego poziomu szaleństwa zagnano tych biednych ludzi?

– Jacob nie ma kłopotów fizycznych – starał się wyjaśnić Sarah. – Ale pojawiły się problemy psychiczne wynikające z przyjęcia kokainy przed ucieczką.

– Problemy psychiczne?

– Bezsensowność, zmęczenie, apatia, napady wściekłości, zachowania autodestrukcyjne, depresja, nawet ekstremalne wychudzenie oraz bóle głowy, wszystko to ma podłoże wyłącznie psychiczne. Ciało Jacoba jest w porządku, głowa – nie.

– Ale... to logiczne, prawda? To trauma na skutek tego, przez co musiał przejść...

Doktor Vartan ciężko pokręcił głową.

– Może te przeżycia pogarszają sytuację, ale prawdziwym powodem jego zaburzeń jest kokaina. Zanim podano mu narkotyk, Jacob nie miał żadnych objawów patologii, jego zachowanie było normalne. To, że rozpaczliwie znowu chce ją wziąć, zażyć coś przeciwbólowego albo jakiegokolwiek inne lekarstwo, żeby znaleźć ulgę lub takie samo uczucie euforii, jakie dawała kokaina, jest dowodem jego uzależnienia. Chciałbym się dowiedzieć, czy kokaina doprowadziła do jakiegoś neurologicznego uszkodzenia, a gdyby tak było, czy jest ono odwracalne – znowu mówił tak, jakby znajdowali się w laboratorium.

– Chce pan powiedzieć, że Jacob może do siebie dojść...

Widząc trwogę na twarzy Sarah, doktor Vartan nie odważył się na wyrażenie braku nadziei.

– Chcę powiedzieć, że spróbujemy. Jacob potrzebuje uwagi i odpowiedniego leczenia.  
– Ale przecież nie może wrócić do szpitala! – zdenerwowała się Sarah. – Znowu by go aresztowali. Nawet jeśli miałyby nową tożsamość i fałszywe dokumenty, jego jedyne oko by go zdradziło.

– Wiem o tym, mademoiselle Bauer, i nie mam zamiaru sprowadzać go do szpitala.

Sarah czuła się skołowana. Tajemniczy język i lakoniczność lekarza zbijały ją z tropu i sprawiały, że czuła się bardziej zaniepokojona, niż w rzeczywistości była.

– Zatem, co mam zrobić? – poprosiła o wyjaśnienie.

– Pani nic. Wystarczy, że mi pani zaufa i zostawi Jacoba pod moją opieką. Zamieszka dokładnie tutaj, w moim domu, i razem z doktorem Woźniakiem zbadamy jego przypadek i przeprowadzimy odpowiednie leczenie. Tylko w ten sposób możemy mieć nadzieję na jego wyleczenie.

Sarah ledwie mogła uwierzyć w tak wielką szczodrość w tych trudnych i okrutnych dniach, które przemieniły takie zachowania we wspomnienie przeszłości.

– Czy byłby pan gotowy zrobić coś takiego dla Jacoba? Dlaczego?

Z ciekawości? Zainteresowań naukowych? Bo chciałby zanotować każdy szczegół przypadku i stworzyć wokół niego całą teorię? Bo czuł się winny? Doktor Vartan nie był pewien.

– Bo to jedyne możliwe rozwiązanie. – Uciekł od wyjaśnień.

Sarah spuściła wzrok: skoro było tylko jedno rozwiązanie, dlaczego miała być mu przeciwna?

– Rozumiem... mogę z nim porozmawiać?

– Lepiej nie. Jeśli panią zobaczy, może nie zgodzi się zostać... On nie przyszedł do mnie, żebym go wyleczył, przyszedł do mnie po narkotyki.

– Jest coś jeszcze, doktorze...

Doktor Vartan przechylił głowę na bok, czekając na to, co powie Sarah, ale wyraźnie obawiając się tego.

– Jesienią Jacob zostanie ojcem, ale o tym nie wie... Nie było odpowiedniej chwili, żeby przekazać mu tę wiadomość.

Odruchowo przeniósł wzrok na brzuch Sarah. Jeśli się dobrze przyjrzeć...

– Jest pani w ciąży?

Ona przytaknęła.

Zastanowiwszy się, doktor Vartan dodał:

– Lepiej nic mu nie mówić. Przynajmniej na razie. Nie wiem, jak mogłaby na niego wpłynąć taka informacja... Zobaczymy, co się będzie działo... Proszę się nie martwić, mademoiselle Bauer, Jacobowi będzie tu dobrze.

Sarah uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

Nie musieć żyć z Jacobem... Nie musieć mu mówić, że nosi jego dziecko... Nie musieć znosić jego wściekłości, krzyków i obelg... Sarah nie czuła się zaniepokojona – odczuwała ulgę i była pewna, że to czyni z niej złego człowieka.

\*

## DOM W ILLKIRCH

Początkowo, podczas tych niewielu nocy, które Konrad spędzał w Paryżu, jedliśmy kolację w mieszkaniu. Zwykle było to okropne jedzenie, przygotowane na bazie puszek, dań mrożonych, liofilizowanych lub konserwowanych w jakiś inny sposób. W końcu znudziliśmy się tymi kosmicznymi innowacjami i postanowiliśmy wyjść do restauracji.

Każda restauracja byłaby lepsza od tego, co mieliśmy w domu, jednak Konrad zwykle wybierał restauracje nieskończenie lepsze od wszystkiego, co mieliśmy w domu.

Tamtego wieczoru w Guy Savoy, gdy czekaliśmy na ostrygi, Konrad wprowadzał mnie w swoje ostatnie inwestycje w nieruchomości.

– Chyba w końcu kupię dom na Korsyce. Może w sobotę pojedę go obejrzeć. Jeśli chciałabyś mi towarzyszyć...

Towarzyszyć mu w oględzinach nieruchomości, żeby na siłę wyrazić swoje zdanie o czymś, co i tak już zdecydował się kupić? Pomysł nie wydał mi się jakoś szczególnie atrakcyjny.

– Nie jestem pewna... Mam dużo pracy. Jaki dom? Trochę się zgubiłam...

– Tak, *meine Süße*, pokazywałam ci zdjęcia, nie pamiętasz? Powiem więcej, bardzo ci się podobał. To ten dom na klifie, z basenem z widokiem na morze. Poczekaj, znajdę ci te zdjęcia – zaproponował, wyciągając iPhone'a.

– Nie, nie, nie, daj spokój. Już sobie przypomniałam – skłamałam. Nie pamiętałam, który to był dom spośród tych nad brzegiem morza, przedstawionych mi przez Konrada, ale to nie miało znaczenia.

– To kaprys, wiem, ale zakochałem się w tym domu. Adwokaci mówią, że jest jakiś problem z właścicielami, jakieś zamieszanie z granicą działki i takie tam. Czekają na wyciąg z ksiąg wieczystych, żeby ustalić, czy wszystko jest w porządku. Mam tylko nadzieję, że to nie uniemożliwi operacji...

– Oczywiście! O to chodzi! Jak mogłam być taka głupia?

Spojrzał na mnie zmieszany.

– Co ty opowiadasz?

– Dom w Illkirch, Konradzie! Co się stało z domem w Illkirch? Każdy dom ma swoją historię i ta historia jest częścią historii właścicieli.

– Guzik cię obchodzi mój dom na Korsyce, prawda?

– Och, nie, kochanie – znowu skłamałam, chwytając go za rękę w geście wymuszonej czułości. – Chodzi o to, że tymi księgami wieczystymi podsunąłeś mi świetny pomysł.

Na szczęście przyniesiono ostrygi i Konrad musiał powstrzymać swoje żale.

– Muszę zadzwonić do Alaina – oznajmiłam z BlackBerry w rękę.

– I musisz to zrobić... teraz? – Konrad nie potrafił ukryć dezaprobaty.

– Tak, kochanie, to bardzo ważne.

Zakończyliśmy wieczór, pijąc koktajl z Alainem w Mandala Ray, najmodniejszym barze Paryża.

Od pierwszej chwili Konrad okazywał niechęć wobec tego spotkania, według niego tak niewczesnego jak niespodziewanego. Wystarczyło na niego spojrzeć: rozparty na kanapie, ze znudzoną miną, pił jeden koktajl bezalkoholowy po drugim i zupełnie nie brał udziału w rozmowie, którą Alain i ja prowadziliśmy w ożywieniu.

– Dom nie należy już do Bauerów – powiadomił mnie Alain. – Sprawdziłem to, kiedy badałem kolekcję. Co najmniej trzy lata temu kupił go magistrat i urządził tam miejską

bibliotekę.

– Spodziewałam się, że nie natkniemy się na czekającą tam na nas Sarah Bauer, ale pomyśl tylko, Alain, ktoś ten dom przecież musiał sprzedać! Ktoś, kto miał do tego prawo. I to wszystko musi być w księgach wieczystych. Nie uważasz, że to mogłoby nam wskazać jakiś ślad co do losu Bauerów?

Alain nie bawił się w owijanie w bawełnę.

– Ano, jesteś genialna. Już jutro wystąpimy o wypis.

Rozmowa zaraz zboczyła na najdziwniejsze tory – Alaina i moje, bo Konrad nie był chętny do partycypowania w czymkolwiek tego wieczoru – więc dopiero około drugiej w nocy wyszliśmy z Mandala Ray.

– Zaczynam żałować, że zgodziłem się na udział tego typu w naszym śledztwie – rzucił oschle Konrad, gdy jechaliśmy samochodem do domu. Tak bez powodu.

„W naszym śledztwie?” – pomyślałam. To „nasze” zawierało też jego? Choćbym nie wiem jak się wysilała, nie potrafiłam dostrzec miejsca, w którym Konrad brał udział w śledztwie, ani przypomnieć sobie, ile razy zakasał rękawy, żeby przy nim pomóc.

Milczałam. Nie miałam ochoty na kłótnię. Ale Konrad chyba miał...

– Wydaje mi się, że niewiele wnosi. Wykorzystuje twoją wiedzę i mój sponsoring, żeby poznać swoją przeszłość. Tak naprawdę uważam, że on czeka, aż ten cholerny obraz wpadnie mu w ręce, żeby zyskać zawodowy prestiż – zauważył, strzykając złością.

Nie mogłam dłużej milczeć.

– A ty, Konradzie? Czy ty robisz coś innego?

– Mam nadzieję, że nie insynuujesz, że cię wykorzystuję. – Jego surowe spojrzenie skupiało się na asfalcie.

– Uważasz, że doktor Arnoux jest zbędny? – zapytałam niemal oburzona. – W porządku, zwolnij go. Ja go nie zatrudniłam, tak samo jak nie zaczynałam tej kłótni. Więc sprawa załatwiona.

„Dobra – powiedziałam sama do siebie – jeśli to zrobisz, w tej samej chwili porzucam tę robotę”.

Konrad posłuchał mnie i zostawił tę sprawę. Jednakże tej nocy spaliliśmy każde po swojej stronie łóżka, plecami do siebie.

Następnego poranka piłam kawę przy barze w kuchni, kiedy pojawił się wbity w swój ciemny garnitur i pachnący Eau d'Orange Verte.

– Wybierasz się ze mną na Korsykę dziś po południu? – zapytał, wsuwając kapsułkę kawy do Nespresso i przyciskając guzik.

– Mówiłam ci już, że mam dużo pracy – odpowiedziałam cierpko, chowając się za filiżanką.

Nawet nie usiadłszy, Konrad wypił kawę jednym haustem.

– Stamtąd pojedę bezpośrednio do Madrytu, a ty powinnaś być tam ze mną. Tutaj nie robisz już nic takiego, czego nie mogłabyś robić z domu.

To traktowanie z góry bardzo mnie ubodło. Założyłam okulary i spojrzałam na niego badawczo.

– Ty nie masz w ogóle pojęcia, co ja tutaj robię, Konradzie. Pozwól mi zatem zdecydować, kiedy wrócę do Madrytu.

Konrad cisnął filiżankę do zlewu z taką siłą, że roztrzaskała się na kawałki.

– Do pewnego stopnia, dopóki twoje decyzje nic mnie nie kosztują – zawyrokował, po czym wyszedł z kuchni i rozgniewany porzucił scenę kłótni, pozbawiając mnie możliwości odpowiedzi.

Po kilku sekundach usłyszałam trzaśnięcie drzwiami.

\*

## PAŹDZIERNIK 1943

Od lipca 1942 roku rząd Vichy pozwoliły na wywózkę dzieci poniżej trzynastego roku życia. Wywózka była prowadzona z Drancy, gdzie dzieci spędzały najpierw kilka dni stłoczone w barakach, bez wody i jedzenia, brudne i chore. Kiedy miały jechać do Auschwitz, budzono je o piątej rano, niektóre zalewały się łzami i trzeba je było na siłę sprowadzać na dziedziniec, gdzie odczytywano listę – niektóre były takie małe, że nawet nie wiedziały, jak się nazywają – i odbierano im to, co jeszcze im zostało, złote bransoletki i kolczyki, zanim wpychano je do ciemnych bydlęcych wagonów. Do końca okupacji wywieziono z Francji 11 400 żydowskich dzieci. Tylko 300 uniknęło śmierci.

Kiedy Jacob został pod opieką doktora Vartana, życie Sarah weszło w dziwny rytm oczekiwania. Po miesiącach żeglowania wśród przerażających burz, następujących jedna po drugiej, zalewających jej twarz wodą, niemal niedających chwili czasu na zaczerpnięcie oddechu, wiatr zelżał, chmury się rozwiały i wody uspokoiły jak w sadzawce: bez łądu na horyzoncie, jej łódka kołysała się, spokojna i samotna... Może nazbyt spokojna i samotna, niemal porzucona.

Ludzie dalej znikali, żeby się już więcej nie pojawić; jedzenia było mało, coraz mniej; wyłączenia wody, prądu i gazu zdarzały się coraz częściej; noce stawały się ciemniejsze; głód, choroba i śmierć wyraźniej obecne... Zniszczenie Paryża coraz bardziej rzucało się w oczy, a cierpienie paryżan było coraz większe.

Brzuch ciągle jej rósł, Jacob nie zdrowiał i ciągle był zagubiony, gestapo nieodmiennie stanowiło zagrożenie, Georg von Bergheim nie dawał znaku życia... Sarah popadłaby w szaleństwo, gdyby dalej tkwiła zanurzona w tej rutynie pozornego spokoju, wciąż od nowa zadając sobie pytanie o to, kiedy jej łódka znajdzie się w środku kolejnej burzy.

Na szczęście była Carole Hirsch – rozsądna i miła, potrafiła tchnąć spokój w życie każdego człowieka. Zaczęła od przynoszenia Sarah wiadomości o Jacobie: jak się ma, jak idzie leczenie; i przynosiła jej pierwsze listy od niego. Potem przejęła się jej ciężą: bólami krzyża, spuchniętymi nogami i paleniem w żołądku. Na koniec dała jej jakieś zajęcie, żeby odciągnąć ją od niepokoju.

Carole Hirsch żyła całkowicie zwrócona w stronę innych ludzi; kiedy nie była w szpitalu, poświęcała się ruchowi oporu. Nie miała rodziny ani żadnych innych obowiązków, poza powołaniem do pomocy bliźnim.

W grupie, do której należała, byli lekarze, pielęgniarki i inni pracownicy z Rothschilda, zakonnice i chrześcijańscy duchowni albo po prostu dobrzy Francuzi, którzy stworzyli siatkę ucieczkową dla żydowskich sierot i dla dzieci, których rodzice znaleźli się w Drancy i tam czekali na wywózkę.

Kiedy kobiety w ciąży z Drancy przychodziły do szpitala, żeby urodzić, w wielu przypadkach zmieniano akty urodzenia i fikcyjnie stwierdzano zgon przy porodzie. Innymi razy same dzieci z Drancy pojawiały się w szpitalu pod pretekstem chorób, których naprawdę nie miały. Później fałszowano akt urodzenia, żeby mogły uchodzić za chrześcijan, budowano dla nich nową osobowość z fałszywymi dokumentami i umieszczano je w nowych rodzinach – w samym Paryżu, w wioskach albo gospodarstwach na obrzeżach lub nawet poza granicami Francji, w Szwajcarii, w Hiszpanii i w Stanach Zjednoczonych.

Sarah szybko zaczęła brać udział w tej pracy. Jej mieszkanie było znakomitym lokalem przejściowym dla dzieci wykradzonych z Rothschilda, dopóki nie znalazło się dla nich rodziny albo nie przekazało się ich innej siatce, która zajmowała się wywozem dzieci za granicę. Przy pomocy Carole przyjmowała je, karmiła, kąpała, ubierała i czytała im bajki na dobranoc, dopóki

nie zajął się nimi ktoś inny. Nawet małżeństwo Matheusów w końcu zaczęło współpracować i przyjęło dwuletniego malucha, którego Carole i organizacja wyciągnęły w ostatniej chwili z wagonu kierowanego na wschód.

Wszystko wskazywało na to, że Jacob ma się coraz lepiej, i doktor Vartan był optymistą co do postępów w jego leczeniu. Mimo że Jacob otrzymał bardzo wysoką dawkę kokainy, wystawiony był na jej działanie bardzo krótko, więc lekarz był przekonany, że zmiany neurologiczne nie są poważne. Poza tym, skoro skończył się dostęp do narkotyków, zmiany nie będą się pogłębiały. Doktor Vartan skupił się więc na leczeniu zaburzeń snu, apetytu i stanu ducha Jacoba, będących wynikiem głodu narkotykowego. Największym zmartwieniem doktora było dążenie do samookaleczenia i skłonności samobójcze, okazywane przez Jacoba od pierwszej chwili, jak również to, że kokaina biologicznie uszkodziła jego mózg, powodując przewlekłą depresję. Dlatego postanowił skupić wszystkie swoje wysiłki na próbie wyleczenia depresji Jacoba. Chciałby mieć do dyspozycji środki, którymi dysponował w Świętej Annie, móc zrobić mu encefalogram albo zastosować terapię elektrowstrząsami. Jednak musiał się zadowolić środkami znajdującymi się w jego zasięgu, przede wszystkim psychoterapią i podstawowymi lekami: witaminą B<sub>1</sub> i węglanem litu, potajemnie wynoszonym ze szpitala z pomocą doktora Woźniaka.

Za każdym razem, kiedy doktor Vartan z wielkim entuzjazmem opowiadał o tym Sarah, ona pilnie słuchała, ale praktycznie nic nie rozumiała. Nie miało to jednak znaczenia, największą nadzieję dała jej ostatnia wiadomość: „Leczenie Jacoba przynosi świetne wyniki, postępy są lepsze od przewidywanych, mademoiselle Bauer. Wierzę, że uda nam się całkowicie go wyleczyć”.

Sarah znajdowała potwierdzenie w listach pisanych przez Jacoba i przesyłanych przez Carole Hirsch. Były coraz dłuższe i Jacob przejawiał w nich coraz większy entuzjazm. W ostatnim opowiadał jej, że doktor Woźniak uczy go wyrobu fałszywych dokumentów dla ruchu oporu: wymazywania pieczętek i zastępowania innymi, usuwania fotografii bez uszkodzenia papieru, drukowania nowych dokumentów, fałszowania podpisów, zmieniania dat... Ta praca go bawiła i sprawiała, że znowu czuł się użyteczny.

Jego list kończył się tymi samymi zdaniami co zawsze: „Jedyny ból, jaki jeszcze mnie trapi, Sarah, wynika z tego, że nie mogę cię zobaczyć. Jedyne, czego mi w tej chwili brakuje, to ty”.

Jednak Sarah, w porozumieniu z doktorem Vartanem, postanowiła nie odwiedzać go, dopóki nie urodzi.

\* \* \*

Sarah od kilku miesięcy nie odwiedzała hrabiny. Zajęcia w księgarni i przy ukrywanych w domu dzieciach niemal nie zostawiały jej czasu na nic innego. Poza tym Sarah nie chciała odwiedzać hrabiny, nie chciała jej mówić o ciąży.

Miała zamiar czekać do ostatniego miesiąca przed rozwiązaniem, kiedy jej brzuch będzie tak wielki, a stan tak oczywisty, że nie trzeba będzie strzępić sobie języka. I tak zrobiła.

Sarah nie spodziewała się przejawów radości, może raczej tylko zaskoczenia, ale absolutnie nie spodziewała się lekceważenia.

– A więc to dlatego nie odwiedzałaś mnie przez tyle czasu... – powiedziała hrabina, gdy tylko zobaczyła brzuch.

Sarah wołała nie odpowiadać.

– To wstyd... Do tego głupota – dodała hrabina z cierpkim grymasem. – Na szczęście twój ojciec nie żyje i nie musi być świadkiem twojej niegodziwości i lekkomyślności.



Hrabina wiedziała, jak używać słów, żeby sprawiły największy ból. Ale Sarah nie szanowała aż tak swojej babki, w ogóle jej nie szanowała, by staruszka mogła ją dotknąć tak bardzo, jak tego chciała.

– Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Nie pochwaliliby mojej lekkomyślności ani braku rozsądku, ale potrafiliby docenić wartość życia, kiedy wszystko wokół to tylko śmierć i zniszczenie.

Ponieważ nie wiedziała, jak odpowiedzieć, hrabina odezwała się, poczęstowawszy ją pogardliwym spojrzeniem:

– Nalejesz herbaty? I powiedz mi, jeśli wiesz, kto jest ojcem tego dziecka.

Sarah ściągnęła płaszcz i wzięła czajniczek. Nalała herbaty do obu filiżanek, zanim zaspokoila ciekawość staruszki, zadając sobie jednocześnie pytanie, po kiego diabła z własnej woli poddaje się tym szyderstwom.

– Jacob – wyjawiała niemal z dumą, wiedząc, jak bardzo rozdrażni tym staruszkę.

Nie myliła się. Babka uniosła cienką kreskę namalowaną tuszem w miejsce brwi i powtórzyła takim tonem, jakim mówiłaby o czymś obrzydliwym:

– Jacob...? O Najświętsza Panienko! Nie tylko jest Żydem, ale do tego zwykłym stajennym. Dziewczyno, o czym ty myślałaś, kiedy pozwoliłaś się uwieść tak pospolitemu mężczyźnie, źle wychowanemu i nieprzyjemnemu?

Sarah stoicko przyjmowała ten potok słów. Nie miała zamiaru wdawać się w dyskusję z babką ani sprawić jej przyjemności. Ograniczyła się do beznamiętnego popijania herbatki.

– Służący ojcem mojego prawnuka! Nie wierzę...

– Uratował mi życie – zauważyła Sarah, broniąc Jacoba. – I uratował rodzinny skarb.

– To oczywiste, że przesadziłaś w okazywaniu mu wdzięczności.

– Cóż... Czas już najwyższy, żeby ten obraz przestał odbierać ludziom życie, a zaczął je dawać, nie uważa pani? – rzuciła ironicznie, gładząc się po twardym brzuchu.

– Oczywiście okazujesz niepokojącą lekkomyślność, dziewczusko. Mam nadzieję, że w przyszłości nie będziesz musiała tego żałować i że ten człowiek bez kultury, wykształcenia i wychowania nie zatruje ci życia.

Sarah wruszyła ramionami.

– Wszyscy popełniamy błędy. A niektórzy płacą za nie przez całe życie...

Hrabina spojrzała na nią nad krawędzią filiżanki. Zrozumiała to, co Sarah chciała jej powiedzieć. Ta dziewczyna jest uparta i przebiegła. Odbicie jej samej z lepszym tłem, życie jeszcze za bardzo jej nie zdeprawowało.

– Szkoda, Sarah. Przy twojej urodzie i inteligencji mogłaś aspirować do czegoś więcej. Masz tylko jedną wadę: jesteś jeszcze naiwna... i jesteś Żydówką. Paryż pełen jest dziś niesamowitych mężczyzn, mężczyzn wykształconych, uczciwych i dobrze wychowanych... Jak major von Bergheim...

Sarah aż podskoczyła, usłyszawszy jego nazwisko w ustach hrabiny.

– Major von Bergheim?

– Tak powiedziałam: major von Bergheim. Wiesz, o kogo mi chodzi, nieprawdaż?

Sarah skinęła głową. Oczywiście, że wiedziała... Boże! Nie było dnia, w którym by o nim nie myślała.

Co się stało z majorem? Pochłonęła go ziemia? A może pochłonęli go pobratymcy? Sarah uznała już wcześniej, że coś poszło nie tak, że podstęp z fałszywym obrazem nie wypalił i Georg za to zapłacił. Zdegradowano go, a może nawet postawiono przed sądem wojennym. Na samą myśl o tym skręcał się jej żołądek i zaczynało ją ścisnąć w piersiach, traciła dech... „Nie – mówiła sobie – gdyby tak było, gestapo już by zastukało do moich drzwi”. Tylko w taki sposób

potrafiła przepędzić złe duchy i zaczynała się lepiej czuć. Ale Georg, Georg von Bergheim nigdy nie opuszczał jej myśli.

Oczywiście, że wiedziała, kim jest major von Bergheim. Pytanie, skąd wiedziała o tym hrabina. Jak to możliwe, że ona całymi miesiącami nie miała od niego wiadomości i pierwszą otrzymywała od swojej babki?

– Odwiedził mnie kilka dni temu – wyjaśniła hrabina. – Wypiliśmy herbatę i porozmawialiśmy. To był uroczy wieczór. Major jest bardzo miłym i rycerskim mężczyzną.

Hrabina nie musiała jej zachwalać zalet Georga von Bergheima. Ona знаła je aż za dobrze. Nie rozumiała tylko, dlaczego major przyszedł odwiedzić babkę.

– Czego chciał?

– Nie musisz okazywać takiej oschłości, dziewczyno. Bardzo dobrze o tobie mówił. A ty powinnaś mi była wcześniej o nim powiedzieć.

Sarah zaczynała popadać w rozpacz. Dokąd zmierzała jej babka? Dlaczego Georg von Bergheim chciał się z nią zobaczyć? Sarah bardzo się starała opanować swój charakter i gryzła się w język, żeby nie chwycić hrabiny za klapy i nie zażądać wyjaśnienia.

– Wątpię, żeby przyszedł tylko po to, by porozmawiać o mnie – wymamrotała.

– To prawda, nie przyszedł po ciebie. Przyszedł po *Astrologa*.

Sarah serce podeszło do gardła. *Astrologa*? Czy to oznaczało... że wszystko było podstępem majora? Osaczył ją, uwiódł i oszukał, żeby uzyskać od niej jedyną rzecz, której chciał: informację o miejscu przechowywania obrazu. A ona jak idiotka wpadła w pułapkę. „Nie mogłabym ci go dać, nawet gdybym chciała, Georg. Obrazu nie mam ja, tylko moja babka: hrabina de Vandermonde”, wyznała mu naiwnie, kiedy on gładził ją pod brodą.

– Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo się dziwisz, Sarah. Czy to właśnie nie *Astrologiem* oboje się zajmowaliście? To wstyd, że musiałam się tego dowiadywać od majora, bo ty mi nie chciałaś opowiedzieć!

Sarah nie mogła uwierzyć we frywolność staruszki. Ta stara wariatka mogła oddać obraz majorowi zapakowany i z kokardką. Tylko dlatego, że uważała go za czarującego mężczyznę i prawdziwego rycerza; wykształconego Niemca, uczciwego i kulturalnego; nazistę, jednego z tych, których tak bardzo lubiła oglądać na ulicach Paryża.

– Dała mu go pani? – ośmieliła się zapytać Sarah, drżąc na samą myśl o takiej możliwości. – Dostał *Astrologa*?

Hrabina zmarszczyła brwi.

– Nie bądź żałosna, dziecko. Oczywiście, że mu go nie dałam. Przede wszystkim dlatego, że on mnie nawet o niego nie poprosił.

To zupełnie rozbroiło Sarah. Wzburzenie, które zapłonęło w jej wnętrzu, natychmiast zgasło, zostawiając chmurę dymu, która wszystko zasłaniała.

– A więc...

– Opowiedział mi tę historię o fałszerstwie. Doskonały, zabawny podstęp! Bardzo dobrze pomyślany! Śmiały, ale dobrze pomyślany. Jednak ciągle nie rozumiem, dlaczego major jest gotowy brać na siebie takie ryzyko i oszukiwać swoich przełożonych, ale oczywiście ja nie będę go od tego odwozić.

Kiedy hrabina mówiła, Sarah prowadziła własną wewnętrzną walkę, w której Georg von Bergheim zmienił się w swego rodzaju białego rycerza, przemierzającego pole bitwy, żeby zmienić stronę, żeby znowu stać u jej boku.

– Wygląda na to, że podłożenie fałszywego obrazu w miejsce prawdziwego nie jest takie łatwe, jak się wydawało – ciągnęła hrabina. – Specjaliści Himmlera poddają go ekspertyzom, studiom i analizom. Dlatego chciał się ze mną zobaczyć, żebym podała mu różne dane na temat

*Astrologa* i jego historii, aby w ten sposób zwiększyć jego wiarygodność i jego autorytet w oczach przełożonych.

– Ale... dlaczego nie przyszedł do mnie? – To nie było pytanie skierowane do hrabiny.

– Nie wiem. Ty sama powinnaś odpowiedzieć sobie na to pytanie...

Hrabina zmrużyła oczy. Jej przebiegłe i przewrotne spojrzenie stało się jeszcze bardziej przenikliwe. Wydawało się, że w ciszy przeżuwa jakieś pokrętne myśli.

– Słuchaj, Sarah – powiedziała w końcu – ja jestem stara, ale nie głupia... Może dlatego, że jestem stara, widzę rzeczy, których inni nie chcą okazać... Przez chwilę, kiedy zobaczyłam, jak wchodzisz z tym brzuchem, miałam pewne nadzieje co do tego, kto jest ojcem dziecka... Ale oczywiście ty jesteś Żydówką. I to jest coś okropnego, nawet dla kogoś takiego jak major von Bergheim.

Sarah zbladła.

„Kiedy znowu cię zobaczę?”, zapytał Georg, pocałowawszy ją, jakby to był ostatni raz... wiedząc, że to był ostatni raz. Nigdy więcej nie mieli się zobaczyć i on o tym wiedział... Ona też powinna to wiedzieć – nie tylko była Żydówką, do tego nosiła w sobie żydowskie dziecko Żyda... Są takie rzeczy, które bez względu na to, jak bardzo ich pragniemy, nie mogą się wydarzyć.

Sarah była bardzo zła, kiedy przyszła do domu tego wieczoru. Zła na Georga, bo nie chciał do niej przyjść, ale przede wszystkim zła na samą siebie. Bo jej życie było już wystarczająco skomplikowane, a na dodatek ona jeszcze była na tyle głupia, żeby zakochać się w Georgu von Bergheimie. Zła, bo myśl o tym, że go nigdy więcej nie zobaczy, bolała ją jak otwarta rana. Zła, bo bardzo za nim tęskniła i chciała, żeby był obok niej, by przytulić ją i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Zła, bo to się nigdy nie wydarzy, nigdy nie powinno się wydarzyć.

O zmierzchu Sarah dalej była zła i zauważyła, że jej brzuch staje się twardy jak kamień, napina się, jakby skóra miała się rozerwać. Zmęczona i zła poszła do łóżka.

Pierwsze bóle obudziły ją w nocy. Początkowo nie były silne i Sarah powiedziała sobie, że może je znieść, i spróbowała ponownie zasnąć. Jednak stopniowo stawały się coraz częstsze i bardziej intensywne, jak smagnięcia po nerkach, i schodziły w dół brzucha, zapierając jej dech.

Zaczynała się martwić, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Do porodu zostały jeszcze dwa tygodnie, to nie mógł być poród... A może tak? Skąd, u diabła, miała to wiedzieć? Nie odważyła się pójść po pomoc podczas godziny policyjnej. Postanowiła leżeć, wierząc gorąco w to, że bóle ustąpią.

Tak się jednak nie stało. Przeciwnie, wzmogły się, aż stały się nie do wytrzymania, aż nabiegły jej łzy do oczu i chciało jej się krzyczeć z rozpacz. Myślała, że rozpadnie się na dwoje.

O świcie Sarah zrozumiała swoją sytuację. Jej dziecko właśnie miało się urodzić. Była niedziela, więc księgarnia pozostawała zamknięta, ani Matheusowie, ani w ogóle nikt tam nie przyjdzie. Nie była w stanie zejść na ulicę. Miała jedynie tyle sił, żeby dowlec się do drzwi i wołać o pomoc w pustej kamienicy. Nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Sarah będzie musiała stawić temu czoło samotnie. I bała się, bardzo się bała.

Jeśli kiedyś przyszło jej do głowy, że Bóg ją opuścił przez jej grzechy, to tego dnia zdała sobie sprawę, że jego miłosierdzie nie zna granic i że jej wybaczył. Dokładnie w chwili, kiedy Sarah odeszły wody, Carole Hirsch zastukała do drzwi. Przyszła z dokumentami kilkorga dzieci, które należało odebrać następnego dnia.

Gdy tylko Carole przeszła przez próg, zdała sobie sprawę, co się dzieje. Natychmiast położyła Sarah na łóżku, rozchyliła jej nogi, zbadała ją. Z przerażeniem stwierdziła, że dziewczyna ma niemal całkowite rozwarcie i że wkładając palce zaledwie na kilka centymetrów,

może dotknąć główki dziecka.

Nie było czasu, żeby ją dokądkolwiek zabierać ani nawet prosić o pomoc. Ona sama musiała sobie poradzić z przyjęciem porodu. Nie była akuszerką, ale wielokrotnie pomagała przy porodach u Rothschilda; usiłując zachować spokój, Carole sama siebie przekonywała, że jest w stanie to zrobić.

Spojrzała na Sarah: jej twarz była ściągnięta bólem, zalana łzami i potem; zaciskała zęby, żeby nie krzyczeć.

– Krzycz, Sarah, krzycz. Zmniejsz napięcie... Za chwilę będziesz miała dziecko w ramionach... Teraz przyj, aż ci powiem, żebyś przestała...

I Sarah krzyknęła, zanim zaczęła przeć.

\*

## WSZYSTKO ZACZEŁO SIĘ OD DWÓCH WIADOMOŚCI

Przez cały tydzień chodziłam przygnębiona. Do kłótni z Konradem, który spełnił swoją groźbę, pojechał do Madrytu i od czterech dni milczał, doszło jeszcze to, że badanie znalazło się w fazie nudnego oczekiwania, oraz to, że Alain był bardzo zajęty jakimiś popołudniowymi seminariami na uniwersytecie, więc prawie wcale nie mieliśmy czasu, żeby się spotykać. Jakby spadło na mnie przekleństwo Konrada, przez większą część tygodnia siedziałam z założonymi rękami, wypełniając w ten sposób jego złowieszcze proroctwo; nienawidziłam go za to i za nic nie pojechałabym do Madrytu, żeby przyznać mu rację. W żadnym razie nie chciałam wracać do Madrytu z Konradem. Przynajmniej nie z Konradem z ostatnich tygodni: wściekającym się, zamkniętym, agresywnym, nawet niezrównoważonym w swoich reakcjach.

Tysiąc razy zastanawiałam się nad tą przemianą. Czasem go usprawiedliwiałam, składałam to podenerwowanie na karb stresu i przepracowania. Ale innymi razy wolałam go nie usprawiedliwiać. Ja też się zmieniłam – czułam się silniejsza i pewniejsza siebie; próby stanięcia na wysokości jego wymagań już nie spędzały mi snu z powiek. Spędzało mi sen z powiek wspomnienie jego dzikiego wyrazu twarzy i jego gwałtownych zachowań, tak niespotykane częstych w ostatnich dniach.

Przez cały tydzień chodziłam w domowym ubraniu i w okularach i poświęciłam się niemal wyłącznie oglądaniu telewizji oraz pochłanianiu jednej paczki chipsów za drugą, jednocześnie zadając sobie pytanie o to, dokąd, u diabła, zabrnął mój związek z Konradem. To nie wróżyło nic dobrego; od tego do Prozacu jest tylko jeden krok.

Gdybym sobie wyobraziła, co mnie czeka jeszcze przed końcem tygodnia, bardziej bym się cieszyła dressem, okularami, telewizją i chipsami.

Wszystko zaczęło się od dwóch wiadomości, które wyciągnęły mnie z kręgu porzucenia i melancholii.

Pierwsza dotarła do mnie w czwartek po południu, kiedy zadzwonił Teo.

– Ana, kochanie, przygotuj dla mnie kanapę, bo wpadam w weekend.

To wystarczyło, żeby mnie ożywić. Fajnie będzie spędzić weekend z Teo: pójść na zakupy, prowadzić długie pogaduszki między nami dziewczętami, wysłać Konrada na drzewo i pójść się upić w pielgrzymce od baru do baru, no i gapić się na najbardziej niesamowite francuskie tyłki w Paryżu. Sama myśl, że Teo spędzi ze mną cały weekend w Paryżu, wystarczyła, żeby napełnić mi dzień radością, nie potrzebowałam więcej wyjaśnień. Oczywiście Teo nie byłby sobą, gdyby mi ich nie przedstawił, ze wszystkimi możliwymi szczegółami.

– Słuchaj, chodzi o to, że Toni jedzie w piątek do Bilbao. Chciał, żebym z nim pojechał, ale ja dziękuję za pięćset kilometrów jazdy samochodem. Do tego on tam jedzie, żeby odwiedzić swoją matkę, tę dziwkę. I od razu ci mówię, że ja nie pojedę do domeczku mamusi, żeby bawić się w jakiś porąbany teatrzyk sypiania w oddzielnych pokojach, jak gdyby nigdy nic, bo jakaś starucha z naftaliną w cipie nie chce przyjąć do wiadomości, że nie jestem tylko sublokatorem jej synunia, ale że walę go w dupę tak często, jak się tylko da, z czego zresztą jestem bardzo dumny. No to mu powiedziałam: „Słuchaj, żabko, sam pojedziesz zobaczyć swoją wredną matkę, bo skoro jest twoją matką i cię urodziła, to nie masz wyjścia i musisz ją znosić. A ja, kochany, pojedę zobaczyć się z moją królową i będę się pławił w paryskim *glamour*”. Reasumując, dostałem bilet za punkty i jutro będę na Orly o dziewiętnastej trzydzieści, jeśli nie będzie spóźnienia. Mam nadzieję, że poświęcisz mi chwilkę i po mnie przyjedziesz...

Drugą wiadomość dostałam w piątek po południu, kiedy jechałam na lotnisko Orly po Teo, w środku monumentalnego korka na obwodnicy Paryża. Kątem oka zobaczyłam, że zapala

się czerwone światełko BlackBerry – dostałam e-mail.

Wykorzystałam to, że stoję w korku i się nudzę, żeby go przeczytać: nadawcą było Bureau de Livre Foncier du Bas-Rhin, alzacki odpowiednik rejestru własności, gdzie zadaliśmy pytanie na temat domu Bauerów na obrzeżach Strasburga, w Illkirch-Graffenstaden.

Otworzyłam e-mail z nadzieją, niemal po tygodniu od zatrzymania śledztwa. List zawierał załącznik: *une copie immeuble*, krótką notkę z całą informacją o własności Bauerów, którą zapisano w Livre Foncier. Niestety za pomocą BlackBerry nie mogłam go odczytać. Koniecznie chciałam się dowiedzieć, co takiego zawiera, więc zadzwoniłam do Alaina.

Podniósł telefon i odezwał się szeptem.

– Cześć... Możesz teraz mówić?

– Jestem na seminarium. Czy to pilne?

– Nie... No, właśnie dostałam odpowiedź z Livre Foncier, ale jestem w samochodzie i nie mogę otworzyć załącznika. Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy ty możesz, ale rozumiem, że nie.

– Zadzwoń do ciebie, gdy się skończy, dobrze?

– Dobra... na razie.

Rozczarowana opadłam na kierownicę. Moja ciekawość musiała zaczekać.

Na szczęście samolot Teo przyleciał o czasie. Czekałam na mojego przyjaciela dokładnie przy wyjściu. Objęliśmy się. Od tak dawna nikt mnie nie przytulał, że przygarnięcie przez silne i muskularne ramiona smakowało wyjątkowo dobrze, więc zapragnęłam zostać tam choćby minutę dłużej. Jednak Teo śpieszył się, żeby zacząć weekend.

– Spóźniłaś się, gdzieś się szlajała?

– Powiedz to wszystkim Francuzom, którzy mają brzydką manię spędzania piątkowych popołudni na obwodnicy Paryża... Chodź, mam samochód na parking.

Teo złapał swoją walizkę na kółkach i podreptał za mną.

– Oj, skoro przyjeżdżasz samochodem i w ogóle, widzę, że już się kompletnie zadomowiłaś.

– Jest Alaina. Pożyczyłam go od niego, żeby robić za twojego szofera – odpowiedziałam ironicznie.

– Jeszcze jeden poważny powód. Wiesz przecież, że zupełnie nie daję rady jeździć publicznymi środkami transportu. W Madrycie zawsze gubię się w metrze, a przecież piszą tam po ludzku, no to wyobraź sobie, co tu by się działo! Przez tydzień nie wyszedłbym na powierzchnię, jak kret bez GPS-u. Kurwa mać! – wykrzyknął Teo, gdy tylko doszliśmy na parking. – Przysięgnij mi na wszystkie liposukcje, których nie miałem, a powinienem był zrobić, że to nie tym samochodem tu przyjechałaś.

To był on. I żeby mu tego dowieść, wyciągnęłam klucze i otworzyłam bagażnik.

– Co ci się stało? To samochód *vintage*, po prostu citroen 2CV.

– Żółty, królewno. 2CV żółty jak kurczaczek. To najbardziej wieśniacka rzecz, jaką w życiu widziałem. Tym mamy jechać na podryw? Wezmą nas za hipisów!

– No to już wiesz – pokazałam mu bagażnik, żeby wsadził do niego walizkę – *make love, not war*.

Teo wykrzywił się do mnie kpiarsko, wcisnął walizkę do bagażnika, a ja go zamknęłam, nie bez pewnych kłopotów, bo klapa była trochę wykrzywiona. Wsiadliśmy do środka, gdzie wszystko skrzypiało i pischowało.

– Teraz doskonale wiem, jak się czują pestki w cytrynie. – Teo zaczął węszyć. – Dziwnie pachnie...

– To stęchlizna.

– Tak i to jaka!

– Alain prawie wcale nie używa tego samochodu... – W tej samej chwili zadzwonił mój telefon. – No popatrz, o wilku mowa... Odbiorę... Cześć...

– Cześć. Gdzie jesteś?

– Wyjeżdżam z lotniska. Teo chce ci powiedzieć, że zakochał się w twoim samochodzie...

Teo skrzywił się w milczeniu.

– Dlaczego mówisz po hiszpańsku?

– Rozmawiałam z Teo.

– Słuchaj, później do ciebie zadzwonię, skoro prowadzisz.

– Nie, nie, jesteśmy na parkingu. Opowiadaj...

– Właśnie wyszedłem z seminarium. Mam już trochę dosyć i chcę pójść do domu. Może pojedziesz tam i razem to zobaczymy, co?

– Nie wiem. Poczekaj... Alain pyta, czy mogę do niego przyjść zobaczyć jakieś rzeczy związane ze śledztwem.

– Oczywiście powiedz mu, że nie. Bo ten weekend jest tylko dla dziewczynek, żeby się bawić – odpowiedział godnie Teo.

– Nie dąsaj się, Teo, to tylko minutka. To ważna sprawa, coś, na co czekamy od tygodnia. Przysięgam ci, że resztę czasu przeznaczę wyłącznie dla ciebie, bez żadnych przerw. – Kusiałam go nieodpartym uśmiechem.

W końcu uległ.

– Dobrze. Ale potem twój Francuzik niech spada. Jak cały czas będzie nam zawracał gitarę, z podrywu nici.

Uśmiechnęłam się do Teo i wróciłam do telefonu.

– Zaraz u ciebie będę. Nie wiem, ile mi to zajmie, bo jest duży ruch.

– Tak, piątek po południu... Na pewno zdążę się wykapać, zanim przyjdiesz. Ale na wypadek gdybym nie zdążył, zostawię ci klucz na framudze. Wchodź bez dzwonięcia.

– W porządku. Zaraz będę.

– OK, na razie...

Odłożyłam telefon.

– No i co? Posunęłaś go już czy nie?

– Jesteś kretynem, Teo – odpowiedziałam, nie oburzając się. Znając Teo, nie miałam powodu się złościć.

– Ale posunęłaś czy nie? Pytam, bo zauważam pewną... elektryczność w powietrzu.

– Nie. – Włączyłam silnik, licząc, że dzięki temu Teo się zamknie.

– No to pewnie nie dlatego, że nie miałaś czasu, mała.

Westchnęłam bezsilnie, jednocześnie starając się wyjechać bez popadania w złość.

– Nie mam zamiaru go posuwać, to wszystko. Może ty tego nie rozumiesz, ale nie muszę iść do łóżka z wszystkimi facetami, których znam.

– Z wszystkimi nie. Tylko z tymi, którzy są fajni.

– Dobra, Teo, nie mam zamiaru spędzić w taki sposób całego weekendu. Nie posunęłam Alaina i nie mam zamiaru tego robić. Zmieńmy temat.

Teo zrobił typowy dla siebie gest, to znaczy opuścił głowę tak nisko, że brodą dotknął sobie szyi, co miało oznaczać „dobra, dobra, mała”, po czym zmienił temat. Przez całą drogę mówił o wielu innych sprawach, bo był zdolny do rozplływania się na dowolny temat, nawet całkowicie mu nieznanym; typowe dla niego było gadanie dla gadania.





## LISTOPAD 1943

Po wypchnięciu niemieckiego wojska z Afryki Północnej i po wycofaniu się Włoch z wojny alianci byli przygotowani na utworzenie drugiego frontu na Zachodzie. Churchill, Roosevelt i Stalin zebrali się na konferencji w Teheranie, żeby zacząć planowanie inwazji w okupowanej Francji, co przeszło do historii jako Operacja Overlord, która miała swój szczytowy punkt podczas lądowania w Normandii 6 czerwca 1944 roku.

Sarah, opisz mi obraz...” poprosił ją, kiedy się widzieli po raz ostatni. Znajdowali się na tyłach księgarni, leżąc, półnaczy pośród stosów starych książek, pośród szmerów atramentu i papieru, w delikatnym, przytłumionym kurzem świetle. Otoczenie miało w sobie coś magicznego, przynajmniej w jej pamięci.

Ona pocałowała mu pierś i uniosła swe ogromne, zielone, kocie oczy, żeby na niego spojrzeć...

Mój Boże, jakże on za nią tęsknił! – pożałował siebie z fiolką Pervitinu w rękach.

Otworzył ją i wyciągnął jedną pastylkę. Od lat nie brał metamfetaminy. Odstawił ją, kiedy został wycofany ze służby czynnej, jednocześnie zostawiając też morfinę i Eukodal. Nie chciał lekarstw. Lekarstwa go niszczyły, niszczyły jego wolę i wytrzymałość. Zaczął brać Pervitin, gdy wstąpił do SS, podczas kampanii w Polsce. Wszyscy to robili, to była część aprowizacji: metamfetamina utrzymywała wojsko w stanie pobudzenia i euforii – twarde w obliczu ciężkiej walki. Nikt nie mówił, że jej zażywanie jest niedobre, ale on odnosił wrażenie, że im więcej bierze, tym więcej jej potrzebuje, a to nie mogło być dobre. Potem, kiedy został ranny we Francji, wstrzyknięto mu pierwszą dawkę morfiny. Zrobił to lekarz kutas, ten sam, któremu musiał zagrozić pistoletem, żeby mu nie odcinał nogi. Potem było więcej porcji morfiny i Eukodalu, żeby uśmierzyć ból podczas rekonwalescencji i rehabilitacji... W końcu był już uzależniony od tego gówna; musiał brać, żeby wstać z łóżka albo po prostu mieć dobry humor. Pewnego pięknego dnia zdecydował, że tak dalej być nie może. Nie może być tak, że cholerne lekarstwa będą kontrolować jego życie, więc wszystkie je wyrzucił do śmieci. Następne tygodnie były kalwarią trwogi i bólu, próbą ognia jego woli. Ale minęły... I teraz brał co najwyżej aspirynę i od czasu do czasu kieliszek alkoholu, za każdym razem, gdy okrutnie doskwierało mu kolano.

Jednak tamtego dnia wysiadł z pociągu, który przywiózł go z Westfalii, będąc ogarnięty jedną obsesją: zdobyć Pervitin albo cokolwiek innego na zszargane nerwy i okropne zmęczenie.

Georg rzucił okiem na leżącą na dłoni tabletkę...

Czuł się wyczerpany, fizycznie i psychicznie dręczony napięciem, odpowiedzialnością i dylematami moralnymi. Od chwili, kiedy zawiózł Himmlerowi fałszywy obraz, presja coraz bardziej rosła. Odkąd zdecydował się więcej nie oglądać Sarah, zżerał go smutek.

„Sarah, opisz mi obraz...”

„Nie wolisz go obejrzeć?”

„Nie muszę go oglądać...”

Co za różnica, jaki ten obraz jest w rzeczywistości? Nikt go wcześniej nie widział, łatwo będzie go przedstawić jako oryginał, łatwo będzie ich oszukać...

Tak mu się wydawało. A jednak kwestionowano wszystko od pierwszej chwili, w której Georg pojawił się w Wewelsburgu z fałszywym *Astrologiem* pod pachą. Poza kompletnym i wyczerpującym raportem, który Georg musiał przygotować na temat pochodzenia, natury i historii *Astrologa* oraz swojego badania, specjaliści z Ahnenerbe analizowali, badali, studiowali i rozkładali obraz na czynniki pierwsze pod niespokojnym i przygnębnym spojrzeniem Georga,

który bał się, że od ciągłego wstrzymywania oddechu w końcu się udusi. Zamknięcie w Wewelsburgu, w tym przygnębiającym i przytłaczającym środowisku, pod ciągłą obserwacją Himmlera i jego ludzi, ze świadomością, że obraz jest fałszywy, było jak trzymać w ręku granat bez zawleczeni i nie móc go wyrzucić. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiego psychicznego osaczenia, paranoicznego niepokoju, który kompletnie go rozbijał: nie mógł spać ani jeść, ani jasno myśleć.

Szczęśliwie fałszerz, którego polecił mu Lohse, nie tylko był dobry, ale wręcz doskonały, był mistrzem. Dobrą zapłatę dostał za te dwa Rembrandty i Vermeera, które dał na wymianę. Nawet sam Georg był zachwycony jakością falsyfikatu, gdy zobaczył go po raz pierwszy: patyna, wykonanie, kolory, rysy... Równie dobrze mógł go być namalować sam Giorgione; nawet rama i płótno były z XV wieku.

Jedną wszakże sprawą było przejście oględzin wizualnych, a drugą prób laboratoryjnych, którym obraz został poddany: analiza pigmentacji i prześwietlenie promieniami rentgenowskimi. Było trudno, ale udało się: eksperci z Ahnenerbe po tygodniach analiz uznali go za oryginał.

A jednak nerwy Georga zostały na zawsze zniszczone...

Poruszył pastylką Pervitinu leżącą na dłoni...

„Sarah, opisz mi obraz...”

„Nie wolisz go obejrzeć?”

„Nie muszę go oglądać... Chcę tylko, żebyś mi go opisała...”

Kiedy Sarah mówiła o sztuce, dwie najpiękniejsze rzeczy na świecie łączyły się w jedną i Georg doświadczał rozkoszy niemal seksualnej, nieopisanej ekstazy, jak ta, którą pamiętał z Illkirch.

Rezygnacja z Sarah była bardzo trudna, jak głód narkotykowy. Ale Georg musiał z niej zrezygnować. Dlatego że ją kochał, musiał z niej zrezygnować. Oprócz cierpienia i smutku nie potrafił nic jej ofiarować. Nie tylko był mężczyzną żonatym i z dziećmi, który kochając ją, zdradzał swoją rodzinę; kochając Sarah, zdradzał także swoją ojczyznę i Führera, a nie minie wiele czasu i Georg, odznaczony bohater wojenny, popadnie w niełaskę i skończy przed plutonem egzekucyjnym. Nie może pociągnąć za sobą Sarah... Przeciwnie, powinien ją uratować, zanim sam upadnie.

„Z całym szacunkiem, panie Reichsführer, nie uważam, że konieczna jest jej wywózka. Ta żydowska dziewczyna jest tylko żydowską dziewczyną bez znaczenia. Mamy już obraz, niech nam opowie wszystko, co o nim wie, i zapomnimy o niej”.

Dzień wcześniej, nie posuwając się dalej, odważył się przeciwstawić Himmlerowi. Reichsführer chciał ją aresztować i wysłać do jednego z obozów koncentracyjnych na terenie Polski, skoro już im nie była potrzebna.

Miał szczęście, że zastał go w zaskakująco dobrym humorze. Himmler obdarzył go dobrodusznym uśmiechem, po czym spokojnie wyjaśnił:

„Nic nieznacząca młoda Żydówka? Być może, Sturmbannführer. Kobiety i dzieci dziś mogą być nic nieznaczące, nawet niegroźne. Ale proszę się dobrze zastanowić: kim ja jestem... jaką ponoszę odpowiedzialność moralną za dopuszczenie do tego, że nasze dzieci i dzieci naszych dzieci będą jutro wystawione na zemstę dzieci tych, których dziś nie czujemy się zobowiązani wytepić, bo nie są zagrożeniem dla Niemiec? Nie byłbym osobą przyzwoitą, gdybym uległ moralnej słabości i skrupułom i dopuścił, żeby do tego doszło. Trzeba badać wrogów Niemiec, wszystkich. To trudne, nie zaprzeczam, w końcu jestem człowiekiem. Chodzi prawdopodobnie o najtrudniejszą decyzję, jaką podjęliśmy w naszym życiu, ale ktoś to musi zrobić. Nie liczę na to, że mnie pan zrozumie, Sturmbannführer, po prostu proszę wypełniać moje rozkazy: wykonywanie obowiązków czyni nas twardymi”.

W tej chwili Georg miał już pewność, co się dzieje, jak krwawa jest rzeczywistość. Naprawdę ich zabijali! Wszystkich! W sposób systematyczny, zorganizowany i precyzyjny. Celem było usunięcie Żydów z powierzchni ziemi: mężczyźni, kobiety i dzieci będą eksterminowani bez wyjątku. A najgorsze było to, że byli absolutnie przekonani, że robią to w imię sprawiedliwych i wyższych celów. Do tego stopnia chore były ich umysły.

Georg musiał ostrzec Sarah, musiał jej pomóc ująć z masakry. Musiał znowu ją zobaczyć...

Po raz kolejny spojrzał na pastylkę Pervitinu...

Szybkim ruchem wsunął ją sobie do ust. Wszedł do łazienki, odkręcił kran nad umywalką i napił się wody prosto z niego. Następnie wysypał resztę tabletek z fiolki do ustępu i pociągnął za spłuczkę.

Wiedział, że wcześniej czy później pożałuje, że się pozbył tabletek, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że będzie kłął z tego powodu już następnego dnia rano.

Georg wbiegł po schodach, pokonując po dwa stopnie. Pervitin zaczynał działać, więc czuł się pełen energii, zdolny do zrobienia wszystkiego.

Zadzwoił do drzwi Sarah. Nikt nie odpowiedział. Znowu to zrobił. Nie było odpowiedzi.

Widział, że księgarnia jest zamknięta, więc pomyślał, że Sarah będzie w domu. Ponownie nacisnął przycisk – dźwięk dzwonka, na który nikt nie odpowiadał, wydał mu się agresywny.

Gdzie ona może być? U babki? Minęła już pora obiadu, więc niebawem będzie musiała otworzyć księgarnię... Energicznie zastukał do drzwi; wszystko robił nader energicznie, nie był w stanie powściągnąć siły.

– Sarah!

Uderzał w drzwi raz za razem, w końcu robił to pięścią.

– Sarah!

I wtedy usłyszał. Dźwięk, który przypominał miauczenie, skrzeczenie mewy albo dziecięcy płacz... Co to, u diabła, było?

– Sarah! – wrzasnął na cały głos. – Sarah! Jesteś tam? Tu Georg! Otwórz mi drzwi!

To naprawdę był płacz dziecka, zrozumiał zmieszany. Płacz coraz bardziej wyraźny i coraz mocniejszy.

Znowu zaczął walić w drzwi i naciskać dzwonek jak szaleniec.

– Do wszystkich diabłów, Sarah! Otwórz te drzwi!

Płacz doprowadzał go do szału. Cofnął się o kilka kroków i zebrał siły, żeby wyważyć drzwi.

W tej chwili drzwi powoli się otworzyły. Georg stanął jak sparaliżowany.

– O co chodzi? Gdzie jest Sarah?

Nie czekając na odpowiedź, pchnął drzwi oraz stojącą za nimi nieznaną kobietę i wielkimi krokami wkroczył do mieszkania.

– Co pan robi? Kim pan jest?

Marion chciałyby okazać więcej odwagi i zdecydowania, ale była bardzo przestraszona. Nie jest dobrze, kiedy mężczyzna w mundurze SS dobija się do czyichś drzwi. Jednak gdy zobaczyła, jak krąży po pokoju zdenerwowany, niczym wygłodniały wilk, rozpoznała go; zdradziło go to, że kuleje. Ten mężczyzna był oficerem, który śledził Sarah po całym Paryżu, spędzał całe godziny pod jej oknem i obserwował każdy jej ruch.

– Gdzie jest Sarah Bauer? – Odwrócił się wściekły.

„Co odpowiedzieć? Co ma zrobić z tym szalonym furriatem, który wtargnął do domu?” – pytała samą siebie zatrwożona Marion.

W drzwiach sypialni pojawiła się pani Matheus z malutką na rękach; dalej mocno płakała

i nie przestanie, dopóki nie dostanie jeść.

Obie kobiety spojrzały na siebie, a Georg spojrział na nie. Wszyscy byli zdumieni i zmieszani.

Georg miał ochotę wyciągnąć pistolet i wystrzelić kilka razy, żeby te głupie kobiety wreszcie zareagowały.

– Co się dzieje? Gdzie jest Sarah Bauer? Żądam wyjaśnień! Już!

Pani Matheus, nie tracąc czasu na słowa, usunęła się na bok, robiąc mu przejście. Georg zrozumiał – przeszedł przez pokój i wszedł do sypialni.

Zasłony były częściowo rozsunięte i w półmroku zobaczył ją, leżała w łóżku. Sarah się nie poruszyła.

Georg zatrwożył się – przy takim zamieszaniu nie mogła spać. Podbiegł do łóżka i usiadł przy niej, pragnąc odnaleźć jakiś ślad życia w tym nieruchomym ciele.

Sarah ciężko oddychała i miała twarz zalaną potem. Sarah żyła... Boże, żyła! Z tchem zapartym z emocji wyszeptał jej imię i pogładził ją, była rozpalona. Georg chciał zetrzeć jej ręką pot z czoła, więc ona otworzyła oczy.

– Georg... – wyszeptała słabo.

Marion nie mogła uwierzyć w to, co słyszy: Sarah zwraca się do oficera SS po imieniu!

– Co się z tobą dzieje, Sarah? Co ci jest? – Ton głosu Georga był nagły, rozpaczliwy.

Pani Matheus, obserwująca scenę z progu, zostawiła dziecko w ramionach Marion i podeszła do łóżka.

– Urodziła tydzień temu – zaczęła opowiadać. – Urodziła tutaj, w domu. Poród bez problemów. Ale wczoraj poczuła się źle i dziś rano miała pierwsze krwawienie, potem przyszła gorączka, coraz wyższa i nie udało nam się jej zbić.

Georg chciał się uspokoić i pomyśleć, pomyśleć tylko o sprawach zasadniczych.

– To może być infekcja... – stwierdził. – Natychmiast musi ją zobaczyć jakiś lekarz...

– Mój mąż poszedł po lekarza – poinformowała go pani Matheus, myśląc o doktorze Vartanie. – Ale dopiero co wyszedł, jakieś dziesięć minut temu. Trochę potrwa, zanim wróci.

– Nie ma czasu. – Georg był kategoryczny. – Na dole zostawiłem samochód, sam ją zawiozę do szpitala, i to zaraz.

Jak powiedział, tak zrobił, objął Sarah ramieniem i podniósł ją z łóżka. Zobaczył pościel poplamioną krwią, więc pośpiech stał się jeszcze bardziej oczywisty.

– Pomóżcie mi ją okryć kocem. Szybko.

Obie kobiety patrzyły na niego zdumione. Pani Matheus miała wątpliwości, Marion bezpośrednio stawiała mu czoło.

– Nie może pan tego zrobić! Kim pan jest, że tak ją pan sobie zabiera?

– Może woli pani, żebym tu został i posiedział przy łóżku, patrząc, jak umiera?

– Ale ona nie chce iść do szpitala! Mówi, że ją aresztują!

Georg spojrział na Sarah. Potem mocno ją przytulił.

– Nie. Nie zrobią tego, jeśli ja z nią będę.

Marion zamurowało.

Kiedy pani Matheus okryła Sarah kocem, Georg ruszył do wyjścia. Marion szła za nim z płaczącym dzieckiem w ramionach. Zanim wyszli, zatrzymała go.

– A dziecko? Co zrobi bez matki? Musi jeść...

– Proszę jej dać krowie mleko... rozcieńczone wodą.

– Mleko? – powtórzyła Marion kpiąco i bezczelnie. – Odkąd Niemcy są we Francji, francuskie krowy nie dają już mleka dla francuskich dzieci.

Jak zongler Georg spróbował włożyć rękę do kieszeni spodni, jednocześnie trzymając

Sarah. Wyciągnął kilka banknotów i jednym ruchem rzucił je na stół.

– Na pewno kobieta z takim językiem jak pani bez trudu kupi za to mleko.

Georg zniknął za drzwiami, zostawiając Marion z ustami otwartymi na widok niemieckich marek.

\* \* \*

Georg położył Sarah na kanapie w szpitalu Pitié-Salpêtrière.

– Nie... Nie zostawiaj mnie tutaj... Nie chcę tu być. – Sarah była tak słaba, że niemal nie mogła oponować. – Gdzie dziecko? Gdzie jest moja córka?

– Spokojnie, Sarah... Szybko zobaczysz swoją córkę. Ale najpierw musisz wyzdrowieć. – Sarah niecierpliwie zwiłała się na kanapie. – Jestem z tobą, Sarah. Nie musisz się martwić, wszystko będzie dobrze.

– Nie zostawiaj mnie, Georg...

– Zaraz wrócę. Pójdę po lekarza. – Georg pocałował ją w czoło. – Spokojnie...

W recepcji natknął się na dwie pielęgniarki. Georg skierował się do jednej z nich, do tej, która nie rozmawiała przez telefon.

– Przepraszam, ta kobieta pilnie potrzebuje lekarza.

– Chwileczkę – odpowiedziała pielęgniarka, nie unosząc wzroku znad jakichś papierów.

– Nie, nie mam chwileczki!

Pielęgniarka spojrzała na niego z dezaprobatą – każdy myśli, że jego sprawa jest najważniejsza.

– Ta kobieta jest w bardzo ciężkim stanie. Musicie się nią zająć natychmiast – wyjaśnił Georg, zniżając głos.

Pielęgniarka spojrzała ponad jego ramieniem. Rzeczywiście, kobieta leżąca na kanapie nie wyglądała najlepiej. Nie zmieniając wyrazu twarzy ani podejścia, wyciągnęła jakiś papier spod lady.

– Trzeba wypełnić ten formularz. Proszę o dokumenty.

Georg wyciągnął *Soldbuch* z marynarki munduru i położył go na kontuarze. Pielęgniarka spojrzała na niego kątem oka.

– Pańskie nie, tej pani – wyjaśniła cierpko.

Tej pani? W pośpiechu i nerwach o niczym nie pomyślał, po prostu udał się do najbliższego szpitala, nie bacząc na to, że Pitié to niemiecki szpital wojskowy i że jej nie przyjmą bez dokumentów. Ale Georg już tam był i nie miał zamiaru wychodzić.

– Nie mam jej dokumentów. Przyszliśmy tu w pośpiechu i nie myślałem o dokumentach.

Pielęgniarka westchnęła.

– Bardzo mi przykro, ale bez dokumentów nie możemy jej przyjąć.

– Proszę ją przyjąć, a ja potem doniosę te dokumenty.

– Przykro mi, ale to niemożliwe – była niewzruszona.

Georg poczuł, że zaczyna go ogarniać gorąco, ale starał się zachować panowanie nad sobą.

– Chce mi pani powiedzieć, że przez brak tych cholernych dokumentów pozwolicie, żeby ona umarła w holu szpitala?

Kobieta wydawała się niewzruszona.

– Ja nie tworzę zasad, Herr Sturmbannführer. Musi pan zrozumieć, że to jest szpital wojskowy i nie możemy przyjąć każdego, kto wejdzie przez te drzwi bez odpowiednich dokumentów.

– Ale ta kobieta to nie jest ktokolwiek: to moja asystentka i do tego żołnierz. – Georg

zawahał się przez chwilę, zanim dodał: – SS Helferin Braun. Sandra Braun. A teraz proszę zapisać nazwisko w tym cholernym formularzu. – Jego wściekłość rosła, pulsowała mu w skroniach i ścisnęła mu szczęki. Georg przeczuwał, że wkrótce wybuchnie, jeśli ta kobieta dalej będzie niemiła i nieprzejednana. – Jestem oficerem Waffen-SS, rozkazuję, żeby to pani zrobiła na moją odpowiedzialność.

Pielęgniarka zaczęła czuć się osaczona. Szybko rzuciła okiem na towarzyszkę, która podeszła zaalarmowana tonem tego oficera.

– Może ją pan zabrać do szpitala Saint-Antoine albo Cochin – zasugerowała. – To szpitale publiczne. Są niedaleko stąd i tam przyjmą ją bez żadnych wymagań.

Georg natychmiast się uspokoił. Skoro są inne możliwości, nie należy naciskać i skończyć w bagnie, z którego później trudno będzie się wydostać.

– Który jest najbliżej?

Ta bardziej miła pielęgniarka zastanowiła się przez chwilę.

– Może Saint-Antoine... Jest po drugiej stronie rzeki. Jeśli przejedzie pan przez most Austerlitz i dalej pojedzie prosto, dojedzie pan do rue du Faubourg Saint-Antoine, proszę tam zapytać.

Szczęśliwie w szpitalu Saint-Antoine sytuacja była całkowicie inna. Podczas drogi z Pitié Sarah straciła przytomność, Georg pomyślał, że umrze mu w ramionach, więc był gotowy postraszyć pistoletem każdego, kto mu się choć odrobinę przeciwstawi. Nie było to konieczne. Gdy tylko przyjechał, kilka pielęgniarek podbiegło, żeby się nią zająć.

– Co jej jest? – pytały, kładąc ją na noszach.

Georg bardzo się wysilił, żeby wysłowić się w swoim mizernym francuskim.

– Ma gorączkę i krwawi. Chyba mocno.

– Nazwisko?

– Sarah Bauer.

– Wiek?

– Nie... Nie wiem. Dwadzieścia... Może więcej.

Nie tracąc więcej czasu, ponieśli ją w głąb szpitala. Georg chciał iść za nimi.

– Przykro mi, monsieur, pan nie może tu wejść. – Pielęgniarka zatrzymała go miłym głosem. – Jeśli pan chce, może pan zostać w poczekalni.

Georg widział, jak Sarah znika za wahadłowymi drzwiami. Bezsilność zajęła miejsce wściekłości. Czuł ekstremalne pobudzenie, czuł, że musi coś zrobić, że nie może beczynnie siedzieć, patrząc, jak Sarah oddala się w tym stanie, że on powinien móc ją uratować... Jednak pielęgniarka popychała go delikatnie w stronę poczekalni.

– Proszę się nie martwić, monsieur, pańska żona jest już w dobrych rękach.

Ta sala była jak cela izolatki, wąska i przytłaczająca. Działanie Pervitinu znalazło się w szczytowym punkcie i Georg nie mógł spokojnie usiedzieć. Chodził w tę i z powrotem z szaleńczą obsesją i bez ustanku palił papierosy, dopóki nie spalił niemal dwóch paczek. W tym pomieszczeniu czas się zatrzymał i Georg najbardziej chciałby roztrzaskać meble, żeby sobie ulżyć. Jeśli posiedzi jeszcze trochę, niechybnie zwariuje.

Nie potrafił powiedzieć, jak wiele czasu spędził w tej diabelskiej sali, wiedział tylko, że zapalił swego ostatniego papierosa, kiedy w jego stronę skierował się mężczyzna w białym fartuchu.

– Jestem doktor Bernard. Przyjechał pan z Sarah Bauer?

Georg podszedł do niego gwałtownie.

– Tak! Co z nią?

Lekarz był starszym człowiekiem, którego miły wygląd i spokojne gesty natychmiast

uspokoiły Georga.

– Czy jest pan jej mężem?

– Nie... Nie. Jestem... – Georg zawahał się. Kim, u diabła, był dla Sarah? – Jestem jej przyjacielem.

Doktor Bernard spojrział na Georga, zobaczył mundur SS i usłyszał jego silny niemiecki akcent: przynajmniej ten bosz był na tyle porządny, że nie porzucił dziewczyny.

– W porządku?

Z aseptycznego wyrazu twarzy doktora Bernarda nie można było nic wyczytać.

– Niedawno urodziła... – Doktorowi Bernardowi wydawało się istotne przede wszystkim wyjaśnienie tego punktu.

– Tak... Tak, z tego, co wiem.

– Mademoiselle Bauer cierpi na infekcję poporodową, zlokalizowaną w endometrium.

– Endometrium?

– W błonie śluzowej macicy. To powikłanie typowe przy porodach.

Georg starał się okazywać spokój, ale nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Czy to poważna sprawa?

– Infekcja jest dość zaawansowana i mademoiselle Bauer jest bardzo osłabiona, straciła wiele krwi. Zrobiliśmy jej transfuzję i podaliśmy pierwszą dawkę antybiotyku. Trzeba kontrolować infekcję i starać się uniknąć jej przerzucenia na przyległe organy albo na inne drogą limfatyczną albo żylną. Najbliższe dwadzieścia cztery godziny będą decydujące.

Dla Georga próby zrozumienia tego człowieka były istną torturą.

– Ale wyjdzie z tego, prawda?

– Bez leczenia infekcja jest śmiertelna. Dobrze pan zrobił, że ją przywiózł... kapitanie?

– Majorze. Major Georg von Bergheim. Czy mogę ją zobaczyć?

– Nie, teraz nie. Lepiej dajmy jej odpocząć... I jeśli pozwoli pan, że mu doradzę, pan też powinien trochę odpocząć, majorze. – Doktor Bernard dostrzegł skrywane pobudzenie tego mężczyzny, jak również jego rozszerzone źrenice. – Proszę iść do domu i się przespać. Jeśli wszystko potoczy się po naszej myśli, jutro będzie pan mógł zobaczyć mademoiselle Bauer.

„Do domu...?” Georg poczuł się dezorientowany, ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że mógłby stamtąd odejść i zostawić Sarah. „Nie zostawiaj mnie, Georg...” „Jestem przy tobie, Sarah...”

– Gdzie mogę kupić papierosy, panie doktorze? – zapytał swoim prymitywnym francuskim.

– Obawiam się, że w tej chwili nigdzie...

„Dlaczego ten cholerny bosz, oślizły oficer SS, najgorszego z najgorszych, wzbudza we mnie taki żal?” – zadał sobie pytanie francuski lekarz. Doktor Bernard włożył rękę do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów.

– Proszę... proszę ją zatrzymać.

Georg przyjął papierosy bez żadnych obiekcji. Czuł, że ich potrzebuje.

– Dziękuję.

– Jeśli poprosi pan którąś z pielęgniarek o koc, będzie się pan mógł trochę przespać tutaj. Naprawdę uważam, że pan tego potrzebuje – dodał doktor Bernard, zanim wyszedł z poczekalni.

Następnego poranka Georg ledwie stał na nogach. Noc była piekłem: niekończącym się, pełnym cierpienia i udręki. Na skutek działania metamfetaminy, wobec zmartwień i niewygody, nie mógł zasnąć nawet na chwilę. Kiedy skończyły mu się papierosy doktora Bernarda, był przekonany, że tego nie wytrzyma, że nie da rady z tymi wszystkimi myślami masakrującymi mu głowę: Od kiedy Sarah była w ciąży? A jeśli to on jest ojcem dziewczynki? A jeśli Sarah umrze?

A jeśli Sarah umrze? Co z nim będzie, jeśli Sarah umrze?

W końcu wstał świt. Ale wraz z nim nadeszło załamanie: Georg poczuł się skończony, niemal niezdolny się ruszyć. Marzył tylko o tym, żeby zamknąć oczy i zasnąć.

Obudziła go pielęgniarka.

– Chce pan zobaczyć Sarah Bauer?

Oczywiście, że chciał... Ale nie miał pewności, że zdoła wstać z krzesła. Gdyby chociaż miał ten cholerny Pervitin; przekłeta godzina, w której wyrzucił go do ustępu.

Z wielkim wysiłkiem wstał i jak żywy trup poszedł za pielęgniarką po białych korytarzach pachnących środkiem odkażającym.

Sarah leżała w niezbyt dużej sześciuosobowej sali, gdzie wszystkie łóżka były zajęte, chociaż jej łóżko oddzielono parawanem. Zobaczywszy ją, poczuł niespodziewany zastrzyk energii. Usiadł jednak na łóżku obok niej, bo miał miękkie nogi.

Sarah uśmiechnęła się do niego.

– Cześć, Georg... Jak się masz?

Georg odszukał jej dłoń i uścisnął ją – ciągle była gorąca.

– To raczej ja powinienem zapytać...

– Ja mam się dobrze... Ale ty wyglądasz kiepsko.

– Jestem tylko trochę zmęczony. Naprawdę dobrze się czujesz?

– Jestem tylko trochę zmęczona – powtórzyła żartem. – Dobrze, jestem bardzo zmęczona.

Ale mówią, że szybko mi przejdzie.

– Oczywiście, że tak. Jesteś silną dziewczyną.

– Gdzie jest Marie?

– Marie?

Sarah uśmiechnęła się nieśmiało.

– Moja córka...

– Marie... – Georg wyszeptał imię, jakby chciał je dla siebie zatrzymać. – Zostawiłem ją z kobietami w twoim mieszkaniu: jakąś starszą panią i dziewczyną o niewyparzonej gębie...

– Marion – zauważyła Sarah rozbawiona. – I pani Matheus.

– Dobrze się nią zajmą, nie martw się. Powiedziałem im, jak zdobyć mleko, żeby ją nakarmić.

Sarah rozpromieniła się z ulgą. Georg przyglądał jej się z czułością i uniosł jej dłoń do ust, żeby ucałować. Czubkami palców pogładził owal jej pięknego oblicza.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży?

– Bo wtedy nie wiedziałam. – Sarah przestała się uśmiechać. – Poza tym nie było powodów, żebym przytłaczała cię swoimi problemami... Ona nie jest twoją córką, Georg.

– To nieważne – odpowiedział bez wahania. – Tylko ty jesteś dla mnie ważna. Nie zostawiłbym cię, wiedząc, w jakim jesteś stanie. To by się nie wydarzyło, gdybym był przy tobie...

– Jak zwykle, majorze von Bergheim, przybyłeś na czas. Ale nie możesz przez całe życie ciągle mnie ratować...

– Chciałbym cały czas czuwać nad twoim życiem, Sarah...

Gdyby dziewczyna miała dość krwi, na pewno by się zarumieniła. Serce biło jej bardzo mocno, usiłując wtłoczyć czerwień do jej policzków.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Georgu von Bergheim... Już ci to kiedyś mówiłam, prawda?

Georg przytaknął. Chciałby wyznać Sarah, że to nie dobroć nim kierowała, ale sprawy między nimi były zbyt skomplikowane na tego rodzaju wyznania.



W tamtej chwili przez parawan wychyliła się pielęgniarka.

– Przepraszam państwa, ale na dziś chyba wystarczy. Trzeba pozwolić pacjentce odpocząć.

– Przyjdiesz jutro?

– Zawsze będę przychodził – zapewnił ją Georg, po raz kolejny całując jej gorącą skórę.

## ZABIJECIE GO

Zaparkowałam samochód o jedną przecnicę od domu Alaina. Wzięłam torebkę, schowałam klucze i otworzyłam drzwi, żeby wyjść.

– Będzie lepiej, jeśli tu na mnie poczekaś – zasugerowałam Teo.

– W tej zjełczalej, żółtej dziurze, w której do tego śmierdzi? Chyba zwariowałaś. Idę z tobą. Mam nadzieję, że doktor Jones postawi mi przynajmniej mirindę. – W tak okrągły sposób odrzucił moją propozycję, po czym zabrał się do wysiadania.

– Nie bądź niesforny. W bagażniku jest mój komputer, moje papiery z poszukiwań – zawsze mam je przy sobie – a twoja walizka jest pełna markowych ubrań. Chcesz, żeby jakiś cwaniaczek kopniakiem rozwalął drzwi i to wszystko zabrał? No, bądź miły i zostań. Poza tym w ten sposób się nie zasiedzimy. Wejść, zobaczę e-mail i natychmiast wracam, żeby jak najszybciej zacząć nasz szalony weekend.

Teo spojrzął mi w oczy.

– Jeśli wykorzystasz akurat ten moment, żeby puknąć doktora Jonesa, nie zapomnę ci tego, przysięgam.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Odpowiedziałam mu całusem w policzek i ruszyłam przed siebie.

– Zaraz wracam. Pobaw się iPodem.

Weszłam w wąskie i żywe uliczki dzielnicy Alaina: sklepy z ubraniami, księgarnia, apteka, fryzjer, ciastkarnia (gdzie zatrzymałam się, żeby popatrzeć na ciasteczka na wystawie), wietnamski warzywniak i w końcu jego dom z ukwieconymi balkonami. Przeszłam przez bramę i wkroczyłam do wszechświata, który już zaczynał mi być znajomy: dziedziniec, doniczki, rowery, rozwieszane ubrania, skrzynki na listy, schody...

Stałam pod jego drzwiami, pomacałam framugę i zgodnie z tym, co mówił Alain, znalazłam klucz. Wsunęłam go w dziurkę i otworzyłam.

– Alain?

Nie odpowiedział mi, ale w głębi mieszkania paliło się światło. Na pewno jeszcze był pod prysznicem. Postanowiłam wejść i usiąść przed komputerem. Idąc krótkim korytarzykiem, właśnie miałam zdjąć prochowiec, kiedy w salonie nagle i dramatycznie zmaterializowała się niespodzianka.

– Matko boska, co...?!

Zanim zdążyłam dokończyć zdanie, ktoś od tyłu objął mi ręką szyję.

– Co to, kurwa, za baba? – zawołał nieznany mi głos.

Spróbowałam się rozejrzeć, ale ręka wzięła mi gardło i za każdym moim ruchem zaczynała mnie dusić. Zanim cokolwiek przyszło mi do głowy, wpadłam w panikę: otworzyłam usta, żeby krzyknąć jak szalona, ale okazało się, że mam rękę na ustach i pistolet wycelowany w szyję. Straciłam głos i dech, zobaczywszy straszną panoramę, która się przede mną roztaczała.

Pokój wywrócony do góry nogami, wszystko porzucane po ziemi. Alain, przywiązany do krzesła i zakneblowany, wił się pośród więzów, bezskutecznie usiłując się ich pozbyć, jęczał pod taśmą klejącą zasłaniającą mu usta. Z przerażeniem zobaczyłam, że ma twarz zalaną krwią. Obok niego stał niski facet o wyglądzie bramkarza z jakiejś wieśniackiej dyskoteki – podobnie jak ten, który do mnie celował, chociaż ten był większy, typowy kark, człowiek-szafa. Żadnego z nich w życiu nie widziałam.

Niski patrzył na mnie z równą wściekłością jak zaskoczeniem. Karki, pistolet, sznury, krew na twarzy Alaina... Cała aż się trzęsłam.

– Co z nią zrobimy? – zapytał ten, który we mnie celował; mówił po francusku, ale z dziwnym akcentem.

Ten drugi jakby się wahał, zanim stanął przede mną.

– Gdzie są papiery?! – krzyknął mi w twarz z tak bliska, że mnie opluł.

Goryl zabrał rękę, żebym mogła odpowiedzieć. Ledwie wydobywałam z siebie głos.

– Jakie... co za papiery? Nie wiem, o czym pan mówi... Co się dzieje? – wyjąkałam.

– Papiery, mała! – powtórzył, jakby wszystko było oczywiste. – Ten skurwieli ich nie ma.

Nagle chwycił Alaina za włosy i szarpnął mu głowę do tyłu.

– Sam jej powiedz, stary – rozkazał, jednocześnie zrywając mu taśmę klejącą z ust; zabrzmiało to tak, jakby wraz z taśmą zerwał płat skóry.

– Kuuuurwa! – jęknął Alain.

Skrzywiłam się, bo mnie też zabolęła ta depilacja na sucho.

– Alain... – W nerwach przeciągałam słowa.

– Jakie, kurwa, papiery! – wrzasnął wściekły. – Tylko mnie związaliście i skopaliście, chuj!

– Cicho, malutki!

Jego zuchwałość skończyła się upokarzającym ciosem, który wstrząsnął jego głową.

– Dość! Nie bij go! – rozkazałam naiwnie.

W odpowiedzi na moje żądania ten dzikus wypuścił silny cios w brzuch Alaina.

Chciało mi się płakać, kiedy widziałam, jak zwija się związany, mocno kaszle i rusza ustami, jakby brakowało mu powietrza.

Dobrze się zastanowiłam, zanim znów zaprotestowałam, więc poczucie niemocy sprawiło, że łzy napłynęły mi do oczu, gdy patrzyłam, jak Alain skręca się z bólu, a karki cieszą się z sadystycznym uśmiechem.

Kiedy Alain zaczął dochodzić do siebie, podniósł głowę i spojrzał na mnie. Miał zwichniętą szczękę i brakowało mu powietrza, żeby mówić.

– Przy... przykro mi. Szko... szkoda, że... że powiedziałem, żebyś przy... przyszła... – Znowu zaczął kaszleć.

Łzy nie pozwoliły mi odpowiedzieć. Nie mogłam nad tym zapanować, płynęły po policzkach; nawet nie miałam odwagi ich obetrzeć, nie z pistoletem wycelowanym w moją szyję.

– Dostyc już tych jebanych scen, zaczynacie mnie wkurwiać.

Facet podszedł do mnie, pociągnął za rękę, żeby sprawić mi ból, i popchnął na krzesło.

– Zostaw ją, kurwa!

W ciszy pożałowałam, że Alain zaprotestował. Kark nie wydawał się szczególnie zdenerwowany, po prostu odwrócił się do swojego towarzysza i rzucił:

– Pokaż temu piździelcowi, kto tu rozkazuje.

Ten drugi bez słowa kiwnął głową i wymierzył Alainowi policzek. Plaśnięcie wstrząsnęło mną, krzyk sprawił mi ból i miałam ochotę zniknąć, móc się obudzić, jakby to był zły sen.

– Nie bijcie go więcej, proszę... – poprosiłam spokojnie, połykając łzy, żeby zachować choć pozory godności, kiedy przywiązywali mnie do krzesła. – Zabijecie go...

Kark spojrzał na mnie z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem, z żółtymi i poplamionymi od papierosów zębami.

– Oczywiście... Są ludzie, którzy bardzo by się ucieszyli, proszę mi wierzyć.

– Czego chcecie?

Nie odpowiedział mi natychmiast. Kończył zaciskać linkę wspinaczkową wokół moich kostek, wstał i na siłę przytrzymał mnie pod brodą.

– Zależy, co jesteś w stanie zaoferować... mała. – Jego lubieżne spojrzenie skończyło się

polizaniem mojej szyi.

Wstrząsnęło mną obrzydzenie. Plunęłabym mu w twarz i wyzwała od najgorszych, ale powstrzymałam się; nie chciałam pogarszać sytuacji.

– Papiery. Chcesz papierów? Są u mnie w domu – skłamałam. Jedyne mój działający w tamtej chwili neuron zasugerował mi, że kłamstwo pozwoli nam zyskać na czasie.

Jednym szarpnięciem wyrwał mi torebkę i zaczął grzebać w środku. Zaraz wyciągnął pęk kluczy i pokazał mi go:

– To te klucze?

Przytaknęłam.

Włożył je do kieszeni i nie tracąc zimnej krwi, chwycił mnie za sweter pod brodą.

– Wiem, gdzie mieszkasz, co jesz, a nawet kiedy masz okres. Będzie dla ciebie lepiej, jeśli to nie jest podstęp.

– Puść ją, chuju!

Alain znowu niepotrzebnie go prowokował. Jak dzikie zwierzę kark obrócił się i zaczął bić go po twarzy, podczas gdy ten drugi trzymał go za głowę.

– Takim jesteś twardzielem, co, piździelcu? Ale mocny jesteś tylko w gębie! Nie widzisz, że mogę ci naszczać na pysk, jak mi się zachce, kretynie? Zamknij w końcu ten ryj!

– Dosyć! Dosyć! Kurwa, dosyć! – wydierałam się jak opętana.

Z taką samą wściekłością tamten odwrócił się do mnie.

– A ty, dziwko, módl się, żeby to nie było kłamstwo. Bo jeśli kłamiesz, wrócę i dowiem się prawdy, ale nie będę już taki miły. Zrozumiałaś?

Kiedy masz związane ręce i nogi, a uzbrojony sadysta pluje ci w twarz groźbami, naprawdę poznajesz strach. I strach sprawiał, że dyszałam, pociłam się, drżałam i zgadzałam się na absolutnie wszystko. Przede wszystkim dlatego, że go okłamywałam i wiedziałam, że gdy wróci, zmusi mnie do wyznania prawdy, a potem pójdzie do samochodu po wszystko, czego szuka.

– Siedź tu i czekaj, aż zadzwonię – powiedział człowiek-szafa przed wyjściem.

Kiedy facet wyglądający na szefa sobie poszedł, ten drugi wziął krzesło i usiadł naprzeciwko nas. Nie przestawał na nas patrzeć, ale przynajmniej w nas nie celował.

Popatrzyłam na Alaina i ścisnęło mnie w dołku: miał twarz całą czerwoną, krew skapywała mu po brodzie na piersi i ledwie mógł utrzymać głowę.

Goryl wyciągnął paczkę papierosów, wziął jednego i zaczął spokojnie palić. Ten pełen napięcia spokój, to dziwne wrażenie nierealności – trwoga, niepewność i strach. To czekanie doprowadzało mnie do szaleństwa.

Milczenie i beczynność zmieniały czas w wieczność. Z każdą upływającą sekundą czułam się coraz gorzej; nerwy coraz bardziej dawały mi się we znaki, a od siedzenia nieruchomo zaczynało mnie boleć całe ciało.

Po chwili zadzwonił telefon karka. Byłam tak podminowana, że aż podskoczyłam.

Odebrał i zaczął rozmawiać w jakimś języku z Europy Wschodniej, coś jakby po rosyjsku. Ton rozmowy był spokojny i przyjacielski. Wstał z krzesła i ciągle rozmawiając, zaczął się przechadzać po pokoju.

W chwili rozluźnienia Alain odwrócił do mnie głowę i coś wyszeptał. Miał spuchnięte usta i mówił z taką trudnością, że nie sposób go było zrozumieć.

– Coś spróbuję. Uważaj.

– Ale Alain, w moim domu nic nie ma! – Byłam skupiona na swoim problemie.

A Alain na swoim:

– Uważaj...

– Ale, co ty...?

Goryl się odwrócił. Skończył rozmawiać i odłożył telefon. Spojrzał na nas, ale nic nie powiedział. Chyba nie słyszał naszej rozmowy. Wrócił na krzesło i dalej palił.

Nagle Alain zaczął się gwałtownie poruszać, spazmy wstrząsały całym jego ciałem.

Goryl wstał i wyciągnął pistolet. Nie za bardzo rozumiał, co się dzieje, co to za ruchy.

W silnych konwulsjach Alain odepchnął krzesło i upadł razem z nim na podłogę.

– To atak! On ma padaczkę! – krzyknęłam.

Goryl popatrzył na mnie. Znowu spojrzął na Alaina. Ciągle mierzył do niego z pistoletu, a Alain ciągle wił się po podłodze. Nawet ja się przestraszyłam.

– Boże, trzeba coś zrobić!

Tamten popatrzył na mnie zbity z tropu.

– Jeśli nie położymy go na boku, udusi się!

Alain jęczał, kręcił głową z jednej strony na drugą, walił o ziemię.

– Kurwa! Zrób coś! – Nie musiałam za bardzo się wysilać, żeby patrzeć na niego z przerażoną miną.

– Sama zrób! – w końcu zareagował. Wyraźnie sytuacja go przerastała.

Szybko mnie rozwiązał. Gdy znów miałam wolne ręce, przyłożył mi pistolet do pleców.

– Mam nadzieję, że to nie jest żaden podstęp, bo jak tylko zrobisz coś głupiego, strzelę.

Kucnęłam przy wijącym się Alainie. Cały czas spazmatycznie się trząsał, w oczach było widać tylko białka. Gdybym nie wiedziała, że udaje, umarłabym ze strachu. Bardzo mocno popchnęłam krzesło, żeby położyć go na boku. Na co liczył, co miałam zrobić potem?

– Trzeba poluzować więzy, mocno ściskają mu pierś, więc się dusi – przyszło mi do głowy.

Goryl stanął dokładnie za mną, cały czas celując do nas z pistoletu.

– Słyszałaś: robisz coś głupiego i strzelam.

Zaczęłam odwiązywać Alaina. Kiedy linka była już poluzowana, gwałtownym ruchem pchnął mnie na nogi goryla, który stracił równowagę. Nie upadł, ale Alain wykorzystał sytuację, żeby chwycić słonia z brązu, który leżał na ziemi, i rzucić nim w głowę goryla. Wycelował, ale ponieważ był bardzo osłabiony, nie rzucił dość mocno, więc tylko oszołomił typa.

Z szybkością i zdecydowaniem, które mnie zaskoczyły, wstałam i przyskoczyłam do niego, złapałam za słonia i trzasnęłam nim faceta w głowę. Runął jak długi.

Patrzyłam na niego, jak leży u moich stóp. Nie mogłam złapać tchu, żeby cokolwiek powiedzieć. Kiedy zaczęło ze mnie schodzić napięcie, wysiadły mi nerwy, więc zaczęłam niezrozumiale bełkotać.

– Boże, Boże, Boże...

Udało mi się zareagować, dopiero gdy zobaczyłam, że Alain próbuje się do końca wyswobodzić i że mnie potrzebuje. Klękłam obok niego i rozwiązałam go.

– Jak się masz? – zapytałam, próbując pomóc mu się podnieść.

– Nie wiem... Chodźmy stąd...

Chciał iść, ale nie dawał rady.

– Musisz mi pomóc... – przyznał.

Chciałam go objąć w pasie, ale powstrzymałam mnie.

– Czekaj... Weź mój telefon i komputer od tego skurwysyna.

Posłuchałam go; zamknęłam laptopa i pośpiesznie wsadziłam go do torby Alaina. Szybko wyciągnęłam komórkę z marynarki tego faceta. Nie poruszył się.

– Czy... czy on nie żyje?

– Nie mam pojęcia i wcale mnie to nie obchodzi – odparł Alain. – Chodźmy.

Jeszcze trzęsły mi się nogi, ale starałam się nad nimi zapanować, żeby móc utrzymać ciężar Alaina, ciężko wspierającego się na moim ramieniu. Tak naprawdę chciałabym biec i przeskakiwać po dwa stopnie, żeby jak najszybciej stamtąd uciec.

\*

## GRUDZIEŃ 1943

Naukowcy ze Stanów Zjednoczonych i z Wielkiej Brytanii przybywają do nowo wybudowanego Laboratorium Narodowego w Los Alamos, aby wziąć udział w Projekcie Manhattan, programie naukowym zapoczątkowanym przez rząd Stanów Zjednoczonych pod kontrolą amerykańskiego wojska, którego celem było wyprodukowanie pierwszej bomby atomowej. Projekt zakończył się w sierpniu 1945 roku zrzuconiem bomb na japońskie miasta Hiroszima i Nagasaki.

Po dwóch dniach gorączka zaczęła ustępować, aż w końcu całkowicie zniknęła, ale ponieważ krwawienie wciąż trwało i Sarah cierpiała na anemię, musiała pozostać w szpitalu. Georg rozmawiał z doktorem Bernardem i udało mu się uzyskać przeniesienie Sarah do sali poporodowej.

Pokój był duży i porządnie wywietrzony, miał wielkie okna, przez które wlewało się światło, oraz utrzymującą ciepło kozę. U stóp każdego łóżka była kołyska, w której popłakiwał i rozkopywał kołderkę jakiś maluch. Oprócz kołyski Sarah, która była pusta... Dlatego od pierwszego dnia, kiedy przeniesiono ją do tej sali, Sarah czuła się gorzej. Poprosiła, żeby postawiono jej parawan i dano tabletkę na sen – odwróciła się do ściany i ukryła się we śnie.

– Sarah... Sarah... – ktoś szeptał do ucha jej imię i słowa łaskotały ją w szyję. Ona jednak nie chciała się obudzić, odeszła do najdalszego zakątka swojego snu. – Sarah... Sarah... Obudź się... – Pieszczota i pocałunek, znowu jej imię. Nigdy nikt nie budził jej ze snu z taką słodyczą.

Otworzyła więc oczy. Zamrugnęła. Rzeczywistość wydawała jej się zamazana i przez chwilę nabierała kształtów. Georg... Sarah uśmiechnęła się, jeszcze zasnana i znowu zamknęła oczy.

Major uniósł kołdrę i położył obok niej ciepłutki pakunek.

– Sarah, otwórz oczy... Patrz...

Sarah usłuchała. Gdyby nie była tak zmęczona, jej krzyk radości byłby słyszalny w całym szpitalu.

– Marie! Marie, córeczko! Moja malutka... Mój Boże... – Senność i płacz zdusiły jej słowa. Sarah przytuliła dziecko i zasypała pocałunkami i zalała łzami jego główkę. Zamknęła oczy, nie przestając pieścić córeczki, wdychała jej specyficzny zapach, zapach dziecka, jej dziecka. – Już jesteś z mamusią, maleńka... Już jesteś z mamusią...

Georg zrobił kilka kroków do tyłu i cichutko odsunął się od łóżka. Odszedł stamtąd, rozcierając sobie kark; coś dusiło go w gardle, coś, co wstydził się uwolnić.

Sarah czuła się szczęśliwa, bezpieczna w tym białym świecie pachnącym środkiem odkażającym i mlekiem w proszku. Jak w bańce powietrza, pośród tych czterech ścian miała wszystko, czego potrzebowała, i czuła się uwolniona od dramatu przeżywania życia na zewnątrz. Dni mijały nieśpiesznie i spokojnie, więc rozkoszowała się każdą chwilą, jak gdyby miały one nieuchwytny i słodki smak. W słoneczne poranki spacerowała z Marie po ogrodzie, a w deszczowe szła przy oknie, podczas gdy malutka popiskiwała w kołysce. Czasem wystarczało jej, że godzinami wpatrywała się w córeczkę, lulała ją, aż ta zasypiała w jej ramionach, albo dawała jej pierś i czuła łaskotanie jej buzi, kiedy ssała. A jeśli jeszcze mogła dzielić te chwile z Georgiem, świat stawał się cudowny.

Major odwiedzał ją codziennie. Gdy tylko przychodził, ściągał mundur, żeby nie skaleczyć dziecka odznakami, i brał Marie na ręce, żeby oddać ją, dopiero gdy wychodził.

– Zepsujesz ją – strofowała go Sarah z dobrodusznym uśmiechem.

– Ty też ją psujesz – oponował, nie przestając patrzeć na malutką, żeby zaraz dodać: – Jest śliczna...

– Taka jest – zgadzała się ona, niemal eksplodując szczęściem.

Gdyby tylko potrafiła zatrzymać czas, zamrozić tę chwilę, w której Marie spała przy piersi Georga, podczas gdy oni rozmawiali o nic nieznaczących sprawach, zaklinając rzeczywistość... Sarah przygnębiała jedynie świadomość, że to tylko iluzja i że wcześniej czy później magia się rozwieje.

Marion i Carole Hirsch też ją odwiedzały. Zwykle pojawiały się z rana, żeby nie trafić na tego typu z SS.

– Słuchaj, Sarah... Co to za sprawa z tym boszem? – pewnego dnia odważyła się zapytać Marion, gdy Sarah karmiła dziewczynkę piersią w ciepłym słońcu ogrodu.

Sarah siedziała ze spuszczoną głową, patrząc, jak Marie z zadowoleniem ssie, jednocześnie sennie zamykając oczka. Palcem pogładziła jej brzoskwiniowy policzek.

– To nie jest bosz... To mężczyzna, bardzo dobry człowiek – odpowiedziała.

Uśmiechnęła się ustami i oczyma, a jej uśmiech był delikatnym światłem, rozjaśniającym całą jej twarz.

Marion szeroko otworzyła oczy.

– Matko boska, Sarah! Ty jesteś w nim zakochana!

Ona dalej się uśmiechała, uśmiechem spowitym rumieńcem.

– Sarah, nie możesz się w nich zakochiwać! Można ich uwodzić, chodzić z nimi do łóżka, wyciągać od nich informacje, a potem strzelać im w łeb! Ale nie zakochiwać się!

– On nie jest taki jak inni...

– To nazista, Sarah! I wszyscy są tacy sami! Oni nam to zrobili, wszystkim nam, tobie też. Zapomniałeś już, co zrobili twojej rodzinie?

Jednak bardzo trudno było ściągnąć Sarah z chmury, na której przebywała.

– On nie. On ma tylko nie ten mundur...

– Matko boska, Sarah, przejrzyj na oczy!

Sarah nie miała zamiaru sprzeczać się z Marion. Nie byłyby w stanie przekonać się nawzajem. Uniosła wzrok i złożyła broń.

– Nie mogę nic z tym zrobić, Marion... Kiedy wybierają cię bogowie, nie zdołasz odwrócić się do nich plecami.

Przyjaciółka spojrzała na nią bardzo poważnym wzrokiem i unosząc w górę palec, zaczęła ją pouczać:

– Przestań się uśmiechać, Sarah. Wcześniej czy później on wróci do Niemiec. O ile wcześniej nie zabije go któryś z naszych na środku ulicy albo nie załatwi go swoi za to, że zadaje się z Żydówką... On nie jest dla ciebie, czy ty tego nie rozumiesz?

Uśmiech znikł z oblicza Sarah, a jego miejsce zajął mars. Słońce pociemniało, ziemia się zatrzęsła i pękło niebo. Jedynie Marie dalej ssła pierś, daleka od udręki swojej matki; Sarah ponownie pochyliła się nad nią i ją pocałowała, łza spłynęła jej po policzku.

Marion pękało serce. Podeszła do przyjaciółki i ją przytuliła.

– Ach... Przykro mi, kochana... Przepraszam, że ci to powiedziałam... Bardzo cię przepraszam. Ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa, za dużo już wycierpiałaś...

Jednak Sarah nie płakała z winy Marion.

Sarah szybko zdrowiała. Wszystko wskazywało na to, że infekcja minęła, i za dwa lub trzy dni będzie mogła wyjść do domu.

Georg przyjął wiadomość jak kubel zimnej wody. Rzecz jasna wyzdrowienie Sarah było znakomitą wiadomością, ale oznaczało też koniec snu, tak jak wtedy, gdy kończy się przepustka



i trzeba wracać na front.

Kiedy ona wyjdzie, Georg będzie miał jeszcze jeden problem: Reichsführera Himmlera. Major robił wszystko, co mógł. Udało mu się przekonać Reichsführera, że po pięciuset latach przechodzenia z rąk do rąk tajemnica skrywana przez *Astrologa* została przykryta patyną historii, kolei losu, tradycji i legend i że nawet sami Bauerowie nie wiedzieli, jak odczytać ukrytą w nim wiadomość. Mimo to wydawało się, że Himmler ma teraz następną obsesję: tę Żydówkę. Himmler był przekonany, że ona wie więcej o obrazie, niż się wydawało Georgowi. Zawożąc ją do szpitala, Georg miał doskonale usprawiedliwienie: nie mógł jej przywieźć do Wewelsburga, dopóki była chora. Wydawało się, że to poniekąd przekonało Himmlera, więc był gotowy pozwolić, żeby specjaliści z Ahnenerbe pracowali w oparciu o to, czym dysponowali: informacje, które hrabina Vandermonde ochoczo udostępniała Georgowi. Himmler mógł nalegać na aresztowanie Sarah, ale z hrabiną Vandermonde sprawy miały się inaczej – nie tylko nie była Żydówką, ale była też wpływową osobą we Francji oraz aktywnie współpracowała z niemieckimi władzami okupacyjnymi.

Georg wiedział, że gdy tylko Sarah wyjdzie ze szpitala, Himmler zażąda jej głowy, żeby powiesić ją sobie na ścianie w Wewelsburgu. W rozpaczy przychodziło mu do głowy tylko jedno rozwiązanie, żeby przeciwstawić się obsesji Reichsführera: dalej kłamać. Jeśli uda mu się przekonać Himmlera, że Sarah Bauer nie wyjdzie ze szpitala żywa, bo tak poważnie jest chora, ten może o niej zapomni. Jednak aby to osiągnąć, potrzebował pomocy.

Gdy Georg zwierzył się ze swych planów doktorowi Bernardowi, lekarz bez słowa zmierzył go wzrokiem.

– Więc... może mi pan pomóc?

– Przepraszam, majorze, ale jestem bardzo zaskoczony. Kiedy Niemcy przychodzą ze mną rozmawiać, to tylko po to, żeby zażądać listy żydowskich pacjentów i zaraz ich aresztować...

Georg był zaskoczony.

– I sporządza je pan?

– Obawiam się, że nie mam innego wyjścia.

Georg nie mógł się powstrzymać.

– Proszę tego nie robić, doktorze! Wysyła pan tych ludzi na śmierć! Rozumie pan? – Doktor Bernard spojrział na niego zdumiony, więc Georg pogłębił temat: – Mężczyzn nie może pan ukryć, ale kobiety i dzieci tak... Proszę ich nie oddawać, panie doktorze, proszę je ukryć. Może pan to zrobić – starał się wyjaśnić najlepiej, jak potrafił.

– Przyznaję, że kiedy zobaczyłem pana w tym mundurze, pomyślałem, że jest pan jednym z nich.

– I jestem... Albo byłem. Ale od jakiegoś czasu noszenie tego munduru nie jest honorem, tylko ciężarem.

Georg chciałby wyjaśnić doktorowi Bernardowi, że nie jest łatwo patrzeć, jak ideały powoli obracają się wniwecz, albo czuć, że powoli się rozsypują jak popadający w ruinę budynek. Chciałby mu opowiedzieć, że bardzo się pomylił i że był ślepy, ale że zdał sobie z tego sprawę za późno, kiedy ten mundur był już jego drugą skórą, którą ściągnął z niego dopiero po śmierci. Chciałby się przed nim wypowiedzieć, bo nigdy tego przed nikim nie zrobił, a bywają takie wyznania, które są dla pojedynczego człowieka zbyt wielkim ciężarem... Jednak język w jego przypadku był barierą nie do przekroczenia.

Doktor Bernard nie był pewien, czy dobrze rozumie tego człowieka, ale wierzył, że jego intencje są dobre. Skrzyżował ręce na stole i się uśmiechnął.

– Gruźlica, dyfteryt, tyfus... Mogę przygotować panu świadectwo, że mademoiselle

Bauer cierpi na którąś z tych chorób. Rozumiem, że im bardziej zaraźliwa i śmiertelna, tym lepiej... Poza tym nie zrobimy wypisu, a więc oficjalnie ona nie opuści szpitala.

Georg nie mógł pohamować uśmiechu ulgi. Zawiezie to świadectwo do Berlina, żeby zyskać na czasie. Kiedy Himmler będzie się niecierpliwił, poprosi doktora Bernarda, by wypisał fałszywy akt zgonu Sarah. Dzięki niemu zostanie zaspokojone pragnienie Reichsführera, żeby nie przetrwał żaden Żyd, a Sarah w ukryciu będzie mogła spokojnie żyć.

Tamten poranek wstał zimny i deszczowy. Był to poranek deszczu uderzającego o szyby i płaczu dziecka, pieluch i butelek z mlekiem; dźwięków, które Sarah ignorowała jako znajome i codzienne, jednocześnie czytając z Marie na rękach – mała spała po jedzeniu.

– Dzień dobry!

Sarah uniosła wzrok na radosne i śpiewne pozdrowienie.

– Marion! Myślałam, że dziś nie przyjdiesz!

– Mam dla ciebie niespodziankę... – obwieściła tajemniczo.

Nie dała Sarah czasu zgadnąć, o co chodzi. Zanim mogła to zrobić, zza parawanu wyłoniła się znajoma postać.

Sarah skamieniała. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. Pojawienie się ducha nie zrobiłoby na niej większego wrażenia.

– Cześć, Sarah...

Zaparło jej dech, nie była w stanie odpowiedzieć na pozdrowienie – mogła jedynie mocno przygarnąć do piersi Marie.

– Widziałeś, Jacob? – Marion zdecydowała się przemówić za nią. – Z radości zaniemówiła!

Z niemal nabożnym szacunkiem Jacob zrobił krok naprzód. W rękach nerwowo miętosił czapkę. Napięcie było tak wyraźne, że Marion za wszelką cenę chciała je rozładować słowami.

– Och, Sarah, prawda, że się cieszysz z przyścia Jacoba? Widzisz, jak się świetnie ma? To niesamowite, jak wyzdrowiałaś. Wydajesz się kimś zupełnie innym.

Marion miała rację, Jacob wyglądał jak inny człowiek. Przytył, a jego twarz odzyskała dawne kolory i rysy. Zamiast wielkiego opatrunku miejsce po wylupionym oku zakrywała czarna przepaska, a to drugie wydawało się większe i bardziej błyszczące, bardziej wyraziste niż kiedykolwiek wcześniej. Urosły mu włosy na ogolonej głowie i łobuzerska grzywka spadała mu na czoło. Był czysty, a ubranie, choć skromne, nosił zadbane. Nie przypominał już bezczelnego i zaczepnego chłopaka z Illkirch ani wojowniczego i krwawego bojownika ruchu oporu. Nie był też narkomanem psychotykiem, który z nią mieszkał. Wyglądał na dojrzałego mężczyznę, przyzwoitego i szanowanego. Sarah żałowała, że nie jest w stanie okazać radości, którą powinna jej sprawić przemiana Jacoba.

– Dobra, ciamajdy, dość już tych pogaduszek. Idę sobie. Mam nadzieję, że milczenie wprawi was w takie zakłopotanie, że w końcu sami zdecydujecie się otworzyć dzioby.

Rzeczywiście odejście Marion zostawiło krępującą ciszę, którą po chwili przerwało popiskiwanie Marie.

Jacob odchrząknął.

– Doktor... doktor Vartan wszystko mi opowiedział... Mogę... mogę ją zobaczyć?

– Tak... – zgodziła się Sarah, odsuwając odrobinę dziecko, żeby je pokazać.

Jacob ostrożnie podszedł, jakby się obawiał, że widok rozplynie się w powietrzu, gdy on skieruje na niego wzrok.

Zobaczywszy buzię małej, wstrzymał dech. Nigdy nie zbywało mu słów, więc jak mógłby wyrazić, co wtedy czuł? Miał w piersiach coś, co rozprzestrzeniało się w nim jak powietrze w balonie i co niebawem mogło go unieść. Czuł rozchodzące się w brzuchu ciepło i ściskanie

w gardle, które w każdej chwili mogło go doprowadzić do łez.

– To coś najpiękniejszego na świecie... – wyszeptał, nie mogąc powstrzymać emocji ani odruchowego wyciągnięcia drżącej ręki i położenia jej na główce dziecka. – Sarah, ja...

Jednak Sarah nie chciała niczego słuchać, ani jednego słodkiego słowa płynącego z ust Jacoba, ani jednej pochwały, ani jednego objawu miłości wpędzającego ją w poczucie winy. Pośpieszyła, aby to przerwać, kładąc dłoń na dłoni Jacoba.

– Jestem z ciebie bardzo dumna – zapewniła. – Bardzo dumna z tego, czego zdołałaś dokonać. Wiem, że było ci ciężko...

– To bez znaczenia. Teraz to już za nami... – Jacob spojrzeniem pieścił Sarah, odważał się tylko na to. – Skoro to jest zadośćuczynienie, było warto. Jeśli pozwolisz mi zacząć wszystko od początku, z tobą i... i z... naszą córką...

Jacob zatrzymał się, zaplątał się we własnych słowach, we własnych uczuciach. Nie chciał się potknąć i upaść. Sarah uśmiechnęła się do niego, chociaż w ustach czuła gorycz – nic nie można było zrobić, i ona to wiedziała. Wiedziała, że nie może uciekać od chwili, w której przyjdzie jej zapłacić za swój błąd, a ta chwila właśnie nadeszła.

Marion obserwowała ich zza uchylonych drzwi. Scena wydawała się sielankowa, a jednak czuła żal – żal nad Sarah i Jacobem. A chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, nie tylko ona ich obserwowała.

– Co to za mężczyzna jest u Sarah?

Usłyszawszy za plecami głos von Bergheima, przestraszyła się i szybko odwróciła; do wszystkich diabłów, jakże ona nie znosiła tego faceta.

– Ten mężczyzna jest ojcem dziecka – odparła, wiedząc, jak bardzo dopieką mu te słowa. Dlatego, nim odeszła, napawała się oglądaniem, jak oblicze tego obrzydliwego nazisty tężeje.

Twarz Sarah rozjaśniła się w uśmiechu, gdy go zobaczyła. A kiedy jej twarz się rozjaśniała, Sarah wydawała się jeszcze piękniejsza i Georg odczuwał wielkie pragnienie, żeby ją przytulić i obsypać pocałunkami. Jednak powstrzymał się, ku własnemu żalowi.

– Georg!

Stał na baczność w odległości tak rozsądnej, jak przepisowej. I poważny, bardzo poważny. Sarah wyczuła, że ta wizyta nie będzie taka jak poprzednie, ale starała się, żeby było inaczej.

– Nie chcesz wziąć małej? – zasugerowała ostrożnie i powoli, bo Georg wydawał się lodowym posągami, który przy najmniejszym drzeniu głosu może się rozsypać. – Wczoraj przez cały wieczór bardzo płakała, nie sposób jej było uspokoić. Ona też za tobą tęskniła...

Georg przełknął ślinę.

– Nie, teraz nie chcę jej wziąć. – Pożałował, że jest tak niemiły, ale nie mógł sobie pozwolić na nic innego. Chociaż najbardziej mu się nie spodobała mina Sarah, bolał go jej smutek i rozczarowanie. – Słuchaj, Sarah... co się dzieje z ojcem Marie?

Wtedy Sarah zrozumiała.

– Rozumiem... Dlatego wczoraj do nas nie przyszedłeś, prawda? – W jej słowach nie było nawet cienia wyrzutu. Sarah potrafiła doskonale zrozumieć Georga.

Marie zaczęła płakać, więc matka przytuliła ją. Major miałby ochotę wziąć udział w tej scenie, ale tam nie było dla niego miejsca, lepiej jak najszybciej zacząć się z tym godzić.

– Sarah... jutro cię wypiszą... Co zrobisz?

Sarah w rozpaczy przytuliła Marie, z tym samym przygnębieniem, z jakim mówiła do Georga.

– A co ja mogę zrobić? Co powinnam zrobić? To ojciec dziecka! I wiele mu zawdzięczam...

– Kochasz go? – Słyszac siebie, Georg poczuł się żalony; to było niezręczne pytanie, pytanie, które mogłaby zadać tylko przyjaciółka. Ale musiał to wiedzieć.

– Nie tak, jak on by tego chciał... Ale to nie daje mi prawa zostawiać go za drzwiami. Georg westchnął.

– Gdybym chociaż miał pewność, że będzie dbał o ciebie i o dziecko, zamiast ty o niego... Gdybym chociaż to wiedział, byłbym spokojniejszy.

Sarah wzruszyła ramionami i gorzko się uśmiechnęła.

– A co to da? Są ciężkie czasy, ważne, żebyśmy dbali o siebie nawzajem.

Georg znowu westchnął.

– Wiedzieliśmy, że to się w końcu wydarzy...

Tragiczna była świadomość, że to zabrzmiało jak pożegnanie, że cała rozmowa od początku brzmiała jak pożegnanie.

– Ale nie jest przez to mniej bolesne – odpowiedziała Sarah i zagryzła usta, starając się nie rozplakać, lecz jest za późno, kiedy łzy już płyną po brodzie. Patrzenie na Marie, żeby udawać, że nic się nie dzieje, na niewiele się zdało.

Georg przysięgł sobie, że jej nie dotknie, ani jej, ani malutkiej. Jeśli je choć tknie, będzie zgubiony, jego pozorna twardość rozsypie się, a zdecydowanie osłabnie. Jednak przyglądanie się, jak rzewnie szłocha, było ponad jego siły – nie musiał się wiele zastanawiać, żeby przekroczyć ścianę lodu, jakby to była woda, i objąć ramionami je obie. Z twarzą przy jej twarzy dał się ponieść emocjom.

– Niczego nie żałuję, Sarah. Jeśli w czymś zawiodłem, to tylko nie znajdując rozwiązania, żeby zawsze być obok ciebie.

Ona pogładziła go po twarzy.

– Co zrobisz?

– Muszę jechać do Niemiec. Mam pracę do wykonania... Przecież wojna się nie skończyła, a ja dalej noszę mundur.

– Zobaczą cię jeszcze?

Georg spojrział w oczy Sarah i wytarł jej łzy. Jako dobry żołnierz wiedział, kiedy bitwa jest przegrana i nadeszła pora na odwrót, żeby ocalić życie pozostałych żołnierzy. Ale nie był w stanie powiedzieć Sarah prawdy.

– Nie wiem... – skłamał. I dalej pił z jej oczu i wdychał zapach jej skóry, łapczywie się nią nasycił, bezskutecznie usiłując gromadzić zapasy, które nie wystarczą nawet do następnego dnia.

\*

## WYŁĄCZ KOMÓRKĘ

Przemierzyliśmy ulice pod przestraszonymi i ciekawskimi spojrzeniami, które prowokował okropny wygląd Alaina, podczas gdy ja rozglądałam się gorączkowo, obawiając się, że w każdej chwili te dzikusy mogą się pojawić za naszymi plecami. Gdy dotarliśmy do samochodu, serce waliło mi jak młotem z wysiłku i nerwów. Otworzyłam tylne drzwi.

– Już jesteś, kochana? Cóż za szybkość! Świetnie się bawię strzelaniem tłustymi ptaszkami Angry Birds, ja pierdołę, są świetne... Na rany Chrystusa! Coś ty zrobiła temu biedakowi? – Na widok Alaina Teo zrzędała mina.

– To przecież nie ja, kretynie – odpowiedziałam cierpko, pomagając Alainowi wsiąść. Potem sama usiadłam za kierownicą, zamknęłam i zablokowałam drzwi. Byłam złana potem i miałam ubranie poplamione krwią Alaina. Głęboko odetchnęłam, starając się uspokoić.

– Ale co się, kurwa, stało?

– To długa historia... – Przerwałam, żeby odłożyć opowiadanie na lepszy moment. Odwróciłam się do Alaina. – Jedziemy do szpitala, musisz mnie pokierować...

– Nie, najpierw pojedziemy do prefektury. Trzeba donieść na tych kutasów, zanim uciekną.

– Ale Alain! Spójrz na siebie! Wyglądasz okropnie...

– Czuję się świetnie. Później pojedziemy do szpitala. – Alain odpowiedział na moje protesty, zanim jeszcze udało mi się je sformułować. – Nie ma czasu, Ano. Jedźmy już. Musisz skrócić pierwszą w prawo.

Przez kilka sekund patrzyłam na niego; naprawdę kłótnia była ostatnią rzeczą, na którą miałabym ochotę – to w końcu jego rany. Wyszukałam w kieszeni paczkę chusteczek i podałam mu.

– Spróbuj się powycierać. Ciągle krwawisz z nosa i z ust...

W prefekturze policji byliśmy zaledwie kilka minut później. Gdy tylko zobaczyli, w jakim stanie jest Alain, natychmiast postanowili przewieźć go do szpitala, jednocześnie wysyłając patrole do naszych domów, gdzie oczywiście nie było nawet śladu po zbirach.

W szpitalu zrobili Alainowi tomografię głowy i ultrasonografię jamy brzusznej. Zdiagnozowane obrażenia składały się na serię terminów technicznych, od których włosy stawały dęba: stłuczenia kości policzkowej, oczodołów i żuchwy, powierzchniowe otarcie naskórka, rany cięte na ustach i okolicach czołowych, jednostronne pęknięcie przegrody nosowej, obrzęk twarzy, liczne otarcia naskórka zlokalizowane w okolicach nadgarstków i stawów skokowych, zwichnięcie kręgow szyjnych pierwszego stopnia, powierzchowne obrażenia jamy brzusznej... A mówiąc po ludzku, Alain miał siniaki na policzkach, pod oczami i na szczęce, pęknięcia skóry wymagające szycia na ustach i czole oraz wylew w lewym oku, spuchnięty nos, rany od sznurów na nadgarstkach i kostkach, obolała szyja i mocno obity brzuch. W sumie optymistyczne było to, że nie miał obrażeń wewnętrznych, po tak brutalnym pobiciu mogło być gorzej. Nie przesadziłam, kiedy przyszło mi do głowy, że te zbiry mogły go zabić...

Mnie poddali pobieżnemu badaniu, żeby stwierdzić, że w moim przypadku ucierpiał jedynie nerwy, więc leczenie ograniczyło się do zaaplikowania środka uspokajającego. Teo, który był z nami, również poprosił o tabletkę.

Potem wróciliśmy do prefektury, żeby formalnie zgłosić napaść. Wypełniliśmy liczne formularze i różnym osobom opowiedzieliśmy tę samą historię. „Te skurwysyny mogą już być na drugim końcu świata, a ci tutaj każą mi po raz enty składać zeznania”, mamrotał przez zęby Alain. W miarę upływu czasu pojawił się zespół pourazowy, co wyraźnie wpłynęło na jego

humor i cierpliwość.

– Szalona noc! Szalona noc! Gdyby przyszło mi do głowy, co to będzie za szalona noc, zostałbym w Madrycie, przysięgam. A spakowałem moje najbardziej obcisłe dżinsy...

Była ósma rano, a my właśnie zjedliśmy śniadanie w turystycznej kafejce przy bulwarze Saint-Germain, wyczerpani i zamyśleni, przynajmniej Alain i ja. Podczas gdy my moczyliśmy croissantsy w kawie, pogrążeni w ciszy wywołanej wzburzeniem i zmęczeniem, Teo nie mógł się opanować i w kółko głądził.

Spojrzałam na Alaina, usta miał tak spuchnięte, że ledwie mógł jeść i pić bez rozlewania kawy. Patrzyłam też na jego strupy i siniaki...

– Jak to możliwe? – zastanowiłam się na głos.

Alain odstawił filiżankę i spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

– Mnie zupełnie nic się nie stało. Nie dotknęli mnie nawet palcem...

– Kurwa, nie gadajcie po francusku, bo nic nie czuję – zaprotestował Teo.

– Później ci streszczę... – odpowiedziałam mu zamyślona. – Tym typom nie zależało na mnie... zależało im na tobie... – zwróciłam się do Alaina, dalej głośno się zastanawiając.

– Wiem... Przyszli do mojego mieszkania, bo chcieli tylko mnie, nie spodziewali się, że ty się pojawisz. Od razu zrozumiałem, że zażądanie od ciebie papierów nie było zamierzone, improwizowali, żeby jakoś wybrnąć z sytuacji. Mnie nie zapytali o nie ani razu, niczego też nie szukali. Przyszli, obezwładnili mnie, przywiązali do krzesła i zaczęli mnie bić. Tylko o to im chodziło.

– Anton, Camille, a teraz ty... A dla odmiany ja... Mnie w jakiś sposób szanują...

– Niezupełnie – sprzeciwił się Alain, patrząc na mój jeszcze zabandażowany nadgarstek.

– To sobie zrobiłam sama, uciekając. To i całą resztę. Ani przez chwilę nikt mnie nawet nie dotknął... No dobra, pewnie ci strażnicy z PosenGeist by to zrobili, gdyby nie... – Wspomniałam okoliczności swojej ucieczki. – Czuję się tak, jakby ktoś mnie chronił – podsumowałam powoli, starając się oswoić z własnymi wnioskami. – Może Georg von Bergheim...

– Ana, on nie żyje.

Potrząsnęłam głową, żeby wrócić do rzeczywistości.

– Wiem, wiem... Ale to wszystko jest takie dziwne. Nic nie ma sensu...

Alain spojrzał na mnie bez słowa, on nie znał odpowiedzi. Gdy tak na niego patrzyłam, ogarnęły mnie jednakowo: przygnębienie i czułość.

– Ten facet powiedział, że są ludzie, którzy ucieszyliby się z twojej śmierci... Dlaczego? Alain spróbował się uśmiechnąć, ale udało mu się tylko gorzko skrzywić.

– Nie będziesz mnie winić również za to, co?

– Nie, jasne, że nie. – W przeciwieństwie do niego ja mogłam obdarzyć go szczerym uśmiechem.

Teo znowu zażądał tłumaczenia, więc opowiedziałam mu w skrócie, o co chodzi. Tymczasem Alain wykorzystał sytuację, żeby oprzeć głowę na wytartym pluszu fotela.

– To trochę jak *Upiór w operze*, co? Facet jest szaleńcem, więc walczy ze wszystkimi, tylko nie z kobietą, którą kocha. Kochana, mówię ci, że zakochał się w tobie jakiś obsesyjny psychopata.

Nie zwróciłam specjalnej uwagi na malowniczą ocenę sytuacji przedstawioną przez Teo, ale ponieważ wydała mi się zabawna, postanowiłam ją przetłumaczyć Alainowi. Kiedy jednak popatrzyłam na niego, zmieniłam zdanie.

– Musimy stąd iść, żebyś mógł odpocząć. Odprowadzimy cię do domu...

– Nie chcę wracać do domu – odpowiedział zdecydowanie. – Myślisz, że mógłbym

spokojnie zasnąć? Poza tym nie chcę tam wracać i patrzeć na ten cały bałagan, teraz nie mam na to nastroju. – Westchnął, po czym zawołał kelnera i zamówił następną kawę.

– Przypuszczam, że nie planujesz zostać w tej kawiarni na zawsze – rzuciłam ironicznie, zbity z tropu jego reakcją. On tylko się do mnie wykrzywił.

Kelner przyniósł kawę, a Alain długo zwlekał z kontynuowaniem rozmowy; rozerwał torebeczkę z cukrem, wsypał go do filiżanki i powściągliwie zamieszał. Cierpliwie czekałam, nie chciałam go ponaglać.

– Jeszcze ci tego nie mówiłem – odezwał się w końcu po pierwszym łyku – ale zanim przyszły te typy, zdążyłem otworzyć e-mail z Livre Foncier...

– Matko boska... Przez całe to zamieszanie zupełnie o tym zapomniałam.

– Według *copie immeuble*, ratusz w Illkirch kupił nieruchomości Bauerów w 1975 roku...

– A kto ją sprzedał? – zapytałam niecierpliwie.

– Upoważnienie miała jakaś kancelaria adwokacka z Barcelony.

– Z Barcelony? – zapytałam zaskoczona.

– Z Barcelony.

– Co się dzieje w Barcelonie?

– Cicho, Teo... Ale z czyjego upoważnienia?

– Jakiejś spółki handlowej... Teraz nie pamiętam nazwy. Jakkolwiek by było, za tą operacją musi stać ktoś z Bauerów albo prawowity spadkobierca nieruchomości.

– Sarah Bauer? Czy Sarah Bauer mogła jeszcze żyć w 1975 roku? – zapytałam podniecona.

– Albo jakiś jej potomek.

– Ale jej córka zmarła. Widzieliśmy akt zgonu.

– Może miała więcej dzieci... Albo i nie, w każdym razie musiał być jakiś spadkobierca, bo jeśli ktoś umiera, nie zostawiwszy testamentu i nie mając spadkobierców, to cała jego własność przechodzi na skarb państwa, a najwyraźniej w przypadku Bauerów tak się nie stało. Wszystko to i tak czcze gadanie. Musimy pojechać do Barcelony i porozmawiać z kimś z tej kancelarii. – Alain dramatycznie zawiesił głos, zanim obwieścił: – A czy może być lepszy moment niż teraz?

– Do Barcelony? Teraz? – Nigdy nie byłam mistrzynią improwizacji szczególnie żądną przygód.

– Masz coś lepszego do roboty?

Bywają pytania absurdałne, acz celne.

– Hmm... w sumie to nie. Ale... Spójrz na siebie! Jesteś w stanie pojechać dokądkolwiek?

– Mam się świetnie. Nic mnie nie boli, naprawdę.

– Nie wierzę ci. Zresztą i tak naszpikowali cię środkami przeciwbólowymi, więc jak przestaną działać...

– Znów naszpikuję się środkami przeciwbólowymi – odpowiedział uparcie.

– Poza tym w poniedziałek masz iść do szpitala na kontrolę i dalsze leczenie.

– W poniedziałek, we wtorek... Co za różnica? Przestań już wymyślać... Słuchaj, możemy pojechać samochodem i zatrzymać się po drodze w Fontvieille u mojej siostry, to jest w Prowansji, w połowie drogi. Dzisiaj mamy sobotę, prześpimy się tam, a niedzielę wieczorem będziemy w Barcelonie.

– Nie jesteś w stanie prowadzić.

– Będziemy się zmieniać, a w wolnych chwilach będę odpoczywał, przysięgam.

Zastanów się, Ano, tym kutasom nie przyjdzie do głowy szukać nas w Barcelonie. Tę noc

prześpimy spokojnie.

– Och, nie wiem... Odnoszę wrażenie, że cały czas wiedzą, gdzie jesteśmy, to przygnębiające.

– Oczywiście. – Alain włożył rękę do kieszeni, wyciągnął komórkę i wyłączył ją. – Wyłącz komórkę, słyszałaś, co powiedzieli policjanci: że tak samo jak zdobyli twój numer, mogą cię teraz namierzyć dzięki sygnałowi emitowanemu przez telefon.

– Tak... Ale jeśli wyłączę telefon... – „...nie tylko ci źli nie będą mogli mnie zlokalizować – dodałam w myślach – ale w ogóle nikt...”

– Co?

– Nic...

– Ana, nie chcę wracać do domu – błagał mnie poważnie, niemal desperacko.

Spojrzałam na Alaina, na telefon... znowu na Alaina. Niemal cały weekend w podróży starym żółtym citroenem przez Francję z atrakcyjnym i obitym, rozwiedzionym profesorem historii sztuki i z gejem... To by się nadawało na scenariusz kina niezależnego. Mała przygoda. Moja mała przygoda... I Konrad nie będzie w stanie mnie namierzyć. Mała zemsta. Moja mała zemsta...

– Kurwa, kochana! Czy powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

Wyłączyłam komórkę, uśmiechnęłam się i odwróciłam do Teo.

– Jedziemy do Barcelony... Aha, i wyłącz swoją komórkę.



## MARZEC 1944

W latach 1944–1945 Royal Air Force przy wsparciu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych prowadziło kampanię masowego bombardowania sześćdziesięciu niemieckich miast. Cel tych bombardowań nie był czysto wojskowy, ale zakładał osłabienie morale cywilów poprzez obrócenie miast w gruzy za pomocą bomb zapalających, co Niemcy nazywali *Feuersturm*, czyli burza ogniowa. Do końca wojny na Niemcy spadło ponad milion ton bomb i chociaż oficjalna liczba ofiar była utrzymywana w tajemnicy, szacuje się, że podczas tych bombardowań zginęło od czterystu do sześciuset tysięcy ludzi, w większości kobiet, dzieci i starców.

Przez pierwsze dni Sarah bardzo płakała. Robiła to często i bez powodu: zniecka zaczynały płynąć jej łzy, leciały przez kilka minut, po czym wysychały. Płakała po przebudzeniu, a także przed snem, płakała w ukryciu, gdy przygotowywała jedzenie i w kolejce do sklepu. Płakała, patrząc na Marie, i kiedy Marie płakała.

Wraz z upływem czasu Sarah stopniowo przestawała płakać. Niczym strumyk w lecie jej łzy wyparowały, zostawiając suche, popękane łożysko. W końcu schowała głowę pod skrzydło i oddała się rutynie. Zmieniła swoje życie w rozkład jazdy i postojów, jak w przypadku pociągu; musiała tylko się wysilić, żeby wstać z rana i dotrzeć do wieczora, nie myśląc ani nie czując za dużo, pozwalając się nieść od dnia do dnia, które płynęły monotonnie pośród domowych obowiązków, pracy w księgarni i Jacoba.

– Wyjdź za mnie, Sarah. Marie potrzebuje ojca.

Jacob przez cały miesiąc zbierał siły, żeby zaproponować Sarah małżeństwo. Gdy to w końcu zrobił, bąkał coś pod nosem, jękał się i za nic miał wszelki romantyzm. Jednak Sarah było wszystko jedno, nawet nie uniosła wzroku. Zanurzyła łyżkę w tej samej ohydnej kapuścianej brei, którą gotowała co wieczór na kolację, i odparła:

– Marie już ma ojca. To nie są dobre czasy na ślub.

Nawet cios siekierą nie byłby bardziej okrutny. Powiedziawszy to, uniosła wzrok, popatrzyła na Jacoba i mimo wszystko się uśmiechnęła, bo w sumie wzbudzał w niej żal.

Jacob sądził, że może ją zrozumieć. Nie jest dobrze, kiedy kobieta utrzymuje męża. Kiedy jednak skończy się ta przeklęta wojna – jeśli w ogóle kiedyś się skończy i skurwysyńskie szkopy zostaną raz na zawsze zmiażdżone – znajdzie dobrą pracę, jakąkolwiek, i to on, a nie Sarah będzie utrzymywał ich dom. Wtedy Sarah za niego wyjdzie, może nawet kupią sobie dom na wsi, małe gospodarstwo, i będą mieli więcej dzieci, wielką rodzinę. Kiedy skończy się ta przeklęta wojna, Jacob będzie dbał o Sarah, zestarzeje się z nią, zawsze będą razem, aż do śmierci. Jacob nie wyobrażał sobie większego szczęścia.

Te marzenia pozwalały Jacobowi trzymać ster życia z całych sił; za wszelką cenę starał się nie zboczyć z kursu podczas burzy. Dlatego regularnie brał tabletki zapisane przez doktora Vartana, bo ciągle popadał w przygnębienie, gdy widział smutek Sarah, i dlatego, że bez lekarstw trudno by mu było kontrolować lęk, zwłaszcza w tych chwilach, kiedy leżał obok niej, nie mogąc nawet jej dotknąć. „Jeszcze nie, Jacobie. Jeszcze nie doszłam do siebie”, odmawiała i odwracała się do niego plecami za każdym razem, gdy przysuwał się zbyt blisko. Wtedy Jacob, któremu krew wrzała w żyłach, musiał zażyć tabletkę, żeby się uspokoić i zasnąć. Wiedział jednak, że je odstawi, bo kiedy statek dopłynie do raju jego marzeń, nie będzie już potrzebował żadnych tabletek.

\* \* \*

Sarah prasowała i składała ubrania. Ponieważ coraz trudniej było zdobyć węgiel, wykorzystywała chwilę rozpalania pod kuchnią przed kolacją i rozgrzewała żelazko w ogniu. Prasowała i myślała tylko o prasowaniu, o porządnym przyciskaniu, żeby wyprostować zmarszczki, o niezbyt silnym rozgrzewaniu, żeby nie spalić ubrań, o składaniu do pary skarpetek Jacoba, zacerowaniu ich i zwinięciu w kulkę. Od jakiegoś czasu nie myślała o niczym innym niż to, co właśnie w danej chwili robiła – to był mechanizm obronny.

Któregoś dnia, kiedy prasowała, ktoś zapukał do drzwi. Sarah odstawiła żelazko w bezpieczne miejsce, założyła za ucho kosmyki włosów, które wysunęły się jej z koka, i poszła otworzyć.

– Cześć, Sarah.

Sarah pomyślała, że to niemożliwe, że oczy ją oszukują, że to, co widzi, jest wynikiem jej obsesji. Dopiero kiedy Georg przemówił, zrozumiała, że to prawda.

– Jesteś sama?

Sarah skinęła głową.

– Mogę wejść?

– Tak... Tak, oczywiście.

Usunęła się, żeby przepuścić Georga, i zamknęła drzwi. Jak gdyby dźwięk zamka ją obudził, zaczęła się denerwować. Nagle znalazła się całkowicie poza czasem i przestrzenią, więc ściągnęła fartuszek w groteskowej próbie odnalezienia się.

– Gdzie jest Marie? – Ton jego głosu był przynaglający, jakby musiał natychmiast się dowiedzieć, gdzie jest dziewczynka.

Sarah spojrzała na niego zaskoczona. Georg nie wyglądał dobrze, nawet mundur nie pomagał mu zachować dobrej postawy, opadały mu ramiona, miał przygarbione plecy. Najbardziej niepokojąca była jego twarz: był wymizerowany, kąciki ust opadały na zapadniętych policzkach, spojrzenie wyglądało na pokonane ciężarem powiek, miał podkowy pod oczami, tak ciemne, że wyglądały na siniaki, a oczy przekrwione i szklane. Sarah się zaniepokoiła.

– Śpi – odpowiedziała.

– Mogę ją zobaczyć?

– Jest... w kołysce – zawahała się Sarah. – W mojej sypialni.

Georg odwrócił się i bardzo szybko wszedł do sypialni. Sarah poszła za nim i zastała go pochylonego nad dzieckiem.

– Boże...

Georg położył swą wielką dłoń na ciałku Marie i delikatnie je pogłaskał.

– Boże... Boże...

– Georg, co się dzieje?

Wyprostował się, wciągnął powietrze i zatrzymał je w płucach... Wypuścił je wraz ze szlochem. Sarah podeszła do niego i położyła mu rękę na plecach. Kiedy Georg się odwrócił, zobaczyła, że ma oczy pełne łez. Przytuliła go. Przytuliła go bardzo mocno i wtedy Georg wybuchnął silnym płaczem.

Wstydział się, chciał przestać szlochać, ale nie potrafił... Do tamtej chwili tego nie robił, nie uronił nawet łzy, ani kiedy przekazano mu wiadomość, ani podczas podróży, ani podczas pogrzebu, później w samotności też nie. Jednak w ramionach Sarah znalazł miejsce na wylanie swego żalu i wszystkich od wielu dni wstrzymywanych łez. Płakał rozpaczliwie, nie będąc w stanie mówić choćby po to, żeby się usprawiedliwić. W ciszy Sarah go przytulała, gładziła i pozwalała mu płakać na swoim ramieniu, a jej serce także rozpadało się na tysiące małych kawałków.

Po chwili Georg odzyskał oddech.

– Rudy... – załkał. – Miał niecałe dwa lata... Tylko dwa lata, Boże! Nie żyje... Dziecko nie żyje... – Ujął w dłonie twarz Sarah. – Przepraszam cię... Bardzo przepraszam... Rudy był moim synem... Bardzo przepraszam...

I znowu pogrążył się w bólu. Wtedy Sarah też popłynęły łzy.

– Nie płacz, Sarah... Ty nie powinnaś płakać. Nie chcę, żebyś przeze mnie płakała... Naprawdę bardzo przepraszam...

Sarah pocałowała jego słone usta, żeby zmusić go do milczenia. Pogłaskała go po zalanej łzami twarzy i znowu czule go pocałowała.

– Georg...

– Okłamałem cię, Sarah... Nie opowiedziałem ci całej prawdy, a teraz przychodzę się tu wypłakać, bo zmarło moje dziecko... Chciałem ci o tym powiedzieć... Wybacz mi, Sarah, nie wiedziałem, dokąd mam iść...

– Chodź... – Sarah położyła jego głowę na swojej piersi, Georg oparł ją i próbował się uspokoić.

W dniu, w którym dotarła do niego wiadomość, przebywał w Wewelsburgu: angielskie lotnictwo o 21.45 zbombardowało centrum Monachium – wśród ofiar był jego synek. W stanie szoku pojechał do domu; widok ciała dziecka złamał go. Elsie była żywym trupem objającym się o ściany, niezdolna do jakiegokolwiek reakcji czy podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Georg musiał przełknąć ból i opanować sytuację: papiery, pogrzeb, ubranie i kondolencje... Czuł się tak, jakby zostawił duszę w łóżku, a ciało działało jak automat dzięki impulsom elektrycznym. Ledwie zamienił słowo z Elsie, prawie jej już nie znał. Dopiero kiedy wyjeżdżał, stojąc w przedpokoju smutnego i mrocznego domu, z bagażem w rękę, powiedział jej:

– Elsie, błagam cię na Boga, zabierz Astrid do Szwajcarii, wyciągnij ją z tego piekła, zanim będzie za późno.

Ona odwróciła się powoli i po raz pierwszy Georg dostrzegł w jej oczach iskierkę życia, chociaż rozpałała ją nienawiść. Z ciemnymi, zmrużonymi oczami, przez zaciśnięte zęby odpowiedziała mu:

– Nie rób tego, Georg. Niech ci nie przyjdą do głowy te bezczelne słowa „a nie mówiłem”. Nie obwiniaj mnie cynicznie za śmierć naszego dziecka... Nie masz pojęcia, jak to jest być tutaj samemu, codziennie walczyć o przetrwanie. Nie wyobrażasz sobie tego, bo od pięciu lat nie ma cię w domu, a jeden list w miesiącu nie jest w stanie zastąpić ojca ani męża. Nie było cię tutaj, kiedy wyrósł mu pierwszy ząb ani kiedy zrobił pierwszy krok; nie było cię tu, żeby usłyszeć jego pierwsze słowa, ani kiedy miał odrę, ani kiedy płakał, bo już nie było mleka albo bał się wycia syren. Ale przede wszystkim, Georg, przede wszystkim nie było cię tutaj, żeby wyciągnąć jego martwe ciało z gruzów. Więc jeśli zostało ci choć trochę godności i współczucia, nie mów mi teraz, co mam robić. Już jest za późno, Georg. Za późno na wszystko.

Elsie odwróciła się i wbiegła po schodach na górę, ciągnąc za sobą koszulę nocną jak pokutująca dusza.

Georg pochylił głowę, otworzył drzwi i wyszedł z domu. Ze wszystkich bitew tej cholernej wojny ta była najdłuższa i najbardziej krwawa, i zadała mu najboleśniejsze rany. Wtedy właśnie zapragnął tylko jednego: żeby ta cholerna wojna wreszcie się skończyła, niech go zabije jako żołnierza: z honorem, na polu bitwy. Taką prośbę przekazał Reichsführerowi.

„Nie będę zaprzeczał, że coraz bardziej brakuje nam ludzi na froncie, Sturmbannführer. Ale pańskie miejsce dalej jest w Paryżu. Tam są... niezłatwione sprawy...”

Georg był tą odpowiedzią zdumiony. Powrót do Paryża nie miał żadnego sensu! W kilka sekund rozpatrywał dezercję, samobójstwo, zabójstwo szefa. Jednak w końcu stanął na baczność i podporządkował się rozkazom.

Georg wylewnie przeproszał za to, że nie powiedział jej nic o żonie i dzieciach, ale Sarah była przekonana, że nie ma mu czego wybaczać.

– Nigdy niczego sobie nie obiecywaliśmy, Georg. Jak mielibyśmy to zrobić? To się wydarzyło wbrew wszelkim planom i wbrew zdrowemu rozsądkowi, ale się wydarzyło. I od pierwszej chwili było widać, że ta układanka nie może zostać ułożona, bo nie sposób połączyć dwóch elementów z różnych kompletów.

Georg spojrział na nią jeszcze spuchniętymi i przekrwionymi, ale szeroko otwartymi oczyma.

– Mój Boże, Sarah, ty nie wiesz, jak bardzo cię kocham...

Sarah przytuliła się do niego i pocałowała go w szyję.

– Ja też cię kocham, ukochany... Jest mi tak ciężko... To mnie zabija.

Musiał ją pocałować, jeszcze czując ciepło i łaskotanie na ustach, przytulić ją do serca. Musiał to zrobić, bo to mógł być ostatni raz... Ponad jej głową zająrzył do kołyski Marie: mała nie spała, ale leżała spokojnie, oglądając własne rączki.

– Sarah, musisz wyjechać z Paryża. Straciłem już część siebie, chyba nie wytrzymałbym utraty ciebie i małej. Skoro alianci bombardują wszystkie miasta Niemiec, dlaczego mają nie bombardować Paryża? Wyjedź z Marie i Jacobem, jeszcze macie czas.

Sarah patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Ale ja nie chcę nigdzie jechać z Jacobem. Ja chcę być tylko z tobą... Wiem, że to niemożliwe, ale i tak stąd nie wyjadę. Poza tym Marie nie ma jeszcze nawet pół roku, jest za mała, żeby jechać dokądkolwiek. – Po jego wyrazie twarzy Sarah widziała, że nie jest przekonany. – Och, Georg, nieważne, co zrobimy, żeby jej uniknąć, śmierć czyha na każdym kroku. Możesz znaleźć skrót, żeby przed nią uciec, ale jeśli ona zechce, i tak będzie na ciebie czekać na końcu skrótu. Jeśli zostały mi dwa dni, chcę, żeby śmierć spotkała mnie przy tobie, a nie w czasie ucieczki z człowiekiem, którego nie kocham...

– Co... Co to jest?!

Usłyszawszy to, oboje odwrócili głowę, jakby nagle spadli z siódmego nieba do piątego kręgu piekieł. Sarah serce podeszło do gardła: Jacob zdumiony patrzył na nich z progu.

– Co tu się dzieje, Sarah? Kim jest ten człowiek?

– Jacob, uspokój się...

Sarah chciała do niego podejść, ale Georg nie pozwolił na to, zagroził jej drogę i stanął przed nią, zasłaniając ją jak tarcza.

– Jestem, kurwa, spokojny! Chcę tylko wiedzieć, co robi ten nazistowski skurwysyn w moim pokoju z moją kobietą!

Sarah spojrzała na pistolet w kaburze u pasa Georga. Jakże łatwo by mu było wyciągnąć go i jednym strzałem zabić tego Żyda. Jednak wbrew temu, co myślał Jacob, Georg nie był nazistowskim skurwysynem.

– Słuchaj... – Georg starał się go uspokoić, ale Jacob skoczył jak dzikie zwierzę.

– Won z mojego domu!

– Jacob, proszę cię...

– Zamknij się, dziwko!

To wyprowadziło Georga z równowagi, więc zrobił krok naprzód.

– I co zrobisz, szkopie, co? Zastrzelisz mnie? No to śmiało! Jednego Żyda mniej! A jeśli masz jaja tylko po to, żeby rznąć moją kobietę, ale nie, żeby mnie zastrzelić, to wypierdalaj stąd!

Georg zacisnął zęby i starał się nie myśleć o pistolecie. To on był winien tego, że ten człowiek postradał zmysły, nie mógł więc usunąć go ze swojej drogi, po prostu go zabijając.

Sarah chwyciła go za ramiona.

– Georg, wyjdź, proszę.

Nie mógł jednak zostawić jej samej z tym furiatem.

– Ale Sarah...

– Nie słyszałeś jej, chuju? – Kiedy Georg na niego spojrział, Jacob chwycił nóż. –

Wypierdalaj! Już!

Co to za absurdalna groźba? Czy ten wariat nie widzi, że w kilka sekund może się pozbyć jego i jego noża? Georg spojrział na Sarah.

– Proszę – nalegała. – Nie martw się, dam sobie radę.

Był gotowy wyjść tylko dlatego, że ona go o to prosiła. Jednak przechodząc przez drzwi i obok Jacoba, szybkim ruchem złapał go za nadgarstek i wykręcił mu rękę, aż tamten wypuścił nóż.

– Dobrze mnie posłuchaj, szaleńcze. Jeśli ją chociaż dotkniesz, przysięgam, że stracisz życie, zanim zdążysz przejść przez ulicę. – Georg z pogardą wypuścił jego rękę i wyszedł z domu.

Usłyszawszy trzaśnięcie drzwi, Sarah usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach.

– Co masz zamiar powiedzieć, co?

Jednak Sarah odpowiedziała mu tylko milczeniem.

– Kurwa, Sarah, chyba zasługuję na jakieś wyjaśnienie!

W końcu opuściła ręce i przemówiła:

– Przykro mi, Jacob. Bardzo mi przykro...

Jacob patrzył jej w oczy. Nie, Sarah nic do niego nie czuła. Nic poza współczuciem.

Chłopak nie znosił współczucia, więc zapragnął spoliczkować ją, żeby pokazać, że nie jest słaby. Miał ochotę złapać ją za szyję i potrząsnąć nią. I w miarę jak to pragnienie narastało, przyspieszał mu puls i zalewał się potem. Nie mógł tak stać i spokojnie na nią patrzeć... Przed ostatecznym wybuchem, którego później musiałyby żałować, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Siedząc nieruchomo w sypialni, Sarah znowu usłyszała trzaśnięcie drzwi. Marie zaczęła płakać. Wzięła ją na ręce. Położyła się obok niej na łóżku i przyłączyła się do jej płaczu.

\*

## LEPIEJ CHODŹMY DO HOTELU

Zmienialiśmy się, żeby przejechać te sześćset kilometrów z kawałkiem dzielących Paryż od Fontvieille i domu siostry Alaina, ale tylko Teo i ja; Alain musiał przyznać, że nie jest zdolny do prowadzenia samochodu. W sumie, bez względu na to, jak często się zmienialiśmy, taka podróż po nieprzespanej nocy pozostawała w sprzeczności z zaleceniami Generalnej Dyrekcji Ruchu Drogowego, byliśmy jednak wystarczająco zdenerwowani, żeby nas to w ogóle nie obchodziło, a poza tym żadne z nas nie chciało wracać do domu ani zostawać w Paryżu z wałęsającymi się tam mafiosami. Nawet Teo, któremu zaproponowaliśmy, że odstawimy go na lotnisko, by mógł złapać powrotny samolot do Madrytu, stwierdził:

– Ach, kochanie, nie ma mowy! Jeśli doktor Jones nie ma nic przeciwko, ja się przyłączam. Skoro cały paryski *glamour* i tak poszedł się pieprzyć, zamienię go na prowansalski, jak Carolina, księżna Monaco... Szkoda, że swoje wielkie wejście będę musiał zrobić w samochodzie Scoobiego Doo.

Nie wiem, czy doktor Jones miał coś przeciwko czy nie, jednak zgodnie z zasadami dobrego wychowania poinformował nas, że nie jest to żaden problem ani dla niego, ani dla jego siostry. „Bo w sumie, jeśli doktor Jones, nie zaciągnął cię do wyra przez dwa miesiące, nie widzę powodu, dla którego miałby to zrobić w ciągu tych dwóch dni”, Teo w szczególny sposób usprawiedliwiał swoją obecność.

Siostra mieszkała w wielkim domu i Alain zapewnił mnie, że znajdzie się miejsce dla każdego. Tak naprawdę dom był osiemnastowiecznym dworem, należał do ich dziadka i był tym miejscem, w którym zarówno Alain, jak i jego siostra mieszkali po śmierci rodziców. Kiedy siostra Alaina miała wyjść za mąż, zdecydowano, że najlepiej będzie, jeśli zamieszka we dworze, bo Alain i tak już się przeprowadził do Paryża, a dziadek był zbyt stary, żeby zostawić go samego. Kiedy staruszek wyzionął ducha, podzielono spadek tak, żeby siostra nie musiała się wyprowadzać z domu, w którym mieszkała już mężem i dwiema córkami.

O tym wszystkim mi opowiedział, kiedy prowadziłam na pierwszej zmianie. Obiecał, że odpocznie, ale nie dotrzymał słowa. Było widać, że jest za bardzo podniecony, żeby spać. Dla odmiany Teo absolutnie bez problemu zasnął i chrapał w najlepsze na tylnej kanapie. Tymczasem w ciągu mniej więcej dwóch godzin Alain zdążył mi opowiedzieć, że jego dziadek zbił niewielką fortunę na handlu antykami. André Lefranc był człowiekiem o skromnym pochodzeniu, który po zakończeniu wojny, zostawszy bez domu i rodziny, zmieniał pracę za pracę, mając się praktycznie wszystkich zawodów. Za pierwsze oszczędności kupił sobie wóz i muła, którym jeździł od domu do domu, skupując stare rupiecie, których ludzie nie chcieli, naprawiał je, czyścił, restaurował i później sprzedawał turystom na ryneczkach prowansalskich miast. Interes kwitł, więc dziadek zamienił wóz na ciężarówkę, a uliczny stragan na sklep w Saint-Rémy-de-Provence. Z czasem dorobił się czterech domów aukcyjnych w różnych miejscowościach Prowansji i stał się jednym z najbardziej szanowanych antykwariuszy w okolicy.

Kiedy zrobiliśmy pierwszy postój na stacji benzynowej, żeby się zmienić za kierownicą, zatankować i coś zjeść, przypomniałam Alainowi:

- Powinieneś zadzwonić do siostry, żeby ją powiadomić, co ją czeka, nie uważasz?
- Tak, miałem zamiar to zrobić. Jeśli zobaczę jakąś budkę telefoniczną... Ty też mogłabyś wykorzystać sytuację i zadzwonić do Konrada, żeby mu opowiedzieć, jakie mamy plany. Jeśli próbuje się do ciebie dodzwonić, na pewno się martwi.
- Tak... jasne... Zobaczę, czy da się kupić szczoteczkę do zębów...

– Ana?

– Co?

Odwrociłam się, a on tylko na mnie spojrzał. Po chwili pokręcił głową zamyślony.

– Nic... Kupię coś moim siostrzenicom.

Zapał już zmrok, kiedy dotarli do Fontvieille, które przypominało miasteczko-widmo.

Ulice były puste i słabo oświetlone, sklepy i bary już pozamykano. Przejechawszy całą miejscinę, skręciliśmy w prawo i wjechaliśmy w wąską, zniszczoną drogę ze zjazdami do niewidocznych domów po obu stronach, chroniących się za gęsto sadzonymi cyprysami.

Przed jednym z nich Teo zatrzymał samochód, którego reflektory oświetliły wysokie czarne ogrodzenie z kutego żelaza – obok bramy był dzwonek i tabliczka z napisem: L'OLIVETTE. Alain wysiadł z samochodu i zadzwonił do bramy, która po chwili automatycznie się otworzyła; znowu wsiadł, więc wjechaliśmy na posiadłość wysypaną żwirem drogą, na której końcu zarysowywał się kształt wielkiego domu o trzech kondygnacjach. Zaparkowaliśmy obok domu i zaraz pojawiły się dwa owczarki niemieckie, skaczące i szczekające wokół samochodu.

– Bonnie i Clyde... – wyjaśnił Alain, odnosząc się do psów. – To pomysł szwagra, jest policjantem... Poczekać chwilę...

Alain ponownie wysiadł z samochodu, pogłaskał psy, podczas gdy one tarzały się i wiły na ziemi, nie pozwalając mu zrobić nawet jednego kroku, po czym wszedł do domu. W tej chwili zapaliły się lampy i cała fasada się rozjaśniła: była prosta, z kremowych kamieni, poukładanych jeden na drugim jakby za sprawą magii, a na nich, zaznaczone zielonym bluszczem, trzy balkony na parterze, trzy okna na pierwszym piętrze i trzy okrągłe okienka na drugim, z pomalowanymi na biało okiennicami. Ganek wychodził na wielki trawnik otoczony drzewami oliwnymi. Drzwi frontowe otworzyły się i pojawiła się dziewczyna ubrana w dżinsy, koszulkę i szeroki rozpinany sweter w kolorze szarym. Była wysoka i smukła, blond włosy miała związane w luźny koński ogon. Psy wpadły jej pod nogi, a ona je przepędziła. Zobaczywszy Alaina, stanęła jak wryta i uniosła ręce do ust. Alain podszedł i przywitał się z nią, przytulając ją.

– To jego siostra? – zagadnął Teo.

Wzruszyłam ramionami.

– Tak sędzę...

– A wie, że dzisiaj będzie musiała nakarmić dodatkowo trzy osoby i jeszcze położyć je spać pod swoim dachem?

– Chyba tak...

– No bo ma minę typu: „A ty co tu, kurwa, robisz?”...

– Ja bym raczej powiedziała, że ma minę: „A tobie co się, kurwa, stało?”. Ale może chodzi o jedno i drugie.

Zanim zaczęłam czuć się źle w tej sytuacji, z domu wyszły dwie blond dziewczynki w białych nocnych koszulkach i jak duchy pobiegły na spotkanie Alaina. Potem zaczęły z ciekawością gładzić mu siniaki na twarzy; z niejaką ulgą stwierdziłam, że nie tylko psy cieszą się na jego widok...

Kiedy już Alain wycalował, wyprzytulał, wyłaskotał brzuchy siostrzenic, wrócił do samochodu.

– Powiedz, że zadzwoniłeś do siostry – zagadnęłam, gdy tylko otworzył drzwi.

– Zapomniałem – usprawiedliwił się, udając, że nic się nie stało. – A ty też zapomniałaś zadzwonić do Konrada?

– Nie zmieniaj tematu, Alain – oburzyłam się. – To jest straszne. Nie można tak przyjeżdżać ludziom do domu i oznajmiać, że dzisiaj śpimy u nich! Ty jesteś bratem, ale nas przecież w ogóle nie zna...

– Spokojnie. Już z nią rozmawiałem i nie ma żadnego problemu. Przyjechaliśmy akurat na kolację.

Spojrzałam na jego siostrę czekającą na nas w drzwiach i postawiłam się na jej miejscu.

– Ładny strzał! Ja umieram ze wstydu. Lepiej chodźmy do hotelu...

Jednak Alain zignorował moje protesty. Wyciągnął torby z tym, co kupił na stacji benzynowej, i otworzył mi drzwi.

– Naprawdę, Alain, nie wydaje się zadowolona z naszej wizyty... i wcale mnie to nie dziwi.

Spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– Tak, ale to z innego powodu... Wierz mi, Ano, moja siostra jest przyzwyczajona do tego, że ludzie przyjeżdżają do niej bez zapowiedzi. Dom jest wielki. Poza tym jest Josette, pani do pomocy.

Nie przekonał mnie, ale wysiadłam z samochodu. Kiedy już Teo wypłatał z miejsca kierowcy swoje długie nogi, ruszyliśmy w stronę domu.

Alain przedstawił nas siostrze. Judith wyciągnęła rękę i przywitała nas uśmiechem. Była bardzo ładną kobietą, miała ogromne zielone oczy oraz bardzo słodkie i niemal doskonałe rysy. Wyglądała jak aktorka filmowa z lat czterdziestych.

– Te dwie śliczne dziewczynki to Claire i Cécile. – Alain z dumą patrzył na swoje siostrzenice.

– Ja jestem księżniczką – dodała Cécile, młodsza, pięcioletnia, wstydliwie chowając twarz za gęstymi złotymi lokami.

– Oczywiście... Bardzo piękną księżniczką. Mówi, że jest księżniczką – przetłumaczyłam Teo.

– Boże, co za mina!

– Teo nie mówi po francusku – wyjaśniłam Judith – ale będę mu tłumaczyć... Judith, właśnie mówiłam Alainowi, że lepiej będzie, jeśli pójdziemy do hotelu. Nie można przecież nachodzić człowieka znieczeka w jego własnym domu. – Mówiąc do Judith, jednocześnie posyłałam Alainowi spojrzenie dezaprobaty, ale ten cwaniaczek śmiał się i wcale go to nie interesowało.

– Nie, nie, żadnych hoteli. W domu jest miejsce dla wszystkich. Poza tym przyjeżdżacie dokładnie na kolację, a Josette zawsze gotuje jak dla oddziału wojska. Przynajmniej nie będziemy musieli przechowywać resztek w lodówce.

– Na pewno? Nie chcielibyśmy przeszkadzać...

– Mówiłem ci, że jest za dobrze wychowana i nie będzie chciała zostać – wyjaśnił Alain, bawiąc się w ganiałego z dziewczynkami.

Judith wzięła mnie pod ramię i się uśmiechnęła.

– Na pewno, Ano. To żaden problem. Wejdźmy do środka, bo tu jest zimno. Mój mąż rozpala w kominku. To pierwsza noc od początku jesieni, kiedy to jest konieczne.

\*



## KWIECIEŃ 1944

Bruno Lohse pracował dla Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg w Paryżu od lutego 1941 do sierpnia 1944 roku. Po wojnie został zatrzymany w Niemczech i przesłuchany w sprawie udziału w grabieży dzieł sztuki należących do rodzin żydowskich z Francji. Ponieważ chętnie współpracował z amerykańskimi śledczymi – zeznawał nawet w Norymberdze – został zwolniony i oddany do dyspozycji władz francuskich. W 1950 roku w procesie przeciwko zwierzchnikom ERR we Francji został uniewinniony przez paryski Trybunał Wojskowy. Od tamtego czasu był marszandem w Monachium i stał się szanowanym kolekcjonerem sztuki holenderskiego złotego wieku oraz ekspresjonizmu. Bruno Lohse zmarł w marcu 2007 roku w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat.

**Bruno Lohse natychmiast zaakceptował listę inwentaryzacyjną i nie tracąc ani chwili, zabrał się do następnego zadania.**

Na szczęście, kiedy praca nie dawała mu ani chwili wytchnienia, nie za bardzo się zastanawiał nad tym, jakie to wszystko stało się nużące. Kolekcje sztuki ciągle przychodziły i były gromadzone w salach Jeu de Paume. Konflikty pośród zwierzchników ERR, prawdopodobnie tak znudzonych i sfrustrowanych jak on, były coraz częstsze i miały różnorodne podłoże: od zawiści i walki o władzę, do problemów ze spółniczkami oraz, w mniejszym stopniu, zawodowych. Z drugiej strony, większość personelu zdolnego do służby została wysłana na front. Z Berlina dostawali jednocześnie rozkazy przyspieszenia wysyłki kolekcji do Niemiec oraz uporządkowania chaosu w dokumentach i zarządzaniu Einsatzstab, do czego Lohse miał zaledwie garstkę francuskich robotników z muzeum, wykonujących swoją pracę ze zrozumiałą niechęcią. Lohse miał naprawdę dosyć. W chwili, kiedy poszła fama, że Robert Scholz, jego przełożony, chce go zdjąć ze stanowiska za to, że bronił jakiejś choleralnej sekretarki, która później okazała się wredną zdrajczynią opowiadającą o nim dookoła straszne rzeczy, poprosił o przeniesienie do służby czynnej; prośba została rozpatrzona pozytywnie, ale nieszczęśliwy wypadek narciarski w kilka tygodni później zmusił go do pozostania w Paryżu ze złamaną kostką. Lohse zaklinał się, że gdy tylko będzie w stanie chodzić bez kul, zostawi to śmierdzące miejsce.

– Doktor Bruno Lohse?

Lohse się odwrócił. Dwóch facetów w cywilu mierzyło go wzrokiem spod kapeluszy.

– To zależy...

– Paryskie gestapo – przedstawili się. – Musimy panu zadać kilka pytań. Proszę z nami, Herr Doktor.

Georg poczekał, aż zapadnie zmrok, żeby się udać do Jeu de Paume. Gdy się tam znalazł, wszedł do piwnicy. W głębi korytarza znajdował się mały pokoik używany do archiwizowania dokumentów. Zwykle był zamknięty, bo przechowywane tam dokumenty nieczęsto przeglądano. Jednak tym razem w ciemnym korytarzu Georg zobaczył strużkę światła sączącą się spod drzwi. Nacisnął klamkę, która lekko ustąpiła, i wszedł do środka.

– Już chciałem iść. Nie miałem pewności, że dotarła do ciebie moja wiadomość...

Lohse patrzył na niego z głębi pokoju swym zwykłym kpiarskim spojrzeniem, które odbierało dramatyzm nawet najbardziej tragicznym sytuacjom. Palił, siedząc na skrzynkach na dokumenty, z wyciągniętą nogą w gipsie i z kulami u boku.

– Pod koniec dnia przeszedłem przez swoje biuro i zobaczyłem twój list.

– Ostatnio trudno cię spotkać...

– Chodzę tu i ówdzie. Mam te swoje sprawy, wiesz przecież... Teraz pracuję tylko dla

Himmlera... a w każdym razie tak mi się wydaje. Zabrali mi służbowy samochód, pokój w Commodore, sekretarkę... i mam wrażenie, że ten pokój bez okien, którego używam jako biura, też długo mi już nie posłuży.

Na chwilę Lohse przestał się uśmiechać. Przydepnął niedopałek i ponuro spojrzął na Georga.

– Dowiedziałem się o twoim synu... I nie wiem, co mógłbym powiedzieć, żeby miało choć odrobinę sensu.

– Wiem. – Georg zacisnął usta w grymasie, który miał być uśmiechem. – Dziękuję. – I wolał zmienić temat. – A ty? Komu tym razem skopałeś tyłek, że zostały po tym tak widoczne obrażenia?

– To? Wypadek na nartach. Tamto zostawia widoczne obrażenia tylko w moich aktach. Wiesz przecież, że staram się nie splamić sobie rąk krwią... Ale gdy tylko ściągną mi ten cholerny gips, spadam z Paryża. To wszystko idzie w pizdu, przyjacielu. Mur pęka, a ja nie mam zamiaru zostać przysypany, kiedy runie, możesz być pewien.

– Kiedyś schowaliśmy się w cieniu tego muru... – zamyślił się Georg. – Teraz jest już za późno na ucieczkę.

Oblicze Lohsego stało się nagle tak poważne, że Georg zaczął przeczuwać powagę sytuacji, którą Bruno chciał z nim omówić.

Bruno Lohse wziął jedną z kul i wskazał stojącą przed nim skrzynkę.

– Siadaj, von Bergheim, i zapal ze mną papierosa, bo musimy coś obgadać. Dzisiaj miałem niebywale przyjemną rozmowę z pewnym twoim starym znajomym, komisarzem kryminalnym Hauserem.

Georgowi wcale nie spodobało się wspomnianie tego nazwiska. Odnosił wrażenie, że burza, której nie dostrzegął, ale którą rozpoznawał po grzmotach, zapachu ozonu i wilgotnej ziemi, właśnie miała się rozpętać nad jego głową. Usiadł na zaproponowanej przez Lohsego skrzynce, wyciągnął cygarnicę, poczęstował tamtego i sam zapalił, po czym przygotował się na wysłuchanie tego, co Lohse miał mu do powiedzenia.

– Nie będę owijał w bawełnę, Georg: jak najszybciej zrzucaj ten mundur i uciekaj z Paryża. Chcą ciebie i szybko cię znajdą – zawyrokował, wypuszczając pierwszy obłok dymu w stronę zwisającej z sufitu gołej żarówki.

– Hauser od początku chciał mnie dopaść, od pierwszego dnia zapalał do mnie wieczną i niezachwianą niechęcią.

– Tak, tyle że teraz ma dość dowodów, żeby cię załatwić. Od miesiąca wszystko skrzętnie zbiera. Za bardzo się zaangażowałeś w pomoc tej Żydówce, więc uderzyłeś ich w najczulsze miejsce. Teraz ten kutas ma zamiar się zemścić.

– Co wie?

– Ma świadków, którzy widzieli cię z dziewczyną: jacyś żołnierze, którzy twierdzą, że jej pomogłeś, kiedy chcieli ją zatrzymać, między innymi. Ale ma też kierowców, kelnerów, jakieś pielęgniarki z Pitié... Do tego ma zamiar oskarżyć cię o współpracę z ruchem oporu; uważa, że mogłeś pomagać w ucieczce ze szpitala Rothschilda jakiegoś więźnia z Drancy oskarżonego o terroryzm.

To, co dotychczas Lohse mu opowiadał, wcale go nie zaskakiwało. Łatwo było przewidzieć, że wcześniej czy później Hauser użyje tego wszystkiego przeciwko niemu.

– Nie próbował i ciebie w to wrobić, co? Chodzi mi o fałszywy obraz.

– Nie, nie wspominał o tym, ale jestem pewien, że jeśliby coś takiego miał, chętnie by wrobił i mnie. W sumie wezwał mnie tylko po to, żeby wyciągnąć więcej informacji o tobie: zdaje się, że w ostatnich dniach stracił twój ślad. Wie, że wyjechałeś do Monachium z powodu

syna, ale nie wie, czy wrócił do Paryża. Pytał mnie też o tę dziewczynę i czy widziałem was razem, a kiedy mu powiedziałem, że nie, ten kretyń zaczął mi wygrażać wszelkiego rodzaju pierdołami. Wydaje mi się, że przeczuwa, że nie jestem skłonny współpracować...

– Obróś w piórka, kutas...

– Nawet nie wiesz jak bardzo. I w tym problem, von Bergheim. Powiedział mi, że nie będziesz już mógł się chować za Reichsführerem, bo sam Himmler rozkazał paryskiemu gestapo rozpocząć dochodzenie.

Wszystkie mięśnie Georga natychmiast się naprężyły.

– Himmler?

Lohse przytaknął.

– Podejrzewa, że sfałszowałeś jakąś dokumentację medyczną...

Wtedy Georg zrozumiał. Zrozumiał, że wpadł w pułapkę, idąc w jej kierunku jak kretyń. Himmler pozwolił mu działać, dopóki się nie zaplątał, a wtedy wysłał go do Paryża, żeby przyskrzynić go na tym terenie. Teraz miało sens to, że nie pozwolił mu wrócić na front... Teraz wszystko do siebie pasowało. Był głupcem, sądząc, że jego fortele zadziałały, i naiwniakiem, nie doceniając przebiegłości Reichsführera.

– Słuchaj, nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, Georg. Jeśli prawdą jest to, że zrobiłeś wszystko, co mówi Hauser, jesteś bardziej świrnięty, niż myślałem. A jeśli to nieprawda, Hauser ma zajebistą wyobraźnię. Jakkolwiek by było, ty zostaniesz kozłem ofiarnym. To nie żart, Georg, musisz stąd zwiewać jak najszybciej i jak najdalej. Oskarżają cię o bardzo poważne sprawy i nie wystarczy im, że się będziesz czerwienił. Jeśli czegoś te typy nie wybaczą, to na pewno zdrady.

Georg słuchał słów Lohsego jak dalekiego echa w głębi mózgu. Tak, tak, musiał uciekać, ale co z Sarah? Sarah znowu zostanie bez ochrony...

\*

## WSZYSTKO SŁYCHAĆ PRZEZ KOMINEK

Nie potrafiłam powiedzieć, czy to z powodu zmęczenia, ale po wejściu do domu odniosłam wrażenie, że L'Olivette jest najprzytulniejszym miejscem na świecie. Wszystko w nim wydawało się ciepłe: atmosfera, temperatura, kolory, zapach kominka i gotowanego jedzenia; nawet ułożone w rzędzie kalosze całej rodziny w sieni i kolorowanki, i malunki Claire na dywanie w salonie wydawały mi się ciepłe. Przywołałam na twarz absurdalny uśmiech, wzdygnęłam się ze szczęścia i przytuliłam się do Teo, którego mi w tamtej chwili najbardziej brakowało.

Dom był piękny: gęszcz przemieszanych przedmiotów i stylów, które w jakiś cudowny sposób do siebie pasowały, sprawiając, że rezultat był nieprawdopodobnie czarowny. W jakiś sposób przywołało mi to na myśl mieszkanie Alaina, ale w powiększeniu. Antyki dodawały poloru i jakości meblom z Ikei, tapicerka była w żywych kolorach, z przesadnymi wzorami w kwiaty oraz o trzeźwej orientalnej geometrii w barwach ziemi; wszędzie były książki i fotografie, i wazony z ogrodowymi kwiatami; stosy papierów i kluczy na stoliku w sieni, słomiany kapelusz na poręczy schodów, stos fajansowych talerzy postawiony w jadalni przy pięknej srebrnej salaterce; w każdym kącie stały świece, także na stopniach schodów, i pałeczki z kadzidłem w łazienkach; na półpiętrze całą ścianę zajmowała wielka czarno-biała fotografia dziewczynek biegnących pośród drzew oliwnych i puszczających bańki mydlane... Mogłabym godzinami opisywać tysiące szczegółów czyniących z tego domu miejsce jedyne w swoim rodzaju, mimo to nie byłabym w stanie nazwać jego istoty. Naprawdę L'Olivette było niezwykłym domostwem.

– Mój szwagier jest bardzo konserwatywny i nie sądzę, żeby jakoś szczególnie mu się podobało, że będziesz spać z Teo – przestrzegł mnie Alain, pokazawszy cztery sypialnie: główną, dziewczynek, swoją i dziadka.

– Woli, żebym spała z tobą? – zażartowałam.

– No tak, to by nie było takie złe – odpowiedział Alain, podchwytyjąc żart. – Ale przypuszczam, że tak naprawdę wołałby, żebyś spała z dziewczynkami.

Kiedy zesłam na pierwsze piętro, żeby wyjaśnić Teo, jak są rozłożone pokoje, zastałam go w całkowitej symbiozie z rodziną: siedział na dywanie w salonie, podczas gdy Claire i Cécile malowały mu usta, czesały go i zakładały mu koronę. Nawet jeden z wilczurów położył mu głowę na kolanach.

– Wyglądasz idealnie. – Nie mogłam się nie zaśmiać, kiedy dziewczynki wykrzykiwały: *Il est un prince! Il est un prince!*

– Wydobyły moją kobiecą stronę, prawda?

– Przepraszam, kochanie, ale twoja kobieca strona przez cały czas jest na wierzchu. – Oczywiście Teo nie miał nic przeciwko temu. – Przychodzę ci powiedzieć, że nie będziemy mogli spać w tym samym pokoju: kwestia wizerunku.

– O cie cholera! Chyba już powinni zauważyć, że jestem dla ciebie absolutnie niegroźny, a z umalowanymi ustami to w ogóle.

– Zauważyli czy nie, trzeba się podzielić na sypialnie dziadka i dziewczynek.

– Ja chcę sypialnię dziewczynek! W pokoju trupa chyba nie dam rady. A poza tym zobacz, one mnie kochają.

Cécile złapała go za szyję i korona zsunęła się Teo na czoło.

– Przykro mi, ale to ja będę spać z dziewczynkami – wyjaśniłam pośpiesznie. – Zostałam tam już szczołeczkę do zębów i majtki. Możesz więc zanieść swój bagaż do sypialni

nieboszczyka, bo zaraz będzie kolacja.

Josette nakryła do stołu w jadalni, na wesołym obrusie w żółte cytryny, a Judith nauczyła mnie przygotowywać stroik na stół ze starego koszyka na chleb, kilku gałązek oliwnych, kilku kamieni i świeczek. Kolacja była bardzo smaczna: sałatka nicejska, tosty z tapenadą oraz *daube*, duszona cielęcina z warzywami; a na deser tarta *tatin* z bananami. Fran i Judith byli bardzo sympatyczni, naprawdę serdeczni; czułam się jak na kolacji u przyjaciół. Jednak ten piękny obraz smakowitych potraw i wesołej rozmowy miał małą skazę, coś niezauważalnego dla niezbyt czujnych oczu, ale mnie, osobie przyzwyczajonej do rodzinnych spotkań w napiętej atmosferze, takie sprawy nie mogą umknąć: Judith i Alain przez całą kolację nie odezwali się do siebie ani słowem.

Do tamtej chwili podniecenie podróżą i przyjazdem trzymało mnie na nogach, ale kiedy skończyłam deser, zaczęło mi ciężać na powiekach niemal czterdzieści osiem bezsennych godzin. Gdybym miała trzydzieści lat mniej, pewnie złożyłabym głowę na obrusie w cytryny, jak dziewczynki (które odpłynęły w objęcia Morfeusza, jedna w ramionach Teo, druga Alaina). Na szczęście deser się nie przedłużył. Podczas gdy mężczyźni zanosili dziewczynki do łóżka, pomogłam Judith posprzątać kuchnię, bo Josette już poszła do domu.

Wkrótce pojawił się Alain.

– Małe już są w łóżku, przykryte po uszy – obwieścił.

Judith ciągle zmywała, odwrócona przodem do zlewu, jakby komunikat jej nie dotyczył.

Kątem oka zauważyłam, że Alain ze smutkiem spogląda na plecy swojej obojętnej siostry. Przeszłam do jadalni i kiedy wracałam ze stosem talerzy, Alain podszedł do mnie i chwycił je razem ze mną.

– Na pewno jesteś bardzo zmęczona. Idź do góry i weź prysznic przed snem, co?

Wyczułam, że ta sugestia była prośbą, żebym zostawiła ich samych. Uśmiechnęłam się więc.

– W porządku, ale ty nie możesz dźwigać ciężarów, ja zaniosę te naczynia do zlewu.

Przygotowanie *déshabillé* nie zajęło mi wiele czasu: szczoteczka do zębów, koszulka do spania, którą pożyczył mi Teo ze swego kompletnego i wzbudzającego zazdrość bagażu, oraz czerwone majtki zwinięte w różyczkę – resztką z prezentów na walentynki, które pozostały jeszcze na stacji benzynowej, gdzie je kupiłam po drodze.

Otwierałam opakowanie na podeście drugiego piętra, żeby nie obudzić dziewczynek, kiedy na schodach pojawił się Teo.

– Kochana, nie uwierzysz! Musisz... Kurwa! Co to za wiocha?

– Majtki w kształcie kwiatu. Co, kręcą cię?

– Szczerze mówiąc, nie. Nie mów, że je włożysz; tylko dziwka mogłaby to zrobić.

– Ale są czyste, a te, które mam na sobie, chyba już nie. Więc je włożę.

– Mogę dać ci swoje calviny. Są ciaśniętkie i ślicznie podkreślają tyłeczek.

– Chyba... jednak nie. Bardzo cię kocham Teo, jednak nie na tyle, żeby chodzić w twoich gaciach. Dziękuję, ale zostanę przy swoich majtkach dziwki.

– Jak chcesz...

– A w co takiego miałam nie uwierzyć?

Teo zamyślił się.

– Że nie miałas uwierzyć... Ach, tak! Kurwa, kochana, to jest super! – Teo przesadnie potrząsnął ręką. – Musisz przyjść do mojego pokoju. Doktor Jones klóci się z siostrą i wszystko słyhać przez kominek.

Wyrwałam się Teo, który już ciągnął mnie za rękę po schodach.

– Puszczaj, Teo! Nie mam zamiaru podsłuchiwać...

– Oj, ale ja jak najbardziej, i musisz mi przetłumaczyć, bo za Chiny nic nie rozumiem. Mimo moich protestów sprowadził mnie na dół, popychając i narażając na szwank moje nogi i moralność. Wepchnął mnie do pokoju i widząc, że stoję pełna godności naprzeciw kominka, bezceremonialnie popchnął mnie na środek paleniska.

– Dobra, księżniczko, tłumacz.

– Matko boska, tu wszystko słyhać! – Rzeczywiście komin wzmacniał głos, więc wydawało się, że Alain z siostrą znajdują się w tym samym pokoju co my. – Co za wstyd!

– Przymknij się i tłumacz. Nie mów, że nie umierasz z ciekawości...

Do diabła, oczywiście, że umierałam! Poddając się Teo i samej sobie, nadstawiłam uszu i zaczęłam tłumaczyć.

– ...co to za wydumana historia? Jak możesz tak sobie tu przyjeżdżać? Z rozbitym pyskiem, oberwany, z dziewczyną, której w ogóle nie znamy, i do tego z jakimś pedałem... I rzeźbisz jakąś historyjkę o pobiciu, policjantach i złodziejach, i Bóg jeden wie, czym jeszcze. Nie wiem już, czy twoje problemy mnie martwią, ale na pewno oburzają...

– Już ci to wyjaśniłem, prawda? Nie rozumiem, dlaczego tak się na mnie złości.

– Kurwa, Alain! Wydaje ci się normalne, że pojawiaasz się tu w takim... stanie, bez zapowiedzi, a jeszcze oświadczasz, że zostajesz dzisiaj, a z rana wyjeżdżasz? To nie jest schronisko, wiesz? Nikt cię tu nie oglądał od śmierci dziadka, wyjechałeś bez pożegnania zaraz po pogrzebie, i tyle cię widzieli. Nie chciało ci się zadzwonić chociaż raz. Nawet nie podpisałeś testamentu!

– Wiesz, że niczego nie chcę...

– Nie chodzi wcale o to, czego ty chcesz, a czego nie chcesz! Świat nie zawsze kręci się wokół ciebie. Wiecznie robiłeś sobie, co ci się podobało: przyjeżdżałeś i wyjeżdżałeś, wchodziłeś i wychodziłeś bez słowa. Wyjechałeś do Paryża, a dziadek zrobił dobrą minę i na odchodne dał ci pieniądze, zmęczyłeś się i rozwiódłeś po pół roku, nikt ci tu słowem nie pisnął. Nigdy nie brałeś na siebie żadnej odpowiedzialności wobec rodziny. Przyjeżdżałeś dwa razy do roku, a do tego byłeś jak syn marnotrawny: dziadek w kółko ci nadskakiwał. Bez względu na to, co robiłeś, byłeś dla niego ofiarą albo bohaterem. Ty nigdy nie popełniałeś błędów, za nic nie było można cię zganić, niczego od ciebie wymagać: biedny Alain!

– Przepraszam, zapomniałaś, że dziadek umarł, nie rozmawiając ze mną?

– Nie, mylisz się, to ty z nim nie rozmawiałaś do jego śmierci.

– Jesteś bardzo niesprawiedliwa, Judith. Takiej awantury, jaką dziadek zrobił mi przed śmiercią, pewnie nie zrobił nikomu nigdy przez całe życie. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek musiała wysłuchać tego, czego ja wtedy wysłuchałem.

Przez chwilę panowała cisza. Spojrzałam na Teo. Czułam się bardzo niezręcznie, ale jemu się bardzo podobało.

– Tego właśnie chcesz, prawda? – znowu odezwała się Judith. – No to nie masz pojęcia, braciszku. Nie masz najmniejszego pojęcia, jakim piekłem było życie z nim. Dziadek był despota, mizoginem, miał psychozę maniako-depresyjną i o byle co robił szopkę: bo zupa była za zimna albo dzień pochmurny. I mówisz, że raz zrobił ci awanturę? Naprawdę, z jakiegoś dziwnego powodu ty widziałeś tylko jego sympatyczną stronę...

– Nie mógł być tak okropny. Przecież babcia i mama z nim żyły...

– Nie, Alain, nie. Babcia zostawiła go krótko po urodzinach mamy. A mama wyprowadziła się z domu, gdy tylko skończyła osiemnaście lat. Ja też chciałam się wyprowadzić, ale nie trafiła mi się okazja. Któregoś razu ty przyjechałeś jako wielki bohater dziadka: „Biedactwo, jak on sobie poradzi sam w domu, jest taki stary. Niech zostanie Judith, i jeszcze zaoszczędzi na kupnie mieszkania. Alain jest taki dobry, zawsze myśli o innych... Biedny Alain,

za bardzo jest zajęty w Paryżu swoją pracą i narzeczoną milionerką”. Gdyby nie to, że mój mąż jest świętym człowiekiem, mieszkanie z dziadkiem pod jednym dachem skończyłoby się rozwodem.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś, jak miałem zgadnąć?

– Guzik cię to obchodziło, Alain, przyznaj. Byłeś za bardzo zajęty własnym życiem.

Tylko raz cię o coś poprosiłam, właśnie z powodu twojej wielkiej kłótni, za którą rzecz jasna, ja też oberwałam. Nie byłam w stanie dłużej go znieść... A co ty zrobiłeś? Wyniośże mnie złałeś...

– Zostawiłem to śledztwo!

– Ach, jakże wielkie poświęcenie z twojej strony. Jak zawsze stałeś się ofiarą.

A ponieważ byłeś wielką ofiarą, nie przyszło ci do głowy przyjechać albo podnieść słuchawki i załatwić sprawę... I proszę, dziadek umarł...

– Sugerujesz, że ja mam z tym coś wspólnego?

– Oczywiście, że nie. Jeśli tak to zinterpretowałeś, przykro mi. Nie o to mi chodzi. Chodzi mi wyłącznie o to, że dobrze by było, gdybyś od czasu do czasu przestał myśleć tylko o sobie i zauważył, że masz jeszcze rodzinę.

– Rodzinę, Judith? Jaką rodzinę? Ty jesteś moją jedyną rodziną. Kto był przed nami? Kim jesteśmy? Dlaczego nikt nam tego nie powiedział? Dlaczego dziadek stracił panowanie nad sobą, gdy tylko wspomniałem Bauerów, a z drugiej strony jego szuflada jest pełna zdjęć tych przeklętych ludzi? Co jest złego w tym, że chciałbym wiedzieć, co się wydarzyło?

– Nic, ale... co to zmieni? Przestań oglądać się za siebie, nie ożywisz zmarłych. Lepiej byś zrobił, gdybyś patrzył przed siebie: jeśli chcesz rodziny, przestań odpychać ludzi i jęczeć nad tym, czego nie jesteś w stanie zmienić, i stwórz własną, zacznij od początku, skoncentruj się... Dorośnij, Alain. Dorośnij!

– Mam dorosnąć? Mam stworzyć rodzinę?... Przyłapałem własną żonę na pieprzeniu się z jakimś facetem w naszym łóżku!

Zaległa ciężka cisza. Teo spojrział na mnie szeroko otwartymi oczyma i ustami. A ja zdałam sobie sprawę, że niechcący przetłumaczyłam coś, czego nie powinnam była tłumaczyć.

Zanim zdążyłam tego pożałować, odezwała się Judith, łamiącym się głosem i bardzo powoli. Teo ponaglał, żebym dalej tłumaczyła.

– Nie... nie wiedziałam o tym. Nigdy nic nie mówiłeś... – Chociaż wydawała się zmieszana, zaraz ponownie przystąpiła do ataku. – Ale nie mów mi, że nigdy nie przyszło ci do głowy, że to może się zdarzyć. Boże, mówimy przecież o Camille!

Alain westchnął tak głośno, że doskonale było to słychać w kominie.

– Nie mam ochoty teraz się w tym babrać, wiesz? To oczywiste, że miałaś przygotowaną listę krzywd...

– Jak mogłam ją sobie przygotować, skoro nie było wiadomo, czy kiedykolwiek jeszcze się tu pojawisz? Przypuszczam, że twoje dziwaczne pojawienie się sprawiło, że wylała mi się żółć zebrana przez te wszystkie lata...

– Nie wiem, co mogę powiedzieć... Trudno zmienić się z bohatera i ofiary w łotra i agresora zaledwie w kilka minut... Trudno mi naraz stawić czoło wszystkim moim błędom... Jeśli nie masz już nic więcej do wykrzyczenia mi w twarz, pójdę się przewietrzyć, może uda mi się to przyswoić...

– Alain...

– Och, przepraszam! Wygląda na to, że znowu jestem ofiarą... Przepraszam, przysięgam, że nie robię tego specjalnie.

– Nie o to chodzi, Alain... Kurwa...

Wydawało mi się, że słyszę skrzypienie kuchennych drzwi, a potem Judith krzyknęła:

„Kurwa mać!”

Nie dotarła do nas żadna odpowiedź Alaina.

\*



## CO ZROBIMY, GDY TO WSZYSTKO SIĘ SKOŃCZY?

Szybko wypadłam z kominka i wyrzłam przez okno: Alain zniknął w ogrodzie, idąc ścieżką pośród krzaków lawendy. Niewiele się zastanawiając, postanowiłam dołączyć do niego.

– Co robisz, kochana? – zapytał Teo, widząc, że wychodzę.

Odwrociłam się, żeby mu wyjaśnić, ale nie byłam w stanie nic powiedzieć. Potrząsnęłam głową, żeby wyrzucić z niej rozsądne myśli.

– Lepiej nie pytaj. Nie mam pojęcia.

I szybko zbiegłam po schodach, zanim rozsądne myśli do mnie powrócą i zmuszą do wycofania się.

Znalazłam go nad basenem. Siedział na skraju leżaka z głową ukrytą w dłoniach. Wtedy pomyślałam: „Co ja tu, do cholery, robię?”. Rozsądne myśli są diabelnie szybkie i w końcu mnie dopadły.

Właśnie kiedy miałam zamiar okręcić się na pięcie i wrócić, skąd przyszłam, Alain uniósł wzrok.

– Boli... Boli cię rany? – Przyznaję, że nigdy nie potrafiłam z gracją wychodzić z kłopotliwych sytuacji.

– Trochę... – Znowu spuścił wzrok i wymamrotał: – Nie tak bardzo jak te, których nie widać.

Przez chwilę patrzyłam na niego w milczeniu, zastanawiając się, co powinnam zrobić. W końcu pozwoliłam, żeby on zdecydował za mnie.

– Chcesz, żeby trochę ci potowarzyszyć, czy wolisz zostać sam?

Alain uśmiechnął się i ręką poklepał leżak, wskazując mi miejsce obok siebie.

– Wolę towarzystwo.

Przeszłam tych kilka kroków, które nas dzieliły, i usiadłam. Alain milczał ze wzrokiem utkwionym w wodzie, całkowicie gładkiej w bezwietrzną noc. Gdy się jej przyjrzałam, zobaczyłam na powierzchni srebrne odbłaski; wokół niej białawe światło zaznaczało sylwetki w ogrodzie. Uniosłam wzrok: wielki księżyc w pełni lśnił dokładnie nad nami, wisząc na czystym i czarnym niebie. Była piękna jesienna noc, podczas której powietrze jeszcze pachniało lawendą i jakiś spóźniony słowik skrywał się pośród drzew oliwnych. Biało-fioletowa noc, z mgłą rozmazującą kształty i odcienie, jak węgiel, którym rysował Alain.

– Pokłóciłem się z siostrą.

– Wiem – przyznałam, żeby oczyścić swoje sumienie. – Słyszałam wszystko przez kominek w sypialni twojego dziadka... Przykro mi... – usprawiedliwiłam się, przydeptując piasek czubkami butów, żeby nie musieć patrzeć mu w twarz.

To on odszukał moje oczy. Na szczęście wydawał się bardziej rozbawiony niż oburzony.

– Widzisz? Teo i ja powinniśmy byli pójść do hotelu – stwierdziłam, chociaż wiedziałam, że pokuta przychodzi poniewczasie.

– Gdybyś poszła spać do hotelu, teraz nie siedziałabyś tu ze mną, a ja nie czułbym się lepiej niż pięć minut temu.

Położyłam rękę na jego zgarbionych plecach.

– Naprawdę ci lepiej?

Alain westchnął.

– No cóż, Judith chciała mnie zabrać na przechadzkę po kulisach mojego życia. A tak się składa, że za piękną scenografią są tylko połamane sprzęty, brudne szmaty i smród, a ja przez trzydzieści pięć lat w ogóle się nie zorientowałam... Staram się to przyjąć do wiadomości, tylko

tyle. A jeszcze do tego to... – dodał, wyciągając kopertę z kieszeni dzinsów.

– Co to?

– Dziadek napisał do mnie list przed śmiercią... Myślałem, że to też usłyszałaś.

– Nie, tego nie. Pewnie w tej chwili klóciłam się z Teo, czy powinniśmy was podслуchiwać... Przeczytałaś?

– Jeszcze nie. Teraz mi się nie chce... Może później... Kiedy już wyciągnę wszystkie strzały, którymi potraktowała mnie siostra.

Alain wzbudzał we mnie taki żal, że miałam ochotę sama wyciągać mu te strzały, powolutku i ostrożnie, żeby nie sprawić mu dodatkowego bólu, a później dmuchać w jego rany, żeby przynieść mu ulgę, w te widoczne i w te niewidoczne też. Tak jak zrobiły jego siostrzenice trochę wcześniej, delikatnie przesunęłam palcami po jego twarzy, czując opuszkami po kolei gazę i plaster, spuchniętą skórę, zakrzepłą krew... Alain zamknął oczy. W myślach zobaczyłam jego głowę traktowaną pięściami tego dzikusa; powtarzał to raz za razem. Przeszył mnie dreszcz.

W tej samej chwili powiał leciutki wietrzyk, który wstrząsnął lawendą i pokrył basen falami. Zauważyłam, że dostaję gęsiej skórki pod cienką koszulką, i zadrżałam. Ponieważ nie miałam innego schronienia, skuliłam się w sobie w poszukiwaniu ciepła.

Nie tracąc czasu na słowa, Alain objął mnie ramieniem i przygarnął do siebie.

– Noc jest zbyt chłodna, żeby chodzić tylko w koszulce – powiedział.

Było już za późno, żeby tego żałować, więc ograniczyłam się do wsparcia głowy na jego ramieniu. Jemu zdawało się to wcale nie przeszkadzać, bo powoli oparł swoją głowę na mojej, żeby ulżyć obolałej szyi. Wspaniale było przez kilka minut nie musieć robić nic innego, tylko kontemplować w ramionach Alaina wodę w basenie i unoszące się w powietrzu listki lawendy.

– A ty... co się u ciebie dzieje z Konradem? – rzucił nagle.

„Kurwa... Konrad. No to żegnaj, miła chwilo”.

– Przyszliśmy tu, żeby rozmawiać o twoich ranach, nie o moich.

– Możesz to uznać za terapię grupową: ja ci pokazuję swoje rany, a ty mi swoje.

Wyczułam, że nie miałyby sensu się wycofywać; byłam zbyt zmęczona, żeby się opierać.

– Też się pokłóciliśmy – wyznałam w końcu. – Nie pierwszy raz oczywiście. Zresztą nie sama kłótnia mnie martwi.

– A zatem?

– Martwi mnie, że guzik mnie obchodzi to, że się z nim pokłóciłam. Że nie mam zamiaru chwytać za telefon, by to naprawić, a sama myśl, że on mógłby to zrobić, sprawia, że włos mi się jeży. Tak naprawdę bardzo mnie cieszy to, że mam wyłączony telefon.

– Och, to bardziej niż na ranę wygląda na gangrenę...

Odwróciłam głowę, żeby na niego spojrzeć: jego naszkicowane węglem oblicze lśniło w świetle księżyca.

– Nie za bardzo pomagasz, wiesz?

Wziął moją przyganę za dobrą monetę i uśmiechnął się. Nasze twarze były tak blisko siebie, że musiałam się bardzo wysilać, żeby nie zezować, gdy na niego patrzyłam.

– Co zrobimy, Ano? Co zrobimy, gdy to wszystko się skończy?

– Ja, nie wiem... Ty odzyskasz swoje życie, to spokojne i bezpieczne życie, które straciłeś pewnego wieczoru w Petit Palais.

Z jego wyrazu twarzy wywnioskowałam, że to wspomnienie mu się podoba. Ale nie miałam pojęcia, jak bardzo...

– Tamtej nocy wyglądałaś tak pięknie, że nie byłbym w stanie odmówić ci niczego.

– Przestań, bo będę się czerwienić, a w moim wieku to niepoważne. – Mówiłam, jakbym żartowała, ale wcale nie żartowałam. I rzeczywiście płonęły mi policzki. – Wiesz? Ty też nie

zagrałeś czysto z tą piosenką Keane – przypomniałam mu, żeby odwrócić jego uwagę od moich policzków.

– *Love Is the End...* – dowiedział, że cieszy się dobrą pamięcią. – Zapewniam cię, że niczego nie żałuję.

– Ja też nie... Przynajmniej teraz. Na pewno pożałuję, gdy będę musiała znaleźć drogę powrotną do domu i nie dam rady tego zrobić.

Wtedy spojrział na mnie czule i pogładził mnie po plecach. Poczułam ulgę, pokazawszy mu swoje rany, a jeszcze większą, gdy mnie pogłaskał.

Tam, spowita mgłą i jesiennym wiatrem, światłem księżycy, otoczona drzewami oliwnymi i lawendą, w jego ramionach, tak blisko jego ust, mogłam go pocałować, nawet gdyby miało to być jedynie delikatne muśnięcie, żeby nie naciskać na jego ranę. I pewnie bym to zrobiła, gdybym nie usłyszała hałasu w krzakach... On pewnie też go usłyszał, bo uniósł głowę, żeby spojrzeć.

Nie było łatwo wyzwolić się z tego uroku, ale widok Judith zbliżającej się do basenu nie dał mi wyboru.

– Chyba pójdę wziąć ten ciągle zaległy prysznic... – wyszeptałam.

Alain wypuścił mnie dopiero po kilku sekundach i zanim to zrobił, westchnął. Miło mi było myśleć, że on też mógł mnie pocałować.

\*

## KWIECIEŃ 1944

Powszechnie uważa się, że Paryż nie był bombardowany podczas drugiej wojny światowej. Rzeczywiście nie był bombardowany tak intensywnie jak inne europejskie miasta, ale ucierpiał w wyniku alianckich nalotów na dzielnice robotnicze. Do najcięższego doszło w nocy 21 kwietnia 1944 roku w rejonie Porte de la Chapelle, w XVIII dzielnicy. Zginęło wówczas 641 osób, a 337 zostało rannych; ta liczba ofiar jest większa od liczby ofiar najstraszniejszych nocy bitwy o Anglię – 76 kolejnych nocy bombardowań Londynu. Innym zwyczajowym celem alianców była dzielnica Billancourt, gdzie znajdowała się fabryka Renaulta, pod koniec wojny zrównana z ziemią.

Jacob nie wrócił do domu. Nie było go od dwóch dni i Sarah nic o nim nie wiedziała. Dlatego tamtego dnia zamknęła księgarnię nieco wcześniej, wsadziła Marie do wózka i udała się do doktora Vartana, w nadziei, że spotka tam Jacoba albo przynajmniej czegoś się o nim dowie.

Była zaskoczona, że to doktor otworzył jej drzwi. O tej porze powinien być w szpitalu.

– Mademoiselle Bauer... Proszę wejść, chyba wiem, co panią sprowadza...

Sarah weszła do środka i wprowadziła wózek z Marie do korytarza, żeby doktor Vartan mógł zamknąć drzwi.

– Nie zajmę panu wiele czasu, panie doktorze. Chciałabym się tylko dowiedzieć, czy jest Jacob.

– Nie, nie ma go. Ale był tutaj. Przyszedł przedwczoraj. Był bardzo zdenerwowany i chciał, żebym mu zwiększył dawkę leków.

Doktor Vartan zachowywał ostrożny dystans, co w jego przypadku było normalne, ale tym razem jego poważny wyraz twarzy przestraszył Sarah; wyglądał, jakby był na nią zły.

– Opowiedział panu...

– Tak, opowiedział mi – uciął.

Sarah wiedziała, że tak będzie. Wiedziała, co mówi się o kobietach chodzących z Niemcami: nawet uliczne dziwki nie miały gorszej reputacji. Zatem nietrudno było się domyślić, co doktor Vartan o niej sądzi.

– Martwi mnie to, że Jacob może spovolnić leczenie – zauważył lekarz. – Tego rodzaju... doświadczenia nie są dla niego dobre.

– Wiem... – Sarah zrobiła unik. Doktor Vartan nie musiał jej tego wyjaśniać. – Gdzie go mogę znaleźć?

– Może przyjdzie tu dzisiaj na noc. Ale nie mam pewności.

– Może mu pan powiedzieć, że tu byłam?

– Tak, oczywiście.

– Dziękuję, panie doktorze.

Sarah popchała wózek Marie w stronę wyjścia. Doktor Vartan otworzył jej drzwi.

– Coś jeszcze, mademoiselle Bauer. Wydaje mi się, że jest moim obowiązkiem ostrzec panią, że Jacob jest absolutnie gotowy zabić tego człowieka. I zrobi to... Przynajmniej takie jest jego pragnienie i ma środki konieczne, żeby to zrobić.

Doktor Vartan nie tylko nie winił go za to, ale wręcz przyklaskiwał tej inicjatywie: jeden nazista mniej to zawsze dobra wiadomość.

– Tak. Dziękuję. Do widzenia.

– Do widzenia, mademoiselle Bauer.

Sarah zostawiła wózek w księgarni i wzięła Marie na ręce. Po drodze do domu kupiła odrobinę chleba, wykorzystując jedyne dwie godziny, kiedy Żydzi mogli robić zakupy. Weszła

po schodach pogrążona w myślach, dlatego nie zauważyła go, dopóki na półpiętrze nie padł na nią jego cień. Sarah zdusiła krzyk i uskoczyła do tyłu, przyciskając Marie do piersi. Chleb upadł jej na ziemię.

– Sarah, spokojnie, to ja...

– Georg?

Czy to on był tym mężczyzną bez munduru, nieogolonym, ukrywającym oczy pod rondem kapelusza?

– Sarah, kochanie...

Georg przytulił ją, a ona pozwoliła sobie zagubić się w jego ramionach. Gdyby mogła, zostałyby tak na zawsze. Jednak rozkosz szybko zniweczyły okropne myśli.

– Georg! On chce cię zabić! Jacob chce cię zabić!

Georg wykrzywił usta w sarkastycznym uśmiechu.

– No to niech się ustawi w kolejce...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzał na nią czule i pogładził jej głowę. Następnie pod zdumionym wzrokiem Sarah pocałował rączkę Marie.

– Wejdźmy do środka – zaproponował w końcu.

Sarah podała mu dziewczynkę, odszukała klucze w kieszeni i otworzyła drzwi. Gdy zamknęła je za plecami, zapytała:

– Co się dzieje, Georg?

Usłyszawszy jej stanowczy ton, przestał pieścić Marie, która gaworzyła i radośnie kopała go po ramionach.

– Muszę uciekać z Paryża... najlepiej w ogóle z Francji. Himmler chce mojej głowy i tropi mnie gestapo. Wkrótce mnie dopadną.

Sarah była zaskoczona, szybko starała się połączyć fakty, ale czuła się za bardzo oszołomiona.

– Czy to przez obraz? Odkryli, że jest fałszywy?

– Nie... jeszcze nie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Wygląda na to, że zrobiłem inne okropne rzeczy, które obraziły Führera i sprawiły, że zostałem zdrajcą Niemiec. Jak na przykład to, że się w tobie zakochałem.

Przygnębienie Sarah było tak wielkie, że nie mogła posmakować słodczy tej deklaracji. Stała plecami oparta o drzwi, z szeroko otwartymi oczyma i zasmuconą miną.

Georg podszedł do niej i ujął jej lodowatą dłoń.

– Nie martw się, Sarah. Jeszcze mnie nie złapali i nie złapią.

Sarah z żalem pokręciła głową. Wzięła Marie i położyła ją do łóżeczka. Mając obie ręce wolne, Georg objął ją. Pragnął cały czas mieć ją w ramionach, chronić ją, a może nawet umrzeć, umrzeć razem z nią. Jego oddech stał się chrapliwy, podczas gdy ręce rozpaczliwie próbowały utrzymać jej ciało, jakby w każdej chwili mogło się rozpląnąć, ulotnić się i zmienić w biały dym, który wzniesie się do nieba.

– Sarah... – wymówił jej imię, czując, że brak mu tchu. – Musisz iść ze mną.

Niczego innego nie pragnęła. Wiedziała, że kiedy Georg odejdzie, ona straci część siebie. Wiedziała, że to będzie rozstanie na zawsze i że jej życie zmieni się w głęboką czarną dziurę, przez którą wpadnie w próżnię. Pragnęła odejść wraz z nim, dokądkolwiek się uda. Wiedziała jednak, że to niemożliwe – tak jak lód i ogień, oni nigdy nie będą mogli być razem.

– Wiesz, że to niemożliwe – stwierdziła z twarzą wtuloną w jego pierś.

Georg zmusił ją, żeby na niego spojrzała.

– Znaleźliśmy się na dnie, Sarah. Nie tylko ja. Kiedy mnie złapią, ty będziesz następna,

a nawet jeśli mnie nie złapią, i tak będą polować na ciebie. Nie tropią mnie, tylko nas dwoje. Ja już nie mogę nic zrobić, żeby tego uniknąć. Będę mógł cię chronić, tylko jeśli pójdziesz ze mną...

Georg patrzył na nią wyczekująco. Sarah stała nieruchomo, nieczuła na jego słowa.

– Sarah, nie wyjadę z Paryża. – Ton jego głosu zaczynał brzmieć rozpaczliwie. – Nie mam zamiaru wyjechać i zostawić cię na ich pastwę. Wolałbym raczej stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Jeśli nie będziesz chciała uciec ze mną, poddam się... – Georg nie mógł znieść beznamietności Sarah, tego patrzenia na niego, jakby już podjęła decyzję. – Czy ty tego nie widzisz, Sarah? Nie mogę bez ciebie żyć!

Myśli kłębiły się w głowie Sarah, płątały się jak nici i mąciły jej rozum. I uczucia... uczucia ścisnęły jej serce.

– Nie rób mi tego, Georg. Musisz zrozumieć, że...

– Nie, Sarah – przerwał jej gwałtownie. – To ty musisz zrozumieć.

– Nie mogę! – Załkała. – Nie mogę iść z tobą. Nie mogę wciągać w to Marie, jest taka malutka. Nie mogę jej też zostawić, nie chcę jej zostawić, to moja córka!

A więc o to chodziło...

– Ależ nigdy nie chciałem, żebyś ją zostawiała – wyjaśnił Georg, czule spoglądając na łóżeczko. – Marie jedzie z nami.

Sarah popłynęły łzy niemocy.

– Georg... ty nic nie rozumiesz. Ty nie wiesz, co to znaczy uciekać. To wiele dni marszu bez wytchnienia, ze wzrokiem zawsze zwróconym za siebie, z odkrytymi plecami, to spanie pod gołym niebem z zawsze otwartym jednym okiem, to głodowanie i żebranie o jedzenie, to marznięcie i błaganie o schronienie. To docieranie donikąd... Nie mogę tego zrobić własnej córce.

– To ty nic nie rozumiesz. Zapomnij o mnie. Zapomnij nawet o sobie. Jeśli chcesz myśleć tylko o małej, pomyśl o tym, co wydarzy się jutro, kiedy będziesz spokojnie siedzieć w swoim mieszkaniu, bo nie chciałaś uciekać, sądząc, że to dla niej najlepsze. Pomyśl o tym, że kilku mężczyzn zastuka do twoich drzwi, nie oglądając się na nic, wyciągną ją z łóżeczka i zabiorą do Drancy, do zatłoczonego baraku, pełnego żydowskich kobiet i dzieci, brudnych, głodnych, umierających z zimna i chorób. A kiedy przyjdzie ci do głowy, że nie może już być gorzej, załadują ją do bydłowego wagonu, też zatłoczonego i cuchnącego, bez wody, bez jedzenia, bez światła, i wywożą ją... także donikąd, bo bez względu na to, jaki będzie cel tej podróży, na jej końcu czekać ją będzie śmierć. Ją i ciebie. Przejrzyj na oczy, Sarah, oni nie tylko chcą was aresztować i zamknąć w obozach koncentracyjnych, chcą was wytępić. Nie ma znaczenia, że Marie jest niemowlakiem, jest żydowskim niemowlakiem, więc zabijają ją, jak wszystkich pozostałych Żydów w Europie. Jeśli chcesz zrobić coś dla swojej córki, to zabierz ją stąd.

Sarah była sparaliżowana strachem i wątpliwościami. Patrzyła tylko na Georga przerażona, zalana łzami. On ujął jej twarz swoimi wielkimi dłońmi.

– Wysłuchaj mnie, Sarah. Jedźmy. We trójkę. Nie ma innego wyjścia.

\* \* \*

Georg ukrywał się w przebraniu żebraka, nosił stare podarte ubranie, skołtunione włosy i niechlujną brodę. Żeby ukryć swój niemiecki akcent, udawał niemowę. Wynajął pokój w jakimś okropnym pensjonacie, działającym też jako burdel, na jednej z ulic w pobliżu Saint-Denis, i siedział tam zamknięty, przez większość czasu nie oglądając dziennego światła.

Jednak oczekiwanie szargało mu nerwy. Nawet jeśli zdoła ukryć się w podziemiach Paryża, ile czasu będzie potrzebowało gestapo, żeby dotrzeć do Sarah?

„Daj mi kilka dni, Georg”, poprosiła go. Potrzebowali fałszywych dokumentów i marszruty ucieczki; Sarah nie chciała się rzucać przed siebie na oślepa ze względu na Marie. Georg musiał to zaakceptować, ale dwa dni to dwa tysiące osiemset osiemdziesiąt minut, a każda z nich oznaczała dla niego torturę.

Sarah starała się nie oglądać za siebie, nie myśleć o wszystkim, co zostawia w Paryżu, we Francji. Nie powinna się wahać, skoro chodziło o życie córki. „Oni nie tylko chcą was aresztować i zamknąć w obozach koncentracyjnych, chcą was wytepić”. Kiedy przypominała sobie słowa Georga, skręcał się jej żołądek; to nie mogła być prawda, dlaczego mieliby chcieć wytepić Żydów? Dlaczego mieliby chcieć zabić jej matkę, Ruth albo Petera? Chciała myśleć, że to bezsensowna idea, i czuła się nikczemna, nędzna, opuszczając swoją rodzinę i uciekając. Próbowwała uchwycić się jakiejś nadziei co do ich losu... Georg tak naprawdę przesadzał, gestapo chciało tylko jej i Marie, ale wszyscy pozostali, wszyscy, którzy mieli zostać, będą bezpieczni i kiedyś po nich wróci...

Ucieczka wymagała pomocy ruchu oporu, a Carole Hirsch była jedyną osobą, której Sarah mogła zaufać. Marion znienawidzi ją, Jacob zabije ją, zanim się na cokolwiek zgodzi, ale Carole Hirsch nawet nie będzie jej źle oceniać za to, że ucieka z jakimś boszem.

– Jest trasa do Hiszpanii przez Pireneje, przez przełęcz Perpignan – powiedziała jej Carole. – Zdarzyło mi się kilka razy jej użyć przy ewakuacji zagrożonych dzieci i dzieci, którym z braku czasu nie mogliśmy znaleźć rodziny we Francji. To najkrótsza i najbezpieczniejsza droga: rząd hiszpański nie robi problemów żydowskim uchodźcom, jeśli nie chcą się osiedlić na terytorium Hiszpanii.

– No to...?

– No cóż, twój przyjaciel nie jest Żydem... W każdym razie stamtąd możecie próbować przedostać się do Portugalii. Będziecie musieli pojechać pociągiem do Tuluzy. Na obrzeżach miasta, w Colomiers, znajdziecie proboszcza, on wskaże wam, jak się dostać do granicy, i skontaktuje z siatką hiszpańskich przemytników, którzy pomogą wam przejść na drugą stronę. Innym wyjściem jest zdobycie wiz. Jest taki młody pracownik ambasady Hiszpanii, który przyznaje je uchodźcom i nie zadaje zbyt wielu pytań. Ale to zajmie trochę czasu...

– Nie możemy czekać, Carole. Gestapo już nas szuka, szybko trafią na niego albo na mnie.

– W takim razie będziecie potrzebowali przynajmniej fałszywych dokumentów, przede wszystkim na podróż pociągiem, bo najprawdopodobniej powiadomili policję pilnującą porządku na stacjach. Załatwimy twojemu przyjacielowi nowy paszport, a tobie trzeba będzie zmienić nazwisko i zerwać ci ten żydowski znak. Wcześniej niż jutro wieczorem pewnie ich nie dostaniemy...

Mieli pojechać pociągiem do Tuluzy, wyjeżdżającym o 19.15 z Gare d'Austerlitz. Sarah wstała bardzo wcześnie rano i przygotowała dwie torby z najpotrzebniejszymi rzeczami dla Marie i dla siebie. Potem zeszła do księgarni, żeby popracować jak w każdy inny dzień. Zamknęła sklep w południe i włożyła Marie do wózka – zanim pójdzie odebrać dokumenty przygotowane przez Carole Hirsch, odwiedzi hrabinę.

– A więc wyjeżdżasz... – Staruszka nie wyglądała na szczególnie zaskoczoną. – Wyobrażam sobie, że z tym Żydem, ojcem twojej córki...

– Nie. Już nie jesteśmy razem.

– Ach... Znowu go aresztowali?

Hrabina zachowywała się tak, jakby sama możliwość schwytania Jacoba przez policję sprawiła jej przyjemność. To oburzyło Sarah.

– Oczywiście, że nie! Mieszka u doktora Vartana.

– A zatem? Jedziesz sama? Z małą? To zbyt ryzykowne.

– O tym teraz nie rozmawiamy. – Sarah zaczynała się niecierpliwić. Nie miała zamiaru wysłuchiwać nauk hrabiny. – Wyjeżdżam i chcę zabrać swój obraz. Nie mam czasu.

Była przygotowana na to, żeby walczyć o *Astrologa*, ściągnąć go ze ściany siłą, jeśli byłoby to konieczne. A jednak, ku jej zaskoczeniu, hrabina okazała się znacznie bardziej uległa, niż się spodziewała.

– Oczywiście. Przecież *Astrolog* należy do ciebie... Mam tylko nadzieję, że będziesz potrafiła się nim zająć tak, jak na to zasługuje, i że nie oddasz go nikomu, kto nie powinien go posiadać.

– Skoro mowa o wątpliwościach... ja nie targuję się z wrogiem.

Hrabina odwróciła się z zimnym spojrzeniem i wykrzywionym uśmiechem.

– Ach, nie?

Sarah wyczuła, co insynuuje, ale w tamtej sytuacji niewiele rzeczy odbierała jako zagrożenie, a już na pewno nie staruszkę – jej przestała się bać już dawno.

– Nie. Myli się pani, myśląc, że jest na bieżąco we wszystkich sprawach... – Sarah chciała uniknąć jakichkolwiek wyjaśnień. – Powtarzam, że nie mam czasu do stracenia, chciałabym zabrać obraz już w tej chwili.

Być może po to, żeby wystawić nerwy Sarah na próbę, hrabina wsparła się na lasce z rozpaczliwą pieczołowitością. Podeszła do czekającej Sarah i do wózka, żeby rzucić okiem na dziecko.

– Zaproponuję ci coś, Sarah. Wyświadczę ci ostatnią przysługę, bo prawdopodobnie już się nigdy więcej nie zobaczymy, a przecież jesteś moją wnuczką. Potrzebuję trochę czasu, żeby zapakować *Astrologa* i odpowiednio go przygotować na podróż. Tymczasem idź załatwić swoje sprawy i zostaw mi tu córkę. Bez niej zrobisz wszystko znacznie szybciej, potem przyjdiesz po jedno i drugie.

Nie uśmiechało się jej zostawiać Marie z tą kobietą. Jednak hrabina miała rację – gdyby nie musiała pchać wózka przez cały Paryż, zaoszczędziłoby jej to cennego czasu. Mogłaby odebrać dokumenty, zabrać bagaże z domu, a na koniec przyjść po Marie i *Astrologa* w drodze na stację. W tej sytuacji lepiej być praktyczną, a hrabina ofiarowała jej dobry układ. Przecież to tylko kilka godzin. W końcu Sarah się zgodziła.

Kiedy wnuczka wyszła, hrabina ponownie rzuciła okiem do wózka. Dziewczynka nie spała i obrzuciła ją ciekawskim spojrzeniem, nie przestając ssać sobie ręki. Śliczne dziecko, pomyślała staruszka, ma oczy matki, ale szkoda, że w jej bękarcich żyłach płynie żydowska krew.

Powlokła się do gabinetu, wyciągnęła kartkę i zapisała na niej kilka linijek. Następnie zadzwoniła i poczekała, aż pojawi się służący. Po niecałych dwóch minutach Anh Trang wszedł do salonu, pochylił głowę i z szacunkiem odczekał na rozkazy swojej pani.

– Idź po tego Żyda pod ten adres, oddaj mu ten list i przyprowadź go tu. Szybko, albinosie! Ma tu być za niecałe pół godziny.

Kiedy Anh Trang wychodził z pokoju, hrabina uniosła słuchawkę telefonu.

– Operator? Proszę numer 93 na rue Lauriston... Tak, gestapo.

Sarah przyszła do hrabiny, mając dokładnie tyle czasu, żeby zabrać Marie i obraz i pośpiesznie udać się na stację. Zadzwoniła do drzwi. Kiedy czekała, ogarnęło ją podniecenie: serce waliło jej jak młotem i trzęsły się jej ręce. Nadchodziła ta chwila i wszystko dobrze się skończy.

Anh Trang zwlekał. To dziwne, zazwyczaj szybko otwierał drzwi. Może to tylko jej niecierpliwość. Znowu zadzwoniła.



Wbiła wzrok w drewno, klamkę, judasza... Drzwi ciągle były zamknięte. Sarah ponownie zadzwoniła.

Przyłożyła ucho do drzwi: po tamtej stronie nie było słycać kroków ani żadnego innego dźwięku... Drzwi dalej były zamknięte. Znowu zadzwoniła – przytrzymała dzwonek przez kilka sekund.

Co, do diabła, się dzieje? Dzwonek wydzwaniał w środku. Nic więcej. Nic się nie poruszyło. Kiedy kończył się dźwięk dzwonka, dom pogrążał się w kompletnej ciszy. I zamknięte drzwi. Co, do diabła, się dzieje?

Sarah zaczęła walić w drzwi pięściami. Ogarnęła ją panika. Rzuciła okiem na zegarek – zostało niewiele czasu. Drzwi się nie otwierały.

Sarah krzykiem zażądała, żeby jej otworzono. Pot zalewał jej czoło. Trzęsła się na całym ciele. Drzwi się nie otwierały.

Sarah spała dzwonek, zdarła gardło i chciała wyważyć drzwi zakrwawionymi od uderzania pięściami. Drzwi się nie otwierały.

Dzwonek, uderzenia, krzyki... Drzwi się nie otwierały.

Silna i niezłomna, w końcu zrozumiała. Upadła na kolana, płacząc z wściekłości i niemocy, rozdarta rozpaczą. Wykrzyknęła imię córki.

Drzwi się nie otworzyły.

\*

## ŻYCIE BEZ SARAH

Położyłam się do łóżka śmiertelnie zmęczona, gotowa zagrzebać się w kocach, zakopać głowę pod poduszką i spać przez wiele godzin. I tak było, zagrzebałam się w kocach, zakopałam głowę pod poduszką i... zaczęłam się przewracać z boku na bok, raz za razem, nie zmrzywszy oka.

Ustaliłam kadencję oddechów dziewczynek i zapoznałam się z każdym cieniem w pokoju: pluszowe misie, tablica, domek dla lalek, fartuszki na krzesłach, marionetki na półkach, budzik Minnie Mouse... Przykryłam się i odkryłam; znowu się przykryłam. Włożyłam głowę pod poduszkę; wyciągnęłam ją. Położyłam się na brzuchu, a potem na wznak; znowu na brzuchu. Słyszałam też kroki Alaina, gdy wchodził po schodach i do swojego pokoju, dokładnie naprzeciw pokoju dziewczynek. To wtedy postanowiłam zażyć tabletkę uspokajającą z tych, które przepisał mi w szpitalu. Chyba w końcu usnęłam...

A może nie do końca tak było. Jeszcze byłam świadoma, kiedy poczułam rękę na ramieniu. Odwróciłam się i wydało mi się, że widzę zamazaną czarno-białą postać Alaina.

– Wydawało mi się, że nie śpisz... – wyszeptał.

– Tak naprawdę nie jestem do końca pewna...

Zmarszczyłam czoło; był to jedyny sposób na okazanie zaniepokojenia, na jaki pozwalała mi senność. Czy on ma zamiar wejść mi do łóżka z tym obitym ciałem i dwiema nieletnimi śpiącymi tuż obok? Straciwszy tyle znacznie bardziej odpowiednich okazji, ile miał do tej pory?! Mężczyźni są naprawdę prymitywni...

– Przepraszam... Nie mogę czekać do jutra, muszę ci coś pokazać.

Wyobraziłam sobie komentarze Teo na ten temat i uśmiechnęłam się do siebie.

– Teraz?

Alain skinął głową.

– Dobrze... – zgodziłam się, zakładając leżące na stoliku okulary.

Na szczęście koszulka Teo była o kilka numerów za duża i całkowicie zasłaniała czerwone majtki ze stacji benzynowej. Poza tym w ciemności nie było widać dokładnie, że na koszulce jest nadruk z twarzą Bruce'a Lee. W każdym razie wyglądałam nie najlepiej, postarałam się jednak o tym zapomnieć i poszłam za Alainem.

– Chodźmy do mojego pokoju.

– Do twojego pokoju? – zapytałam przestraszona. – Proszę, nie każ mi się pokazywać w tym... stanie.

Alain spojrzał na mnie... Ale nie na mój stan, tylko prosto w oczy.

– Ana...

Wtedy zdałam sobie sprawę z jego dziwnego zachowania i ponurej miny, jakby miał ściśnięty żołądek.

– Wszystko w porządku?

– Nie... Nie wiem...

Dostałam gęsiej skórki i złe przecucie ścisnęło mi serce. Alain westchnął.

– To list mojego dziadka...

– Cholera, ale mnie wystraszyłeś – wyznałam z ulgą, wyobraziwszy sobie wylewy krwi do mózgu, pękniętą wątrobę, uszkodzenie kręgosłupa i wszystkie inne mało prawdopodobne komplikacje, o których mówiono nam w szpitalu.

– Musisz go przeczytać.

– Ale... Nie wiem... To bardzo osobiste sprawy. – Nie chciałam wchodzić na teren, na

którym czułabym się niezręcznie, nawet jeśli on mnie o to prosi. Powstrzymywał mnie jakiś dziwny wstyd.

– Proszę – błagał, jakby był zbyt znużony, żeby mnie przekonywać.

Nerwowo obciągnęłam koszulkę z Bruce'em Lee, bezskutecznie starając się ukryć kolana, po czym zgodziłam się wejść do jego pokoju.

Okno było otwarte na oścież, łóżko nienagannie pościelone, lampka na stoliku włączona. Alain opadł na materac; wydawało się, że nie ma siły utrzymać się na nogach. Podsunął mi kilka złożonych kartek papieru. Wzięłam je nie bez wahania, usiadłam obok niego na łóżku i jeszcze raz na niego spojrzałam.

– Wolę, żebyś sama to przeczytała. Nie umiałbym ci tego opowiedzieć.

Zrezygnowana poprawiłam sobie okulary i zaczęłam czytać w ciszy.

*Fontvieille*

*13 września 2010*

Kochany Alainie,

Pewnie zaskoczy cię, że dostajesz ten list po mojej śmierci. I pewnie zadajesz sobie pytanie, dlaczego nie miałem dość odwagi, żeby osobiście powiedzieć ci to, o czym teraz piszę... Po prostu dlatego, że nie chciałeś odebrać telefonu ode mnie. Poza tym mówienie nigdy nie przychodziło mi z łatwością.

Nigdy nie myślałem, że będę świadomy nadejścia mojej godziny. Jednakże wydarzyło się ostatnio kilka rzeczy, które jak koniunkcje planet zwiastują tragiczny koniec. Mam dziewięćdziesiąt lat, to się musi zdarzyć. Skłamałbym, gdybym powiedział, że się nie boję – wielokrotnie już spoglądałem w przerażającą twarz śmierci, jak będzie teraz, kiedy ostatecznie wyciągnie do mnie swoją lodowatą dłoń?

Możliwe, że jeśli przed odejściem otrzępię kurz z sandałów i glinę z tuniki, wszystko będzie prostsze. Wiem, że tam, dokąd się udaję, będę musiał odpowiedzieć za swoje grzechy, a jednak są sprawy, których nie mogę ze sobą zabrać; podróż będzie długa, a ciężar zbyt wielki – lata żalu i goryczy... Jestem na to zbyt stary.

Przeszłość, zawsze czarna i bolesna, pojawia się teraz jako biały anioł, żeby rozbudzić moje sumienie pieszczotą. Dobry Bóg dał mi jedną okazję, zanim wezwie mnie na swoje łono. Już wiem, kochany wnuku, dlaczego trafiłeś na Bauerów. To było twoje przeznaczenie... moje też.

Trudno mi było skupić się na lekturze. Środek uspokajający zaczynał działać i ledwie byłam w stanie zapanować nad powiekami. Linijki tekstu falowały jak wzburzone morze, słowa podskakiwały na kartce, jakby były trójwymiarowe. Jedno z nich wszakże, tylko jedno, wstrząsnęło moim umysłem i kompletnie mnie obudziło. Spojrzałam na Alaina, czekającego w napięciu u mego boku.

– Napisał Bauerów?

– Czytaj dalej...

Zasługujesz na wyjaśnienie, teraz już go przed tobą nie ukryję. Nie wiedząc o tym, wsadziłeś palec w ranę i zbudziłeś moje demony; nie wiedząc o tym, zbliżywszy się do Bauerów, zbliżyłeś się do tego, co przez sześćdziesiąt pięć lat starałem się trzymać z daleka od ciebie i od twojej siostry, tak silne było moje pragnienie zemsty. I bałem się, bałem się stawić czoło przeszłości.

Historia jest długa, ale zanim ci ją opowiem, coś ci wyznam. Coś, czego pewnie nigdy nie powinienem był ukrywać, bo znamię, które człowiek ma od urodzenia, pozostaje na zawsze.

Kochany Alainie, ty jesteś Bauerem i twoja siostra także. Oboje jesteście prawnukami Alfreda Bauera; wnukami Sarah, Sarah Bauer.

– Boże... – Jeszcze raz przeczytałam tę ostatnią linię, jakbym próbowała znaleźć w niej inne słowa. Kartka drżała w moich rękach. – Boże...

Położyłam dłoń na dłoni Alaina, była lodowata.

– Jak to możliwe? – Pytanie to zadałam jemu, ale także sobie, światu, przeznaczeniu, a nawet boskiej Opatrzności.

– Nie wiem. Nie czytałem dalej... Powiedziałem ci już: nigdy nie mówił o babci, w całym domu nie ma po niej nawet śladu. Ani jednego zdjęcia, ani jednego przedmiotu, ani jednego wspomnienia, ani jednej sytuacji, w której ktoś by powiedział: to należało do twojej babci. To zawsze była postać bardziej niż nieobecna, nieistniejąca. Tej nocy, kiedy pokłóciłem się z dziadkiem, zdałem sobie sprawę, że ona odeszła, gdy tylko urodziła się moja mama... Nigdy nie przyszło mi do głowy, że właśnie Sarah Bauer... Kurwa mać...

Podąłem Alainowi list.

– Masz...

Alain przyjął go bez wielkiego entuzjazmu.

– Nie chcesz wejść w świat Sarah Bauer?

Wzruszyłam ramionami.

– Oczywiście, że chcę... Ale ty musisz iść pierwszy. Teraz wszystko się zmieniło, chodzi o twoją rodzinę.

– Chodźmy oboje. Jesteśmy w tym razem, pamiętasz? – sięgnął po swoje ulubione zdanie.

– Poza tym nie chcę tego robić sam.

Przyłgnął do mnie, ramię do ramienia, położył list pomiędzy nami obojgiem i zaczął czytać na głos.

Przez te wszystkie lata usiłowałem wymazać ślady Sarah, bo nikt nie sprawił mi tyle bólu co ona. Kochałem ją. Sarah Bauer była moją wielką miłością i nigdy później nie kochałem nikogo tak bardzo jak jej. Ale zdradziła mnie, opuściła, zostawiając samego i chorego, pustego i żalnego. Mówi się, że od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok, jeden krok, który ja zrobiłem w kwietniu 1944 roku.

Ale historia zaczyna się znacznie wcześniej, w tych dniach, kiedy byłem zaledwie zwykłym piętnastoletnim chłopakiem, który po raz pierwszy przyszedł do pracy w domu Bauerów...

Dziadek Alaina przemawiał ustami wnuka. Opowieść nabierała życia dzięki jego głębokiemu głosowi. Głosowi, który skupiał uwagę studentów i zarażał historiami, który był w stanie mnie obudzić, mimo zmęczenia i środków uspokajających.

Ta opowieść wzbudzała we mnie dziwne uczucie. Od miesięcy staraliśmy się zrekonstruować życie Sarah Bauer, opierając się na niepowiązanych ze sobą fragmentach, a tu nagle mieliśmy ją przed oczyma, skrupulatnie wyłożoną na kilku kartkach papieru, z tymi fragmentami idealnie wkomponowanymi w całość, mającymi sens, którego wcześniej było im brak, w sposób pozornie prosty, jakby za sprawą magicznego zaklęcia. Jednak najdziwniejsze było dzielenie emocji wydobywających się z tych fragmentów opowiadanych w pierwszej osobie. A w każdym słowie, w każdym zdaniu i każdej scenie dziadek Alaina te emocje przedstawiał: pierwszy raz, kiedy zobaczył Sarah bawiącą się w ogrodzie z rodzeństwem i poczuł, że nie jest w stanie na nią nie patrzeć, jak trzęsły mu się ręce, kiedy pomagał jej wsiąść na konia albo poprawiał jej popręgi, jak przyglądał się jej ukradkiem, wyczesując konie, jak był w niebowzięty za każdym razem, kiedy na niego spojrzała, uśmiechnęła się do niego albo odezwała... jak się zakochał w Sarah. Od tego czasu jego życie kręciło się wokół życia

dziewczyny, jego życie miało sens, bo ją kochał: uciekł z nią, walczył u jej boku, zniósł tortury, ból i strach o nią, bo bez niej nic dla niego nie miałyby sensu. Z listu wylewały się emocje, które wybuchły, gdy mówił o skurwysyńskim naziście, przeklętym naziście, w którym Sarah się zakochała: „Powiniennem był go zabić, bo nawet cała Trzecia Rzesza i wielkie zniszczenie, jakie przyniosła, nie sprawiły mi tyle bólu jak ten skurwysyński nazista, odbierając mi to, co najbardziej kochałem; lepiej by było, gdyby odebrał mi życie...”.

Alain przestał czytać, kiedy położyłam się na łóżku, bo już nawet nie byłam w stanie siedzieć.

– Co za smutna historia... – wyszeptałam sennie.

Podłożył mi poduszkę pod głowę i ściągnął mi okulary.

– Przepraszam. Wzięłam tabletkę na uspokojenie, bo nie mogłam spać... – usprawiedliwiłam się.

Wybaczył mi pełnym zrozumienia uśmiechem.

– Chcesz, żebym dalej czytał?

– Musisz to zrobić. Nie zasnę, dopóki nie dowiem się, co się stało z Sarah Bauer.

Pewnego popołudnia przyszedł po mnie do domu doktora Vartana przerażający służący hrabiny – stara chciała mnie zobaczyć. W tamtej chwili nie miałem pojęcia, czego może ode mnie chcieć ta przekłeta czarownica, ale wiedziałem, że istnieje tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć – pójść do niej z albinosem. Bardzo się zdziwiłem, kiedy wszedłem do salonu i zobaczyłem, że jest tam Marie w wózku. Starucha szybko zaspokoila moją ciekawość: Sarah była gotowa uciec z Francji z tym skurwysyńskim nazistą i zabrać ze sobą naszą córkę. Hrabina wyznała, że sumienie nie pozwala jej zgodzić się na coś podobnego; przyznała, że nie jest w stanie zrobić nic, co pozwoliłoby uniknąć hańby wnuczki, ale przynajmniej powinienem uratować małą, bo też jest krwią jej krwi. „Pan jest jej ojcem – powiedziała – proszę ją zabrać i nie pozwolić, żeby zajął się nią jakiś nazista”. Nigdy nie wierzyłem w dobre intencje tej suki... Ale w tamtej chwili jej intencje w ogóle mnie nie interesowały. Byłem zdolny myśleć tylko o zdradzie Sarah; cała moja nienawiść zwróciła się przeciwko niej i nie mogłem pojąć, jak może robić mi coś tak haniebnego. Cała moja energia skoncentrowała się na zemście na niej. Zacząłem od tego, że wziąłem małą na ręce i poszedłem stamtąd. Nie wiedziałem, czy jestem w stanie sprawić, żeby Sarah mnie nie opuściła, ale nie chciałem, żeby odeszła z dzieckiem, nie dałbym jej tej przyjemności.

Z drugiej strony intencje hrabiny stały się oczywiste, kiedy wyszedłem z domu. Gdy tylko minąłem dziedziniec i zanim dotarłem na ulicę, zobaczyłem ich: dwóch policjantów po drugiej stronie. Zbyt długo przed nimi uciekałem, żeby ich nie rozpoznać, bo mimo cywilnych ubrań wszystko zdradzało ich zachowanie psów wietrzących zwierzynę. Poza tym ci mieli służalczy wygląd gestapowców, francuskich policjantów, przeklętych Kainów współpracujących z nazistowskim gestapo. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, kto im na mnie doniósł. Wykorzystałem ciemność korytarza dla powozów, żeby cofnąć się na dziedziniec i czmychnąć przez drzwi dla służby, ale złożyło się tak nieszczęśliwie, że jeden z nich mnie zobaczył. Krzyknęli, żebym się zatrzymał, ale rzuciłem się do ucieczki po wąskich zaułkach otaczających plac Wozów. Zdałem sobie sprawę, że z Marie na rękach mam mniejszą szansę ucieczki – policjanci coraz bardziej się zbliżali i niebawem miałem się znaleźć w zasięgu ich broni. Wskoczyłem w jeden zaułek i położyłem małą na ziemi, ukrytą pośród kartonów... Do dzisiaj nie mogę uwierzyć, że nie płakała, jestem przekonany, że to sam Jahwe, nasz Pan, położył na niej swoją dłoń, żeby ją uspokoić i uratować. W każdym razie, kiedy w końcu miałem wolne ręce, wyjąłem nóż, który zawsze przy sobie nosiłem, i przyłgnałem do ściany, czekając, aż hieny pokażą swoje ostre kły.

Skłamałbym, gdybym ci powiedział, że pamiętam, jak się to wszystko wydarzyło. Nie wiem tego. Mam wrażenie, że rzuciłem się na nich z nożem, chciałem poderżnąć im gardła, zrobić cokolwiek, żeby ich unieszkodliwić. Pamiętam tylko, że wytarłem ręce z krwi najlepiej, jak się dało, żeby nie pobrudzić kocyka małej, kiedy znowu brałem ją na ręce, że przeszedłem nad trupami gestapowców i co sił w nogach uciekłem stamtąd.

– To moja matka... ta mała dziewczynka była moją matką... – Alain nagle przestał czytać.

Nie sądzę, żeby mówił do mnie, bo patrzył przed siebie pustymi oczyma. Mimo to odpowiedziałam:

– Ale Marie Bauer umarła jako niemowlę. Widzieliśmy świadectwo zgonu...

Rzeczywiście nie mówił do mnie. Alain, wciąż z zagubionym spojrzeniem, po prostu powtórzył:

– Była moją matką...

Potem dalej czytał:

Natychmiast zrozumiałem, co oznacza mieć przy sobie dziecko, jak wiele demonów zacznie mnie prześladować, nie tylko policja. A jeśli Sarah będzie chciała ją odebrać? A jeśli wyrwie mi ją ten skurwysyński nazista? Zabiję dziecko, zanim je dostaną. Wtedy byłem tak skołowany, że nie przychodził mi do głowy inny pomysł na wyrzucenie z siebie trucizny. Myśli o cierpieniach Sarah, kiedy dowie się o śmierci córki, doprowadzały mnie do chorej radości. Ona miała cierpieć tak samo jak ja, nie mogłem dopuścić, by wyszła z tego nienaruszona, nie mogłem dopuścić, by któregoś dnia przyszła i zażądała dziecka. Musiałem ją zabić i pewnie naprawdę bym to zrobił, gdyby nie to, że przyglądając jej się, zrozumiałem, że jeśli to zrobię, przemienię się w jednego z tych strażników z Drancy, którzy z radością katowali bezbronne dzieci, albo w te świnię, które pozwoliły, żeby setki dzieci zostało zakatowanych w nieludzkich warunkach Welodromu Zimowego. Jaką winę ponosiło dziecko za to, co jego matka zrobiła mnie? Przecież mimo wszystko Marie była też moją córką. A jednak zabiłem ją. Zabiłem ją dla Sarah.

Pracując z doktorem Woźniakiem, nauczyłem się fałszować dokumenty. Bardzo łatwo było to zrobić przy użyciu kilku formularzy medycznych, potwierdzających śmierć Marie i moją. Potem oficjalnie zarejestrowałem oba zgony; w tamtych czasach urzędnicy nie zadawali wielu pytań na temat śmierci: śmierć była codziennością. Gdy tylko umrzemy, Sarah przestanie nas poszukiwać.

– To była moja matka... Wiedziałem...

Wydawało mi się, że słyszę Alaina. Sen zaczynał mnie zwycięzać, więc ledwie mogłam skupić się na szczegółach historii.

Mając nową tożsamość, ukryliśmy się w podziemnych schronieniach, w kanałach, katakumbach, jedzenie znajdowaliśmy w śmieciach albo zebraliśmy o nie, przetrwaliśmy, dopóki alianci nie weszli do Paryża. Wtedy dosłownie zmartwychwstaliśmy spośród zmarłych. Powróciliśmy do życia, do życia bez Sarah...

\*

## KWIECIEŃ 1944

Rozpoczynają się przygotowania do lądowania w Normandii wojsk pod dowództwem generała Eisenhowera. 6 czerwca 1944 roku 175 000 żołnierzy amerykańskich, brytyjskich i kanadyjskich bierze udział w operacji, która pozwoliła otworzyć front zachodni w Europie. Kilka tygodni później, 25 sierpnia, Paryż zostaje oswobodzony, co kładzie tym samym kres czterem latom niemieckiej okupacji.

Gare d'Austerlitz pełen był podróżnych przepychających się w górę i w dół schodów, niepatrzących na boki, kłębiących się jak mrówki poza mrowiskiem, na peronie, chwytających się pociągów, usiłujących nie utracić ostatniej nadziei. Georg zadawał sobie pytanie, ile z tych osób o ponurym, wbitym w ziemię spojrzeniu ucieka tak jak on; na pewno wszyscy wyglądali, jakby to robili, cały świat jakby od czegoś uciekał... Być może to tylko paranoja człowieka ściganego, pragnienie, żeby ukryć się pośród uciekającego tłumu.

Panował duszący upał, z wyziewów maszyn i tłumu, lepki i plamiący sadzą. Powietrze było ciężkie. Prawie nie sposób było oddychać z powodu silnego smrodu, szorstkiego i piekącego, węgla i ludzi. Stacja wydawała się wielką szklarnią; dymiący pociąg już gwizdał na peronie.

Oczy Georga poruszały się bardzo szybko, niemal wędrowały dookoła jak oczy kameleona, od zegara do tłumu, od tłumu do schodów, od schodów do drzwi. W jego głowie także kłębiły się niezwiązane ze sobą myśli: od stacji do Sarah, od Sarah do gestapo, od gestapo do Elsie, od Elsie do listu... Po drodze na stację wrzucił go do skrzynki: list do żony. Napisał do niej pośpiesznie, nim wyjedzie na zawsze; wyświechtane słowa i niepowiązane ze sobą zdania człowieka oszołomionego. „Bardzo mi przykro, Elsie, czuję cały ból, który ci sprawiłem. Przepraszam za popełnione błędy, zasmuca mnie to, że musiałaś za nie zapłacić. Moje sumienie rozpadło się na tysiąc kawałków i staram się je poskładać. Moje wartości znikły i próbuję je odnaleźć. Bardzo mi przykro, Elsie. Georg von Bergheim nie żyje; ja sam go zabiłem”.

Minęło kolejnych pięć minut. Znowu gwizd pociągu, znowu ścisk na peronie. Sarah się spóźniła.

Georg rozpaczliwie poszukiwał jej pośród tysięcy twarzy. A jeśli pociąg gwizdnie po raz ostatni, a Sarah nie będzie? Tysiące twarzy i żadna nie należy do niej. Następna i następna, i żadna nie należy do Sarah. Bolały go oczy, suche od wypatrywania. Bolała go szyja od ciągłego wyciągania i pięści od zaciskania. Nie, bez Sarah nie. Nie wyjedzie bez niej z Paryża. Będzie jej szukał w każdej twarzy tego przeklętego miasta.

– Sturmbannführer von Bergheim...

Podeszło do niego dwóch mężczyzn.

– Słucham?

– Gestapo. – Georg spuścił wzrok i zobaczył owalną plaketkę na dłoni. Dłoń się zamknęła.

– Przepraszam, mylicie mnie z kimś...

– Na pana miejscu bym tego nie robił. Mój kolega mierzy do pana z pistoletu. – Major zobaczył broń, gdy kolega lekko rozchylił płaszcz. – Lepiej będzie, jeśli to ja zajmę się pana bronią, bo nie chcemy, żeby ludzie wpadli w panikę. – Gestapowiec odebrał mu pistolet.

Gwizd pociągu, ostatniego pociągu. Minuty na zegarze. List do Elsie. Setki twarzy wokół. Mrówki zakrywające peron. Ani śladu Sarah...

– Sturmbannführer Georg von Bergheim, jest pan aresztowany. Proszę z nami.

\*





## TO JUŻ NIE JEST TWOJA SPRAWA, PRAWDA?

Zbudził mnie niespokojny sen, jacyś faceci w niemieckich mundurach gonili mnie po Paryżu. Z uczuciem podobnym do kaca przewróciłam się w łóżku... w łóżku Alaina. Koszulka z Bruce'em Lee podwinięta pod piersi i czerwone majtki na widoku. Uniosłam się jak na sprężynach. Co ja robiłam na wpół naga w łóżku Alaina?

– Ach tak... List... – Zaczęłam odzyskiwać pamięć o poprzedniej nocy.

Matko boska, list. I dziadek, i Bauerowie, i Alain... Możliwe, że to wszystko mi się przyśniło, zanim jacyś faceci w niemieckich mundurach wdarli się w moje sny. Pewnie był to sen o tym, że Sarah Bauer była babką Alaina. Cholerna tabletki... co to za narkotyki?

Przez okiennice przeciskały się promienie słońca i słychać było głosy z ganku. Założyłam okulary i spojrzałam na zegar: było po dwunastej.

– Matko, co za wstyd...

Poszłam do pokoju dziewczynek po swoje ubrania, pośpiesznie się umyłam i ekspresowo ubrałam.

Kiedy wyszłam na ganek, słońce raziło w oczy zupełnie jak latem. Pilnie potrzebowałam kawy.

– Dzień dobry, śpiąca królewno.

Judith i Alain siedzieli przy stole pod ogromnym kasztanowcem, którego ostatnie liście znaczyły wszystko cieniami, jakby szarymi plamami farby na kolorowej fotografii.

– Dzień dobry... Przepraszam, że tak długo spałam – wyznałam cieniutkim głosem.

– Och, nie przesadzaj. Wszyscy dzisiaj mieliśmy problem z wstaniem – rzuciła Judith. –

Dopiero co skończyliśmy śniadanie. Masz na coś ochotę? Jest kawa, sok, croissanty – Fran właśnie przyniósł je z miasta, są świeżutkie. Masz też chleb, marmoladę, wydaje mi się, że zostało trochę masła... – Uniosła pokrywkę maselniczki. – Niewiele, ale jest jeszcze w lodówce, przyniosę ci...

– Nie, nie! Nie kłopotz się. To, co tu mamy, to i tak za dużo... Dziękuję. – Pokazałam jej swój najlepszy sztuczny uśmiech. W każdym razie czułam się niezręcznie, jak obcy człowiek, który łąduje się z butami w czyjeś życie rodzinne.

– Dobrze, ale jeśli masz ochotę na coś jeszcze, nie wahaj się o to poprosić. Będę w środku, może uda mi się namówić dziewczynki, żeby się ubrały. Bawią się z Teo lalkami Barbie jak dwie małe wariatki.

– Wyobrażam sobie...

Judith weszła do domu, a za nią dwa owczarki niemieckie, które wylazły ze swej kryjówki pod stołem, kiedy zobaczyły, że ich pani wstaje.

– Jak się masz? – zagadnęłam do Alaina.

– Cóż, pomijając to, że niemal nie zmrużyłem oka, że boli mnie całe ciało, że ten cholerny nos prawie nie pozwala mi oddychać, że ściągają mi się szwy na ustach i mam twarz jak Shrek, wszystko jest w porządku.

– Mimo że marudzisz bardziej niż wczoraj, wydaje mi się, że wyglądasz lepiej. Nie jesteś już tak opuchnięty i krwiaki nie są tak czerwone... Teraz są fioletowe.

– Pocieszyłaś mnie ... Usiądź. – Zaprosił mnie. – Chcesz kawy?

– Bardzo...

Poszedł po czystą filiżankę, wyrzucił z niej jakiś paproch i wlał jeszcze ciepłej kawy z termosu. Sam dolał mleka i dodał odpowiednio dużo cukru.

– Dziękuję. – Wzięłam filiżankę, ale nie wypilałam, rozejrzałam się, żeby się upewnić, że

jesteśmy sami. – Zanim odzyskam jasność myślenia i wtedy nie ośmielę się zapytać, powiedz: dlaczego obudziłam się w twoim pokoju?

Uśmiech Alaina był kpiący. Zasłużyłam sobie na niego za zadawanie podobnych pytań.

– Chcesz poznać prawdę?

– Och, przestań!

– W porządku. Zasnęłaś, kiedy czytaliśmy list, to wszystko. A spałaś tak głęboko, że żał mi cię było budzić, więc przykryłem cię kocem, zgasilem światło i poszedłem spać do dziewczynek. Ale proszę cię, nie rozpowiadaj dookoła, że zabrałem do łóżka ładną kobietę, a ona zasnęła; człowiek ma w końcu jakąś reputację...

– W twoim koszmarnym stanie nikt by ci tego nie wyrzucił, wierz mi. Zapewniam cię, że nic nie pamiętam. Pewnie przez tę tabletkę...

Alain rozciął croissanta, posmarował go czerwoną, lśniącą marmoladą i podał mi.

– W takim razie ten list mi się nie śnił?

– Obawiam się, że nie.

Pociągnęłam duży łyk kawy i wbiłam wzrok w stół.

– Cholera jasna... – wymamrotałam.

– Tak. Mnie też nie udało się wyjść jakoś szczególnie daleko poza tę refleksję. I wcale nie dlatego, że nie zastanawiałem się nad tym wszystkim, wykorzystując sytuację, że nie mogłem zasnąć.

– Zdajesz sobie sprawę, że jesteś legalnym spadkobiercą kolekcji Bauera i *Astrologa*?

– Częściowo... Moja siostra też. Ale nie sposób tego dowieść. W obliczu prawa Eve Marie Bauer nie żyje, a my jesteśmy dziećmi Irène Lefranc.

– Ale obie są tą samą osobą. Zasnęłam po tym fragmencie listu... Twoje śledztwo dobiegło końca, Alainie. Dokładnie w miejscu, w którym je rozpocząłeś.

– Co za ironia, prawda? Pewnie powinienem czuć się dumny.

Ironiczny, opryskliwy, pogardliwy... To nie był styl Alaina.

– Dobrze się czujesz? I teraz nie pytam o twój stan fizyczny...

Wzruszył ramionami.

– Wydaje mi się, że moje niedojrzałe i miękkie serce nie zniesie już ani jednego rodzinnego dramatu. Jeśli to prawda, że mój dziadek pozbawił własne dziecko matki, no to moja siostra wczoraj nie powiedziała wszystkiego: stary był prawdziwym skurwysynem. No popatrz! Jak to z siebie wyrzuciłem, poczułem się lepiej.

Mogłam zrozumieć jego żal. Gdzieś musiał wylać nadmiar emocji.

– Trudno ocenić coś takiego. Ekstremalne czasy i ekstremalne sytuacje w oczywisty sposób wywołują ekstremalne reakcje. Rozmawiałeś z Judith?

– Tak. Przyjęła to bardziej filozoficznie. Przypuszczam, że ona straciła mniej mitów, znała dziadka lepiej niż ja. Poza tym dla niej Sarah Bauer jest tylko imieniem i nazwiskiem, to nie ona tropi ją od miesiący, jak my, którzy niemal żyjemy jej życiem. – Alain odsunął kosmyk włosów, który opadł mi na twarz, gdy pochyliłam się nad filiżanką. – Ty okazałaś więcej emocji przy czytaniu tego listu niż ona.

To prawda, historia Sarah Bauer mnie wzruszała, bo na swój sposób przeżyłam ją. Jednak najbardziej wzruszało mnie, że na końcu tej historii jest Alain.

– Bardzo wiele razem przeszliśmy: Georg, Sarah, ty i ja – zgodziłam się.

– A to jeszcze nie koniec. Twoje badanie jeszcze się nie skończyło, Ano. Ciągłe nie wiesz, gdzie jest *Astrolog*.

Takie przedstawienie sprawy mnie zasmuciło.

– To prawda... Ty już wiesz, kto jest twoją rodziną... To już nie jest twoja sprawa,

prawda?

– Nie wiem... Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Teraz, skoro już się tu znalazłem, nie wiem, czy chcę dalej w to brnąć... Już ci powiedziałem, nie zniósłbym kolejnych tragedii rodzinnych. Zaczynam myśleć, że może Judith ma rację: może lepiej przestać się grzebać w przeszłości i stawić czoło przyszłości... Szczerze mówiąc, nie wiem, czy chcę, żeby Sarah Bauer weszła w moje życie.

– Może już umarła... W sumie list na ten temat nic nie mówi... A może coś mi umknęło?

– Nie, nic ci nie umknęło. Dziadek nigdy nie miał o niej żadnych wiadomości. A jeśli coś wiedział, zabrał to do grobu.

– Wszystko jest zatem tak samo, jak było na początku: musimy pojechać do Barcelony i powoli nawijać cienką nitkę łączącą nas z Sarah Bauer...

Chciałam zaprzeczyć oczywistości, siląc się na wymuszony entuzjazm. Nic z tego nie wyszło.

– Nie, Ano. Nie wydaje mi się, żebym chciał jechać do Barcelony...

– I... co zrobisz?

– Może zostanę tutaj na kilka dni, może wrócę do Paryża... Może pojedę jutro, jak zacznę za tobą tęsknić...

Spuściłam wzrok. Jego jałmużna mnie nie zadowalała – słowa to tylko słowa; wypowiedziane lekko, nie mają dość dużego ciężaru, więc przemijają z wiatrem. Ale nie jest w moim stylu okazywać otwarcie, że czuję się zawiedziona i smutna. Ja zwykle przybieram uśmiech i zapewniam, że wszystko w porządku, że nic nie jest w stanie mnie zranić.

– Hej... – Alain delikatnie uszczypnął mnie w brodę, a następnie wziął mnie za rękę. – Słuchaj, muszę się oswoić z tym wszystkim... Pojedź przodem.

– A jeśli ją spotkam? Jeśli spotkam ją albo znajdę obraz? Należą do ciebie! Nie można się do nich odwrócić plecami! A co ja mam począć w takiej sytuacji? Dalej robić swoje, jakbym o niczym nie wiedziała?

– Daj mi trochę czasu. Tylko trochę czasu... Niech mi się zagoją rany i poprawi nastrój. Może zobaczę sprawy w innych kolorach.

Chwył mnie za rękę i nachylił w moją stronę w takiej ciszy, co to oszałamia bardziej niż tysiąc krzyków. Ciszy tylko naszej, której nie było w stanie zmącić nawet głośne wtargnięcie Teo.

– Tu jesteście, o boscy! Te nowoczesne Barbie są straszne! Jebaniutki są bardziej płaskie niż encefalogram Tutenchamona. Co za żal, Boże... Eee... Czy przerwałem coś ważnego?

\*

## UPORZĄDKOWAĆ WSZYSTKO NA NOWO

Judith zawiozła nas do Marsylii, żebyśmy mogli z Teo wsiąść do samolotu do Madrytu. Postanowiłam, że zanim udam się do Barcelony, wpadnę do domu po świeże ubrania i postaram się skontaktować z kancelarią adwokacką.

– Zadzwoń do mnie, jak dotrzesz na miejsce... daj znać, że wszystko w porządku – poprosił Alain, zanim przeszliśmy przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku. – Ale zadzwoń ze stacjonarnego, nie włączaj jeszcze komórki.

– Ty też nie.

– Phi, ja nie jestem w niebezpieczeństwie. Będę pod jednym dachem z inspektorem policji – zażartował. – Uważaj na siebie, dobrze?

– Już wystarczy, gołąbki! Przestańcie już ćwierkać, bo ucieknie nam samolot. Cmok, cmok, Alain. Nie martw się, bo ja się nią zajmę, jakby była moja, słowo geja.

Teo pociągnął mnie przez bramki; gdy stanęłam w kolejce, już się za siebie nie odwróciłam.

Dziwnie było wrócić do domu po tak długiej nieobecności. Opuszczone żaluzje, zapach niewietrzonego mieszkania, pusta lodówka... Mimo to powrót do własnego mieszkania wprowił mnie w dobry humor; słodki posmak w moich gorzkich ustach. To było moje miejsce.

Wykąpałam się, włożyłam czystą pidżamę – i do tego swoją, co za rozkosz! – a ponieważ Toni ciągle był w Bilbao, zamówiłam z Teo na kolację telesushi.

Zadzwoiłam do Alaina. „Pomyślałem, że jeszcze raz przejrzę rzeczy dziadka. Może natrafię na coś, co pomoże nam znaleźć obraz”, powiedział. Alain wrócił do początkowej gry: porzucił front, ale nie chciał porzucić walki, choćby w ariergardzie.

Zanim poszłam do łóżka, postanowiłam na chwilę włączyć komórkę, żeby sprawdzić, czy mam jakąś wiadomość. Trwało to tylko kilka minut. Wiedziałam, co oznacza włączenie komórki: odzyskanie kolejnego elementu rutyny, odzyskanie Konrada... Nie byłam pewna, że spowoduje to u mnie tak miłe uczucie jak powrót do domu.

Rzeczywiście, gdy tylko telefon ożył, zaczął się trząść jak dziewczynka z *Egzorcysty* i wypluwać na ekran wiadomości i nieodebrane połączenia: jedno, drugie, trzecie, czwarte... Kilka było od mojej matki, jedna od siostry i szesnaście wiadomości i nieodebranych połączeń od Konrada. Zawartość wiadomości zawsze była taka sama, jedyne, co się zmieniało, to intensywność naglącego tonu. Przyznałam, że muszę dać mu znak życia; ta moja furia wydawała mi się przesadzona.

– Ana! – Konrad odebrał, wykrzykując moje imię.

– Cześć, Kon...

– Gdzie jesteś?

– W Mad...

– Wszystko w porządku?

– Tak...

– Na miły Bóg, *meine Süße*! Co się, do diabła, wydarzyło? Myślałem, że oszaleję, próbując się do ciebie dodzwonić! Wczoraj wieczorem przyjechałem do Paryża i zastałem w apartamencie totalny bałagan. I nie mogłem się z tobą skontaktować. Ten przeklęty telefon od kilku dni jest wyłączony albo poza zasięgiem, na litość boską! Poszedłem na policję, gdzie opowiedzieli mi, co się stało. Wiedzieli tylko, że wyszłaś z prefektury w sobotę rano. Ale dlaczego, kurwa, do mnie nie zadzwoniłaś! Zgłosiłem nawet zaginięcie! A teraz będę je musiał wycofać!

Kiedy wreszcie Konrad wyrzucił z siebie wszystko, streściłam mu, co się działo od czasu wyłączenia telefonu.

– Idź rano do mojej sekretarki i powiedz jej, żeby załatwiła ci nowy numer. – Pierwsza reakcja Konrada na moją opowieść była przede wszystkim praktyczna: uporządkować wszystko na nowo. – Jutro po południu muszę być w Berlinie, ale we wtorek przyjadę do Madrytu, możesz siedzieć spokojnie do tego czasu?

Ponieważ wszystko było w porządku i pod kontrolą, pożegnał się suchym „dobranoc, *meine Süße*”. „Ja też cię kocham, Konrad”, pomyślałam z ironią, odkładając komórkę. Potem zadzwoniłam do matki i siostry. Obie rozmowy wyczerpały mnie, mimo to przed snem napisałam e-mail do kancelarii adwokackiej Claramunt. Przyznałam sobie stanowisko asystentki Alaina Arnoux z EFLA i wyjaśniłam, że próbuję zlokalizować potomków Alfreda Bauera w celu oddania im kolekcji dzieł sztuki. Miałam nadzieję, że uda mi się załatwić sprawę przez pocztę elektroniczną i w ten sposób zaoszczędzić sobie podróży do Barcelony. Wysłałam wiadomość, wyłączyłam komputer i poszłam do łóżka.

Następnego dnia obudził mnie dzwonek telefonu stacjonarnego. Zerwałam się z łóżka i jeszcze oszołomiona podbiegłam do aparatu, nie mając nawet czasu, żeby zadać sobie pytanie o to, kto, do cholery, dzwoni do mnie o wpół do dziesiątej rano.

– Słucham?

– Dzień dobry. Czy pani doktor Ana García-Brest?

Usłyszawszy bardzo oficjalny ton, zrobiłam wszystko, żeby się dobudzić i ukryć zaspany głos.

– Tak, przy telefonie.

– Nazywam się Roger Claramunt, z kancelarii Claramunt. Dzwonię w sprawie listu, który wczoraj pani do nas wysłała...

– Ach tak, tak!

Ponownie wyjaśniłam panu Claramuntowi powód, dla którego skontaktowałam się z kancelarią, nieco rozwijając mój list.

– Rozumiem... Chodzi o to, że pani prośba jest nieco niewłaściwa. Mając na względzie obowiązek zachowania tajemnicy służbowej, nie możemy ujawniać danych naszych klientów, chyba że w sytuacjach nadzwyczajnych i absolutnie usprawiedliwionych.

– Rozumiem, panie Claramunt, ale może uznałby pan ten przypadek za nadzwyczajny i absolutnie usprawiedliwiony. Przecież chodzi o zwrot komuś czegoś, co mu się prawnie należy i co zostało mu bezprawnie odebrane. Chodzi o naprawienie krzywdy pańskiego klienta i w żadnym razie nie można mu zaszkodzić, nie uważa pan?

Cisza po drugiej stronie nie zwiastowała niczego dobrego. Czułam, jak jedyna nić łącząca mnie z Sarah Bauer wysuwa mi się z rąk.

– Nie przebywa pani w tej chwili Barcelonie, pani doktor...

– Nie, ale w dowolnym momencie mogę się spotkać z panem w pańskim gabinecie i przedyskutować to zagadnienie twarzą w twarz, jeśli uważa pan, że to konieczne.

– Tak, byłoby znakomicie. Dzięki temu moglibyśmy porozmawiać o tym kliencie i razem ocenić ten przypadek. Czy jutro po południu to dobry termin?

– Tak, oczywiście.

– Proszę pozwolić mi zajrzeć do kalendarza... Czy piąta odpowiada pani?

\*

## OD DOKUMENTU DO DOKUMENTU

We wtorek przyjadę do Madrytu, możesz siedzieć spokojnie do tego czasu?” Podczas gdy ekspres AVE gnał niemal trzysta kilometrów na godzinę poprzez Aragonię i drzewa rosnące przy torach przelatywały przed moim oknem jak rozmazany kleks, pomyślałam, że w końcu będę musiała zadzwonić do Konrada, żeby mu powiedzieć, że nie, że jednak nie będę w stanie wysiedzieć spokojnie do tego czasu.

W tamtej chwili zatrząsł się mój BlackBerry: to był Alain.

– Cześć, doktorze Arnoux.

– Jeszcze jesteś w pociągu?

– Przecież przestaliśmy rozmawiać dziesięć minut temu. Tak, jeszcze jestem w pociągu.

A ty? Dalej jesteś w gabinecie dziadka?

– Tak... Mam przed sobą zdjęcie, które chyba jest zdjęciem Sarah Bauer w Paryżu...

To sprawiło, że oczy szeroko mi się otworzyły ze zdumienia.

– Naprawdę, jak wygląda?

– To zdjęcie grupki ludzi: czterech mężczyzn i dwie kobiety. Stoją z tyłu ciężarówki. Oni są uzbrojeni i pokazują broń do obiektywu, jakby to był rzeczywisty powód robienia zdjęcia. To zaskakujące, jak jedna z kobiet jest podobna do mojej siostry...

– Sarah...

– Obawiam się, że tak... Ciekawe, że razem ze zdjęciem znalazłem opakowanie po czekoladzie... Chocolat Menier, to stara marka. Zostały połączone spinaczem.

Po drugiej stronie telefonu usłyszałam szelest papieru.

– Bardzo ładnie, Alain... Wyobraź sobie, ile historii i wspomnień skrywa się za tym zdjęciem i opakowaniem.

– Dziwnie jest patrzeć Sarah Bauer w twarz... Nie potrafię tego wyjaśnić... – Nie było trzeba, ja czułam coś takiego, patrząc na Georga von Bergheima: to jakby spotkać przeszłość. – Chciałbym, żebyś ją zobaczyła.

– Przyjedź mi pokazać.

– Może tak zrobię...

– Zadzwoń po spotkaniu, dobrze?

Kancelaria Claramunt zajmowała całe piętro w starym budynku przy Paseo de Gracia. Gabinet Rogera Claramunta, przestronny i do bólu klasyczny, prawdopodobnie nie został zmieniony od czasów, kiedy Joan Carles Claramunt założył firmę około 1930 roku. Zatem cztery pokolenia adwokatów zasiadały na tym samym obrotowym skórzanym fotelu, przy tym samym biurku ze szlachetnego drewna, nie mówiąc już o tym, że korzystały z tej samej kolekcji aktów prawnych Aranzadi, która z upływem lat pokrywała ściany gabinetu niczym bluszcz. Jedyną rzeczą, która wydawała się nowoczesna, chociaż nie za bardzo, było zdjęcie trójki dzieci na biurku.

Pan Claramunt był mężczyzną w wieku około czterdziestu lat, o miłej powierzchowności, choć niezbyt ekspresyjnym. Zachowywał się z kurtuazją człowieka dźwigającego na karku osiemdziesiąt lat rodzinnej tradycji. Podobało mi się jednak, że rozpoczął od okazania empatii wobec EFLA.

– Ostatnio widziałem film dokumentalny BBC na temat rabunku dzieł sztuki przez nazistów. Te sprawy były mi zupełnie obce, więc film wydał mi się niezwykle interesujący. Pewnie ustalenie pochodzenia wszystkich tych rozproszonych po świecie dzieł, żeby odnaleźć ich właścicieli, przynosi wielką satysfakcję.

– To prawda. Chociaż, szczerze mówiąc, ja nie należę do Fundacji, jednorazowo z nimi współpracuję... A właśnie, czy otrzymał pan e-mail od doktora Arnoux?

– Tak, tak, dostałem wczoraj.

– Poprosiłam, żeby do pana napisał, bo rozumiem pańską powściągliwość wobec mojej prośby. Nie chciałam, żeby miał pan wątpliwości co do prawdziwego powodu mojej wizyty, a jest nim zlokalizowanie potomka rodziny Bauerów.

– Nie ma nikogo, kto by zgłosił prawo do kolekcji?

– Nie. Co oczywiście nie oznacza, że Fundacja nie będzie chciała jej oddać. Chodzi o to, że w czasie wojny rodzina Bauerów, jak większość żydowskich rodzin, które pozostały we Francji, została wymordowana. Jedyna droga odnalezienia jakiegoś spadkobiercy prowadzi przez Sarah Bauer, która mogła ująć całość z Holocaustu i przeżyć wojnę.

Pan Claramunt wykrzywił usta w geście niechęci.

– Przykro mi to stwierdzić, ale w tych dokumentach nikt nie nosi nazwiska Bauer – obwieścił, odnosząc się do żółtej teczki, na której leżały jego skrzyżowane ręce.

Nie zraziłam się. Po tylu miesiącach byłam zahartowana i wiedziałam, że to spotkanie nie rozwiąże wszystkich moich wątpliwości.

– Jednak człowiek, który sprzedał tę nieruchomość w Strasburgu, musiał mieć upoważnienie właściciela. Chociaż sprzedano ją poprzez spółkę, to przecież ta spółka musiała mieć do tego prawo.

– W zasadzie tak... Widzi pani, ta sprawa ma ponad trzydzieści lat, zajmował się nią mój dziadek. Na pierwszy rzut oka dokumenty nie prezentują nic zaskakującego: chodzi jedynie o powołanie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, pośród aktywów której znajduje się wzmiankowana nieruchomość w Strasburgu. Jest tu też upoważnienie wystawione na kancelarię Claramunt do zajmowania się sprawą jej zbycia. Właściwa umowa kupna-sprzedaży i cała związana z tym dokumentacja: akt notarialny, rejestr itd. Można powiedzieć, że spółka została powołana wyłącznie w celu zrealizowania tej operacji, bo zaraz potem została rozwiązana.

– A pośród udziałowców...

– Nie ma nikogo o nazwisku Bauer – dokończył, czytając w moich myślach.

– Nie ma też sposobu na to, żeby dowiedzieć się, jak i od kogo spółka otrzymała tę własność...

– Biorąc pod uwagę to, co tu mamy, obawiam się, że nie.

Wtedy w końcu zaczęło mnie dopadać rozczarowanie: czy miało się okazać, że z tego spotkania nie wyniosę ani nazwiska, ani żadnej innej informacji, której będę się mogła ucześcić? Jednak zanim zdążyłam okazać swoje rozczarowanie, pan Claramunt podjął na nowo:

– Jednak, jak już pani powiedziałam, ta sprawa była prowadzona przez mojego dziadka, który jeszcze żyje. Ma dziewięćdziesiąt pięć lat, żelazne zdrowie, a co ważniejsze, cudowną pamięć. Ponieważ zainteresowała mnie ta historia, wczoraj wieczorem porozmawiałem z nim. Doskonale pamiętał tę sprawę, bo przypadkiem przyjaźnił się z osobą, która mu ją zleciła. Choć przykro mi to oznajmić, ta osoba niedawno zmarła.

– O kurczę... – Nic już nie mogło mnie powstrzymać przed bezpretensjonalnym okazaniem, że podczas tego przykrego spotkania raz za razem wylewa mi się na głowę kubek zimnej wody.

– Proszę nie tracić ducha. To, co dla pani może być złą wiadomością, mnie zwalnia z obowiązku zachowania tajemnicy...

– Co ma pan na myśli? – zapytałam ostrożnie, nie chcąc wzbudzać w sobie fałszywych nadziei.

– Chodzi mi o to, że skoro ta osoba już nie żyje, nie ma żadnego powodu, żebym nie mógł

wyjawić pani jej tożsamości oraz danych. Może dzięki nim będzie pani w stanie odnaleźć jakiegoś krewnego, który dostarczy więcej wiadomości.

Musiałam mieć radosną minę, jak małe dziecko, gdy dostaje cukierka. Może dlatego Roger Claramunt uśmiechał się z zadowoleniem.

– Czy to możliwe? Byłabym bardzo zobowiązana. Zostało mi już niewiele drzwi, do których mogę zastukać, zanim uznam się za pokonaną.

Jego odpowiedź polegała na otwarciu teczki, wzięciu kartki i długopisu Montblanc i zanotowaniu czegoś. Przez cały czas uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Proszę bardzo...

– Dziękuję.

Spojrzałam na kartkę:

Stéphane Debousse

L'Ametller, Camí de Cala Blau, s/n

Deia, Majorka

– Stéphane Debousse – przeczytałam na głos. – Francuz?

– Szwajcar.

Ponownie rzuciłam okiem na swoje ostatnie trofeum. Od kartki do kartki, jak dzieci przy poszukiwaniu skarbu. Stéphane Debousse, Szwajcar... Za każdym razem, kiedy robiłam krok w stronę *Astrologa*, było tak, jakbym się od niego oddalała.

– Co masz zamiar zrobić?

– Nie wiem, Alain – wyznałam przygnębiona. – Ślad staje się coraz bardziej zagmatwany, jeśli w ogóle kiedykolwiek był prosty. Co ma z tym wszystkim wspólnego jakiś Szwajcar, zwłaszcza martwy?

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić...

– Wiem. Ale obawiam się, że tym razem ostatecznie zabrnę w ślepy zaułek. Obawiam się, że tym razem po prostu to będzie koniec...

– Wierz mi, nigdy nie ma końca... Zawsze jest jakiś ciąg dalszy.

– I jesteś pewna, że to cię zaprowadzi do *Astrologa*?

– Oczywiście, że nie, Konrad – wyznałam obrażona. – Nie mogę być pewna niczego. Ale to jedyne, co mam...

– Jedyne, co masz po trzech miesiącach badania?

– Proszę, nie zaczynajmy od nowa. Jeśli będziesz ze mną rozmawiał jak z jednym ze swoich księgowych, ostrzegam, że wyłączę telefon.

– W porządku, *meine Süße*, nie popadaj w melodramatyzm. Rób, co masz do zrobienia. Później się zobaczy.

\*



## KTO TERAZ MIESZKA W TYM DOMU?

Wynajęłam samochód na lotnisku Son Sant Joan i szybko dowiedziałam się, jak dojechać do Deia. Kiedy się tam znalazłam, skorzystałam ze śródziemnomorskiej jesieni, słonecznej i przyjemnej, żeby odpocząć w malutkiej kawiarni, która wystawiła stoliki na taras. Pozwoliłam się pieścić bryzie niosącej z sobą zapach soli i jodu i szeleszczącej bugenwillami za moją głowę. Rozkoszowałam się przyglądaniem każdemu kamiennemu zaułkowi, każdej stromej i wąskiej uliczce, kotu pomiędzy geraniami na parapecie i wspaniałym widokom Serra de Tramuntana.

– Dzień dobry, czego sobie pani życzy?

– Kawę z mlekiem, proszę. Niedużo kawy.

Zanim kelner odszedł, pokazałam mu kartkę z adresem pana Debousse.

– Czy to daleko stąd?

– Camí de Cala Blau? Nie, skąd... Wyjeżdżając z parkingu, musi pani skręcić w lewo, za jakieś dwieście metrów zobaczy pani drogowskaz... Jedzie pani na spotkanie z panem Debousse? Ale on zmarł jakieś...

– Znał go pan?

– Oczywiście... Mieszkał tu już, kiedy byłem mały. W ostatnich latach zwykle przychodził we czwartki na partyjkę domina... W lecie nie, bo jest za dużo turystów... To był starszy mężczyzna, ale nieźle się trzymał, wie pani?

– Kto teraz mieszka w tym domu?

– Jego żona. Na pewno tam jest. Od śmierci męża niewiele wychodzi.

Camí de Cala Blau była wąska i niewyafaltowana i schodziła w dół od Deia w stronę morza. Wzdłuż drogi rosły sosny, a gdzieś tam ich rząd był przerywany małymi pomarańczowymi sadami albo rosnącymi na tarasach migdałowcami. Kiedy dostrzegłam skąpane w słońcu morze na końcu drogi, spowita chmurą pyłu wznoszonego przez mój samochód, dotarłam do jedynego znajdującego się tam domu. Zatrzymałam się przed bramą z kutego żelaza. Wysiadłam, obciągnęłam dzinsy i włożyłam ciemne okulary. Niczym zwierzę rozpoznające teren, wystawiłam twarz na wiatr: powietrze pachniało sosną i morzem, a szum fal mieszał się ze szmerem wiatru w zaroślach; ponad nimi uderzenie motyki o ziemię i ten czy ów ospały jesienny tryl. Westchnęłam głęboko, żeby wciągnąć tę naturalną energię, zanim spojrzałam do środka przez kratę. Po drugiej stronie ktoś pracował w ogrodzie.

– Przepraszam! – zawołałam ponad bramą, stając na palcach. Mężczyzna przestał kopać i odwrócił się. – Czy mieszka tutaj pani Debousse?

Zanim mi odpowiedział, otarł pot z czoła, wytarł ręce o kombinezon i podszedł do kraty.

– Czego pani chce?

– Chciałabym porozmawiać z nią o sprawach... prywatnych. – Szczerze mówiąc, nie miałam ochoty wyjaśniać ogrodnikowi powodów swojego przyjazdu. – Jeśli może jej pan podać moją wizytówkę...

Mężczyzna precyzyjnie przez kratę rękę ubrudzoną ziemią i chwycił wizytówkę za róg.

– Proszę poczekać...

Patrzyłam, jak idzie w kierunku domu ukrytego pomiędzy drzewami i zaroślami.

Oczekiwanie nie było długie, niewiele ponad dziesięć minut, które wykorzystałam na powolną przechadzkę ulicą w stronę morza. Zastanawiałam się, czy pani Debousse przyjmie mnie od razu, czy będzie kazała mi wrócić kiedy indziej, czy po prostu odmówi mi spotkania.

– Ej, proszę pani! – krzyknął ogrodnik od otwartej już bramy. Lekko podbiegłam w jego stronę. – Pani przyjmie panią teraz. Proszę wejść...

Poszłam za ogrodnikiem ścieżką wysypaną żwirem, pomiędzy klombami kwiatów i trawnikami obsadzonymi cytrynowcami, drzewami oliwnymi, jodłami i palmami. Dom wnosił się pomiędzy roślinnością, jakby brał udział w niekończącej się rywalizacji, żeby zachować swoją przestrzeń pośród ogrodu, jednocześnie bezradnie się przyglądając, jak bluszcz wspina się po jego kamiennej sukience, a jaśmin wciska się przez szczeliny jego drewnianego hełmu, w powolnej i milczącej inwazji na jego terytorium.

Weszliśmy po schodach na ganek przy basenie, który ofiarowywał wspaniałe widoki na morze.

– Proszę usiąść, pani zaraz przyjdzie – nakazał mi oschle, zanim sobie poszedł.

Uśluchałam mrukliwego ogrodnika i usiadłam w tekowym fotelu z beżowymi poduszkami. Rozejrzałam się: dom zdawał się oddychać przez okna, z zasłonami falującymi na wietrze, napęczniałymi jak żagle; bawelna, granit i drewno, nic więcej; wyglądał jak piękna kobieta, lekko ubrana i bez makijażu, zażywająca słońca w ogrodzie wydartym górą, spoglądająca na Morze Śródziemne z wysokości, żeby nie zamoczyć sobie koronek halki... W takim miejscu każdy chciałby żyć, a nawet umrzeć. Debousse'owie bez wątplenia byli małżeństwem uprzywilejowanym. Zauważyłam, że jestem podenerwowana, jak w poczekalni u lekarza; rozparłam się w fotelu i spróbowałam się rozluźnić. Morska bryza pogładziła mój dekolt i szyję i swoją chłodną dłonią sprawiła, że zjeżyły mi się włosy; otuliłam szyję szalem i zapięłam marynarkę.

Wróciłam do sztywnej pozycji, gdy poczułam, że ktoś się zbliża. Była to tylko służąca. Przyniosła tacę z dwiema szklankami soku pomarańczowego. Pozdrowiła mnie, postawiła tacę na niskim stoliku i odeszła. Jak żałośnie piękna jest szklanka soku pomarańczowego lśniąca w słońcu...

– Pani doktor García-Brest...

Odwróciłam się przestraszona i odruchowo wstałam, gdy zobaczyłam, że wchodzi na taras. Dojście do mnie zajęło jej jeszcze chwilę.

– Debousse, miło panią poznać.

Odpowiedziałam jej równie kurtuazyjnie i podałyśmy sobie ręce.

– Proszę usiąść. Jest piękny dzień. Pomyślałam sobie, że milej nam będzie tu, na tarasie, skorzystamy z tego cudownego słońca.

Jej głos był słodki; czas, nie zniszczywszy jej, nadał jej delikatności dobrze wypolerowanych rzeczy. Ile mogła mieć lat...? Wiele, z pewnością, ale trudno to było stwierdzić. A czas zarówno obraca żelazo w rdzawy pył, jak przemienia węgiel w diament. Czas był dla pani Debousse tak łaskawy jak dla węgla. Była kobietą wysoką, o sylwetce niemal nietkniętej starością, jedynie nogi zdawały się nie pracować normalnie. Miała piękną skórę, pomarszczoną, ale aksamitną. Nałożyła delikatny makijaż. Zachowała gęste włosy zafarbowane na blond, które zbierała w prosty kok na karku. Nosiła się z trzeźwą elegancją, miała na sobie kremową marynarkę i jedwabną różową bluzkę, a do tego biżuterię: kolczyki, sznur pereł i niesamowitą broszkę z szafirów i diamentów.

– Bardzo tu miło. Ma pani piękny dom i ogród, pani Debousse. Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć, mimo że przyjechałam bez zapowiedzi.

– Nie ma za co. – Słodko się do mnie uśmiechnęła. – Nieczęsto przyjmuję wizyty, więc odrobina towarzystwa zawsze jest mile widziana.

Pani Debousse mówiła doskonale po hiszpańsku, choć z lekkim akcentem, którego nie byłam w stanie zidentyfikować.

– Widziałam pani wizytówkę, pracuje pani w Muzeum Prado...

– Tak, chociaż ta sprawa w żaden sposób nie jest związana z moim miejscem pracy, ale

z EFLA.

Pani Debousse nie wydawała się zaskoczona ani nawet zaintrygowana. Dalej mile się uśmiechała.

– Ach tak. Doktor Alain Arnoux...

Tym razem to ja się zdziwiłam.

– Zna pani doktora Arnoux?

– Tylko ze słyszenia. Wiem jednak, że zarówno on, jak i Fundacja wykonują wspaniałą robotę.

Przytaknęłam, jednocześnie zastanawiając się, jaki wykonać następny ruch, ale ona mnie wyprzedziła.

– W czym więc mogę pani pomóc?

– Sprowadza mnie do pani historia... nieco skomplikowana, ale postaram się ją streścić.

– Proszę bardzo.

Zrelacjonowałam pani Debousse historię kolekcji Bauera i doszłam do tego, że poszukiwanie spadkobierców rodziny w celu oddania im obrazów doprowadziło nas do niej. Kiedy mówiłam, kobieta niemal się nie poruszyła. Gdy skończyłam, siedziała nadal milcząca. Wypiła odrobinę soku i zaproponowała mi to samo. To zaskakujące, że nic jej nie dziwiło.

– Co się wydarzy, jeśli zdołacie odnaleźć tę kobietę, Sarah Bauer, albo jakiegoś jej potomka?

– Zwrócimy jej obrazy... – Powodowana dobrym wychowaniem pominęłam „oczywiście”. Wydawało mi się, że od samego początku jasno to wyłożyłam. Miałam tylko nadzieję, że nie krąży nad nami cień alzheimera albo demencji starczej. Przecież nic o pani Debousse nie wiedziałam. – A przynajmniej oddamy jej te dwadzieścia procent kolekcji, które dotychczas zostały zlokalizowane.

– To wszystko?

Pytanie mnie zaskoczyło, przebiegłość lśniąca w jej oczach przytłoczyła mnie.

– No... Tak... Tak, to wszystko.

Pani Debousse skrzyżowała ręce na piersiach, jakby się modliła, uniosła wzrok do nieba i westchnęła. Wciąż jednak miała na twarzy ten błogosławiony uśmiech i wciąż spowijała ją aura dobroduszości. Mogłaby skierować do mnie najstraszniejsze słowa i gesty, nie przestając wyglądać pięknie.

– Kochana Ano... Pozwolę sobie zwracać się do pani po imieniu, nie ma pani nic przeciwko temu?

– Absolutnie nic – pośpieszyłam z odpowiedzią, nie mogąc się doczekać tego, czego to było zwiastunem.

– Obawiam się, że nie mówisz mi całej prawdy. Choć cię za to nie winię... Ja też nie jestem całkiem szczera.

Byłam na tyle uczciwa, że nie zaprzeczyłam. Tak naprawdę bardziej niż zawstydzona przyłapaniem na kłamstwie byłam ciekawa, na czym polegał jej brak uczciwości. Co też może ukrywać przede mną pani Debousse?

Przez chwilę przyglądała mi się uważnie. Wcale nie uspokoiło mnie to, że się jej spodobałam. Nie chodziło o to, że podobało jej się to, jak wyglądam, tylko o coś więcej.

– Proszę za mną. Chcę ci coś pokazać.

\*

## CZEKAŁAM NA CIEBIE

Kiedy umysł rozważa kilka rzeczy naraz, zwykle traci wszystkie wątki i do niczego nie dochodzi. Mniej więcej tak się stało ze mną, kiedy podążałam za panią Debousse do domu. Nie byłam nawet w stanie powiedzieć czegoś tak prostego jak to, czy podoba mi się dekoracja w salonie, przez który przechodzimy, albo w holu, do którego dotarliśmy, nie byłam w stanie zobaczyć niczego, choć bardzo się starałam skupić na wszystkim.

Pani Debousse otworzyła przesuwane drzwi wychodzące na hol i zaprosiła mnie do pomieszczenia wyglądającego na gabinet. Słońce zalewało dębowe meble, tapicerkę w łagodnych kolorach, książki i wazony fioletowych i żółtych kwiatów. Na gładkich, gołych ścianach wisiały zaledwie dwa lustra i kolekcja akwafort o motywach afrykańskich. W wygaszonym kominku był jeszcze popiół z niedawno palonego ognia. Było to przyjemne miejsce do pracy, a nawet na niecierpliwie oczekiwanie jakiegoś objawienia.

Wolałabym czekać na stojąco, ale pani Debousse poprosiła mnie, żebym usiadła, podczas gdy ona szukała czegoś w jednej z szuflad biurka. Pod moim czujnym i niespokojnym spojrzeniem wyciągnęła teczkę.

– Oto ona...

Podawała mi ją, a ja wzięłam ją do rąk, nieco zbity z tropu. Najwyraźniej miałam zajrzeć do środka, ale wszystko było takie dziwne...

– Śmiało, proszę otworzyć – zachęciła mnie, widząc, że się waham.

Zrobiłam to więc, a moje ręce zaczęły się trząść w chwili, gdy spojrzałam na pierwszą kartkę, na której zobaczyłam swoje imię i nazwisko. Niespokojnie przerzucałam papiery, a moje zdenerwowanie narastało: moje nazwisko nie tylko znajdowało się na pierwszej stronie, ale w ogóle wszędzie, także nazwisko Konrada, a nawet Alaina. Poza tym adresy, szczegóły podróży, numery lotów, numery rejestracyjne samochodów... Były tam udokumentowane ostatnie trzy miesiące mojego życia. Ale najgorsze czekało mnie na koniec. Nerwy ścisnęły mi żołądek, zalała mnie fala gorąca, kłująca duszność, która wzbudzała mdłości. Całe szczęście, że siedziałam, gdy zaczęłam oglądać swoje fotografie: przy wyjściu z apartamentu w Paryżu, w Archiwum Narodowym, podczas rozmowy z Alainem w irlandzkim pubie, w Bundesarchiv, gdy wchodzę na Sorbonę, gdy dojeżdżam do Sankt Petersburga, w Rosyjskiej Bibliotece Narodowej... Dotarłam do ostatniego zbioru zdjęć, umieszczonego w oddzielnej tezcze z napisem PosenGeist. To słowo wywołało kolejną falę mdłości, wzmagającą się w miarę oglądania zdjęć: wsiadam do range rovera, wchodzę po schodach *château*, słucham neonazistowskiego przemówienia... Zdjęłam szal, zaczęłam się dusić.

– Jak widzisz, czekałam na ciebie...

Nie byłam w stanie się odezwać. O to chodziło – czekała na mnie. To była zasadzka, pułapka. Sama weszłam do paszczy lwa, naiwnie sądząc, że zbliżam się do końca śledztwa. A jeśli chodzi o koniec, to zdarzy się w domu na uboczu, skąd nie ma ucieczki. Oto, jaki był mój koniec.

Zaczęłam źle się czuć, okropnie mnie mdliło, niemal traciłam zmysły. Przypomniałam sobie sok pomarańczowy i zrozumiałam: podano mi narkotyk.

Wpadłam w panikę. Zimny pot zalał mi twarz. Pokój zaczął wirować wokół mnie. Obraz pani Debousse stał się zamazany i chociaż widziałam, że porusza ustami, nie słyszałam jej. Zbliżała się do mnie. Chciałam powiedzieć, żeby mnie nie dotykała, ale nie mogłam wykrztusić słowa... Tak bardzo mnie mdliło...

Nic więcej nie pamiętam.



## SKORO DOTARŁA PANI AŻ TUTAJ

Otworzyłam oczy. Słońce zmusiło mnie do mrugania. Bolała mnie głowa. Tak naprawdę nie chciałam otworzyć oczu. Chciałam znowu zasnąć...

Wtedy sobie przypomniałam. Sekwencja fotogramów wybuchła w mojej głowie: dom, ogródnik, ganek, staruszka, sok pomarańczowy, zdjęcia... moje zdjęcia. PosenGeist. PosenGeist!

Natychmiast szeroko otworzyłam oczy i spróbowałam się podnieść. Poczułam ukłucie w karku.

– Spokojnie... Proszę się tak gwałtownie nie podnosić, bo znowu pani zemdleje – usłyszałam po francusku z niemieckim akcentem.

Rozejrzałam się dookoła, ogarnięta paniką. Wciąż byłam w gabinecie pani Debousse, leżałam na kanapie. A jednak jej tu nie było, zamiast niej stało koło mnie dwóch mężczyzn: ogródnik i... Georg von Bergheim!... a przynajmniej tak się przedstawił.

– Pan... – wyszeptałam; nie stać mnie było na więcej. – Co to znaczy?

– Zasłabła pani i przewracając się, uderzyła w głowę. Jak się pani czuje? – zapytał.

Nie miałam ochoty na nic odpowiadać. W głowie miałam tylko jedną myśl: wydostać się stamtąd.

– Muszę iść. – Podparłam się, zapominając o bólu.

– Nie przypuszczam, żeby chciała pani wyjść, skoro dotarła pani aż tutaj.

Nie musiał mnie jednak specjalnie zatrzymywać. Jego głos i ruchy wydawały się przyjazne. A słowa wzbudziły moją ciekawość. Dokładnie mu się przyjrzałam. Był młody, może nawet młodszy ode mnie. Rzecz jasna ten człowiek nie był Georgiem von Bergheimem.

– Kim pan jest? – zdołałam zapytać drżącym głosem. Nie miałam czasu na wyciągnięcie jakichkolwiek wniosków, ale czułam się przestraszona i zdenerwowana.

Zanim zdołał mi odpowiedzieć, otworzyły się drzwi gabinetu i weszła pani Debousse.

– Ach, już się obudziłaś – wydawała się zadowolona, mnie dla odmiany taki spokój, życzliwość i te uśmiechy doprowadzały do szału. Obrazek stawał się surrealistyczny; spokój napięty i sztuczny. – Bardzo mnie przestraszyłaś... Ramiro – zwróciła się do ogrodnika – proszę powiedzieć służącej, żeby przyniosła herbatę i aspirynę. Na pewno jej potrzebuje...

– Nie! – wybuchnęłam, całe napięcie uszło ze mnie w dzikim wrzasku. – Podała mi pani narkotyk!

Pani Debousse lekko się zmieszała.

– Narkotyk? O co chodzi?

– Sok! W soku był narkotyk!

Ona uśmiechnęła się, jakbym powiedziała coś tak niedorzecznego, że nawet jej wydało się to zabawne.

– Ależ co ty mówisz, skąd ten pomysł? Nic takiego nie zrobiłam...

Ruszyła w moją stronę. To mnie przeraziło.

Nicznym osaczone zwierzę rzuciłam się do tyłu, aż natrafiłam na biurko. Ona dalej się do mnie zbliżała, w eskorcie obu mężczyzn.

– Dlaczego nie wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia?

Odwróciłam się i szybkim ruchem chwyciłam nóż do kopert leżący na stole. Stawiłam im czoło, szermując moją przypadkową bronią.

– Nie zbliżajcie się! – zawołałam histerycznie. – Ani kroku więcej!

Ogródnik chciał podejść, ale pani Debousse powstrzymała go ruchem ręki. Cała trójka stała spokojnie przede mną, prawdopodobnie oceniając, do czego jestem w stanie się posunąć.

Nawet ja sama tego nie wiedziałam. Tylko byłam przestraszona. Nóż do kopert wyraźnie drżał w moim ręku.

– Pozwólcie mi odejść – zdołałam wykrztusić.

– Oczywiście, że możesz sobie pójść – odpowiedziała. – Nikt cię nie zatrzymuje...

Ten paradoks miłej staruszki, która jednocześnie jest szefem mafii, rozstrajał mi nerwy. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to krzyczeć.

– Ach, nie? Nikt mi nie groził, nie śledził, nie uwięził, nie bił? Chce pani, żebym wyszła, a wtedy mnie pani zabije strzałem w plecy? Co to za szaleństwo?

– Uspokój się, proszę, strasznie histeryzujesz...

Pani Debousse wydała mi się psychopatyczną staruszką, jak matka Normana z *Psychozy*. Kiedy zdałam sobie sprawę, że próbuje się do mnie zbliżyć, chciałam powstrzymać ją nożem do kopert. Widząc, że znalazła się w niebezpieczeństwie, ogrodnik i chłopak szybko się na mnie rzucili i obezwładnili, odbierając mi nóż. Prawie nie mogłam się bronić, moja siła była żałosna w porównaniu z siłą tych mężczyzn. Wtedy poczułam się ostatecznie zagubiona i nerwy ustąpiły miejsca desperacji. Poddałam się rękom swoich oprawców i wybuchłam płaczem.

– Puśćcie ją – rozkazała pani Debousse.

Zawahali się, zanim jej posłuchali.

– Zróbcie to... i proszę zostawcie nas same.

– Ale... – starał się protestować ten, który podawał się za Georga von Bergheima.

Ona mu przerwała.

– Nic mi się nie stanie. Jeśli cię będę potrzebować, zawołam. Zostawcie otwarte drzwi.

W końcu mężczyźni zgodzili się wyjść, chociaż nie przestawali oglądać się za siebie.

Ja niczego nie próbowałam. I nie miałam na nic ochoty. Byłam gotowa przyjąć wszystko, cokolwiek mi się przydarzy.

– Proszę, idź, jeśli chcesz. – Pani Debousse wskazała mi otwarte drzwi. – Nikt cię tu nie zatrzymuje. Przyszłaś z własnej woli i z własnej woli możesz odejść. Ale może najpierw będziesz chciała wysłuchać, co mam ci do powiedzenia...

Spojrzałam na nią szeroko otwartymi oczyma, podporządkowując się jak dziecko karane podczas lekcji.

– Usiądź i otrzyj łzy, proszę.

Posłuchałam jej z niepokojem. Powoli usiadłam na kanapie i wierzchem dłoni wycierałam sobie łzy, dopóki nie podała mi chusteczki. Przyjęłam ją w milczeniu. Pani Debousse usiadła obok mnie.

– Uwierz mi, że nie chcę cię skrzywdzić, nigdy nie miałam takiego zamiaru... – mówiła spokojnym głosem. – Naszym jedynym celem było chronić go. Może trochę przesadziliśmy, nie mówię, że nie...

W końcu uniosłam wzrok.

– Co chronić?

– To, czego szukasz – odpowiedziała, jakby to była oczywista sprawa.

Czy to była dobra wróżka, czy zła czarownica, słowa tej staruszki wywołały u mnie dreszcz, jakby właśnie wypowiedziała zaklęcie, które wpadło przez okno niczym lodowaty wiatr.

– *Astrologa...* – Odetchnęłam, trudno mi było wziąć na poważnie własne słowa. – Ma go pani?

Ona powoli przytaknęła.

Westchnęłam, a to westchnienie sprawiło, że poczułam się, jak przekłuty szpilką balon. To westchnienie zabrało ze sobą tysiące poszukiwań w Internecie, setki godzin w archiwach i bibliotekach, niezliczone przejrzone dokumenty, dziesiątki fałszywych tropów, wiele frustracji,

ileś tam rozczarowań, liczne wątpliwości, nie mniej nerwów i wiele nieprzespanych nocy...  
Może wraz z tym westchnieniem uleciał też kawałeczek mnie samej.

– Boże...

– Wiem. Ale musisz w to uwierzyć, pani doktor, odnalazłaś go.

– Jak to możliwe?

Sama sobie zadałam to pytanie, ale ona na nie odpowiedziała:

– To proste, kochana. Naprawdę nazywam się Sarah Bauer.

\*



## OD TEGO WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO

To oświadczenie było jak cios pałąką w głowę. Nie byłam w stanie zareagować, siedziałam jak skamieniała, przyglądając się pięknej staruszce... pięknej Sarah Bauer.

Nie wiem, dlaczego taka była moja pierwsza reakcja. Może dlatego, że pragnęłam spłacić dług, zanim wejdę w świat Sarah Bauer, bo chciałam zrobić to z czystym sumieniem i dlatego, że odczuwałam potrzebę usprawiedliwienia się, wyjaśnienia, dlaczego znalazłam się pod jej drzwiami. Po prostu wzięłam swoją teczkę i wyciągnęłam z niej dwa dokumenty, które przechowywałam jako najcenniejszy skarb: list i zdjęcie Sturmbannführera SS Georga von Bergheima.

– Od tego wszystko się zaczęło... – wyjaśniłam jej, podając dokumenty.

Ona ostrożnie je wzięła i popatrzyła na nie w milczeniu. Nie mogłam zobaczyć jej miny, gdy pochyliła się nad postacią i słowami swego wroga, nad tymi jasnymi, patrzącymi na nią oczyma i tą okrągłą kaligrafią, która przemawiała do niej z dawnych czasów. Po chwili przesunęła palcem po fotografii... Byłam pewna, że źle zinterpretowałam ten gest jako pieszczotę, dopóki ona nie uniosła głowy i ponad jej pełnym emocji hamowanym uśmiechem nie zobaczyłam łez.

– Nawet sobie nie zdajesz sprawy, do jakiego stopnia. Z pewnością od tego się wszystko zaczęło... – Jej głos po raz pierwszy zaczął się lekko łamać, a ona po raz pierwszy wyglądała na wrażliwą.

Dojście do siebie zajęło jej kilka sekund, wstydliwie otarła łzy, które ledwie się pojawiły. W tamtej chwili wydała mi się staruszką, więc zaczęłam na nią spoglądać z czułością.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedziała – sądzę, że powinnaś zostać na obiedzie. Mamy sobie wiele do opowiedzenia.

Z wrażenia, że dotarłam do Sarah Bauer, zapomniałam o bożym świecie. Nagle zaczęło mnie interesować tylko jej życie, chciałam wypełnić wszystkie dziury w jej historii. Wszystko oprócz niej przestało być ważne.

Prawie nie tknęłam jedzenia. Jej opowieść mnie wciągnęła, zabrała mnie daleko, bardzo daleko z tej jadalni na Majorce i przeniosła do okupowanego przez Niemców Paryża. Nie zauważyłam, że zabrano mi nietknięte pierwsze danie, przyniesiono drugie i po jakimś czasie deser; że moja szklanka wody i kieliszek wina pozostały nienaruszone; że przez balkon nie wpada już słońce i że zapalono światła, żeby rozświetlić zmiersch, oraz kominek, żeby złagodzić chłód. Tak naprawdę nie było mnie tam; rodziłam się, rosłam, uciekałam, płakałam, walczyłam, cierpiałam, rodziłam, uśmiechałam się, umierałam... i zakochałam się w Sarah Bauer. Zakochałam się w Georgu von Bergheimie. Chociaż tak naprawdę już w nim byłam zakochana.

– ...W końcu zrozumiałam, że te drzwi nigdy się nie otworzą. Zrozumiałam, że zabrała moją córkę, że mi ją odebrała. I upadłam na ziemię, gotowa umrzeć pod tymi drzwiami...

– Ale tak się nie stało... Co się zdarzyło potem? – zapytałam przepełniona ciekawością, pochylona nad pustym już stołem.

Sarah uśmiechnęła się melancholijnie. Wydawała się znacznie bardziej zmęczona i znacznie starsza niż rano. Jej oblicze już nie jaśniało z taką intensywnością, lata przebijały się przez makijaż, jakby ponowne przeżywanie własnej historii w kilka godzin ją postarzyło.

– Chodźmy do salonu. Napijemy się kawy przy kominku. Tam będzie nam wygodniej.

Usiadłam obok Sarah Bauer na miękkiej kanapie. Dębowe drewno strzelało na kominku, wokół pachniało kawą oraz jesiennym wieczorem.

– Wielokrotnie zadawałam sobie pytanie, czy dobrze zrobiłam, odchodząc stamtąd; wcześniej czy później ona wróciłaby z moją córką... – Sarah wpatrywała się w tańczące płomienie. – Ale ja miałam dokumenty Georga, bez nich nie uciekłyby daleko. Byłam skołowana, ledwie mogłam myśleć... Wszystko wydarzyło się tak szybko, wszystko skomplikowało się w tak absurdalny i jednocześnie okrutny sposób. Spojrzałam na zegarek – pociąg miał zaraz odjechać i Georg musiał do niego wsiąść, inaczej by go złapali. Wyszłam na ulicę, myśląc tylko o tym, żeby dotrzeć na stację i przekazać mu dokumenty. Zobaczyłam rower przy jakiejś latarni i po prostu go wzięłam. Chyba ktoś krzyknął: „Łapać złodzieja!”, ale tego dobrze nie pamiętam. Skupiłam się na pedałowaniu z całych sił, aż rozboleły mnie kolana. Gnały mną furia i rozpacz, kiedy przemierzałam ulice Paryża: bulwar Bourdon, quai de la Rapée, Pont d’Austerlitz... Dostrzegłam stację wznoszącą się jak wielki cyklop, którego oko oznajmiało mi, że przyjeżdżam za późno. Zeskoczyłam z roweru jeszcze w biegu i porzuciłam go. Wbiegłam na dworzec i zapytałam o pociąg do Tuluzy. Łokciami torowałam sobie drogę w gęstym i ogłuszającym tłumie, gorączkowo wypatrywałam go pośród tysięcy twarzy... Pociągi gwizdały i wyrzucały kłęby pary tak jak moje oszalałe serce... Wtedy go zobaczyłam. Zanim jednak zdołałam do niego podbiec, zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak: wydało mi się, że dwóch mężczyzn zastąpiło mu drogę i twarz Georga nie wyrażała przyjaznych uczuć. Ukryłam się pośród ludzi, żeby się do niego zbliżyć. Albo bardzo się myliłam, albo pod płaszczem jednego z nich był wymierzony w Georga pistolet. Pociąg zagwizdał i wyrzucił z siebie parę, był gotowy do odjazdu... Nie pomyślałam o tym, nie mogłam się zatrzymać, żeby się przyjrzeć, bo to byłoby szaleństwo... Po prostu to zrobiłam. Rzuciłam się na mężczyznę z pistoletem i razem z nim upadłam na ziemię. Trwało to sekundę... Wiem, że usłyszałam strzał i krzyki, koła pociągu zaskrzypiały obok mnie. Chciałam wstać, ale nie mogłam się podeprzeć, bo ciało tego mężczyzny wilo się pode mną; on się odwrócił i chciał mnie złapać. Wtedy usłyszałam drugi strzał. Ktoś chwycił mnie za ramię i postawił na ziemi. Pamiętam minę Georga w tamtej chwili, wryła mi się w pamięć: tysiące min i uczuć wykrzywiało ją, jakby była rozmazanym obrazem... Pociąg przejeżdżał obok nas. Jednym ruchem Georg rzucił mnie w górę i uczepiłam się ostatniego wagonu, który zostawiał za sobą zgielek peronu i dwa ciała leżące obok torów... Przytuliłam się do Georga i wybuchnęłam łzami, a Paryż umykał mi z obu stron...

Sarah Bauer przerwała opowieść, a ja wykorzystałam chwilę, żeby się uspokoić. Wzięłam od niej pustą filiżankę i odstawiłam obok mojej na stolik.

– Nie chciałam tego robić, nie chciałam wyjeżdżać z Paryża bez córki. Nie chciałam wsiadać do tego pociągu, bo musiałam ją znaleźć, bo byłam gotowa podnieść każdy kamień na każdej przeklętej ulicy tego przeklętego miasta, aż ją znajdę... Ale przytulił mnie Georg...

Trzęsły mi się ręce z wrażenia. Boże... ja wiedziałam, gdzie wtedy była jej córka! Ja znałam tę część historii, której nie znała Sarah!

– „Gdzie jest Marie?”, zapytał mnie Georg... Nie byłam w stanie mu tego wyjaśnić, bo dusiły mnie łzy. „Przysięgam ci, Sarah, że wrócimy po nią i ją odnajdziemy. Ale nie teraz. Już jest za późno”. Georg nie pozwolił mi, żebym patrzyła za siebie, kierował mój wzrok do przodu, dopóki nie dojechalismy do granicy... Nie winię go, nie miałam szans jej odnaleźć... chociaż to nie jest dla matki żadne usprawiedliwienie.

Zagryzłam usta i starałam się dalej ciągnąć tę rozmowę.

– A więc dotarliście do granicy? Oboje?

– Tak... Chociaż okazało się to znacznie trudniejsze, niż nam się wydawało. Georg wiedział, że gestapo wyda rozkaz, żeby zatrzymać pociąg na najbliższej stacji i nas tam pojmać i że policja na wszystkich stacjach będzie postawiona w stan gotowości, żeby nas namierzyć i złapać. Nie mieliśmy więc innego wyjścia, niż wyskoczyć z pociągu w biegu i ruszyć do Tuluzy

bocznymi drogami. To jakieś siedemset kilometrów, które przemierzaliśmy w niecałe dwa tygodnie. Bardzo się martwiłam nogą Georga. On nie skarżył się, chociaż wiedział, że nie może jej nadwerężyć i że im więcej chodzi, tym bardziej go boli. Po pierwszym dniu zaczął zwalniać marsz, coraz bardziej kulejąc, co noc miał spuchnięte kolano, aż w końcu zsiniało. Czasem ktoś nas podrzucił kilka kilometrów wozem, a gdy mieliśmy szczęście, samochodem, ale w ciągu dnia staraliśmy się unikać dróg i miasteczek, żeby nie zwracać na siebie uwagi. To były bardzo ciężkie, niekończące się dwa tygodnie, aż w końcu dotarliśmy do Tuluzy. Tam przyjął nas proboszcz, o którym mówiła mi Carole, spędziliśmy u niego jeszcze tydzień, żeby podleczyć nogę Georga, bo czekało nas przekroczenie granicy również na piechotę w stromych i urwistych górach...

– Ale udało się – przerwałam niepotrzebne cierpienia.

– Udało nam się. – Uśmiechnęła się. – Dotarliśmy do Hiszpanii... nie mając żadnego pomysłu na życie. Mogliśmy pójść dalej do Portugalii albo przedostać się do Anglii, nawet popłynąć do Stanów Zjednoczonych, do Ameryki Południowej, ale ja nie chciałam oddalać się od Francji i od Marie, a Georg przyrzekł mi, że po nią wrócimy. Udało nam się zdobyć status uchodźców i dopóki trwała wojna, mieszkaliśmy w uzdrowiskach i hotelach Barcelony, które za sprawą konsulatu brytyjskiego przekształcono właśnie w schroniska dla ludzi uciekających przed wojną w Europie. Georg zdobył pracę u Anglików jako tłumacz niemieckiego, a ja dzięki konsulatu dostałam pracę w tkalni w Vallés... Z czasem udało nam się zalegalizować naszą sytuację. Kiedy skończyła się wojna, wróciliśmy do Paryża: ja miałam przeszłość do odbudowania i wiele elementów układanki pogubionych po drodze. Na początek udałam się na plac Wogezów, żeby się spotkać z hrabiną...

– I spotkała się pani?

– Och, tak... Była umierająca... Mówi się, że złego diabli nie biorą, ale nawet na nią przyszła pora po ponad osiemdziesięciu latach prób kształtowania świata, kształtowania świata na swoją modłę... Na łożu śmierci zaczęły jej ciążyć grzechy i miała szczęście, że przyjechałam na czas, żeby móc jej ulżyć w jednym z nich: wyznała mi, że oddała dziecko ojcu, bo nie chciała żadnego Żyda w rodzinie i że potem zadenuncjowała go gestapo. W tamtej chwili ogarnęła mnie taka wściekłość, że położyłabym jej poduszkę na twarzy i przyciskała ją, dopóki ta stara suka by oddychała! Nie zrobiłam tego, bo Georg mnie powstrzymał. Naprawdę jestem mu winna wdzięczność za to, że złapał mnie za ręce, kiedy już uniosłam poduszkę, bo inaczej musiałabym się z tym zmagać przez długie lata życia. A ona i tak miała wkrótce umrzeć. Nadszedł jej czas zdania sprawy z własnych czynów: w najgorszym dla niej razie gnije w ziemi razem ze swym brudnym sumieniem.

– Ale zabrała pani *Astrologa*...

– Wcale nie. Wyszłam z tego przytłaczającego domu w stanie szoku. Pogodziłam się już z tym, że odebrała mi córkę, ale nie, że ona mogła zginąć z rąk nazistów. W tamtych dniach poszukiwanie zaginionych bliskich było zadaniem nie tylko przykrym i bolesnym, ale także żmudnym i długim, podlegającym ogromnej biurokracji. Zaraz po zakończeniu wojny każdy chciał odnaleźć jakiegoś członka rodziny zaginionego na froncie albo uwięzionego czy wywiezionego. Panował totalny chaos informacyjny: wiadomości na temat okrutnych i przerażających rzeczy, na które natknęli się alianci w Niemczech i Europie Wschodniej, stopniowo do nas docierały już wcześniej, ale prawdę, że obozy koncentracyjne, jenieckie i obozy pracy były obozami śmierci, poznaliśmy dopiero po wojnie. Znikło ponad dziesięć milionów Żydów... A wśród nich ja poszukiwałam swojej matki, rodzeństwa, córki. To była rozpaczliwa sytuacja... Udałam się do wszystkich możliwych instytucji: do Czerwonego Krzyża, do Central Tracing Bureau, będącego organizacją aliancką stworzoną do poszukiwania ludzi

zaginionych podczas wojny, do każdego paryskiego merostwa... Nie pamiętam, ile zajęło im to czasu ani nawet w jakiej kolejności dostałam te wiadomości; w sumie to wszystko jedno... Najważniejsze, że w końcu do mnie dotarły, i choć wydaje się to nieprawdopodobne, sam fakt pozbycia się wątpliwości przyniósł mi ulgę. Matka i siostra zginęły w Auschwitz, w komorze gazowej. Brat zachorował na tyfus i umarł w Treblince, na kilka tygodni przed wyzwoleniem obozu przez Rosjan. Przypuszczam, że w jakiś sposób byłam przygotowana na te wiadomości. Rzecz jasna, nigdy nie tracisz nadziei, ale nic o nich nie wiedziałam od 1942 roku, a to wiele lat... Tak naprawdę dla mnie umarli w dniu, kiedy ich zabrano. A jednak, Marie, moja mała... Miała tylko osiem miesięcy! Nie mogłam nie czuć się winna, nigdy nie przestałam siebie winić...

Widząc pełne łez oczy Sarah, czułam nagły przyptyw pogardy dla dziadka Alaina i jego żalu. Zrobienie czegoś takiego wydawało mi się okrucieństwem równie wielkim, jak każda z tortur nazistów, tym gorszym okrucieństwem, że dotyczyło osób z tej samej strony barykady. Teraz nie można już było naprawić tego, co się stało: Irène – albo Marie – i tak już nie żyła; umarła dwukrotnie, żeby jej matka, Sarah, mogła poznać prawdę. Prawdę, która paliła mnie od środka, ale nie czułam się uprawniona ani nie miałam dość odwagi, żeby ją wyjawić.

– Co stało się z Georgiem? – zapytałam, chcąc w jednym miejscu zebrać wszystkie nieszczęścia, zamiast przeciągać cierpienie w jedną długą pasję.

– Z Georgiem? – powtórzyła ze zdumieniem.

– Tak... Ja... Widziałam jego akt zgonu... W 1946 roku...

Zdziwiona zauważyłam, że to, co zdawało mi się dla Sarah bolesną prawdą, wywołało na jej twarzy wesoły, przewrotny uśmiech.

– Ależ Georg nie umarł, kochana!

– Naprawdę? – zapytałam z ulgą.

– Oczywiście! Dokument potwierdzający jego śmierć wydano na życzenie rodziny, która nie miała o nim wiadomości od 1944 roku. Chociaż można powiedzieć, że Georg von Bergheim umarł albo przynajmniej zniknął w jakimś podłym pensjonacie w Paryżu. Został tam razem ze swoim mundurem SS. Przez Pireneje przeszedł ze mną, według dokumentów, Stéphane Debousse...

Szeroko otworzyłam oczy, podniecona, jakbym właśnie dostała wiadomości o utraconym bliskim krewnym.

– A więc...

– Tak, był moim mężem... Moim mężem przez sześćdziesiąt pięć szczęśliwych lat. Aż do zeszłego roku – pewnej nocy zasnął i już się więcej nie obudził.

– Ach, mój Boże...

Oczywiście dostałam gęsiej skórki. To było takie piękne! Oznaczało to, że Georg von Bergheim i Sarah Bauer dostali zadośćuczynienie, bo mimo wielkiej ceny, jaką musieli zapłacić, przynajmniej mieli siebie nawzajem. Oznaczało to, że w żadnych okolicznościach nie należy tracić nadziei i trzeba wierzyć, że to, co piękne i dobre w życiu, zawsze zwycięża. Oznaczało tryumf miłości nad wszystkim innym, nad wojną, nad prześladowaniami, nad zemstą i zawiścią, nad konwencjami, nad strachem... Oznaczało również tyle innych pięknych rzeczy, że nie mogłam się nie wzruszyć.

– Pewnie pomyśli pani, że jestem wariatką, ale zrobiło mi się bardzo przykro, gdy się dowiedziałam, że umarł w 1946 roku. Nie znałam go, nic o nim nie wiedziałam. Był nazistą, a wszyscy chcą, żeby nazista zginął w ostatniej scenie filmu! Jednak od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłam jego zdjęcie, od pierwszej chwili, kiedy je miałam przed sobą... Nie wiem, jak to wyjaśnić...

– Rozumiem, kochana. Doskonale cię rozumiem – oznajmiła Sarah Bauer, wyciągając

rękę po zdjęcie Georga von Bergheima. – Ze mną było dokładnie tak samo...

Obie patrzyłyśmy na niego poprzez czas, więc ponownie okazał nam swą wyniosłą sylwetkę i spojrzenie człowieka, któremu można zaufać.

– Przeznaczenie nakazało nam siebie nienawidzić – powiedziała Sarah refleksyjnym tonem – a jednak nigdy nie byłam w stanie się na to zdobyć. Z czasem zaczęłam zdawać sobie sprawę, że wojna uczyniła z nas ludzi, którymi nie byliśmy, dobrych i złych. Dla odmiany Georg zawsze był sobą, zawsze był tą samą osobą, chociaż nosił nie ten mundur co powinien. W sumie to był dobry człowiek.

\*

## ZAPOMNIJ O SZMARAGDOWEJ TABLICY

W dzbanku nie było już kawy ani w kominku drewna. Nie było już także wątpliwości co do życia Sarah. Cały cykl wydawał się zamknięty. A jednak przed wyjściem z tego domu musiałam się dowiedzieć czegoś jeszcze.

– Czy pani należy do PosenGeist? Wiem, że nie ma to wielkiego sensu, ale w tej chwili jest tyle rzeczy, które nie mają dla mnie sensu...

– Nie, w żadnym razie. – Była tak kategoryczna, że nie zostawiła miejsca na wątpliwości.

– A zatem? – Wskazałam wzrokiem teczkę dokumentującą moje działania z ostatnich kilku miesięcy.

Sarah przytaknęła, jednocześnie głęboko wzdychając. Wydało mi się, że przekonuje siebie, że nadeszła chwila na wyjaśnienia.

– Przejdźmy do sprawy po kolei. W tej chwili już wiesz, że *Astrolog* nie jest zwyczajnym obrazem. Kiedy zajęłaś się poszukiwaniem, obawialiśmy się, że jego tajemnica jest w niebezpieczeństwie. Dlatego chcieliśmy odwieść cię od tego śledztwa, ale też chcieliśmy cię powiadomić, że w grę wchodzi inne siły, znacznie bardziej niebezpieczne. W ten sposób, w miarę jak usuwaliśmy wszelkie ślady, które mogły cię do niego doprowadzić, chcieliśmy ci również uświadomić, że jeśli *Astrolog* wpadnie w niepowołane ręce, skutki mogą być opłakane. Oni cię śledzili, wysyłali do ciebie esemesy, zawiedli cię do serca PosenGeist...

– Oni? Kim są ci oni?

Wydawało mi się, że Sarah się zawahała, zanim odpowiedziała. Zastanawiała się chyba nad tym, ile może mi wyjaśnić.

– Kiedy skończyła się wojna i odzyskałam obraz, miałam czas, żeby zastanowić się nad znaczeniem spadku, który przyszło mi otrzymać. Spadku wielesetletniego, który kosztował życie mnóstwo ludzi... Ciężar wydał mi się zbyt wielki jak na plecy jednego człowieka. Po tym wszystkim, co się wydarzyło i co miało się wydarzyć, z podzieloną Europą, z bombą atomową, radzieckim zagrożeniem, wyścigiem zbrojeń... czułam się niezdolna sama zapewnić bezpieczeństwo obrazowi, który w każdej chwili mógł się dostać w niepowołane ręce. To dziedzictwo mnie przerastało. Poza tym po komplikacjach poporodowych wiedziałam, że nie mogę mieć więcej dzieci. Kto miał się zająć *Astrologiem*, kiedy ja umrę? Nie znalazłam rozwiązania od razu, ale ten problem ciągle mnie niepokoił. W czasie naszego wspólnego życia mieliśmy z Georgiem szczęście spotkać dobrych znajomych, osoby, z którymi zadzierzgnęliśmy silne więzi przyjaźni i zaufania, bardzo dla nas ważne. Stopniowo, naprawdę bez uprzedniego namysłu, pojawiła się idea zawiązania swego rodzaju stowarzyszenia, które będzie chronić obraz, zrzucając odpowiedzialność z barków jednej osoby i czyniąc ją zadaniem zbiorowym, a więc zapewniającym większe prawdopodobieństwo osiągnięcia sukcesu, większe bezpieczeństwo. Wszystkich ich już poznałaś...

Zdumiało mnie to. Jak ich mogłam poznać? Sarah pewnie odczytała zdumienie w mojej twarzy.

– Tak, kochana. Nie znasz ich osobiście, ale wiesz, kim są: Carole Hirsch, Bruno Lohse i Frank Poliakov.

– Frank Poliakov?

– Trocki – wyjaśniła Sarah. – Frank był synem Francuzki i Rosjanina. Przekonany i oddany komunista. Po ucieczce z Paryża, kiedy Alzacka Grupa Zbrojna się rozpadła, walczył w partyzantce i zacieśnił swoje związki z partią komunistyczną, po czym wszedł w kontakt z agentami NKWD. Po wojnie wyjechał do Moskwy. Tam znalazł się w kręgach zbliżonych do

władzy. Był nawet funkcjonariuszem politycznym radzieckiego wywiadu wojskowego, GRU, a następnie zajął ważne miejsce w ambasadzie radzieckiej w Paryżu. Był ważnym pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych i jednym z zaufanych ludzi Breżniewa. Po upadku Związku Radzieckiego stał się jednak zażartym kapitalistą – zauważyła Sarah ironicznie. – Tak naprawdę Frank był bardzo wpływowym człowiekiem po drugiej stronie żelaznej kurtyny i być może najczarniejszym charakterem z naszej grupy. W każdym razie podejrzewaliśmy, że nie wszystkie jego działania były legalne, że miał jakieś sprawy z mafią na Wschodzie, że był zamieszany w handel bronią ... Cóż... Cokolwiek by mówić, wobec nas zawsze zachował lojalność. I był bardzo przydatnym członkiem naszej grupy.

– A pozostali?

– No tak, z Carole Hirsch spotkałam się podczas mojej pierwszej po wojnie podróży do Paryża. Była pierwszą osobą, do której się udałam, poszukując córki. Od tamtego czasu byłyśmy wielkimi przyjaciółkami. Carole została odznaczona medalem Legii Honorowej i Medalem Ruchu Oporu za swoją pracę w czasie wojny. Wyszła za mąż za jednego z doradców de Gaulle'a, wielkiego polityka, który później został ministrem kultury i bardzo wpływowym człowiekiem w świecie sztuki. Widywaliśmy się dość regularnie, we Francji, w Hiszpanii, spędzaliśmy razem święta – przecież jestem jedyną Żydówką w towarzystwie – spędzaliśmy razem wakacje...

Sarah zamilkła na chwilę, rozkoszując się słodczą wspomnień. Szybko jednak wróciła do terażniejszości.

– Co się tyczy Brunona Lohsego, był sądzony za udział w rabunku dzieł sztuki i został uniewinniony. Georg dowiedział się o tym z prasy, ale nigdy nie miał od niego żadnych wiadomości. Oczywiście spotkanie z Brunonem wiele lat później było nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Zdarzyło się podczas naszej podróży do Monachium. Gdziekolwiek podróżowaliśmy, lubiliśmy szperać po galeriach sztuki w poszukiwaniu interesujących obrazów. Jakże Georg się ucieszył, kiedy w jednej z galerii wyszedł mu na powitanie Bruno Lohse, wówczas już uznany marszand. Georg bardzo go szanował, nigdy nie zapomniał, że uratował mu życie, ostrzegając, że interesuje się nim gestapo. Od tamtej chwili Bruno, który też nie miał dzieci, a nawet się nie ożenił, był członkiem naszej rodziny, człowiekiem, którego bardzo kochaliśmy i który spędzał u nas w domu bardzo dużo czasu... Teraz już ich nie ma. Tylko ja jeszcze żyję – stwierdziła Sarah ze smutkiem i śladem tęsknoty w głosie. – Każdy jednak zostawił kogoś na swoje miejsce, żeby stowarzyszenie mogło trwać i zajmować się zadaniem, którego w swoim czasie się podjęli.

– Ten chłopak, który tu wcześniej był, ten, który pomógł mi uciec z *château*...

– Tak, to jeden z nich. Ma na imię Martin – Sarah uprzedziła moje pytanie. – To wnuk brata Brunona Lohsego. Wspaniały chłopak, choć czasem za bardzo się mną przejmuje. To on był twoim cieniem przez te miesiące i przedstawił mi doskonałe raporty na twój temat... Dlatego postanowiłam pozwolić ci do mnie dotrzeć. To bardzo inteligentny chłopak i dobry człowiek, jest bardzo podobny do Brunona, z którym od małego był mocno związany. Martin obowiązek ochrony obrazu traktuje jako coś osobistego i jest głęboko zaangażowany w strzeżenie tajemnicy *Astrologa*.

– Smaragdowej Tablicy... – zasugerowałam, chcąc przejść do rozmowy na ten temat.

– Tak jest: Smaragdowej Tablicy.

– Ale czym naprawdę jest Smaragdowa Tablica?

Sarah spojrzała na mnie twardo. Zauważyłam zmęczenie w jej oczach, nie tylko zmęczenie tym długim dniem, ale zmęczenie całym życiem dźwigania zbyt wielkiego ciężaru.

– Przekleństwem – podsumowała tajemniczo, jakby nie zwracała się do mnie. Jednak niemal natychmiast pośpieszyła z odpowiedzią: – Jeśli chcesz poznać prawdę, to nie wiem. Mówi

się, że jej moc jest tak wielka, że sam Bóg przed nią truchleje. Mówi się, że pochodzi od diabła. Mówi się, że nie jest przeznaczona dla ludzi, bo nie bylibyśmy w stanie jej pojąć. Ale tak się mówi od ponad pięciu tysięcy lat... Co powiedziano by pięć tysięcy lat temu o iskrze wzbudzającej prąd elektryczny, o świetle żarówki, o obrazie w telewizji, o promieniu lasera, który zabija lub leczy? Co by powiedziano o bombie, która obraca w perzynę całe miasta, jakby było to tchnienie Lucyfera?

– A więc pani nie wie, co to takiego? Nigdy jej pani nie widziała?

Na moje nalegania uśmiechnęła się tylko, lekko kręcąc głową.

– Proszę, nie zadawaj więcej pytań, nie chciej wiedzieć nic więcej. Proszę, zapomnij o Szmaragdowej Tablicy. Ty masz wybór: możesz pozostać na uboczu. Ja nie miałam takiego wyboru... Proszę, posłuchaj, Ano, są takie rzeczy, których lepiej nie wiedzieć. Właśnie przed nimi chcieliśmy cię uchronić, a przed innymi chcieliśmy cię przestrzec, nic więcej.

– Tak, to prawda. Mnie nie uczyniono żadnej krzywdy. Ale innym? Antonowi Jegorowowi, Camille de Brianson...

– Chcieliśmy tylko usunąć dowody – przerwała mi Sarah. – Oni też nie zostali skrzywdzeni...

– Jak to, Alaina Arnoux niemal zakatowano na śmierć!

Na te słowa Sarah zeszywniała i zmarszczyła czoło.

– Doktora Arnoux? My nic nie zrobiliśmy doktorowi Arnoux – powiedziała twardo.

– Wysłanie dwóch zbirów do domu, żeby go stłuc – nie powiedziałabym, że to nic...

Dalej była zmieszana, nawet urażona tym zarzutem.

– Zapewniam cię, że nie wiem, o czym mówisz. W żadnej sytuacji nie zgodziłabym się na to, żeby komukolwiek spadł choć jeden włos z głowy, a już na pewno nie na pobicie. To absolutnie nie jest nasz sposób działania.

Jej słowa wydawały się szczerze. Rzeczywiście po tym wszystkim, co mi wyznała, nie miała powodu, żeby mnie okłamywać.

– Więc kto? – zapytałam speszona.

Ona wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale już ci mówiłam, że są w to zamieszane inne siły. Organizacje niebezpieczne i działające bez skrupułów. Gotowe na wszystko, żeby osiągnąć to, czego chcą. W swoim czasie próbowaliśmy cię ostrzec.

– PosenGeist?

– Tak jest: PosenGeist. No tak, nie mogę cię zapewnić, że to oni zaatakowali doktora Arnoux. Wiem tylko, że to nie my.

– Ale kto za tym stoi? Czym, do diabła, jest PosenGeist? – zapytałam zrozpaczona, przekonana, że ona ma na wszystko odpowiedź.

Przez dłuższy czas wytrzymała moje spojrzenie, wbijając we mnie swoje zielone oczy, trochę zamglone przez czas, ale ciągle jeszcze bardzo ekspresyjne. Jej milczenie zaczęło już wzbudzać we mnie podenerwowanie, gdy wreszcie odpowiedziała bardzo poważnie:

– Kochana, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, czym jest Posen-Geist, powinnaś zapytać Konrada Köllera.



## CHCIAŁEM CI ZROBIĆ NIESPODZIANKĘ

Wychodziłam z domu Sarah Bauer w takim stanie, jakby to wszystko, co usłyszałam, uruchomiło w moich uczuciach proces hibernacji, żeby coś we mnie nie pękło. Zadzwoiłam do Alaina, musiałam z nim porozmawiać, ale jego telefon był wyłączony. Pojechałam do Deia, gdzie jeszcze z Madrytu zarezerwowałam sobie pokój w hotelu. Zaparkowałam samochód i z hałasem pociągnęłam walizkę po wybrukowanych, pogrążonych w ciszy ulicach miasteczka.

Podpisałam się w recepcji. Nie chciałam sama jeść kolacji. Wołałam pójść spać głodna, niż jeść w samotności. Miałam zamiar iść do pokoju i jeszcze raz zadzwonić do Alaina. Musiałam z kimś porozmawiać przed snem...

Tymczasem zadzwoniła moja komórka. Szybko nadusiłam zielony przycisk, gdy zobaczyłam imię na ekranie.

– Alain!

– Gdzie jesteś?

– Właśnie przyjechałam do hotelu, a ty?

Czy tak mi się wydawało, czy za długo zwlekał z odpowiedzią?

– Odwróć się...

Odwróciłam się, a on tam stał. Przez kilka sekund nie mogłam uwierzyć, ale to był on, wchodził przez drzwi w swoich wytartych dżinsach, adidasach i powyciąganym swetrze; broda znowu zaczynała przykrywać jego twarz. Przeszedł przez hol z kpiarskim uśmiechem prosto do mnie.

– Chciałem zrobić ci niespodziankę.

Jeszcze z telefonem w rękę popatrzyłam na niego bez wyrazu, jak postać z wosku ze szklanymi oczyma. Nie potrafiąc tego powstrzymać, poczułam, że trzęsie mi się broda, i zaczęłam szlochać, co było preludium spontanicznego i zupełnie niekontrolowanego wybuchu płaczu, którego nawet wstyd nie był w stanie pohamować. W sumie nie wiem, kto z naszej dwójki był bardziej zaskoczony.

– Hej... co się dzieje?

Alain chwycił mnie za ramiona i to sprawiło, że rozplakałam się jeszcze mocniej. Było to dość zawstydzające uwolnienie napięcia.

– Widziałam ją, Alain – zdołałam mu wyjaśnić przez łzy. – Boże, to było takie... Och, mój Boże... Tyle rzeczy... i wszystko za jednym razem. – Sięgnęłam po chusteczkę, która schowała się pośród tysięcy rzeczy w mojej torebce. Chciałam otrzeć sobie łzy, ale bezskutecznie. Ponieważ chciałam też je ukryć, schylałam głowę, aż dotknęłam brodą szyi. – To ona... i jej historia... To wszystko. Wszystko to... To za dużo.

– Ale kim jest ona?

Ośmieliłam się pokazać mu swoją zaczerwienioną twarz, wykrzywioną i zalaną łzami.

– Sarah! Sarah Bauer!

Alain potrzebował chwili, żeby przełknąć tę wiadomość jak kieliszek wysokoprocentowego alkoholu.

– Wyjdźmy, zanim portier zadzwoni po policję... albo do telewizji.

Usiedliśmy na ławce w złotym słońcu latarni, pod osłoną muru. Cisza tego pogrążonego we śnie miasteczka była kojąca, także chłodne powietrze wiejące od morza i gór, które zdołało uspokoić moją głowę i osuszyć mi łzy. W tym pejzażu znaczącym nieruchomymi kamieniami odnosiłam wrażenie, że znajduję się na jakiejś sangwinie albo litografii ze starej książki z domami w półmroku i stromymi ulicami biegnącymi w ciemność.

– Przykro mi – powiedziałam, kiedy w końcu przestałam histerycznie płakać, ale jeszcze z mokrą chusteczką ściśniętą w dłoni. – Jestem idiotką...

– Że płaczesz?

– Że zachowuję się żałośnie... Nie wiem, co mi się stało.

– Ulżyłaś sobie. Czy teraz czujesz się lepiej?

– Chyba tak. – Westchnęłam. – Zadzwoiłam do ciebie, kiedy od niej wyszłam, ale miałeś wyłączony telefon.

– Wyłączyłem go, wsiadając do samolotu... Wiesz przecież, że zawsze zapominam go włączyć.

Znowu wytarłam oczy chusteczką i spojrzałam na niego: jego twarz prawie wróciła do normalnego wyglądu. Ściągnięto mu opatrunki i zdjęto szwy, opuchlizna praktycznie zeszła, a krwiaki zmieniły się w delikatne zielone cienie, w większości przykryte brodą.

– Widzę, że masz się znacznie lepiej. Już nie wyglądasz jak Shrek – zażartowałam.

– Tak, dochodzę do siebie. Wczoraj ściągnęli mi szwy.

– A tak przy okazji, co ty tu robisz?

– Przyjechałem na czas, żebyś wyplakała mi się na ramieniu. – Kiedy zobaczył moją reakcję, wolał podać mi prawdziwy powód. – Prawda jest taka, że wróciłem do Paryża, żeby pójść do szpitala na kontrolę i zanieść zwolnienie na uniwersytet. Potem byłem w domu, żeby trochę tam ogarnąć, rozumiesz... I kiedy już zrobiłem wszystko, co miałem do zrobienia, powiedziałem sobie: i co teraz? Więc, nie wiem dlaczego, przypomniałem sobie o tobie. Dlatego pojechałem na lotnisko i złapałem pierwszy samolot, który tu leciał.

– Cieszę się, że to zrobiłeś. Przyjechałeś we właściwym momencie.

– Naprawdę? Facet z recepcji musi myśleć, że zrobiłem ci coś okropnego.

W końcu udało mu się skłonić mnie do uśmiechu.

– Jesteś głodna?

Wzruszyłam ramionami.

– Powinam być głodna. Od śniadania prawie nic nie jadłam.

– No to też przyjechałem we właściwym momencie, żeby zaprosić cię na kolację. Wydaje mi się, że masz mi wiele do opowiedzenia. – Alain wstał i wyciągnął do mnie rękę; położyłam na niej swoją. – Zobaczmy, czy w tym mieście duchów znajdziemy jakieś miejsce, gdzie nas nakarmią – powiedział, stawiając mnie na nogi jednym pociągnięciem.

\*

## ZAWSZE, KIEDY CZYTAŁAM CHOĆ LINIJKĘ TEJ HISTORII

Nieopodal hotelu była otwarta mała restauracyjka, która pewnie tej spokojnej nocy szybko by została zamknięta, gdyby nie to, że my zajęliśmy tam stół. Zamawiając kilka tapas i butelkę czerwonego wina, zapewniliśmy sobie kolację, w której jedzenie zostało zepchnięte na drugi plan przez rozmowę.

Kiedy Alain nalewał po ostatnim kieliszku z butelki, ja już skończyłam opowiadać historię Sarah Bauer.

– Cały czas nie rozumiem tego, co stary zrobił tej biednej kobiecie – powiedział Alain ze wzrokiem utkwionym w kieliszku, jak wróżka poszukująca odpowiedzi w rubinowych falach wina. – Przekonać ją, że jej córka nie żyje... To niewyobrażalny sadyzm.

– Pójdiesz do niej? – odważyłam się zapytać, podejmując ryzyko, że wchodząc na cudzy teren, zostanę poszczuta psami.

– I co zrobić? Stanę przed nią i powiem: „Jestem pani wnukiem, synem pani nieżyjącej córki, która tak naprawdę nie umarła... to znaczy umarła, ale nie tak, jak pani myśli”. Powiedz sama, że to groteskowe.

– No to po co przyjechałeś?

– Nie wiem... Jeśli mam być szczery, przyjechałem, żeby patrzeć w przyszłość, a okazuje się, że teraz znowu gapię się wstecz. Nie tego chciałem... – Nie udało mi się zrozumieć wszystkiego, co insynuował, ale wyjaśnił dokładniej: – Ty powinnaś to rozumieć lepiej niż ktokolwiek inny, Ano. Ja też się duszę, ale nie zalewam się łzami przez tę cholerną męską dumę.

– No to płacz! Ulżyj sobie! Wyrzuć z siebie wszystko i pogódź się z przeszłością. Tylko w ten sposób poczujesz się lepiej...

Zamiast zapłakać, Alain uśmiechnął się, uśmiechem nie mniej smutnym niż płacz.

– Nie zapominaj, że ty sam to zacząłeś, ty chciałeś odgrzebać to, co już było pogrzebane...

– To prawda, ale nigdy nie przypuszczałem, że będzie w tym tyle gówna...

– To nie jej wina, Alain. I nie zasługuje na to, by umrzeć, nie poznawszy prawdy, sądząc, że nic po sobie nie zostawia... Nie miała więcej dzieci, nie mogła po zakażeniu. Więc pomyśl, jej rodzina, jej korzenie, jej historia, wszystko odejdzie wraz z nią; nie będzie ani jednego świadka, ani jednego spadkobiercy, nikogo, kto zachowa pamięć o Sarah Bauer. Bardzo smutne musi być tak odejść.

– Teraz ty jesteś jej świadkiem. I jej protektorem: myślisz tylko o niej.

– Wiesz, że to nieprawda. Myślę o tobie. Jeśli boli cię to, co zrobił twój dziadek, teraz wyrwij ten cierń albo będziesz dźwigał swój ból przez całe życie. Porozmawiaj z Sarah, opowiedz jej prawdę i...

– A moja matka? Kto zwróci jej moją matkę, którą jej odebrano, którą ten skurwiel jej odebrał? – W końcu ukazał się gniew Alaina; na swój sposób zaczynał przynosić sobie ulgę.

– Obawiam się, że trzeba to będzie zostawić innemu sądowi... – zauważyłam trwożliwym szeptem.

– Problem w tym, że ja nie wierzę w inną sprawiedliwość niż ta na ziemi... Do cholery! – Alain uderzył pięścią w stół, kieliszki zakołysały się, a sztucce podskoczyły; kelner spojrzał na nas zza baru. – Mówisz, że tylko ja mogę sprawić, że jakaś nieznana mi kobieta umrze w spokoju... A moja matka? Co mogę zrobić dla matki? Wiem, jak to jest żyć bez matki, bez kogoś, kto cię przykryje w nocy i pocałuje na dzień dobry, bez kogoś, kto ci będzie dmuchał na rany i obetrze ci łzy. Wiem, jak to jest nie mieć nikogo, przeciwko komu można by się buntować,

kiedy masz piętnaście lat, i kto płacze, kiedy się wyprowadzasz z domu. Nikt nie prowadził mnie za rękę w słońcu w zimie i w cieniu w lecie... Kurwa, wiem, czego mi brakuje, chociaż z całych sił staram się codziennie o tym nie myśleć! I prawdopodobnie Judith wie to jeszcze lepiej niż ja! Niech nam to teraz zwróci, tak? Ale kto?

Alain zasłonił oczy dłońmi. Przycisnął rękę do twarzy, aż poczerwieniały mu policzki...

Patrzyłam na niego w milczeniu, starając się go zrozumieć. Wyobraziłam sobie, jak trudno mu było przekonywać siebie przez całe życie, że jest normalnym dzieckiem, że nie tęskni za rodzicami, że nie ma czego zazdrościć innym dzieciom. To obsesyjne poszukiwanie przeszłości prawdopodobnie przykrywało braki uczuciowe i emocjonalne, jakies rany, które jeszcze się nie zablźniły. Jednak tej nocy w końcu doszło do katharsis i fala emocji, urazów i ukrywanych braków popłynęła na rachunek Sarah Bauer. Rzecz jasna to nie ona była przyczyną, ale wzbudziła wszystkie gromadzone przez Alaina żale.

W końcu pochylił się i zaczął szperać w plecaku stojącym przy krześle na podłodze. Wyciągnął książkę, a pomiędzy jej kartek kopertę.

– Przyniosłem ci coś...

Otworzyłam. W środku znalazłam fotografię jego dziadków i opakowanie po czekoladzie – pożółkłe i popękane ze starości.

– Dlaczego? – zapytałam, czując, że coś ściska mnie w piersiach.

– Bo jesteś tego częścią. Ty piszesz ich historię.

– Nie, ja ją tylko czytam, ukradkiem. To ty powinieneś dokończyć jej pisanie... Tylko ty jesteś jej częścią – odpowiedziałam, nie spuszczać oczu ze zdjęcia Sarah. – Dalej jest taka piękna jak wtedy. Ma to samo spokojne i eleganckie piękno.

– Pójdiesz ze mną? – wyszeptał Alain, jakby zdjęcie mogło go usłyszeć. – Będiesz ze mną, kiedy do niej pójde?

Moje oczy spotkały się z oczyma Alaina. Zgodziłam się kiwnięciem głowy, nie mogąc wymówić słowa. Znowu się wzruszyłam, znowu dostałam gęsiej skórki, jak zawsze, kiedy czytałam choć linijkę tej historii.

Gdy wracaliśmy do hotelu, zadzwonił mój telefon, a jego dzwonek odbijał się głośnym echem od każdego kamienia pogrążonego w milczeniu i samotnego Deia. Jednym ruchem, pośpiesznie go uciszyłam.

– Tak?

– Nie zadzwoniłaś do mnie, *meine Süße*. Już po północy...

– Przykro mi... Byłam bardzo zajęta. Skończyłam spotkanie bardzo późno...

– Jak ci poszło?

– Dobrze...

Patrzyłam na czubki butów, na przemian pojawiające się i znikające na kocich łbach, w rytm moich kroków. Były jak metronom zestrzajający tok moich myśli w poszukiwaniu właściwej odpowiedzi.

– Dobrze? Nie wydajesz się jakoś szczególnie zadowolona...

Tak naprawdę nie istniała właściwa odpowiedź. Nawet gdyby taką znaleźć, żadna nie nadawała się dla Konrada.

– To była Sarah Bauer...

Cisza po drugiej stronie telefonu.

– Żyje... sama?

Odpowiadając, zmarszczyłam czoło.

– Tak.

– A obraz?

– Nie widziałam go.  
– Ale czy ona go ma?  
Cisza po mojej stronie telefonu.  
– Ma go, *meine Süße*?  
– Ja... ja go nie widziałam, już ci mówiłam.  
– Zgoda... Jutro z samego rana lecę do ciebie...  
Zatrzymałam się.  
– Jutro?  
– Tak. Najpóźniej w południe, zależy, czy uda mi się odwołać pewne spotkania... Nie ruszaj się stamtąd do mojego przyjazdu.  
– Po co chcesz przyjechać? Nie trzeba...  
– Trzeba. Ty już swoją robotę zrobiłaś, teraz moja kolej. Muszę z nią porozmawiać.  
– O czym?  
– O obrazie, a o czym innym? Podaj mi dokładny adres hotelu.  
– W tej chwili go nie znam. Potem wyślę ci e-mail.  
– Dobrze. Zatem do jutra... A właśnie, *meine Süße*...  
– Co?  
– Dobra robota.  
– Dziękuję.  
Wyłączyłam telefon i włożyłam go z powrotem do kieszeni.  
– To był Konrad?  
– Tak.  
– Co ci powiedział?  
– Że... dobra robota...  
Wróciłam do oglądania czubków własnych butów na kocich łbach; pytający wzrok Alaina wbijał się w moje plecy.

\*

## PRAWDA JEST NIEWYGODNA

Następnego dnia znowu odwiedziłam Sarah Bauer z listem i fotografią. Jednak o ile poprzednie zdjęcie i list mogły być doręczone w złotej kopercie, tym z pewnością przypadłaby czarna, bo czarna była też ich zawartość.

Przyjęła mnie w salonie, przy rozpalonym kominku, bo morze przyniosło ciężkie szare chmury, więc wilgotny i nieprzyjemny wiatr kołysał sosnami i uderzał w szyby. Wydała mi się znacznie starsza i bardziej zmęczona niż poprzedniego dnia, bardziej przygarbiona i zniszczona; być może sprawiało to słabe światło ciemnego poranka.

– Wracasz po *Astrologa*, prawda? – zapytała, gdy tylko przeszłam przez drzwi, zanim zdążyłam cokolwiek wyjaśnić albo się przywitać. – Byłam zaskoczona, że wczoraj wyszłaś, nie chcąc go oglądać. W końcu to jego szukałaś...

– Wcześniej tak. Teraz nie jestem już pewna, że szukam czegokolwiek... Nawet nie jestem pewna, co ja tutaj robię...

– A więc?

– Powiedzmy, że muszę skończyć czytać pewną historię, ale najpierw ktoś musi napisać zakończenie.

Sarah zmarszczyła czoło.

– To nieważne, proszę mnie nie słuchać... Mogę usiąść?

Sarah wskazała mi fotel naprzeciwko swojego. Przynajmniej udało mi się rozbudzić jej ciekawość.

– Przynoszę pani wiadomości.

– Mam nadzieję, że są dobre... – Miała sceptyczny wyraz twarzy.

– Sama pani oceni.

Pokazałam jej list. I ona natychmiast zareagowała; opakowanie czekolady przyklepione do zdjęcia było potężną zanętą.

– Skąd to wzięłaś? – zapytała szorstkim głosem.

– Proszę przeczytać list. Ja jestem tylko posłańcem...

Ręce Sarah trzęsły się, kiedy zakładała okulary; oparła łokcie na kolanach, żeby mocno trzymać list. W pewnej chwili nawet i to na niewiele się zdało. Rozpoczynając lekturę, Sarah nagle podniosła głowę.

– Co to za żart? – Jej głos miał być twardy, ale był niepewny. – Jest w bardzo złym guście. Nie spodziewałam się po tobie czegoś podobnego. Proszę wyjść z mojego domu...

– Proszę mnie posłuchać. To żaden żart, zapewniam panią...

– Oczywiście, że nie! To coś znacznie gorszego, to brudny podstęp, żeby przejąć obraz. Cóż lepszego, niż wyciągnąć spadkobiercę z kapelusza? Nie mogę uwierzyć w taką bezczelność!

– Nie! To nie to! – Skoczyłam z fotela na podłogę, żeby klęknąć przy niej i chwycić ją za pomarszczone ręce. – Wiem, że trudno to pani przyjąć do wiadomości, minęło zbyt wiele czasu, całe życie przyzwyczajała się pani do rzeczywistości, którą teraz obala tych kilka linijek...

– Nie możesz tego wiedzieć. Nie wiesz, jak cierpiałam. Nie wiesz, jak to jest stracić dziecko... Jakaś moja część umarła wraz z nią... Jak możesz mi to robić?

Łzy zaczęły spływać mi po policzkach, czułam w ustach ich słony smak.

– Przepraszam... – załkałam, wstając i wycierając oczy. – Wydawało mi się, że robię dobrze. – Za każdym razem, kiedy zaczynałam mówić, wybuchałam łzami. – W każdym razie myliłam się i on mnie o tym ostrzegł...

– On?

– Pani wnuk.

– Ja nie mam wnuków. – Sarah przeciągała słowa pomiędzy zębami; okopała się za swoim zgorzeniem.

– Ależ oczywiście, że pani ma! Dwoje! I choćby nie wiem jak bardzo chciała pani się odwracać i patrzeć w drugą stronę, prawda jest właśnie taka. Dobrze, skoro okazuje się, że po tak długim czasie prawda jest niewygodna i woli pani tkwić w kłamstwie, które inni dla pani utkali, nie będę nalegać, żeby zmieniła pani opinię. Dość już mam ciosów, które nie były przeznaczone dla mnie – wypaliłam, ocierając ostatnie łzy.

Skoro nie miałam nic więcej do powiedzenia, zaczęłam zbierać swoje rzeczy i szykować się do wyjścia.

– Zostawiasz to. – Duma nie opuszczała Sarah, która wyniośle i opryskliwie odsunęła od siebie zdjęcie i list dziadka Alaina.

– Proszę sobie zatrzymać. Może kiedy przeczyta to pani jeszcze raz, znajdzie pani coś, co mogliście wiedzieć tylko pani i ten człowiek. – Włożyłam marynarkę i powiesiłam sobie torebkę na ramieniu. – W ten sposób dojdzie pani do wniosku, że nie kłamię. Do widzenia.

Ruszyłam w stronę drzwi i wyciągnęłam rękę do klamki.

– Jacob.

Głos Sarah zatrzymał mnie dokładnie w chwili, kiedy je otwierałam. Ale nie odwróciłam się.

– Jacob to imię mężczyzny, który napisał ten list. A to jest opakowanie mojej ulubionej czekolady... Chocolat Menier... Jacob kupował tabliczkę na czarnym rynku za każdym razem, gdy chciał mi zrobić prezent.

Powoli, tak powoli, jakby celowano do mnie z naładowanego słowami pistoletu, odwróciłam się. Sarah nie uśmiechała się, ale przynajmniej jej spojrzenie nie było już tak mroczne.

– I mówisz, że ile mam wnuków?

\*

## PRZEKŁĘTY ASTROLOG

W końcu Sarah zgodziła się porozmawiać z Alainem. Po obiedzie, w lekkiej mżawce, poszliśmy z Deia do jej domu nad morzem. Alain się ogolił i włożył świeżą koszulę oraz zamienił znoszone dżinsy na porządne spodnie. Podczas obiadu niemal nic nie wziął do ust.

– Denerwujesz się?

– Tak... Nie wiem, co jej powiem, kiedy ją zobaczę...

– Tego się dowiesz, dopiero gdy nadejdzie ta chwila... Nie przejmuj się, po prostu pozwól, żeby to się zdarzyło.

Tak naprawdę jednak ja też byłam zdenerwowana.

Ogrodnik otworzył bramę i zaprowadził nas do domu po drodze z mokrych kamieni, po trawnikach ze świeżo ściętą trawą i po mokrej ziemi. Służąca czekała już w holu. Odebrała od nas płaszcze i parasole i poprowadziła nas do salonu. Przed wejściem wzięłam Alaina za rękę i lekko ją uściśnęłam, a on odwzajemnił mi się uśmiechem, niepewnym uśmiechem.

Służąca otworzyła drzwi salonu i jako pierwszy przywitał nas aromat kawy i rozpalonego kominka. Potem Sarah. Z wysiłkiem wstała. Spojrzała na Alaina. Chciała podejść, ale wsparła się na oparciu fotela.

– Ja... prze...przeczytałam list... – Głos się jej załamał. – Mój Boże...

Łzy zdawały się znikać w jej zmarszczkach, ale łkanie szybko ją zdradziło. Alain podszedł do niej; przy niej wydawał się ogromny. Nie tracąc czasu na słowa, objął ją ramionami, w których Sarah niemal znikła.

I ja znowu się rozplakałam. Weszłam w spiralę płaczu, która nie dawała wytchnienia moim gruczołom łzowym. Czułam się jak na filmie, na którym ciągle się płacze, nawet gdy ma się pewność, że łzy się wyczerpały. Tylko że ja nie siedziałam na widowni, ale po drugiej stronie ekranu, gdzie obraz nigdy nie stapia się ze słowem KONIEC, gdzie nigdy nie gasną światła, żeby móc płakać po kryjomu. Czując się nie na miejscu, wymknęłam się z pokoju i usiadłam na schodach w holu, gdzie spokojnie mogłam się wypłakać.

Po jakimś czasie wyszłam przed dom, żeby popatrzeć na morze, które przyjęło mnie słonym pocałunkiem w usta. Morze przychodziło z deszczem i wiatrem i wcisnęło mi się pod ubrania, gładząc mi skórę zimnymi palcami.

Nie było już niebieskim i ciężkim morzem z poprzedniego dnia, ale szarym i spienionym, jak malachitowy olej i czarny dym wznoszący się krótkimi kłębkami z bieli ołowiowej w stylu Couberta. Było to morze niespokojne jak ja, wyczekujące spokoju, który nigdy nie nadchodził...

– Kawa wystygła, więc zrobią nową... Chcesz wejść?

Alain uratował mnie przed morzem. Uśmiechnęłam się do niego.

– Tak. Zrobiło się zimno. Przyda mi się coś ciepłego.

Podeszłam do niego, myśląc, że razem wejdziemy do domu, ale nie ruszył się z progu.

– Patrz. – Alain wyciągnął do mnie jakieś zdjęcie. Było to zdjęcie małego dziecka, leżącego na dużej poduszce. W rogu można było przeczytać: „Marie, listopad 1943”. – To moja matka...

– Jest śliczna – wyszeptalam. Rzeczywiście była: fotografia i dziewczynka.

– Dała mi je Sarah... Georg zawsze nosił je w portfelu.

– Nie zgadniesz, co się stało...

– Co?

– Dostałam gęsiej skórki.

Alain uśmiechnął się do mnie.



– Niczego innego się po tobie nie spodziewałem.

Oddałam mu zdjęcie, a on przyjrzał mu się po raz kolejny.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Teraz tak.

– A Sarah?

– Nie wiem... Dużo płakała. Jest taka stara i taka krucha... Wydaje mi się, że jeszcze do końca to do niej nie dotarło.

Westchnęłam i opuściłam głowę. Ogarnęło mnie nieprzyjemne wrażenie, jakby wewnętrzne falowanie, niczym falowanie morza, które miałam za plecami.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam – wyznałam. – Może zrobiłam to za bardzo na siłę...

Alain pogłodził mnie pod brodą i zmusił, żebym na niego spojrzała.

– Dobrze zrobiłaś. Dziękuję...

Patrząc z bliska w jego oczy, zdałam sobie sprawę, że płakałyśmy nie tylko my, kobiety.

Kiedy wróciliśmy do salonu, zastaliśmy tylko służącą nalewającą kawę. Sarah dbała o prezencję, więc poszła do swojego pokoju usunąć ślady pozostawione przez emocje. Ja z kolei wyglądałam okropnie, ze spuchniętymi oczyma i makijażem rozmazanym przez zalew łez, deszcz i sól.

– Pani mówi, żeby państwo wypili kawę, gdy będą na nią czekać. Zaraz zejdzie – przekazała nam służąca.

Dobrze mi zrobiła ta filiżanka gorącej kawy, przy kominku, w ciszy, każdy pogrążony we własnych myślach. W tym czasie Alain i ja darzyliśmy się już wystarczającym zaufaniem, żeby nie musieć prowadzić kurtuazyjnej rozmowy.

Wypijałam ostatni łyk kawy, kiedy pojawiła się Sarah, trochę bardziej pobudzona i dynamiczna niż z rana.

– Przepraszam, że kazałam wam czekać, ale w moim wieku najprostsze rzeczy zajmują dwa razy więcej czasu.

– Nalać ci kawy? – zapytał Alain.

– Nie, nie, bardzo dziękuję. Makijaż świetnie wszystko ukrywa, ale nie uspokaja nerwów. Nie sądzę, żeby picie kawy teraz było dobrym pomysłem... – Podziękowawszy za kawę z uśmiechem i humorem, Sarah zwróciła się do mnie: – Kochana, winna ci jestem przeprosiny. Wcześniej zachowałam się jak wredna i uparta starucha... Nie zaprzeczaj, po prostu tak jest.

– Być może, ale ja podałam pani pigułkę nie do przełknięcia. Jeszcze nie dotarło do mnie, że mogłam to zrobić...

– Twoje dobre intencje przynoszą ci zaszczyt, tylko to jest ważne. Chciałabym ci to wynagrodzić.

– Wynagrodzić? – To mnie zaskoczyło; ani nie oczekiwałam wynagrodzenia, ani nie zasługiwałam na nie.

W odpowiedzi Sarah uśmiechnęła się, odebrała ode mnie pustą filiżankę i odstawiła ją na stolik.

– Chodź ze mną...

Wstałam z kanapy i ujęłam ją pod ramię, które mi podała.

– Ty też, Alainie. Dołącz do nas.

Przeszliśmy do jej gabinetu. W nieoświetlonym pomieszczeniu lśnił żar na kominku, a za oknami pojawiał się błądź, deszczowy wieczór. Sarah zapaliła światła i powoli podeszła do ściany naprzeciwko. Wydawało mi się, że nacisnęła przełącznik, który sprawił, że jeden regał zaczął się obracać i został wchłonięty przez ścianę. Niemal nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

– Oto on – oświadczyła Sarah z dumą. – *Astrolog*. Pomyślałam, że będziesz miała ochotę go zobaczyć.

Zdałam sobie sprawę, że otworzyłam oczy tak szeroko, że musiałam siłą skłonić powieki do powrotu na swoje miejsce, w obawie, że wypadną mi szkła kontaktowe. Przypuszczam, że przez całą swoją karierę zawodową ani nawet przez całe swoje życie miłośniczki sztuki nie poczułam większych emocji, oglądając obraz, nie przez to, co przedstawiał, ale przez to, co ze sobą niósł. A i tak wydał mi się bardzo ładny.

Ochry i zielenie; cynober i pomarańcze skupiają wzrok w centrum; podwójny plan; faktura roślinności, tkaniny i skóra; renesansowe twarze i pokryte chmurami niebo... To musiał być Giorgione, z pierwszego okresu, niemal amator, jeszcze pod wpływem Belliniego, ale z tym czymś charakterystycznym, co odróżniało go od samego początku.

– Od dawna nie widziałam tak ekstatycznej miny u nikogo, kto go oglądał – usłyszałam Sarah. – To oczywiste, że podziwiasz obraz, a nie szukasz jego tajemnicy.

– Zapomniałam o niej – przyznałam, wcale nie kłamiąc. – Zapomniałam, że skrywa sekret. Jest tak piękny i znaczy tak wiele...

– A więc okazuje się, że go odnalazłaś – dodała Sarah.

Zgodziłam się, nie mogąc oderwać od niego oczu, jakby był jedyną rzeczą w całym pomieszczeniu i prezentował się nam na złotym jedwabnym panelu w świetle halogenowej lampy. Nawet na kilka sekund zapomniałam, że nie jestem sama. Gdy sobie przypomniałam, zrobiłam krok w tył i stanęłam obok Alaina, który także przyglądał się obrazowi z dyskretnego drugiego planu.

– Znaleźliśmy go – wyszeptalam. – Dasz wiarę? Ileż razy myślałam, że nie istnieje, że tracimy czas na poszukiwaniu legendy...

Alain nie odpowiedział. Tak jak ja zatopił się w obrazie, więc pomyślałam, że jest wzruszony i wzruszenie odebrało mu głos.

Sarah usiadła w półmroku i jej głos docierał do nas jak głos niewidzialnego narratora.

– Przekłety *Astrolog*... Nie wiem, czy naprawdę coś ukrywa, nigdy tego nie wiedziałam na pewno i nie chciałam wiedzieć. Czego można oczekiwać po tylu latach i tylu rękach, tylu szeptach na ucho i tylu źle skrywanych tajemnicach? Może pod warstwą farby, może w instrumentach wróżbity albo w symbolice jego ikonografii... Może... Może w ogóle nie istnieje żaden sekret, może tylko piękny obraz. Nie wiem, lepiej tego nie wiedzieć. Są rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć... Niektórych spraw lepiej nie dotykać... Uważam jednak, że w jakiś sposób ten obraz jest naznaczony czymś ponadnaturalnym. Ten obraz prowadził moje życie, popychał je i włókł po drogach tak krętych, jak cudownych. Odebrał mi wszystko i wszystko mi dał. A teraz, kiedy myślałam, że w spokoju pozwolił mi kroczyć po ostatnim odcinku ścieżki, znowu daje mi ostatni prezent, prezent na pożegnanie przed wielką podróżą... Przekłety *Astrolog*... Zawsze się ze mną bawił. Gdybym mogła zacząć od początku, chciałabym, żeby był daleko ode mnie, bardzo daleko. A może nie... Przekłety *Astrolog*.

\*

## POD CZARNĄ CHMURĄ

Weszliśmy do hotelowego holu, strząsając z siebie krople ulewnego deszczu. Myślałam tylko o pójściu do swojego pokoju, ściągnięciu szkieł kontaktowych, wykąpaniu się i włożeniu suchych ubrań – przypuszczam, że Alain podobnie.

Wjeżdżaliśmy windą w milczeniu. Gdy znaleźliśmy się na moim piętrze, drzwi się otworzyły. Alain przytrzymał je, żeby mnie przepuścić.

– Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz chciała zejść na kolację – powiedział.

– Zgoda. Później porozmawiamy...

Pożegnał się i jego uśmiechnięta twarz znikła za drzwiami windy.

Ledwie weszłam do pokoju i ściągnęłam płaszcz, zadzwonił telefon. Jak to możliwe, że tak łatwo zapomniałam o Konradzie?

– Ana!

– Konrad... Już tu jesteś?

– Nie, w tym problem, dalej jestem w Madrycie. Sprawy skomplikowały się bardziej, niż się spodziewałem, i dzisiaj nie będę mógł przyjechać. – Wydawał się naprawdę zawiedziony. Dla odmiany ja poczułam natychmiast ulgę. – Przez cały dzień próbuję się do ciebie dodzwonić, żeby ci o tym powiedzieć. Wyjaśnij mi, dlaczego nie odbierasz telefonu. Ostatnio masz denerwującą manię nieodbierania...

– Przepraszam... Nie słyszałam go. Byłam w domu... pani Debousse.

Wyobraziłam sobie, jak na jego twarzy pojawia się uśmiech; nagle wszystkie problemy zostały puszczane w niepamięć.

– Chodzi ci o Sarah Bauer, tak? I powiedz, dowiedziałaś się czegoś więcej o obrazie? Ma go? – szeptał z równym entuzjazmem jak podnieceniem.

Nie chciałam mu udzielić konkretnej odpowiedzi. Już jakiś czas temu zdecydowałam, że nie będę dłużej mostem łączącym Konrada z *Astrologiem*.

– Nie... nie rozmawialiśmy o tym.

– Ale... jak to możliwe? O czym więc rozmawialiście?

Na to pytanie też nie miałam zamiaru odpowiadać. Konrad nic nie wiedział o zdumiewającym obrocie spraw, który uczynił krewnymi Sarah Bauer i Alaina Arnoux, a jeśli miał się czegoś na ten temat dowiedzieć, to z pewnością nie ode mnie. W każdym razie Konrad nawet nie oczekiwał odpowiedzi.

– Dobra, to nie ma znaczenia. Będę tam jutro, żeby porozmawiać z nią na ten temat osobiście...

Jutro... Na samą myśl o jutrze poczułam jak czarna chmura nadciąga nad moją głowę. Chmura wypełniona gniewem, podejrzeniami, odrzuceniem i szeroką gamą nieprzyjemnych uczuć. Chmura powiększająca się z każdym wypowiedzianym przez Konrada słowem.

– Mam zamiar pojawić się w jej domu około ósmej rano.

Moja czarna chmura się powiększyła.

– Nie mówisz poważnie... – Ale on był jak najbardziej poważny. – Uważasz, że to dobra godzina, żeby przychodzić do kogoś w interesach? Zwłaszcza do starszej kobiety?! Nawet nie myśl o przychodzeniu tam o tej porze.

– No to zadzwoń do niej i powiedz, że przyjdę do niej w południe.

Byłam zła, że traktuje mnie jak sekretarkę, i chociaż nie miałam ochoty mu odpowiadać, moja czarna chmura jeszcze bardziej się powiększyła.

– Nie muszę do niej dzwonić, żeby wiedzieć, że jutro rano nie będzie cię mogła przyjąć.

Ja sama chciałam się z nią umówić i powiedziała mi, że nie może. – Nie była to do końca prawda. Prawdziwa wersja była taka, że Alain i jego babcia mają zamiar spędzić czas razem od rana i we dwoje zjeść obiad. – Najprawdopodobniej będziesz musiał czekać do popołudnia.

– Do diabła ze starą! Nawet gdyby była ministrem! Gdybym ci opowiedział, jak wygląda mój grafik... Nie mam zamiaru tracić na nią czasu...

– Jeśli się czegoś chce, trzeba za to płacić – wyrecytowałam z cierpkim uśmiechem, opadając na fotel. – Poza tym, co ci każe przypuszczać, że sprzeda ci obraz... o ile go ma?

– Bo wszystko ma swoją cenę. – Na pewno jego oczy lśniły jak monety.

Pokręciłam głową.

– Wydaje ci się, że wszystko można kupić za pieniądze, ale możesz trafić na pierwsze rozczarowanie. Nie sądzę, żeby pieniądze miały dla niej jakiegokolwiek znaczenie, ma dziewięćdziesiąt lat i całkiem nieźle się jej powodzi. Do tego, jeśli wierzyć temu wszystkiemu, co się mówi na temat tajemnicy obrazu, prawdopodobnie jest bezcenny.

– No dobra, a ty po której jesteś stronie?

– Po tej, która uważa, że najlepiej zostawić sprawy tak, jak są.

– Zwariowałaś? Wobec tego, ile mnie kosztowało dotarcie do niej, i wobec tego, co wiemy o znaczeniu tego obrazu, prosisz mnie, żeby zostawić sprawy tak, jak są? Wydaje się niemożliwe, że jeszcze mnie nie znasz, *meine Süße*... Idea „z miłości do sztuki” nie jest dla mnie. Jeśli ją kocham sztukę, to dlatego, że mogę ją kupić, a potem wyciągnąć z niej jakieś korzyści. Tak jest ze wszystkim.

Moja czarna chmura powiększyła się jeszcze bardziej, ale nie z powodu Konrada, tylko z powodu mnie samej – bo zaczęłam zdawać sobie sprawę, jak bardzo byłam głupia, nie chcąc zobaczyć tego, co przez cały czas miałam przed nosem.

Pobudzona wstałam. Nie mogłam siedzieć tam spokojnie, słuchając, co ma mi do powiedzenia. Przytrzymałam słuchawkę pomiędzy ramieniem a uchem i zaczęłam odpinać zegarek, ściągać pierścionki, składać ubrania...

– Czy ze mną też tak jest? Czy ze mnie wyciągnąłeś już wystarczająco dużo korzyści, Konradzie?

– Eee... Chwileczkę, *meine Süße*, nie wyskakuj mi z tym teraz ani nie próbuj mnie łapać za słowa. Mówimy o tym cholernym obrazie, a nie o naszym związku. Naprawdę nie rozumiem, skąd się wziął ten ton ani dlaczego denerwuje cię tak bardzo, że chcesz kupić ten obraz. Od samego początku wiedziałas, że tak będzie. Ty już wykonałaś swoją robotę, teraz pozwól mi wykonać moją.

Zamilkłam i siedziałam cicho, czując, jak czarna chmura potężnieje nade mną. Konrad wykorzystał to kruche zawieszenie broni, żeby uspokoić ton rozmowy.

– Teraz o tym nie rozmawiajmy, dobrze? Widać, że oboje jesteśmy już bardzo zmęczeni...

– Tak... Bardzo zmęczeni. Lepiej będzie, jeśli przestaniemy rozmawiać – odpowiedziałam oschle, pragnąc odłożyć ten cholerny telefon.

– Dobrze. Jutro się zobaczymy.

– Tak... Żegnaj.

I zakończyłam połączenie, zanim zdążył się pożegnać.

Siedziałam nieruchomo z telefonem w ręku i ze wzrokiem utkwionym w oknie odbijającym moją postać. Rozmowa z Konradem całkowicie pozbawiła mnie animuszu.

Usiadłam na skraju łóżka, przy stoliku, uniosłam słuchawkę telefonu i wykręciłam numer pokoju Alaina.

– Przepraszam, nie pójde na kolację – powiedziałam. – Boli mnie głowa i chcę się

wcześniej położyć.

– Na pewno się przeziębiałaś. Nie powinnaś była siedzieć tak długo w ogrodzie...

– Nie, to raczej nie to. To tylko skumulowane zmęczenie... No właśnie, jutro po południu Konrad chce odwiedzić Sarah. Trzeba jej o tym powiedzieć i zapytać, czy ma coś przeciwko.

– Zgoda... Ale na pewno dobrze się czujesz? Weź coś od bólu głowy. Masz? Przynieść ci paracetamol? Mam tego więcej niż porządna apteka.

– Nie trzeba. Mam. Dziękuję.

– Mogę przynieść ci coś do jedzenia. Albo coś ciepłego do picia. To by ci dobrze zrobiło...

– Nie, nie, naprawdę. Chcę tylko pójść spać.

Entuzjazm Alaina zdawał się wędnać po drugiej stronie telefonu. Mój był wąty od samego początku rozmowy, a czarna chmura nad moją głową wciąż się powiększała.

– Zobaczmy się jutro, dobrze? – starałam się osłabić napięcie, przecież on nie był winien moich problemów.

– Jasne... Odpocznij, tak?

– Tak... Do jutra.

– Do jutra...

W końcu ściągnęłam szkła kontaktowe i wzięłam prysznic. Kiedy się położyłam, czarna chmura zmieniła się w wielką burzę z piorunami.

\*

## POWINNAŚ ZAPYTAĆ KONRADA KÖLLERA

Następnego dnia wstałam późno i bardzo głodna po ascetycznym wieczorze. Ponieważ minęła już pora śniadania, zjadłam brunch w hotelowym barze, wertując gazetę i ciesząc się pełnym napięcia spokojem: kawa, jajka po benedyktyńsku z łososiem, tortilla ze śmietaną i karmelem oraz jogurt z muesli i owocami – wystarczająco dużo, żeby dotrwać bez strat do kolacji. Wstając od stołu, w dalszym ciągu słyszałam podszepty, które rozbrzmiewały w mojej głowie od przebudzenia; ani jedzenie, ani prasa nie były w stanie ich uciszyć.

„Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, czym jest PosenGeist, powinnaś zapytać Konrada Köllera”.

Siedzenie w hotelu i ciągle zastanawianie się nad tymi słowami doprowadzało mnie do szaleństwa. Wykorzystałam więc sytuację, że przestało padać, i udałam się na spacer bez żadnego określonego kierunku ani wybranego celu – chodziło raczej o spacer wewnętrzny.

Ruszyłam z boczem poza miasto, myśląc, że człowiek nigdy dokładnie nie wie, kiedy sprawy zaczynają się sypać. To tak jak ze starym radiem, które pewnego dnia przestaje grać, a gdy w nie uderzyć, dochodzi do siebie, niestety z dnia na dzień potrzebuje coraz więcej uderzeń, a im więcej ich dostaje, tym gorzej działa, aż nadchodzi taka chwila, w której nie ma znaczenia, ile razy je trzepniemy, radio milknie na zawsze. Wtedy nikt już nie pamięta czasów, gdy naprawdę dobrze grało... Ani też dlaczego zaczęło szwankować. Kiedy zaczęłam uderzać w radio, żeby dobrze grało? Może Konrad nie zauważył, ale każdy z moich fochów był podobny do uderzenia w radio i wiedziałam, że radio nie wytrzyma ich wiele więcej.

Wydawało mi się, że mogę zredukować całą sprawę do absurdu: do butów na obcasie, które coraz bardziej mnie uwierają; do mercedesa SLK, który ma coraz bardziej podrapaną karoserię; do mojej pracy w dziale komunikacji w muzeum, która stopniowo coraz bardziej oddala mnie od sztuki. Czy może nienawidziłam cotygodniowych wizyt u fryzjera? A może tego, że wstydzę się nosić okulary zamiast kontaktów?

Nie działało na mnie uspokajająco to, że powody były tak banalne: buty na obcasie, mercedes, okulary, fryzjer... To niemożliwe, żebym zastanawiała się nad sensem swojego związku z powodu tak nieistotnych spraw. Musiało być coś jeszcze... Nie byłam jednak w stanie wskazać palcem oczywistego winowajcy pośród tysięcy podobnych do siebie twarzy paradujących przede mną w tej szczególnej próbie identyfikacji. Być może cień Konrada był nazbyt wydłużony, może nie pozwalał mi zobaczyć słońca; może Konrad wart był swojej ceny na wagę złota, dosłownie, a jego ciężar nie pozwalał mi oddychać; może zmęczyło mnie bycie tą „kamienicą z potencjałem”, której przebudowywaniem na swoją modłę się zabawiał... Początkowo podobał mi się, potrzebowałam go, dawał mi pewność siebie; kochałam go. Dopóki byłam zakochana w Konradzie, wszystko było proste i przyjemne... Może już nie byłam w nim zakochana... Może to zwyczajnie coś takiego...

Zwyczajnie Konrad. Konrad się zmienił. Nie byłabym w stanie powiedzieć dokładnie, kiedy to się zaczęło ani kiedy przestał być mężczyzną, którego podziwiałam i kochałam, mężczyzną, od którego zależałam w chorobliwy sposób, aż w końcu stałam się osobą niezrównoważoną, wybuchową i pogmatwaną... Może od chwili, w której chwycił mnie za gardło i wpił mi się w usta aż do krwi... Od tamtego momentu jego palce i usta były odcisnięte na mnie jak wypalone ogniem znamię, przypominając mi, jak mroczny może być i jak bardzo mnie oszukiwał.

„Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, czym jest PosenGeist, powinnaś zapytać Konrada Köllera”.

Wracalam do hotelu z tymi samymi dręczącymi wątpliwościami, z którymi rozpoczęłam spacer. Niedookreślony spacer, trwający niedookreślenie długo, po niedookreślonej okolicy. Zadałam sobie pytanie o to, czy kręcę się wokół siebie, rozpaczliwie starając się znaleźć wyjście z sytuacji... Paraliż wynikający z analizy: to mój defekt, przejaw tchórzostwa i niepewności. Jakże, u diabła, miało znaczenie dlaczego? Żadnego, nie miało żadnego znaczenia. To bzdura, zaledwie wymówka, żeby nie musieć stawać przed trudniejszym wyborem: do kiedy?

Jak długo jeszcze miałam zamiar udawać ślepa i głupia ze strachu przed odkryciem, co kryje się za uśmiechem Konrada? Za tym uśmiechem, w którym kiedyś się zakochałam...

– Cześć.

Odwróciłam się i zobaczyłam Alaina wracającego po obiedzie z babcią.

– Cześć – odpowiedziałam trochę oszołomiona, wydobywając się z czarnej studni własnych dywagacji.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund: rozmowa jakby się skończyła w miejscu, w którym się rozpoczęła.

Zauważyłam pierwsze krople deszczu spadające mi na głowę; znowu zaczynało padać. Wbrew wszelkim prognozom Alain nie okazał najmniejszego zamiaru schronienia się pod dachem. Ja też nie.

– Wracasz czy wychodzisz? – chciał wiedzieć.

– Wracam. Ze spaceru... Jak tam Sarah?

Twarz Alaina rozjaśniła się na sam dźwięk imienia.

– Dobrze. Chwilami to jest dziwne... Ale... fajne. Podoba mi się, jak mnie przytula; nikt mnie nigdy nie przytulał w taki sposób...

– To przytulanie babci. Jedyne w swoim rodzaju.

– Tak sądzę... Tak jak przytulanie matki... To zabrzmiało trochę obsesyjnie, prawda? – Nie spodziewał się odpowiedzi. – Judith powiedziała mi, że powinienem dorosnąć...

– Nie mogłeś tego zrobić wcześniej. Ani twojej matki, ani Sarah nie było tam, żeby cię przytulić. Żeby dorosnąć, potrzeba i takich rzeczy...

Deszcz wzmagął się i zaczynał moczyć nam twarze i ubrania. Alain wrzuszył ramionami.

– Mówi się, że nigdy nie jest za późno... A twój ból głowy?

– Lepiej...

– A ty?

To mnie zaskoczyło.

– Ja?

– Tak... Widzę, że... że się martwisz... Może chciałabyś się napić kawy i porozmawiać...

Zastanawiałam się, czy przyjąć zaproszenie Alaina, czy schować się w swojej dziurze, kiedy usłyszałam, że woła mnie Konrad:

– Ana!

Sprzed wejścia do hotelu, schowany przed deszczem, dawał mi znaki, żebym podeszła. Zdecydowanie, że jednak tam pójde, zajęło mi sporo czasu.

– Przepraszam, zapomniałem, że się go spodziewasz... – usprawiedliwił się Alain.

„Ja też o tym zapomniałam”, pomyślałam. Milczałam jednak i z uśmiechem przyjąłam jego usprawiedliwienie, zanim weszłam do hotelu. On szedł za mną.

Dopiero kiedy znaleźliśmy się w ciepłym i suchym holu, zdałam sobie sprawę, jak jesteśmy przemoczeni. Konrad spojrział na nas z wyraźnym niesmakiem.

– Już tu jesteś? – zauważyłam tę oczywistość.

Konrad wykorzystał chwilę, żeby przelotnie pocałować mnie w usta.

– Jak to, już tu jesteś? Matko boska, Ana, czekam na ciebie od dwóch godzin! Nie pamiętasz, że miałem przyjechać w południe? I oczywiście nie odbierasz telefonów...

– Zostawiłam go w pokoju.

– Co słychać, Konrad?

Alain wyciągnął do niego rękę, a Konrad uściśnął ją. Zobaczywszy jednak, że jest mokra, jeszcze bardziej się skrzywił.

– Dobrze, dobrze – odpowiedział, wycierając dłoń w spodnie. – Przepraszam... eee...

Alain. Ale chciałbym, żebyś zostawił nas samych... Przynajmniej na chwilę.

Słyszając to, skamieniałam.

– Konrad!

– Nie ma o czym mówić – uspokoił mnie Alain. – Pójdę do siebie. Później się zobaczymy.

– Tak, oczywiście. – Wydawało mi się, że w kurtuazji Konrada pobrzmiwała ironia.

Gdy Alain zniknął u szczytu schodów, postawiłam się Konradowi.

– Nie musiałeś być chamski.

– Można wiedzieć, co ten dupek tu robi? Zawsze musi trzymać się twojej spódnicy?

– Konrad, proszę cię, nie zaczynaj...

– Mam naprawdę dosyć tego gościa. Śledztwo już się skończyło, więc niech jutro rano się pakuje i zjeżdża stąd.

Nie zadałam sobie trudu, żeby odpowiedzieć, że tak naprawdę Alain może robić to, na co mu przyjdzie ochota. Tylko jeszcze bardziej bym go rozsierdziła. On też wolał zostawić tę sprawę.

– Idę spotkać się z Sarah Bauer. Zostawiłem bagaże w przechowalni, powiedz, żeby zanieśli je do twojego pokoju. Czy jest coś, o czym muszę wiedzieć przed spotkaniem?

– Nie, nic.

– Dobra, no to zobaczymy się potem.

Konrad odwrócił się na pięcie i sobie poszedł. Zostałam w holu, przyglądając się przez szklane drzwi, jak odchodzi. Nagle, jakbym padła ofiarą halucynacji, obraz jego oddalających się ulicą pleców nałożył się na obraz Sarah Bauer, z jej spokojnym i tajemniczym obliczem. I w głowie zaczęły mi huczeć pojedyncze zdania, które wręcz atakowały mnie ze wszystkich stron jak chmura komarów:

„Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, czym jest PosenGeist, powinnaś zapytać Konrada Köllera”.

„Doktora Arnoux? My nic nie zrobiliśmy doktorowi Arnoux”.

„Wczoraj wieczorem przyjechałem do Paryża i zastałem w apartamencie totalny bałagan”.

„Są ludzie, których ucieszyłaby jego śmierć, proszę mi wierzyć”.

„...powinnaś zapytać Konrada Köllera... powinnaś zapytać Konrada Köllera... powinnaś zapytać Konrada Köllera...”

Szybko udałam się do swojego pokoju. Wbiegłam po schodach, nie chciałam czekać na windę, przeskakiwałam po dwa stopnie, potrząsałam głową, żeby wyrzucić z siebie te wszystkie słowa.

Gwałtownie otworzyłam drzwi, zatrzasnęłam je i zaczęłam szukać w swoich rzeczach telefonu. Kiedy go znalazłam, przez kilka chwil trzymałam go w rękach, zastanawiając się, czy naprawdę chcę to zrobić, czy naprawdę chcę stawić czoło prawdzie.

W końcu głęboko odetchnęłam i wykręciłam numer telefonu pani sprzątającej apartament w Paryżu.



Podczas rozmowy z tą kobietą doświadczyłam uczucia zawrotu głowy, jakbym stała na skraju przepaści... Wolałabym skoczyć, niż odwracać się i poszukiwać innej drogi. Nie wiedziałam, jak to zrobić, nie wiedziałam, jak stawić czoło Konradowi... Nienawidziłam go tak bardzo, jak się go bałam, i to uczucie mnie paraliżowało.

W końcu przygnębienie zwyciężyło i zasnęłam. Zwykle tak jest, kiedy coś mnie martwi. To działa jak termostat: mózg mi się wyłącza, kiedy zaczyna się przegrzewać.

\*

## NIGDY NIE BĘDZIE DOBREGO MOMENTU

Obudziłam się przestraszona. Zapadła noc i ciągle padało, woda bębniła o dach. Zapaliłam lampkę przy łóżku. Było późno, a Konrad jeszcze nie wrócił. W telefonie miałam nieodebrane połączenie od Alaina.

– Zasnęłam... – wyznałam, oddzwaniając. – Przepraszam... za tamto...

– Nie masz za co mnie przepraszać. Nie ponosisz winy za to, co on robi albo mówi...

Wrócił już?

– Nie, jeszcze nie.

– Wie, że Sarah to moja babka?

– Ja mu tego nie mówiłam...

– Tak jest lepiej. Nie chcę, żeby miał jeszcze jeden powód, by dać mi w mordę.

Ta zwyczajna insynuacja wzbudziła we mnie fizyczny ból. Z tego nie należało sobie żartować.

– Matko boska, Alain, nie mów tak...

– Dlaczego? Wydaje mi się oczywiste, że przynajmniej kilka razy miał na to ochotę... Jego upór coraz bardziej mnie irytował.

– Nie wiem... Nie wiem... Przestań już, proszę... – zaczęłam się jękać, nie za bardzo wiedząc, jak to pominąć.

Alain pewnie zdał sobie sprawę z mojego stanu, bo zmienił temat.

– Pojadę do Palmy. Jeden mój stary przyjaciel z uniwersytetu ma tam bar na starym mieście: drinki, blues na żywo i wystawy młodych artystów. Od lat mnie zaprasza, a ja jeszcze nigdy nie przyjąłem jego zaproszenia. Przypuszczam, że nie będziesz chciała pojechać ze mną...

– Wiesz, że w tej chwili nie chodzi o to, czego ja chcę, a czego nie...

– Oczywiście...

W telefonie najgorsze jest to, że łatwo się pomylić. Nie potrafiłam powiedzieć, co skrywało się za tym jego tonem, czy rozczarowanie, żal czy może po prostu rezygnacja.

– Wrócisz dziś w nocy?

– W zasadzie...

– Wiem, że teraz masz babcię i to nie ja powinnam ci mówić takie rzeczy, ale... uważaj z samochodem, kiedy pijesz, dobrze? Droga nie jest dobra...

– Nie martw się, będę uważał – zapewnił oschle.

Kiedy odłożyłam telefon, poczułam się przygnębiona. Bez ochoty sięgnęłam po książkę, mając nadzieję, że uda mi się coś przeczytać. Konrad, Alain, Sarah, *Astrolog*, *PosenGeist*... Zbyt wiele spraw skakało jak pchły pomiędzy linijkami, kręciło się jak muchy ponad wydrukowanymi słowami, wiło się jak gąsienice z jednej strony na drugą. Jednym ruchem zamknęłam książkę. Zamknęłam oczy. Tylko na sekundę... Usłyszałam, jak otwierają się drzwi.

Konrad wpadł jak podmuch wiatru, ustalonym kursem prosto do stolika, gdzie opróżnił zawartość kieszeni; ani razu nie rzucił nawet okiem na łóżko, gdzie leżałam.

– Stara nie chce sprzedać... Kurwa, ta jebana dziwka nie chce sprzedać! – Przekleństwo było tak gwałtowne, że rozbrzmiało ponad nie mniej gwałtownym uderzeniem pięścią w stół.

Skuliłam się na te krzyki. Chciałabym się ulotnić, zniknąć stamtąd. Zwłaszcza gdy z wściekłością zwrócił się w moją stronę.

– A ty... Ty mnie okłamałaś! Powiedziałaś, że nie wiesz, czy ma obraz, a właśnie wczoraj oglądałaś go na własne oczy! Okłamałaś mnie! Co tu się, kurwa, dzieje?

Przełknęłam ślinę i usiadłam na łóżku. Albo wtedy, albo nigdy, bo już nigdy nie będzie

dobrego momentu. Nie mając odwagi spojrzeć na niego, raczej mamrocząc, niż mówiąc, rzuciłam się do ofensywy.

– Skoro już rozmawiamy o kłamstwach, Konrad, powiedz mi: co ty masz wspólnego z PosenGeist?

Natychmiast na jego rozwścieczonej twarzy pojawiła się czujność.

– Co...? O czym ty, kurwa, mówisz?

W końcu spojrzałam mu w oczy i odniosłam wrażenie, że patrzę na kogoś, kogo nie znam.

– Sarah Bauer powiedziała mi, że jeśli chcę się dowiedzieć, czym jest PosenGeist, powinnam zapytać ciebie...

Zmarszczył brwi jeszcze bardziej, jego oczy pociemniały, aż wydały mi się czarnymi dziurami.

– Ta stara kurwa... Ta jebana stara kurwa napchała ci gówna do głowy! Właśnie tak! Napuściła cię na mnie! Jak możesz być tak naiwna i wierzyć w byle gówno? Jak możesz być tak głupia, że nie widzisz, że cię wykorzystuje?

W odpowiedzi pokręciłam głową, nie po to, żeby zaprzeczyć absurdom, ale żeby okazać niedowierzanie wobec jego żalosnej obrony.

– Jeszcze nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Mój spokój rozjuszył go jeszcze bardziej. Jego purpurowa twarz była o krok od eksplozji.

– Nie mam zamiaru tego robić! Nie zamierzam się zniżyć do tego poziomu! A ty zachowujesz się jak idiotka, skoro jej wierzysz. Twój brak lojalności jest niewybaczalny! Ty, kurwa, musisz być po mojej stronie!

– Nie mogę, Konradzie! Nie mogę, skoro nie wiem, która jest ta twoja strona! Skoro mnie okłamujesz, wykorzystujesz mnie, manipulujesz mną, nie mogę być po twojej stronie! – Wstałam oburzona.

– Dotychczas gadałaś tylko głupoty... Wyjaśnij, o co ci chodzi!

– Kiedy tamte typy złapały nas w domu Alaina, powiedziałeś mi, że byłeś w Paryżu i że zobaczyłeś apartament wywrócony do góry nogami. Rozmawiałam z panią, która u nas sprząta: ani apartament nie został splądrowany, ani ciebie tam nie było. Skądś wiedziałeś, że jeden z tych zbirów powiedział, że pójdzie poszukać dokumentów ze śledztwa, chociaż wcale tego nie zrobił... A ja ci o tym nie mówiłam...

Wyglądał, jakby moje słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

– I co? – Wydawał się niemal zaintrygowany tym, co miałam do powiedzenia.

– Wiedziałeś, bo to ty ich wynająłeś. Ty chciałeś, żeby pobili Alaina, i zapłaciłeś im za to. Dlatego mnie nie ruszyli ani nie poszli do apartamentu po papiery... to nie ich chcieli. – Moja przemowa przyspieszała i coraz bardziej się komplikowała, a im bardziej byłam podenerwowana, tym głośniejsze mówiłam. – Konrad, oni go prawie zabili!

Zaskoczona patrzyłam, jak odpowiada mi uśmiechem satysfakcji. Ominął fotel i róg łóżka, żeby do mnie podejść. Odruchowo cofnęłam się, ale nie miałam jak uciec. Konrad pogładził mnie po policzku, jego uśmiech stawał się lubieżny, w miarę jak dłoń przesuwała się po moim policzku, karku, szyi, dekolcie...

– Prawie go zabili... – rozsmakowywał się, jakby te słowa były pełne słodyczy. – Naprawdę? Szkoda, że im się nie udało... Ten gościu to tylko sprzedajny chuj, który chce mi zabrać moją własność.

– Co ty mówisz? Jak możesz...?

Nie mogłam uwierzyć w jego radość, kiedy starałam się wyrwać jego spoconym dłoniom, unikać jego wilgotnych ust, gorącego oddechu na mojej skórze. Ogarnął mnie przypływ

obrzydzenia.

– Nie dotykaj mnie... Konrad, zostaw mnie. – Wiłam się jak wyciągnięta z ziemi dżdżownica, ale wydawało się, że on ma setki rąk, żeby mnie obmacywać. – Zostaw mnie... No puść mnie wreszcie!

Spojrzał na mnie. Miał obrzydliwy wyraz twarzy, był pełen furii i nienawiści. Rzucił mnie na łóżko, usiadł na mnie i mocno złapał mnie za nadgarstki.

– Co robisz...? Co ty robisz? Konrad, proszę, robisz mi krzywdę, ręka jeszcze mnie boli... Konrad...

– A więc boli cię, co? – Cieszył się, ściskając jeszcze bardziej. – To sprawiedliwa kara za twoją lekkomyślność. Ból nauczy cię nie wsadzać nosa w nie swoje sprawy. Ani grozić, komu nie powinnaś... Tylko ja wiem, co jest dla ciebie dobre, *meine Süße*... Nie powinnaś mi się przeciwstawiać...

– Konrad... Konrad, teraz nie...

Ignorując moje protesty, poderwał mi spódnicę do góry, ściągnął mi rajstopy i wsadził rękę w majtki.

– Co z tobą, *meine Süße*...? Przecież tego chcesz... Lubisz to...

– Teraz nie... Proszę... – szeptałam smutno, ale bez odwagi, by stawić jakikolwiek opór. On rozpiął pasek i spodnie.

– Teraz nie...? Ale dlaczego teraz nie...? Ja decyduję kiedy... Bo jesteś moja... Niczyja inna... – dyszał, zostawiając lepki ślad potu i śliny na moim brzuchu.

Poczuwszy jego oddech pomiędzy udami, oparłam mu ręce na głowie, żeby go odepchnąć, ale nie sposób było go powstrzymać. Przeciwnie, silnym szarpnięciem porwał mi majtki, rozchylił mi nogi i klęknął między nimi. Patrząc na mnie złowrogo, starał się mówić, pokonując dyszenie:

– Tylko ja mogę cię rznąć... I wiem, że to ci się podoba... Podoba ci się być pode mną i krzyczeć jak prawdziwa dziwka... Zawsze to robisz, więc się teraz nie hamuj...

Konrad włożył sobie rękę w rozporek, wyciągnął penisa i trzymał go teraz.

– Chcę słyszeć, jak krzyczysz, *meine Süße* – powiedział, zanim mi go wsadził.

Kiedy już był w środku, całym ciężarem opadł na mnie i raz za razem wbijał mnie w materac. Z każdym wstrząsem czułam ból kręgosłupa.

– Krzycz z rozkoszy... Krzycz, *meine Süße*... Krzycz... Krzycz... Krzyyyyycz!

Kiedy Konrad doszedł we mnie, krzyknęłam, ale z bólu.

Przez kilka sekund pozostał w bezruchu; jego ciężar prawie zatykał mi dech w piersiach. Wreszcie się podniósł. Stojąc na końcu łóżka, patrzył na mnie, leżącą nieruchomo. Nie spuścił ze mnie oka przez cały czas, zapinając spodnie, obciążając koszulę i przyczesując włosy, poprawiając krawat. Wreszcie podsumował:

– Tak mi się podoba, *meine Süße*, żebyś płakała z rozkoszy... Byłaś fantastyczna... Warta jesteś dokładnie tyle, ile kosztujesz.

Zabrał marynarkę i wyszedł z pokoju.

Kiedy zostałam sama, skuliłam się w sobie i pozwoliłam, żeby łzy płynęły mi z oczu strumieniem, podczas gdy nasienie Konrada spływało po wewnętrznej stronie moich ud.

Nie udało mi się zmrużyć oka, dlatego słyszałam, jak wrócił. O czwartej nad ranem, kompletnie zalany. Rzucił się na łóżko w ubraniu i natychmiast zasnął, wypełniając cały pokój nieprzyjemnym zapachem przetrawionego alkoholu.

Wysłałam z łóżka z obrzydzeniem, którym napawała mnie sama jego obecność, usiadłam w fotelu i poczekałam na wschód słońca.



## UMARŁA

Zapinałam ostatni pasek swojej walizki, kiedy Konrad się obudził.

– Co robisz? – zapytał cierpko, leżąc na poduszce, głosem chrapliwym od snu i kaca.

– Odchodzę – odpowiedziałam, nie spuszczać oczu z zapinanej klamry.

Konrad przeciągnął się, ziewnął, podrapał w głowę, potarł oczy i usiadł na łóżku.

– Nie mam nastroju na fochy, *meine Süße*. Głowa zaraz mi pęknie... Przynieś mi aspirynę, dobrze?

Okazując świadomość człowieka obłąkanego, Konrad zachowywał się tak, jakby nic się nie stało.

Zanim zdecydowałam, czy mu odpowiedzieć, czy go zignorować, zadzwonił telefon, więc poczułam ulgę.

– Nie odbieraj – poprosił.

Spojrzałam na ekran. Zdziwiłam się, że dzwoni ktoś z nieznanego mi numeru stacjonarnego.

– Nie odbieraj, *meine Süße*. Przecież rozmawiamy – powtórzył bardziej agresywnym tonem.

Kiedy odbierałam, Konrad wrzasnął:

– Kurwa, mówiłem ci, żebyś nie odbierała!

– Słucham...

Nie wiem, jak zareagowałam na ten telefon, wiem tylko, że na początku się uśmiechnęłam, odruchowo, ale natychmiast uśmiech mi zrzędł i musiałam usiąść, bo nogi się pode mną ugięły i poczułam ściśnięcie w żołądku. Ale moja reakcja musiała być znacznie bardziej wyraźna, bo Konrad, który zaczynał wpadać we wściekłość i prawdopodobnie miał zamiar wyrwać mi telefon, pohamował się i zatrzymał przede mną, patrząc z zaciekawieniem.

– Kto to? – zapytał chyba, ale nie jestem tego pewna, za bardzo byłam skoncentrowana na odpowiadaniu monosylabami.

Po kilku minutach rozmowy odłożyłam telefon w stanie szoku.

– Co się dzieje? – oburzony zażądał odpowiedzi.

Spojrzałam na niego niewidzącymi oczyma, jakbym mogła spojrzeć na nieznanego, i odpowiedziałam, choć nie do końca wiedziałam, o co pyta.

– Umarła.

– Co ty, kurwa, gadasz? Kto umarł?

– Sarah... Sarah Bauer.

– Jak to? Kto dzwonił?

– Alain. Dziś w nocy, we śnie. Kiedy przyszli ją obudzić rano... Boże...

– A obraz?

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Wydało mi się nawet, że mi się przesłyszało, że byłam tak oszołomiona, że źle usłyszałam. Konrad jednak powtórzył pytanie, rozwiewając moje wątpliwości:

– Powiedział ci coś o *Astrologu*?

Naprawdę musiał być chory, więc chciałam mu współczuć, ale oburzenie i gniew zwyciężyły. Wstałam z wściekłością.

– Wypierdalaj, Konrad! Ty i twój pierdolony obraz możecie wypierdalać!

Chwycałam marynarkę, torebkę i wyszłam z pokoju, uciekając od niego i od jego żalonych wyjaśnień.

Sarah Bauer od lat miała raka. Powiedziano jej, że w jej wieku choroba będzie się rozwijać powoli, ale nigdy nie sądziła, że przeżyje Georga. „Odejdę z tobą, Sarah – powiedział jej. – Wezmę cię za rękę i odejdziemy razem. Zawsze będziemy razem, ukochana”. A jednak Georg odszedł sam... Kiedy umarł, Sarah zostawiła chemioterapię, poprosiła o morfinę i cierpliwie czekała na śmierć w świecie, który bez Georga przestał dla niej mieć sens.

Opowiedział mi to Martin Lohse. To on przyjął mnie, gdy przyszedłam do domu Sarah. Podszedł do mnie, gdy tylko przekroczyłam próg.

– Pani doktor García-Brest... – powiedział poważnie, podając mi rękę. – Chociaż już się znamy, nie miałem okazji przedstawić się pani jak należy. Nazywam się Martin Lohse.

– Wiem. Sarah mi powiedziała... – wyznałam, smutno się uśmiechając.

Odbyłam z Martinem miłą rozmowę przy kominku w gabinecie, która potwierdziła oddanie, jakim darzył to małżeństwo.

– Sarah jest... była niesamowitą kobietą... Ale Georg był człowiekiem jedynym w swoim rodzaju: najlepszą osobą, jaką znałam... Są ludzie, którzy nigdy nie powinni umierać...

Ten smutny i przygarbiony mężczyzna nie wydawał się tym samym odważnym człowiekiem, który pomógł mi uciec przed PosenGeist. Tak naprawdę, gdy mu się dokładnie przyglądałam, nawet nie wydawał się mężczyzną, tylko dzieckiem. Jego aryjska twarz, o błękitnych oczach, bladej cerze i platynowych włosach, miała w sobie coś dziecięcego; bez wątpienia była piękna, choć nieco androginiczna, jak twarz modela na wybiegu.

– Jestem ci bardzo wdzięczna, Martin. Pomogłeś mi uciec, a poza tym wiem, że dobrze o mnie mówiłeś Sarah...

Martin uśmiechnął się, jakby tak naprawdę to on był wdzięczny.

– Natychmiast zdałem sobie sprawę, że ty nie stanowisz zagrożenia, ale że jesteś ofiarą. Potrzebowałaś pomocy i ochrony... I być może dalej jej potrzebujesz – dodał enigmatycznym tonem z poważną miną.

Wolałam nie zwracać na to zbyt wielkiej uwagi; ani mój mózg, ani serce nie były w stanie przyjąć nowych emocji.

Zaległa cisza. Wydawało mi się, że rozmowa dobiegła końca. Wtedy Martin przemówił jeszcze raz:

– Co się dzieje z doktorem Arnoux? Dlaczego przez ostatnie dwa dni towarzyszył Sarah? A teraz...

Zauważyłam, że Lohse nie za dobrze zniósł wtargnięcie do tego domu Alaina; być może czuł się odstawiony na boczny tor.

– Sarah o tym z tobą nie rozmawiała?

Pokręcił głową.

– Więc chyba będzie lepiej, jeśli zapytasz doktora Arnoux...

Jak gdyby wypowiedzenie jego nazwiska przywołało go, unosząc wzrok, zobaczyłam, że Alain wchodzi do gabinetu. W pierwszej chwili wydawał się zaskoczony.

– Ana... Jak długo tu jesteś?

– Chwilkę... Martin dotrzymał mi towarzystwa...

Ten ostatni wydawał się zmieszany.

– Tak... Więc... Teraz muszę już was przeprosić...

Wydawało się, że pilno mu do wyjścia, żeby zostawić nas samych, jakby w jakiś sposób wyczuwał napięcie.

– Nie musiałaś przychodzić – wypalił Alain.

Jego mina i głos, nagle szorstkie, zbiły mnie z tropu. Próbowałam dojść po tym do siebie, przełknęłam ślinę i starałam się być miłą.

– Jeśli chcesz, pójdę sobie...

– Nie chodzi o to, co ja wolę... – Zaczął okazywać niepokój. Zawahał się kilka razy, zanim przemówił. – Wszystko jedno. Rób, co chcesz.

Pragnęłam zostać. Nie chciałam wracać do hotelu i do Konrada. Byłam zbyt smutna i pobyt w tym domu usprawiedliwiał mój smutek. Choć to była dziwaczna żaloba; znałam Sarah zaledwie od dwóch dni i nie czułam, że mam prawo do płaczu, a jednak coś dławiło mnie w gardle, kiedy myślałam o niej. Także kiedy myślałam o Alainie... Było mi go żal... cóż z tego, że nie okazywał wdzięczności za moje współczucie. Może w którejś chwili się rozsypie i będzie potrzebował kogoś do pozbierania kawalków; taka wrogość nie była u niego normalna.

Zostałam więc i spędziłam cały poranek, objając się o ściany pustych i zimnych pokojów, podczas gdy Alain zajmował się sprawami pogrzebu: lekarz, adwokat, przedstawiciel firmy pogrzebowej, godzina kremacji, nekrolog w lokalnej prasie... Nie robił wrażenia, jakby miał się w którejś chwili rozsypać.

– Nie ma... Zniknął – usłyszałam, jak Alain mówi za moimi plecami.

Zaskoczył mnie w gabinecie Sarah, patrzącą na obitą złotym jedwabiem ścianę, na której tak niedawno oglądałam *Astrologa*, a teraz pustą. Jedynym śladem po obrazie był wyraźny cień na ścianie.

– Jak to możliwe?

– Myślę, że ona go ukryła.

Odwróciłam się.

– Zapytałeś Martina?

– Nie trzeba... Sarah wczoraj zapytała mnie, czy go chcę – wyjaśnił sucho. –

Powiedziałem, że nie... Może ją rozczarowałem.

Wpatrywał się w ślad po obrazie. Zagryzł dolną wargę, wrócił do teraźniejszości i wyszedł z pokoju, jakby nikogo w nim nie było.

Zostałam w gabinecie i spokojnie obejrzałam stary album ze zdjęciami z podróży do Egiptu, przechadzając się po kolejnym fragmencie życia Georga i Sarah. Było około czwartej, kiedy służąca otworzyła drzwi, żeby wpuścić Konrada.

Kiedy go zobaczyłam, stężyły mi mięśnie i skwaśniał nastrój, natychmiast przyjąłem pozycję obronną.

– Jeśli przychodzisz po obraz, musisz wiedzieć, że zniknął.

– Co to znaczy, że zniknął?

– A jak ci się wydaje? – powiedziałam, wzrokiem wskazując puste miejsce na ścianie pod zgaszoną lampą.

Ze skrzywioną, pełną niechęci miną Konrad podszedł, żeby z bliska obejrzeć ścianę. Obsesyjny i uparty, przesuwał palcami po złotym jedwabiu, jakby po jego potarciu, niczym za sprawą czarodziejskiej lampy, obraz znowu miał się zmaterializować na swoim miejscu.

Nagle zmierzył mnie wzrokiem.

– Gdzie on jest?

– Nie...

– Nawet o tym nie myśl! – Jego dziki wrzask odbił się echem po pokoju. – Dostyc! Nie nabierzesz mnie już na te swoje cielące oczy! Słyszysz? Zapytam jeszcze tylko raz: gdzie jest ten cholerny obraz?

Myślałam, że chwyci mnie za gardło i ściśnie jak pustą butelkę, aż wydusi ze mnie ostatnią kroplę. Ale nie zrobił tego.

– Co tu się dzieje?

Głos Alaina sprawił, że Konrad odwrócił się jak zwierzę w rui, kompletnie oszalały.



– Ty...? Ty! Pierdolony skurwysynu... Teraz wszystko rozumiem...

Alain zachowywał spokój, nie dając się sprowokować. Powoli i ostrożnie zbliżali się do siebie, mierząc swoje siły jak dwóch bokserów w ringu.

– Gdzie jest obraz? Co z nim zrobiłeś?

– Lepiej już idź, Konradzie. Stawiasz się w głupiej sytuacji.

– Zamknij się! Nadęty dupku... Myślisz sobie, że kim ty, kurwa, jesteś. Zwykłym alfonsem! Co zrobiłeś starej, co? Zerżnąłeś ją, żeby odebrać jej obraz, tak jak rzniesz tą, żeby odebrać ją mnie?

Nie zdążyłam się obrazić ani zareagować. Zaskoczona patrzyłam, jak Alain wybuchając wściekłością i rozkłada Konrada na ziemi jednym ciosem w szczękę, tak że potoczył się po podłodze.

Konrad podparł się oszołomiony, uniósł rękę do ust i spojrzał na palce pomazane krwią. Gdy zdał sobie sprawę z tego, co się stało, wrzasnął jak opętany, bardziej z wściekłości niż z bólu, przygotowując się do szarży na Alaina. Mogliby się nawzajem pozabijać.

Bez zastanowienia rzuciłam się na Konrada, unieruchomiłam go, oplatając ramionami, i pocałowałam go w usta. Na początku stawiał opór, chciał się mnie pozbyć, zrzucić z siebie; myślał tylko o walce, o wyładowaniu całego żalu i furii na Alainie. Jeszcze mocniej do niego przylgnęłam, silniej go pocałowałam; poczułam smak krwi w ustach. Nie wiem dlaczego... ale w końcu ustąpił. Odwzajemnił mi pocałunek, całkowicie mu się oddał, objął mnie i ostentacyjnie lizał, rozmazując krew ze swoich ust na moje policzki, jakby w ten sposób mógł mnie naznaczyć. Pokazywał mnie swojemu przeciwnikowi jak trofeum, jednocześnie przytulając mnie i posyłając mu wyzywające spojrzenie.

Alain wydawał się zmieszany, wbijał wzrok nie w swojego przeciwnika, ale we mnie, prosząc o wyjaśnienie.

– Odejdź, Alain... Proszę... – Myślałam, że nic lepszego nie mogę zrobić. Myślałam, że on mnie zrozumie; że będzie potrafił właściwie zinterpretować moje zachowanie jako podstęp zmierzający do uniknięcia niepotrzebnej i niebezpiecznej konfrontacji. Naprawdę tak myślałam... Ale byłam w błędzie.

Alain wahał się przez chwilę. W końcu zebrał szczątki swojej dumy i w milczeniu wyszedł.

Gdy znaleźliśmy się sami, odsunęłam się od Konrada, jakby mnie parzył. On wykorzystał to, żeby doprowadzić się do ładu. Pomacał bolące usta i wytarł krew.

– Idziemy stąd – obwieścił w końcu. – Samolot będzie gotowy za godzinę. Wracamy do Madrytu.

– Nigdzie z tobą nie jadę.

Chwycił mnie za nadgarstek i jednym szarpnięciem popchnął do drzwi.

– Oczywiście, że tak, *meine Süße*. Zabierz swoje rzeczy.

– Nie... Miałaś rację: byłam głupia, naiwna i bezmyślna, ale to już koniec...

Konrad nie rezygnował. Wbijając we mnie palec wskazujący, starał się odzyskać pozycję siły.

– Bardzo się mylisz: tylko ja decyduję, kiedy i jak! Ja! A ty albo ze mną pojedziesz, albo...!

– Albo co, Konradzie? Co masz zamiar zrobić, żeby mnie zmusić? Pobijesz mnie? Wywleczesz mnie stąd na oczach wszystkich? Rzucisz mnie na kanapę i wsadzisz mi go na siłę?

Milczenie Konrada było pełne napięcia, jak ta cisza, która następuje po błyskawicy, a poprzedza grzmot.

– Przyznaj: to już koniec. Skończyło się – podsumowałam.

Wydawało mi się, że słyszę, jak dyszy, że widzę kłęby popiołu i siarki jak w gotującym się wulkanie. Uznałam, że to ostrzeżenie przed wybuchem. Niemniej powrócił do ataku z sadystycznym spokojem, z takim samym spokojem, z jakim jęzor lawy zsuwa się po zboczu, wlokąc za sobą wszystko.

Chwycił mnie za włosy i pociągnął do tyłu, unieruchamiając mi głowę. Od jego spojrzenia struchlało mi ciało i dusza. Jego słowa przy moim uchu, tak blisko, że ledwie je szeptał, były jeszcze mocniejsze.

– Jebana dziwko... Co ty sobie myślałaś? Ze zwykłą kurwą jest mi lepiej w łóżku, wychodzi mi taniej, a każda kurwa jest równie przyzwoita jak ty. Myślisz, że nie wiem, że zostajesz, żeby się z nim pierdolić, że przez cały czas się pierdolicie? Powinienem był go zabić własnymi rękami... Ale nie zapominaj, mnie tego nie możesz zrobić. Głupia i niewdzięczna suko... To się nie skończyło, na pewno nie...

Puścił mnie z pogardą, otworzył drzwi i wyszedł.

Ciarki przebiegały mi po całym ciele, jakbym właśnie włożyła palce w gniazdko elektryczne. W ciszy powracały do mnie jego obelgi, samotność otaczała mnie chłodną powłoką. Zaczęłam się trząść.

Nie można było grać przeciwko Konradowi i wygrać. Nie można było walczyć z Konradem i na tym nie ucierpieć. Konrad był zbyt silny. Potrafił zmiażdżyć czterema zdaniem, wykręcić kilkoma słowami, zginać karki aż do upokorzenia, nie unosząc głosu. Zabijał lodowatymi strzałami prosto w serce. Właśnie jedną z nich wystrzelił w moją stronę, więc lodowate łzy potoczyły się po moich policzkach.

Ktoś zastukał do drzwi. Pobiegłam, żeby wychylić się przez balkon, jednocześnie starając się otrzeć łzy.

– Gdzie on jest?

Nie odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć, nie chciałam pokazywać Alainowi zaczerwienionej twarzy. On stał na progu pokoju; przez cały poranek stał na progu. Chciałam się uspokoić, żeby głos mi nie drżał, gdy będę mówić.

– Poszedł.

– A ty?

– A co ja?

– Dlaczego tu jesteś?

Nie potrafiłam mu odpowiedzieć. Po prostu wzruszyłam ramionami.

Policzyłam sekundy, kiedy Alain stał nieruchomo za moimi plecami. Policzyłam sekundy, kiedy mógł na mnie patrzeć, nie podchodząc do mnie ani się nie odzywając. I sekundy, podczas których musiałam hamować łkanie, ukrywać drżenie pleców i znosić pieczenie łez na policzkach.

Policzyłam sekundy, podczas których czekałam na jakieś miłe zdanie albo na przytulenie, zwykle dotknięcie, oznakę uczucia... Nie było ich. Ziemia niczyja jest wroga, przyjmuje tylko krzyżowy ogień.

Drzwi się zamknęły, więc się odwróciłam; pokój znowu był pusty i samotny. Cień *Astrologa* na ścianie.

Wszystko się skończyło. I nic już nie będzie takie jak dawniej; nie tylko na ścianie *Astrolog* zostawił swój cień...

„Przeklęty *Astrolog*”, wydawało mi się, że słyszę szept Sarah Bauer, zanim odeszła z tego miejsca na zawsze.



## EPILOG

### CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

KONRAD zaczął czuć się osaczony. Chciał ściągnąć marynarkę i rozluźnić krawat; był spocony i ubranie lepiło mu się do ciała. To było obrzydliwe.

– Herr Köller, w swoim czasie przyjęliśmy pańską kandydaturę na rycerza zakonu, bo zaufaliśmy pańskiemu słowu... Teraz te raporty okazują się naprawdę rozczarowujące.

Atmosfera w tej sali stawała się coraz bardziej przygniatająca; powietrze było zbyt duszne, żeby nim oddychać. Konrad nie cierpiał na klaustrofobię, ale poczucie, że jest zamknięty w tym miejscu, przytłaczało go. Chciałby wstać i odsunąć ciężkie kotary zasłaniające balkony, wpuścić do tego złowrogiego miejsca słońce i świeże powietrze.

*Großmeister*, wielki mistrz, i dwunastu rycerzy zakonu PosenGeist czekało wokół stołu i bacznie go obserwowało. Konrad przełknął ślinę i podparł się, aby chronić się przed coraz silniejszym poczuciem osaczenia.

– Prawie mi się udało. Negocjacje z właścicielką wydawały się wystarczająco zaawansowane, ale nie ode mnie zależało to, że umarła, a obraz zniknął...

– Tej rady nie interesują pańskie usprawiedliwienia, Herr Köller – przerwał mu wielki mistrz. – Jeśli nie jest pan w stanie wręczyć nam *Astrologa*, natychmiast odwołujemy pański awans.

Konrad nie był przyzwyczajony do odgrywania roli ofiary. Wręcz przeciwnie, zwykle to on sprawował władzę, to on groził i stawiał ultimatum. Dlatego musiał awansować w zakonie, żeby móc zajmować odpowiednią dla siebie pozycję, żeby przestać być instrumentem i stać się wykonawcą; jego przeznaczenie znajdowało się na szczycie rasy aryjskiej.

Powodowany determinacją wyciągnął szpony: żaden szczyt nie znajdował się w zasięgu uległych.

– Oczywiście, że jestem w stanie go dostarczyć! Skoro potwierdziliśmy, że *Astrolog* nie jest mitem, bardzo łatwo będzie go odnaleźć. Nie przyszedłem tutaj, żeby stać się przedmiotem krytyki, ale żeby poprosić o przedłużenie. Przedłużenie, które jest uprawnione, wszak zdobycz na to zasługuje. Zwłaszcza teraz, kiedy znamy jej moc! Jesteście, panowie, świadomi, że w tych sprawach nie ma półśrodków: albo wszystko, albo nic. A ja jestem jedyną osobą, która może wam zagwarantować wszystko. Jeśli chcecie, żeby zakon PosenGeist poznał największą tajemnicę w historii, będziecie musieli ponownie obdarzyć mnie zaufaniem i przyznać mi jedną jedyną rzecz: czas.

– Czas, Herr Köller? Pan jest przedsiębiorcą, powinien pan znać wysoką cenę swojej prośby.

– Wartość inwestycji jest określona spodziewanym zyskiem – zawyrokował Konrad wyniośle. Absolutnie nie zamierzał pozwalać, żeby ta banda leniwych gryzipiórków dawała mu lekcje finansów. – W tym przypadku wartość czasu jest żałośnie niska w porównaniu z wartością *Astrologa*. Jako przedsiębiorca wiem, że byłoby głupotą odrzucać inwestycję, którą wam proponuję.

– Zgoda, Herr Köller. Poddamy pana prośbę pod głosowanie rady. Wkrótce zakomunikujemy, czy została rozpatrzona pozytywnie. Może pan odejść.

Konrad wstał i uniósł prawą rękę w nazistowskim pozdrowieniu.

Zapadał zmierzch, kiedy wyszedł z zamku Hürbenberg. Aston martin już na niego czekał

pod drzwiami. Mimo to zatrzymał się, żeby odetchnąć przez chwilę rześkim powietrzem – czystym, balsamicznym powietrzem o zapachu żywicy i okolicznych lasów – i odświeżyć myśli. Kiedy schodził po królewskich schodach głównego wejścia, rozwiązywał sobie krawat; zaczynał czuć się trochę lepiej. Odebrał pilota samochodu z rąk służącego, otworzył go z piskiem i mrugnięciem świateł, odłożył marynarkę i krawat na fotelu pasażera i zasiadł za kierownicą. Wsunął w stacyjkę klucz z szafirowego kryształu, nacisnął przycisk startu i silnik zawarczał, a jednocześnie zabrzmiały pierwsze takty *Carmina Burana*.

*O Fortuna, velut Luna, statu variabilis...*

Koła potoczyły się po żwirze, potężna czarna brama powoli się przesunęła, droga otworzyła się przed ich oczyma. Przesunął dźwignię zmiany biegów i przyspieszył...

Aston martin DBS coupé był jego ostatnim kaprysem i wyciągał trzysta siedem kilometrów na godzinę. Kiedy przyciskał pedał gazu i silnik pracował ze zmysłowością kotki, kiedy łykał zakręty i asfalt, niemal nie widząc tego, co mija po bokach, mógł wyładować swoją agresję, a jego ręce dusiły w tym czasie tylko skórę kierownicy.

*...vita detestabilis, nunc obdurat et tunc curat...*

Jebana Sarah Bauer... Pieprzona dziwka... Nienawidził jej nawet po śmierci, nawet po śmierci musiała mu zasrać życie. Pierdolona Żydówka... Po Żydach nie można się spodziewać niczego dobrego, babka go tego nauczyła, tak jak nauczyła go nienawidzić Sarah Bauer. Jego babka była mądrą kobietą, uczciwą, dobrą Niemką, zdradzoną przez własnego męża, wilka przebranego za baranka. Gdyby nie Sarah Bauer, wstyd i hańba nigdy nie spadłyby na jego rodzinę...

Od zera do stu w 4,3 sekundy. W mniej niż pięć sekund jechał z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, niemal niezauważenie. A jeszcze przydepnął pedał gazu.

*Sors immanis et inanis, rota tu volubilis...*

Stara kurwa... Jak ją cieszyła zabawa nim. „Jesteś ostatnią osobą na świecie, której oddałabym *Astrologa* – zawyrokowała Sarah Bauer, przeklęta stara kurwa. – Nie wysilaj się ukrywaniem przede mną prawdy, zdradzają cię oczy: to oczy twojego dziadka zasnute zachłannością. Doskonale cię znam, Konradzie Köllerze. Aż za dobrze wiem, kim jesteś, tak jak wiem, że zostałeś wychowany w nienawiści, żalu i ambicji. Z von Bergheima zostało w tobie tylko nazwisko...” Stara kurwa... Czy to może była obelga? On sam wymazał ślad nazwiska von Bergheim, plamę zdrady, ze swojej aryjskiej przeszłości...

Nagle jego myśli załamały się i wszystkie jego uczucia weszły w stan pobudzenia. Przyhamował odrobinę za późno, wchodząc w zakręt, i stracił kontrolę nad tylnymi kołami... Opanował samochód i zmniejszył prędkość.

*...obumbrata et velato, michi quoque niteris...*

Musiał zdobyć *Astrologa*! Ten obraz był jego przepustką do PosenGeist. Zakon Ducha Poznania był tajną organizacją, spadkobiercą doktryny z przemówień Himmlera o Holokauście. Konrad był przekonany, bo uczył się tego od kołyski, że jego nazistowscy przodkowie mieli rację: Adolf Hitler, Führer, był mesjaszem, wyprzedzał swoją epokę, był ofiarą niezrozumienia i zawiści. Konrad z pogardą patrzył na dekadentkie społeczeństwo, cierpiące niebezpieczeństwo islamskiego terroryzmu, zdominowanego żydomasońskim spiskiem, osłabionego tchórzostwem strojącym się w piórka demokracji, postępu i tolerancji. To było chore społeczeństwo, umierające, i potrzebowało dogłębnej czystki etnicznej i religijnej, odnowy swoich wartości i struktur. Tylko PosenGeist posiadał kapitał i władzę, żeby przeprowadzić takie przedsięwzięcie. Jednak Konradowi nie wystarczyło zasilenie jego szeregów, Konrad chciał rządzić w PosenGeist, a także rządzić przyszłością Europy... „Nigdy w życiu nie oddam *Astrologa* w ręce członka PosenGeist...!” Stara kurwa! Skąd ona mogła to wiedzieć?

Automatyczna skrzynia przestawiła się na szósty bieg. Dalej lekko naciskał pedał gazu; na prostej z łatwością mógł przekroczyć dwieście kilometrów na godzinę.

Musi zdobyć *Astrologa*...! Ostatnie cztery miesiące poświęcił na odnalezienie jego śladu, lecz na próżno. Wyglądało na to, że pochłonęła go ziemia. Obserwował dom na Majorce, obserwował tego kutasa doktora Arnoux, obserwował Anę... Tę sukę... Może za szybko ją porzucił... Tylko ona mogła wytropić ślad obrazu...

Prosta była długa. Znowu nadepnął na gaz.

*Sors salutis et virtutis, michi nunc contraria...*

Ana... Jeszcze mu stawał, kiedy myślał o jej lśniącym, delikatnym ciele poruszającym się zwinnie na jego ciele, żeby sprawić mu przyjemność. Zawsze są kobiety, wiele kobiet, jedno za darmo, inne nie; seks może być drogim nałogiem. Ale żadna kobieta nie była taka jak ona... Była świętoszkowatą dziewczyną z artystycznymi pretensjami, ofiarą zaściankowości i moralności typowej dla klasy średniej, ale różnicę jej wyjątkowo go kręciło... Musiał przyznać, że się w niej zakochał... Na samym początku. Pamięta, że zakochał się jak sztubak, nawet pamięta, że czuł się wrażliwy. Wrażliwość ulotna i przelotna, niedyspozycja ducha niegodna jego osoby, słabość wzbudzająca obawy i odrażająca. Niemniej wyszedł wzmocniony z tego koszmaru zależności: posiadanie Any, dominowanie nad nią, podporządkowywanie sobie, manipulowanie nią, unicestwienie jej stało się swego rodzaju rytuałem, potrzebą, w jego nowym sposobie kochania jej, bez odczuwania zagrożenia... I może dalej ją tak kocha, na swój sposób... Ona nie mogła mu tego zrobić. Nie mogła zdradzić go i porzucić. Nikt nie mógł! On jest Konradem Köllerem! Przez cztery miesiące obmyślał zemstę, pozwolił jej ostygnąć, ostrzył ją jak dobry miecz. Sprawy nie mogły zostać tak, jak są. *Astrolog* i Ana. Ana i *Astrolog*. Jedno i drugie będzie należało do niego albo do nikogo.

Dwieście dziesięć przed zakrętem...

Przejechał środkową linię i wypadł prosto na jakieś światła. Nacisnął hamulec. Było za późno. Ostro skręcił kierownicę, żeby uniknąć zderzenia czołowego, i stracił panowanie nad samochodem.

Aston martin uderzył o barierkę, wyleciał z drogi pośród lecących w powietrzu kawałków karoserii i kilka razy obrócił się w powietrzu, zanim opadł na asfalt jako kupa pogniecionego aluminium, magnezu i włókna węglowego.

*Hac in hora*

*sine mora*

*conde pulsum tangite;*

*quo per sortem*

*sternit fortem,*

*mecum omnes plangite!*

\* \* \*

ALAIN w końcu musiał przyznać, że się w niej zakochał. Początkowo myślał tylko, że przyjemnie z nią pracować, że jest dziewczyną atrakcyjną i sympatyczną. Nie mógł zakochać się we wszystkich atrakcyjnych i sympatycznych dziewczynach, które stawały mu na drodze!

W różnych sytuacjach odczuwał bardzo silne pragnienie, żeby ją pocałować, a w innych, żeby ją rozebrać w poszukiwaniu skrywanego pod ubraniem ciała. Ale to nie było nic anormalnego – to były jedynie impulsy właściwe mężczyźnie, który od miesiący nie był w łóżku z kobietą.

A jednak kiedy wyjechała z Fontvieille i zdał sobie sprawę, że przez wiele dni nie jest w stanie przestać o niej myśleć, kiedy przyznał sam przed sobą, że tęskni za jej głosem

i uśmiechem, jej oczami spoglądającymi na niego ponad okularami, za sposobem, w jaki odgarnia sobie włosy za ucho albo przesuwa językiem po ustach; że tęskni za tym, jak kręci pierścionkami na palcach, kiedy mówi, i za tym, jak fałszuje, gdy śpiewa ze słuchawkami iPoda na uszach... „Nie bądź głupcem, Alain, przestań szukać duchów i pojedź po nią. Bardzo możliwe, że nic lepszego niż Ana nie przytrafiło ci się w życiu”. Judith wystarczyły dwa dni na to, czego on nie potrafił stwierdzić przez wiele tygodni.

Posłuchał siostry – wyraził gotowość na spojrzenie w przyszłość. Wtedy jednak zderzył się z przeszłością, z przeszłością, która ciągnęła go za głowę, żeby koniecznie obrócił się za siebie. Zderzył się z Sarah Bauer i *Astrologiem*.

Przeklęty *Astrolog*... Naprawdę ten obraz musi być przeklęty. Oglądał go tylko raz, a już zmienił się w krwawiącą ranę w jego głowie. Jego babka przyparła go do ściany, pytając, czy go chce. A on bez wahania go odrzucił, oszołomiony sytuacją i odpowiedzialnością, która nagle na niego spadła, której nie miał czasu wewnętrznym przyswoić. Wszyscy Bauerowie urodzili się ze stygmatem *Astrologa* wypalonym na skórze jak znamię urodzenia. On nie. On nawet nie był Bauerem, nie był nim do tamtej chwili, a *Astrolog* i tak go połknął, jak kawałek, który chce się bardzo szybko strawić wraz z różnymi innymi kawałkami. Jego babka umarła zbyt szybko, miała dokładnie tyle czasu, żeby zostawić mu obraz, ale nie, żeby przekazać mu testament, emocje, poczucie zakorzenienia i uczestniczenia w sprawie...

Pojechał na Majorkę, żeby być z Aną, nie żeby stawić czoło niewczesnej i wymagającej przeszłości. Oślepiiony, zagubiony i oszołomiony odrzucił obraz. Nie chciał *Astrologa* bez Any. Nie chciał niczego bez Any...

Szybko zdał sobie sprawę, że wszystko będzie musiało być bez Any. Wystarczyło stawić czoło Konradowi Köllerowi: nie można było walczyć z Konradem Köllerem, bitwa była przegrana jeszcze przed jej rozpoczęciem. Spędziwszy trochę czasu z Sarah Bauer i otrzymawszy jej niestosowną ofertę, odrzuciwszy rodzinną odpowiedzialność, miał do rozwiązania tylko własne przeznaczenie: cóż zatem zrobić, skoro uznał, że jest zakochany w czyjejś kobiecie, i to nie w kobiecie byle kogo... Poszukał schronienia w barze przyjaciół w Palma de Mallorca. Tam, w otoczeniu neokonceptualistycznych dzieł pewnego młodego Australijczyka mieszkającego na Ibizie, w odpowiednim rytmie bluesa i po dwóch ginach z tonikiem, postanowił wyczołgać się na czas, zanim zostanie zraniony... jeszcze bardziej zraniony. Decyzja ta pojawiła się jednak zbyt późno, a odwrót okazał się upokarzający. Cios w szczękę przeciwnika kosztował go bardzo wiele: patrzeć, jak ona całuje Konrada Köllera kosztowało go znacznie więcej niż wszystkie ciosy, które Niemiec mógłby mu wymierzyć. Ten pocałunek postawił go na jego miejscu, na miejscu bez Any.

Chociaż ta chwila była bolesna, nawet sobie nie wyobrażał, co będą oznaczać jej konsekwencje.

Pierwszy miesiąc był drogą krzyżową. Sądził, że rutyna zadziała jak olej rycynowy, równie obrzydliwy jak skuteczny w leczeniu. Jednak okazała się tylko i wyłącznie obrzydliwa. Nie potrafił przyzwyczaić się do myśli, że jej imię nigdy nie wyświetli się na ekranie komórki ani że nie umówi się z nią na pracę po zajęciach ze studentami. Weekendy ciągnęły się w nieskończoność, bo nie miały uroku wspólnego spacerowania po Paryżu i rozmawiania o sztuce, a ponieważ nie znajdował nic lepszego do roboty, trawił je na niezdrowej melancholii, przy muzyce ze starych winylowych płyt, których wcześniej słuchał z Aną rozpartą na kanapie. Często jak kretyn wpatrywał się w róg pokoju, gdzie ona schylała się, przeglądając jego rysunki, albo na puste krzesło w jadalni, na którym zawsze siadywała. Nawet papierowy kubek ze Starbucksa czy ołówek Boba Sponge, którym pisała i który dalej stał w kubku z ołówkami w jego gabinecie, wszystko, każdy nic nieznaczący szczegół, przypominały mu ją. Doprowadzało go to

do szaleństwa...

Uwierzył, że intensywne bycie wnukiem Sarah Bauer usunie w cień całą resztę: badanie DNA, sprawy sądowe, przeglądanie testamentów, adwokatów, podatki, spadek i kolekcję dzieł sztuki, która już miała właścicieli. Nic z tego nie mogło wyrzucić jej z głowy Alaina. Przeciwnie, tam gdzie była Sarah Bauer, pojawiała się też Ana, bo to za jej sprawą odnalazł babcię.

W drugim miesiącu stwierdził, że dość już tego użalania się nad sobą i autodestrukcji. Postanowił wymazać wszystko i rozpocząć życie na nowo. Pomyślał, że pokrycie fioletowej plamy inną, zieloną to będzie to. Poważny błąd. Zaczął strzyc włosy i golić się i spotykać się z przyjaciółką przyjaciela, jakąś dwudziestolatką o niesamowitej figurze i przeciętnej twarzy, pracującą jako recepcjonistka w klinice weterynaryjnej. Pomijając fantastyczny seks, który kilka razy się im zdarzył, konieczny do ugaszenia ognia płonącego od zbyt długiego czasu, cała reszta okazała się katastrofą. Kiedy byli ze sobą, nie potrafił uniknąć porównań: Ana nigdy nie zamówiłaby tego dania; Ana nigdy by się tak nie ubrała; Ana wybrałaby inny film; Ana nie miała tak wielkich piersi, ale była ładniejsza... Ana dostałaby gęziej skórki...

Pod koniec trzeciego miesiąca zostawił wreszcie tę dwudziestolatkę, pod żalonym pretekstem, który zawstydzą go do dziś, gdy przypomina sobie to smutne zdarzenie: „Kiedy jestem z tobą, dostaję wysypki. Chyba mam alergię na sierść zwierząt, która na pewno czepia się twojego ubrania...”. Po tym zaczął się obawiać, że narkotyki, celibat albo kastracja okażą się jedynym rozsądnym wyjściem z jego okrutnej sytuacji uczuciowej.

Pewnego pięknego dnia, po wielu godzinach zajęć na uczelni – tylko podczas wykładów jego umysł potrafił się skoncentrować na jednej rzeczy, więc prowadził nie tylko swoje, ale wszystkie, które mu się nawinęły – wrócił do gabinetu, żeby przejrzeć pocztę przed pójściem do domu. Pośród innych rzeczy otrzymał comiesięczny newsletter z Muzeum Luwru. Zaczynał się od obrazu *Karol V po bitwie pod Mühlbergiem* ilustrującego czasową wystawę zatytułowaną *Tycjan, malarz Habsburgów* przygotowaną we współpracy z Muzeum Prado. Wraz z wystawą proponowano cykl wykładów poświęconych temu weneckiemu malarzowi. Pobieźnie przeglądał program, gdy nagle jego wzrok zatrzymał się, a serce podeszło mu do gardła:

„Portret wenecki w klasycznym renesansie – od liryzmu Belliniego i Giorgionego do realizmu Tycjana”, 26 kwietnia, 19.00, Ana García-Brest. Kustosze Działu Malarstwa Włoskiego, Muzeum Narodowe Prado.

Szybko odrzucił plewy i na monitorze pozostały jedynie trzy słowa, niczym ogromny neon: Ana García-Brest.

Ona będzie w Paryżu! W pierwszym odruchu postanowił dalej ukrywać się w okopach, do których wskoczył po porzuceniu walki z Konradem Köllerem. Jednak im więcej myślał o swoim żalonym stanie fizycznym i psychicznym, doszedł do przekonania, że był głupcem i tchórzem, skoro wycofał się bez walki. Walka z Konradem Köllerem o Anę byłaby rozsądniejszym wyborem, gdyż ból spowodowany przegraną w wojnie o nią nie może być gorszy od bólu życia bez niej.

Doktor Alain Arnoux niecierpliwie wyszukał ten dzień w kalendarzu i zaznaczył go na czerwono, uśmiechając się z nadzieją.

\* \* \*

ANA czuła się niezręcznie, wróciwszy do Paryża. Zbyt wiele wspomnień; na każdym rogu, na każdej ulicy, w każdej japońskiej restauracji, w każdym Starbucksie, w każdym warzywniaku prowadzonym przez Wietnamczyków... nawet w cholernej wieży Eiffla, wszechobecnej w całym tym przeklętym mieście.

Nawet zastanawiała się nad tym, czy nie powinna zadzwonić do Alaina. Minęło już kilka



miesiący, odkąd jej związek z Konradem odszedł w niebyt, nie można było uznać, że Alain będzie jej drugim daniem. „Co za, kurwa, drugie danie?! Przestań męczyć kota, kochana. Przyszaj, że doktor Jones kręcił cię od samego początku, odkąd stanęło przed tobą to jego cherlawe ciało. Powinnaś się z nim była puścić już dawno temu, przecież ci mówiłem. Twój brak zdecydowania czasem doprowadza mnie do szału”. Teo próbował ją przekonać, ale mu się nie udało.

Alain jasno dał do zrozumienia, że ich relacje były stricte zawodowe, że skończyły się wraz z końcem zadania. Poza tym jeszcze nie doszła do siebie po kilku latach z Konradem. Konrad wszędzie, gdzie się pojawiał, zostawiał głębokie ślady, ślady, które czasem były trudno gojącymi się ranami. Odbudowanie życia po takim związku przypominało przekształcenie wielkiego miasta w spokojną wioskę w górach.

W listopadzie i grudniu czuła podniecenie perspektywą zmiany, niemal euforię. Zostawiła pracę w Dziale Komunikacji muzeum i poprosiła o przeniesienie na stanowisko kustosza, sprzedała mercedesa i wróciła do dżinsów i płaskich butów. Zanim się spostrzegła, nadeszło Boże Narodzenie; zdziwiła się, przypominając sobie, że może to być całkiem przyjemny okres, jeśli związki z rodziną są zdrowe i oparte na uczuciach, kiedy nie ma elementów rozpraszających i niepokojących; przypomniawszy sobie wreszcie, że rodzina zawsze jest schronieniem, do którego można uciec w trudnych chwilach, że jej rodzina zawsze była gotowa na bezwarunkowe i bezinteresowne wsparcie.

W styczniu, kiedy pokonała urazę, oburzenie, emocje, euforię i sprawy zwyczajnie praktyczne, które sprowadzały się do zmiany urzędu życia jak z reklamówek Ikei, nadszedł trudniejszy etap: przyzwyczać się do samotnego życia. Styczeń zwykle jest miesiącem kaca, jest zimny i smutny, rutynowy i nużący, niedobry dla singli. Całym urokiem jej życia w styczniu było oczekiwanie na wieczór, żeby móc rzucić się w ramiona Teo i użalać się nad sobą. Ale spędzanie wieczorów na użalaniu się w ramionach najlepszego przyjaciela geja nie mogło być rozsądnym planem na życie. „Doskonale to wiesz, kochana, nie tęsknisz akurat koniecznie za Konradem...” Czasem Teo wykazywał dość niezręczną przenikliwość.

W lutym dowiedziała się, że zostanie ciocią... Odrobinę szczególną ciocią. Teo i Toni zdecydowali się adoptować dziecko. „Wcześniej czy później w nas wszystkich budzi się instynkt macierzyński; cudownie będzie wprowadzić do naszego życia małą Chinceczkę”. Luty jest krótkim miesiącem, a po takiej wiadomości przeleciał jak z bicia strzeł.

W marcu pojawił się kryzys egzystencjalny. Doszła do wniosku, że jej życie jest puste i nie ma sensu; była przekonana, że potrzebuje zmiany o sto osiemdziesiąt stopni. Rozpatrywała różne możliwości: odbyć podróż dookoła świata z plecakiem, pojechać jako wolontariuszka do któregoś z krajów rozwijających się i będących w stanie wojny, zarejestrować się w serwisie randkowym Meetic, zrobić sobie cycki albo kupić psa. „I po co tyle hałasu, królowno? Bez względu na to, czy pojedziesz gdzieś z plecakiem, zostaniesz wolontariuszką czy będziesz się szwendać po tym portalu, i tak poznasz jakiegoś gościa i zaczniesz się wszystkiego bać. Najlepiej kup sobie psa. Jasne, że cycki to też nie jest wcale zły pomysł...” Na nic jednak nie miała odwagi, więc na nic się nie zdecydowała.

Na początku kwietnia zorientowała się, że ma wygłosić wykład w Paryżu. To wydało jej się przygodą wystarczająco emocjonującą.

Ana zakończyła dyskusję po wykładzie. Otrzymała gratulacje od komisarza wystawy, przy okazji będącego jej szefem, i od jego francuskiego odpowiednika. Publikacja zaczęła wstawać z krzesła i podnosić ton rozmów, powoli kierować się do wyjścia, zapełniając salę szumem i brzęczeniem jak w ulu.

– Muszę poszukać jakiegoś miejsca, gdzie będę mógł spokojnie zapalić, zanim mnie trafi

– wyszeptał jej szef.

– Dobrze. Później się zobaczymy. Zbiorę swoje rzeczy.

Musiała jeszcze schować trochę papierów, zamknąć PowerPointa, zgasić komputer, odłączyć projektor... Nie patrzyła na salę, ale wiedziała, że pustoszeje, bo gwar głosów i kroki były coraz cichsze, aż w końcu praktycznie ustały, więc wyraźnie słyszała szum wentylatora w komputerze.

– Przepraszam, pani doktor, ale mam jedno pytanie. – Ana uniosła głowę zaskoczona; sądziła, że jest sama. – Plotkuje się, że istnieje tajemniczy obraz przypisywany Giorgionemu, przez niektórych zwany *Astrologiem*, czy to prawda?

Przez kilka sekund myślała, że to on zbliża się do niej z końca sali, stawiając wielkie kroki swymi długimi nogami. Nawet odrobinę zmrużyła oczy, sądząc, że to złudzenie wynikające z jej krótkowzroczności; to było niemożliwe, przecież miała kontakty. Zaczęła się robić nerwowa, pobudzona jak piętnastolatka w środku burzy hormonalnej. Wyprostowała się i spróbowała zachować fason, żeby odpowiedzieć zdecydowanym i akademickim tonem:

– Nie należy wierzyć w plotki, nie ma dowodów na to, że ten obraz kiedykolwiek istniał... Chociaż ja także słyszałam, że wiele osób o niego zabiegało, a jednak zlekceważyli go... niektórzy.

Alain wspiał się na katedrę i przeszedł na drugą stronę stołu, żeby stanąć obok niej.

– To dlatego jesteś na mnie obrażona? Dlatego, że zlekceważyłem *Astrologa*?

– Nie jestem na ciebie obrażona.

Alain poczuł ulgę, widząc, że mówi to z uśmiechem.

– Co więcej, może nie mogłeś zrobić nic lepszego. Uważam, że coś mrocznego chroni ten obraz, lepiej trzymać się od niego z daleka.

– Myślałem tak samo, uważałem, że jest przeklęty, bo jedno spojrzenie na niego sprawiło, że straciłem to, co zaledwie musnąłem czubkami palców. Chociaż nie jestem tego pewien tak do końca... Teraz wydaje mi się, że każdy jest kowalem swego losu... Teraz uważam, że powinienem przyjąć na siebie odpowiedzialność i znowu poszukać *Astrologa*, ale nie chcę robić tego sam...

Po tym pompatycznym przemówieniu Alain przysiadł na stole i przyglądał się jej z satysfakcją podobną do tej, z jaką kontempluje się wschód słońca po całej nocy wdrapywania się na szczyt.

– Cześć – wyszeptał, nie mając odwagi, by powiedzieć coś jeszcze.

– Cześć... – Anie brakło tchu, tylko tyle zdołała wykrztusić. Zaczęła nerwowo kręcić pierścionkami na palcach.

– Nie myśl sobie, że przyszedłem tutaj tylko po to, by wysłuchać znakomitego wykładu, a potem zadać ci jedno pytanie.

– Ach, nie?

Bicie ich serc przyspieszyło.

– Nie, nie. – Pokręcił głową. – Tak naprawdę przyszedłem zaprosić cię na kolację.

A potem, jeśli masz ochotę, możemy wyłączyć telefony, wsiąść do starego żółtego Citroena i pojechać do Prowansji; myślałem o kupnie małego domu pośród lawendowych łąk. O jakimś spokojnym miejscu, gdzie moglibyśmy wylegiwać się na słońcu, patrzeć w gwiazdy, słuchać starych winyli i rozmawiać o sztuce. O jakimś miejscu, skąd moglibyśmy razem wyruszyć po *Astrologa*... Tylko ty i ja.

– *Astrologa*...? – Ana spojrzała na niego, jakby patrzyła ponad okularami, których nie miała. Poziom adrenaliny Alaina niebywale się podniósł. – Wiem, gdzie jest. Sarah Bauer to zainsynuowała: „*Astrologa* mają «oni»”...

Ciśnienie Alaina ciągle rosło, jego oddech i bicie serca stawały się coraz szybsze.

– Czy to znaczy tak?

– Nie... – Ana zrobiła krok do przodu i stanęła na czubkach palców. – To jest tak...

I nie miała wątpliwości, że to jest najlepsza chwila, by dać się ponieść pragnieniu pocałowania go.

\*

## PODZIĘKOWANIA

Chociaż praca pisarza jest samotna, ja szczęśliwie mogłam się cieszyć towarzystwem, czułością, wsparciem i pomocą wielu ludzi przed, w trakcie i po napisaniu tej powieści.

Jako pierwszemu chcę podziękować Luisowi, mojemu mężowi, za tak wiele rzeczy, że nawet nie ośmielę się ich wymieniać, bo mogę wszystkich zanudzić. Jednak nie mogę nie podziękować mu za wszystkie sobotnie popołudnia, kiedy zabierał dzieci, abym mogła pisać w niezwyklej ciszy.

Dziękuję swojemu ojcu i mojej przyjaciółce Gracii za krytyczną lekturę maszynopisu, kiedy jeszcze tak wiele było do zrobienia. W szczególności dziękuję mojemu bratu Luisowi, który także jest pisarzem – znacznie lepszym niż ja – i doskonale rozumie emocje związane z procesem pisania. Punkt widzenia, porady i wkład ich wszystkich bardzo mi pomogły w wychodzeniu z typowego dla autora zamknięcia i krytycznym podejściu do swojej pracy. Dziękuję również mojej mamie – po prostu za to, że jest moją mamą.

Co się tyczy spraw technicznych, miałam wielkie szczęście skorzystać z nieocenionych rad doktora José Carlosa Bustosa, znakomitego neurochirurga – poza tym przyjaciela – który wskazał mi bardzo użyteczną bibliografię na temat stanów kataleptycznych wywołanych przez narkotyki.

W sprawach literackich dziękuję Davidowi Triasowi za to, że zaufał mi i mojej pracy i stworzył mi wspaniałą możliwość dołączenia do fantastycznej rodziny wydawnictwa Plaza & Janés. I Emilii Lope, mojej redaktorce, która pracowała ze mną ramię przy ramieniu nad ostateczną formą tej historii. Emilio, jesteś fantastyczną osobą, z którą cudownie się pracuje i, jak powiedział Humphrey Bogart w ostatniej scenie *Casablanki*, przeczuwam, że jest to początek pięknej przyjaźni.

Oczywiście nie mogę nie wspomnieć o Cristinie Castro. Kochana Cristino, jesteś moją psychoterapeutką w chwilach kryzysu poczucia własnej wartości, moim doradcą i przewodnikiem literackim, a poza tym moją matką chrzestną i matką chrzestną moich książek. Znamy się już od trzech lat i stałaś się kimś znacznie więcej niż moją redaktorką z Círculo de Lectores.

Wam wszystkim: dziękuję, dziękuję, dziękuję.

## Spis treści

Okładka Karta tytułowa PROLOG LIST PEWNEGO NAZISTY ZWYCZAJNA  
DZIEWCZYNA CHCĘ, ŻEBYŚ POJECHAŁ ZE MNĄ DO PARYŻA DOKTOR ALAIN  
ARNOUX KLESIK Z ATRAMENTU KWIECIEŃ 1942 MAM COŚ, CO MOŻE CIĘ  
ZAINTERESOWAĆ MAJ 1942 ZWRACAJĄCY UWAGĘ SZCZEGÓŁ LIPIEC 1942 NIE  
NADAJĘ SIĘ DO TEGO NIEPRAWDOPODOBNIIE ATRAKCYJNY I TAJEMNICZY  
MĘŻCZYŻNA DOPEŁNIANIE BIOGRAFII GEORGA VON BERGHEIMA SIERPIEŃ 1942  
WRZESIEŃ 1942 MĘTNA HISTORIA WIELKA PRZYKROŚĆ LISTOPAD 1942 GRUDZIEŃ  
1942 STYCZEŃ 1943 SAMA NIE JESTEM W STANIE TEGO ZROBIĆ JEŚLI MAM W TO  
WEJŚĆ, TO TYLKO Z TOBĄ SYPIAĆ Z WROGIEM LUTY 1943 NIE CHCĘ UMRZEĆ W  
POKRYTYM KURZEM ARCHIWUM POSENGEIST LUTY 1943 DOBRA I ZŁA  
WIADOMOŚĆ LUTY 1943 MAGIA POSZUKIWANIA NIKOMU NIE UFAJ NIE, NIE  
BYŁAM ODWAŻNA JEŚLI CHCE PANI DOKONAĆ WIELKIEGO ODKRYCIA KWIECIEŃ  
1943 U WRÓT PIEKIEŁ MUSZĘ KOMUŚ ZAUFAC CO TERAZ ZROBIMY, KONRADZIE?  
PRZEDMIOT ICH KŁÓTNI KWIECIEŃ 1943 OTO KLUCZ DO DELMEDIGO DLACZEGO  
VON BERGHEIM POSZUKIWAŁ OBRAZU Z KOLEKCJI BAUERA? KWIECIEŃ 1943 DO  
RZECZY, CAMILLE MAJ 1943 HISTORIA ALAINA MAJ 1943 NASTĘPNA KRADZIEŻ  
CHOLERNY GĄSZCZ NITEK I'M NOT IN LOVE AKT ZGONU EVE MARIE BAUER  
CZERWIEC 1943 DOM W ILLKIRCH PAŹDZIERNIK 1943 WSZYSTKO ZACZEŁO SIĘ OD  
DWÓCH WIADOMOŚCI LISTOPAD 1943 ZABIJECIE GO GRUDZIEŃ 1943 WYŁĄCZ  
KOMÓRKĘ MARZEC 1944 LEPIEJ CHODŹMY DO HOTELU KWIECIEŃ 1944  
WSZYSTKO SŁYCHAĆ PRZEZ KOMINEK CO ZROBIMY, GDY TO WSZYSTKO SIĘ  
SKOŃCZY? KWIECIEŃ 1944 ŻYCIE BEZ SARAH KWIECIEŃ 1944 TO JUŻ NIE JEST  
TWOJA SPRAWA, PRAWDA? UPORZĄDKOWAĆ WSZYSTKO NA NOWO OD  
DOKUMENTU DO DOKUMENTU KTO TERAZ MIESZKA W TYM DOMU? CZEKAŁAM  
NA CIEBIE SKORO DOTARŁA PANI AŻ TUTAJ OD TEGO WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO  
ZAPOMNIJ O SZMARAGDOWEJ TABLICY CHCIAŁEM CI ZROBIĆ NIESPODZIANKĘ  
ZAWSZE, KIEDY CZYTAŁAM CHOĆ LINIJKĘ TEJ HISTORII PRAWDA JEST  
NIEWYGODNA PRZEKŁĘTY ASTROLOG POD CZARNĄ CHMURĄ POWINNAŚ  
ZAPYTAĆ KONRADA KÖLLERA NIGDY NIE BĘDZIE DOBREGO MOMENTU UMARŁA  
EPILOG CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ PODZIĘKOWANIA Karta redakcyjna

